Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
literatura.net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

HONORIUSZ BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

I

Studia obyczajowe

SCENY Z ŻYCIA PRYWATNEGO

Wstępem opatrzył
TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

HONORIUSZ BALZAC

DOM POD KOTEM Z RAKIETKĄ

BAL W SCEAUX

LISTY DWÓCH MŁODYCH MĘŻATEK

SAKIEWKA

Przełożył
JULIAN ROGOZIŃSKI

Przedmowę
do „*Komedia ludzkiej*” *przełożył*
TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

HONORIUSZ BALZAC[1]

(1799–1850)

Przystępuję do urzeczywistnienia dawnego zamiaru: do wydania pism Balzaka. Dotychczas przeze mnie wydane tomy wejdą stopniowo, obok dalszych, w obręb tego zbiorowego wydania. Jak dotąd, każdy będzie opatrzony zwięzłym komentarzem; wobec ogromu dzieła Balzaka i różnorodnych sfer, jakie ogarnia jego myśl, system ten wydaje mi się dogodniejszy niż stłoczenie wszystkiego w jednej wstępnej rozprawce, która przewyższyłaby pewnie rozmiar tomu. Tutaj, na początku, zamieszczę pokrótce życiorys pisarza oraz kilka ogólnych uwag nad jego twórczością.

I. ŻYCIE BALZAKA

Honoriusz Balzac urodził się w Tours w r. 1799. Dziadek jego był rolnikiem tureńskim i nazywał się Balssa, ojciec zmienił wcześnie to miano na Balzac; sam pisarz uzupełnił ojcowskie nazwisko szlacheckim *de* i starał się wywieść je ze starożytnego domu Balzaków d'Entragues. Ojciec Balzaka, oryginalna i sympatyczna postać, był przed rewolucją podrzędnym funkcjonariuszem sądowym; w czasie rewolucji piastował godności obywatelskie, był dostawcą armii, później administratorem szpitali. Balzac miał dwie siostry, z których jedna, Laura, była zawsze jego najtkliwszą przyjaciółką (list Laury de Rastignac w „Ojcu Goriot" oddaje ton tego serdecznego stosunku, który znamy z obfitej korespondencji), i brata, który po niezaszczytnej młodości wyemigrował do Ameryki.

Bardzo młodo umieszczono Honoriusza w kolegium w Vendôme. Wierny obraz lat tam spędzonych znajdziemy w powieści „Ludwik Lambert". Chłopiec licho się uczył, robił wrażenie jakby nieobecnego duchem, natomiast czytał masę i bez wyboru, plądrując bibliotekę ojców. Niebawem zaczął pisać to niefortunne poematy wierszem, to rozprawy filozoficzne na tematy o wiele przerastające wiek chłopca. W rezultacie zapadł na zdrowiu, na rodzaj przekrwienia mózgu, tak iż zaniepokojona matka pospieszyła go odebrać. Miał wówczas piętnaście lat.

Kiedy ukończył szkoły w Paryżu, umieszczono go u adwokata[2]; równocześnie miał studiować prawo, sam zaś z własnej ochoty często zaglądał na wykłady wydziału filozoficznego Sorbony. Ta praktyka kancelaryjna trwała trzy lata; ile z niej przyszły powieściopisarz wyniósł życiowo, tego ślady spotykamy na każdym kroku w „Komedii ludzkiej". Dodajmy, że w owym okresie studiów ojciec Balzaka trzymał go bardzo kuso pod względem pieniężnym (młodość Rafaela de Valentin w „Jaszczurze"!).

---

[1] Z przedmowy Tadeusza Żeleńskiego-Boya do „Ludwiga Lambert", wydanego w r. 1924 jako Przekładów Boya tom 75.

[2] Właściwie *avoué*, tzn. raczej pełnomocnik prowadzący interesy klientów. W polskim języku (i obyczaju) nie ma tego ścisłego rozróżnienia pomiędzy *avouvé*
a właściwym adwokatem, *avocat*

Dzięki wyjątkowemu zbiegowi okoliczności rodzice mieli dla Honoriusza świetne plany: w ciągu kilku lat, na bardzo dogodnych warunkach, mógł stać się posiadaczem kancelarii notarialnej, zostać rejentem w Paryżu! Ale Balzac odmówił wręcz; już literatura chwyciła go w swoje szpony. Po gwałtownej opozycji rodziców i burzach domowych postanowiono go poddać dwuletniej próbie. Ponieważ rodzice Balzaka przenieśli się w tym czasie z Paryża na wieś, młodzieniec został w mieście sam, w zimnej izdebce na poddaszu, mając wyznaczoną pensyjkę, wystarczającą dosłownie na to, aby nie umrzeć z głodu. Takie były ówczesne metody wychowawcze.

Przez te dwa lata Honoriusz pracuje zaciekle; wierzy w swój geniusz. Życie, jakie pędził, opisał później w „Jaszczurze" lub, lepiej jeszcze, w pierwszym okresie paryskim Lucjana w „Straconych złudzeniach". Po dwóch latach, jako owoc swych prac, odczytał w kole rodziny i przyjaciół domu tragedię „Kromwel". Skutek był opłakany; najpoważniejszy ze znawców orzekł, że młodzieniec powinien się chwycić wszelkiego zawodu, byle nie literatury.

Te dwa lata próby tak dalece podkopały zdrowie Honoriusza, że rodzice, zaniepokojeni jego stanem i przebłagani wytrwałością, odwołali go do domu, do Villeparisis, nie czyniąc już przeszkód w wyborze drogi. Tutaj poznał Balzac panią de Berny, która miała wywrzeć duży wpływ na jego życie. Pani de Berny była córką nadwornego muzyka Marii Antoniny; matka jej była pokojówką królowej; oboje królestwo byli jej chrzestnymi rodzicami; tradycje, wspomnienia dzieciństwa wiązały ją do dawnej monarchii. Wspomnienia te musiały być nieoszacowaną skarbnicą dla przyszłego powieściopisarza. Pani de Berny, pełna uroku, mimo że o dwadzieścia jeden lat starsza od Honoriusza, stała się jego przyjaciółką, kochanką, wreszcie znów wierną i oddaną przyjaciółką aż do ostatniego tchnienia. Zdaje się, że wpływ pani de Berny jako w y c h o w a w c z y n i Balzaka był bardzo znaczny i zbawienny.

Po niefortunnej próbie w zakresie tragedii Balzac postanowił szukać szczęścia w powieści. Plan, jaki obrał, był dość niezwykły. Czując, że jeszcze nie dojrzał do tego, aby wydać prawdziwe swoje d z i e ł o, postanowił pisać ramoty w modnym naówczas rodzaju romantycznych awantur i w ten sposób zdobyć tymczasem upragnioną niezależność pieniężną. Powieści te, co do których wartości nie miał złudzeń, podpisywał nie swoim nazwiskiem, ale pseudonimami: Horace de Saint-Aubin albo Lord R'hoone. W jaki sposób traktował tę próbę literacką, może objaśnić następujący fakt: sprzedawszy „na pniu" księgarzowi dwie powieści jeszcze nie napisane, jedną z nich, „Wikarego z Ardennów", zaczyna pisać od drugiego tomu, zwracając się z błagalnym listem do siostry, aby mu napisała pierwszy tom na podstawie planu, który jej przesyła!

Ale ta droga do upragnionego majątku okazała się o wiele za wolna. Niecierpliwy pisarz – wciąż w intencji zdobycia niezależności – puszcza się na przedsiębiorstwa, najpierw tanich wydawnictw klasyków, później zaś, po niepowodzeniu tej imprezy, prowadzi do spółki drukarnię i odlewarnię czcionek. Katastrofa tych przedsiębiorstw pochłonęła cały prawie majątek rodziny, przyspieszyła śmierć ojca Balzaka i znacznie nadwerężyła fundusz pani de Berny. Rzecz charakterystyczna: ta rodzina, która odmawiała pisarzowi najskromniejszych potrzeb, aby się mógł oddać swemu powołaniu, utopiła cały majątek w tych jego *quasi*-realnych, a w istocie daleko bardziej chimerycznych planach. Jakże często zdarzają się podobne omyłki ludziom tzw. praktycznym, trzeźwym! Sam Balzac wyszedł z tych kilkuletnich mocowań się z widmem bankructwa z ciężkim długiem, który przez całe życie miał wlec jak kulę u nogi. Korzyść z tego bolesnego doświadczenia była podwójna: raz – zdobyte przekonanie, że tylko literatura jest jego właściwą drogą, a po wtóre – kapitał doświadczeń i obserwacji wyniesiony z tych lat „życia praktycznego", który to kapitał oprocentuje pisarz stokrotnie w swoich utworach. Najbardziej bezpośrednią reminiscencją tych lat jest drukarnia Dawida Séchard w „Dwóch poetach" i „Cierpieniach wynalazcy"; ale weksle, protesty, pozwy, komornicy, aferzyści, adwokaci zajmą aż nazbyt wiele miejsca w całym dziele Balzaka.

Szukając wytchnienia po tej katastrofie, Balzac chroni się na prowincję, do Bretanii; nosi się z planem, aby w tej ojczyźnie s z u a n e r i i napisać powieść z niedawnej przeszłości Francji. „Szuanie"– mimo iż utwór ten jest jeszcze na pograniczu między jego twórczością młodzieńczą a dojrzałą – był to pierwszy i wielki jego sukces pisarski. Tuż po tej książce ukazuje się „Fizjologia małżeństwa", która czyni go nie tylko głośnym, ale modnym, odsłaniając w nim wielkiego sprzymierzeńca k o b i e t y. Balzac zaczyna wchodzić w świat literacki Paryża, a po trosze i w salony arystokracji napoleońskiej (księżna d'Abrantès) i legitymistycznej (księżna des Castries). Ciężki, rubaszny, nieobyty, nie umiejący się ubrać (mimo tylu kart poświęconych tej sztuce!), podbija mimo to każdego, kto się doń zbliży, bogactwem i żywością myśli, oszałamiającą wymową, kipieniem geniuszu. Salony oglądają go jak osobliwe zwierzę. Balzac kocha się po trosze w pani des Castries, która próbuje go wodzić za nos; przygoda ta, arcyromantycznie upiększona, znajdzie wyraz w opowiastce o „Księżnej de Langeais". W tej epoce Balzac usiłuje być dandysem, nosi olśniewające kamizelki, żyje za pan brat z najmodniejszymi „lwami" Paryża.

Ukazuje się „Jaszczur" i inne powieści; sława młodego pisarza, „znawcy serca kobiety", rozchodzi się na Europę. Rzecz osobliwa, Balzac, który dziś jest pisarzem prawie wyłącznie m ę s k i m, wówczas był bożyszczem kobiet. Z najbardziej odległych stron płyną do niego listy kreślone rączką czytelniczek. Jeden z takich listów, z zapadłej Ukrainy, zaważył na życiu Balzaka. Korespondentką była pani Hańska, z domu hrabianka Rzewuska (siostra Henryka, powieściopisarza). Zawiązała się żywa korespondencja, Balzac rozkochał się na niewidziane w egzotycznej nieznajomej; kiedy dzięki spotkaniu w Szwajcarii (pod okiem męża) przekonał się, że ta interesująca osoba jest młoda, piękna i do tego „hrabina" (przynajmniej za granicą), entuzjazm jego doszedł do zenitu. Miłość ta, typowa miłość „głową", w której każda strona znajdowała swój procencik snobizmu, toczy się przeważnie w listach (*Lettres a 1'étrangère*), czasem z kilkoma latami przerwy między jednym widzeniem a drugim. Mimo śmierci pana Hańskiego i mimo ciągłych planów małżeństwa związek ten przychodzi do skutku aż w osiemnastym roku tej miłości i na parę miesięcy przed śmiercią samego Balzaka.

Poza tym, można rzec, życie Balzaka nie ma historii. To na prowincji, gdzie często przebywał u przyjaciół, to w Paryżu, ciągła wytężona praca, nieprzerwana niemal produkcja literacka. Pobudką jej jest gorączka twórcza, jakiej w historii literatury mało znalazłoby się przykładów, ale także popędzająca go ciągle konieczność życiowa, nie zostawiająca mu ani chwili wytchnienia. Ogromny dług, z jakim zaczął życie literackie, ciążył mu aż do końca, bo wciąż odnawiał go bezład życiowy, kosztowne kaprysy i upodobania (Balzac był namiętnym kolekcjonerem starożytności), wreszcie chimeryczne „przedsiębiorstwa". Całe życie Balzac szamoce się z terminami, zobowiązaniami; bywały okresy, że kryje się we dnie, a przechadza się jedynie w nocy (wówczas istniało jeszcze więzienie za długi); aby się doń dostać, trzeba wymienić skomplikowane potrójne hasło etc. Ta dokładna i osobista znajomość wszelkiego rodzaju kłopotów pieniężnych niejeden raz odbija się w utworach Balzaka.

Wspominam o tych szczegółach, gdyż nie są one obojętne dla dzieł Balzaka: ten pośpiech, z jakim „odwalał" je nieraz, aby dopełnić podjętych zobowiązań i „odpisać" z góry pobrane honoraria, zaciążył niekiedy nad ich artystyczną stroną. Wiele nierówności, wiele skaz wynikło może z tego powodu. Stosunki wydawnicze były zresztą wówczas dość liche; bezprawne belgijskie przedruki współzawodniczyły z legalnie wydaną książką i uszczuplały dochody pisarza.

Toteż raz po raz, zniecierpliwiony zbyt powolną drogą do upragnionej fortuny, Balzac rzucał się w przedsiębiorstwa, w których bystrość i trafność sądu mieszały się z chimerycznymi fantazjami pisarza. Pewnego dnia puścił się na Sardynię, doszedłszy z jakichś poszlak, że tam się muszą znajdować pokłady srebra nie wyczerpane niegdyś przez Rzymian. Oczywiście wydał dużo pieniędzy, czasu i sił i wrócił z niczym, ktoś inny zaś podjął tę myśl, która była trafna. Toż samo na owym pomyśle wydawniczym, na którym Balzac zbankrutował, następca

jego zrobił majątek. Próbował nowych sposobów wyrabiania papieru („Cierpienia wynalazcy"). Za jedną z dróg do szybkiego zrobienia majątku uważał Balzac teatr; raz po raz, dobierając sobie przygodnych współpracowników, próbował zdobyć sukcesy sceniczne, ale wciąż doznawał zawodu; dopiero po jego śmierci jedyna jego sztuka posiadająca większą wartość, „Mercadet", zyskała powodzenie. To znów roił o karierze politycznej, o poselstwie; będąc w wojnie ze światem dziennikarskim („Stracone złudzenia", „Córka Ewy"), założył własny tygodnik, bardzo bojowy, ale musiał go poniechać wobec jednomyślnego bojkotu, jakim nań odpowiedziała oficjalna prasa. I zawsze po tych nieudanych próbach wracał do swego dzieła i w nim znajdował to, czego daremnie szukał gdzie indziej. Ale i tu – mimo olbrzymiej sławy i popularności – nie osiągnął w pełni uznania, do jakiego miał prawo: kilkakrotnie stawiał swą kandydaturę do Akademii i za każdym razem poniósł zupełną porażkę, otrzymując jeden lub dwa głosy!

Wiele podróżował. Oprócz Francji, którą znał prawie całą z dłuższych i krótszych pobytów na prowincji, zwiedził też i spory kawał Europy: Włochy, Szwajcarię, Niemcy, Polskę, Rosję.

Wśród tego dzieło rosło, tom po tomie; ramy olbrzymiego planu wypełniały się. Ale nawet tak potężne siły fizyczne, jakie natura dała Balzakowi, musiały się wyczerpać. Żelazna wola wydobywała zeń produkcję ponad ludzką miarę. Pracował, tygodniami nie wychodząc z domu, czasem po kilkanaście godzin na dobę. Stworzył sobie osobliwy tryb życia, najsposobniejszy, jak twierdził, do tej pracy; zarazem wkładał w te swoje obyczaje coś z romantycznej przesady, sam tworzył już za życia swoją legendę. Wstawał o pierwszej po północy, po czym, ubrany w rodzaj białego habitu dominikanina, opasany złotym łańcuchem, u którego wisiały złote nożyczki, zasiadał do pisania przy blasku kandelabrów, absorbując ogromne ilości czarnej kawy, orzeźwiając się w połowie dnia roboczego kąpielą i nie jedząc prawie nic aż do obiadu, po którym następował kilkugodzinny sen.

Wreszcie, w pełni sił twórczych, przemęczony organizm wypowiedział służbę. Kiedy w r. 1848 Balzac wybrał się po raz drugi do Wierzchowni, majątku pani Hańskiej na Ukrainie, zaniemógł ciężko. Chorował półtora roku. Gdy miał wyjeżdżać do Paryża, pani Hańska, uzyskawszy po wielkich trudnościach zgodę cesarza Mikołaja, zdecydowała się wreszcie oddać mu swą rękę; wzięli ślub i wyjechali do Paryża, gdzie Balzac zmarł niebawem, w r. 1850.

II. „KOMEDIA LUDZKA"

Kiedy po wielu i tak różnorodnych niepowodzeniach Balzac osiągnął wreszcie pierwsze triumfy autorskie, rzucił się z istną furią w twórczość literacką. Bibliografia Spoelbercha de Lovenjoul[3] notuje w latach 1830–1832 około d w u s t u większych i mniejszych utworów jego pióra, powieści, nowel, artykułów etc. Wiele z drobnych szkiców rozsypanych po periodycznej prasie paryskiej weszło później, w zmienionej częściowo formie, w większe utwory Balzaka.

Otóż pewnego dnia (było to w r. 1833) siostra Balzaka, Laura, opowiada, że pisarz wpadł do niej jak bomba, promieniejący, i zawołał radośnie: „Pokłońcie mi się; ni mniej ni więcej, zostaję geniuszem!" I roztoczył swój plan, którym była przyszła „Komedia ludzka".

Dotychczas mniejsze i większe opowiadania Balzaka składały się – jak gdyby bez jego intencji – w obraz współczesnego społeczeństwa; otóż w tej chwili, w nagłym błysku, powziął on myśl powiązania wszystkich tych części w jedną wielką całość, ustosunkowania do siebie osób, grup społecznych, środowisk – słowem, objęcia jednym olbrzymim e p o s e m całej nowoczesnej Francji, będącej zarazem odbiciem społeczeństwa w ogóle.

[3] .*Histoire des Oeuvres de Balzac.*

„Dzieło moje – pisze Balzac do przyjaciółki swojej, pani Carraud, w r. 1834 – musi mieścić wszystkie typy i wszystkie stany, musi malować wszystkie zjawiska społeczne, tak aby nie pominąć ani jednej sytuacji życiowej, ani jednej fizjonomii, charakteru mężczyzny lub kobiety, sposobu życia, zawodu, perspektywy społecznej, ani jednej prowincji francuskiej, ani też najmniejszego rysu dzieciństwa, starości, wieku dojrzałego, polityki, sądownictwa, wojny".

Mimo iż ten plan jest najoczywiściej programem „Komedii ludzkiej", tytuł ten, obejmujący wszystkie utwory Balzaka, urodził się dopiero później, w r. 1841; na razie, w r. 1833, Balzac miał na myśli ujęcie swoich powieści w poszczególne grupy. Grupy te zachował i później jako poddziały „Komedii ludzkiej", a mianowicie: „Studia obyczajowe", rozpadające się na: Sceny z życia prywatnego, Sceny z życia prowincji, Sceny z życia Paryża, Sceny z życia politycznego, Sceny z życia wojskowego. Dalej: „Studia filozoficzne", a wreszcie „Studia analityczne".

Podział ten, który zresztą Balzac wielokrotnie zmieniał, przerzucając dany utwór z jednej grupy do drugiej, jest nieco sztuczny i nie odgrywa w pojmowaniu całości „Komedii ludzkiej" zasadniczej roli. Bardziej interesujące są tytuły n i e z n a n y c h, a zamierzonych utworów, które miały wypełnić ramy tego olbrzymiego planu: są wśród nich np. trzy nie napisane powieści z życia dzieci i długi szereg utworów z życia wojskowego, które „Komedia ludzka", ta, którą Balzac napisał, potrąca jedynie mimochodem. Toż samo z pięciu zamierzonych „Studiów analitycznych" istnieje napisana jedynie „Fizjologia małżeństwa"[4]. Zważmy, iż śmierć zaskoczyła pisarza w pełni lat i twórczości.

Olbrzymi ten plan potroił niejako siły Balzaka i on to, obok innych wspomnianych przyczyn, był podnietą jego gorączkowej twórczości. W wyobraźni poety wyłaniał się cały świat, rysował się coraz wyraźniej, szczegółowiej, coraz jaśniejsze stawały mu się wszystkie związki. W i d z i a ł całe swoje dzieło na raz; ta lub owa powieść, którą miał czas napisać aż znacznie później, poczęta była w jego mózgu już od lat. Postać, która odgrywa jedynie epizodyczną rolę w jednej powieści, staje się bohaterem w drugiej. Większość ważniejszych figur Balzakowskich p o w t a r z a s i ę tedy w całym szeregu powieści, tworząc niejako idealne społeczeństwo, obdarzone samoistnym życiem, rozwijające się, dające samemu twórcy złudzenie rzeczywistości. Stąd niejedna postać nakreślona jest paroma rysami lub nawet po prostu wspomniana tylko nazwiskiem, jak ktoś dobrze znajomy, ponieważ autor pogłębił ją w innej powieści.

Liczba osób tworzących owo społeczeństwo Balzaka, które, wedle jego wyrażenia, „czyni konkurencję rejestrom ludności", sięga paru tysięcy. Czytając „Komedię ludzką" po raz pierwszy, trudno zorientować się w tym lesie, co zrodziło w dwóch zagorzałych balzakistach pomysł jedynego w swoim rodzaju wydawnictwa[5] . Jest to skorowidz do pism Balzaka, w którym pod nazwiskiem każdej postaci możemy znaleźć daty jej biografii, wydobyte z utworów, gdzie o tej postaci jest mowa. Weźmy, dla przykładu, jakąś postać, np. Finot; oto co znajdziemy pod tym nazwiskiem:

FINOT (Andoche), właściciel kilku dzienników i przeglądów za Restauracji i Ludwika Filipa. Syn kapelusznika z ulicy du Coq, Finot rozpoczął życie w nędzy, opuszczony przez ojca, twardego kupca. Zredagował olśniewający prospekt na olejek na porost włosów Popinota, krzątał się około anonsów i reklamowania go w prasie; toteż zaproszono go na słynny bal wydany przez Cezara Birotteau w grudniu 1818. Andoche Finot był już wówczas w stosunkach z Feliksem Gaudissart, który właśnie zalecił go młodemu Anzelmowi jako pośrednika i

[4] Do „Studiów analitycznych" należą również „Małe niedole pożycia małżeńskiego", wydane w całości w r. 1846. (Przyp. red.).

[5] A. Cerfberr i Christophe: *Répertoire de la Comédie Humaine*, Paris 1893. (Dzieło nagrodzone przez Akademię Francuską).

reklamistę pierwszej klasy. Wszedł w skład redakcji „Kuriera Teatralnego" i uzyskał wystawienie sztuki w Gaîté („Cezar Birotteau"). W 1820 wydawał mały dzienniczek teatralny, którego redakcja mieściła się przy ul. du Sentier, itd.

I Balzac nie gubi się w tym nigdy; zaledwie czasem zdarza mu się jakaś drobna nieścisłość w ubocznym szczególe.

Bo też od tej chwili pisarz żyje jak w halucynacji. Wciela się tak w swoje postacie, że stają się dlań rzeczywistsze niż samo życie. Dziesiątki anegdot świadczą o tym, „Czy wiesz, z kim żeni się Feliks de Vandenesse? – mówi z ożywieniem Balzac wpadając do siostry. – Z panną de Granville; robi wyborną partię, Granville'owie są bogaci, mimo że panna de Bellefeuille szarpnęła mocno tę rodzinę". Jednego dnia Juliusz Sandeau, wróciwszy z podróży, mówił mu o chorobie swej siostry; Balzac słuchał go jakiś czas, po czym przerwał: „Wszystko to pięknie, drogi przyjacielu, ale w r ó ć m y d o r z e c z y w i s t o ś c i; mówmy o Eugenii Grandet".

Akcja utworów składających się na „Komedię ludzką" rozgrywa się między rokiem 1815 a 1848, czyli obejmuje epokę Restauracji i Ludwika Filipa, epokę, na którą pisarz patrzał własnymi oczami. Parę zaledwie powieści sięga dalej wstecz (np. „Szuanie", „Tajemnicza sprawa"). Ale opowiadając przeszłość bohaterów i wywodząc ich genealogię – a robi to zawsze – Balzac raz po raz czyni wypady poprzez Rewolucję i Napoleona aż w dobę dawnej monarchii.

Lata 1815–1848, po ukończeniu okresu wojen, są epoką tworzącej się nowoczesnej Francji, szybko postępującego amalgamatu wszystkich warstw: przeżytków dawnej monarchii, powracających z Restauracją Burbonów, nowego legitymizmu, frondy orleańskiej, rewolucji, napoleonizmu, rozbitków Wielkiej Armii i rodzącej się epoki mieszczaństwa wraz z kształtującą się masą ludową. Trzeba przyznać, że, jak dla obserwatora i n a t u r a l i s t y społeczeństwa, Balzac zjawił się w szczęśliwej chwili! Urodzony z samym końcem XVIII wieku, mający jeszcze – przez zetknięcie z naocznymi świadkami – czucie z tradycją dawnej monarchicznej Francji, chłonący uchem pacholęcia echa fanfar Napoleońskich, patrzący na Restaurację, na rewolucję lipcową, wreszcie na triumfalne apogeum epoki mieszczańskiej uosobionej w rządach Ludwika Filipa, Balzac czuł i rozumiał wszystkie współczesne prądy, mógł śledzić niejako *in statu nascendi* wszystkie te połączenia chemiczne, z których wytworzyło się nowożytne społeczeństwo. Toteż dzieło jego jest wiernym odbiciem tego rodzącego się nowego świata: tego rozpętania wszystkich sił, ambicji, otwarcia szranków dla wszystkich zapaśników, bez ograniczeń i hamulca; tego wyścigu do władzy, znaczenia, dobrobytu; wyścigu, w którym wszystkie środki są równie dobre, a raczej, w którym, wśród załamania się dawnych wierzeń i świętości, i środki, i cele streszczają się w jednym słowie: PIENIĄDZ.

Balzac staje się poetą p i e n i ą d z a; można by powiedzieć, że on go wymyślił, stworzył. Balzac widzi w nim to, czym jest w istocie w życiu, czym stał się zwłaszcza w nowożytnym społeczeństwie: przemożną, symboliczną niemal siłę, fluid przenikający wszystko, wciskający się wszędzie, czynnik kształtujący największe i najdrobniejsze sprawy, niezbędny do zrozumienia życia i ludzi. Stąd ta drobiazgowa troska, z jaką notuje co do centyma s t a n p o s i a d a n i a swoich bohaterów; stąd ten zawrotny taniec milionów, stanowiący konkluzję każdej niemal jego powieści. Pieniądz jest dla Balzaka nicią Ariadny: prowadzi go nieomylnie w labiryncie zawiłego gmachu nowożytnego społeczeństwa, daje mu wyczuć związki pomiędzy pałacem a rynsztokiem, Paryżem a prowincją. Pieniądz jako motyw artystyczny to jeden z tysiąca szczegółów dziś tak spospolitowanych, iż w ogóle nie przychodzi na myśl, że ktoś je pierwszy zaobserwował, a będących niepodzielną prawie zdobyczą Balzaka.

Nie znaczy to, aby pieniądz nie odgrywał roli w dawnej literaturze. W iluż komediach Moliera wszystko kręci się koło niego! Ale dotąd był on abstrakcją, „złotem". Tu mamy pieniądz w całym drobiazgowym realizmie jego materiału, jego powstawania, krążenia. Pieniądz

bankiera, lichwiarza, rolnika, aferzysty, kupca – tysiąc sposobów zdobywania go, tysiąc sposobów wydawania.

Ile stanów, ile odcieni! Dwaj starzy „poczciwcy": eks-jakobin Goriot, spekulujący niegdyś na żywności, i wierny rojalista Ragon, właściciel handlu z perfumami; następca Ragona, Birotteau, ginący typ skromnego jeszcze mieszczaństwa wzrosłego w dawnych tradycjach, i następca Cezara Birotteau, parweniusz Crevel, symbol triumfującego mieszczaństwa z epoki Ludwika Filipa. Armia Napoleońska od bohaterów do szumowin; a jak mistrzowską ręką narysowane przejścia od jednej do drugiej roli! Toż samo wszystkie profesje, zawody, artyści, finanse, polityka etc. Do dziś – mimo iż Zola w swoich „Rougon-Macquartach" podjął niejako „zmodernizowanie" dzieła Balzaka – nie ma lepszego przewodnika w wielkiej puszczy życia!

Toż samo przemysł, rolnictwo. Ten człowiek o wzroku czarownika widzi w każdym najdrobniejszym fakcie nieskończone perspektywy uogólnień, zależności. Widzi związki pomiędzy upadkiem Napoleona a przesileniem w przemyśle szmuklerskim; między szczęśliwą miłością a wzrostem rachunku praczki[6]. Nic go nie omami, nie gardzi żadnym płaskim na pozór szczegółem!

Ale pieniądz to, ostatecznie, środek, narzędzie. Dwie prawdziwe dźwignie nowoczesnego świata to inteligencja i wola. Dzieło Balzaka kipi inteligencją, wszelkimi jej odmianami; od inteligencji uczonego, zmagającego się ze swą myślą na zimnym poddaszu, aż do inteligencji zbrodniarza idącego na przełaj poprzez prawa i bariery społeczne. Można by rzec, że czasem aż za wiele tej inteligencji spala się w jego epopei, że zbyt hojnie obdzielił swoje społeczeństwo bogactwem własnego mózgu! M y ś l u niego przenika wszystko, wyziera ku nam z każdej fizjonomii, z każdego sprzętu. Oglądane pod pewnym kątem, dzieło Balzaka nabiera jak gdyby m i t o l o g i c z n e g o charakteru; stwarza większe i mniejsze, złe i dobre bóstwa, personifikujące każdy rys życia społecznego, tak jak Grecy stwarzali je dla każdej rzeki i każdego źródła.

A świat ambicji, w iluż wyraża się egzemplarzach, a każdy jakże odmienny! Od wielkiej ambicji do małych próżnostek, śmiesznych dla widza, ale dla „pacjenta" tragicznych i bolesnych. A świat kobiet! I tu znowuż wszystkie pozycje, stany, wieki. Nawiasem mówiąc, to, że kobieta ma w i e k, to też jest poniekąd „wynalazek" Balzaka; przedtem „kochanka" w powieści była zazwyczaj konwencjonalnym wzorem młodości i urody. Ten wynalazek zapewnił triumf jednej z najsłabszych powieści Balzaka, dzięki jej szczęśliwemu tytułowi: „Kobieta trzydziestoletnia". A Balzac, ów wychowanek pani de Berny, miał odwagę posunąć analizę kobiety-kochanki aż do lat czterdziestu pięciu i dalej!

A wszystkie te działy przenikają się wzajem, sczepiają się splotem interesów, namiętności, uczuć. Miłość u Balzaka nigdy nie jest czymś wyosobnionym, ale głęboko zrośnięta jest z tysiącem względów społecznych, towarzyskich, finansowych. Z wyłącznego przedmiotu powieści Balzac, widząc w niej potężną dźwignię, sprowadza ją do tej arcyważnej, ale nie tak ekskluzywnej roli, jaką w istocie odgrywa w społeczeństwie. Wyzbywa się ona swej wyłączności arystokratycznej; jest najściślej związana z całokształtem nowoczesnego życia, jego walk, matactw i próżności. Miłość, aż nazbyt często, z celu staje się środkiem. Równocześnie obserwator, który za zadanie postawił sobie odmalowanie wiernego obrazu społeczeństwa, musiał sobie uświadomić, że zdolność do bezwzględnej miłości, ten g e n i u s z s e r c a, jest równie rzadkim jak wszelki inny geniusz, a to, co w świecie ma obieg pod mianem miłości, to tylko gruby i mniej lub więcej zanieczyszczony aliaż. Ten świat uczuć mieszanych, złożonych, jest światem, jaki z niezrównanym mistrzostwem i prawdą kreśli Balzac; a nieustanna gra tych trzech elementów: zmysłów, próżności i pieniądza, występujących we wszystkich możebnych kombinacjach i splatających się wciąż niby w ironicz-

[6] „Fizjologia małżeństwa", rozdz. XXX.

ne triolety, nadaje jego dziełu jemu tylko właściwy i osobliwie niepokojący charakter. To nowe, tak przeciwne koncepcji romantycznej ujęcie miłości, było jednym z jego najbardziej „rewolucyjnych" czynów. Ba, czasem – i to jest może najwyższy jego triumf jako powieściopisarza – odważa się zupełnie prawie usunąć ją z powieści! („Cezar Birotteau" i in.).

Jedną z cech Balzakowskiego ujęcia świata jest to, że nigdy powieść jego nie rozgrywa się wyłącznie na jednym terenie. Prawie zawsze daje przekrój społeczny, od szczytów aż do nizin; daje związki i zależności faktów, których to związków w życiu zwykle nie widzimy, ale które niemniej istnieją. A dzięki wspaniałej wyobraźni Balzaka to ujęcie świata rozsnuwa się – nie tracąc prawie ani na chwilę realnego gruntu pod nogami – w horyzonty czarodziejskiej baśni. Losy Lucjana de Rubempré („Stracone złudzenia" etc.) stają się punktem, z którego Balzac otwiera nam perspektywy na świat przywileju i bogactwa i na świat zbrodni i nędzy; na świat myśli i na świat miłości; aż wreszcie w pamięci naszej historia owa odciska się głębią udramatyzowanego odwiecznego mitu o pakcie Szatana z człowiekiem...

Kiedy zdołał Balzac przy swoim klasztornym niemal trybie życia zebrać tak olbrzymie bogactwo dokumentów ludzkich? Trzeba przypuścić, że posiadał on dar nie tylko obserwacji, ale wręcz w i z j i, że z jednego rysu, z paru słów odtwarzał z nieomylną trafnością i plastyką całokształt człowieka, grupy społecznej, stanu duszy. Pamiętajmy zresztą, iż, zwłaszcza w pierwszym okresie życia, mógł poznać go sporo i dobrze. Trzy lata praktyki u adwokata ukazało mu niejedną podszewkę Paryża. Potem lata nieudanych przedsiębiorstw, walk finansowych; pierwsze kroki w świecie literackim, sukcesy i zawody światowe. Paryż znał ze wszystkich stron, ze wszystkich fizjonomii, na wylot. Umiał zresztą jak nikt „interwiewować", wydobywać z każdego to, co mu było potrzebne. Parę godzin rozmowy ze słynnym Vidokiem, eks-złodziejem, który stał się naczelnikiem policji paryskiej, dało mu materiał do Vautrina.

W pani de Berny znalazł skarbnicę wspomnień dawnej monarchii; księżna d'Abrantès, autorka słynnych pamiętników, stała mu się żywą tradycją Napoleońską; księżna des Castries wprowadziła go w świat arystokratycznych subtelności, w którym zresztą nigdy nie czuł się bardzo pewnie. W czasie długich pobytów na prowincji informuje się, poznaje najdokładniej geografię i historię lokalną, wchodzi w życie każdej miejscowości.

Z tego zupełnie odrębnego (w stosunku do innych powieści) charakteru dzieła Balzaka wynika i stosunek jego do czytelnika. Trzeba to wciąż pamiętać: dzieło Balzaka poczęło się w jego mózgu jako całość i jako całość jest skomponowane. Każdy utwór, nieraz kilkotomowa powieść – jest tylko epizodem, jedną z poszczególnych grup olbrzymiej płaskorzeźby, która przedstawia kłębienie się i zmaganie rodzącej się w s p ó ł c z e s n o ś c i: ludzi, rzeczy i idei. Niejeden utwór, brany jako pojedyncza powieść lub opowiadanie, uderza wskutek tego brakiem proporcji: szerokość ram, wstępne wywody, drobiazgowe opisy rozsadzają nieraz nikłą fabułę; daleko promieniujące refleksje, patos ujęcia razi ciężkością i brakiem smaku; wielu działającym osobom brakuje, na pozór, plastyki i charakteru, mnóstwo szczegółów wydaje się zbytecznym balastem. Ale kiedy cierpliwie, rys po rysie, tom po tomie, czytelnik przyswoi sobie dobrze wszystkie ogniwa, kiedy zżyje się z tym światem nie mającym podobnego sobie w literaturze, a następnie, oddaliwszy się nieco, ogarnie myślą potężną całość, wówczas zrozumie wszystko i, wróciwszy na nowo do Balzaka, z nowym zupełnie pogłębieniem i rozkoszą zacznie się weń wczytywać. Odkrywa wówczas nowe związki, rysy, których wprzód nie zauważył, wchodzi w ten świat, nie może już żyć w innym. „Konsekwentne studiowanie Balzaka – powiada Oskar Wilde – przemienia naszych przyjaciół w cienie, znajomych w cienie cieni..."

Balzac stał się tym dla powieści, czym Molier dla komedii. Nie stworzył jej, oczywiście; istniała i przed nim; ale z rodzaju „podrzędnego" wysunął ją na czoło twórczości literackiej, uczynił z niej najwspanialsze narzędzie wypowiedzenia się nowoczesnego pisarza, nadał jej nie znany wprzód rozmach, wnikliwość i nieskończenie rozszerzył jej sferę. A sprawił to po-

tężnym tchnieniem życia, tchnieniem r e a l i z m u. Tak samo jak Molier; tak; tylko że realizm Moliera nie wystarczał, nie mógł wystarczyć na wyrażenie epoki Balzaka. W literaturze doby klasycznej dominuje człowiek i uczucia; w ustroju porewolucyjnym występuje na pierwszy plan społeczeństwo, układ jego sił i splot interesów. Otóż o ile dla konfliktu ludzi i uczuć najsposobniejszą jest forma dramatyczna, o tyle też same konflikty, nie wyosobnione z potocznego życia, ale ujęte na jego tle, we wszystkich z nim związkach, wymagały nowej formy, powieści; ale powieści takiej, jak ją rozumiał Balzac i jak ją przekazał swoim następcom.

Realizm, tak; ale strzeżmy się brać tu ten termin w jego ciasnym, tak dziś zdyskredytowanym pojęciu. Realizm ten jest tak do głębi przesycony myślą, ideą, iż taje się niekiedy czystym spirytualizmem. Lektura „Ludwika Lambert" najlepiej wyjaśni zagadkę tej pozornej sprzeczności.

Zauważmy jeszcze jeden rys, który różni Balzaka od jego wielkich poprzedników. Epoka, w której żył, tak bogata w przeobrażenia społeczne, jest zarazem dobą rozkwitu m y ś l i p r z y r o d n i c z e j. I to spojrzenie n a t u r a l i s t y jest dla Balzaka niezmiernie znamienne. Gdy dla Moliera prowincjonalna kumoszka, hrabina d'Escarbagnas na przykład, jest głównie przedmiotem śmiechu, Balzaka interesuje ona jak osobliwy gatunek owada: chce wiedzieć, skąd ona się wzięła taka, jaką była przedtem, za młodu, jak wygląda jej dom, jakim był nieboszczyk jej mąż, kto był jej pierwszym kochankiem, słowem, co za przyczyny złożyły się na to, aby ją uczynić taką, a nie inną. Jeżeli się z niej uśmiechnie, to mimochodem; przede wszystkim chodzi mu o to, aby ją z r o z u m i e ć. Jest ona dlań nie pojedynczym egzemplarzem ludzkim, ale przejawem życia społecznego, produktem, na który złożyły się te, a nie inne warunki, niemal historia Francji. Każdy szczegół odsłania mu nieskończone perspektywy, związki; można by tak snuć rzeczy jedne z drugich bez końca; stąd te drobiazgowe opisy, to pęcznienie tematu, tak przeciwne klasycznemu ograniczeniu się, stąd te dygresje, wtręty filozoficzno-społeczne, które wielu rażą w powieściach Balzaka. Ten sposób patrzenia na świat tłumaczy również, dlaczego nowożytni pisarze umiłowali powieść jako najpodatniejszą, najbardziej giętką formę wyrażenia wszystkiego, co zapragną.

I tu może należy szukać źródła tego, co nazywano nieraz n i e m o r a l n o ś c i ą lub amoralnością Balzaka i co odstręcza odeń wiele umysłów przerażonych i osmuconych beznadziejnością jego spojrzenia na życie. Zarzut to po trosze taki, co gdyby zarzucać niemoralność przyrodnikowi, który opisuje życie stworów na dnie morskim, ich wzajemne pożeranie się i walki. Zarzut ten czyniono zresztą i Molierowi, ale Molier mógł się ratować pewną sztuczką, której Balzac nie mógł użyć. Molier, dając obraz namiętności, dusz ludzkich, mógł, wyczerpawszy obraz, kończyć swą komedię dowolnie optymistycznie, aby nas nie wypuszczać z teatru pod przykrym wrażeniem („Świętoszek", „Skąpiec"!). Inaczej Balzac: on maluje nie tylko dusze, życie wewnętrzne jednostek; jednostki te są niejako reprezentantami grup i sił społecznych, których układu p r z y r o d n i k tkwiący w Balzaku nie pozwala mu paczyć. Tym tłumaczy się, że – jak mu to często zarzucano – łajdaki tak często triumfują nad zacnymi ludźmi i kończą nieraz jakby w apoteozie (du Tillet, Cointet, etc.). Bo Balzac nie mógł nie widzieć twórczej siły, energii społecznej, jaka się może mieścić w bezwzględnej namiętności, w żądzy zysku, wywyższenia. Cointet obdziera Dawida Séchard z jego wynalazku („Cierpienia wynalazcy") i jest w tym łotrem; ale niemniej Cointet daje temu wynalazkowi, który może by zmarniał w ręku Dawida, rozmach i praktyczną wartość, które wychodzą na dobro Francji i społeczeństwa. Balzac ma zawsze to podwójne spojrzenie. Molier ma je czasem, np. w swoim „Mizantropie"; ale na przykład w „Świętoszku" widzi tylko łajdaka, gdy Balzac dostrzegłby w nim może przyszłego dyplomatę, ministra, którym zostałby wspiąwszy się na wyżyny kosztem krzywdy łatwowiernego Orgona. I słusznie to zauważono, że brutalny pesymizm Balzaka wyraża się głównie tam, gdzie styka się on z problemami życia społecznego, z walką o egzystencję; lepsze drgnienia duszy człowieka chowa na jego życie prywatne – i w

tym jest zgodny z prawdą. Każdy niemal z jego drapieżnych ptaków ma w sercu swoją idyllę: Rastignac, obmyślający bez skrupułów zawładnięcie Paryżem, ze łzami rozczulenia odczytuje listy od sióstr, od matki...

Ta bezstronność Balzaka w spojrzeniu na życie idzie tak daleko, że trudno byłoby wyczytać z jego dzieła przekonania społeczne czy polityczne pisarza, gdyby im niejednokrotnie nie dał wyrazu w swoich dygresjach. Arystokratyzm jego płynie ze wzgardy dla człowieka, którego złe instynkty należy spętać religią, wychowaniem i prawem. Balzac ma pogardę dla współczesnej niwelacji, dla parlamentaryzmu (cóż by dopiero powiedział na powszechne głosowanie dla obu płci!). Wolność prasy uważa za nieszczęście Francji; rad by przywrócić majoraty, prawo starszeństwa, wzmocnić jak najbardziej organizację rodziny. Ale często, wbrew jego woli, dzieło jego mówi co innego. Jego uwielbienie dla arystokracji wyradza się nieraz w mimowolną satyrę („Ojciec Goriot"!). Mimo wszystkie jego teorie dzieło Balzaka to jeden z największych dokumentów nowoczesnej demokracji; to zdobycie dla szarej, bezimiennej masy przywileju wzniosłości, cierpienia, i n t e r e s o w a n i a nas, który to przywilej zarówno w pojęciu klasycznym, jak i romantycznym sztuki przysługiwał jedynie jednostkom wyższym swym położeniem społecznym lub organizacją duchową. Cały swój h e r o i c z n y styl ujęcia zjawisk oddał Balzac na usługi pospolitego życia, wzbił nim szarą na pozór codzienność do napięcia i wielkości tragedii. Podjął jak gdyby na nowo olbrzymie dzieło Szekspira, ale sprowadził je na bruk współczesnej Francji; dowiódł, iż nie trzeba sięgać w odległe mroki dziejów, aby znaleźć postacie króla Lira lub Ryszarda III; ukazał je swoim czytelnikom na wysokości ich oczu, w postaciach, o które otarli się może na ulicy lub z którymi wieczerzali poprzedniego dnia, w pospolitej figurze eks-kupca, skromnego ojca Goriot, lub Filipa Brideau, Napoleońskiego żołdaka. Codzienność, szara mieszczańska codzienność, pogłębiona analitycznym skalpelem Balzaka i podniesiona o kilka skal tchnieniem jego potężnego w e w n ę t r z n e g o p a t o s u, zyskuje odtąd trwałe prawo bytu i staje się niemal wyłącznym materiałem nowoczesnej twórczości literackiej. Balzac ziścił w ten sposób to, na co nie stało tchu i talentu usiłowaniom „dramatu mieszczańskiego" w XVIII w., a dziełem swoim wywarł stanowczy wpływ nie tylko na dalszy rozwój powieści, ale i teatru.

Taki jest duch dzieła Balzaka i takim zostaje on w naszej pamięci, wrażeniu, jako poeta nowoczesnego ustroju, nieraz wbrew jego politycznym poglądom. Toż samo uwielbienie dla Napoleona, które bije z kart poświęconych tak żywym jeszcze wówczas tradycjom Cesarza, dziwnie kłóci się z ostentacyjnym „rojalizmem" autora. Ale czyż to paradoksalne krzyżowanie się najrozmaitszych warstw myśli, pojęć i sympatii nie jest właśnie cechą owej epoki? Czyż Napoleon nie potrafił sfanatyzować i złączyć pod sztandarami imperializmu zarówno Brutusów rewolucji, jak i potomków tych, których rewolucja wykosiła?

I pod tym względem, dla zrozumienia ducha jego dzieła, wolę słuchać tego, co mi mówi lektura „Komedii ludzkiej", niż tego, co mówi Balzac w swojej do niej „Przedmowie". Być genialnym powieściopisarzem, to w owej epoce snadź było za mało; tak jak w epoce Moliera być genialnym komediopisarzem. Toteż Balzac chce być czymś więcej; chce być moralistą, lekarzem społeczeństwa, mężem stanu. Nie zapominajmy o jego bardzo żywych ambicjach czynnego udziału w życiu politycznym; jakoż całe ustępy w tej „Przedmowie" aż nazbyt trącą mową kandydacką. Toż samo ta obrona „moralności" dzieła – jakże wyraźne nosi piętno rozprawy z nieinteligentnymi zarzutami, ściągającymi genialnego pisarza na chwilę do swego poziomu. Przedstawiając siebie tak jako „moralistę", jako lekarza – czy znachora – chorób społecznych, Balzac czyni sobie krzywdę; mimo woli uszczupla to, co jest jego największą siłą, ścieśnia tę pełnię i rozlewność żywiołu, która tak imponuje w jego dziele, stwarzając owe nieoczekiwane kontrasty: od mistycznych wzlotów w niebiosa czystych idei aż do zdeptania najbardziej błotnistych ścieżek ziemi. Wreszcie, uświadomienie sobie wspaniałego planu „Komedii ludzkiej" nie obeszło się bez pewnego przymusu, bez odcienia pedantyzmu. Śmierć przerwała Balzakowi jego dzieło; czy te części „Komedii ludzkiej", które dla wypełnienia

jego ram zamierzył, byłyby na wysokości tych, które urodziły się z samorzutnego natchnienia? - nie wiemy. Faktem jest, iż mimo uniwersalności Balzaka nie wszystkie warstwy społeczeństwa interesowały go w równym stopniu. Epoka, która wycisnęła na nim swoje piętno, jest przede wszystkim epoką mieszczaństwa; chłop, robotnik są wówczas jeszcze „muzyką przyszłości". Nie żądajmy od jednego człowieka wszystkiego; to, co nam dał, jest już darem dosyć królewskim.

Owe tak zajmujące zresztą sprzeczności spotkamy nieraz jeszcze w dziele Balzaka. Obiektywizm czy subiektywizm? Wskazałem już poprzednio przyrodniczą wręcz bezstronność jego spojrzenia, obiektywizm jak najdalej posunięty; nigdy powieść jego nie jest ową spowiedzią autora, romansem o sobie samym, jaką bywa ona zazwyczaj w utworach pisarzy romantycznych. Ale, z drugiej strony, jeżeli te postacie są tak żywe, to dlatego, że twórca ich w sobie samym czerpie elementy, z których je stwarza. I pod tym względem skala Balzaka jest zdumiewająco szeroka: z siebie wysnuł cierpliwą wytrwałość i tkliwe a wierne uczucie Dawida Séchard („Cierpienia wynalazcy"); z siebie niecierpliwą żądzę wybicia się Rastignaka czy Lucjana de Rubempré; z siebie wreszcie kipiący werwą i brutalny cynizm Vautrina. Z tego punktu widzenia można uważać „Komedię ludzką" niemal za spowiedź; a pod względem śmiałości, bezwzględności, bezwstydu nawet w odsłanianiu najbardziej wstydliwych zaułków swego wnętrza, spowiedź tę można by zestawić chyba z „Wyznaniami" Rousseau. I te związki, jakie można odnaleźć między najbardziej osobistą z autobiografii a najbardziej „obiektywnym" eposem ludzkości, są rzeczą bardzo interesującą.

Mimo iż siedem dziesiątków lat z górą upłynęło od śmierci Balzaka, stanowiska jego w literaturze francuskiej nie można było do ostatnich czasów uważać za zupełnie ustalone. Wielki pisarz, to pewna; ale są w nim pewne rysy, które sprawiają, iż oficjalna, uniwersytecka historia literatury przyznaje mu czasami jakby z kwaśną miną ten patent na wielkość. Jest w jego spojrzeniu na życie, w odwadze mówienia tego, „o czym się nie mówi", coś brutalnego, coś, co uraża – nawet tam, gdzie mu trzeba przyznać słuszność – wstydliwość czy obłudę wielu. Wrodzony brak smaku tego olbrzyma, pewne niedelikatności jego natury (ale czy bez nich mógłby być twórca prawdziwej „Komedii ludzkiej"?), nierówności wreszcie tego kolosalnego dzieła przyczyniają się jeszcze do tego wrażenia. Krytykują go jako stylistę, ale o tym na innym miejscu. Podają w wątpliwość ścisłość jego erudycji, ogrom wiadomości, horyzontów[7], którymi Balzac olśniewa czytelnika. Ale cóż stąd? Gdyby te wszystkie zarzuty były prawdą, niemniej Balzac pozostanie Balzakiem, tj. pisarzem bardzo niedoskonałym, bardzo nieklasycznym, ale genialnym w każdym calu, jednym z najosobliwszych m o n s t r ó w , jakie istnieją w literaturze. Nie jest bynajmniej moim zamiarem ukrywać czytelnikom te jego słabizny; uważam, że wielkiego pisarza trzeba znać i kochać całego, jakim jest, ze wszystkimi błędami, które tym bardziej zbliżają go do nas i czynią tym bardziej ludzkim. Ale analizę tych skaz i nierówności pożyteczniej może będzie szkicować przy każdym z poszczególnych utworów.

[7] Istotnie nie trudno by znaleźć przykłady tego, co surowi krytycy mienią „szarlatanerią" Balzaka. Podam jeden, który musiał mnie uderzyć bardziej niż inne. To ów „Polak" w „Kuzynce Bietce", hrabia Wacław Steinbock, którego Balzac wyposaża krwią skandynawską, aby potem najspokojniej demonstrować na nim psychologię Słowianina, przy czym podaje krótki rys geografii i historii Polski, aby na podstawie tych dokumentów dojść do odkrycia, iż ambicję Wacława podrażniło to, że kobieta, która mu się podobała, nie zwraca na niego uwagi!

III. BALZAC JAKO PISARZ

Oczywistym jest, iż przy tak zupełnie innym od swoich poprzedników pojmowaniu powieści Balzac musiał dla tej nowej treści stworzyć nowe formy. Uważając swą powieść za „dokument ludzki", musi mu nadać ścisłość dokumentu, autentyczność historii. Życie, charakter, dola jednostki nie jest dla Balzaka czymś przypadkowym, wyodrębnionym z łańcucha zjawisk, ale, przeciwnie, czymś najściślej zespolonym z jego pochodzeniem, tradycją, wychowaniem, środowiskiem. Tym samym występują o p i s o w o ś ć i a n a l i z a jako dominujący charakter powieści Balzaka. Gdy wprowadza figurę – nieraz uboczną – zapoznaje nas z jej przeszłością, warunkami życia; maluje obszernie miasto lub miasteczko, w którym rozgrywa się akcja, gdzie mieszkają jej bohaterowie; opisuje drobiazgowo ich strój; co więcej, wchodzi do domu, daje obraz wnętrza, kolor tapet, kształt mebli codziennego użytku. Bo otoczenie, w którym dany osobnik żyje, ma podwójne znaczenie: raz – w y r a ż a go, po wtóre – kształtuje go, oddziaływa nań. Jeżeli mieszka w Paryżu, wiemy dokładnie, na której ulicy, na którym piętrze. Toż samo znamy cyfrę i rodzaj dochodów każdej z figur; jeżeli, jak Cezar Birotteau, zbankrutuje, znamy najdokładniej bilans jego upadłości etc.

Wszystko to są rzeczy dziś bardzo pospolite; rzeczy, które pobalzakowska powieść przyswoiła sobie, pozbywając się zarazem ich nadmiaru, którym grzeszył czasami pierwszy ich wynalazca; ale w momencie zjawienia się Balzaka było to odkrycie nowych światów. Cóż za różnica z dawną powieścią, w której kochanek tylko kochał, w której bohaterowie wyzwoleni byli od tego, co stanowi 90°/o zainteresowań na tej ziemi, od owych spraw „materialnych", wciskających się w każdy szczegół życia, zabarwiających każdą myśl, każde uczucie!

Wielu znajduje, iż Balzac posuwa się w tej namiętności opisu za daleko. Obojętnym jest – powiadają – dla historii Eugenii Grandet, czy rozgrywa się ona w Saumur, czy gdzie indziej. Dla Eugenii Grandet, może; ale nie dla intencji Balzaka, który w „Komedii ludzkiej" chciał dać obraz całej współczesnej Francji, Paryża i prowincji, i to we wszystkich przekrojach. Czy koniecznym jest, mówią dalej, ów drobiazgowy opis pensjonatu pani Vauquer, gdy chodzi o historię ojca Goriot i jego córek? Te opisy fizjonomii, ciągnące się po kilka stronic, nużą i w końcu nie dają żadnego obrazu etc.

Faktem jest, iż czytanie powieści Balzaka, zwłaszcza wejście w nie, nie zawsze jest lekkie, bywa nużące. Ale zważmy tu dwie rzeczy. Po pierwsze, Balzak pisał dla współczesnych o współczesnych, nie kazał im tedy w y o b r a ż a ć sobie, ale ożywiał po prostu myślą, wypełniał treścią rzeczywistość, codzienność, na którą patrzyli; oni znali te meble, te stroje, on im je tylko tłumaczył. Dalej Balzac miał zdolność w i d z e n i a, którą mało kto rozporządza z nas, czytelników. Ale kiedy np. rozmawiałem o Balzaku z malarzem Karolem Fryczem, mówił z entuzjazmem o tych opisach, twierdząc, że nikt nie daje tak plastycznej wizji rzeczy jak Balzac. Zauważmy wreszcie, że opis u Balzaka zawsze jest w służbie myśli, zawsze jest c e l o w y, nigdy nie wyradza się w opis dla opisu, w czystą wirtuozję, której tak nadużyła późniejsza literatura. Jednego tylko wyrzeklibyśmy się może, tj. analitycznych opisów fizjonomii, ciągnących się po kilka stron. Późniejsi pisarze nauczyli się wywoływać to wrażenie lepiej kilkoma kreskami. Ale, powtarzam, w epoce, gdy pisał Balzac, czy i ten „realizm" nie był prawdziwą zdobyczą wobec konwencjonalizmu dawniejszej powieści?

Nie ma rady zresztą, trzeba się poddać tej metodzie, trzeba wraz z pisarzem gromadzić cierpliwie materiały, być świadkiem stopniowego rozpalania się ognia w tym olbrzymim piecu jego twórczości. Za to później, kiedy przebrniemy ten mozolny nieraz początek, odbieramy stokrotną zapłatę za nasze trudy. Podobnie jak na scenie, kiedy ustawi się dekoracje, ubierze i ucharakteryzuje aktorów, zaczyna się dramat. A dramat ten przykuwa nas tym bardziej, im głębiej pisarz pozwolił nam zapuścić wzrok w środowisko, charaktery i dusze jego aktorów. Pierwsze karty powieści Balzaka czyta się z wysiłkiem, dalsze pochłania się z namiętnością, a opuszcza w końcu z uczuciem żalu i zadumy.

Więcej jeszcze zarzutów spotykało Balzaka jako p i s a r z a w ścisłym znaczeniu słowa, jako władcę stylu, języka. Nie miał on istotnie łatwości pisania. Widzieliśmy, jak za młodu

pisze całe tomy anonimowych powieścideł, aby sobie „wyrobić rękę". I później wciąż pasuje się ze swoim materiałem, ze stylem, jak mało który z pisarzy. Poprawia bez końca w korektach[8], przerabia w następnych wydaniach[9]; nic nie pomaga; styl jego dalekim jest od „klasycznej doskonałości"; bywa ciężki, chropawy, nabrzmiały przesadą, męczący porównaniami. Ale w zamian, kiedy zważymy bogactwo treści, dla której Balzac, nie mając w tym poprzednika, musiał znaleźć nowy wyraz, musiał żłobić w języku nowe drogi, przestaniemy się z nim prawować o słowa. Jak stokrotnie okupuje język Balzaka swoje braki! Jeżeli jest ciężki, to od nadmiaru myśli; jeżeli jest spęczniały, to od natłoku obrazów. Co za olbrzymie rozszerzenie dziedzin, z których pisarz czerpie swoje obrazy, porównania, skróty: od metafizyki do medycyny, od chemii do muzyki, od świata artystów do świata galer. Wszędzie konkretny wyraz w miejsce dawnego klasycznego ogólnika. Prawda, te natłoczone porównania chromają niekiedy, te dziwaczne nieraz obrazy sprowadzają czasem uśmiech („motylek Cesarstwa runął całym ciężarem", etc.), ale w zamian cóż za nasilenie, cóż za „gęstość" życia, szerokość horyzontów! Nie ma chyba pisarza, który by jednym zdaniem umiał rozpiąć tak rozległe perspektywy, zestawić i powiązać rzeczy na pozór tak odległe, zapłodnić myśl, ukazać nieoczekiwane związki. Kto nawykł do obcowania z Balzakiem, temu to Balzakowskie spojrzenie na *rzeczy* wchodzi w krew, w nałóg, nie umie już patrzeć inaczej. Balzac oddziałał nie tylko na późniejszą powieść, na teatr; oddziałał wręcz na metody historii (Taine).

Dodajmy, że to urzeczenie powieścią Balzaka, które nas zagarnia i każe zapominać o wszystkich skazach, towarzyszy czytaniu nie w s z y s t k i c h jego utworów. Mało jest pisarzy, którzy by byli tak nierówni. Nie tylko poszczególne utwory Balzaka różnią się od siebie charakterem i wartością, ale i w jednej i tej samej książce możemy nieraz wyróżnić elementy z bardzo różnego kruszcu.

Wiele na to składało się przyczyn. Raz – ogrom pracy, który sobie nałożył. Pisarz może, gdy go ożywia wielki cel, zmusić się do ciągłej pracy, ale siła twórcza nie zawsze wydoła tej produkcji. Mimo sztucznych jej podniecań przychodzą momenty osłabienia. Taine, w świetnym swoim studium[10], porównuje umysł Balzaka do olbrzymiego kotła, w którym topią się na aliaż rozmaite rudy i kruszce; otóż nie zawsze udaje się niezmordowanemu pracownikowi rozpalić dość silny ogień, wymagany dla tego procesu; niekiedy płomień słabnie, a wówczas surowe lub na wpół tylko przetworzone kawały kruszców szpecą jednolitość odlewu. Jak wspomnieliśmy, w Balzaku zmagał się realista i romantyk; z doskonałego amalgamu tych dwóch cech wypływały najwspanialsze dzieła; ale czasem – i sądzę, że to były momenty znużenia – brał w nim zbytnio górę „romantyk", i to nie najlepszej próby. Jak Molier, który oczyścił Francję od rodzaju *précieux,* sam w niego czasem popada w swoich na prędce kleconych dworskich widowiskach, tak Balzac, który przeciwstawił swoje wspaniałe pojęcie powieści owym powieścidłom, od których roiła się epoka, sam nieraz osuwa się w ich efekty.

---

[8] Korekty te miały ogromne znaczenie dla twórczości i dla właściwości stylowych Balzaka. To, co oddawał za pierwszym razem do druku, to był ledwie szkic; poprawiając korektę dopisywał wyrazy, zdania, ustępy, stronice i znów oddawał do drukarni; w następnej korekcie toż samo, i tak po kilka razy. Korektę każdej stronicy oddawano mu na wielkim arkuszu papieru, który wracał zarysowany dopiskami, strzałkami, odsyłaczami we wszystkich kierunkach.

[9] „...Pracuję osiemnaście godzin na dobę. Zauważyłem błędy stylu, które szpecą «Jaszczura»; poprawiam go, aby był bez skazy, ale po dwóch miesiącach pracy, po wydrukowaniu nowego wydania, spostrzegam jeszcze setki błędów..."

„Toż samo z «Szuanami». Napisałem ich w całości na nowo, i to drugie wydanie, które ma się ukazać, ma jeszcze wiele skaz..."

„...Po trzech miesiącach pracy przerabiam «Ludwika Lambert ». Wczoraj przyjaciel, jeden z tych, którzy nie kłamią, którzy mówią nam prawdę, przyszedł do mnie i przestudiowaliśmy moje dzieło... Wykazał mi tysiąc błędów. Wieczorem, sam, płakałem z rozpaczy i wściekłości, które ogarniają, kiedy po takim ogromie pracy spotrzega się swoje błędy. – Zabieram się do roboty i za miesiąc lub dwa wypuszczę w świat «Ludwika Lambert» poprawionego..." (List do pani Hańskiej).

[10] *Nouveaux essais de critique et d'histoire.*

I z innego względu zaciążył nad Balzakiem ogrom jego zamiaru. Postanowił dać pełny obraz ludzkości, w jej światłach i cieniach; otóż o ile element „szatański" ma u niego niezrównaną siłę i plastykę, o tyle element „anielski" bywa nieraz sztucznie wydęty, ciężki i zimny. To wspólny los poetów, że obraz Piekła łacniej im jest kreślić niż obraz Nieba. Zwłaszcza „szlachetne" kobiety Balzaka są zazwyczaj chybione. Miewa on ciężką rękę, popełnia nie-delikatności. Ale z drugiej strony, czy ich źródłem nie bywa często chęć odsłonięcia sekretów, związków, przedtem leżących w zakresie rzeczy, „o których się nie mówi"? Wszak i Rousseau w swoich „Wyznaniach" drogo okupił pewne śmiałości!

Wreszcie trzeba tu wspomnieć warunki pracy, w którą mieszały się nieraz pobudki dość specjalnej natury. Oto jak Balzac tłumaczy pani Hańskiej powstanie jednej ze swych nowel:

Musisz przeklinać tego „Gaudissarta". Drukarz wziął czcionki, od których s k u r c z y ł s i ę tekst, i trzeba było, dla dopełnienia tomu, zaimprowizować to w j e d n ą n o c, moje kochanie, a to jest osiemdziesiąt stronic, jeśli łaska!

Ten pośpiech pod naporem terminów, zobowiązań, zaliczek raz po raz wyraża się we własnych zwierzeniach Balzaka. Aby wykroić tom, który ma dostarczyć, robi czasem dziwne operacje. Mocno podejrzewam, że tych kilka krwawych opowiadań, które ni z tego ni z owego spęczniły środek „Muzy z zaścianka", znalazły się tam w ten sposób, że Balzac wsunął dość bezceremonialnie jakiś materiał, który skądinąd miał w biurku, aby powiększyć ten mały, ale esencjonalny tomik do przyrzeczonych księgarzowi rozmiarów.

Zaznaczyłem parokrotnie, iż dzieło Balzaka trzeba uważać jako całość; wówczas dopiero nabiorą właściwej proporcji szczegóły. Otóż w związku z tym nasuwa się pytanie, jak czytać Balzaka, aby się rozeznać w tym lesie „Komedii ludzkiej". Faktem jest, że im więcej go ktoś czyta, tym więcej przywiązuje się do tej lektury; a kiedy dojdzie do końca, tym chętniej zaczyna go czytać na nowo, z nowym już zrozumieniem każdego szczegółu. Ważnym jest tedy, od czego zacznie, „na co trafi". Pod tym względem, jak już wspominałem, najgorsze usługi oddaje owa słynna „Kobieta trzydziestoletnia", za którą wiele osób, znęconych tytułem i rozgłosem książki, chwyta najpierw, doznając wielkiego zawodu.

Jak tedy należy czytać „Komedię ludzką" i jaką drogę obrać przy jej wydawaniu? To ostatnie zwłaszcza pytanie nie jest zbyt łatwe do rozstrzygnięcia. Poszczególne utwory „Komedii ludzkiej" pozostają do siebie w rozmaitym stosunku. Niektóre są związane najściślej, nieomal jak tomy jednej powieści; inne znowuż wiążą się tylko jedną lub kilkoma z osób działających i ogólnym duchem wspólności. Przytoczony powyżej podział na grupy nie ma dla czytelnika praktycznego znaczenia: można by go zachować, ale wtedy, gdyby się całość wydawało na raz. Porządek chronologiczny powstawania pojedynczych powieści również mijałby się z celem. Najwłaściwszym byłoby zachować porządek chronologiczny samej akcji „Komedii ludzkiej"; ale i to nie jest tak proste, gdyż nieraz akcja jednej powieści obejmuje przeciąg kilkunastu lat i styka się z kilkoma innymi tomami. Przy tym pewną ilość tomów Balzaka wydałem już poprzednio[11], i te stopniowo wejdą w to zbiorowe wydanie.

Po namyśle uznałem za najwłaściwsze wydawać pojedyncze tomy w luźnym porządku,objaśniając przy każdym tomie ścisły lub luźny stosunek wiążący go z resztą[12].

---

[11] Powieści Balzaka, które wydałem dotąd, najlepiej czytać jest w następującym porządku: „Cezar Birotteau", „Ojciec Goriot", „Dwaj poeci", „Stracone złudzenia", „Cierpienia wynalazcy", „Blaski i nędze życia kurtyzany", „Ostatnie wcielenie Vautrina". Ostatnich sześć powieści łączy się z sobą najściślej. „Kawalerskie gospodarstwo", „Córka Ewy", „Muza z zaścianka" stykają się z tamtym łańcuchem licznymi odnogami. Natomiast „Fizjologia małżeństwa" i „Małe niedole pożycia małżeńskiego", włączone przez Balzaka do „Komedii ludzkiej" jako „Studia analityczne", są napisane niejako na marginesie całości.

[12] W niniejszym wydaniu dzieł Balzaka, opartym na wydaniu francuskim L. Conarda, a opracowanym przez Marcela Bouterona i Louis Longnona, poszczególne części „Komedii ludzkiej" ukazywać się będą w porządku chronologicznym ich powstawania.

PRZEDMOWA DO „KOMEDII LUDZKIEJ”

Przełożył Tadeusz Żeleński-Boy.

Dając dziełu, podjętemu blisko przed trzynastu laty, tytuł „Komedii ludzkiej”, należy określić jego mysi, przedstawić genezę, wyłożyć pokrótce plan, starając się mówić o rzeczy tak, jakby mnie ona nie dotyczyła. Nie jest to tak trudne, jakby czytelnik mógł sobie wyobrażać. Niewielki dorobek rodzi wiele miłości własnej; wiele pracy daje nieskończenie wiele skromności. Spostrzeżenie to tłumaczy rozbiory, jakim Corneille, Molier i inni wielcy pisarze poddawali swoje własne sztuki; o ile niepodobieństwem jest dorównać ich pięknym utworom, o tyle można pragnąć być im podobnym w tym uczuciu.

Pierwszy pomysł „Komedii ludzkiej” objawił mi się zrazu niby marzenie, jak jeden z owych nieziszczalnych zamiarów, które się pieści i którym pozwala się ulecieć; chimera, która się uśmiecha, ukazuje swą kobiecą twarz i tuż potem rozwija skrzydła, wzbijając się w fantastyczne niebiosy. Ale chimera, jak wiele chimer, zmienia się w rzeczywistość; ma swoje nakazy i swoją tyranię, której trzeba ustąpić.

Pomysł ten urodził się z porównania między ludzkością a światem zwierzęcym.

Błędem byłoby mniemać, że wielki spór, który w ostatnich czasach wszczął się pomiędzy Cuvierem a Geoffroy Saint-Hilaire'em[13], wspierał się na nowej zdobyczy naukowej. J e d n o ś ć s k ł a d u zajmowała już – pod innym mianem – największe umysły dwóch poprzednich wieków. Odczytując owe tak niepospolite dzieła pisarzy mistycznych, którzy się zajmowali nauką w jej stosunku do nieskończoności, jak Swedenborg, Saint-Martin[14] etc., oraz pisma największych geniuszów nauk przyrodniczych, jak Leibnitz, Buffon, Karol Bonnet[15] etc., znajdujemy w monadach Leibnitza, w organicznych molekułach Buffona, w sile żywotnej Needhama[16], w zahaczaniu się pokrewnych części Karola Bonnet, który miał odwagę napisać w r. 1760: „Zwierzę wegetuje jak roślina”, znajdujemy, powiadam, zaczątki pięknego prawa *soi pour soi*[17], na którym polega j e d n o ś ć s k ł a d u. Istnieje tylko jedno zwierzę. Stwórca posłużył się tylko jednym modelem dla wszystkich zorganizowanych istot. Zwierzę jest zasadą, która przybiera swą zewnętrzną formę lub, aby rzec ściślej, różnice swojej formy, wedle środowiska, w którym mu jest dane się rozwijać. Gatunki zoologiczne wynikają z tych różnic. Postawienie i obrona tego systemu, zgodnego zresztą z pojęciami, które sobie tworzymy o potędze boskiej, będzie wiekuistym zaszczytem Geoffroy Saint-

---

[13] Georges C u v i e r (1769–1832) – wybitny francuski uczony, przyrodnik i paleontolog, zwolennik teorii o niezmienności gatunków biologicznych. Próbował objaśnić zmiany fauny za pomocą teorii katastrof geologicznych, którą Engels nazwał rewolucyjną w formie, a reakcyjną w treści;

Etienne G e o f f r o y S a i n t – H i l a i r e (1772–1844) – zoolog francuski, twórca postępowej na ówczesne stosunki teorii naukowej o jedności budowy organizmów zwierzęcych, zwalczanej przez Cuviera. Wspomniany przez Balzaka spór między tymi uczonymi miał miejsce w r. 1830.

[14] Emanuel S w e d e n b o r g (1688–1772) – szwedzki filozof-mistyk i pozostający pod jego wpływem francuski filozof-mistyk Louis-Claude d e S a i n t – M a r t i n (1743–1803) oddziałali na filozoficzne poglądy Balzaka, co najsilniejszy wyraz znalazło w dwu jego dziełach: „Ludwik Lambert” i „Serafita”.

[15] Gottfried Wilhelm L e i b n i t z (1646–1716)–niemiecki matematyk, fizyk i filozof-idealista, zwalczał poglądy materialistów; Georges-Louis Leclerc B u f f o n (1707–1788) – znakomity francuski przyrodnik i pisarz, autor wielotomowej „Historii naturalnej”; Charles B o n n e t (1720–1793) – szwajcarski zoolog, botanik i filozof przyrody, w swej „Kontemplacji przyrody” rozwinął teorię, o której wspomina Balzac.

[16] John Tuberville N e e d h a m (1713–1781) – angielski przyrodnik i fizyk, usiłował wykazać istnienie „niematerialnych sił” w żywym organizmie.

[17] S o i p o u r s o i (franc.) – każdy dla siebie..

Hilaire'a, zwycięzcy nad Cuvierem co do tego punktu wysokiej wiedzy, zwycięzcy, którego triumf powitał wielki Goethe ostatnim artykułem, jaki napisał.

Przeniknięty tym systemem dawno przed owymi sporami, do których dał on powód, zauważyłem, że pod tym względem społeczeństwo podobne jest do natury. Czyż społeczeństwo nie tworzy z człowieka, zależnie od środowisk, w których rozwija się jego życie, tyluż odmiennych ludzi, ile jest odmian w zoologii? Różnice między żołnierzem, robotnikiem, urzędnikiem, adwokatem, próżniakiem, uczonym, mężem stanu, kupcem, marynarzem, poetą, nędzarzem, księdzem są, mimo że trudniejsze do uchwycenia, równie znaczne jak te, które różnią od siebie wilka, lwa, osła, kruka, rekina, fokę, owcę etc. Istniały tedy, będą tedy istniały zawsze gatunki społeczne, tak jak są gatunki zoologiczne. Jeżeli Buffon stworzył wspaniałe dzieło, próbując dać w jednej książce całokształt zoologii, czyż nie można by podobnego dzieła dokonać dla społeczeństwa? Ale natura utworzyła dla odmian zwierzęcych granicę, w którym społeczeństwo się nie mieści. Kiedy Buffon odmalował lwa, kończył lwicę w kilku zdaniach, podczas gdy w społeczeństwie kobieta nie zawsze jest samicą samca. Mogą żyć w stadle dwie istoty zupełnie od siebie różne. Żona kupca jest niekiedy godna być żoną księcia, a często żona księcia nie umywa się do żony artysty. Stan społeczny miewa przypadki, na które nie pozwala sobie natura, jest on bowiem naturą *plus* społeczeństwo. Opis gatunków społecznych byłby tedy co najmniej podwójny w porównaniu z opisem gatunków zwierzęcych, gdyby zważyć tylko dwie płcie. Wreszcie, między zwierzętami mało jest dramatów, niewiele zawikłań; jedne rzucają się na drugie, oto wszystko. Ludzie też rzucają się jedni na drugich, ale ich wyższy lub niższy stopień inteligencji czyni walkę o wiele bardziej skomplikowaną. Jeżeli niektórzy uczeni nie uznają jeszcze, że zwierzęcość przelewa się w ludzkość mocą olbrzymiego strumienia życia, to pewna, iż kupiec korzenny zostaje parem Francji, szlachcic zaś spada niekiedy na najniższy szczebel społeczny. Następnie, Buffon znalazł u zwierząt życie niezmiernie proste. Zwierzę ma mało sprzętów, nie zna ani sztuk, ani rzemiosł, podczas gdy człowiek, mocą prawa, które trzeba by zbadać, dąży do wyrażania swoich obyczajów, swojej myśli i swego życia we wszystkim, co dostosowuje do swoich potrzeb. Mimo iż Leuwenhoëc, Swammerdam, Spallanzani, Réaumur[18], Karol Bonnet, Müller, Haller[19] i inni cierpliwi zoografowie wykazali, jak bardzo życie zwierząt jest interesujące, zwyczaje każdego zwierzęcia są, w naszych oczach przynajmniej, zawsze wciąż jednakie, podczas gdy zwyczaje, strój, mowa, mieszkanie księcia, bankiera, artysty, mieszczanina, księdza i nędzarza są zupełnie różne i zmieniają się z biegiem cywilizacji.

Tak więc zamierzone dzieło musiałoby mieć potrójną formę: mężczyźni, kobiety i rzeczy, to znaczy osoby i materialny wyraz, jaki dają swojej myśli; wreszcie człowiek i życie.

Czytając suche i niestrawne szeregi faktów, które nazywają się h i s t o r i ą, któż nie zauważył, że pisarze zapomnieli, w każdej epoce, w Egipcie, w Persji, w Grecji, w Rzymie, dać nam historię obyczajów. Ustęp z Petroniusza[20] tyczący się prywatnego życia Rzymian raczej podrażnia, niż zaspokaja naszą ciekawość. Spostrzegłszy tę olbrzymią lukę w dziedzinie historii, ksiądz Barthelemy poświęcił życie na odtworzenie greckich obyczajów w „Ana-charsisie”[21].

---

[18] Anton L e u w e n h o ë c (Leeuwenhoëk, 1632–1723) – anatom holenderski, przeprowadzał badania fizjologiczne, m.in. nad krążeniem krwi; Jan S w a m m e r d a m (1637–1680) – holenderski biolog i anatom, studiował też życie owadów; Lazzaro S p a l l a n z a n i (1729–1799) – włoski przyrodnik i fizjolog; René-Antoine Ferchault de R é a u m u r (1683–1757) – znakomity fizyk francuski, pozostawił też cenne prace z zakresu historii naturalnej.

[19] Otto Friedrich M ü l l e r (1730–1784) – zoolog duński; Albrecht von H a l l e r (1708–1777) – szwajcarski pisarz i przyrodnik, badacz anatomii i fizjologii człowieka.

[20] Caius P e t r o n i u s, zwany Arbiter (I w.) – rzymski polityk i pisarz z czasów Nerona, autor satyryczno-obyczajowej powieści „Satiricon”.

[21] Jean-Jacques B a r t h é l e m y (1716–1795) – erudyta i archeolog francuski, autor głośnej w swoim czasie powieści „Podróż młodego Anacharsisa do Grecji”, wydanej w r. 1788.

Ale jak uczynić zajmującym dramat o trzech lub czterech tysiącach osób, które przedstawia społeczeństwo? Jak porwać równocześnie jednocześnie poetę, filozofa oraz masy, które chcą mieć poezję i filozofię pod postacią wstrząsających obrazów? O ile pojmowałem doniosłość i poezję tej historii serca ludzkiego, nie widziałem żadnego sposobu wykonania, aż do naszych czasów bowiem najsławniejsi powieściopisarze obracali swój talent na stworzenie jednego lub dwóch typów, na odmalowanie jednej fizjonomii życia. Z tą myślą odczytałem dzieła Walter Scotta. Walter Scott, ten truwer nowoczesny, dał wówczas olbrzymi rozmach rodzajowi twórczości niesłusznie uważanemu za drugorzędny. Czyż nie jest w istocie trudniejsze robić konkurencję księgom ludności postaciami takimi, jak Dafnis i Chloe, Roland, Amadys, Panurg, Don Kiszot, Manon Lescaut, Klaryssa, Lovelas, Robinson Kruzoe, Gil Blas, Osjan, Julia d'Etanges, Wuj Tobiasz, Werter, René, Korynna, Adolf, Paweł i Wirginia, Jeanie Dean, Claverhouse, Ivanhoe, Manfred, Mignon, niż szeregować fakty mniej więcej te same u wszystkich narodów, zgłębiać ducha praw wyszłych z użycia, tworzyć teorie, które sprowadzają ludy na manowce, lub też, jak pewni metafizycy, tłumaczyć to, co jest? Przede wszystkim, prawie zawsze te osobistości, których istnienie staje się dłuższym, prawdziwszym niż istnienie pokoleń, wśród których je powołano do życia, żyją jedynie pod tym warunkiem, że są wielkim obrazem teraźniejszości. Poczęły się w trzewiach swego wieku, całe serce ludzkie drga pod ich powłoką; często kryje się w nich cała filozofia. Walter Scott podniósł tedy do filozoficznego znaczenia historii powieść, ów rodzaj literacki, który z wieku na wiek stroi w nieśmiertelne diamenty koronę poetycką krajów, gdzie kwitnie literatura. Tchnął w nią ducha dawnych czasów, skupił w niej równocześnie dramat, dialog, portret, krajobraz, opis; wprowadził w nią cudowność i prawdę, te dwa składniki epopei, poezji kazał się bratać z gwarą najpospolitszej mowy. Ale nie tyle wymyśliwszy system, ile w ogniu pracy lub też przez logikę tej pracy znalazłszy swój rodzaj, nie pomyślał o tym, aby powiązać te utwory z sobą, tak aby stworzyły zupełną historię, której każdy rozdział byłby powieścią, a każda powieść epoką. Spostrzegłszy ten brak łączności, który zresztą nie pomniejsza w niczym wielkiego Szkota, ujrzałem zarazem i system sposobny do wykonania mego dzieła, i możliwość jego wykonania. Mimo że, aby tak rzec, olśniony zdumiewającą płodnością Walter Scotta, wciąż podobnego do samego siebie, a wciąż oryginalnego, nie zwątpiłem o sobie, ponieważ ujrzałem źródło tego talentu w nieskończonej różnorodności natury ludzkiej. Traf jest największym powieściopisarzem świata: aby być płodnym, trzeba tylko go zgłębiać. Społeczeństwo francuskie miało być historykiem, ja miałem być tylko sekretarzem. Spisując inwentarz cnót i występków, skupiając główne przejawy namiętności, malując charaktery, wybierając główne wydarzenia społeczne, tworząc typy przez skupienie rysów kilku pokrewnych charakterów, miałem nadzieję, iż zdołam napisać historię zapomnianą przez tylu historyków, historię obyczajów. Przy wielkiej cierpliwości i odwadze ziściłbym, odnośnie do Francji XIX wieku, ową książkę, w której, ku naszemu żalowi, Rzym, Ateny, Tyr, Memfis, Persja, Indie nie zostawiły nam niestety pomnika swoich cywilizacji, a którą, na wzór księdza Barthélemy, wytrwały i cierpliwy Monteil[22] próbował stworzyć dla średnich wieków, ale w mniej szczęśliwej formie.

Ta praca to jeszcze było nic. Ograniczając się do tego ścisłego obrazu, pisarz mógł stać się mniej lub bardziej wiernym, mniej lub bardziej szczęśliwym, cierpliwym i śmiałym malarzem typów ludzkich, bajarzem dramatów codziennego życia, archeologiem społecznego inwentarza, nomenklatorem zawodów, protokolantem złego i dobrego; ale aby zasłużyć na pochwały, które winny być ambicją każdego artysty, czyż nie należało mi studiować przyczyn lub sensu tych obyczajów społecznych, wydobyć myśl ukrytą w tym olbrzymim skupieniu postaci, namiętności i wydarzeń? Wreszcie po owym szukaniu (nie powiadam: znalezieniu) tej przyczyny, tego motoru społecznego, czyż nie trzeba było zadumać się nad przyrodzonymi zasadami

[22] Alexis M o n t e i l (1769–1850) – autor wielotomowej historii Francji, w której próbował rozważać zdarzenia historyczne na tle ekonomicznym i społecznym.

rzeczy i zbadać, w czym społeczeństwa oddalają się lub zbliżają do wiekuistego prawidła, do prawdy, piękna? Mimo rozległości przesłanek, które mogły same przez się być dziełem, dzieło, iżby było zupełne, wymagało konkluzji. W ten sposób odmalowane, społeczeństwo miało zawierać w sobie przyczynę swego ruchu.

Prawo pisarza, to, co go czyni tym, czym jest, co – nie lękam się tego wyrzec – czyni go równym, może wyższym od męża stanu, jest to jakakolwiek decyzja w przedmiocie praw ludzkich, bezwzględna wierność zasadom. Makiawel, Hobbes, Bossuet, Leibnitz, Kant, Montesquieu[23], są nauką, którą stosują mężowie stanu. Święty Piotr i święty Paweł są to systemy wprowadzone w życie przez papiestwo. „Pisarz musi mieć stanowcze przekonania moralne i polityczne, musi się uważać za wychowawcę ludzkości; gdyż na to, aby wątpić, ludzie nie potrzebują nauczycieli" – powiedział Bonald[24]. Wcześnie przyjąłem za prawidło te wielkie słowa, które obowiązują tak samo pisarza monarchicznego, jak i demokratycznego. Toteż, jeżeli ktoś zechce przeciwstawiać mnie mnie samemu, okaże się, iż źle zrozumiał jakąś ironię lub też iż niewłaściwie obrócił przeciw mnie słowa którejś z moich osobistości; ulubiony sposób potwarców. Co do wewnętrznego znaczenia, co do duszy tego dzieła, oto zasady służące mu za podstawę.

Człowiek nie jest dobry ani zły, rodzi się z instynktami i ze zdatnościami. Społeczeństwo nie tylko go nie psuje, jak utrzymywał Rousseau, ale udoskonala go, czyni go lepszym; równocześnie jednak interes rozwija potężnie jego złe skłonności. Chrystianizm, a zwłaszcza katolicyzm, będąc, jak to powiedziałem w „Lekarzu wiejskim", skończonym systemem opanowania występnych dążeń człowieka, jest najdzielniejszym czynnikiem ładu społecznego.

Kiedy uważnie odczytamy obraz społeczeństwa, odlany, można rzec, z natury ze wszystkim swoim dobrem i złem, wynika stąd ta nauka, iż jeżeli myśl lub namiętność (która obejmuje myśl i uczucie) jest czynnikiem społecznym, jest ona zarazem i czynnikiem destrukcyjnym. Pod tym względem życie społeczne podobne jest do życia ludzkiego. Można zapewnić narodom długowieczność jedynie powściągając pęd ich żywotności. Nauczanie lub, lepiej rzekłszy, wychowanie przez zakony religijne jest tedy wielką zasadą istnienia narodów, jedynym sposobem zmniejszenia sumy zła i pomnożenia sumy dobra w każdym społeczeństwie. Myśl, tę sprężynę zła i dobra, może przygotować, poskromić, prowadzić jedynie religia. Jedyną możliwą religią jest chrystianizm. (Patrz list pisany z Paryża w „Ludwiku Lambert", gdzie młody filozof-mistyk tłumaczy, mówiąc o nauce Swedenborga, iż od początku świata istniała tylko jedna jedyna religia). Chrystianizm stworzył nowoczesne narody, on też je utrzyma. Stąd bez wątpienia konieczność zasady monarchicznej. Katolicyzm i królestwo są to dwie bliźnie zasady. Co się tyczy granic, w jakich te dwie zasady winny być ograniczone instytucjami, iżby nie mogły się rozrastać nieograniczenie, bo wszystko, co nieograniczone, jest złe, każdy rozumie, że ta tak zwięzła przedmowa nie może być traktatem politycznym. Toteż nie podobna mi wchodzić ani w spory religijne, ani w spory polityczne obecnej doby. Piszę przy blasku dwóch wiekuistych prawd: religia, monarchia, dwie rzeczy, których konieczność głoszą wypadki współczesne i do których każdy rozumny pisarz powinien starać się prowa-

[23] Thomas H o b b e s (1588–1679) – filozof angielski, przedstawiciel materializmu mechanistycznego i metafizycznego, wróg demokracji. W swej teorii państwa sławił przyszłość tworzącego się społeczeństwa burżuazyjnego, z jego bezlitosną konkurencją i przerostem indywidualizmu; Jean-Bénigne B o s s u e t (1627–1704) – biskup i kapelan królewski, słynny kaznodzieja i pisarz, teoretyk absolutyzmu; Immanuel K a n t (1724–1804) – niemiecki filozof-idealista, dualista i agnostyk, twórca niemieckiego idealizmu z końca XVIII i początku XIX w., zwalczanego przez francuski materializm XVIII wieku; Charles de Secondat de M o n t e s q u i e u (1689–1755) – wybitny francuski pisarz i filozof epoki Oświecenia.

[24] Wicehrabia Louis de B o n a l d (1754–1840) – reakcyjny pisarz francuski, ideolog okresu Restauracji, obrońca monarchii i Kościoła.

dzić nasz kraj. Nie będąc wrogiem systemu wyborczego, zasady doskonalej dla stanowienia prawa, odrzucam system wyborczy pojmowany jako j e d y n y ś r o d e k s p o ł e c z n y, a zwłaszcza tak źle zorganizowany, jak jest dzisiaj, nie reprezentuje bowiem imponujących mniejszości, o których ideach, interesach myślałby rząd monarchiczny. System wyborczy, rozciągnięty na wszystko, daje nam rząd mas, jedyny, który nie jest odpowiedzialny i w którym tyrania jest bez granic, zowie się bowiem p r a w e m. Toteż rodzina, a nie jednostka jest dla mnie prawdziwą jednostką społeczną. Pod tym względem, choćby mnie miano uważać za wstecznika, staję obok Bossueta i Bonalda, zamiast iść razem z dzisiejszymi nowatorami. Ponieważ system wyborczy stał się jedynym środkiem społecznym, przeto, w razie gdybym się uciekł do niego, nie trzeba by stąd wnioskować o najmniejszej sprzeczności pomiędzy mymi czynami a myślą. Inżynier oznajmia, że jakiś most grozi zawaleniem, że przedstawia niebezpieczeństwo dla każdego, kto się nim posługuje, a sam przechodzi po nim, o ile ten most jest jedyną drogą wiodącą do miasta. Napoleon cudownie dostosował system wyborczy do ducha naszego kraju. Toteż najskromniejsi posłowie jego ciała prawodawczego byli najsłynniejszymi mówcami Izb za restauracji. Żadna Izba nie dorównała ciału prawodawczemu, skoro je porównać miarą poszczególnych członków. System wyborczy Cesarstwa jest tedy bezspornie najlepszym.

Niektórym wyda się może to oświadczenie pychą i pozą. Będą się prawowali z powieściopisarzem o to, że chce być historykiem, będą żądali, by się tłumaczył ze swej polityki. Dopełniam tu obowiązku, oto cała odpowiedź. Dzieło, które podjąłem, będzie długie jak historia, winien byłem podać jego sens, jeszcze ukryty, jego zasady i morał.

Zmuszony usunąć przedmowy ogłaszane swego czasu w odpowiedzi na krytyki na wskroś przemijające, pragnę zachować z nich jedno tylko spostrzeżenie.

Pisarze mający jakiś cel, choćby to był powrót do zasad, które znajdują się w przeszłości przez to samo, że są wieczne, muszą zawsze oczyszczać grunt. Otóż, ktokolwiek przynosi swoją cegiełkę w dziedzinę myśli, ktokolwiek wskazuje nadużycie, ktokolwiek piętnuje zło, iżby je wyświecono, ten uchodzi zawsze za człowieka niemoralnego. Zarzut niemoralności, który nigdy nie minął śmiałego pisarza, jest zresztą ostatnim, który można postawić, kiedy się nie ma już nic do powiedzenia jakiemuś poecie. Jeżeli jesteś prawdziwy w swoich obrazach; jeżeli, dzięki wytężonej pracy dni i nocy, doszedłeś do opanowania języka najtrudniejszego na świecie, wówczas rzucają ci w twarz słowo: n i e m o r a l n y. Sokrates był niemoralny, Chrystus był niemoralny; obu ścigano w imię społeczeństw, które zwalali lub przeobrażali. Kiedy się chce kogoś ubić, zarzuca mu się niemoralność. Sztuczka ta, zwyczajna ludziom partii, jest hańbą wszystkich tych, którzy jej używają. Luter i Kalwin wiedzieli dobrze, co czynią posługując się niby tarczą rozjątrzonymi interesami materialnymi! Toteż pomarli naturalną śmiercią.

Kiedy się maluje całkowite społeczeństwo, kiedy się je ujmuje w bezmiarze jego falowań, zdarza się, musiało się zdarzyć, że dana kompozycja ujawnia więcej zła niż dobra, że dana część fresku przedstawia grupę występną: dalejże krytyka krzyczeć na niemoralność, nie zwracając uwagi na moralność jakiejś innej części, przeznaczonej na to, aby stanowiła doskonały kontrast. Ponieważ krytyka nie znała ogólnego planu, przebaczałem jej tym łatwiej, ile że tak samo nie można przeszkodzić krytyce, jak nie można przeszkodzić funkcjonowaniu wzroku, mowy i rozumu. Przy tym czas bezstronności jeszcze dla mnie nie nadszedł. Zresztą autor, który nie umie się pogodzić z tym, że mu przyjdzie spotkać się z ogniem krytyki, nie powinien brać się do pisania, tak samo jak podróżny, puszczający się w drogę, nie powinien liczyć na niebo ciągle pogodne. Pod tym względem pozostaje mi zauważyć, że najsumienniejsi moraliści mocno wątpią, aby społeczeństwo mogło nastręczyć tyleż dobrych, co złych uczynków; w obrazie zaś, który ja zeń zdjąłem, więcej jest osób cnotliwych niż obrazów nagannych. Czyny godne nagany, błędy, zbrodnie, od najlżejszych aż do najcięższych, zawsze spotykają się z karą ludzką lub boską, jawną lub tajemną. Poszedłem dalej od historyka, mia-

łem większą swobodę. Kromwel nie doznał tu na ziemi innej kary niż ta, którą mu nałożył myśliciel. A i to była rzecz sporna między różnymi szkołami. Sam Bossuet oszczędził tego wielkiego królobójcę. Wilhelm Orański, uzurpator, Hugo Kapet, ten drugi uzurpator, umierają syci lat, nie zaznawszy więcej trosk i obawy niż taki Henryk IV lub Karol I. Życie Katarzyny II i życie Ludwika XIV stanowiłyby dowód przeciw wszelkiej moralności, gdyby je sądzić z punktu widzenia moralności osób prywatnych; dla królów bowiem, dla mężów stanu istnieje, jak mówił Napoleon, mała i wielka moralność. „Sceny z życia politycznego" wspierają się na tej głębokiej refleksji. Dla historii nie jest prawem, jak dla powieści, dążenie do idealnego piękna. Historia jest, lub powinna być, tym, czym była; podczas gdy p o w i e ś ć p o w i n n a b y ć ś w i a t e m l e p s z y m, mówiła pani Necker[25], jeden z najwytworniejszych umysłów minionego wieku. Ale powieść nie byłaby niczym, gdyby, w tym wzniosłym kłamstwie, nie była prawdziwa w szczegółach. Zmuszony stosować się do pojęć kraju na wskroś obłudnego, Walter Scott był fałszywy, z punktu widzenia ludzkości, w obrazie kobiety, ponieważ wzorów dostarczyły mu szyzmatyczki. Kobieta protestancka nie ma ideału. Może być skromna, czysta, cnotliwa, ale miłość jej, niezdolna do uniesień, będzie zawsze spokojna i stateczna jak spełniony obowiązek. Można by mniemać, iż Maria-dziewica wyziębiła serce sofistów, którzy ją wygnali z nieba, ją i jej skarby miłosierdzia. W protestantyzmie nie istnieje dla kobiety po upadku żadna możliwość, gdy w Kościele katolickim nadzieja przebaczenia czyni ją wzniosłą. Toteż dla pisarza protestanckiego istnieje tylko jedna kobieta, gdy pisarz katolicki znajduje nową kobietę w każdej nowej sytuacji. Gdyby Walter Scott był katolikiem, gdyby był sobie wziął za zadanie prawdziwy opis rozmaitych społeczeństw, które następowały po sobie w Szkocji, ów malarz Effie i Alicji (dwóch postaci, które sobie wyrzucał w podeszłym wieku) byłby może wcielił namiętności z ich błędami i karami, z cnotami, które wskazuje im skrucha. Namiętność to cała ludzkość. Bez niej religia, powieść, sztuka byłyby bezużyteczne.

Widząc, iż gromadzę tyle faktów i maluję je tak, jak są, czyniąc ich sprężyną namiętność, niektórzy wyobrażali sobie, zupełnie mylnie, że ja należę do szkoły sensualistycznej i materialistycznej, dwóch stron tego samego faktu, panteizmu. Ale uznaję, iż mogli, iż musieli się omylić. Nie podzielam wiary w nieskończony postęp, co się tyczy społeczeństw; wierzę w postęp człowieka odnośnie do niego samego. Ci, którzy chcą dojrzeć we mnie skłonności uważania człowieka jako istoty skończonej, mylą się bardzo. „Serafita", ta wcielona nauka chrześcijańskiego Buddy, wydaje mi się dostateczną odpowiedzią na to dość lekkomyślne oskarżenie wytoczone na innym miejscu.

W pewnych fragmentach tego długiego dzieła próbowałem popularyzować zdumiewające fakty, mogę rzec: cudy elektryczności, która się przeobraża w człowieku w nieobliczalną potęgę; ale w czym mózgowe i nerwowe zjawiska, wykazujące istnienie nowego świata moralnego, zakłócają pewne i konieczne stosunki między światami a Bogiem? W czym miałyby zachwiać dogmatami katolickimi? Jeżeli, na mocy niezaprzeczonych faktów, myśl znajdzie się kiedyś w liczbie fluidów, które przejawiają się jedynie w swoich skutkach, a których istota umyka się naszym zmysłom, nawet spotęgowanym za pomocą tylu mechanicznych środków, będzie to tylko to samo, co było z kulistością ziemi, spostrzeżoną przez Krzysztofa Kolumba, lub jej obrotem, wykazanym przez Galileusza. Nasza przyszłość zostanie ta sama. Magnetyzm zwierzęcy, z którego cudami oswoiłem się od r. 1820, piękne badania Galla, spadkobiercy Lavatera[26], wszyscy ci, którzy, od pięćdziesięciu lat, obrabiali myśl, tak jak optycy

[25] Suzanne N e c k e r (1739–1794) – znana z inteligencji, dowcipu i dobroczynności żona finansisty i ministra Jacques Neckera, matka wybitnej pisarki pani de Staël, była zdolną autorką i w salonie swym gromadziła wiele ówczesnych znakomitości.

[26] Franz Joseph G a l l (1758–1828) – lekarz niemiecki, od r. 1807 zamieszkały w Paryżu, i Johann Kaspar L a v a t e r (1741–1801) – teolog i filozof szwajcarski, byli twórcami pseudonaukowych teorii frenologii i fizjonomiki, w których usiłowali ustalić związki między rysami człowieka i kształtem jego czaszki a jego charakterem.

obrabiali światło, dwie rzeczy mające tyle powinowactw, przemawiają na korzyść i mistyków, owych uczniów apostoła świętego Jana, i na korzyść wszystkich wielkich myślicieli, którzy zbudowali świat duchowy, tę sferę, w której odsłaniają się stosunki między człowiekiem a Bogiem.

Kto wniknie dobrze w sens tego tworu, ujrzy, iż faktom stałym, codziennym, tajemnym lub jawnym, aktom życia indywidualnego, ich przyczynom i zasadom użyczam tyleż wagi, ile jej dotąd przywiązywali historycy do wydarzeń publicznego życia narodów. Nieznana bitwa, która się rozgrywa w dolinie Indre między panią de Mortsauf a namiętnością, jest może równie wielka co najsłynniejsza ze znanych bitw („Lilia w dolinie"). W tej idzie o sławę zdobywcy; w tamtej chodzi o niebo. Niedole braci Birotteau, księdza i kupca perfum, są dla mnie niedolami ludzkości. Grabarka („Lekarz wiejski") i pani Graslin („Proboszcz wiejski") są prawie całą kobietą. Codziennie cierpimy w ten sposób. Musiałem sto razy zrobić to, co Richardson[27] zrobił tylko raz. Lowelas ma tysiąc postaci, ponieważ zepsucie społeczne przybiera barwę wszystkich środowisk, w których się rozwija. Przeciwnie, Klaryssa, ten piękny obraz cnoty doświadczonej namiętnością, ma linie, których czystość prowadzi do rozpaczy. Aby stworzyć wiele Dziewic, trzeba być Rafaelem. Literatura znajduje się może pod tym względem poniżej malarstwa. Toteż wolno mi może zauważyć, ile postaci nienagannych (jako cnota) znajduje się w dotąd ogłoszonych częściach tego dzieła: Piotrusia Lorrain, Urszula Mirouët, Konstancja Birotteau, Grabarka, Eugenia Grandet, Małgorzata Claës, Paulina de Villenoix, pani Juliuszowa Desmarets, pani de La Chanterie, Ewa Chardon, panna d'Esgrignon, pani Firmiani, Agata Rouget, Renata de Maucombe; ile wreszcie postaci drugoplanowych, które, mimo iż mniej wydatne, niemniej ukazują czytelnikowi wzory cnót domowych. Józef Lebas, Genestas, Bénassis, ksiądz Bonnet, lekarz Minoret, Pillerault, Dawid Séchard, dwaj Birotteau, proboszcz Chaperon, sędzia Popinot, Bourgeat, Sauviatowie, Tascheronowie i tylu innych, czyż nie rozwiązują trudnego problemu literackiego, polegającego na tym, aby cnotliwą osobistość uczynić zajmującą?

Nie było to małe zadanie odmalować dwa lub trzy tysiące znamiennych figur epoki; taka bowiem jest w rezultacie suma typów, które przedstawia każde pokolenie i które będzie zawierała „Komedia ludzka". Ta ilość postaci, charakterów, ta mnogość istnień wymagały ram i – darujcie mi to wyrażenie – galerii. Stąd te tak naturalne i znane już podziały na „Sceny z życia prywatnego, prowincji, paryskiego, politycznego, wojskowego i wiejskiego". W tych sześciu księgach mieszczą się wszystkie „Studia obyczajowe", które tworzą historię powszechną społeczeństwa, zbiór wszystkich jego dzieł i spraw, jakby powiedzieli nasi przodkowie. Tych sześć ksiąg odpowiada zresztą ogólnym ideom. Każda z nich ma swój sens, swoje znaczenie i streszcza jedną epokę życia ludzkiego. Powtórzy tu, ale w krótkości, to, co napisał, zapoznawszy się z moim planem, Feliks Davin[28], młody talent, wydarty literaturze przedwczesnym zgonem. „Sceny z życia prywatnego" przedstawiają dziecięctwo, młodość i ich błędy, tak jak „Sceny z życia prowincji" przedstawiają wiek namiętności, rachuby interesów i ambicji. Następnie, „Sceny z życia paryskiego" dają obraz nałogów, przywar i wszystkich szaleństw zwyczajnych obyczajom stolicy, gdzie spotyka się równocześnie szczyty dobrego i złego. Każda z tych trzech części ma swoją barwę lokalną: Paryż i prowincja, ta antyteza społeczna, dały tutaj swój olbrzymi zasób kontrastów. Nie tylko ludzie, ale i główne wydarzenia życia wyrażają się w typach. Istnieją sytuacje, które się powtarzają we wszystkich istnieniach, typowe fazy, i to jest jedna ze ścisłości, o którą najbardziej się starałem. Starałem się dać pojęcie o rozmaitych okolicach naszego pięknego kraju. Dzieło moje ma swoją geografię, jak i swoją genealogię i swoje rodziny, swoje miejscowości i sprzęty, swoje osoby i

[27] Samuel R i c h a r d s o n (1689–1761) – jeden z twórców nowoczesnej powieści angielskiej, autor „Klaryssy Harlowe".

[28] Felix D a v i n (1807–1836) – dziennikarz i krytyk, autor kilku powieści, przyjaciel Balzaka.

fakty; tak jak ma swój herbarz, swoją szlachtę i mieszczaństwo, swoich rękodzielników i chłopów, swoich polityków i dandysów, swoją armię, słowem: cały swój świat.

Odmalowawszy w tych trzech księgach życie społeczne, pozostawało ukazać wyjątkowe istnienia, streszczające interesy wielu lub wszystkich, znajdujące się poniekąd poza powszechnym prawem: stąd „ Sceny z życia politycznego". Dopełniwszy i dokończywszy tego rozległego obrazu społeczeństwa, czyż nie trzeba było pokazać go w jego stanie najbardziej burzliwym, kiedy wylewa się poza swoje brzegi, czy to dla obrony, czy dla podboju? Stąd „Sceny z życia wojskowego", jeszcze najmniej kompletna część mego dzieła, na którą wszakże zostawię miejsce w tym wydaniu, iżby weszła w nie, skoro je ukończę. Wreszcie „Sceny z życia wiejskiego" są poniekąd wieczorem tego długiego dnia, jeżeli wolno mi tak nazwać dramat społeczny. W tej księdze znajdą się najczystsze charaktery, wcielenie wielkich zasad ładu, polityki, moralności.

Oto jest podstawa pełna figur, pełna komedyj i tragedyj, na której wznoszą się „Studia filozoficzne", druga część dzieła. W nich wykazuję przyczynę społeczną wszystkich zjawisk; odmalowuję kolejno spustoszenia myśli. Pierwszy z tych utworów, „Jaszczur", łączy poniekąd „Studia obyczajowe" ze „Studiami filozoficznymi" ogniwem fantazji niemal wschodniej, gdzie odmalowane jest samo Życie w jego zmaganiu z Pragnieniem, istotą wszelkiej Namiętności.

Powyżej znajdą się „Studia analityczne", o których nie powiem nic, ponieważ ogłosiłem z nich tylko jedno, „Fizjologię małżeństwa".

W niedługim czasie mam zamiar dać dwa dzieła w tym rodzaju. Najpierw „Patologię życia społecznego", następnie „Anatomię ciał nauczających" i „Monografię cnoty".

Widząc, ile mi zostało do zrobienia, może powie ktoś o mnie to, co powiedzieli wydawcy: „Niech mu Bóg udzieli życia!" Pragnę jedynie, abym nie był tak nękany przez ludzi i okoliczności, jak to się dzieje od czasu, gdy podjąłem tę przerażającą pracę. Miałem to szczęście, i dzięki za to składam Bogu, że największe talenty tej epoki, najpiękniejsze charaktery, że szczerzy przyjaciele, równie wielcy w życiu prywatnym, jak tamci w życiu publicznym, ściskali mi rękę i mówili; „Odwagi!" I czemuż nie miałbym wyznać, że te sympatie, że objawy przyjaźni dawane mi od czasu do czasu przez nieznajomych, podtrzymywały mnie w tej drodze, i przeciw samemu sobie, i przeciw niesłusznym napaściom, przeciw potwarzy, która mnie tak często ścigała, przeciw zniechęceniu i przeciw tej zbyt gorączkowej nadziei, której wyraz poczytywany bywa za dowód nadmiernej miłości własnej? Postanowiłem przeciwstawić stoiczną obojętność napaściom i zniewagom; dwukrotnie jednak nikczemne potwarze zmusiły mnie do obrony. Jeżeli wyznawcy przebaczenia zniewag ubolewają, że pokazałem mą sprawność w szermierce pióra, wielu chrześcijan jest zdania, iż żyjemy w czasach, gdzie dobrze jest pokazać, że milczenie nasze mieści w sobie pewną wspaniałomyślność.

W związku z tym przedmiotem trzeba mi zauważyć, że uznaję za swoje dzieła jedynie te, które noszą mój podpis. Poza „Komedią ludzką" mego pióra są jedynie: „Sto uciesznych opowiastek", dwie sztuki teatralne i pojedyncze artykuły, które są zresztą podpisane. Posługuję się tu bezspornym prawem. Ale to zaparcie się, gdyby nawet tyczyło utworów, w których współpracowałem, podyktowane jest nie tyle miłością własną, ile prawdą. Gdyby mi nadal uparcie przypisywano książki, których, mówiąc literacko, nie uznaję za swoje, ale których własność mi powierzono, pominąłbym to milczeniem dla tej samej przyczyny, dla której zostawiam wolne pole potwarzy.

Ogrom planu, który obejmuje równocześnie historię i krytykę społeczeństwa, analizę jego cierpień i dyskusję jego podstaw, uprawnia mnie do dania memu dziełu tytułu, pod którym ukazuje się dziś: „Komedia ludzka". Czy tytuł ten jest ambitny? czy tylko sprawiedliwy? To, po ukończeniu dzieła, osądzi publiczność.

H. DE BALZAC

Paryż, w lipcu r. 1842

DOM
POD KOTEM Z RAKIETKĄ

Przełożył
JULIAN ROGOZIŃSKI

DEDYKOWANE
PANNIE MARII DE MONTHEAU

W połowie ulicy Świętego Dionizego, niemal na rogu ulicy Pod Lewkiem, stał do niedawna jeden z owych szacownych domów, dzięki którym historycy, posługując się zasadą analogii, mogą z łatwością zrekonstruować dawny Paryż. Ściany tej rudery, grożące zawaleniem, były jakby upstrzone hieroglifami. Jakież bowiem inne miano nadałby spacerowicz owym literom X i V, kreślonym na fasadzie przez belki, biegnące poprzecznie lub ukosem, a zarysowujące się wśród tynku wąskimi, równoległymi pęknięciami? Oczywiście, każdy z tych bali chwierutał się w spojeniach, jeśli przejeżdżał choćby najlżejszy powozik. Ową czcigodną budowlę wieńczył dach spiczasty, w rodzaju tych, jakich w Paryżu niedługo nigdzie już nie zobaczycie. Dach ten, pogięty skutkiem zmienności paryskiego klimatu, wystawał ponad ulicą na szerokość trzech stóp, zarówno dlatego, by chronić próg domu przed wodą deszczową, jak i osłaniać ściany strychu i jego okienko, nie zaopatrzone w colbant. Najwyższe piętro sklecono (rzecz jasna, by nie przeciążać wątłego budynku) z pozbijanych łat, ułożonych niby dachówki, tak aby jedna zachodziła na drugą.

W słotny marcowy poranek jakiś młodzieniec, otuliwszy się starannie płaszczem, schronił się pod daszek sklepiku naprzeciw owego starego domostwa i przypatrywał mu się z entuzjazmem archeologa. Bo i prawda, że ów zabytek po mieszczaństwie szesnastego stulecia nastręczał obserwatorowi niejeden problem do rozwiązania. Na każdym piętrze jakaś osobliwość: na pierwszym cztery okna, wysokie, wąskie, przebite bardzo blisko siebie, miały w dolnej części zamiast szyb kwadratowe deszczułki, dzięki czemu dawały przyćmione światło, w którym sprytny kupiec prezentuje swoje tkaniny darząc je takim odcieniem, jakiego życzą sobie klienci. Ale oko młodzieńca nie zatrzymało się tam jeszcze, zdawał się całkowicie gardzić tą najważniejszą częścią domu. Nie więcej ciekawiły go okna drugiego piętra, w których poprzez wielkie lustrzane szyby widać było zazdrostki z czerwonawego muślinu, żaluzje bowiem już podniesiono. Uwagę skupił na skromnych oknach trzeciego piętra, których futryny wykonano tak prymitywnie, że zasługiwały na miejsce w Muzeum Sztuk i Rzemiosła, gdzie świadczyłyby o pierwszych wysiłkach stolarki francuskiej. Szybki w tych oknach były tak zielone, iż gdyby nie wzrok wyborny, młodzieniec nie zdołałby dostrzec płóciennych zasłon w niebieską kratę, co przed oczyma obcego kryły tajemnicę tego mieszkania. Czasami nasz obserwator, znudzony bezowocną kontemplacją czy też ciszą, która spowijała zarówno dom, jak i całą dzielnicę, opuszczał wzrok ku niższym rejonom. Uśmiech mimowolny zaigrał mu na wargach, gdy znów spojrzał na sklep – bo rzeczywiście było to zbiorowisko przedmiotów dość pociesznych. Olbrzymią krokiew, spoczywającą na czterech filarach, które uginały się jakby pod ciężarem tego odrapanego domostwa, tyle razy już malowano na różne barwy, iż przezierały one warstwami, niby róż na policzku wiekowej księżnej. Pośrodku owej szerokiej belki, delikatnie rzeźbionej, widniał pradawny obraz, który przedstawiał kota grającego w piłkę. Płótno to przyprawiało młodzieńca o wesołość. Ale powiedzieć trzeba, iż najdowcipniejszy ze współczesnych malarzy nie wpadłby na koncept równie zabawny. Zwierzę trzymało w przednich łapach rakietkę tychże co i ono rozmiarów, a stojąc na tylnych łapach celowało w ogromną piłkę, którą odbił szlachcic w haftowanym surducie. Rysunek, kolory, szczegóły, wszystko było potraktowane tak, jakby artysta chciał zakpić i z kupca, i z przechodniów. Czas, podniszczywszy to naiwne malowidło, uczynił je jeszcze bardziej groteskowym, zacierając i zmieniając niektóre jego partie – co musiało niepokoić uważnych spacerowiczów. Owóż nakrapiany ogon kota rozdwoił się w taki sposób, iż mógł uchodzić za widza – dowód, jakie grube, długie i puszyste ogony miały koty naszych pradziadów. Na prawo od obrazu, na lazurowym tle, które nie zdołało zamaskować spróchniałego drewna, przechodnie mogli odczytać:

GUILLAUME

A na lewo –

SUKCESSOR IMĆ CHEVRELA

Słońce i deszcz nadżarły potężnie skąpą pozłótkę liter owego napisu, gdzie U zastępowało V i na odwrót, wedle prawideł naszej dawnej ortografii. Aby ukrócić pychę ludzi, co mniemają, że świat mądrzeje z dniem każdym i że teraźniejszy szarlatanizm przenosi wszystko, zaznaczyć tu wypada, iż owe szyldy, których etymologia może wydać się dziwaczną niejednemu z negocjantów paryskich, są dziś martwymi obrazami obrazów żyjących, jakimi nasi szczwani przodkowie z powodzeniem ściągali klienta do swojej firmy. Tak to „Maciora przy Kołowrotku" czy „Małpa Zielona" były zwierzętami zamkniętymi w klatce, zwierzętami, których zręczność dziwowała niepomiernie przechodniów, a tresura świadczyła o cierpliwości piętnastowiecznego przemysłowca. Podobne osobliwości bogaciły łacniej szczęśliwego właściciela niźli owe „Opatrzności", „Łaski Boże", „Uczciwości", „Ścięcia świętego Jana Chrzciciela", jakie widujemy jeszcze na ulicy Świętego Dionizego.

Nieznajomy nie po to z pewnością tutaj wystawał, żeby zachwycać się opisanym kotem – wystarczyła chwila uwagi, by utkwił mu w pamięci. W owym młodzieńcu też niejedno mogło się wydać osobliwym. Spod płaszcza, udrapowanego na kształt antycznej togi, widać było wykwintne czółenka, tym bardziej pośród paryskiego błota zwracające uwagę, iż miał na sobie białe jedwabne pończochy, z lekka ochlapane: szedł widać z niecierpliwością. Wracał oczywiście z hulanki albo z balu, o tej bowiem porannej godzinie trzymał w ręce białe rękawiczki, a czarne rozfryzowane loki, opadające w nieładzie na ramiona, wskazywały, iż czesał się *á la* Karakalla[29] – ową koafiurę wprowadziła w modę zarówno szkoła Davida[30], jak i przesadne uwielbienie dla wzorów rzymskich i greckich, jakie cechowało pierwsze lata naszego stulecia. Chociaż wózki spóźnionych badylarzy pędziły turkocząc do Hali Głównej, na tej ulicy, jakże ruchliwej, panował obecnie spokój, którego magię zna tylko ten, kto błądził po wyludnionym Paryżu w owych godzinach, kiedy gwar i zgiełk, ucichłszy na moment, odradzają się i dolatują z oddali niby potężny szum morza. Dziwaczny młodzieniec musiał tak samo ciekawić kupców spod „Kota z Rakietką", jak jego ciekawił ów kot. Olśniewająca biel halsztuka czyniła nerwową twarz nieznajomego jeszcze bledszą, niż była w rzeczywistości. Ogień czarnych oczu, to przyćmiony, to znów iskrzący, pasował, by tak rzec, do tej twarzy o zarysie oryginalnym i szerokich, wygiętych ustach, które ściągały się w uśmiechu. Czoło, zmarszczone widać na skutek gwałtownego niezadowolenia, cechował jakiś fatalizm. Czyż nie wróżymy najłacniej o losie człowieka z jego czoła? Owóż czoło nieznajomego odzwierciedlało namiętność, a zmarszczki tworzące się na nim budziły coś na kształt lęku, z taką zaznaczały się mocą; ale kiedy odzyskiwał spokój, jakże łatwy do zamącenia, czoło jego tchnęło przemożnym wdziękiem, który czynił pociągającą tę fizjonomię, gdzie radość, ból, miłość, gniew, pogarda wybuchały udzielając się tak bezpośrednio, iż najozięblejszy z ludzi nie mógł pozostać na nie obojętnym. Nasz nieznajomy irytował się już na dobre, gdy raptem otwarło się okienko poddasza; nie dostrzegł, jak ukazały się w nim trzy twarze wesołe, okrąglutkie, białe i rumiane, lecz pospolite niczym u figur wyobrażających na niektórych pomnikach Handel. Obramowane okienkiem, przypominały pyzate liczka aniołków rozsianych po chmurach, a towarzyszących Ojcu Przedwiecznemu. Subiekci jęli wdychać uliczne wyziewy z chciwością, która świadczyła, jak smrodliwie i gorąco było u nich na stryszku. Wypatrzywszy osobliwego wartownika, subiekt o wyglądzie najbardziej jowialnym znikł i wrócił niosąc narzędzie, w którym twardy metal zastąpiono od niedawna miękką skórą; zaczem, przyglądając się złośliwie gapiowi, zrosili go deszczem białawym i drobnym, którego zapach wskazywał, że wszyscy trzej ogolili się właśnie. Uskoczywszy w głąb izdebki, subiekci wspięli się na palce, aby radować się złością ofiary, ale przestali się śmiać, widząc, z jakim niefrasobliwym lekceważeniem nieznajomy otrząsnął płaszcz i jaka głęboka wzgarda odmalowała się na jego twarzy, kiedy skierował wzrok na opustoszałe okienko. W tej chwili biała i delikatna rączka pod-

[29] Á l a K a r a k a l l a – fryzura wzorowana na antycznym popiersiu cesarza rzymskiego Karakalli.

[30] Jacques-Louis D a v i d (1748–1825) – wybitny malarz francuski, twórca klasycyzmu w malarstwie.

niosła do góry, ku poprzeczce, dolną część jednego z prymitywnych okien trzeciego piętra – rama takiego okna jest ruchoma dzięki żłobkowaniem futryny, a podniesiona trzyma się na zakrętce, która często zawodzi, i wtedy ciężkie okno opada. Długie wyczekiwanie zostało nagrodzone przechodniowi. Twarzyczka dziewczęca, świeża niby kielich białego kwiatu, co rozwija się w wodzie, wychyliła się uwieńczona muślinową falbanką, która nadawała tej główce wyraz uroczej niewinności. Szyja i ramiona dziewczęcia, choć okryte brunatną materią, ukazywały się w lekkich rozchyleniach, bowiem, zaspana jeszcze, nie zdążyła się ogarnąć. Żadna sztuczność nie kaziła ani tego naiwnego lica, ani spokojnych oczu unieśmiertelnionych już od dawna w prześlicznych obrazach Rafaela: cechował ją ten sam wdzięk i ta sama pogoda, co i owe Madonny, które stały się przysłowiowymi. Istniał czarujący kontrast między świeżością tych policzków, na których sen uwydatnił jakby wspaniałą żywotność, a starym oknem, masywnym, prymitywnie wykonanym, o sczerniałym parapecie. Podobna do powoju, co rano nie zdążył jeszcze rozwinąć tuniki stulonej nocnym chłodem, dziewczyna, zbudzona zaledwie, błądziła niebieskimi oczyma po sąsiednich dachach, a potem spojrzała w niebo; następnie, jak gdyby z przyzwyczajenia, opuściła je ku mrocznym rejonom ulicy – a wtedy oczy panienki spotkały się z oczami jej adoratora. Cierpiąc zapewne w swojej zalotności, że pokazała się w dezabilu, cofnęła się czym prędzej; obróciła się obluzowana zakrętka, okno opadło z ową szybkością, która za naszych dni ściągnęła na ten niewinny wynalazek pradziadów ohydne miano[31], a zjawisko pierzchło. Młodzieńcowi zaś wydało się, że najświetniejszą spomiędzy gwiazd porannych zasłoniła nagle chmura.

W toku tych drobnych wypadków ciężkie okiennice, broniące od wewnątrz oszklonych a słabych drzwi sklepu pod „Kotem z Rakietką", znikły jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Sługa, zapewne rówieśnik szyldu, wciągnął do wewnątrz i złożył stare drzwi z kołatką i drżącą ręką przyczepił do futryny kwadratowy kawał sukna, na którym był wyhaftowany żółtym jedwabiem napis: *Guillaume, sukcessor Chevrela.* Nie każdy przechodzień odgadłby łacno, jakim rodzajem handlu trudnił się pan Guillaume. Poprzez grube żelazne kraty, chroniące jego sklep od zewnątrz, dostrzegało się z trudnością pakiety owinięte w brunatne płótno, a liczne niby śledzie, gdy odbywają wędrówkę oceanem. Prostota tej gotyckiej fasady była tylko pozorna: wśród sukienników Paryża pan Guillaume miał zawsze magazyny najlepiej zaopatrzone, utrzymywał najszersze stosunki handlowe, a na jego uczciwość kupiecką nigdy nie padł cień żaden. Jeśli któryś z jego kolegów ubijał interes z rządem nie mając dostatecznej ilości koniecznego po temu sukna, pan Guillaume zawsze był gotów je dostarczyć, bez względu na wysokość zapotrzebowania. Chytry kupiec znał setki sposobów, dzięki którym ciągnął maksymalne zyski, nie będąc, jak inni, zmuszonym biegać do protektorów, płaszczyć się przed nimi albo składać im kosztowne prezenty. Jeśli któryś z kolegów mógł zapłacić mu tylko wybornymi wekslami o przydługich terminach, odsyłał go do swojego rejenta, jako do człeka zgodliwego, że zaś i przy takim ogniu umiał upiec dwie pieczenie, kupcy z ulicy Świętego Dionizego mawiali o tym fortelu naszego sukiennika, a stało się to przysłowiem: – Niech cię Bóg strzeże przed rejentem pana Guillaume! – Oznaczało to uciążliwy eskont. Stary kupiec wyrósł jakby cudem w drzwiach sklepu, kiedy zniknął sługa. Pan Guillaume rozejrzał się po ulicy Świętego Dionizego i sąsiednich sklepach, a następnie popatrzył w niebo zastanawiając się nad pogodą, jakby przed chwilą wylądował w Hawrze i znów oglądał Francję po długiej podróży. Stwierdziwszy, iż nic nie zmieniło się w czasie jego snu, dostrzegł strażującego przechodnia, który ze swej strony obserwował patriarchę sukiennictwa z taką samą na pewno uwagą, z jaką Humboldt[32] w Ameryce przyglądał się po raz pierwszy drętwie. Pan Guillaume miał na sobie obszerne pluderki z czarnego aksamitu, pstrokate pończochy i trzewiki z kwadratowymi nosami, zaopatrzone w srebrne klamry. Frak o połach

[31] O h y d n e m i a n o – opisane przez Balzaka okno nazywa się po francusku: la fenêtre à guillotine**,** tzn. okno gilotynowe.

[32] Alexander von H u m b o l d t (1769–1859) – przyrodnik i podróżnik niemiecki.

ściętych pod kątem prostym i ściętym ogonie, a kołnierzu podniesionym wysoko, spowijał jego postać, nieco przygarbioną, w sukno zielonawe, ozdobione posrebrzanymi guzami, zżółkłymi już od starości. Włosy miał siwe, na żółtawym ciemieniu ulizane i wyczesane tak dokładnie, że przypominały pole całe w równiutkich skibach. Oczka zielone, jakby wywiercone świderkiem, iskrzyły się pod różowawymi plamami, które zastępowały brwi. Troska wyryła mu na czole poziome zmarszczki, liczne jak i zmarszczki fraka. Na tej bladej twarzy malowała się cierpliwość, mądrość kupiecka i pewien rodzaj zachłanności, nieodzownej w interesach. Podówczas widywało się częściej niż dziś owe stare rody, zachowujące, niby szacowną tradycję, obyczaje i ubiór charakterystyczny dla danej profesji, rody pozostałe wśród nowej cywilizacji niby szczątki przedpotopowych zwierząt, które Cuvier odnalazł w kamieniołomach. Ojciec rodu Guillaume zaliczał się do znakomitych strażników dawnego obyczaju: przyłapywano go, jak obżałowywał godność prewota kupców, rozprawiając zaś o orzeczeniach trybunału handlowego nazywał je zawsze w y r o k a m i k o n s u l ó w. Wstał pierwszy w całym domu, gdyż tak oczywiście nakazywały wspomniane obyczaje, a teraz czekał, srogi, na trzech swoich subiektów, ażeby złajać ich w wypadku spóźnienia. Owi trzej młodzi uczniowie Merkurego przed niczym tak nie drżeli jak przed milczącą energią, z jaką pryncypał badał w poniedziałek rano ich twarze i ruchy, szukając śladów czy dowodów hulanki. Ale w tym momencie stary sukiennik nie zwracał najmniejszej uwagi na swoich dyscypułów, usiłował bowiem dociec, jakimi powodowany zamiarami młodzieniec w jedwabnych pończochach i w płaszczu to przygląda się szyldowi, to znów zapuszcza wzrok w głębokości sklepu. Wypogadzało się prześlicznie, można więc było dostrzec okratowany kantor o ścianach zawieszonych zasłonami ze starego zielonego jedwabiu; spoczywały tam olbrzymie księgi, nieme wyrocznie firmy. Nazbyt ciekawy młodzieniec zdawał się pożądliwie spoglądać na to niewielkie lokum, sporządzał jakby plan jadalni mieszczącej się obok sklepu, oświetlonej z góry szybą w suficie, jadalni, skąd rodzina, zgromadziwszy się przy posiłkach, mogła łatwo dostrzec najdrobniejsze choćby wypadki, jakie zaszłyby u progu, przed sklepem. Tak nadzwyczajna miłość do Jego siedziby wydawała się podejrzaną kupcowi, który podlegał kiedyś surowej ustawie Maksimum[33]. Pan Guillaume uznał więc nie bez podstaw, że ów antypatyczny osobnik chciałby się dobrać do jego kasy. Nacieszywszy się kryjomo milczącym pojedynkiem, jaki toczył się między jego pryncypałem a nieznajomym, najstarszy z subiektów zaryzykował i stanął na chodniku tuż obok pana Guillaume, widząc, że młodzieniec popatruje dyskretnie w okna trzeciego piętra. Wysunąwszy się na ulicę o dwa kroki dalej, zadarł głowę i wtedy wydało mu się, że zobaczył, jak panna Augustyna Guillaume cofnęła się szybko. Niekontent z bystrości pierwszego subiekta, pan Guillaume zerknął nań koso; lecz obawy, jakie obecność przechodnia budziła zarówno w duszy kupca, jak i zakochanego subiekta, rozpierzchły się nagle. Nieznajomy zawoławszy dorożkę, co podążała na sąsiedni plac, wskoczył do niej, okazując zwodniczą obojętność. Odjazd ów podziałał po trosze jak balsam na niezbyt mężne serca dwóch innych subiektów, zaniepokojonych, że spotkają się niebawem oko w oko z ofiarą swojej psoty.

– No i cóż tu, moi panowie, stoicie z założonymi rękami? – ozwał się pan Guillaume do trzech swoich dyscypułów. – Bo ja, do diaska, za młodu, kiedym był u imć Chevrela, przepatrzyłbym już parę sztuk sukna.

– Bo pewnie wtedy rozwidniało się wcześniej – odparł drugi subiekt, któremu czynność ta była poruczona.

Stary kupiec uśmiechnął się mimo woli. Wprawdzie dwaj z owych trzech młodzieńców, których ojcowie, majętni fabrykanci z Louviers i z Sedanu, powierzyli jego opiece, mogli po prostu, osiągnąwszy wiek odpowiedni, poprosić jednego dnia o sto tysięcy franków, aby zało-

[33] U s t a w a M a k s i m u m – uchwalony w r. 1793 przez Konwencję dekret o wprowadzeniu stałych cen na żywność, wyroby przemysłowe i surowce, skierowany przeciw spekulantom.

żyć własny interes, jednak Guillaume uważał za swój obowiązek trzymać obu krótko, ze staroświeckim despotyzmem, nieznanym dziś po nowoczesnych wykwintnych magazynach, gdzie subiekci chcieliby się bogacić już w trzydziestym roku życia; Guillaume orał nimi jak Murzynami. We trzech musieli sprostać zadaniu, od jakiego siódme poty biłyby na dziesięciu z owych subiektów wygodnickich, z których winy puchną kolumny budżetu. Żaden szmer nie zakłócał ciszy owego poważnego domostwa, gdzie zawiasy były jakby stale naoliwione, a każdy, choćby najskromniejszy mebel lśnił szacowną czystością, świadczącą o wzorowym porządku i surowej oszczędności. Często najdowcipniejszy z subiektów zabawiał się wypisując na serze szwajcarskim, który dawano im łaskawie na śniadanie – nie przejadali się nim, rzecz traktując z humorem – „datę przyjęcia". Z tego żartu i kilku jeszcze mu podobnych śmiała się niekiedy młodsza z panien Guillaume, owa ślicznotka, która ukazała liczko zachwyconemu przechodniowi. Aczkolwiek trzej subiekci, nie wyłączając najstarszego, słono płacili za utrzymanie, żaden nie ośmieliłby się pozostać przy stole pryncypała, kiedy wnoszono wety. Gdy pani Guillaume powiadała, że trzeba przyprawić sałatę, biedni młodzieńcy drżeli wiedząc, z jakim skąpstwem przezorna ręka pryncypałowej skropi ten specjał oliwą. Jeśli postanowili spędzić noc poza domem, musieli na wiele dni naprzód usprawiedliwiać ten wybryk przytaczając godziwe powody. Co niedziela dwaj subiekci kolejno towarzyszyli rodzinie Guillaume na mszę i nieszpory w kościele Saint-Leu. Panna Wirginia i panna Augustyna, odziane skromnie w perkal, brały subiektów pod ramię – i tak dwie pary szły pod przenikliwym okiem matki, zamykającej ów szczupły orszak domowy wespół z małżonkiem, którego przyuczyła dźwigać dwa potężne modlitewniki oprawne w czarny safian. Drugi subiekt nie otrzymywał wynagrodzenia. Pierwszy, dzięki dwunastu latom wytrwałości i dyskrecji wtajemniczony w sekrety przedsiębiorstwa, dostawał za swoje trudy osiemset franków. Czasem, z okazji jakiegoś rodzinnego święta, trafiał mu się w charakterze gratyfikacji upominek, któremu wartość nadawała jedynie sucha i pomarszczona dłoń pani Guillaume: siatkowa sakiewka, starannie wypchana watą dla uwydatnienia ażurowego deseniu, bardzo porządne szelki albo kilka par jedwabnych pończoch, wyjątkowo grubych. Niekiedy znów, ale rzadko, owego pierwszego ministra dopuszczano do rozrywek rodzinnych, gdy familia bądź wybierała się na wieś, bądź po długich miesiącach wyczekiwania decydowała się skorzystać ze swoich praw obywatelskich i nająwszy lożę obejrzeć sztukę, o której nikt już w Paryżu nie myślał. Jeśli zaś idzie o dwóch pozostałych subiektów, to bariera szacunku, jaka dzieliła ongi sukiennika-mistrza od uczniów, wznosiła się tak niezachwianie pomiędzy nimi a sędziwym kupcem, że raczej skradliby postaw sukna, niż uchybili tej dostojnej etykiecie.

Taki rygor może dziś wydać się śmieszny – ale stare firmy były szkołą obyczajności i uczciwości. Pryncypał był dla uczniów przybranym ojcem. Pani domu dbała o bieliznę młodzieńca, reperowała ją, a czasami i uzupełniała. Jeśli subiekt zaniemógł, otaczała go iście macierzyńską opieką. Jeśli choroba okazała się poważna, pryncypał nie żałował grosza wzywając najsławniejszych doktorów, odpowiadał bowiem przed rodziną młodzieńca nie tylko za jego naukę i obyczaje. Jeśli nawet młodzieniec taki, zacny do gruntu, zbankrutował, kupiec starej daty umiał docenić inteligencję, jaką był w nim rozwinął, i nie wahał się powierzyć szczęścia swojej córki człowiekowi, któremu przez długi czas zawierzał swoją fortunę. Guillaume liczył się do tych kupców starej daty, a mając ich śmiesznostki, miał i wszelkie zalety, toteż umyślił sobie, żeby starszą córkę, Wirginię, wydać za Józefa Lebas, sierotę bez majątku, a swojego pierwszego subiekta. Ale Józef nie godził się bynajmniej z pedanterią pryncypała, który za żadne skarby świata nie dopuściłby do mariażu młodszej córki przed starszą. Nieszczęsny subiekt kochał się na zabój w pannie Augustynie, młodszej od panny Wirginii. Aby wytłumaczyć ów afekt, co wzrastał w sekrecie, musimy poznać głębiej tajniki rządu absolutnego władającego domem starego sukiennika.

Guillaume miał dwie córki. Starsza, panna Wirginia, była to wykapana matka. Pani Guillaume, córka imć Chevrela, trzymała się na ławeczce kantoru tak prosto, że słyszała nieraz,

jak żartownisie powiadali, iż kij połknęła. Z twarzy jej długiej i chudej przebijała bigoteria. Niełądna i niemiłego obejścia, blisko sześćdziesięcioletnia, nosiła zazwyczaj czepiec obszyty szeroką falbaną koronkową, którego fason nie zmieniał się nigdy – istny czepiec wdowi. Wszyscy sąsiedzi przezywali panią Guillaume siostrą furtianką. W odezwaniach była lakoniczna, gesty jej miały w sobie coś urywanego, niby sygnały telegrafu. W oku, niby u kota jasnym, czaiła się jakby pretensja do całego świata, że jest brzydka. Panna Wirginia, chowana, jak i jej młodsza siostra, według despotycznych zasad matki, ukończyła już lat dwadzieścia osiem. Młodość łagodziła szpetotę, którą podobieństwo do matki rzucało czasem na jej lica, lecz rygor matczynej edukacji wyposażył ją w dwie ogromne zalety, zdolne wszystko przeważyć: była potulna i cierpliwa. Panna Augustyna, licząca zaledwie lat osiemnaście, w niczym nie przypominała rodziców. Należała do tych dziewcząt, które będąc fizycznie całkiem różne od ojca i matki, skłaniają nas, byśmy uwierzyli świątobliwemu przysłowiu: „Dziećmi sam Bóg obdarza". Augustyna była niska, albo, by rzecz odmalować lepiej, drobna i pełna wdzięku. Odznaczała się naiwnym czarem, a człek światowy mógłby zarzucić tej ślicznotce tylko małostkowe lub raczej gminne odruchy charakteru i niekiedy pewien brak obycia. Małomówna, o twarzy nieruchomej, tchnęła ową przemijającą melancholią, która bierze we władanie wszystkie dziewczęta zbyt słabe, by poważyły się walczyć z wolą matki. Obie siostry, zawsze w sukniach skromnych, mogły zadowolić wrodzoną kobiecie kokieterię jedynie wspaniałą schludnością, która pasując do nich nad podziw, dostrajała je przy tym do całego tła, a były nim lśniące kontuary, półki, gdzie sędziwy sługa nie ścierpiałby pyłeczka kurzu, staroświecka prostota opisanego już otoczenia. A że tryb życia przyuczył je szukać składników szczęścia w upartej pracy, matka jak dotąd była z nich zawsze kontenta i winszowała sobie po cichu, iż tak dalece wydoskonaliła charakter obu córek. Łatwo wyobrazić sobie wyniki edukacji, którą otrzymały. Wychowano je dla handlu: słyszały tylko wywody i debaty natury merkantylnej, a więc smutne; uczyły się jedynie gramatyki i buchalterii, liznęły trochę historii świętej i historii Francji z księdza Ragois[34], czytywały zaś tylko te powieści, na które zezwoliła im matka – umysł ich tedy nie rozwinął się przesadnie: ale za to umiały wybornie prowadzić gospodarstwo, znały ceny produktów, wiedziały, jakich trudności doznajemy gromadząc pieniądze, były oszczędne i wysoko szacowały przymioty kupieckie. Chociaż ojciec ich był majętny, umiały równie dobrze cerować, jak haftować; matka wdrażała je systematycznie w sztukę kulinarną, aby umiały zadysponować obiad i ze znajomością rzeczy zwymyślać kucharkę. Nie mając pojęcia o paryskich rozrywkach, widząc, jak przykładnie upływa życie rodziców, z rzadka tylko spozierały za próg starego, odziedziczonego po przodkach domu, który dla ich matki był światem. Jedynym źródłem uciech doczesnych były dla Wirginii i Augustyny przyjęcia z powodu jakiejś uroczystości rodzinnej. Kiedy paradny salon na drugim piętrze miał otworzyć się przed panią Roguin, z domu Chevrel, o niespełna półtora roku młodszą od kuzynki i obwieszoną diamentami, przed młodym Rabourdinem, zastępcą naczelnika w Finansach, przed panem Cezarem Birotteau, bogatym perfumiarzem, i jego małżonką, znaną powszechnie jako pani Cezarowa, przed panem Camusot, najbogatszym kupcem jedwabi z ulicy des Bourdonnais, i przed jego teściem, panem Cardot, przed kilkoma sędziwymi bankierami i kilkoma paniami o nienagannej opinii – przygotowania, konieczne z uwagi na sposób, w jaki była zapakowana saska porcelana, srebra, kryształy i świece, wprowadzały rozmaitość w monotonną egzystencję tych trzech kobiet, które kręciły się natenczas i uwijały niby mniszki mające podejmować biskupa. Następnie, wieczorem, kiedy wszystkie trzy naharowały się wycierając, pucując i rozpakowując, kiedy salon był już świątecznie przystrojony, córki pomagały rozbierać się matce, a pani Guillaume mówiła: – Zmarnowałyśmy dzień, moje lubki! – Jeśli przed którymś z uroczystych zebrań „siostra furtianka" usta-

[34] Ksiądz Claude R a g o i s (zm. w r. 1685) – autor podręczników historii używanych we Francji do początku XIX w.

wiła stoliki do bostona, wista i tryktraka tylko w sypialni i dozwoliła tańczyć, panny uważały to za łaskę najwyższą i najmniej spodziewaną, radując się nią tak samo jak wyprawą na jeden z wielkich bali, na które Guillaume prowadził córki w karnawale. Wreszcie, raz do roku, zacny sukiennik wydawał fetę, na którą nie szczędził niczego. Najbogatsi i najelegantsi spośród zaproszonych nie ośmieliliby się wtedy zrobić zawodu; najznaczniejsze bowiem paryskie firmy korzystały z kredytu, kapitału albo wytrawnej eksperiencji pana Guillaume. Ale córki godnego negocjanta nie czerpały tyle, ile przypuszczać by należało, z nauk, jakich wielki świat nie skąpi młodym osobom. Zjawiały się na tych przyjęciach, figurujących zresztą w agendzie wydatków firmy, odziane tak ubogo i niegustownie, iż musiały się rumienić. W tańcu nie wyróżniały się niczym, a pod argusowym okiem matki nie mogły gawędzić z danserami, toteż odpowiedzi swoje ograniczały do „tak" lub „nie". Poza tym prawo starego domostwa pod „Kotem z Rakietką" nakazywało im wracać o jedenastej, czyli w momencie, kiedy zabawy i bale zaczynają się ożywiać. Tak więc rozrywki owych panien, licujące raczej tylko na pozór z fortuną ich ojca, stawały się często nudne, a przyczyną były tutaj okoliczności wynikłe z obyczajów i zasad, jakim hołdowała ta rodzina. Jedno tylko spostrzeżenie da nam dokładny obraz ich codziennego życia. Pani Guillaume żądała, aby córki, ubrawszy się wczesnym rankiem, schodziły zawsze o tej samej porze, a zajęcia ich podporządkowywała regule klasztornej.. Ale przypadek obdarzył Augustynę duszą dość podniosłą, by czuła pustkę tej egzystencji. Dziewczyna ogarniała czasami badawczo niebieskim okiem czeluść mrocznych schodów i wilgotnych magazynów. Zasłuchana w tę klasztorną ciszę, łowiła jakby dalekie i zmieszane odgłosy życia pełnego namiętności, które ceni wyżej uczucia niż martwe przedmioty. W takich momentach lico jej barwił rumieniec, biały muślin wypadał z bezwładnej dłoni na lśniący dębowy kontuar, ale zaraz też rozlegał się głos matki, zawsze cierpki, choćby pani Guillaume usiłowała nadać mu tony najłagodniejsze: – Augustynko! O czymże to dumasz, mój skarbie? – Przedmiotem jej dumań był może „Hipolit, hrabia de Douglas" albo „Hrabia de Comminges" – dwa romanse, które Augustyna znalazła w szafie kucharki, odprawionej niedawno przez panią Guillaume; one to pewnie przyczyniły się do rozwoju poglądów dziewczęcia, które pochłonęło je ukradkiem zeszłej zimy, podczas długich nocy.

Przejawy nieokreślonych tęsknot, miły głos, jaśminowa karnacja i błękitne oko Augustyny rozpaliły w duszy biednego Józefa Lebas miłość tyleż płomienną, co dyskretną. Powodowana łatwo zrozumiałym kaprysem, Augustyna nie czuła najlżejszego pociągu do sieroty; może dlatego, iż nie zdawała sobie sprawy, że Józef się w niej kocha. Za to długie nogi, kasztanowata czupryna, potężne ręce i tęgi kark pierwszego subiekta znalazły skrytą wielbicielkę w pannie Wirginii, o którą mimo pięćdziesięciu tysięcy dukatów posagu nikt się jakoś nie oświadczał. Nic bardziej naturalnego niźli te kolidujące ze sobą uczucia, które zrodziły się w cichym i mrocznym sklepie, podobnie jak fiołki rozkwitają w leśnej głuszy. Młodzi, wpatrując się wzajem wciąż w siebie, łączyli ową kontemplację z gwałtownym pragnieniem uciech, to zaś, pośród pilnej pracy i klasztornego *silentium*[35], musiało wcześniej czy później rozniecić afekt miłosny. Kto przywyknie do widoku czyjejś twarzy, zaczyna, sam nie wiedząc kiedy, odkrywać w towarzyszu przymioty duchowe i na koniec zapomina o jego wadach.

– Ten jegomość tak się rozpędził, że nasze córki będą niebawem klękać przed konkurentami! – rzekł sobie pan Guillaume przeczytawszy dekret, którym Napoleon przyspieszył pobór kilku roczników.

I od tego dnia jął rozpaczać, że starsza jego córka usycha w panieństwie; ale sędziwy kupiec przypomniał sobie, iż poślubił pannę Chevrel w takich samych mniej więcej warunkach, w jakich znajdowali się Wirginia i Józef Lebas. Pięknie byłoby wydać córkę za mąż, a jednocześnie spłacić dług święty, wyświadczając sierocie dobrodziejstwo, którego zaznał ongi, w okolicznościach identycznych, od swojego poprzednika! Józef Lebas, liczący już lat trzydzie-

[35] S i l e n t i u m (łac.) – milczenie, cisza

ści trzy, zastanawiał się nad przeszkodą, jaką piętnaście lat różnicy stworzy między nim i Augustyną. Nazbyt skądinąd bystry, aby nie odgadywać zamiarów pana Guillaume, wiedział także, świadom jego nieubłaganych zasad, iż kupiec nigdy młodszej córki przed starszą za mąż nie wyda. Biedny subiekt, którego serce było równie zacne, jak nogi długie a tors potężny, cierpiał więc w milczeniu.

Taki stan rzeczy istniał w owej miniaturowej republice, mieszczącej się na ulicy Świętego Dionizego i wcale podobnej do filii klasztoru trapistów. Ażeby jednak dokładnie unaocznić nie tylko sentymenty, lecz i wypadki, musimy cofnąć się o kilka miesięcy poprzedzających scenę, od której zaczyna się nasza opowieść. Pod wieczór pewien młodzieniec, przechodząc obok mało znanego sklepu pod „Kotem z Rakietką", zatrzymał się na chwilę, podziwiając obraz, którego widok przyciągnąłby każdego malarza na świecie. Sklep, nie oświetlony jeszcze, tworzył czarne tło, w którego głębi widniała jadalnia. Lampa, zwana gwiezdną, rzucała owo żółte światło, nadające tyle uroku płótnom szkoły holenderskiej. Biel obrusa, kryształy i srebra stanowiły błyszczące akcesoria, upiększone jeszcze żywym kontrastem świateł i cieni. Postać ojca rodziny, postać jego małżonki, twarze subiektów i smukła sylwetka Augustyny, przy której, o dwa kroki, stała gruba i pyzata dziewucha, wszystko to tworzyło grupę nadzwyczaj ciekawą; głowy były ogromnie oryginalne, a każdą cechował właściwy jej wyraz i niekłamany charakter; łatwo się było domyślić, jak spokojne, ciche i skromne życie wiodła ta rodzina i jak ta scena przypadkowa musiała czymś nieokreślonym kusić potężnie pędzel artysty, nawykłego do wyrażania natury. Przechodzień ów był młodym malarzem, który przed siedmiu laty otrzymał pierwszą nagrodę. Wrócił był właśnie z Rzymu. Duch jego wykarmiony poezją, oko nasycone Rafaelem i Michałem Aniołem łaknęły prawdziwej natury, długo bowiem był w kraju pompatycznym, gdzie sztuka roztoczyła wszędzie swój patos. Niekiedy fałszywy, a niekiedy szczery, takie było jego osobiste zdanie. Ulegając długo uniesieniom włoskich namiętności, serce jego pragnęło teraz jednej z owych panien skromnych i skupionych, jakie w Rzymie, nieszczęściem, umiał znaleźć tylko na obrazach. Zaczął od entuzjazmu, jakim przepoił jego egzaltowaną duszę ów naturalny obraz, który właśnie chłonął oczyma, a skończył, zwykłą rzeczy koleją, na głębokim uwielbieniu dla centralnej jego postaci. Augustyna dumała chyba nad czymś i nic nie jadła; lampa była tak umieszczona, że całe światło padało na twarz dziewczyny – ramiona i szyja poruszały się jakby w ognistym kręgu, który tym żywiej uwydatniał kontur główki, opromieniając ją w sposób niby nadprzyrodzony. Artysta nasz mimo woli porównał Augustynę do wygnanego anioła, który wspomina niebo. Uczucie niemal nieznane, miłość czysta i gorąca, zatopiło mu serce. Stał tak chwilę, jakby zmiażdżony nawałem własnych myśli, a potem wydarł się temu szczęściu i powróciwszy do domu nie jadł i nie spał. Nazajutrz zamknął się w pracowni i nie wyszedł, póki nie przeniósł na płótno owej magicznej sceny, której wspomnienie budziło w nim rodzaj fanatyzmu. Ale szczęście jego nie było pełne, nie miał bowiem wiernego obrazu swojego bóstwa. Kręcił się więc koło domu pod „Kotem z Rakietką", a nawet raz i drugi, przebrawszy się dla niepoznaki, odważył się wejść do środka, żeby przyjrzeć się lepiej zachwycającemu stworzeniu, które pani Guillaume chowała pod skrzydłem. Przez osiem miesięcy, myśląc jedynie o swojej miłości i o swoich pędzlach, nie pokazał się najbliższym przyjaciołom, zapomniał o salonach, poezji, teatrze, muzyce i najdroższych mu przyzwyczajeniach. Któregoś ranka Girodet[36] pogwałcił wszystkie zakazy, jakie artyści znają a omijać umieją, dotarł doń i zbudził go takim oto pytaniem: – Co dajesz na wystawę? – Artysta chwyta przyjaciela za rękę, ciągnie do pracowni, odkrywa niewielki obraz, będący jeszcze na sztalugach, i portret. Girodet ogląda oba arcydzieła powoli i chciwie, rzuca się koledze na szyję, ściska go, nie znajdując słów. Doznał wzruszenia tak głębokiego, że mógł przelać je tylko z duszy do duszy.

– Kochasz się? – zagadnął Girodet.

[36] Anne-Louis G i r o d e t de Roucy, zwany Girodet-Trioson (1767–1824) – malarz francuski; pisał też wierszem i prozą o malarstwie oraz tłumaczył poetów starożytnych.

Obaj wiedzieli, że Tycjan, Rafael i Leonardo da Vinci tworzyli najpiękniejsze portrety pod wpływem gorących uczuć, z których, w rozmaitych warunkach, rodzą się zresztą wszelkie arcydzieła. Młody artysta nie odpowiedział, tylko kiwnął potakująco głową.

– Szczęśliwy jesteś, że mogłeś zakochać się tutaj, wróciwszy z Włoch! Ale nie radziłbym ci posyłać takich dzieł na wystawę – dodał znakomity malarz. – Bo widzisz, tych dwóch obrazów nikt tam nie odczuje. Nie zdołają ocenić tych prawdziwych kolorów i tej wspaniałej pracy; publiczność odwykła już od takiej głębi. Obrazy, które malujemy, są, mój zacny przyjacielu, ekranami, parawanami. Wiesz co, piszmy lepiej wiersze i tłumaczmy starożytnych! Przyniesie nam to może więcej sławy niż te nieszczęsne płótna.

Rada była życzliwa, lecz oba płótna pojawiły się na wystawie. Scena wyobrażająca wnętrze domu wywołała przewrót w malarstwie. Dała ona początek owym obrazom rodzajowym, których taka mnogość pokazała się na wszystkich naszych wystawach, iż pomyślałbyś, że płótna te otrzymuje się dzięki jakiemuś procederowi ściśle mechanicznemu. Co zaś do portretu, to większość artystów dziś jeszcze wspomina to dzieło żyjące, któremu publiczność, niekiedy w masie sprawiedliwa, przyznała wieniec. Sam Girodet ozdobił nim ramę rzeczonego malowidła. Tłum nieprzebrany cisnął się do obu płócien. Zabijano się, jak powiadają kobiety. Miłośnicy sztuk pięknych i wielcy panowie chętnie pokryliby oba płótna złotymi napoleonami, lecz artysta odmawiał uparcie zarówno sprzedaży, jak i sporządzenia kopii. Zaproponowano mu sumę olbrzymią, by dozwolił zrobić z nich ryciny, ale kupcom nie poszczęściło się bardziej niż amatorom. Chociaż o sprawie tej huczało w całym Paryżu, nie była ona z tych, których echo dotarłoby do małej pustelni na ulicy Świętego Dionizego; a jednak rejentowa, przyszedłszy z wizytą do pani Guillaume, opowiedziała w obecności Augustyny o wystawie. Salon malarski podobał się rejentowej, a wyjaśniła też, w jakim urządzono go celu. Szczebiot pani Roguin obudził, rzecz jasna, w Augustynie chęć obejrzenia obrazów, a nawet ośmieliła się poprosić ciotkę w sekrecie, by zabrała ją do Luwru. Pani Roguin wszczęła tedy z panią Guillaume pertraktacje – i udało jej się w końcu oderwać kuzyneczkę na jakie dwie godziny od smutnych zajęć domowych. Dziewczyna przecisnęła się między tłumem aż do nagrodzonego obrazu. Zadrżała niby listek brzozy, poznawszy samą siebie. Przestraszona rozejrzała się wokół, szukając pani Roguin, od której oddzieliła ją ludzka fala. W tymże momencie wzrok jej pełen trwogi padł na rozpłomienioną twarz malarza. Przypomniała sobie raptem fizjonomię owego spacerowicza, którego, będąc osobą ciekawą, nieraz obserwowała; sądziła dotąd, iż to nowy sąsiad.

– Widzi pani, do czego natchnęła mnie miłość – szepnął artysta nieśmiałej panience, którą ogromnie zatrwożyły te słowa.

Zdobyła się na odwagę wprost nadprzyrodzoną, przebiwszy się przez tłum, aby odnaleźć ciotkę, która wciąż jeszcze przedzierała się wśród ciżby, pragnąc dotrzeć do obrazu.

– Uduszą ciocię! – zawołała Augustyna. – Chodźmy już.

Bywają jednak na wystawie takie chwile, kiedy dwie kobiety nie zawsze mogą podążyć galeriami tam, dokąd chciałyby skierować kroki. Tłum, a ruchy jego są nieobliczalne, tak popchnął pannę Guillaume i jej ciotkę, że znalazły się nie opodal drugiego obrazu. Zrządzeniem przypadku zbliżyły się obie z łatwością do płótna, które rozsławiła moda, tym razem sojuszniczka talentu. Rejentowa wykrzyknęła ze zdumienia, ale głos jej zaginął w gwarze hałaśliwego tłumu; Augustyna rozpłakała się mimo woli, ujrzawszy tę prześliczną scen, wiedziona zaś uczuciem dość trudnym do wyjaśnienia, położyła palec na wargach, widząc o dwa kroki od siebie wniebowziętą twarz młodego artysty. Nieznajomy odpowiedział skinieniem głowy i wskazał panią Roguin jako zawadę, aby przekonać Augustynę, iż ją zrozumiał. Pantomima ta rozpaliła jakby w ciele biednego dziewczątka ogień – Augustyna poczytywała się już za przestępczynię, wyobraziwszy sobie, że stanął właśnie pakt między nią a malarzem. Powietrze duszne i gorące, nieprzerwana defilada co najefektowniejszych toalet, oszołomienie, o jakie przyprawiła Augustynę rozmaitość kolorów, mnóstwo postaci żywych albo namalowanych,

obfitość złotych ram, wszystko to upoiło ją po trosze i wzmogło jej obawy. Kto wie, czy nie zemdlałaby, gdyby z głębi jej serca nie wznosiła się mimo tego nawału wrażeń radość nieznana, ożywiająca całą istotę. Niemniej sądziła, że zawładnął nią ów demon, przed którego straszliwymi sidłami przestrzegał ją grzmiący głos kaznodziejów. Moment ów był dla niej niby momentem szaleństwa. Widziała, jak ów młodzieniec jaśniejący miłością i szczęściem szedł za nią aż do powozu ciotki. Ulegając podnieceniu całkiem dla niej nowemu, upojona tak, iż w pewnym sensie poddawała się naturze, Augustyna słuchała przekonywających argumentów swojego serca i, spojrzawszy kilkakroć na młodego artystę, zdradziła, jak wielka ogarnia ją konfuzja. Nigdy jeszcze rumieniec jej nie kontrastował mocniej z bladością czoła. Malarz zobaczył wtedy tę urodę w całym jej rozkwicie, tę skromność w całej jej glorii. Augustyna odczuwała coś na kształt wesela pomieszanego z lękiem, myśląc, że obecność jej uszczęśliwia człowieka, którego imię jest na wszystkich wargach, a talent unieśmiertelnia przemijające obrazy. Zakochał się w niej! Nie podobna jej było wątpić o tym. Kiedy artysta znikł jej z oczu, serce dziewczyny rozbrzmiewało wciąż tymi oto prostymi słowami: „Widzi pani, do czego natchnęła mnie miłość". I bicie serca, pogłębiwszy się, sprawiało jej jak gdyby boleść, albowiem zagrzewająca się krew obudziła w niej potęgi nieznane. Aby nie odpowiadać na pytania ciotki, dotyczące obrazów, udała, że głowa rozbolała ją okropnie; ale kiedy wróciły, pani Roguin powetowała sobie milczenie, mówiąc pani Guillaume, jaką sławę zyskał „Kot z Rakietką", a wtedy Augustyna zadrżała na całym ciele, matka bowiem oznajmiła, że pójdzie na wystawę, aby obejrzeć swój dom. Dziewczyna jęła znów skarżyć się na migrenę, dzięki czemu dozwolono jej się położyć.

– Ot i co zarabiamy na tych wszystkich dziwowiskach – zawołał pan Guillaume. – Ból głowy i tyle! Czyż to naprawdę takie ciekawe zobaczyć na obrazku to, co oglądamy wciąż na naszej ulicy? Nie gadajcież mi, moje panie, o tych artystach, bo to, jak i ci wasi autorzy, głodomory. Po kiego licha wziął mój dom i nasmarował go na płótnie?

– Dzięki temu sprzedamy kilka łokci sukna więcej – zauważył Józef Lebas.

Uwaga ta nie przeszkodziła, że naukę i sztuki raz jeszcze spostponowano przed trybunałem handlowym. Jak łatwo się domyślicie, dyskurs ów nie przejął wielką nadzieją Augustyny, która tej nocy pogrążyła się w pierwszych miłosnych dumaniach. Wypadki opisanego dnia były niby sen, który z lubością odtwarzała w myśli. Rozeznała się w lękach, nadziejach i wyrzutach, we wszelakich wahaniach uczucia, które winny były kołysać serce tak proste i nieśmiałe, jak jej. Jakąż pustkę dostrzegła w tym mrocznym domu i jaki skarb odkryła w swej duszy! Zostać żoną człowieka utalentowanego, dzielić z nim jego sławę! Czyż myśl owa nie mogła dokonać najokropniejszych spustoszeń w sercu tego dziecka, wychowanego na łonie kupieckiej rodziny? Ileż nadziei rozbudziła w młodziutkim stworzeniu, które dotąd karmione wulgarnymi zasadami, pożądało życia wykwintnego? Promień słońca zawitał w tym więzieniu. Augustyna zakochała się z miejsca. Tyle sentymentów doznało w niej ukontentowania jednocześnie, iż uległa, nie obliczywszy się z niczym. Toć między oczyma osiemnastoletniej dziewczyny a światem miłość ustawia pryzmat! Niezdolnej przypuścić, że ze związku zakochanej kobiety i mężczyzny żyjącego imaginacją wynikają ostre starcia, wydawało się, iż jest powołana, by dać mu szczęście, i nie dostrzegała żadnych sprzeczności między swoim a swojego wybrańca usposobieniem. Chwila obecna była dla niej całą przyszłością. Gdy nazajutrz państwo Guillaume wrócili z wystawy, na twarzach ich malował się smutek, świadczący o jakimś rozczarowaniu. Przede wszystkim, artysta wycofał oba obrazy, ponadto zaś pani Guillaume zgubiła szal kaszmirowy. Wiadomość, iż obrazy znikły po jej bytności, była dla Augustyny niespodzianym dowodem delikatności uczuć, którą kobieta zawsze ocenić umie, choćby instynktownie.

Owego ranka, kiedy Teodora de Sommervieux (takie nazwisko sława przyniosła sercu Augustyny), wracającego z balu, subiekt spod „Kota z Rakietką" pokropił mydlinami, gdy nasz artysta wyczekiwał na pojawienie się swojej prostodusznej bogdanki (o czym ona z pewno-

ścią nie miała pojęcia), zakochani widzieli się od owego momentu na wystawie dopiero po raz czwarty. Przeszkody, jakie surowa reguła, obowiązująca w domu państwa Guillaume, stawiała nieokiełznanemu malarzowi, przydawały gorącemu uczuciu, którym pałał do Augustyny, łatwo zrozumiałej gwałtowności. Jakże tu przystąpić do dziewczyny siedzącej za kontuarem pomiędzy dwiema takimi kobietami, jak panna Wirginia i pani Guillaume, jakże tu nawiązać z nią korespondencję, skoro matka nie spuszcza jej z oka? Niewiele trzeba zakochanemu, by uroił sobie rozmaite nieszczęścia, więc i Teodor wyimaginował sobie rywala, a miał nim być jeden z subiektów – dwaj inni zaś owemu rywalowi rzekomo sprzyjali. A jeśli nawet umknąłby tylu argusom, padłoby nań surowe spojrzenie starego kupca lub jego połowicy. Wszędzie tylko kłody pod nogami, rozpacz! A i sama gwałtowność afektu nie dozwalała młodemu malarzowi wykoncypować któregoś z owych zręcznych forteli, stanowiących zarówno u więźniów, jak u zakochanych ostateczny chyba wysiłek umysłu rozpalonego bądź nieprzytomnym pragnieniem wolności, bądź miłosnym ogniem. Owóż Teodor kręcił się po dzielnicy z uporem maniaka, jak gdyby ruch mógł natchnąć go fortelami. Nagłowiwszy się i napociwszy wpadł na pomysł, żeby przekupić złotem pyzatą służącą. W ciągu więc dwóch tygodni, jakie upłynęły od owego nieszczęsnego poranka, kiedy to pan Guillaume i Teodor tak bacznie się sobie wzajem przyjrzeli, młodzi wymienili parę listów. Nie zawsze jednak było możliwe. Obecnie dwoje młodych umówiło się, iż będą się widywać o pewnej oznaczonej godzinie każdego dnia, w niedzielę zaś na mszy i na nieszporach w kościele Saint-Leu. Augustyna przesłała swojemu najdroższemu Teodorowi listę przyjaciół i krewnych, aby postarał się dostać do ich domów; młody malarz pozyskałby wtedy, jeśli to w ogóle do pomyślenia, dla swoich miłosnych planów któregoś z tych ludzi, zaabsorbowanych sprawami pieniądza i handlu – ludzi, co prawdziwe uczucie musieli uważać za spekulację najpotworniejszą pod słońcem, spekulację niesłychaną. Poza tym nic się nie zmieniło w obyczajach domu pod „Kotem z Rakietką". Augustyna mogła sobie być roztargniona, mogła wbrew elementarnym prawom uświęconego domowego regulaminu zachodzić do swojego pokoju, by przesunąć doniczkę w myśl ustalonej sygnalizacji, mogła wzdychać, mogła, wreszcie, myśleć – nikt, nawet jej matka, nie spostrzegł tego. Taki stan rzeczy zdziwi poniekąd czytelnika, jeśli zrozumiał już ducha tego domu, gdzie każda myśl „skażona" poezją musiała razić, gdzie nikt nie mógł sobie pozwolić na ruch czy spojrzenie, którego nie zauważono by i nie skomentowano. A jednak nic bardziej naturalnego: nawą, jakże spokojną, żeglującą pod banderą „Kota z Rakietką" po wzburzonym morzu paryskim, miotała akurat jedna z owych nawałności, które nazwać by trzeba ekwinokcjalnymi, wracają bowiem periodycznie. Od dwóch tygodni załoga złożona z pięciu mężczyzn, pani Guillaume i panny Wirginii harowała niepomiernie, sporządzając to, co nazywa się inwentarzem. Wyciągano belę po beli, sprawdzano, w łokciach, rozmiary każdej sztuki, aby dokładnie określić wartość pozostałej resztki. Badano skrupulatnie karteluszek uczepiony u każdej beli, aby stwierdzić datę zakupu sukna. Wyznaczało się nową cenę. Pan Guillaume stał przez cały czas, dzierżąc łokieć, pióro miał zatknięte za uchem i przypominał kapitana kierującego manewrami okrętu. Głos jego piskliwy, przechodząc przez okrągłe okienko, rozlegał się w głębokościach pod pokładem – w magazynach na dole; padały barbarzyńskie miana, gdyż handel przemawiając stosuje tylko zagadki: – Ile H-N-Z? – Wyprzedane. – Ile zostało Q-X? – Dwa łokcie. – Jaka cena? – Pięć-pięć-trzy. – Wpisać pod trzy A wszystkie J-J, wszystkie M-P i resztę V-D-O. – I tysiące innych zdań, równie tajemniczych, brzęczało nad kontuarami, niby wiersze współczesne, które romantycy przytaczaliby między sobą, aby wytrwać w entuzjazmie dla jednego ze swoich poetów. Wieczorem Guillaume, zaryglowawszy się ze swoim komisantem i z małżonką, zamykał rachunki, wciągał je w nowy rejestr, pisał do opieszałych dłużników, wystawiał faktury. Wszyscy troje dokonywali olbrzymiej pracy, której rezultat widniał na ćwiartce papieru stemplowego, wskazując, że firmę Guillaume określa taka i taka ilość monety brzęczącej, taka i taka ilość towaru, taka i taka ilość weksli i banknotów; że nie jest winna nikomu ani grosza, natomiast jej wierzytelności

sięgają dwustu tysięcy franków; że kapitał wzrósł; że jej posiadłości ziemskie będą zaokrąglone, domy wyremontowane, renta podwojona. Wynika tedy konieczność następująca: gromadzić nadal dukaty, i to z większym niż kiedykolwiek zapałem; ale żadnej z tych dzielnych mrówek nie przyszło do głowy pytanie: po kiego licha? Owóż, dzięki owemu dorocznemu tumultowi szczęśliwa Augustyna wymigała się przed śledztwem domowych argusów. Na koniec, w sobotę wieczór, inwentarz zamknięto. W ogólnej cyfrze, wyrażającej aktywa, było dość zer, toteż z uwagi na tę okoliczność Guillaume uchylił surowy zakaz, który obowiązywał okrągły rok, a dotyczył deseru. Szczwany sukiennik zatarł dłonie i dozwolił subiektom pozostać przy stole. Ledwie załoga wychyliła po kieliszeczku likieru domowego, zaturkotał powóz. Rodzina wybrała się do Rozmaitości na „Kopciuszka", dwaj zaś młodsi subiekci otrzymali po złotej sześciofrankówce i pozwolono im pójść, dokąd zechcą, byleby wrócili o północy.

Hulanka ta nie przeszkodziła, że w niedzielę stary sukiennik ogolił się już o szóstej rano, wdział brązowy frak, którego wspaniały połysk budził w nim zawsze taką samą kontentację, a obfite jedwabne pluderki zapiął pod kolanami na złote klamry; zaczem, około siódmej, chociaż cały dom spał jeszcze, pomaszerował do gabineciku na pierwszym piętrze, sąsiadującego z magazynami. Światło dostawało się tutaj przez okno opatrzone grubą kratą, a wychodzące na czworokątny dziedzińczyk o murach tak czarnych, że przypominał studnię. Stary kupiec otwarł okiennice obite blachą, które znał tak dobrze, i podniósł do góry połowę okna, ruchomego dzięki żłobkowanej futrynie. Z podwórka buchnął lodowaty powiew odświeżając atmosferę gabineciku, duszną i woniejącą biurem – zapach to szczególny. Kupiec stał oparłszy dłoń o wytłuszczoną poręcz fotela trzcinowego, obitego safianem, którego pierwotna barwa wypełzła; wahał się jakby, czy usiąść. Spojrzał z rozczuleniem na biurko zaopatrzone w dwa pulpity: małżonkowie siadywali tu naprzeciw siebie – krzesło pani Guillaume stało pod ścianą, w płytkiej nyży, sklepionej łukowato. Ogarnął bacznym okiem ponumerowane kartonowe pudła, sznurki, rozmaite przyrządy, żelazne stemple do sukna, kasę, przedmioty znajdujące się tutaj od wieków, i wydało mu się, że duch imć Chevrela zjawił się przed nim, jakby wyczarowany. Wysunął więc taboret, na którym siadał ongi w obecności zmarłego pryncypała. Taboret ów, obity czarną skórą – włosie od dawna już wyłaziło po rogach, ale się nie sypało – ustawił drżącą ręką tam, gdzie Chevrel ustawił był go niegdyś; następnie, z nieopisanym zdenerwowaniem, szarpnął sznur dzwonka, który wisiał nad łóżkiem Józefa Lebas, przy wezgłowiu. Uczyniwszy ten gest decydujący, starzec, zbytnio z pewnością przytłoczony wspomnieniami, wziął kilka przesłanych mu weksli i popatrywał na nie spojrzeniem nic nie widzącym, gdy Józef Lebas wszedł nagle.

– Siadaj pan – ozwał się Guillaume wskazując taboret.

Józef Lebas zadrżał, bowiem stary i czcigodny sukiennik nigdy w swojej przytomności nie prosił subiektów, by siedli.

– I cóż pan myślisz o tych wekslach? – zagadnął Guillaume.

– Nie będą zapłacone.

– Czemuż to?

– Dowiedziałem się, że onegdaj Etienne i Spółka płacili w złocie.

– Ho ho! – zawołał sukiennik. – Ciężko chory musi być ten, u kogo pokazuje się żółć. Ale, panie Józefie, mówmy o czym innym. A więc skończyliśmy inwentarz?

– Tak, proszę pana, a dywidendę mamy piękną jak rzadko.

– Nie używałbyś tych słów nowomodnych! Mów, panie Józefie, przychód. A wiesz ty, mój chłopcze, że i tobie poniekąd zawdzięczamy te wyniki? Dlatego nie chcę, byś dłużej pracował bez wynagrodzenia. Żona podsunęła mi myśl, żeby zaofiarować ci procent. Tak, panie Józefie! Guillaume i Lebas, pięknie by to brzmiało jako nazwa firmy, nieprawdaż? Można by jeszcze dodać i S p ó ł k a, dla zaokrąglenia podpisu.

W oczach Józefa Lebas zakręciły się łzy, chociaż usiłował je powstrzymać.

– Ach! Proszę pana! Czymże zasłużyłem na tyle dobroci? Spełniam tylko swój obowiązek. To już było wiele, że zająłeś się pan biednym siero...

Czyścił prawym rękawem wyłóg lewego rękawa i nie śmiał spojrzeć na starca, który uśmiechał się myśląc, że skromny młodzieniec potrzebuje, rzecz jasna, zachęty, tak jak jemu kiedyś dodano odwagi, nim przyszło do całkowitego porozumienia.

– A jednak – podjął ojciec Wirginii – nie bardzoś, mój Józefie, zasłużył na tę łaskę! Nie ufasz mi tak, jak ja ufam tobie. (Subiekt uniósł raptem głowę.) Znasz sekret kasy. Od dwóch lat wtajemniczam cię w niemal wszystkie moje sprawy. Wysyłam cię w podróż, do fabryk. No i wreszcie nie ukrywam nic przed tobą. A pan?... Żywisz na przykład pewną skłonność, aleś nie bąknął mi o niej ani słowa. (Józef Lebas zaczerwienił się.) Ho ho ho! – wykrzyknął pan Guillaume. – I tyś sądził, że zwiedziesz takiego starego lisa jak ja? Mnie? Toć przy tobie wyprorokowałem bankructwo Lecocqa!

– Jakże to, proszę pana? – odrzekł Józef Lebas wpatrując się w pryncypała z taką samą bacznością, z jaką pryncypał wpatrywał się w niego. – Jakże to?... Wiesz pan, w kim się kocham?

– Wiem wszystko, urwipołciu – odparł czcigodny i szczwany kupiec ciągnąc go za ucho. – I nie gniewam się, ze mną było tak samo.

– I oddałby mi pan ją?...

– Tak, i dołożę pięćdziesiąt tysięcy dukatów; tobie dam drugie tyle i zakładamy, wnosząc nowy kapitał, nową firmę. Będziemy jeszcze robić interesa, mój chłopcze! – zawołał stary kupiec podnosząc się i wymachując rękami. – Bo widzisz, mój zięciu, nie ma to jak handel! Tylko dureń się głowi, co w nim przyjemnego. Nie spuszczać z oka interesów, rządzić umiejętnie siedząc u siebie w domu, oczekiwać z niepokojem, niby przy zielonym stoliku, czy Etiennne i Spółka zbankrutują wreszcie, przyglądać się, jak regiment cesarskiej gwardii defiluje odziany w nasze sukno, podstawić nogę konkurentowi – ma się rozumieć: poczciwie! – produkować taniej niż inni; obmyślić sobie jakiś interes, zapoczątkować go, śledzić, jak się rozwija, rośnie, chwieje się i w końcu się udaje, być obznajmionym, niby minister policji, z każdą sprężyną, jaka kieruje domami handlowymi, aby samemu nie obrać fałszywej drogi; ostawać się pośród bankructw; mieć przyjaciół-korespondentów we wszystkich miastach fabrycznych, czyż to, Józefie, nie jest wieczna gra? To mi życie! To właśnie! Umrę w tym rozgardiaszu, jak i stary Chevrel, ale co użyję życia, to użyję. – Rozpłomieniony tą improwizacją, najgorętszą, jaką kiedykolwiek wygłosił, stary Guillaume prawie nie zwracał uwagi na subiekta, który tymczasem płakał jak bóbr. – E, Józiu, mój biedaku, cóż ci to?

– Taki jestem zakochany, proszę pana, że nie zdobędę się chyba...

– Ale, ale, mój chłopcze – roztkliwił się kupiec – jesteś, do diaska, szczęśliwszy, niżbyś myślał, boć ona cię kocha. Już ja to wiem!

I spoglądając na subiekta mrugał zielonymi oczkami.

– Panna Augustyna, panna Augustyna! – wykrzyknął Józef Lebas poniesiony entuzjazmem.

I już wypadał z gabinetu, gdy zatrzymało go stalowe ramię; pryncypał przyciągnął energicznie Józefa do siebie.

– A cóż Augustyna ma z tym wszystkim wspólnego? – spytał Guillaume głosem, który od razu zmroził nieszczęsnego Józefa.

- No bo... przecież... właśnie... ją kocham... – wybełkotał subiekt.

Strapiony swoją krótkowzrocznością, Guillaume siadł, ujął spiczastą głowę w dłonie i jął rozmyślać nad osobliwszym położeniem, w jakim się znalazł. Józef Lebas, zawstydzony i zrozpaczony, stał obok.

– Józefie – podjął kupiec z lodowatą godnością – mówiłem ci o Wirginii. Miłości obstalować się nie da, wiem o tym. Znam twoją dyskrecję, puścimy to w niepamięć. Najpierw pój-

dzie za mąż Wirginia, a po niej Augustyna, inaczej nie będzie. A pan dostaniesz dziesięć procent.

Miłość użyczyła subiektowi niezwykłej odwagi jako też elokwencji: złożył ręce, przemówił i cały kwadrans bronił swojej sprawy z takim uczuciem i ogniem, że pan Guillaume zaczął zmieniać zdanie. Gdyby chodziło o kwestię handlową, stary kupiec, zbrojny w raz na zawsze ustalone zasady, powziąłby decyzję; ale, rzucony o sto mil od handlu, na morze sentymentów, i to bez busoli, pływał, jak powiadał sobie, wokół wydarzenia bardziej niż osobliwego. Powodując się wrodzoną dobrocią, cofnął się trochę.

– Hm, do diaska, Józiu, wiesz przecie, że między moimi córkami jest dziesięć lat różnicy. Panna Chevrel piękna nie była, a jednak nie może mieć do mnie pretensji. Uczyń jak ja. No i nie becz; coś ty, zdurniał? Czegóż chcesz? Może się to jakoś ułoży, zobaczymy. Z każdego kłopotu można się wyłabudać. My, mężczyźni, nie zawsze jesteśmy dla naszych żon Celadonami[37]. Rozumiesz? Moja żona jest przesadnie nabożna i... A zresztą, do licha, moje dziecko, kiedy dziś będziemy szli na mszę, podasz ramię Augustynie.

Takie oto słowa rzucał na ślepy traf pan Guillaume. Wniosek, którym zakończył te wywody, uradował zakochanego subiekta; opuszczając ciemnawy gabinet, uścisnął dłoń przyszłego teścia, rzekłszy mu z niejaką pewnością siebie, że wszystko ułoży się chyba jak najlepiej – i zamyślał już obdarować pannę Wirginię jednym ze swoich przyjaciół.

„Ale co powie na to moja żona?" – myśl ta gnębiła okropnie dzielnego kupca, gdy został sam.

Przy śniadaniu pani Guillaume i Wirginia, którym sukiennik tymczasem ani wspomniał o swoim zawodzie, spoglądały domyślnie na Józefa Lebas, wciąż mocno zakłopotanego. Onieśmielenie to zjednało subiektowi przyszłą teściową. Matrona tak poweselała, że zerknęła na małżonka z uśmiechem i pozwoliła sobie na kilka żarcików, odwiecznych i nadzwyczaj wśród owych prostodusznych rodzin popularnych. Wyraziwszy tedy wątpliwość, czy Józef i Wirginia są równego wzrostu, kazała im się zmierzyć. Ojca rodu zasępiły nieco te głupstwa, poprzedzające zazwyczaj zrękowiny, a nawet okazał takie umiłowanie pozorów, że kiedy wychodzili do kościoła Saint-Leu, zlecił Augustynie wziąć pierwszego subiekta pod rękę. Pani Guillaume, zdziwiona tą delikatnością, niezwykłą u mężczyzny, zaszczyciła małżonka skinieniem głowy pełnym aprobaty. Orszak wyruszył więc w porządku, który nie mógł nasunąć sąsiadom jakichkolwiek złośliwych uwag.

– Czy nie sądzi pani, panno Augustyno – zagadnął ze drżeniem subiekt – że małżonka kupca rozporządzającego solidnym kredytem, jak na przykład pan Guillaume, mogłaby się bawić więcej aniżeli czcigodna matka pani, nosić diamenty i jeździć karetą? O, bo ja, gdybym się ożenił, wziąłbym od razu na siebie wszystkie trudy, żeby widzieć żonę szczęśliwą. Nie posadziłbym jej w kantorze. Bo, proszę pani, dziś kobiety nie są w sukiennictwie tak nieodzowne, jak były dawniej. Postępowanie pana Guillaume było słuszne, a zresztą matka pani zawsze lubiła sklep. Ja bym zadowolił się żoną, która umiałaby mi pomóc przy rachunkowości, korespondencji, sprzedaży, zamówieniach i gospodarstwie domowym, ot i wszystko; żeby nie nawykła do próżniactwa. O siódmej, zamknąwszy sklep, bawiłbym się, chodził do teatru albo z wizytami. Ale pani nie słuchasz, co mówię.

– Ależ owszem, panie Józefie. Co pan myślisz o malarstwie? To piękna profesja.

– O tak, znam pana Lourdois, mistrza cechu malarzów pokojowych. Nazbijał pieniędzy!...

Tak oto gawędząc, rodzina dotarła do kościoła Saint-Leu. Tu pani Guillaume odzyskała swoje prawa, rozkazując Augustynie, po raz pierwszy, usiąść obok siebie. Wirginia usadowiła się na czwartym krześle, obok Józefa. Podczas kazania wszystko układało się wybornie między Augustyną a Teodorem, który, wychylając się spoza filara, modlił się gorąco do swojej madonny; ale przy podniesieniu pani Guillaume spostrzegła, cokolwiek za późno, że córka

[37] C e l a d o n – postać z „Astrei", słynnego romansu Honoriusza d'Urfé (1568–1626), typ czułego, nieśmiałego i stałego kochanka.

jej, Augustyna, trzyma mszalik na wywrót. Gotowała się już zbesztać ją srogo, gdy opuściwszy woalkę oderwała oko od książeczki i skierowała je w stronę, w którą z takim upodobaniem podążał wzrok Augustyny. Uzbrojona w okulary, ujrzała naszego młodego artystę tak wyelegantowanego, że przypominał raczej kapitana kawalerii będącego na urlopie niźli któregoś z kupców zamieszkałych w tej dzielnicy. Niesposób odmalować wzburzenia, jakie ogarnęło panią Guillaume, pochlebiającą sobie, iż wychowała córki wzorowo: wykryła w sercu Augustyny miłość utajoną, której niebezpieczeństwa wyolbrzymiała jeszcze pruderia i naiwność, znamionujące tę godną kupcową. Wyobraziła sobie, że córka jest zepsuta do szpiku kości.

– Trzymaj przede wszystkim, moja panno, książeczkę jak należy – szepnęła, ale szept ów kipiał świętym gniewem. Wyrwała jej prędko mszalik będący dowodem winy i odwróciła jak trzeba. – Nie waż się patrzyć gdzie indziej, nie odrywaj oka od modlitwy – przydała – bo inaczej ze mną będziesz miała do czynienia! Po mszy pogadamy z tobą, ojciec i ja.

Słowa te raziły biedną Augustynkę niby grom. Byłaby zemdlała; przemogła się jednak, bo choć doznała okrutnej boleści, nie chciała za nic w świecie wywołać skandalu w kościele i zebrawszy się na odwagę ukryła dławiący niepokój. Ale łatwo byś odgadł, jak miotał jej duszą, po drżeniu rąk trzymających modlitewnik i po łzach, co kapały na obracane kartki. Pani Guillaume spiorunowała artystę wzrokiem, a młodzieniec wniósłszy, że miłości jego grozi niemal zagłada, wyszedł wściekły i na wszystko zdecydowany.

– Idź, moja panno, do swego pokoju! – rzekła pani Guillaume do córki zaraz po powrocie. – Każemy cię zawołać, a nade wszystko nie waż się stamtąd wychodzić.

Narada, jaką odbyli małżonkowie, była tak sekretna, że zrazu nic nie przedostało się na zewnątrz. A jednak Wirginia, która dodawała siostrze odwagi tysiącem czułych perswazji, posunęła się w swojej przychylności tak dalece, iż aby pochwycić kilka zdań, zakradła się pod drzwi matczynej sypialni, gdzie rodzice konferowali. Za pierwszą wyprawą, jaką przedsięwzięła z trzeciego piętra na drugie, usłyszała gromki głos ojca:

– Cóż to, moja pani! Chciałabyś zabić rodzoną córkę?

– Moje biedactwo – rzekła Wirginia do zrozpaczonej siostry – tatuś zaczyna cię bronić!

– Ale co chcą zrobić Teodorowi? – spytało naiwne stworzenie.

Zaciekawiona Wirginia znów tedy zeszła; tym razem zabawiła dłużej – dowiedziała się, że Lebas kocha się w Augustynie. Było widać pisane, iż owego pamiętnego dnia ów dom, taki zazwyczaj spokojny, odmieni się w piekło. Pan Guillaume przywiódł Józefa Lebas do rozpaczy, zwierzając mu się, iż Augustyna kocha się w kim innym. Lebas, który namówił już był przyjaciela, żeby ten poprosił o rękę panny Wirginii, ujrzał, iż jego nadzieje wzięły w łeb. Panna Wirginia, zgnębiona wiadomością, iż Józef dał jej w pewnym sensie kosza, dostała migreny. Waśń, jaka powstała między państwem Guillaume w toku dyskusji, a poróżnili się – jeśli idzie o poglądy – trzeci raz w życiu, była nader burzliwa. Wreszcie o czwartej po południu Augustyna, blada, drżąca, z oczyma zaczerwienionymi, stanęła przed rodzicielskim trybunałem. Biedactwo opowiedziało szczerze aż nazbyt krótką historię swoich amorów. Ośmielona wstępnymi słowami ojca, który przyrzekł wysłuchać ją w milczeniu, zebrała się na odwagę i wyjawiła nazwisko swojego najdroższego Teodora de Sommervieux, chytrze, z uwagi na rodziców, podkreślając partykułę szlachecką. Porwana nie znanym jej dotąd urokiem, jakiemu ulegamy mówiąc o naszych uczuciach, tak się zapaliła, iż oznajmiła z naiwną stanowczością, że kocha pana de Sommervieux i że pisuje do niego; i przydała ze łzami w oczach:

– Unieszczęśliwilibyście mnie, poświęcając innemu!

– Ależ, Augustyno, widać nie wiesz, co to takiego malarz! – wykrzyknęła matka ze zgrozą.

– Miarkuj się, moja żono! – ozwał się stary Guillaume nakazując jej milczenie. – Augustynko – rzekł – artyści to na ogół głodomory. Każdy z nich nazbyt jest rozrzutny, więc i każdy musi być ladaco. Byłem dostawcą nieboszczyka pana Józefa Vernet, nieboszczyka pana

Lekain i nieboszczyka pana Noverre[38]. Ach, gdybyś wiedziała, ile ów pan Noverre, pan kawaler de Saint-Georges, a zwłaszcza pan Philidor[39] spłatali figlów biednemu staremu Chevrelowi! Ucieszne to figury, znam ich, znam. Ma to swój własny język, maniery... E, nigdy ten twój pan Sumer... Somm...

– De Sommervieux, tatku!

– Niech mu i tak będzie! Nigdy nie okaże się wobec ciebie tak miły, jak okazał się wobec mnie pan kawaler de Saint-Georges tego dnia, gdym uzyskał przeciw niemu wyrok konsulów. Taka była niegdysiejsza szlachta.

– Ależ, tatku, pan de Sommervieux jest nie tylko szlachcicem; pisał mi, że jest bogaty. Przed rewolucją ojca jego tytułowano kawalerem.

Usłyszawszy to pan Guillaume spojrzał na swoją srogą połowicę, która, zwyczajnie jak kobieta poirytowana, stukała rytmicznie noskiem trzewika o podłogę i milczała ponuro; starała się nawet odwracać gniewny wzrok od Augustyny i zostawiała jakby mężowi całą odpowiedzialność w sprawie tak poważnej, skoro nie liczył się z jej zdaniem; niemniej, choć na pozór opanowana, zawołała, spostrzegłszy, z jaką łatwością małżonek jej przyjmuje swój udział w katastrofie nie mającej w sobie nic handlowego:

– Doprawdy, mój panie, twoja słabość do córek... ale...

Turkot powozu zatrzymującego się u drzwi przerwał nagle pierwsze słowa reprymendy, co w starym kupcu budziła już lęk. W tejże chwili pani Roguin stanęła pośrodku pokoju i, spoglądając na troje aktorów tej domowej sceny, rzekła tonem protekcjonalnym:

– Wiem o wszystkim, moja kuzynko.

Pani Roguin miała pewną wadę: wierzyła święcie, że paryskiej rejentowej wolno odgrywać rolę damy modnej.

– Wiem o wszystkim – powtórzyła – i przybywam do tej arki Noego niby gołębica z gałązką oliwną. Wyczytałam tę alegoria w „Geniuszu chrześcijaństwa" Chateaubrianda – zwróciła się do pani Guillaume – porównanie to winno ci się podobać, kuzynko. Czy wiesz – powiedziała z uśmiechem do Augustyny – że ten pan de Sommervieux jest czarujący? Podarował mi dziś rano mój portret, istne arcydzieło. Warte co najmniej sześć tysięcy franków.

To rzekłszy poklepała lekko pana Guillaume po ramieniu. Stary kupiec, nie strzymawszy, wydął wargi w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Znam doskonale tego pana de Sommervieux – podjęła gołębica. – Od dwóch tygodni bywa na moich wieczorynkach, zawojował wszystkich. Opowiedział mi o swoich kłopotach i poprosił, żebym mu adwokatowała. Dowiedziałam się dziś rano, że uwielbia Augustynkę, to i będzie ją miał. E, kuzynko, nie kręć tak głową, jakbyś już odmawiała. Trzeba wam wiedzieć, że zostanie baronem i że niedawno, na wystawie, sam cesarz mianował go kawalerem legii honorowej. Mój mąż, jako rejent, prowadzi jego sprawy, więc je zna. Owóż włości pana de Sommervieux dają mu dwanaście tysięcy liwrów renty. Pomyślcie, że teść takiego człowieka może zostać kimś, na przykład merem swojego okręgu! Nie pamiętacie, jak pan Dupont został hrabią Cesarstwa i senatorem, ponieważ, jako mer, zjawił się u cesarza, by pogratulować mu sukcesów wiedeńskich. O, ten mariaż przyjdzie do skutku. Adoruję, wierzcie mi, tego zacnego młodzieńca. Prześlicznie ustosunkował się do Augustynki, to spotyka się jedynie w romansach. No, moja mała, będziesz szczęśliwa, każdy pozazdrości ci losu. Bywa na moich wieczorynkach księżna de Carigliano, która szaleje za panem de Sommervieux. Złe języki

[38] Claude-Joseph V e r n e t (1714–1789) – francuski malarz-marynista; L e k a i n – pseudonim wybitnego aktora francuskiego Henri-Louis Cain (1728–1778); Jean-Georges N o v e r r e (1727–1810) – francuski baletmistrz, autor licznych baletów.

[39] Jacques-François Grout, kawaler de S a i n t – G e o r g e s (1745–1799) – oficer, muzyk i szermierz, głośny w swoim czasie w Paryżu z elegancji, odwagi i dowcipu; P h i l i d o r (François-André Danican, 1726–1795) – kompozytor francuski i słynny szachista.

powiadają, że odwiedza mnie tylko dla niego, jakby takiej świeżo upieczonej księżnej nie wypadało bywać u mnie, Chevrelówny, której rodzina ma za sobą sto lat dobrego mieszczaństwa.

– Augustynko – rzekła znów pani Roguin po chwili milczenia – widziałam twój portret. Boże! Toć to cudo! Czy wiesz, że cesarz zapragnął go obejrzeć? Powiedział, śmiejąc się, do wicekonetabla, że gdyby na jego dworze teraz, kiedy przebywa tutaj tylu królów, miał więcej takich kobiet, z łatwością utrzymałby raz na zawsze pokój w Europie. Nie pochlebneż to?

Burze, którymi zaczął się ów dzień, były snadź podobne burzom, jakie zsyła natura: sprowadziły czas pogodny i spokojny. Pani Roguin rozsnuła, omawiając sprawę, tyle powabów, umiała dobrać się jednocześnie do tylu strun w oschłych sercach państwa Guillaume, że na koniec znalazła taką, która zabrzmiała. W owej szczególnej epoce handel i finanse ulegały bardziej niż kiedykolwiek szalonej manii koligacenia się z wielkimi rodami, a generałowie Cesarstwa umiejętnie wyzyskiwali ten obłęd. Pan Guillaume sierdził się jak mało kto na ową namiętność godną pożałowania. Miał swoje ulubione pewniki: kobieta, która chce znaleźć szczęście, winna poślubić mężczyznę ze swojej sfery; kto wspina się zbyt wysoko, zawsze prędzej czy później poniesie karę; miłość jest tak mało odporna wobec małżeńskich kłopotów, że mąż i żona nigdy nie będą ze sobą szczęśliwi, jeśli nie mają istotnych zalet; jedno z małżonków nie powinno być bardziej wykształcone od drugiego, gdyż nade wszystko muszą rozumieć się wzajem; mąż mówiący po grecku i żona mówiąca po łacinie umrą łacno z głodu. On to wymyślił ów rodzaj przysłowia. Porównywał takie małżeństwa do starodawnych tkanin z jedwabiu i wełny, w których na ostatku jedwab zawsze poprzecinał wełnę. A jednak na dnie serca ludzkiego drzemie tyle próżności, że ów rozważny sternik, co prowadził tak doskonale „Kota z Rakietką", uległ namolnemu gadulstwu pani Roguin. A i sroga pani Guillaume znalazła pierwsza w wyborze, jaki uczyniła jej córka, powody, aby odstąpić od rzeczonych zasad i aby zgodzić się na wizytę pana de Sommervieux, którego, obiecała to sobie, miała poddać surowej obserwacji.

Stary kupiec poszedł do Józefa Lebas i poinformował go o stanie rzeczy. O wpół do siódmej rozsławiona przez malarza jadalnia zgromadziła pod swoim szklanym sufitem państwa Roguin, młodego artystę i jego uroczą Augustynkę, Józefa Lebas, znoszącego swoje szczęście z rezygnacją, i pannę Wirginię, której migrena przeszła jakoś. Państwo Guillaume ujrzeli oczyma wyobraźni los córek zapewniony, a „Kota z Rakietką" w dobrych i wytrawnych rękach. Kontentacja ich sięgnęła szczytu, kiedy przy deserze Teodor ofiarował im ów zadziwiający obraz, którego zobaczyć już nie zdołali: przedstawiał on wnętrze starego sklepu, gdzie zaznali tyle szczęścia.

– Jakie to ładne! – zawołał Guillaume. – I powiedzieć, że dawano za to trzydzieści tysięcy franków!

– O, i jak odrobione moje koronki przy czepku – pochwaliła pani Guillaume.

– A te rozłożone materiały – dorzucił Lebas – można by je wziąć w rękę.

– Materia zawsze wychodzi dobrze – odparł malarz. – My, współcześni artyści, nie posiadalibyśmy się ze szczęścia, gdybyśmy umieli malować tak pięknie, jak dawniej tkano.

– A, więc lubisz pan tkactwo! – zawołał stary Guillaume. – No to wybornie. Dawajże łapę, młody przyjacielu! Dogadamy się, skoro szacujesz handel. E, bo i czemuż miano by nim gardzić? Świat od niego się zaczął, toć Adam przehandlował raj za jabłko. Ale, do licha, kiepski zrobił interes!

I stary kupiec, podniecony winem szampańskim, którego nie żałował, zaśmiał się hałaśliwie i szczerze. Przyszli teściowie wydali się młodemu artyście ludźmi sympatycznymi, tak grubą miał na oczach opaskę. Uznał więc za stosowne rozweselić ich paroma dowcipami w dobrym tonie. Toteż na ogół się spodobał. Wieczorem, kiedy opustoszał salon pełen najróżniejszego bogactwa, jak mawiał o nim pan Guillaume, kiedy pani Guillaume krążyła od stołu do kominka i od kandelabru do lichtarza, co prędzej gasząc świece, dzielny kupiec, który

zawsze umiał spojrzeć trzeźwo, gdy chodziło o pieniądz lub interesa, przyciągnął Augustynkę do siebie, a posadziwszy ją sobie na kolanach, wygłosił takie oto przemówienie:

– Moje drogie dziecko, poślubisz tego twojego malarza, skoro taka twoja wola; możesz sobie ryzykować własnym kapitałem szczęścia. Ale ja nie dam się wziąć na tych trzydzieści tysięcy franków, które zarabia się marnując porządne płótno. Pieniądz, który przychodzi tak prędko, równie prędko się rozchodzi. Toć sam słyszałem, jak ten lekkoduch mówił dziś wieczorem, że pieniądz po to jest okrąglutki, aby się toczył! Okrąglutki jest on dla marnotrawców, ale dla ludzi oszczędnych, którzy go gromadzą, jest płaski. Owóż, moje dziecko, ten piękny chłopiec zapewnia, że obdaruje cię powozami i diamentami, prawda? Skoro ma pieniądze, niech je wydaje dla ciebie, *bene sit*[40]! Nie moja rzecz. Ale jeśli idzie o mój wkład, nie życzę sobie, aby dukaty, z takim mozołem ciułane, rozlazły się na powozy i fatałaszki. Kto za dużo wydaje, nigdy się nie bogaci. Za sto tysięcy dukatów twojego posagu nie zakupimy jeszcze całego Paryża. Bo choć któregoś dnia dostaniesz ładne paręset tysięcy franków, każę ci na nie, do diaska! czekać, i to najdłużej, jak potrafię. Zaciągnąłem więc tego twojego lubego w kąt i... człowiek, co przeprowadził upadłość Lecocqa, przekonał bez wielkiej fatygi artystę, że majątek małżonków trzeba rozdzielić. Będę miał oko na kontrakt ślubny, żeby dopilnować dotacyj, które zamierza wyznaczyć dla ciebie. Tak, moje dziecko, mam, do diaska, nadzieję zostać dziadkiem, chciałbym więc już teraz dbać o moje wnuki; owóż obiecaj mi solennie, że nigdy, co się tyczy pieniędzy, nic nie podpiszesz nie zasięgnąwszy u mnie rady; a gdybym nazbyt wcześnie wybrał się do starego Chevrela, obiecaj, że zawsze radzić się będziesz Józefa, twojego szwagra. Przyrzekasz mi?

– Tak, mój tatku, obiecuję solennie.

Powiedziała to głosem łagodnym, melodyjnym, a starzec ucałował córkę w oba policzki. Tego wieczoru zakochani usnęli tak samo chyba spokojnie jak państwo Guillaume.

Po kilku miesiącach, licząc od owej pamiętnej niedzieli, przed wielkim ołtarzem kościoła Saint-Leu odbyły się dwie bardzo różne ceremonie ślubne. Augustyna i Teodor stanęli w pełnym blasku szczęścia, oczy ich jaśniały miłością, byli wyelegantowani, czekał na nich prześliczny ekwipaż. Wirginia przyjechała z rodzicami pakownym najętym powozem i wsparta na ramieniu ojca szła skromnie za młodszą siostrą do ołtarza, że zaś odziana była jak najprościej, przypominała cień, nieodzowny dla harmonijnej kompozycji tego malowidła. Pan Guillaume zabiegał był w parafii na wszelkie możliwe sposoby, aby najpierw udzielono ślubu Wirginii, a potem Augustynie – i srodze trapił się widząc, że zarówno księża, jak i diakoni wyróżniają w każdym przypadku wykwintniejszą z oblubienic. Podsłuchał, jak sąsiedzi wyrażali się ze szczególnym uznaniem o rozsądku panny Wirginii, która, mówili, zawiera związek solidniejszy i pozostaje wierna swojej dzielnicy; Augustynę zaś, poślubiającą artystę i szlachcica, wyszydzali z lekka, bowiem powodowała nimi zawiść; dodawali z niejakim lękiem, że skoro Guillaume'owie mają już ambicję, sukiennictwo upada. A kiedy stary kupiec wachlarzów powiedział, że ten marnotrawca niebawem przepuści majątek żony, papa Guillaume powinszował sobie *in petto*[41] mądrych klauzul, jakie umieścił był w ślubnej intercyzie. Wieczorem, po wspaniałym balu i jednej z owych obfitych kolacji, jakich obecne pokolenie prawie już nie pamięta, państwo Guillaume pozostali w swoim pałacyku na ulicy Gołębiej, gdzie odbyło się wesele, a państwo Lebas wrócili najętym powozem do starego domostwa na ulicy Świętego Dionizego, aby prowadzić antyczną nawę „Kota z Rakietką"; artysta, pijany szczęściem, wziął ukochaną Augustynę w ramiona, a gdy ekwipażyk zajechał na ulicę Trzech Braci, porwał ją na ręce i zaniósł do apartamentu ozdobionego tak, jak tylko wymarzyć sobie można.

Teodorem zawładnęła namiętność nieokiełznana, przeto młodemu małżeństwu minął niepostrzeżenie blisko rok, w czasie którego ani jedna chmurka nie skaziła lazuru ich nieba. Dla

[40] B e n e s i t (łac.) – dobrze, niech będzie.

[41] I n p e t t o (wł.) – w sercu, w myśli.

tych dwojga kochanków egzystencja nie miała nic uciążliwego. Teodor wynajdował co dnia nowe zadziwiające f i o r i t u r y[42] rozkoszy, lubował się w ciągłym odmienianiu miłosnych porywów, a sekundowało mu tutaj miękkie rozleniwienie owej bezczynności, kiedy dusze ogarnięte ekstazą wzbijają się tak wysoko, że zdają się zapominać o związku cielesnym. Szczęśliwa Augustyna, niezdolna do refleksji, pozwalała biernie kołysać się szczęściu – sądziła jednak, iż nie dość jest oddawać się w pełni dozwolonym i uświęconym amorom małżeńskim; prosta i naiwna, nie miała zresztą pojęcia o kokieterii tającej się w odmowie ani też o władzy, jaką młoda dama z wielkiego świata zdobywa, dzięki kaprysom, nad mężem; była zbyt zakochana, aby obliczać rzecz na przyszłość, i nie wyobrażała sobie, by życie tak czarowne mogło kiedykolwiek się skończyć. Szczęśliwa, że jest dla męża radością jedyną, uwierzyła, iż ta miłość nie wygasająca będzie zawsze stanowiła najpiękniejszą z jej ozdób, posłuszeństwo zaś i oddanie – wieczysty jej powab. Na koniec szczęśliwość miłosna uczyniła ją tak ponętną, iż jej uroda obudziła w niej pychę i przekonanie, że zawsze zdoła rządzić mężczyzną tak do amorów pochopnym jak pan de Sommervieux. Tedy małżeństwo nauczyło ją li tylko miłości. W łonie tego szczęścia pozostała nadal głupiutkim dziewczątkiem, które żyło w mrokach ulicy Świętego Dionizego, i ani myślała uczyć się dystynkcji, kształcić się, przystosowywać do tonu świata, gdzie się znalazła. Słowa jej były słowami zakochanej: umiała wybornie zabłysnąć w nich czymś na kształt giętkości umysłu i niejaką subtelnością wyrazu; ale mowa taka jest pospolita u wszystkich kobiet ogarniętych namiętnością miłosną, będącą jakby ich żywiołem. Jeśli przypadkiem Augustyna wyraziła myśl sprzeczną z poglądami Teodora, artysta zaśmiewał się, podobnie jak zaśmiewamy się z pierwszych błędów popełnianych przez cudzoziemca, które jednak, o ile się wreszcie nie poprawi, zaczynają nas irytować. Mimo tak wielkiej miłości, pod koniec owego roku równie uroczego, jak szybko mijającego, Sommervieux uczuł któregoś ranka, że musi powrócić do swoich prac i nawyków. Augustyna była zresztą brzemienna. Jął widywać się znowu z przyjaciółmi. Owego roku pełnego cierpień, kiedy to kobieta po raz pierwszy karmi dziecię, pracował bez wątpienia z zapałem; ale czasami pokazywał się w salonach szukając rozrywek. Najchętniej bywał u księżnej de Carigliano, która na koniec ściągnęła do swojego domu znakomitego artystę. Kiedy Augustyna wydobrzała, a synek jej nie wymagał już nieprzerwanej opieki, odcinającej matkę od wszelkich uciech światowych, Teodor zapragnął, dojrzawszy właśnie do tego, rozkoszy, jaką daje nam miłość własna, gdy pojawimy się w towarzystwie z kobietą piękną, przedmiotem ogólnej zazdrości i podziwu. Kroczyć przez salony w glorii, jakiej użycza mężowska sława, widzieć zazdrosne spojrzenia kobiet było dla Augustyny nowym żniwem radości; lecz był to i odblask ostatni, jaki miało jej rzucić szczęście małżeńskie. Zaczęło się od tego, że drażniła próżność Teodora, jeśli mimo daremnych wysiłków powiedziała jakieś głupstewko świadczące o brakach jej wykształcenia, wyraziła się niewłaściwie lub okazała ciasnotę umysłu. Pan de Sommervieux, który uległ był na blisko dwa i pół roku pierwszym porywom miłości, wracał obecnie do dawnych nawyków, a skłonności jego, zmieniwszy chwilowo bieg naturalny, skierowały się znowu właściwą im drogą, tym spokojniej i pewniej, że już ostygł nieco w zapałach. Poezja, malarstwo, urocze igraszki wyobraźni mają do umysłów wyższych nie ulegające przedawnieniu prawa. Potrzeby, jakie odczuwa dusza wyjątkowa, nie były przez dwa lata u Teodora oszukiwane: znalazły po prostu nowy pokarm. Ale kiedy nasz artysta przebiegł pola miłości, kiedy, niczym dziecko, zrywał róże i bławatki tak chciwie, iż nie spostrzegł się, że nie zdoła dźwignąć tych naręczy, zmieniła się dekoracja. Kiedy malarz pokazywał żonie szkice swoich najpiękniejszych kompozycji, słyszał okrzyk jak gdyby wyjęty z ust papy Guillaume'a: – To bardzo ładne! – Ów obojętny podziw nie wynikał ze znawstwa: Augustyna wierzyła po prostu miłości na słowo. Wolała spojrzenie od najpiękniejszego obrazu. Znała tylko

[42] F i o r i t u r a (wł.) – ozdoba.

jedną wspaniałość – wspaniałość serca. Wreszcie Teodor nie mógł dalej zamykać oczu na okrutną prawdę: żona jego nie odczuwała poezji, przebywała w innym kręgu, nie podążała za nim w jego fantazjach, improwizacjach, nie dzieliła z nim radości i zgryzot; chodziła po ziemi nie odrywając od niej stóp, gdy on bujał pod niebem. Umysł pospolity nigdy pojąć nie zdoła, jak odradzają się wciąż cierpienia u człowieka, co złączywszy się z drugim człowiekiem więzią najbardziej osobistego spośród wszelkich sentymentów, musi tłumić bez przerwy najdroższe wzloty swojej myśli, spychać w nicość obrazy, które nakazuje mu tworzyć magiczna potęga. Owo cierpienie dręczy nas tym okrutniej, iż afekt, jaki żywimy do towarzysza, nie dozwala nam, to tutaj główne prawo, nic ukrywać, musimy wszystko zawierzać sobie wzajem, kojarzyć zarówno wzloty myśli, jak i duszy. Nikt dotąd nie oszukał bezkarnie woli, jaką objawia natura: jest ona nieubłagana jak Konieczność, będąca na pewno czymś w rodzaju natury społeczeństw. Sommervieux, schroniwszy się w ciszę i spokój swojej pracowni, liczył na to, iż Augustyna, obracając się stale w środowisku artystycznym, nabierze umysłowej ogłady i że zakiełkują w niej uśpione ziarna wysokiej inteligencji, którą, według kilku znamienitych umysłów, wyposażona jest odwiecznie każda żywa istota; lecz Augustynę przeraził ton rozmów, jakie prowadzili artyści, bowiem cechowała ją aż nazbyt naiwna wiara. W czasie pierwszego obiadu, jaki urządził Teodor, jeden z młodych malarzy powiedział do niej z ową dziecinną lekkomyślnością, na której poznać się nie umiała, lekkomyślnością uwalniającą żart od wszelkiego bluźnierstwa: – Ale czyż raj łaskawej pani nie jest piękniejszy niż „Przemienienie Pańskie" Rafaela? E, bo już mi się znudziło patrzeć na ten obraz. – Zachowując się w tym wesołym towarzystwie z rezerwą, którą każdy spostrzegł, Augustyna stawała się krępująca. Artyści krępowani są bezlitośni; uciekają albo szydzą. Pani Guillaume, mając również inne śmieszności, nosiła się nazbyt godnie, gdyż wydawało jej się to atrybutem mężatki; Augustyna, chociaż często pokpiwała z matki, naśladowała po trosze jej pruderię, nie umiejąc się przed tym uchronić. Ta przesadna skromność, której nie zawsze potrafi uniknąć kobieta cnotliwa, stała się tematem paru zabawnych rysuneczków, gdzie żart był tak niewinny i utrzymany w tak dobrym tonie, że Sommervieux nie mógł się obrazić. Gdyby nawet owe facecje były złośliwsze, należało je mimo wszystko traktować jako presję wywieraną na Teodora przez przyjaciół. Ale Teodor takie już miał usposobienie, iż na każdy bodziec zewnętrzny reagował łatwo i zawsze zbyt mocno. Odczuwał więc zwolna coraz większy chłód, i tak być musiało. Kto w małżeństwie pragnie osiągnąć szczęście, musi wspiąć się na górę o ściętym wierzchołku, lecz miejsca tam niewiele, a zbocze, po którym wszedł, jest równie strome, jak i zbocze wiodące w dół: owóż miłość naszego malarza zsuwała się już z owej stromizny. Zawyrokował tedy, że Augustyna niezdolna jest ocenić przymioty duchowe, co w jego własnych oczach usprawiedliwiały szczególny sposób, w jaki odnosił się do niej, i rozgrzeszył się całkiem, iż tai przed nią pewne myśli, boć i tak by ich nie zrozumiała, i pewne wybryki, którym trybunał moralności mieszczańskiej nie okazałby raczej pobłażania. Augustyna zamknęła się w sobie zbolała, posępna i milcząca. Owe zatajone uczucia rozpostarły między małżonkami zasłonę gęstniejącą z dnia na dzień. Augustyna, choć mąż nie uchybiał należnym jej względom, drżała jednak, widząc, że przeznacza dla świata skarby dowcipu i wdzięku, które dawniej składał u jej stóp. Wkrótce jęła tłumaczyć na swoją niekorzyść zabawne rozmowy na temat niestałości męskiej, jakie często prowadzi się w salonach. Nie skarżyła się, ale samo jej zachowanie było niemym wyrzutem. W trzy lata po ślubie ta śliczna i młoda kobieta, jakże wykwintna, gdy jechała na promenadę swoim wykwintnym powozikiem, przebywająca w rejonach sławy i dobrobytu, dokąd ciśnie się mnóstwo ludzi płytkich, niezdolnych do trzeźwej oceny pewnych sytuacji życiowych, stała się pastwą gwałtownej zgryzoty; rumieńce jej przybladły, jęła się zastanawiać i porównywać; a potem nieszczęście otwarło przed nią pierwsze karty księgi doświadczenia. Zdecydowała odważnie, iż nie opuści kręgu swoich obowiązków, spodziewając się, że tym szlachetnym postępowaniem odzyska prędzej czy później mężowską miłość; zawiodła się jednak.

Kiedy Sommervieux wychodził strudzony z pracowni, Augustyna nie chowała swojego szycia tak szybko, by malarz nie mógł się połapać, że żona reperuje ze skrupulatnością właściwą dobrej gospodyni zarówno bieliznę stołową, jak i jego osobistą. Dawała hojnie, bez szemrania pieniądze potrzebne rozrzutnemu mężowi; ale pragnąc ocalić fortunę swego najdroższego Teodora, skąpiła bądź sobie, bądź na niektóre wydatki domowe. Praktyczność taka nie da się pogodzić z usposobieniem artystów, którzy jako letkiewicze, sycący się zapamiętale uciechami życia, nie zastanawiają się nigdy pod koniec swojej kariery, co ich właściwie zrujnowało. Miodowy miesiąc Augustyny i Teodora był świetny i pełen blasku; w obecnej chwili blask ten zwolna i nieuchronnie wygasał, opisywać jednak nie warto wszystkich owych stopni, które ich wiodły w głęboką ciemność. Smutna Augustyna słyszała już od dawna entuzjastyczne zachwyty męża nad księżną de Carigliano, pewnego zaś wieczoru jedna z przyjaciółek zwróciła jej w sposób zjadliwie miłosierny uwagę na rodzaj sympatii, jaką Sommervieux powziął był do tej słynnej zalotnicy cesarskiego dworu. W dwudziestym pierwszym roku życia, w pełnym rozkwicie młodości i urody, Augustyna dowiedziała się, że mąż zdradza ją z kobietą trzydziestosześcioletnią. Biedactwo, nieszczęśliwe w salonach i pośród zabaw, które wydawały jej się martwe, nie pojmowało wcale ani uwielbienia, ani zazdrości, jakie budziła. Lica Augustyny nabrały nowego wyrazu. Melancholia przepoiła jej rysy łagodnym zrezygnowaniem i bladością kobiety, której uczuciem wzgardzono. Wkrótce jęli zalecać się do niej mężczyźni najbardziej czarujący; ale pozostała samotna i cnotliwa. Kilka słów pogardliwych, które wymknęły się Teodorowi, strąciło ją w otchłań rozpaczy. Posępny przebłysk światła ukazał jej na moment błędy pożycia – błędy wyjaskrawiane wciąż małostkowością wynikłą z edukacji – które nie dopuściły do całkowitego związku dwojga dusz; kochała jednak na tyle, iż rozgrzeszyła Teodora, siebie zaś potępiła. Płakała krwawymi łzami, a przekonała się zbyt późno, iż mezalianse duchowe istnieją tak samo, jak obyczajowe i towarzyskie. Dumając o wiosennych rozkoszach swojego związku, pojęła ogrom minionego szczęścia i zgodziła się w duchu, że tak bogate żniwo miłości jest warte całego życia i że za tyle radości musi bezwzględnie odpokutować. Z tym wszystkim kochała zbyt szczerze, by stracić wszelką nadzieję. Toteż odważyła się w dwudziestym pierwszym roku życia rozpocząć naukę i jęła rozwijać swoją wyobraźnię tak, aby stała się ona przynajmniej godną człowieka, którego wielbiła. „Skoro nie jestem poetką – mówiła sobie – będę chociaż rozumieć poezję". I ogromnym wysiłkiem woli, uciekając się do owej energii, jaką posiada każda kobieta zakochana, pani de Sommervieux próbowała odmienić swój charakter, obyczaje i nawyki; ale pochłaniając tom za tomem, studiując dzielnie, osiągnęła tylko jedno: umniejszyła swoją ignorancję. Lotność umysłu i umiejętność prowadzenia wdzięcznej rozmowy są albo darem naturalnym, albo owocem edukacji rozpoczętej już w kołysce. Mogła ocenić muzykę, rozkoszować się nią, ale zaśpiewać z artyzmem nie umiała. Pojęła literaturę i uroki poezji, ale już było za późno, by mogła nią ozdobić swoją oporną pamięć. Przysłuchiwała się z przyjemnością salonowym pogawędkom, lecz nie bogaciła ich nigdy, błysnąwszy dowcipem. Przekonania religijne i przesądy tkwiące w niej od dzieciństwa nie dozwalały inteligencji wyzwolić się całkiem. Ponadto zaś uprzedzenie do żony wśliznęło się w duszę Teodora tak głęboko, iż nie potrafiła go przełamać. Malarz kpił sobie z tych, którzy chwalili jego żonę, i nie były to żarty bezpodstawne; tak imponował temu młodziutkiemu i wzruszającemu stworzeniu, że gdziekolwiek znaleźliby się razem, w towarzystwie czy sam na sam, Augustyna drżała przed nim. Nazbyt chciała się podobać, i to właśnie rzecz utrudniało, bo zdawała sobie sprawę, że uczucie jedyne niweczy zarówno jej poglądy, jak i wiadomości. Ten zaś niewierny mąż irytował się nawet i wiernością żony – zdawał się nakłaniać Augustynę do błędów, poczytując jej cnotę za brak temperamentu. Augustyna daremnie usiłowała odstąpić od zasad, nagiąć się do kaprysów i fantazyj męża, gotowa do poświęceń na rzecz jego próżności skojarzonej z egoizmem; ofiara jej nie wydała żadnego owocu. Kto wie, czy nie przepuścili momentu, w którym dusze zrozumieć się mogą. Pewnego dnia nazbyt wrażliwe serce młodej małżonki otrzymało jeden z tych ciosów,

od których więź uczucia napina się tak mocno, że właściwie pęka. Odgrodziła się od świata. Ale wkrótce, za podszeptem fatalnej myśli, udała się po radę i pociechę do rodziny.

Któregoś więc ranka podążyła ku groteskowej fasadzie skromnego i cichego domostwa, gdzie upłynęło jej dzieciństwo. Westchnęła na widok owego okna, skąd kiedyś przesłała pierwszy pocałunek mężczyźnie, który dziś zarówno uświetniał jej życie, jak czynił je nieszczęśliwym. Nic nie zmieniło się w tej jaskini, chociaż odmładzano tu branżę sukienniczą. Siostra Augustyny siedziała za staroświeckim kontuarem tam, gdzie dawniej siadywała matka. Biedactwo natknęło się na szwagra: miał pióro zatknięte za uchem i wysłuchał jej jak z łaski, taki był zaaferowany: zewsząd wyzierały straszliwe oznaki generalnego inwentarza; sumitując się tedy – zniknął. Siostra powitała ją dość chłodno, nie zataiwszy pewnej urazy. Augustyna bowiem, co wystrojona jak lalka wysiadła właśnie ze ślicznego ekwipażyku, rzadko wstępowała do niej i zawsze na chwilkę, po drodze. Jakoż małżonka przezornego Józefa Lebas, wyobraziwszy sobie, że główną przyczyną tych porannych odwiedzin są li tylko pieniądze, starała się mówić tonem pełnym rezerwy, na co Augustyna uśmiechnęła się raz i drugi. Żona malarza stwierdziła, iż matka przekazała Wirginii w dziedzictwie nie tylko czepiec koronkowy, lecz i dbałość o pradawny honor „Kota z Rakietką". Przy śniadaniu zaś dostrzegła w trybie domowym pewne zmiany, przynoszące zaszczyt zdrowemu rozsądkowi Józefa Lebas: subiekci nie wychodzili, kiedy wnoszono deser, wolno im było odzywać się przy stole, a obfitość potraw świadczyła o zamożności nie sadzącej się na zbytek. Młoda elegantka zauważyła też bilety do loży w Komedii Francuskiej, gdzie, jak przypomniała to sobie, widywała niekiedy siostrę. Pani Lebas miała na ramionach przepyszny szal kaszmirowy, wskazujący, iż małżonek obdarowywał ją hojnie. Na koniec, obydwoje szli z duchem czasu. Augustyna roztkliwiła się niebawem, a przyglądając się niemal do wieczora szczęściu, jakiego zażywali ci dobrani małżonkowie, przekonała się, iż co prawda monotonne i pozbawione wzlotów, wolne było od burz. Ustosunkowali się do życia jak do przedsiębiorstwa handlowego, gdzie należało przede wszystkim utrzymywać wysoko honor firmy. Nie spotkawszy u męża miłości gorącej, żona postarała się ją rozniecić. Sprawiła niepostrzeżenie, iż otoczywszy ją zrazu względami, pokochał później szczerze, a dość długi okres czasu, w którym wykluwało się ich szczęście, był dla Józefa i Wirginii gwarancją jego trwałości. Toteż kiedy rozżalona Augustyna przedstawiła swoją bolesną sytuację, omal nie zatonęła w powodzi komunałów, których moralność „Kota z Rakietką" wyuczyła jej siostrę.

– Zło stało się już, moja droga – powiedział Józef Lebas – starajmy się teraz udzielić Augustynie dobrych rad.

Zaczem sprytny kupiec jął analizować z iście niedźwiedzią subtelnością, jaki rodzaj pomocy prawo i obyczaj mogły okazać Augustynie, aby wydobyć ją z krytycznej sytuacji; ponumerował, by tak rzec, swoje wywody, ułożył – zaczynając od argumentów najsilniejszych – wedle gatunku, jak gdyby miał do czynienia z rozmaitym towarem; następnie umieścił je na szali, zważył i rozwodząc się szeroko nad tym, że sprawa jest nagląca, doradził szwagierce, aby uciekła się do środków jak najbardziej radykalnych, czym uraził ją w miłości, którą wciąż jeszcze darzyła męża; uczucie to zbudziło się z całą swoją mocą, gdy pan Józef mówił o drodze sądowej. Augustyna, podziękowawszy szwagrowi i siostrze, wróciła do domu jeszcze bardziej niezdecydowana, nic jej bowiem te rady nie dały. Odważyła się więc pojechać do staroświeckiego pałacyku przy ulicy Gołębiej, umyśliwszy zwierzyć się ze swoich nieszczęść rodzicom, przypominała bowiem chorego, który, będąc już w beznadziejnym stanie, próbuje wszystkich leków i sposobów, nawet babskich. Starsi państwo przyjęli Augustynę z takim wylaniem i serdecznością, że się rozczuliła. Wizyta córki była dla nich rozrywką, niczego zaś wyżej sobie nie cenili. Od czterech lat życie było dla nich tym, czym dla żeglarzy jest podróż bez busoli i wytkniętego celu. Siedząc przy kominku wspominali wszystkie klęski z okresu Maximum, transporty sukna, jakie niegdyś nabywali, sposoby, dzięki którym unikali bankructw, ale głównym tematem owych pogwarek było słynne bankructwo Lecocqa – bitwa pod

Marengo starego Guillaume. Nagadawszy się do syta o dawnych procesach, wyszczególniali zarobki z lat najzyskowniejszych i opowiadali sobie jeszcze stare anegdoty krążące w Dzielnicy Świętego Dionizego. O drugiej pan Guillaume wychodził, aby rzucić okiem na sklep pod „Kotem z Rakietką"; w drodze powrotnej zatrzymywał się przed innymi sklepami, nie omijając żadnego, które dawniej konkurowały z jego firmą – młodzi ich właściciele starali się wciągnąć sędziwego kupca w jakąś ryzykowną spekulację, on zaś, wedle zwyczaju, nigdy stanowczo nie odmawiał. Dwa tęgie konie normandzkie zdychały w pałacowej stajni z zapasienia, albowiem pani Guillaume posługiwała się nimi tylko w niedzielę, kiedy to kazała się wieźć na sumę do swojego kościoła parafialnego. Owa czcigodna para przyjmowała trzy razy w tygodniu. Dzięki stosunkom swojego zięcia, pana de Sommervieux, stary Guillaume został powołany do komitetu doradczego, który czuwał nad umundurowaniem armii. Kiedy jej małżonka mianowano w administracji dygnitarzem tak wysokim, pani Guillaume postanowiła, rada nierada, reprezentować; zatłoczyła więc mieszkanie tyloma srebrnymi i złotymi bibelotami, tyloma meblami niegustownymi, lecz nie pozbawionymi pewnej wartości, że każdy pokój, choćby najskromniejszy, przypominał kaplicę. Oszczędność i rozrzutność kłóciły się jakby w każdym szczególe urządzenia pałacyku. Powiedziałbyś, że Pan Guillaume, kupując nawet lichtarz, myślał o lokacie pieniądza. Na tym straganie, którego bogactwo świadczyło o bezczynności dwojga małżonków, słynny obraz Teodora de Sommervieux otrzymał honorowe miejsce i stanowił dla państwa Guillaume pocieszenie: ze dwadzieścia razy na dzień zwracali swe oczy uzbrojone okularami ku temu malowidłu wyobrażającemu dawną ich egzystencję, czynną i jakże dla nich ciekawą. Augustynę zdumiał zarówno widok tego pałacyku i tych pokojów, gdzie wszystko trąciło starzyzną i miernotą, jak i dwojga istot, uwięzionych niby na złotej skale, z dala od świata i jego ożywczej myśli; oglądała w tym momencie drugą część dyptyku, którego część pierwsza uderzyła ją u Józefa Lebas: był to obraz życia czynnego, chociaż nieruchawego, czegoś na kształt egzystencji mechanicznej, opartej o instynkt, podobnej do egzystencji bobrów; i wtedy, pomyślawszy o swoich zgryzotach, uniosła się jakąś nieokreśloną dumą: toć miały one źródło w szczęściu trwającym przez półtora roku, szczęściu wartym w jej oczach tyle, co tysiąc takich egzystencji jak ta, której pustkę uważała za okropną. Ale zataiwszy to niezbyt chrześcijańskie uczucie, roztoczyła przed sędziwymi rodzicami nowe wdzięki swojego umysłu, zalotną serdeczność, której nauczyły ją amory, i tym sposobem nastroiła ich przychylnie do wysłuchania lamentów natury matrymonialnej. Starzy ludzie mają słabość do wynurzeń tego rodzaju. Pani Guillaume wypytywała o najdrobniejsze szczegóły tego dziwacznego życia, które dla niej miało coś z bajki. Podróże barona de La Hontan[43], których lekturę wciąż rozpoczynała i nigdy nie mogła skończyć, nie opowiedziałyby jej o życiu kanadyjskich dzikusów rzeczy bardziej osobliwych.

– I jakże to, moje dziecko? Twój mąż zamyka się z nagimi kobietami, a ty w naiwności swojej wierzysz, że je rysuje?

Wyrzekłszy to dobitnie, babcia położyła okulary na stoliczku do robót, strząsnęła spódnice, splotła ręce i oparła je na kolanach, uniesionych dzięki szkandeli – był to jej ulubiony podnóżek.

– Ależ, mamo, każdy malarz musi mieć modelki.

– Nie pochwalił nam się tym, oświadczając się o ciebie. Gdybym wiedziała, nie oddałabym córki człowiekowi parającemu się podobnym rzemiosłem. Religia zabrania tych obrzydliwości, to niemoralne. To o której, powiadasz, wraca do domu?

– No, o pierwszej, czasem o drugiej...

Małżonkowie spojrzeli po sobie, głęboko zdziwieni.

[43] Baron de La Hontan odbył podróż do Kanady w latach 1683–1691; opis tej podróży opublikował między rokiem 1703 a 1709.

– W takim razie on gra – orzekł pan Guillaume. – Za moich czasów tylko gracze wracali tak późno.

Augustyna wydęła lekko wargi, na znak, że przeczy temu oskarżeniu.

– Okrutnie musisz cierpieć w nocy, oczekując na niego – podjęła pani Guillaume. – Ale nie, kładziesz się, prawda? No i oczywiście jeśli ten potwór przegra, to cię budzi.

– Nie, mamo, przeciwnie; czasem bywa w wybornym humorze. A nawet dość często, przy pięknej pogodzie, namawia mnie, żebym wstała i poszła z nim do lasu.

– Do lasu! O tej porze? Musicie mieć bardzo ciasne mieszkanko, skoro mu nie dość jego pokoju i salonów, skoro lata jak diabli... E, ten zbrodniarz proponuje ci te spacerki, żebyś nabawiła się kataru. Chce się ciebie pozbyć. Słychane to rzeczy, żeby człowiek żonaty, mający spokojną profesję, upędzał się jak wilkołak?

– Ależ, mamo, nie rozumiesz, że on musi rozwijać swój talent, a do tego potrzebne mu są podniety. Bardzo lubi sceny, które...

– O, już ja bym robiła sceny, i to jakie! – zawołała pani Guillaume przerywając Augustynie. – Jakże ty możesz patyczkować się z takim człowiekiem? Przede wszystkim nie podoba mi się to, że pija tylko wodę. To niezdrowo. I czemu nie może patrzeć na kobiety, kiedy jedzą? Wyjątkowe dziwactwa! Przecież to wariat! E, naopowiadałaś nam jakichś banialuk. Niemożliwe, aby ktoś wyszedł z domu i, nie uprzedziwszy ani słowem, wrócił dopiero po dziesięciu dniach. Powiedział ci, że był w Dieppe i malował morze! A któż maluje morze? Kłamie jak z nut.

Augustyna otwarła usta, by bronić męża, lecz pani Guillaume nakazała jej milczenie gestem, jakżeż ongi władczym. Córka zamilkła więc, pozostały w niej bowiem resztki posłuszeństwa, a matka ozwała się ostro:

– Dość! Nie mów mi więcej o tym panu! Dwa razy w życiu przestąpił progi kościoła: żeby cię zobaczyć i żeby cię poślubić. Bezbożnicy są zdolni do wszystkiego. Czy mój mąż ośmielił się kiedy zataić przede mną cokolwiek, przez trzy dni nie powiedzieć do mnie ani słowa, a potem gadać jak najęty?

– Ależ, kochana mamo, zbyt surowo sądzisz ludzi wyjątkowych. Gdyby myśleli tak jak inni, nie byliby ludźmi talentu.

– A, w takim razie niechże ludzie talentu nie mieszają się między ludzi zwyczajnych i niech się nie żenią! Jak to! Człowiek talentu unieszczęśliwia żonę i to ma być w porządku, ponieważ ma talent? Talent, talent!... To jeszcze nie talent wmawiać co chwila, tak jak on, że białe jest czarne, przerywać ludziom w pół słowa, wychwalać się bezwstydnie, bajdurzyć, póki nie dostaniesz kołowacizny, zmuszać żonę, żeby się nie weseliła, póki panu i władcy nie poprawi się humor; smuciła się, kiedy on posmutnieje.

– Ależ, mamo, właściwością tych imaginacji...

– A cóż to takiego te imaginacje? – podjęła pani Guillaume, znowu przerywając córce. – Dalibóg, masz się za czym ujmować! To jakiś dziwak: raptem, nie poradziwszy się lekarza, zaczyna ot tak dla fantazji jadać tylko jarzyny. No, gdyby powodował się religijnością, taka dieta przydałaby mu się na coś; ale on taki pobożny jak hugonot. Słychane to, żeby ktoś, tak jak on, miłował bardziej konie niż bliźniego, żeby trefił włosy niczym poganin, figury przykrywał muślinem, a w dzień kazał zamykać okiennice i pracował przy lampie? Słuchaj, moja duszko, gdyby on nie był takim jawnym rozpustnikiem, nadawałby się do domu wariatów. Poradź się księdza Loraux, wikarego od Świętego Sulpicjusza, zapytaj, co sądziłby o tym wszystkim, a powie ci, że twój mąż nie żyje po bożemu...

– O mamo! Gdybyś mogła uwierzyć...

– Tak, wierzę! Kochałaś go, to i nic nie zauważyłaś. Ale ja, tak jakoś zaraz po waszym ślubie, pamiętam, spotkałam go na Polach Elizejskich. Jechał konno. Ale jak! Przez moment galopował, aż się kurzyło, a potem zatrzymywał się i wlókł się stępa. Powiedziałam sobie wtedy: „O, to jakiś postrzeleniec”.

– A! – wykrzyknął pan Guillaume zacierając ręce. – Dobrzem uczynił oddzielając w kontrakcie ślubnym twoją fortunę od fortuny tego cudaka!

Augustyna, w nierozwadze swojej, przytoczyła istotne zarzuty, jakie mogła postawić mężowi, a wtedy starsi państwo zaniemówili z oburzenia. Pani Guillaume napomknęła zaraz o rozwodzie. Kiedy padło to słowo, eks-kupiec jakby się zbudził. Miłość, jaką żywił do córki, urozmaicenie, które proces wniósłby w monotonię jego życia, dały mu bodźca: papa Guillaume zabrał głos. Wystąpił już w myśli o rozwód, pokierował sprawą, prowadził ją niemal; oznajmił córce, że weźmie na siebie wszelkie koszty, że będzie konferował z sędziami, obrońcami i adwokatami, że poruszy niebo i ziemię. Pani de Sommervieux, przerażona tym, podziękowała ojcu za dobre chęci, mówiąc, że nie pragnie separacji z mężem, choćby nawet miała być dziesięć razy nieszczęśliwsza – i przestała opowiadać o swoich zgryzotach. Znudziwszy się do cna milczącą serdecznością, jaką baczni na każdy drobiazg rodzice okazali jej usiłując na próżno pocieszyć córkę w sercowych kłopotach, Augustyna wyszła z przeświadczeniem, że nigdy żadną perswazją nie skłoni umysłów pospolitych do właściwego sądu o ludziach wyjątkowych. Nauczyła się, że kobieta winna taić przed wszystkimi, nawet przed rodzicami, owe nieszczęścia, w których tak trudno znajdujemy współczucie. Burze i cierpienia spotykane na wyżynach oszacują tylko duchy szlachetne, tam zamieszkujące. W każdej kwestii możemy być sądzeni jedynie przez równych sobie.

Biedna Augustyna powróciła tedy w lodowatą atmosferę swojego domu, rzucona na pastwę okrutnych rozważań. Studia nic już dla niej nie znaczyły, skoro dzięki nim nie odzyskała mężowskiego serca. Wtajemniczona w sekrety owych dusz płomiennych, ale odcięta od źródła, skąd czerpią żar, dzieliła z całą mocą ich troski, nie dzieląc z nimi rozkoszy. Zbrzydziła sobie świat, wydał jej się bowiem małostkowy i nie dorastający do wydarzeń, jakie powoduje namiętność. Słowem, nie powiodło jej się w życiu. Jednego wieczoru nawiedziła ją myśl rozświetlając, niby niebiański promień, mroki jej cierpienia. Myśl taka mogła uśmiechać się tylko sercu równie czystemu i cnotliwemu jak serce Augustyny. Zdecydowała się pójść do księżnej de Carigliano, nie po to, by upomnieć się o serce męża, lecz dlatego, aby się dowiedzieć, jakimi przebiegami księżna owego serca ją pozbawiła; aby tę pyszną damę światową wzruszyć swoim losem matki: była przecież matką dzieci jej kochanka; aby księżna zmiękłszy dopomogła jej w przyszłości odzyskać szczęście, tak jak teraz pchała ją w otchłań nieszczęścia. Owóż jednego dnia nieśmiała Augustyna, uzbroiwszy się w nadnaturalną odwagę, wsiadła o drugiej do powozu: postanowiła sobie, że dotrze aż do buduaru słynnej zalotnicy, która przed tą godziną nie pokazywała się nikomu. Pani de Sommervieux nie znała jeszcze starych i przepysznych pałaców na Przedmieściu Saint-Germain. Kiedy mijała majestatyczne przedsionki i wstępowała na imponujące schody, kiedy znalazła się w olbrzymich salonach udekorowanych kwiatami, choć zima dawała się we znaki, a urządzonych z owym smakiem charakterystycznym dla kobiet, co urodziły się w bogactwie albo przyniosły ze sobą na świat wykwintne obyczaje arystokracji, serce jej ściskało się, pełne srogiej boleści; pozazdrościła tajemnic owego wykwintu, o którym nigdy nie miała pojęcia: oddychała wielkością, to zaś wyjaśniło jej, czemu ten dom tak ciągnie Teodora. Gdy znalazła się w apartamenciku księżnej i jęła podziwiać uroczy smak, z jakim ustawiono tu meble, rozwieszono draperie i dobrano obicia zdobiące ściany, zazdrość pomieszała się z uczuciem pokrewnym rozpaczy. Nieład był tu wdziękiem, przepych udawał coś na kształt pogardy dla bogactwa. W powietrzu nie przegrzanym unosiły się zapachy, które nie drażniąc powonienia pieściły je. Każdy szczegół umeblowania harmonizował z widokiem, jaki przez lustrzane szyby roztaczał się na trawniki i zielone drzewa ogrodu. Wszystko tutaj urzekało, ale nie dostrzegłbyś powziętego z góry zamysłu. Cały geniusz pani tego domu wibrował w salonie, gdzie czekała Augustyna. Przyglądając się różnym przedmiotom, usiłowała odgadnąć charakter swojej rywalki; ale zarówno w tym nieładzie, jak i w symetrii było coś nieprzeniknionego, stanowiącego dla prostodusznej

Augustyny tajemny alfabet. Z tego, co widziała, mogła tylko wnieść, że księżna, nie wyzbyw-

inne dom pani i dlaczego umysł pani ma nad moim mężem aż taką władzę. Niestety! Wystarczyło mi zastanowić się nad sobą, żeby znaleźć racje, i to aż nazbyt wystarczające. Ale, proszę pani, ja uwielbiam mojego męża. Dwa lata łez nie wymazały jego obrazu z mojego serca, chociaż serce męża już utraciłam. W szaleństwie swoim ośmieliłam się wpaść na pomysł, żeby walczyć z panią; przychodzę więc do pani, by zapytać, jakim sposobem mogłabym za-

– Jak to, proszę pani! Trzeba więc ukrywać, obliczać, stać się fałszywą, stworzyć sobie sztuczny charakter, i to na zawsze? O! Jakże tak żyć podobna! Czy potrafiłaby pani...

Zawahała się, księżna się uśmiechnęła.

– Moja droga – podjęła poważnie wielka dama – szczęście małżeńskie było, jak świat światem, spekulacją, interesem, który wymaga szczególnej uwagi. Jeśli będziesz pani wciąż mówić o afekcie, podczas gdy ja mówię o małżeństwie, przestaniemy się niebawem rozumieć. Posłuchaj mnie – tu głos jej zabrzmiał, jak gdyby przystępowała do zwierzeń. – Miałam okazję poznać paru najwybitniejszych ludzi naszej epoki. Jeśli któ

– O, to strata wielka, zapewne! – zawołała sędziwa regentka spod „Kota z Rakietką”. – Podobny był, to prawda; ale dowiedziałam się, że na bulwarze jeden pan robi prześliczne portrety po pięćdziesiąt dukatów od sztuki.

– Ach mamo, mamo!...

– Moje biedne maleństwo, miałaś po stokroć rację! – ulitowała się pani Guillaume nie zrozumiawszy spojrzenia, pełnego wyrazu, jakie przesłała jej córka. – E, bo, moje dziecko, tylko matka potrafi kochać czule. Domyślam się wszystkiego, moja pieszczotko; ale i tak opowiedz mi o swoich smutkach, to cię pocieszę. Nie mówiłam ci, że to wariat? Twoja pokojowa naopowiadała mi historyjek a historyjek... Ależ to istny potwór!

Augustyna przytknęła palec do zbielałych warg, jak gdyby błagała matkę, by zamilkła na chwilę. W czasie tej okropnej nocy nieszczęście nauczyło ją rezygnacji, owej cierpliwej rezygnacji, która u matek i kochających kobiet przewyższa w swoich wynikach energię mężczyzny i może świadczy, iż w sercach kobiecych istnieją pewne struny, których Bóg mężczyźnie odmówił.

Napis wyryty na ściętej kolumnie, zdobiącej jeden z grobów na cmentarzu Montmartre, powiada, że pani de Sommervieux zmarła w dwudziestym siódmym roku życia. W prostych słowach owego epitafium przyjaciel nieśmiałej Augustyny dopatruje się ostatniej sceny dramatu. Co rok, w uroczysty dzień drugiego listopada, rozmyśla, przystając obok tego świeżego jeszcze marmuru, czy dla potężnych uścisków geniusza nie trzeba kobiet silniejszych, niż była Augustyna.

– Skromne i niepokaźne kwiaty, rozwijające się w dolinach – powiada sobie – umierają może, gdy przesadzić je nazbyt blisko niebios, w rejony, gdzie zbierają się burze, a słońce pali.

Maffliers, październik 1829

BAL W SCEAUX

Przełożył
JULIAN ROGOZIŃSKI

HENRYKOWI DE BALZAC
JEGO BRAT HONORIUSZ

Hrabia de Fontaine, głowa jednego z najstarszych rodów w Poitou, służył był sprawie burbońskiej rozumnie i odważnie podczas wojny, którą Wandejczycy toczyli z Republiką[44]. Ocalawszy pośród wszelkich możliwych niebezpieczeństw, jakie w tym burzliwym okresie historii współczesnej zagrażały przywódcom rojalistów, mawiał wesoło: – Jestem z tych, co polegli na stopniach tronu! – W ustach człowieka, którego w krwawy dzień bitwy pod Ouatre-Chemins[45] pozostawiono między zabitymi, żart ów nie był pozbawiony prawdy. Wierny Wandejczyk, aczkolwiek zrujnowany konfiskatami, odrzucał stale lukratywne urzędy, jakie proponował mu przez posłów cesarz Napoleon. Nieugięty w swojej religii arystokratycznej, zastosował się ślepo do jej przykazań, gdy uznał za właściwe znaleźć sobie towarzyszkę. Chociaż wodził go na pokuszenie bogaty parweniusz, rewolucjonista, szacując sobie wysoko ów alians, hrabia de Fontaine poślubił pannę de Kergarouët, ubogą, lecz należącą do jednego z najstarszych rodów Bretanii.

Restauracja zastała pana de Fontaine obarczonego liczną rodziną. Chociaż temu nad wyraz przyzwoitemu szlachcicowi ani było w głowie zabiegać o łaski, uległ jednak życzeniom żony – i z majątku dającego intratę tak szczupłą, że starczała zaledwie na potrzeby jego dzieci, wyjechał do Paryża. Zgorszony nieco chciwością, z jaką jego dawni towarzysze rzucali się na urzędy i godności zawarowane im konstytucyjnie, miał już wrócić na wieś, gdy otrzymał pismo o nominacji na generała brygady, jako że na mocy ordonansu Ludwik XVIII dozwalał zaliczyć oficerom armii katolickiej dwadzieścia lat swojego nie istniejącego panowania w charakterze lat służby. Po paru dniach nasz Wandejczyk otrzymał jeszcze, bez żadnych uprzednich starań, drogą urzędową, krzyż kawalerski legii honorowej i order Ludwika Świętego. Te dwa kolejne fawory, a przypisał je monarszej pamięci, zachwiały jego decyzją: osądziwszy, że nie dość prowadzić familię, jak to czynił z nabożeństwem co niedziela, do sali Marszałkowskiej w pałacu Tuileryjskim, aby tam na widok książąt udających się do kaplicy krzyczała „niech żyje król!" – poprosił o łaskę audiencji prywatnej. Posłuchanie to, w mig udzielone, nie miało w sobie nic prywatnego. Salon królewski był pełen sędziwych dworaków, których pudrowane głowy wyglądały z góry niby śnieżny dywan. Tutaj szlachcic nasz spotkał dawnych towarzyszów, lecz powitali go raczej ozięble – za to książęta wydali mu się g o d n i u w i e l b i e n i a; rzekł tak niechcący, poniesiony entuzjazmem, gdy najłaskawszy z owych panów, chociaż, jak hrabia mniemał dotąd, znał go jedynie z nazwiska, pospieszył uścisnąć mu dłoń i ogłosił pana de Fontaine perłą pomiędzy Wandejczykami. Owacja owacją – ale nikt z najdostojniejszej familii nie myślał pytać go ani o wysokość poniesionych strat, ani o pieniądze, które z wielką hojnością przelewał był do kas armii katolickiej. Spostrzegł tedy cokolwiek za późno, że wojnę prowadził własnym sumptem. Pod koniec owej wieczornej recepcji wydało mu się, iż może zaryzykować dowcipną aluzję tyczącą się stanu jego interesów, który przypominał zresztą stan interesów wielu innej szlachty. Miłościwy Pan roześmiał się, i to nawet dość szczerze, każde bowiem słowo z lekka choćby zabarwione dowcipem miało to do siebie, iż mu się podobało; niemniej odpowiedział jednym z owych królewskich żartów, łagodnych, czyli groźniejszych niźli gniewna reprymenda. Któryś z najpoufalszych konfidentów monarchy przystąpił zaraz do skrupulatnego Wandejczyka i napomknął mu w zdaniu pełnym finezji i nader uprzejmym, iż nie pora jeszcze obrachowywać się z książętami: są na tapecie rachunki znacznie dawniejsze aniżeli hrabiego, bardzo, skądinąd, ważne dla dziejów rewolucji. Hrabia wycofał się przezornie z grupy czcigodnych panów, którzy w pozach pełnych uszanowania stali półkolem naprzeciw dostojnej familii; a potem, wyplątaw-

[44] W o j n y, k t ó r ą W a n d e j c z y c y t o c z y l i z R e p u b l i k ą – mowa o walkach szuanów, rojalistycznych rokoszan w Wandei, którzy pod wodzą szlachty i kleru wystąpili przeciw Republice Francuskiej w latach 1793-1800.

[45] Q u a t r e – C h e m i n s – miejscowość w Wandei, gdzie wojska republikańskie poniosły klęskę od rojalistów w r. 1793.

szy nie bez trudu szpadę spomiędzy chuderlawych nóg, podążył pieszo przez dziedziniec Tuileriów w stronę dorożki, którą zostawił był na bulwarze nadsekwańskim. Rogatą miał duszę – cecha to szlachty z dziada pradziada, u której nie wygasło jeszcze wspomnienie Ligi i Barykad[46] – toteż jął uskarżać się w dorożce głośno i w taki sposób, iż mógł sobie zaszkodzić, na zmiany, jakie nastąpiły u dworu:

– Dawniej – powiadał do siebie – każdy mówił szczerze z królem o swoich drobnych kłopotach; panowie szlachta mogli swobodnie prosić o łaski i pieniądze; a dziś któż, nie budząc zgorszenia, otrzyma zwrot sum, które wydatkował był w służbach królewskich? Pal to licho! Order Ludwika Świętego i stopień generała brygady nie wartają trzystu tysięcy talarów, którem, jak obszył, wyłożył na królewską sprawę. Już ja pogadam z królem w cztery oczy, u niego w gabinecie.

Wypadek ów tym bardziej ostudził gorliwość pana de Fontaine, że na swoje prośby o audiencję, wciąż ponawiane, nie otrzymał żadnej odpowiedzi. A widział przy tym, jak cesarscy parweniusze robili karierę dochrapując się niektórych stanowisk, rezerwowanych za dawnej monarchii dla najpierwszych domów.

– Wszystko stracone – rzekł jednego ranka. – Stanowczo, król był zawsze rewolucjonistą, i tyle. Gdyby nie brat królewski, który nie wyparł się wiernych sług swoich i jeszcze je pociesza, nie wiem, w czyje ręce, jeśli przetrwałyby te rządy, trafiłaby pewnego dnia korona francuska. Ich przeklęty system parlamentarny, najgorszy ze wszystkich możliwych, nigdy nie będzie odpowiadał Francji. Ludwik XVIII i pan Beugnot wszystko nam zepsuli w Saint-Ouen.[47]

I hrabia, zniechęcony potężnie, wybierał się już na powrót do swoich włości, poniechawszy z dumą jakichkolwiek pretensyj do odszkodowania. W tym właśnie momencie wypadki marcowe[48] zapowiedziały nową burzę, która o mało nie pochłonęła prawowitego monarchy i jego obrońców. Podobny owym ludziom szlachetnym, którzy nie odprawiają sługi w dzień deszczowy, pan de Fontaine ściągnął dług na swoje włości, aby podążyć za wypędzonymi Burbonami – nie wiedząc, czy owa wspólna emigracja wyjdzie mu na lepsze niźli dawne poświęcenie; zaobserwowawszy jednak, iż towarzysze wygnania byli w większych łaskach niż ludzie waleczni, co niegdyś z bronią w ręku sprzeciwiali się ustanowieniu republiki, powziął może nadzieję, że podróż na obczyznę przyniesie mu większy profit aniżeli czynna i niebezpieczna służba. Te kombinacje dworaka nie należały do czczych rachunków, które obiecują na papierze wspaniałe wyniki, a rujnują w praktyce. Był więc, jak się wyraził najdowcipniejszy i najzręczniejszy spośród naszych dyplomatów, i jednym z pięciuset wiernych sług, co podzielili wygnanie dworu w Gandawie, i jednym z pięćdziesięciu tysięcy, którzy stamtąd powrócili. W tym krótkim okresie, kiedy monarchia bawiła za granicą, pan de Fontaine dostąpił niemałego szczęścia: Ludwik XVIII dał mu urząd i naszemu hrabiemu nie raz jeden

---

[46] L i g a K a t o l i c k a – organizacja partii katolickiej we Francji; utworzona w r. 1576 przez księcia de Guise, pod pozorem obrony religii katolickiej przed kalwinizmem dążyła do osadzenia na tronie książąt de Guise; B a r y k a d y – mowa o wypadkach z maja 1588, gdy członkowie Ligi powstali przeciw królowi Henrykowi III.

[47] Jacques-Claude B e u g n o t (1761–1835) – polityk francuski, umiarkowany rojalista, minister za Ludwika XVIII; w S a i n t – Q u e n 2 maja 1814 r. Ludwik XVIII wydał, przed swym powrotem do Paryża, akt konstytucyjny, w którym gwarantował Francji zachowanie praw liberalnych. Był to tylko manewr, aby odroczyć przyjęcie konstytucji proponowanej przez senat 6 kwietnia tegoż roku. Oktrojowana (tj. nadana przez rząd, jako akt łaski) w dwa miesiące później konstytucja (z 4 czerwca 1814 r.), nie spełniała tych obietnic.

[48] W y p a d k i m a r c o w e – 20 marca 1815 r. Napoleon I uciekł z Elby, wrócił do Paryża i odzyskał władzę na okres „Stu Dni" (do 22 czerwca), po którym nastąpiła tzw. Druga Restauracja, to znaczy ponowny powrót Burbonów.

trafiła się sposobność, by złożyć królowi dowody wyjątkowej uczciwości politycznej i szczerego przywiązania. Któregoś wieczoru monarcha, nie mając nic lepszego do roboty, przypomniał sobie o facecji, jaką pan de Fontaine zaryzykował był w Tuileriach. Stary Wandejczyk, nie przepuściwszy okazji tak wybornej, opowiedział swoją historię, na tyle barwiąc ją dowcipem, aby król ów, który nic nie zapominał, zdołał sobie w porę rzecz przypomnieć. Dostojny miłośnik literatury spostrzegł, powierzywszy dyskretnemu szlachcicowi redakcję kilku not dyplomatycznych, iż nie są mu obce różne subtelności stylu. Dzięki temu talencikowi pan de Fontaine zapisał się w pamięci króla między najzacniejszymi sługami korony. Jakoż, wróciwszy po raz wtóry, mianował hrabiego jednym z owych wysłanników specjalnych, którzy jeździli po departamentach z misją sprawowania sądów doraźnych nad wichrzycielami; pan de Fontaine nie nadużywał jednak tej groźnej władzy. Gdy skasowano te trybunały ustanowione tylko na pewien okres czasu, nasz dostojnik sądowy zasiadł nie zwlekając w jednym z foteli Rady Stanu i na ławach Izby Deputowanych – mówił niewiele, słuchał uważnie i w sposób dość radykalny zmienił przekonania. Pewne okoliczności, nie znane biografom, zbliżyły go do króla w stopniu znacznym, dość, że ów kostyczny monarcha tak oto któregoś dnia zagadnął wchodzącego pana de Fontaine:

– Mój przyjacielu, nie zdecydowałbym się mianować pana ani dyrektorem generalnym, ani ministrem! Ani pan, ani ja nie zagrzalibyśmy długo miejsca na u r z ę d z i e, a to z racji naszych poglądów. Rząd parlamentarny ma tę zaletę, iż uwalnia nas od ambarasu, jaki sprawiało nam dawniej to, że samiśmy odprawiali naszych sekretarzy stanu. Nasza Rada to istny zajazd, dokąd opinia publiczna przysyła nam często szczególniejszych podróżnych; ale tak czy inaczej, zawsze będziemy wiedzieli, gdzie umieszczać nasze wierne sługi.

Za tym drwiącym zwierzeniem nastąpił ordonans, który obdarzał pana de Fontaine funkcją administracyjną w dobrach nadzwyczajnych korony. Dzięki zaś inteligentnej uwadze, z jaką przysłuchiwał się sarkazmem swojego królewskiego przyjaciela, nazwisko pana de Fontaine padało z najdostojniejszych ust, ilekroć tworzono komisję, której członkowie mieli być wybornie płatni. Rozsądny i taktowny, nie wspominał nikomu o łaskach, jakimi zaszczycał go monarcha, że zaś umiał opowiadać interesująco a błyskotliwie, prowadził z królem owe familijne pogwarki, za którymi Ludwik XVIII przepadał w tym samym stopniu, co za bilecikami zgrabnie wystylizowanymi, anegdotami politycznymi oraz, jeśli tak się wyrazić wolno, za dyplomatycznym i parlamentarnym bajczarstwem, bogato podówczas rozplenionym. Wiadomo, że szczególniejsze przypadki jego r z ą d c o s t w a – słowo to przyswoił sobie dostojny kpiarz – bawiły go ogromnie. Dzięki przemyślności, dowcipowi i zręczności pana de Fontaine każdy z członków jego licznej rodziny, choćby najmłodszy, znalazł na koniec miejsce w budżecie państwowym, niby – jak mawiał uciesznie hrabia do swojego władcy – jedwabnik na morwowych liściach. Tak to za sprawą monarszej dobroci najstarszy z jego synów osiągnął wysokie i dożywotnie stanowisko w sądownictwie. Średni, przed nastaniem Restauracji zwykły kapitan, otrzymał zaraz po powrocie z Gandawy dowództwo jednostki wojskowej; a że rok 1815 był rokiem zamętu, kiedy to nikt nie przestrzegał regulaminów, przeszedł najpierw do gwardii królewskiej, stamtąd – do straży przybocznej, skierowany zaś ponownie do wojsk liniowych, awansował po wzięciu Troca-dero[49] na generała-lejtnanta, dowódcę gwardii. Najmłodszy, mianowany podprefektem, został wkrótce referendarzem Rady Stanu i dyrektorem jednego z wydziałów administracji municypalnej Miasta Paryża, na którym to urzędzie był bezpieczny od burz prawodawczych. Dobrodziejstwa te dyskretne, utajone jak i fawor, którym cieszył się hrabia, sypały się niepostrzeżenie. Chociaż i ojciec, i trzej synowie mieli tyle synekur, że dochody każdego z nich, osobno bardzo znaczne, a czerpane z budżetu, równały się mniej więcej wynagrodzeniu dyrektora generalnego, kariera polityczna panów de Fontaine

[49] W z i ę c i e T r o c a d e r o – w nocy z 30 na 31 sierpnia 1823 r. wojska Ludwika XVIII, wysłane w celu stłumienia antymonarchistycznego powstania w Hiszpanii, zajęły opanowany przez powstańców hiszpański fort na półwyspie Trocadero i miasto Kadyks.

nie budziła w nikim zazdrości. W owych czasach, gdy system parlamentarny zapuszczał dopiero korzenie, mało kto orientował się naprawdę, czym są spokojne rejony budżetu, w których sprytni faworyci potrafili znaleźć ekwiwalent zburzonych opactw. Hrabia de Fontaine, choć nie tak jeszcze dawno chwalił się, że nie czytał konstytucji, i oburzał się głośno na chciwość dworaków, pokwapił się udowodnić swojemu dostojnemu panu, iż rozumie, równie dobrze jak on, ducha i możliwości rządów p r z e d s t a w i c i e l s k i c h. Nasz hrabia stał na czele rodziny zbyt licznej, aby szybko i łatwo odbudować swoją fortunę, jakkolwiek trzej jego synowie mieli karierę otwartą i zapewnioną, a familia kumulowała pensje pochodzące z czterech urzędów. Przyszłość uśmiechała się do nich, byli nie tylko w łaskach, lecz i zdolni; ale miał trzy córki, a bał się już nadużywać monarszej dobroci. Postanowił więc napomknąć tylko o jednej z tych dziewic, którym pilno było zapalić pochodnię hymenu. Króla cechuje przecież tyle dobrego smaku, że nie zostawi niedokończonego dzieła. Mariaż najstarszej z panem Planat de Baudry, poborcą generalnym, został zawarty dzięki jednemu z owych królewskich zdań, co nic nie kosztują, wartając miliony. Jednego wieczoru zasępiony monarcha uśmiechnął się, nagle dowiadując się o istnieniu drugiej panny de Fontaine, i wydał ją za młodego sadownika, ekstrakcji co prawda mieszczańskiej, ale bogatego, nader obiecującego i którego zrobił baronem. Gdy następnego roku nasz Wandejczyk wspomniał o pannie Emilii de Fontaine, król odpowiedział swoim ostrawym głosikiem: – *Amicus Plato, sed magis amica Natio*[50]. – A po kilku dniach uraczył swojego p r z y j a c i e l a F o n t a i n e czterowierszem dość niewinnym (nazywał te utwory epigramatami), w których dworował z ojca trzech dziewcząt, wyprodukowanych nadzwyczaj zręcznie pod postacią trójcy. Jeśli wierzyć kronice, monarcha wywiódł ów żarcik z jedności trzech boskich Osób.

– A może Miłościwy Pan raczyłby przerobić ten epigram na epitalam?... – zagadnął hrabia usiłując obrócić ową drwinę na swoją korzyść.

– Gdybym nawet od biedy dojrzał tu rym, nie widzę racji – odrzekł twardo król, gdyż nie spodobał mu się wcale ten żart z jego poezji, choć był najniewinniejszy pod słońcem.

I od tego dnia jął traktować pana de Fontaine z niejaką rezerwą. Królowie są bardziej przekorni, niżbyśmy przypuszczali.

Emilia de Fontaine była, jak prawie każde dziecko najmłodsze, beniaminkiem psutym przez wszystkich. Oziębłość monarchy tym bardziej więc dotknęła hrabiego, iż chyba jeszcze niczyj mariaż nie nasuwał tylu trudności, co małżeństwo jego najukochańszej córki. Aby zrozumieć te wszystkie przeszkody, wejdźmy za próg pięknego pałacu, gdzie nasz administrator mieszkał na koszt Listy Cywilnej[51]. Emilia spędziła dzieciństwo we włościach Fontaine, pośród owego dostatku, który zaspokaja pierwsze zachcenia młodości; najbłahszy jej kaprys był prawem dla sióstr, braci, matki, a nawet ojca Emilii. Krewniacy bez wyjątku przepadali za nią. Czarowne to życie płynęło niczym nie zakłócone, albowiem kiedy dojrzewała, łaskawy los postawił akurat jej rodzinę u szczytu powodzeń. Przepych paryski wydał jej się tedy rzeczą równie naturalną, jak obfitość kwiatów czy owoców lub jak owe sielskie dostatki, co radowały ją od wczesnego dzieciństwa. I tak samo jak w dzieciństwie, jeśli pragnęła ukontentować swoje radosne fantazje, nie doznawała żadnych przeszkód, okazywano jej posłuszeństwo i teraz, kiedy będąc czternastolatką, rzuciła się w wir uciech światowych. Nawykła stopniowo do przyjemności, jakie zawdzięczamy pieniądzom, a więc wyszukane toalety, elegancja złoconych salonów i wykwintnych ekwipaży stały się dla niej równie konieczne, jak i komplementy, szczere albo fałszywe – dyktowane pochlebstwem, jak dworskie zabawy i dworskie szychy. Jak większość zepsutych dzieci, tyranizowała tych, co ją kochali, a przy-

[50] A m i c u s P l a t o... (łac.) – Przyjacielem mi Plato, lecz bliższym przyjacielem Naród – parafraza łacińskiego przysłowia: Amicus Plato, sed magis amica veritas (Przyjacielem mi Plato, lecz bliższą przyjaciółką prawda).

[51] L i s t a C y w i l n a – sumy przeznaczone w ustroju monarchicznym na osobiste wydatki króla.

milna była dla obojętnych. Jej wady wzrastały z nią razem i rodzice mieli zebrać niedługo gorzki plon owego zgubnego wychowania. W dziewiętnastym roku życia Emilia de Fontaine nie wybrała jeszcze żadnego spośród wielu młodzieńców, których pan de Fontaine, kierując się względami polityki, spraszał do siebie na przyjęcia. Choć jeszcze młoda, folgowała w salonach językowi tak dalece, jak na to może sobie pozwolić kobieta dojrzała. Podobna królom – nie miała przyjaciół, uległość zaś, jaką wszędzie jej okazywano, zdemoralizowałaby może i lepszą naturę. Żaden z mężczyzn – nawet i starcy – nie ośmielił się oponować poglądom dziewczyny, która jednym spojrzeniem nieciła miłość w najzimniejszym sercu. W przeciwieństwie do sióstr edukowana starannie, malowała niezgorzej, mówiła po włosku i po angielsku, a grą na fortepianie budziła ogólną zazdrość; wreszcie głos jej, ukształcony przez najwytrawniejszych mistrzów, zalecał się, gdy śpiewała, brzmieniem urzekającym. Była tak dowcipna i tak wybornie znała literaturę całego świata, iż uwierzyłbyś słowom Maskaryla[52], że szlachta rodzi się już wszystko wiedząc. Rozwodziła się z łatwością na temat malarstwa włoskiego czy flamandzkiego, średniowiecza czy Renesansu, krytykowała bezceremonialnie książki zarówno dawne, jak i współczesne, podkreślając z okrutną inteligencją i wdziękiem wady dzieła. Tłum bałwochwalczy przyjmował najzwyklejsze jej odezwania, jak Turcy przyjmują sułtańskie f e f t a[53]. Olśniewała tym sposobem ludzi powierzchownych; ludzi głębokiego umysłu rozpoznawała dzięki naturalnemu darowi i tak ich umiała skokietować, iż umykała bacznemu oku zamotanych w te urocze sidła. Pod ową urzekającą pozłótką kryło się serce niefrasobliwe, pogląd, u wielu dziewcząt zwyczajny, iż nikt nie zamieszkuje na dostatecznych wyżynach, aby pojąć doskonałość jej duszy, i pycha, którą czerpała zarówno ze swojej kondycji, jak i urody. Obca gwałtownemu afektowi, który prędzej czy później pustoszy serce kobiece, obracała całą młodą żarliwość w niepomiarkowane umiłowanie tytułów, a ludziom z gminu okazywała najgłębszą wzgardę. Świeżo upieczoną szlachtę traktując nader impertynencko, dokładała wszelkich starań, aby jej rodzice kroczyli w jednym rzędzie z najświetniejszymi familiami z Przedmieścia Saint-Germain.

Owa polityka nie uszła bystremu spojrzeniu pana de Fontaine, który od czasu zamęścia dwóch starszych córek bolał nieraz nad sarkazmami i złośliwymi żartami Emilii. Ludzie logicznego umysłu zdziwią się, że sędziwy Wandejczyk oddał najstarszą córkę poborcy generalnemu, posiadającemu wprawdzie kilka majątków, ongi wielkopańskich, ale nie mającemu przed nazwiskiem owej partykuły, której tron zawdzięczał tylu obrońców – średnią zaś sadownikowi, co zbyt niedawno został baronem, aby można było zapomnieć, iż ojciec jego sprzedawał drzewo. Ów poważny zwrot, jaki nastąpił w poglądach naszego szlachcica, chociaż dobiegał on akurat sześćdziesiątki, a ludzie w tym wieku rzadko zmieniają przekonania, był wynikiem nie tylko tego, iż pan de Fontaine zamieszkał w nowożytnym Babilonie – rzecz na ogół w skutkach opłakana – gdzie wszyscy prowincjusze tracą w końcu swoją kanciastość; nowe przekonania polityczne hrabiego były też wynikiem rad i przyjaźni królewskiej. Książę-filozof upodobał sobie nawracać Wandejczyka na poglądy, jakich wymagał i duch dziewiętnastego stulecia, i odnowienie monarchii. Ludwik XVIII pragnął zespolić stronnictwa, jak Napoleon zespolił był kraj nasz i jego mieszkańców. Prawowity monarcha, może i równie inteligentny jak jego rywal, działał w kierunku przeciwnym. Ostatni z przywódców Burbońskiego domu starał się ukontentować stan trzeci i zwolenników cesarstwa, ograniczając wpływy kleru z takim samym gorączkowym pośpiechem, z jakim pierwszy z Napoleonów ściągał do siebie arystokrację i obdarzał Kościół dotacjami. Nasz radca stanu, powiernik monarszych zamysłów, został niepostrzeżenie jednym z najbardziej wpływowych i najmędrszych

[52] M a s k a r y l – lokaj z komedii Moliera „Pocieszne wykwintnisie"; słowa jego (w przekładzie T. Żeleńskiego-Boya) brzmią: „Ludzie dobrze urodzeni umieją wszystko, chociaż się nigdy niczego nie uczyli".

[53] F e f t a (fetwa) – orzeczenie religijno-prawne w krajach muzułmańskich.

przywódców owego stronnictwa umiarkowanych, co życzyli sobie szczerze, w imię interesu narodowego, zespolenia poglądów. Głosił więc kosztowną zasadę rządu konstytucyjnego i sekundował z całej swojej mocy wahaniom politycznej wagi, która dozwalała jego panu władać Francją mimo wewnętrznych zamieszek. Kto wie, czy pan de Fontaine nie żywił cichej a miłej sercu nadziei, że otrzyma parostwo dzięki jednej z owych burz prawodawczych, których wyniki, całkiem nieoczekiwane, bywały podówczas niespodzianką dla najwytrawniejszych polityków. Hrabia obstawał niezłomnie, aby we Francji nie uznawano innej szlachty prócz parów: ich tylko rody winny mieć prawo do przywilejów.

– Szlachta bez przywilejów – mawiał – jest jak toporzysko bez siekiery.

Daleki zarówno stronnictwu Lafayette'a, jak i stronnictwu pana de La Bourdonnaye[54], usiłował z zapałem doprowadzić do pojednania ogólnego, mającego stworzyć dla Francji nową erę i zapewnić jej świetny los. Starał się przekonać rody bywające stale na jego salonach i rody, u których bywał, iż kariera wojskowa i urzędnicza daje obecnie mizerne widoki. Namawiał matki, aby kierowały synów ku wolnym zawodom i do przemysłu, napomykając, że stanowiska w wojsku i wysokie urzędy państwowe i tak będą należeć, „bardzo konstytucyjnie", do młodszego potomstwa męskiego szlachetnych parowskich rodów. Według pana de Fontaine naród wywalczył już sobie dość poczesne miejsce w administracji: ma zgromadzenie wyborcze i stanowiska w sądownictwie oraz finansach, które – jak powiadał – były dawniej i będą zawsze udziałem znakomitości stanu trzeciego. Nowe poglądy ojca rodu Fontaine'ów i mądre alianse, jakie z nich wynikły dla dwóch starszych córek, napotkały jednak były silny opór w łonie samego stadła: hrabina de Fontaine dochowała bowiem wierności pierwotnym przekonaniom, których nie mogła się wyrzec kobieta wywodząca się przez matkę z Rohanów[55]. Aczkolwiek sprzeciwiała się zrazu przyszłemu szczęściu i fortunie dwóch starszych córek, skapitulowała w toku jednej z owych sekretnych rozmów, kiedy to z wieczora małżonkowie, złożywszy razem głowy na poduszce, zwierzają się sobie, roztrząsając po społu rozmaite sprawy. Pan de Fontaine wykazał chłodno małżonce, argumentując szczegółowymi rachunkami, iż pobyt w Paryżu, obowiązek reprezentacji i splendory, jakie spłynęły na ich dom w nagrodę za wyrzeczenia, które cierpieli oboje tak dzielnie w wandejskiej głuszy, a także wydatki na synów pochłaniały lwią część dochodów natury budżetowej. Trzeba zatem pochwycić, niby łaskę niebios, okazję nadzwyczaj bogatego zamęścia, jaka trafiała się dwóm ich córkom. Czyż nie powinny one posiadać kiedyś sześćdziesięciu, osiemdziesięciu albo i stu tysięcy liwrów renty? Mariaż równie korzystny nie co dzień oczekuje bezposażną pannę. Wreszcie, czas już pomyśleć o oszczędnościach, ażeby zaokrąglić dobra Fontaine i odbudować pradawną majętność ziemską rodu. Hrabina ustąpiła, jakby – może tylko chętniej – uczyniła na jej miejscu każda matka, wobec argumentów tak przekonywających; oświadczyła jednak, że przynajmniej córka jej Emilia wyjdzie za mąż tak, aby zadowolić dumę, którą na nieszczęście między innymi i ona rozwinęła w tej młodej duszy.

Tym oto sposobem wypadki, które winny były radować tę rodzinę, wprowadziły tam lekki ferment niezgody. Poborca generalny i młody sądownik byli kozłami ofiarnymi sztywnego ceremoniału, jaki potrafiła stworzyć hrabina wespół z Emilią. Owa zaś etykieta znalazła, jeśli idzie o tyranię domową, szersze pole: generał-lejtnant poślubił pannę Mongenod, córkę bogatego bankiera; prezydent ożenił się roztropnie z panną, której ojciec, krociowy milioner, kupczył był dawniej solą; a i najmłodszy z braci okazał się wierny gminnym doktrynom, biorąc za żonę pannę Grossetête, jedynaczkę poborcy generalnego z Bourges. Trzy szwagierki i

[54] Hrabia François-Régis de La Bourdonnaye (1767–1839) – polityk francuski, skrajny rojalista, za Restauracji występował przeciw Ludwikowi XVIII, którego uważał za „zbyt liberalnego".

[55] Rohanowie – jeden z najstarszych rodów arystokratycznych Francji, wywodzący się z Bretanii.

dwaj szwagrowie dopatrywali się takich uroków i tylu korzyści osobistych z obracania się w wysokiej sferze politycznych potęg i w salonach Saint-Germain, że zmówili się, by stworzyć wokół wyniosłej Emilii coś na kształt małego dworu. Ale ów pakt interesu i pychy nie był aż tak dobrze scementowany, aby młoda władczyni nie wywoływała co i raz rewolucyj w swoim państewku. Spory, nie przekraczające nigdy granic dobrego wychowania, utrzymywały między członkami tej potężnej familii atmosferę drwiny, która, nie naruszając w jakiś widoczny sposób przyjaźni afiszowanej na zewnątrz, wyradzała się niekiedy, z dala od świadków, w uczucia nie nazbyt chrześcijańskie. Tak to małżonka generała-lejtnanta, zostawszy baronową, poczytywała się za szlachciankę równą Kergarouëtównie i twierdziła, że okrągłe sto tysięcy liwrów renty upoważnia ją do prawienia takich samych impertynencji, jakie prawiła ludziom szwagierka jej, Emilia, której częstokroć życzyła z ironią szczęśliwego mariażu, nadmieniając, iż córka pewnego para poślubiła właśnie pewnego bynajmniej nie utytułowanego pana. Wicehrabinę de Fontaine bawiło, gdy zaćmiewała Emilię dobrym smakiem i dającym się zauważyć bogactwem toalet, umeblowania i powozów. Drwiąca mina, z jaką szwagierki i obaj szwagrowie wysłuchiwali pretensyj, które panna de Fontaine raczyła czasem wyjawić, wprawiała ją w gniew, a nie zawsze zdołała go uśmierzyć, sypiąc przycinkami. Kiedy zaś ojciec rodu odczuł niejakie ochłodzenie przyjaźni, dyskretnej i zawodnej, którą darzył go monarcha, zląkł się tym mocniej, że najukochańsza jego córka, uznawszy żarty sióstr za wyzwanie, nigdy jeszcze nie mierzyła tak wysoko jak teraz.

Pośród opisanych okoliczności jako też w momencie, kiedy ta mikroskopijna wojna domowa nabrała cech bardzo poważnych, król, który zdaniem pana de Fontaine przywrócił już go był do łask, zachorzał śmiertelnie. Wielki polityk, co tak wybornie poprzez nawałności umiał prowadzić swoją nawę, zmarł w krótkim czasie. Niepewny przyszłego faworu, hrabia de Fontaine skoncentrował wszelkie wysiłki, aby otoczyć najmłodszą córkę elitą młodych epuzerów. Ten, kto próbował rozwiązać trudny problem, jaki nasuwa mariaż córki pysznej i rozgrymaszonej, zrozumie chyba, ile musiał się napocić nasz biedny Wandejczyk. Gdyby to przedsięwzięcie ostatnie ukończył ku zadowoleniu umiłowanego dziecka, ukoronowałby tym samym godnie karierę, którą od lat dziesięciu robił w Paryżu. Familia hrabiego w taki sposób zgarniała pieniądze ze wszystkich ministeriów, iż można by ją przyrównać do domu Austriackiego, który dzięki swoim aliansom grozi zagarnięciem całej Europie. Jakoż stary Wandejczyk nie zrażał się przyprowadzając wciąż nowych konkurentów, tak mu leżało na sercu szczęście córki; ale nie było nic pocieszniejszego od słów, którymi impertynenckie stworzenie oceniało zalety swoich adoratorów i ferowało na nich wyroki. Powiedziałbyś, iż podobna jednej z bajecznych księżniczek wschodnich, Emilia była dość bogata i dość piękna, aby mieć prawo wyboru między książętami całego świata; zarzuty jej prześcigały się w błazeństwie: jeden miał nogi za grube i wykoślawione w kolanach; drugi był krótkowidzem, a trzeci nazywał się Durand; tamten znowu chromał – a prawie wszyscy wydawali jej się tłuściochami. Odrzuciwszy paru konkurentów ożywiała się – i czarująca, wesoła jak nigdy, mknęła na raut czy na bal, gdzie przenikliwym okiem lustrowała ludzi sławnych a będących w modzie i z upodobaniem wywoływała oświadczyny, aby zawsze dać kosza. Natura obdarzyła ją hojnie wdziękami niezbędnymi dla niej – odgrywającej rolę Celimeny[56]. Emilia de Fontaine, wysoka i smukła, to poruszała się z imponującą powagą, to sunęła krokiem lekkim i swawolnym, zależnie od kaprysu. Jednym nieznacznym wygięciem szyi, cokolwiek za długiej, potrafiła nadać sobie wyraz już to wzgardliwy, już to impertynencki, a zawsze powabny. Ułożyła sobie bogaty repertuar owych poruszeń głową i gestów kobiecych, które stanowią okrutny albo napawający szczęściem komentarz do półsłówek i uśmiechów.

[56] C e l i m e n a – postać pięknej, złośliwej i dowcipnej kokietki z komedii Moliera „Mizantrop".

Piękne czarne włosy, brwi bardzo gęste, a zarysowane wysokimi łukami, nadawały jej fizjonomii wyraz dumy, który, nauczona tyleż kokieterią, co zwierciadłem, umiała czynić straszliwym albo łagodzić spojrzeniem to szklanym, to słodkim, leciutkimi drgnieniami wyginających się warg lub ich wystudiowaną martwotą, uśmiechami raz chłodnymi, raz pełnymi czaru. Jeśli Emilia zapragnęła owładnąć czyimś sercem, dźwięcznemu jej głosowi nie zbywało na melodii; ale potrafiła też nadać mu coś na kształt ostrej jasności, gdy chciała sparaliżować mowę niepowściągliwemu adoratorowi. Blade jej lica i czoło alabastrowe przypominały powierzchnię krystalicznego jeziora, co marszczy się za podmuchem wiatru, lecz po chwili – i tak na przemian – odzyskuje radosną pogodę, kiedy powietrze się uspokoi. Niejeden młodzieniec, któremu dopiekła jej wzgarda, oskarżał ją o komedianctwo; ale radziła sobie wybornie z owym zarzutem, przywodząc obmowców do tego, że starali jej się podobać, i ujarzmiając ich swoją wzgardliwą kokieterią. Wśród dziewcząt modnych żadna nie umiała przybrać tak wyniosłej miny przyjmując hołd artysty, rozwinąć owej obraźliwej grzeczności, która czyni równych nam niższymi od nas, pognębić swoją impertynencją tych wszystkich, co próbowali dotrzymać jej kroku. Wydawało dawało się, iż gdziekolwiekby się znalazła, nie prawiono jej komplementów, ale bito przed nią pokłony, a miała takie maniery i przybierała takie tony, że fotel, na którym by zasiadła choćby u księżnej, zamieniłby się w tron cesarski.

Pan de Fontaine odkrył poniewczasie, jak bardzo czułość okazywana przez całą rodzinę wypaczyła edukację jego najukochańszej córki. Admiracja, którą świat otacza zrazu młodą osobę, aby niebawem mścić się na niej, podekscytowała jeszcze pychę Emilii i wzmogła jej dufność. Ogólny podziw rozwinął w niej egoizm naturalny u dzieci zepsutych, co niby królowie zabawiają się każdą nową rzeczą. W obecnej chwili wdzięk młodości i urok talentów ukrywały przed oczyma ludzkimi owe przywary, tym szkaradniejsze, iż kobieta winna podobać się tylko dzięki poświęceniu i samozaparciu; ale nic nie ujdzie oku dobrego ojca: pan de Fontaine starał się po wielekroć tłumaczyć córce główne karty enigmatycznej księgi życia. Daremny trud! Zbytnio smucił się kapryśną krnąbrnością i umysłem ironicznym córki, aby wytrwać w zadaniu tak niewdzięcznym, jak uprawa równie złośliwego charakteru. Ograniczył się więc do udzielania jej od czasu do czasu rad, wyjątkowo łagodnych i dobrotliwych; widział jednak z bólem, że najtkliwsze słowa ześlizgują się z serca Emilii niby po marmurze. Oczy ojcowskie otwierają się późno, toteż stary Wandejczyk spostrzegł dopiero po wielu doświadczeniach, iż córka obdarowuje go pieszczotami niezbyt często i jak z łaski. Przypominała dziecko, które zdaje się mówić do matki: „Pocałuj mnie prędzej, bo chcę pójść się bawić". A jednak Emilia raczyła okazywać rodzicom czułość, choć nieraz powodowana owym nagłym kaprysem, pospolitym u dziewcząt i nie dającym się chyba wytłumaczyć, szukała samotności i pokazywała się nader rzadko; skarżyła się, iż nie ona jedna jest bliska sercu rodziców; stawała się zazdrosna o wszystkich, nawet o rodzeństwo. Potem, natrudziwszy się rzetelnie, by stworzyć wokół siebie pustkę, ta dziwna dziewczyna obwiniała cały świat o swoje osamotnienie, sztuczne zresztą, i o przykrości, które sama na siebie ściągała. Zbrojna doświadczeniem swoich lat dwudziestu, złorzeczyła losowi, a nie wiedząc, że każdy jest kowalem własnego szczęścia, domagała się od otoczenia, by ją uszczęśliwiało. Uciekłaby na kraj świata przed takim małżeństwem, jakie zawarły obie jej siostry; niemniej taiła w sercu okrutną zazdrość widząc je mężatkami, bogatymi i szczęśliwymi. Wreszcie tak mocno dawała się we znaki zarówno matce, jak i ojcu, że rodzice zastanawiali się czasem, czy Emilia nie jest odrobinę fiksatką. Ową aberrację w pewnym stopniu zrozumieć można: nic bardziej zwyczajnego niźli owa sekretna duma zrodzona w sercach młodych osób, które należą do familii znajdujących się na wysokim szczeblu drabiny społecznej, osób uposażonych od natury wielką pięknością. Wszystkie niemal żywią przekonanie, że ich matki, ukończywszy czterdzieści albo pięćdziesiąt lat, nie mogą już ani rozumieć młodych dusz, ani pojmować ich wzlotów. Imaginują sobie, że większość matek, zazdrosnych o córki, pragnie ubierać je na własną modłę, kierując się tutaj z góry powziętym rozmysłem: żeby je zaćmiewać albo żeby odbijać im

adoratorów. Stąd często łzy tajone albo skryte bunty przeciw rzekomej tyranii matczynej. Inna jeszcze mania opanowuje młode panny grążące się w utrapieniu, które, choć opiera się li tylko na wyobraźni, staje się realnym: komponują one temat dla własnej egzystencji i same sobie stawiają wspaniałe horoskopy; hołdując własnej magii, biorą swoje marzenia za rzeczywistość i decydują w tajemnicy, podczas długich roztrząsań, że serce czy rękę oddadzą tylko temu mężczyźnie, co będzie posiadał pewne bliżej nie określone zalety; szkicują w imaginacji sylwetkę swojego wybranego, nie licząc się bynajmniej z rzeczywistością. Kiedy jednak nabędą życiowego doświadczenia, a z biegiem lat zaczną snuć poważne refleksje, kiedy poznają świat i jego prozaiczną codzienność i gdy wreszcie zobaczą różne nieszczęsne przykłady – sczezną prześliczne barwy, w jakie ustroiły swój ideał; następnie, pewnego pięknego ranka, znajdą się w prądzie życia i będą się zdumiewać, że są szczęśliwe bez weselnej poezji swych rojeń. Wedle takiej to poetyki panna Emilia de Fontaine nakreśliła w zawodnej mądrości swojej program, do którego miał dostosować się jej przyszły, aby nie otrzymać kosza. Stąd jej pogarda i sarkazmy.

„Lubo młody i ze starej szlachty – rzekła sobie – musi być parem Francji albo pierworodnym synem para! Zbyt wiele by mnie kosztowało, gdybym nie widziała swojego herbu wymalowanego na drzwiczkach karety pośród rozwianych fałdów lazurowego płaszcza i gdybym nie jechała między książętami główną aleją Pól Elizejskich w dni spaceru do Longchamps[57]. A zresztą, zdaniem ojca, parostwo będzie kiedyś najpiękniejszą godnością we Francji. Chcę, żeby był wojskowym, zastrzegając jednak, że to ja wyznaczę termin, w którym poprosi o dymisję; i chcę, żeby miał ordery, aby prezentowano przed nami broń".

Owe rzadkie przymioty na nic się nie zdadzą, jeśli tej istoty wyimaginowanej nie będzie cechował jeszcze ujmujący czar towarzyski, dowcip, piękna postawa – a nade wszystko smukłość. Warunkiem absolutnie koniecznym była więc tutaj chudość, ów powab u mężczyzny zasadniczy, lecz i jakże nieważki – właśnie z punktu widzenia rządów przedstawicielskich. Panna de Fontaine wykoncypowała sobie coś na kształt idealnej miary, która służyła jej za wzór. Młodzieniec, który na pierwszy rzut oka nie spełniał żądanych warunków, nie miał się co spodziewać powtórnego spojrzenia.

– O Boże! Jakiż to tłuścioch! – tymi słowy Emilia wyrażała najwyższą wzgardę.

Mógłbyś tedy pomyśleć, że ludzie zacnej korpulencji są niezdolni do uczuć, liczą się między złych mężów i nie zasługują na miejsce w cywilizowanej społeczności. Tusza, należąca do zalet urody poszukiwanych na Wschodzie, wydawała jej się u kobiety – nieszczęściem, lecz u mężczyzny – była zbrodnią. Te paradoksalne poglądy bawiły, ponieważ Emilia wypowiadała je z dowcipną swadą. Ale hrabia przeczuwał, że później pretensje Emilii, dość śmieszne, by dostrzegły je już niektóre damy zarówno bystre, jak i zjadliwe, staną się nieuchronnie przedmiotem drwiny. Lękał się, aby dziwaczne pojęcia jego córki nie zaczęły trącić złym tonem. Drżał, czy świat bezlitosny już teraz nie kpi z osoby, co tak długo pozostaje na scenie, nie kończąc odgrywanej sztuki. Wielu aktorów, niekontentych z odmowy, zdawało się czekać na lada jaki niefortunny wypadek, aby się zemścić. Obojętnych i leniwych zaczynało już to nużyć: rodzaj ludzki okazując komuś admirację zawsze się męczy. Stary Wandejczyk wiedział jak nikt, że kto wchodzi na deski teatru, życia publicznego, dworu czy salonów, musi bardzo umiejętnie wybrać moment – ale jeszcze trudniej jest opuścić je w porę. Zimą więc tego roku, kiedy na tron wstąpił Karol X, hrabia podwoił wysiłki, wezwawszy do pomocy trzech synów i dwóch zięciów, aby zgromadzić w salonach swojego pałacu najlepszych epuzerów, jakich można było wybrać spomiędzy paryżan i deputowanych, którzy ściągnęli z rozmaitych departamentów. Świetność tych zabaw i przepych jadalni były głośne, obiady zaś,

[57] L o n g c h a m p s – dawniej opactwo pod Paryżem (niedaleko Lasku Bulońskiego), zburzone w r. 1790; dziś miejsce wycieczek.

woniejące truflami, zaćmiewały niemal słynne uczty, dzięki którym ówcześni ministrowie zapewniali sobie glosy swoich parlamentarnych żołnierzy.

Nasz czcigodny deputowany jął więc uchodzić za jednego z najpotężniejszych kusicieli starających się skazić uczciwość prawodawczą owej znakomitej Izby, która zdawała się już umierać na niestrawność. Rzecz osobliwa! Łowiąc zięcia, zaskarbił sobie najświetniejszy fawor u króla. Może znalazł jakiś zyskowny a sekretny sposób, aby sprzedawać dwakroć te same trufle. Żart ów, autorstwa kilku dowcipnych liberałów, którzy obfitością słów maskowali w Izbie brak zwolenników, nie zdobył żadnego aplauzu. Postępowanie szlachcica z Poitou było na ogół tak przyzwoite i honorowe, iż nie ugodzono go ani jedną z owych złośliwych strzał, jakimi zasypywano w tych latach trzystu wotantów z centrum, ministrów, kucharzy, dyrektorów generalnych, ludzi wyprawiających lukullusowe biesiady, i obrońców z urzędu, którzy wspierali gabinet pana de Villele[58]. Pod koniec kampanii pan de Fontaine, który w jej czasie parokroć wysyłał do boju swoje zastępy, myślał, że tym razem jego zgromadzenie epuzerów nie będzie dla Emilii fantasmagorią. Doznał pewnego zadowolenia wewnętrznego, iż należycie wypełnił swój ojcowski obowiązek. Nie pogardził był żadnymi środkami, spodziewał się tedy, że wśród serc ofiarowanych Emilii winno znaleźć się co najmniej jedno, które panna wyróżni. Niezdolny ponawiać tego wysiłku, a zresztą sprzykrzywszy sobie postępowanie córki, umyślił naradzić się z nią – a było to pod koniec wielkiego postu, któregoś ranka, kiedy na sesji parlamentarnej mogli się obejść, ostatecznie, bez votum pana de Fontaine. Gdy więc lokaj prószył artystycznie pudrem na żółtawe ciemię pana, zarysowując deltę, co razem z obwisłymi puklami dopełniała jego czcigodnej koafiury, hrabia, nie bez tajonego wzruszenia, rozkazał staremu pokojowcowi, by zawiadomił pyszną dziewczynę, iż ma nie czekając stawić się przed głową rodu.

– Józefie – ozwał się, gdy lokaj skończył go czesać – zabierz tę serwetkę, zaciągnij firanki, ustaw fotele na swoim miejscu, wytrzep dywan sprzed kominka i połóż go, ale prosto, i wszędzie zetrzyj kurze. Prędzej, prędzej! Otwórz okno i przewietrz trochę gabinet.

Hrabia pomnażał rozkazy przynaglając Józefa – Józef sapał, a odgadując zamysły pana, uładził jakoś ten pokój, naturalną rzeczy koleją najbardziej zaniedbany z całego domu, i nawet udało mu się wprowadzić coś na kształt harmonii między sterty rachunków, kartonowe pudła, księgi tudzież meble owego sanktuarium, gdzie debatowano nad interesami włości królewskich. Uporządkowawszy nieco ten chaos, porozkładawszy, niby na wystawie magazynu nowości, te przedmioty, które mogły być najmilsze dla oka albo grą kolorów stworzyć coś w guście biurokratycznej poezji, zatrzymał się pośród labiryntu szpargałów, co walały się wszędzie, nie respektując i dywanu, podziwiał przez chwilę sam siebie, kiwnął głową i wyszedł.

Biedny synekurant nie podzielał dobrego mniemania sługi. Nim zasiadł w ogromnym fotelu „z uszami", rozejrzał się nieufnie, popatrzył uważnie i wrogo na swój robdeszan, strzepnął zeń kilka źdźbeł tytoniu, wysiąkał skrupulatnie nos, uporządkował łopatki i szczypce, podsycił ogień, podciągnął pantofle na pięty, odrzucił do tyłu arcapik drzemiący między kołnierzem kamizelki i robdeszana, tak aby zwisał w pozycji pionowej; zaczem odmiótł popiół, co rozsypany świadczył, że hrabiego nie opuszcza katar. Słowem, starzec nie siadł, dopóki ostatni raz nie obrzucił krytycznym spojrzeniem gabinetu i nie upewnił się, że nic tutaj nie stanie się powodem uwag zarówno dowcipnych, jak impertynenckich, którymi córka odpowiadała zazwyczaj na jego mądre rady. W tym wypadku nie chciał wystawiać na szwank swojej godności ojcowskiej. Zażywszy ostrożnie niuch tabaki, odkaszlnął parę razy, jakby

[58] Hrabia Joseph de V i l l è l e (1773–1854) – reakcyjny polityk, przywódca skrajnego odłamu rojalistów, był premierem w latach 1821–1827.

gotował się prosić o wywołanie imienne; usłyszał lekki krok córki: zjawiła się, nucąc arię z „Il Barbiere”[59].

– Dzień dobry, tatku. Cóż to za takie poranne interesy?

Rzuciła te słowa niby refren śpiewanej właśnie melodii, po czym uściskała ojca, lecz nie z ową serdeczną tkliwością, która czyni przywiązanie dziecka tak miłym, ale z nonszalancją, jaką okazuje wielka dama, zawsze pewna, że się podoba, cokolwiek by zrobiła.

– Moje drogie dziecko – ozwał się uroczyście pan de Fontaine – wezwałem cię, aby porozmawiać z tobą bardzo poważnie na temat twojej przyszłości. Musisz w obecnej chwili koniecznie wybrać męża, i to tak, aby raz na zawsze utrwalić swoje szczęście...

– Mój tatku poczciwy – przerwała Emilia nadając głosowi najpieszczotliwsze brzmienia, by nie urazić hrabiego – zdaje mi się, że nie upłynął jeszcze termin zawieszenia broni, jakie zawarliśmy, jeśli idzie o moich supirantów.

– Emilko, dajmy dziś pokój żartom w kwestii tak ważnej. Od jakiegoś czasu wysiłki tych wszystkich, którzy kochają cię naprawdę, jednoczą się, aby zapewnić ci los odpowiedni, i byłoby karygodną niewdzięcznością, gdybyś zbagatelizowała dowody troski, którą nie ja jeden ci okazuję.

Emilia, ogarnąwszy meble gabinetu ojcowskiego spojrzeniem szybkim i złośliwie badawczym, wybrała, słuchając powyższych słów, fotel, co wydał jej się najmniej wysiedziany przez interesantów, przysunęła go sama do kominka, aby usadowić się naprzeciw ojca, przyjęła pozę tak uroczystą, iż każdy dostrzegłby w niej znamiona drwiny, i skrzyżowała ręce na bogatym przybraniu pelerynki zwanej *à la neige*[60], mnąc nielitościwie gęste tiulowe falbanki. Popatrzyła z ukosa, śmiejąc się, na zatroskaną twarz starego ojca i przerwała milczenie:

– Nigdym jeszcze nie słyszała od ciebie, luby tatku, żeby rząd oświadczał coś w robdeszanie. Ale – przydała z uśmiechem – to fraszka, lud nie powinien być wymagający. Zapoznajmyż się z projektem ustawy i twoimi oficjalnymi prezentacjami.

– Nie zawsze będę mógł zwoływać panów konkurentów, wietrznico! Nie mam zamiaru dłużej wystawiać na szwank mojej opinii, która jest częścią majątku moich dzieci, rekrutując ów pułk danserów, który rozpędzasz każdej wiosny. Byłaś już, nie zawiniwszy, przyczyną wielu groźnych waśni z niektórymi rodzinami. Spodziewam się, że zrozumiesz dziś lepiej trudność i naszego, i twojego położenia. Masz, moja córko, dwadzieścia dwa lata, więc już od lat trzech powinnaś być mężatką. Twoi bracia i siostry znaleźli pozycję dostatnią i szczęśliwą. Ale, moje dziecko, wydatki, jakie ponieśliśmy w związku z tymi mariażami, dom otwarty, boć domagasz się, aby w taki sposób prowadziła go matka, pochłonęły tyle naszych dochodów, że z ledwością będę mógł ci dać sto tysięcy franków posagu. Od dziś chciałbym się zająć losem matki zabezpieczając jej przyszłość: nie wolno mi poświęcić matki dzieciom. Emilko, gdyby mnie wam zabrakło, matka nie pozostanie na niczyjej łasce i musi nadal żyć w dobrobycie, którym wynagrodziłem jej zbyt późno oddanie, jakie okazywała mi w nieszczęściu. Jak widzisz, moje dziecko, szczupły twój posag nie godzi się z twoimi wysokimi ambicjami. A i tak będziesz go miała za cenę wyrzeczeń, jakich nie uczyniłem dla żadnego z moich dzieci; ale twoje rodzeństwo przyobiecało szlachetnie, że nigdy nie będzie mieć żalu, jeśli któregoś dnia wyróżnimy naszego beniaminka.

– Ba! W ich sytuacji! – rzekła Emilia potrząsając ironicznie głową.

– Moja córko, nie lekceważ nigdy tych, którzy cię kochają. Dowiedz się, że tylko biedacy są hojni! Bogacz zawsze wynajdzie sobie wyborne powody, aby nie odstąpić dwudziestu tysięcy franków krewnemu. No, nie dąsaj się, dziecinko, i pomówmy rozsądnie. Nie zauważyłaś aby wśród młodych epuzerów pana de Mannerville?

---

[59] „I l B a r b i e r e d i S e v i g l i a” („Cyrulik sewilski”) – opera komiczna Rossiniego.

[60] A l a n e i g e (franc.) – tzn. podobna do piany.

– E, sepleni, wciąż przypatruje się swoim stopom, wyobraziwszy sobie, że są drobne, a mizdrzy się! A zresztą to blondyn; nie lubię blondynów.

– No dobrze, a pan de Beaudenord?

– Nie jest szlachcicem. Pokraczny, gruby. Co prawda, brunet. Niech ci dwaj panowie porozumieją się i złączą swoje fortuny, niech pierwszy da swoje ciało i nazwisko drugiemu, który znów zachowa swoje włosy, a wtedy... kto wie...

– A cóż byś powiedziała o panu de Rastignac?

– Pani de Nucingen wyedukowała go już na bankiera – odparła złośliwie.

– A wicehrabia de Portenduère, nasz kuzyn?

– Dzieciuch, tańczy jak niedźwiedź, a zresztą ubogi. No i, mój tatku, żaden z tych panów nie ma tytułu. A ja chcę zostać przynajmniej hrabiną, tak jak matka.

– Nie zauważyłaś więc tej zimy nikogo, kto...

– Nie, tatku.

– Któż by ci więc odpowiadał?

– Syn para Francji.

– Moja córko, tyś oszalała! – rzekł pan de Fontaine wstając.

Lecz nagle wzniósł oczy w niebo, czerpiąc jakby z myśli nabożnej nowy zapas rezygnacji; potem, spojrzawszy z litością ojcowską na córkę – wzruszyła się – ujął jej dłoń, uścisnął i ozwał się serdecznie:

– Bóg mi świadkiem, biedne zbłąkane stworzenie, żem wypełnił sumiennie wobec ciebie moje ojcowskie obowiązki! Sumiennie! Co ja mówię! Z miłością, moja Emilko. Tak, Bóg świadkiem, żem tej zimy przyprowadził ci niejednego zacnego człowieka, którego zdolności, obyczaje, charakter były mi znane; i wszyscy oni wydawali się godni ciebie. Moje dziecko, dokonałem swojego zadania. Z dniem dzisiejszym czynię cię panią własnego losu, ciesząc się i smucąc zarazem, żem uwolnił się od najcięższego z obowiązków ojcowskich. Nie wiem, czy długo jeszcze będziesz słyszeć głos, co niestety nie brzmiał nigdy surowo; ale zapamiętaj, że szczęście małżeńskie opiera się nie tyle na efektownych przymiotach i fortunie, ile na wzajemnym szacunku. Owa szczęśliwość jest z natury swojej skromna i nie rzucająca się w oczy. Tak, Emilko, teraz przyjmę każdego, kogo przedstawisz mi jako zięcia; ale jeśli będziesz nieszczęśliwa, pamiętaj, że nie masz prawa oskarżać o to ojca. Nie cofnę się przed odpowiednimi krokami, aby ci pomóc; oby tylko twój wybór był poważny i ostateczny; nie narażę dwakroć na dyshonor mojej siwej głowy.

Serdeczność, jaką okazywał jej ojciec, uroczyste brzmienie, którego nabrał jego głos podczas tej nieco patetycznej oracji, poruszyły Emilię do żywego; ukryta jednak rozczulenie i lekkim ruchem siadłszy na kolanach hrabiego, który wrócił na fotel drżąc jeszcze, jęła go karesować i przymilać się doń z takim wdziękiem, że starzec rozchmurzył czoło. Osądziwszy, iż ojciec otrząsnął się z przykrego wrażenia, powiedziała cicho:

– Dziękuję bardzo, kochany tatku, za tyle prześlicznej atencji. Uporządkowałeś gabinet na przyjęcie najdroższej córki. Nie spodziewałeś się pewno, że będę tak szalona i krnąbrna. Ale, mój tatku, czyż to naprawdę tak trudno poślubić para Francji? Utrzymywałeś, że fabrykują ich na tuziny. No... ale przynajmniej nie odmówisz mi rad.

– Nie odmówię, moje biedactwo, nie odmówię; a co i raz będę wołał: uważaj! Pomyśl, że parostwo jest czynnikiem zbyt świeżym w naszym malowanym rządzie, jak mawiał król nieboszczyk, aby parowie mogli posiadać wielkie fortuny. Ci, którzy są bogaci, pragną wzbogacić się jeszcze bardziej. Najmajętniejszy z naszych parów nie ma i połowy tego dochodu, który posiada najskromniejszy z lordów wyższej Izby angielskiej. Owóż wszyscy parowie Francji będą dla swoich synów szukać bogatych dziedziczek, nie dbając o to, gdzie je znajdą. Wszyscy oni muszą żenić się teraz dla pieniądza, a konieczność ta potrwa z górą lat dwieście. Może, gdy czekać będziesz na szczęsny przypadek, którego tak pragniesz, a poszukiwanie to możesz przypłacić najpiękniejszymi latami twojego życia, uroda twoja (bo w dzisiejszych

czasach zdarzają się często małżeństwa z miłości), twoja uroda, powiadam, dokona cudu. Kiedy doświadczenie kryje się pod rumieńcem tak świeżym, potrafi pewnie dokazać rzeczy nadzwyczajnych. Czyż nie umiesz przede wszystkim, i to z jaką łatwością, rozpoznać przymiotów utajonych w każdej ludzkiej postaci, najwspanialszej albo najskromniejszej? Niemały to dar. Toteż nie potrzebuję uprzedzać osoby tak jak ty mądrej o wszelkich trudnościach tego przedsięwzięcia. Jestem pewien, że nigdy nie dopatrzysz się w nieznajomym rozsądku, widząc tylko przypochlebne spojrzenia, czy zalet, widząc jedynie wykwint i urodę. Wreszcie, całkiem podzielam twoje zdanie, że syn para jest obowiązany wyróżniać się jemu tylko właściwym sposobem bycia i szczególną dystynkcją. Chociaż dziś nic nie zaznacza wysokiej rangi społecznej, ci młodzieńcy będą może mieli dla ciebie jakąś n i e o k r e ś l o n ą c e c h ę, która posłuży ci jako wskaźnik. No tak, poskramiasz swoje serce, jak dobry jeździec poskramia rumaka, krótko ściągając mu cugli. Życzę ci szczęścia, moje dziecko.

– Dworujesz ze mnie, mój tatku. A w takim razie oświadczam ci, że albo dokonam życia w klasztorze panny de Condé, albo wyjdę za para Francji.

Wysunęła się z ojcowskich objęć i dumna ze swojej samodzielności wyszła śpiewając „Cara, non dubitare" z „Matrimonio segreto"[61]. Państwo de Fontaine święcili przypadkiem owego dnia jakąś uroczystość rodzinną. Przy wetach pani Planat, małżonka poborcy generalnego a najstarsza siostra Emilii, wspomniała dość głośno o pewnym młodym Amerykaninie, bogatym jak rzadko, który zakochawszy się na zabój w jej siostrze, wystąpił z propozycjami wyjątkowo świetnymi.

– To, zdaje się, bankier – rzuciła niedbale Emilia. – Nie lubię finansistów.

– Ale nie lubisz, panno Emilio, także sądowników – odparł baron de Vilaine, małżonek średniej z panien de Fontaine – nie bardzo więc sobie wyobrażam, z jakiej sfery wybierzesz męża, boć i nie utytułowanych ziemian odtrącasz.

– A zwłaszcza, Emilko, przy twojej nieubłaganej zasadzie chudości – wtrącił generał-lejtnant.

– Wiem – odrzekła – czego mi trzeba.

– Moja siostra życzy sobie pięknego nazwiska, pięknego młodzieńca, pięknej przyszłości – ozwała się baronowa de Fontaine – i stu tysięcy liwrów renty; no, na przykład takiego pana de Marsay!

– Wiem, luba siostruniu – podjęła Emilia – że głupio się za mąż nie wydam, a widziałam już niejeden taki mariaż. A zresztą, żeby położyć kres tym sprzeczkom matrymonialnym, oświadczam, że tego, kto napomknie mi znów o małżeństwie, będę uważać za osobistego wroga.

Wuj Emilii, kontradmirał, którego fortuna wzrosła niedawno o dwadzieścia tysięcy liwrów renty dzięki ustawie o odszkodowaniach, starzec siedemdziesięcioletni, mający prawo mówić swojej siostrzenicy – przepadał za nią – gorzkie prawdy, zawołał pragnąc obrócić ową scysję w żart:

– Nie dokuczajcież tak mojej biednej Emilce! Czy nie widzicie, że ona czeka na pełnoletność księcia Bordeaux?[62]

Ogólny śmiech powitał facecję starego pana.

– Pilnuj się, żebym ciebie nie poślubiła, stary wariacie! – odparła Emilia, lecz na szczęście gwar zagłuszył ostatnie słowa.

– Moje dzieci – ozwała się pani de Fontaine, aby zatuszować tę impertynencję – Emilka tak samo jak i wy wszyscy będzie się radzić jedynie matki.

---

[61] C a r a, n o n d u b i t a r e (wł.) – Droga, nie wątp – pierwsze słowa arii z opery komicznej „Matrimonio segreto" („Sekretne zaślubiny") Domenica Cimarosy (1749–1801).

[62] K s i ą ż ę B o r d e a u x – wnuk Karola X, miał w czasie, kiedy toczyła się powyższa rozmowa, lat pięć.

– O, mój Boże! W tej sprawie, która mnie tylko dotyczy – odrzekła Emilia nader dobitnie – będę się radzić tylko siebie.

Wszyscy popatrzyli teraz na ojca rodu. Każdego zdawało się ciekawić, jak pan de Fontaine wybrnie, aby zachować swoją godność. Przezacny Wandejczyk cieszył się bowiem ogromną powagą nie tylko w świecie: szczęśliwszego niż wielu ojców, oceniała należycie rodzina – i wszyscy jej członkowie potrafili uznać jego głębokie uzdolnienia, dzięki którym zapewnił karierę swoim najbliższym; toteż otaczał go ów niekłamany szacunek, jakim rody angielskie i niektóre domy arystokratyczne kontynentu darzą człowieka reprezentującego ich drzewo genealogiczne. Zaległo tedy głębokie milczenie, oczy biesiadników spoczywały kolejno to na odąsanym i wyniosłym licu rozgrymaszonej panny, to na surowych twarzach państwa de Fontaine.

– Uczyniłem Emilkę panią własnego losu – zabrzmiał niski głos hrabiego.

Krewniacy i zaproszeni goście spojrzeli wtedy na pannę de Fontaine z litościwym zainteresowaniem. Słowa te świadczyły jakby, że dobroć ojcowską znużyła walka z owym charakterem, o którym rodzina wiedziała, iż jest niepoprawny. Zięciowie poszeptali coś między sobą, bracia rzucili swym żonom kpiące spojrzenia. I od tego momentu nikt już nie troszczył się o mariaż pysznej panny. Jedynie stary wuj, jako dawny marynarz, ośmielał się nadal staczać z nią potyczki i nie lękał się jej humorów, płacąc zawsze wet za wet.

Z nadejściem lata, kiedy już odbyło się głosowanie na budżet, owa rodzina, idealny wzór parlamentarnych rodów z tej strony kanału La Manche, rodów osiadłych solidnie w administracji państwowej i w radach miejskich – uleciała, niby stado ptactwa z jednego lęgu, zdążając w piękne okolice Aulnay, Antony i Châtenay. Poborca generalny, bogacz, kupił był tam niedawno dom wiejski dla żony, która bawiła w Paryżu tylko podczas sesyj. Aczkolwiek piękna Emilia gardziła gminem, nie zapamiętywała się w tym uczuciu tak, aby lekceważyć fortunę nagromadzoną przez mieszczan: toteż udała się z siostrą do owej wspaniałej willi, powodując się nie tyle przywiązaniem do familiantów, którzy tam się schronili, ile tym, że dobry ton absolutnie nakazuje każdej szanującej się kobiecie opuszczać Paryż na lato. Płody zielonych pól w Sceaux zaspokajały zarówno wymagania dobrego tonu, jak i fiskałów.

Nie przypuszczając, aby sława sielskich balików w Sceaux sięgnęła kiedykolwiek poza granice departamentu Sekwany, muszę podać parę szczegółów dotyczących tej zabawy, która odbywa się co tydzień, a podówczas miała takie znaczenie, iż omal nie stała się instytucją. Okolice miasteczka Sceaux cieszą się renomą dzięki malowniczemu, a nawet, jak powiadają niektórzy, zachwycającemu krajobrazowi. Może zresztą malowniczość to banalna, sławiona głównie przez głupich mieszczuchów paryskich, którzy, tkwiąc w posępnej czeluści swoich kamienic, byliby skłonni wychwalać równiny Beauce. Ale że w poetycznych i cienistych gajach Aulnay, wśród pagórków Antony i w dolinie Bièvre przemieszkuje kilku artystów, co zwiedzili kawał świata, paru cudzoziemców – bardzo wymagających – i sporo ładnych kobiet, którym nie zbywa na dobrym smaku, sądzić trzeba, iż paryżanie mają rację. Następnie Sceaux zaleca się jeszcze jednym powabem, nie mniej dla paryżan atrakcyjnym. W ogrodzie, pośrodku – skąd roztaczają się prześliczne pejzaże, stoi olbrzymia rotunda, otwarta ze wszystkich stron, a której kopułę równie lekką, jak obszerną podtrzymują wysmukłe filary. Ów sielski baldachim okrywa salę tańca. Rzadko się zdarza, by ziemianie z sąsiedztwa, choćby najzapamiętalej hołdujący konwenansom, nie wyprawili się raz albo i dwa – latem, do tego pałacu wiejskiej Terpsychory, już to świetną kawalkadą, już to lekkimi a wykwintnymi powozikami, które obsypują kurzem zadumanych spacerowiczów. Nadzieja, że spotkają tam parę kobiet z wielkiego świata i że będą przez nie zauważeni, nadzieja, mniej zwodnicza, iż ujrzą mnóstwo młodych wieśniaczek, przebiegłych niby sędziowie, ściąga każdej niedzieli na bal do Sceaux kancelistów adwokackich, uczniów Eskulapa i młodzieńców, których bladą karnację dobrze konserwuje wilgotne powietrze izdebek położonych za paryskimi sklepami. Jakoż wiele mariażów mieszczańskich narodziło się tutaj przy dźwiękach orkiestry, zajmującej środek tej

okrągłej sali. Gdyby dach umiał mówić, o iluż opowiedziałby amorach! Owóż to ciekawe przemieszanie nadawało podówczas balowi w Sceaux pewien szczególny pieprzyk, którego nie miały inne zabawy taneczne odbywające się pod Paryżem – a i rotunda, piękność pejzażu oraz urocze zakątki w ogrodzie liczyły się do niewątpliwych powabów, dla których przenoszono ten bal nad inne. Pierwsza Emilia objawiła ochotę, aby udawać o s o b ę z l u d u na tej wesołej prowincjonalnej zabawie, obiecując sobie, iż między zebraną tam ciżbą zazna przyjemnych i silnych emocji. Dziwiono się, że tak pragnie błądzić w tym zgiełkliwym tłumie; ale czyż incognito nie jest dla możnych jedną z najbardziej podniecających rozrywek? Panna de Fontaine wyobrażała już sobie z upodobaniem wszystkie te mieszczańskie maniery i stroje, widziała już, jak jej czarodziejski uśmiech i spojrzenie zapada na wieki w niejedno mieszczańskie serce, wyśmiewała pretensjonalne tancerki, a temperując ołówki spodziewała się wzbogacić rozmaitymi scenami stronice swojego albumu satyrycznego. I tak jej było pilno, że nie mogła doczekać się niedzieli. Towarzystwo z willi Planatów puściło się w drogę pieszo, aby niczym nie zdradzić pozycji osób, które swoim przybyciem zamierzały uhonorować bal. Wyruszono po wczesnym obiedzie. Wieczór majowy, piękny jak rzadko, sprzyjał owej arystokratycznej eskapadzie. Panna de Fontaine zdumiała się widząc, że pod kopułą tańczą kadryla ludzie, jak jej się wydało, z całkiem przyzwoitej kompanii. Spostrzegła co prawda tu i ówdzie młodzieńców, którzy nie pożałowali miesięcznych oszczędności, aby błyszczeć przez dzień jeden, i wypatrzyła kilka par weselących się tak szczerze, iż nie mogła to być w żadnym wypadku radość małżeńska; ale choć liczyła na żniwo, zbierała tylko pokłosie. Dziwowała się, że wesołość odziana w perkal przypomina do złudzenia wesołość w atlasach i że mieszczanie tańczą z taką samą gracją jak szlachta, a niekiedy lepiej. Toalety były przeważnie proste, lecz noszono je z elegancją. Ci, którzy na tej zabawie reprezentowali miejscowych suzerenów, to znaczy chłopi, trzymali się na uboczu, okazując takt niewiarygodny. Panna Emilia musiała nawet poddać różnorakie elementy, z których składało się to zgromadzenie, pewnej obserwacji, aby znaleźć temat do żartu. Ale nie zdążyła jąć się złośliwej krytyki ani też nie zdołała podsłuchać owych słów charakterystycznych, które karykaturzyści łowią z uciechą. Pyszne stworzenie napotkało raptem na tym szerokim polu kwiat – metafora pasuje tu do miesiąca – którego świetność i barwy podziałały na imaginację Emilii tak, jak zawsze urzeka nas coś nieznanego. Trafia się często, iż patrzymy na suknię, tapetę czy kartkę papieru z roztargnieniem dostatecznym, byśmy nie zauważyli od razu plamy lub jakiegoś punktu świecącego, które później przyciągną nasz wzrok nagle, jak gdyby pojawiły się dopiero w chwili, kiedy je dostrzeżemy; otóż, dzięki fenomenowi podobnemu, ale zaliczającemu się do dziedziny duchowej, panna de Fontaine ujrzała młodzieńca będącego wcieleniem doskonałym owych cech urody, które sobie wymarzyła od dawna.

Sadowiąc się z rodziną na prymitywnych krzesłach, które otaczały salę kręgiem, wybrała takie, aby najbardziej być wysuniętą spośród owej familijnej grupy: mogła tedy wedle fantazji wstawać i podchodzić bliżej, odnosiła się zaś do żywych obrazów i do gromadek tworzących się na tej sali niby do muzealnych eksponatów; wpatrywała się przez *lorgnon*[63], uparcie a impertynencko, w osobę znajdującą się od niej o dwa kroki, wypowiadała swoje spostrzeżenia, jak gdyby krytykowała albo chwaliła studium przedstawiające głowę czy rodzajową scenę. Wzrok jej, który długo błądził po tym ogromnym płótnie, przyciągnęła raptem postać niby rozmyślnie umieszczona w kącie obrazu, dzięki zaś najkorzystniejszemu oświetleniu odcinająca się ze szczególną ostrością. Młodzieniec jakiś, zadumany i samotny, wsparł się lekko o jeden z filarów podtrzymujący sklepienie, a skrzyżowawszy ręce i pochyliwszy głowę zdawał się pozować malarzowi do portretu. W postawie tej, choć pełnej dystynkcji i dumy, nie było nic afektowanego. Obrócił głowę skłoniwszy się nieco na prawo – jak Aleksander, jak lord Byron i jak jeszcze niektórzy wielcy ludzie – lecz nawet i cień sztuczności nie zdradzał, iżby

[63] L o r g n o n (fr.) – binokle z rączką.

pragnął tym ściągnąć na siebie uwagę. Bacznym spojrzeniem śledził ruchy którejś tancerki, przejawiając głębokie wzruszenie. Wysoki i smukły, pięknymi kształty przywodził na myśl posąg Apollina. Bujne naturalne loki ocieniały wysokie czoło. Panna de Fontaine dostrzegła już na pierwszy rzut oka, iż nieznajomy miał cienką bieliznę, rękawiczki nowe z koźlej skórki, sporządzone u dobrego rękawicznika, stopę drobną w zgrabnych butach z irlandzkiej skóry. Nie nosił ohydnych breloków, jakimi zwykł się obwieszać były wykwintniś z gwardii narodowej albo sklepowy lowelas. I tylko czarna wstążeczka z *lorgnon* na końcu zdobiła, kołysząc się, elegancko skrojoną kamizelkę. Nigdy jeszcze wymagająca Emilia nie widziała u mężczyzny oczu przesłoniętych rzęsami tak długimi i tak wdzięcznie zakręconymi. Melancholia i namiętność cechowały tę twarz o karnacji oliwkowej, męskiej. Kąciki warg, pełnych charakteru i jakby zawsze uśmiechnąć się gotowych, zdawały unosić się z lekka; lecz owa skłonność, nie mająca w sobie prawie nic z wesołości wrodzonej, stanowiła raczej coś na kształt smętnego czaru. Spojrzawszy na tę głowę, wróżyłeś zbyt wiele o przyszłości, postać ta miała w sobie zbyt wiele dystynkcji, abyś mógł tylko powiedzieć: „Oto piękny chłopak" lub: „Oto śliczny chłopak!" – pragnąłeś go poznać. Przyglądając się nieznajomemu, obserwator, choćby najbystrzejszy, wziąłby go na pewno za artystę, którego jakaś przemożna ciekawość znęciła na tę sielską zabawę.

Wprawna Emilia poczyniła mnóstwo tych spostrzeżeń skupiwszy przez moment uwagę: chwila ta wystarczyła, by ów szczęściarz, poddany surowym oględzinom, stał się przedmiotem tajonego uwielbienia. Nie powiedziała sobie: „Winien być parem Francji!" – lecz: „Och! Jakąż ma szlachetną powierzchowność, musi nim być"... – Nie kończąc tej myśli zerwała się i podążyła, a brat jej, generał, za nią, ku owej kolumnie, udając, że przygląda się wesołemu kadrylowi; ale, dzięki umiejętnym spojrzeniom, których sztukę posiada każda kobieta, nie przeoczyła żadnego z poruszeń młodzieńca, zmierzając ku niemu. Nieznajomy odsunął się grzecznie, aby zrobić miejsce dwóm nadchodzącym osobom, i oparł się o inną kolumnę. Emilia, tak urażona grzecznością nieznajomego, jakby zachował się wobec niej impertynencko, jęła gawędzić z bratem znacznie głośniej, niż dozwalał dobry ton; zadarła dumnie głowę, gestykulowała żywiej niż zwykle, śmiała się właściwie bez powodu – nie tyle po to, by rozweselić brata, lecz aby zwrócić uwagę niewzruszonego młodzieńca. Wszystkie te sztuczki zawiodły. Panna de Fontaine skierowawszy tedy wzrok tam, dokąd kierował go nieznajomy, dostrzegła przyczynę owej obojętności.

W karze kadryla, akurat naprzeciwko, tańczyła panienka blada, podobna do jednej ze szkockich boginek, jakie Girodet umieścił w swoim ogromnym malowidle wyobrażającym francuskich rycerzy, których przyjmuje Osjan. Emilii wydało się, iż rozpoznaje słynną lady, która osiedliła się niedawno na wsi sąsiedniej. Danserem jej był piętnastoletni chłopczyna, o rękach czerwonych, odziany w nankinowe inekspymable, błękitny fraczek i białe trzewiki – świadczyło to, iż upodobanie do tańca nie czyniło panny wymagającą, jeśli idzie o wybór partnerów. Choć wyglądała na wątłą, nie przejawiało się to wcale w jej ruchach; i tylko lekki rumieniec barwił już blade policzki, a szyja i ramiona zaczynały różowieć. Panna de Fontaine zbliżyła się do owego kara, by przyjrzeć się cudzoziemce, gdy ta będzie wracać na miejsce, a tańczący naprzeciw – powtarzać figurę przez nią wykonaną. Ale nieznajomy wysunął się naprzód, pochylił się ku ślicznej tancerce, a zaciekawiona Emilia usłyszała wyraźnie słowa, które wymówił nakazująco, lecz zarazem łagodnie:

– Klaro, przestań już tańczyć, moje dziecię.

Klara nadąsała się troszeczkę, kiwnęła głową na znak posłuszeństwa, i zaraz uśmiechnęła się. Kiedy skończono kontredansa, młodzieniec objawił troskliwość zakochanego narzuciwszy na ramiona panienki szal kaszmirowy i wynalazł jej krzesło w miejscu takim, gdzie nie było przeciągu. Wstali niebawem i poczęli spacerować wokół sali, jak gdyby zbierali się już do odejścia, a panna de Fontaine widząc to znalazła pretekst, aby podążyć za nimi: chciała rzekomo podziwiać panoramę, jaka roztacza się z rozmaitych punktów ogrodu. Generał go-

dził się ze złośliwym pobłażaniem na tę przechadzkę krętymi dróżkami, niby to bezcelową. Emilia zobaczyła, jak piękna para wsiadła do eleganckiego tilbury, którego pilnował lokaj w liberii, na koniu; kiedy młodzieniec, usadowiwszy się już na koźle, wyrównał lejce, Emilia uzyskała najpierw jedno z owych spojrzeń, jakie rzucamy obojętnie w tłum; zaczem doznała, słabego zresztą, ukontentowania, gdyż nieznajomy obejrzał się dwakroć, a panienka uczyniła to samo, naśladując go jakby. Byłaż to zazdrość?

– Chyba już napatrzyłaś się ogrodowi – ozwał się generał – możemy zatem wrócić na salę tańca.

– Chętnie – odrzekła. – Czy myślisz, że to kuzynka lady Dudley?

– Lady Dudley może mieć u siebie kuzyna – odparł baron de Fontaine – ale nie kuzynkę.

Nazajutrz panna de Fontaine oświadczyła, że pragnie zażyć konnej przejażdżki. Przyuczyła nie wiedzieć kiedy swoich braci, a także sędziwego wuja, aby odbywali z nią razem przechadzki poranne, nadzwyczaj korzystne, jak mawiała, dla jej zdrowia. Upodobała sobie szczególnie okolice wioski, w której mieszkała lady Dudley. Mimo tych kawaleryjskich manewrów nie spotkała nieznajomego tak łacno, jak to sobie obiecywać mogła po swoich gorliwych poszukiwaniach. Zawitała też raz i drugi na bal do Sceaux, nie zdołała jednak odnaleźć młodego Anglika, który spadł z nieba, aby zawładnąć jej snami, upiększając je. Przeszkoda jest najmocniejszym bodźcem dla dziewczyny, u której zakwita miłość, a jednak w pewnym momencie panna Emilia de Fontaine o mało nie zaniechała tych dziwacznych i sekretnych poszukiwań, zwątpiwszy niemal, czy odniesie sukces w owym przedsięwzięciu tak szczególnym, iż dawało ono wyobrażenie o jej zuchwałym charakterze. Mogłaby rzeczywiście długo krążyć wokół wioski Châtenay, nie spotkawszy nieznajomego. Młodziutka Klara, takie bowiem imię usłyszała panna de Fontaine, nie była Angielką, a domniemany cudzoziemiec nie mieszkał pośród kwietnych i wonnych gajów Châtenay.

Jednego wieczoru Emilia wyjechawszy konno z wujem, który dzięki pięknej pogodzie uzyskał od swojej podagry dość długie zawieszenie broni, natknęła się na lady Dudley. Słynna cudzoziemka siedziała w wolancie obok pana de Vandenesse. Podejrzenia Emilii rozwiały się w moment, jak rozwiewają się sny, znała bowiem tę piękną parę. Zirytowawszy się, jak i każda kobieta zawiedziona w oczekiwaniach, zawróciła tak szybko, że wuj niemało się natrudził, aby ją dogonić, ponieważ dała swojemu konikowi szkockiemu tęgą ostrogę.

„Widać jestem za stary, aby pojmować te dwudziestoletnie umysły – rzekł sobie marynarz puszczając konia galopem – albo może dzisiejsza młodzież nie przypomina już dawniejszej. Ale cóż to się stało mojej siostrzenicy? Bo właśnie jedzie stępa, niby żandarm patrolujący na ulicach paryskich. Chyba chce zajechać drogę temu dzielnemu jegomościowi, który wygląda mi na dumającego wierszokletę, bo, jak mi się zdaje, trzyma w ręce album. Dalipan, dureń ze mnie wyjątkowy! Alboż to nie młodzieniec, którego szukamy?”.

To pomyślawszy sędziwy marynarz ściągnął cugli tak, aby niespiesznie i po cichu zrównać się z siostrzenicą. Kontradmirał nazbyt wiele zbałamucił kobiet – czyniąc to od roku 1771 i w latach następnych, w okresie naszej historii, kiedy umizgi zajmowały miejsce honorowe – aby nie odgadnąć w lot, iż Emilia nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności spotkała nieznajomego z balu. Chociaż wiek rozciągał już zasłonę przed jego stalowymi oczami, hrabia de Kergarouët potrafił dostrzec u siostrzenicy oznaki nadmiernego podekscytowania, lubo starała się nadać twarzy kamienny spokój. Dziewczyna utkwiła wzrok bystry, lecz i jakby w tej chwili zasnuty mgiełką, w nieznajomym, co kroczył przed nią powoli.

„Otóż i to! – pomyślał marynarz. – Podąży za nim, niby statek handlowy za korsarskim. A kiedy zobaczy, że się oddala, wpadnie w rozpacz, bo nie dowie się, ani czy ją kocha, ani kim jest: margrabią czy mieszczaninem. Doprawdy, te wietrznice powinny zawsze mieć przy sobie takiego starego wygę jak ja...”

Przynaglił raptem konia tak, aby i koń Emilii ruszył żwawiej, i przemknął między nią a młodym spacerowiczem tak szybko, iż nieznajomy musiał umknąć na stok przydrożny, porośnięty murawą. Zatrzymawszy konia krzyknął:

– Nie mógłbyś się pan usunąć?

– O, najmocniej przepraszam – odrzekł nieznajomy. – Nie wiedziałem, że to ja mam się ekskuzować, skoro pan o małoś mnie nie przewrócił.

– E, kochasiu, dajmy spokój – podjął cierpko marynarz, przy czym głos jego zabrzmiał drwiąco i poniekąd obraźliwie.

W tymże momencie hrabia wzniósł szpicrutę, jak gdyby zamierzał smagnąć wierzchowca, i dotknąwszy ramienia nieznajomego ozwał się:

– Mieszczuch-liberał jest mędrkiem, a każdy mędrek winien zachowywać się rozumnie.

Słysząc ten sarkazm, młodzieniec wspiął się wyżej i skrzyżowawszy ręce odparł mocno wzburzony:

– Trudno mi uwierzyć, mój panie, że człek siwowłosy zabawia się jeszcze szukając zwady!...

– Siwowłosy? – wykrzyknął marynarz przerywając mu. – Zełgałeś bezczelnie, jestem tylko szpakowaty!

Kłótnia tak rozpoczęta zaogniła się niepomiernie w kilka sekund, toteż młodzieniec zapomniał, iż postanowił był nie tracić zimnej krwi. Spostrzegłszy, że nadjeżdża siostrzenica, nie tająca ogromnego zaniepokojenia, hrabia de Kergarouët podał adwersarzowi swoje nazwisko i poprosił, aby nie wspomniał o niczym przy młodej osobie, którą powierzono jego pieczy. Nieznajomy uśmiechnął się mimo woli i wręczył sędziwemu marynarzowi swój bilet wizytowy, nadmieniając, iż mieszka w wiejskim domu, w Chevreuse, a wskazawszy jego położenie, oddalił się zaraz.

– O mało nie przejechałaś, moja duszko, tego nieszczęsnego cywila – rzekł hrabia spiesząc naprzeciw Emilii. – Nie umiesz trzymać konia krótko, przy pysku! Dopuściłaś, abym naraził na szwank moją godność, osłaniając twoją lekkomyślność; marudziłaś tam, a przecież jedno twoje spojrzenie albo grzeczne słówko z tych, które mówisz tak wdzięcznie, jeśli akurat nie prawisz impertynencyj, naprawiłoby wszystko, choćbyś nawet złamała mu rękę.

– E, wujaszku, to twój koń, a nie mój zawinił. Wydaje mi się doprawdy, żeś nie powinien już jeździć konno, boć nie trzymasz się tak w siodle, jak zeszłego roku. Ale zamiast gadać jakieś głupstewka...

– Do diaska! Głupstewka! To głupstewko, że ktoś obraził twojego wuja?

– Chyba powinniśmy się dowiedzieć, czy temu panu nic się nie stało... Kuleje, wujaszku, spójrz tylko.

– Gdzie tam! Biegnie. No, alem nawymyślał mu zdrowo!

– Ach, wujaszku, to w twoim stylu.

– Powoli, powoli, moje dziecko! – ozwał się hrabia przytrzymując konia Emilii za uzdę. – Nie widzę konieczności, aby być uprzejmym wobec jakiegoś tam sklepikarza. Toć on nazbyt szczęśliwy, że przewróciła go czarująca dziewczyna albo dowódca okrętu „Belle-Poule”[64].

– Na jakiej podstawie sądzisz, mój wujaszku, że to ktoś z gminu? Wydaje mi się, że maniery ma bardzo dystyngowane.

– Każdy dziś ma takie maniery, moje dziecko.

– Nie, wujaszku, nie każdy ma takie obejście i wygląd, jakby stale obracał się w salonach, i chętnie założę się z tobą, że ten młodzieniec jest szlachcicem.

– E, nawet nie miałaś kiedy mu się przyjrzeć.

---

[64] „B e l l e – P o u l e” – nazwa francuskiej fregaty, która w r. 1778 wygrała z Anglią bitwę morską, będącą pierwszym epizodem – na morzu – wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

– Nie pierwszy raz go widzę.

– A i szukasz nie po raz pierwszy – odpalił admirał wybuchając śmiechem.

Emilia zaczerwieniła się, a wuj radował się czas jakiś jej zakłopotaniem; po czym ozwał się:

– Emilko, wiesz, że kocham cię jak rodzoną córkę, bo ty jedna z całej familii odznaczasz się ową usprawiedliwioną dumą, jaką daje wysokie urodzenie. Do licha! Kto by się spodziewał, moja siostrzeniczko, że te poczciwe zasady staną się tak rzadkie... A zatem, wybornie! Chcę zostać twoim powiernikiem. Moja maleńka, widzę, że ten młody szlachcic nie jest ci obojętny. Ale nikomu ani słowa. Kpiono by z nas w rodzinie, gdybyśmy odpłynęli pod jakąś kompromitującą banderą. Wiesz, co mam na myśli. Zatem pozwól, moja duszko, abym ci dopomógł. Zachowajmy oboje sekret, a przyrzekam ci, że przyprowadzę tego pana do twojego salonu.

– Kiedy, wujaszku?

– Jutro.

– Ale, drogi wujaszku, chyba mnie to do niczego nie zobowiąże?

– Absolutnie do niczego. Będziesz mogła go zbombardować, podpalić i zostawić niby starą skorupę, jeśli tak ci się podoba. Nie będzie to pierwszy, prawda?

– Jakiś ty, wujaszku, dobry!

Wróciwszy do domu, hrabia włożył okulary, wyciągnął ukradkiem bilet z kieszeni – i przeczytał:

MAKSYMILIAN LONGUEVILLE
ulica du Sentier

– Bądź spokojna, luba siostrzeniczko – rzekł do Emilii. – Wolno ci z czystym sumieniem złowić go na harpun. Należy do jednego z najstarszych naszych rodów i jeśli jeszcze parem nie jest, będzie nim bez ochyby.

– Skądże wiesz aż tyle?

– To moja tajemnica.

– Znasz więc jego nazwisko?

Hrabia pochylił w milczeniu szpakowatą głowę, wcale podobną do pnia starego dębu, wokół którego krąży, podlatując, parę listków skręconych jesiennym przymrozkiem; na ten widok Emilia przypuściła szturm, wiedziała bowiem, iż potęga jej zalotności zawsze jednakowo działa na wuja. Świadoma sztuki, z jaką do starego marynarza przymilać się trzeba, nie szczędziła mu dziecinnych karesów i najczulszych słówek; pocałowała go nawet, aby tym sposobem wydobyć zeń sekret tak ważny. Życie starego pana upływało na podobnych rozgrywkach z siostrzenicą: wyłudzał od niej karesy, częstokroć płacąc za nie to klejnotem, to znów odstępował jej swoją lożę w Teatrze Włoskim; tym razem jednak ze specjalnym upodobaniem dawał się prosić, a zwłaszcza karesować. Ale że dziś nazbyt przeciągał te rozkosze, Emilia zgniewała się, przeszła od karesów do sarkazmów, nadąsała się, lecz po chwili rozchmurzyła, całkiem już opanowana ciekawością. Marynarz-dyplomata uzyskał od Emilii solenną obietnicę, iż będzie na przyszłość bardziej powściągliwa, łagodniejsza, mniej arbitralna, oględniejsza w wydatkach – a przede wszystkim nie będzie miała dla niego tajemnic. Kiedy pakt zawarto, starzec przypieczętował go złożywszy pocałunek na białym czole Emilii, zawiódł ją w kąt salonu, posadził sobie na kolanach i, zasłaniając bilet dużymi palcami, jął pokazywać, litera po literze, nazwisko Longueville – lecz odmawiał uparcie, gdy siostrzenica chciała zobaczyć więcej. Zdarzenie to wzmogło jeszcze tajony afekt panny de Fontaine: prawie do rana roznosiła przed sobą obrazy najświetniejszych rojeń, umacniając nimi swoje nadzieje. Wreszcie, dzięki przypadkowi, do którego wzdychała tak często, Emilia ujrzała teraz u źródeł wyimaginowanych bogactw, jakimi złociła swoje przyszłe pożycie małżeńskie, coś całkiem innego niźli chimerę. Jak każda młoda osoba nie wiedząca nic o niebezpieczeństwach miłości i

mariażu, zapaliła się do zwodniczych pozorów, którymi łudzi jedno i drugie. Czyż nie powiedzieliśmy tym samym, że sentyment jej zrodził się podobnie, jak rodzą się niemal wszystkie kaprysy wczesnego dzieciństwa, miłe a zarazem okrutne błędy, wywierające wpływ jakże fatalny na życie dziewcząt zbyt mało doświadczonych, by mogły w trosce o swoje przyszłe szczęście polegać tylko na sobie? Nazajutrz rano, nim Emilia się zbudziła, jej wuj pospieszył do Chevreuse. Dostrzegłszy na dziedzińcu wykwintnego pałacyku młodzieńca, którego w przeddzień zbeształ surowo, przystąpił doń i ozwał się z ową serdeczną grzecznością, jaka cechuje starców bywałych u dawnego dworu:

– Ha, mój drogi panie, któż by przypuścił, że w siedemdziesiątym trzecim roku życia poważnię się z synem, a może wnukiem jednego z moich najlepszych przyjaciół? Jestem, proszę pana, kontradmirałem. Nie trzeba więc panu mówić, że tyle przejmuję się pojedynkiem, co i wypaleniem cygara. Za moich czasów dwaj młodzi ludzie dopiero wtedy zawierali poufałą przyjaźń, kiedy jeden zobaczył kolor krwi drugiego. Alem, do stu tysięcy fur beczek! wczoraj, jako marynarz, wypił na pokładzie trochę za wiele rumu, tom zaczepił pana. Dawaj pan łapę! Wolę sto razy, żeby Longueville przepędził mnie na cztery wiatry, niźli sprawić najdrobniejszą przykrość jego rodzinie.

Młodzieniec usiłował przyjąć hrabiego de Kergarouët jak najchłodniej – nie wytrzymał jednak, tyle było w jego zachowaniu szczerej dobroduszności, i dozwolił, by stary pan uścisnął mu dłoń.

– Wybierałeś się pan na konną przejażdżkę – ozwał się hrabia – to i nie krępuj się. Ale jeśli pan nie masz innych projektów, pojedźmy razem; zapraszam pana dziś na obiad do willi Planatów. Warto, i to nawet bardzo, poznać mojego siostrzeńca, hrabiego de Fontaine. No i myślę, do licha! że przebaczysz mi pan moją krewkość, kiedy przedstawię cię pięciu najładniejszym spośród paryżanek. E, widzę, młodzieńcze, że rozchmurzasz czoło! Lubię młodych ludzi i lubię patrzeć na ich szczęście. Przypomina mi ono łaskawe lata mojej młodości, kiedy to nikomu nie brakowało awanturek miłosnych, tak samo jak i pojedynków. Wesoło się żyło wtedy! Dziś mędrkujecie, niepokoicie się o wszystko, jak gdyby nie było ani piętnastego, ani szesnastego wieku.

– Ależ, proszę pana, to my mamy rację! Szesnasty wiek dał Europie tylko wolność religijną, a dziewiętnasty przyniesie jej wolność poli...

– E, nie gadajmy o polityce! Bo widzisz pan, jestem takim d u r n i e m – ultrarojalistą. Ale młodym ludziom nie przeszkadzam: bądźcież sobie rewolucjonistami, byleście dozwolili królowi rozpędzać ten wasz tłum.

Trochę dalej, kiedy hrabia i jego młody towarzysz znaleźli się w głębi lasu, marynarz wypatrzył młodą i dosyć cienką brzózkę; zatrzymawszy konia wydobył pistolet i strzelając na kroków piętnaście trafił w sam środek pnia.

– Jak widzisz, kochasiu, pojedynków się nie boję – oznajmił z ucieszną powagą, spoglądając na pana Longueville.

– I ja też – odparł młodzieniec, a nabiwszy sprawnie pistolet wymierzył w otwór po kuli hrabiego i trafił tuż obok.

– Oto co się nazywa dobrze wychowany młodzieniec! – zawołał admirał, a głos jego zabrzmiał jakby entuzjazmem.

W czasie tej wspólnej przechadzki hrabia, uważając się już za spowinowaconego z panem Longueville, znalazł mnóstwo okazji, aby wypytać go o różne rzeczy bagatelne, których znajomość nienaganna decydowała, wedle osobistego kodeksu pana de Kergarouët, o doskonałości szlachcica.

– Masz pan długi? – zagadnął wreszcie towarzysza, po wielu innych pytaniach.

– Nie, proszę pana.

– Jak to! Płacisz pan za wszystko, co tylko ci dostarczą?

– Płacę co do grosza, łaskawy panie; inaczej utracilibyśmy cały kredyt i wszelki szacunek.

– Ale masz pan przynajmniej parę kochanek, prawda? Cóż to, rumienisz się, kolego?... Obyczaje bardzo się zmieniły. Te wasze pojęcia legalności, kantyzmu, wolności zepsuły młodzież. Nie macie ani panny Guimard, ani panny Duthe[65], ani wierzycieli, nie znacie się na heraldyce; tak, mój młody przyjacielu, nie jesteś pan w y e d u k o w a n y! Trzeba ci wiedzieć, że kto nie popełnia szaleństw na wiosnę, popełnia je w zimie. Jeśli w siedemdziesiątym roku życia mam osiemdziesiąt tysięcy liwrów renty, to dlatego, żem już w trzydziestym przejadł kapitał... O, wespół z własną żoną, najuczciwiej. Mimo tych pańskich wad zapowiem twoją wizytę u Planatów. Pamiętaj, żeś obiecał przyjść, czekam na pana.

„Szczególny starowina – pomyślał Longueville – krzepki, żwawy; ale choć pragnie uchodzić za poczciwca, nie dam się wziąć na pozory".

Nazajutrz, około czwartej, kiedy towarzystwo rozproszyło się po salonach albo grało w bilard, lokaj oznajmił mieszkańcom willi Planatów przybycie pana de Longueville. Gdy padło nazwisko młodzieńca, którego upodobał sobie stary hrabia de Kergarouët, wszyscy, nie wyłączając gracza, co mógł przez to chybić kulę, zbiegli się, aby obserwować zachowanie panny de Fontaine jako też oszacować owego feniksa w ludzkim ciele, wyróżnionego zaszczytną wzmianką, z uszczerbkiem dla tylu rywali. Ubiór zarówno elegancki, jak prosty, maniery pełne swobody, obejście uprzejme, głos łagodny, o brzmieniu, które poruszało struny serca, zjednały panu Longueville przychylność całej rodziny. Nic nie wskazywało, by czuł się obco pośród przepychu, jakim błyszczała siedziba poborcy, opływającego w dostatki. Chociaż gawędził sposobem wszystkich światowców, łatwo było odgadnąć, iż odebrał najświetniejszą edukację i że posiadał wykształcenie zarówno gruntowne, jak i wszechstronne. Znalazł w lot właściwe słowo w lekkiej dyskusji o budowie okrętów, którą wszczął sędziwy marynarz – toteż jedna z dam zauważyła, iż pan de Longueville ukończył chyba Szkołę Politechniczną.

– Wydaje mi się, łaskawa pani – odpowiedział – że kto dostał się do tej uczelni, ma już tytuł do sławy.

Mimo żywych nalegań wymówił się grzecznie, aczkolwiek stanowczo, kiedy zatrzymywano go na obiad, a protesty dam uciął oświadczając, iż odgrywa rolę Hipokratesa[66] przy młodszej siostrze, która ze względu na delikatne zdrowie wymaga troskliwej opieki.

– A nie jesteś pan aby lekarzem? – zagadnęła ironicznie któraś ze szwagierek Emilii.

– Nasz miły gość ukończył Szkołę Politechniczną – ozwała się dobrotliwie panna de Fontaine, a lico jej oblał najpiękniejszy szkarłat w momencie, gdy dowiedziała się, że panienka z balu jest siostrą pana Longueville.

– Ależ, moja droga, można być lekarzem i ukończyć Szkołę Politechniczną, nieprawdaż, proszę pana?

– Jedno drugiemu nie przeszkadza, łaskawa pani – odrzekł młodzieniec.

Wszyscy skierowali wzrok ku Emilii, która spoglądała właśnie z wyrazem, który nazwać by można niespokojnym zaciekawieniem, na czarującego nieznajomego. Odetchnęła swobodniej, gdy dorzucił uśmiechając się dyskretnie:

– Nie mam zaszczytu, łaskawa pani, być lekarzem, a nawet nie wstąpiłem do Urzędu Dróg i Mostów, choć mi proponowano, chciałem bowiem zachować niezależność.

– I chwali się to panu – ozwał się hrabia. – Ale jakżeż się dzieje, że uważasz profesję lekarską za coś zaszczytnego? – spytał ów szlachcic bretoński. – E, mój młody przyjacielu, taki człowiek jak pan...

– Panie hrabio, szacuję jak najwyżej każdą profesję, która przynosi pożytek.

---

[65] Marie-Madeleine G u i m a r d (1743–1816) – tancerka Opery Paryskiej, znana ze swobodnych obyczajów; Rosalie D u t h e (1752–1820) – kurtyzana paryska, znana z rozrzutności.

[66] H i p o k r a t e s (żył na przełomie V i IV w. przed n. e.) – słynny lekarz grecki.

– No więc się zgadzamy: szacujesz pan owe profesje, tak sobie to przynajmniej imaginuję, jak młody człowiek szacuje starą babę.

Wizyta pana Longueville nie trwała ani nazbyt krótko, ani nazbyt długo. Pożegnał się, kiedy tylko spostrzegł, że spodobał się wszystkim, a każdego z osobna zainteresował.

– O, to chytra sztuka – powiedział hrabia, gdy odprowadziwszy gościa wracał do salonu.

Panna de Fontaine, a jej tylko wiadomy był sekret owej wizyty, zrobiła toaletę dość wyszukaną, aby ściągnąć spojrzenia młodzieńca; ale strapiła się cokolwiek, widząc, że nie zwraca na jej osobę takiej uwagi, na jaką zasługiwała we własnym przekonaniu. Rodzinę zdziwiło trochę milczenie, w jakim się zamknęła. Kiedy zjawiał się ktoś nowy, Emilia rozwijała zwykłą sobie kokieterię, paplała, jak to ona, dowcipnie, była niewyczerpana, jeśli idzie o wymowę spojrzeń, póz i gestów. Może oczarował ją melodyjny głos i osobisty wdzięk młodzieńca i może zakochała się na serio, to zaś uczucie dokonało w niej odmiany – dość, że zachowanie jej utraciło wszelką afektację. Stała się prosta i naturalna, a przez to oczywiście piękniejsza. Siostry i szwagierki – nie wszystkie co prawda – i pewna stara dama, przyjaciółka rodziny, dopatrzyły się w tym postępowaniu wyrafinowanej kokieterii. Wedle nich, Emilia, osądziwszy, że młodzieniec jest jej godny, umyśliła zapewne objawiać swoje zalety stopniowo i zwolna, aby olśnić go raptem, w momencie, który wybrałaby sama.

Całą rodzinę paliła ciekawość, czy ta grymaśnica zajęła się rzeczywiście nieznajomym; ale gdy podczas obiadu każdy z przyjemnością obdarowywał pana Longueville nowym przymiotem, mniemając, iż dokonuje oryginalnego odkrycia, panna de Fontaine milczała dość długo; nieszkodliwy sarkazm wuja wyrwał ją nagle z apatii: oświadczyła tedy z pewną złośliwością, że taka nieziemska doskonałość musi kryć jakąś wielką wadę i że nigdy by nie wydała na podstawie pierwszego wrażenia sądu o kimś aż tak układnym; ten, kto tak bardzo podoba się wszystkim – dorzuciła – nie podoba się nikomu, a najgorszą z wad jest nie mieć żadnej. Jak i wszystkie zakochane dziewczęta, Emilia łudziła się nadzieją, że zdoła zataić uczucie na dnie serca, zwodząc argusów, którzy ją otaczali; ale już po dwóch tygodniach każdy w tej licznej rodzinie przeniknął ów sekrecik domowy. Za trzecią wizytą, jaką złożył pan Longueville, wydało się Emilii, że odegrała w niej poważną rolę. Odkrycie to tak ją upoiło, że dziwiła się sama, dumając o nim. Ale miało ono w sobie coś uciążliwego dla jej pychy. Nawykłszy do tego, że czyniła się ośrodkiem świata, musiała teraz uznać siłę, co wyciągała ją poza jej własny krąg. Próbowała się buntować, ale nie zdołała wymazać z serca uroczego obrazu młodzieńca. Następnie zjawił się niepokój. Pana Longueville cechowały dwie zalety będące w dysharmonii z ciekawością ogólną, a zwłaszcza z ciekawością, jaką żywiła panna de Fontaine: skromność i dyskrecja. Młodzieniec umiał zawsze ze zręcznością dyplomaty, pragnącego zachować swoje tajemnice dla siebie, pomieszać szyki pannie de Fontaine, która przetykała rozmowę subtelnymi aluzjami i zastawiała w niej chytre pułapki, aby wydrzeć mu zwierzenia natury bardziej osobistej. Kiedy rozprawiała o malarstwie, pan Longueville odpowiadał z wielką znajomością rzeczy. Kiedy grała, młodzieniec wykazywał, nie chełpiąc się bynajmniej, że fortepian wcale nie jest mu obcy. Któregoś wieczoru zachwycił towarzystwo połączywszy swój głos prześliczny z głosem Emilii w jednym z najpiękniejszych duetów Cimarosy; ale kiedy spróbowano go wybadać, czy jest artystą, wy- kręcił się żartobliwie i z takim wdziękiem, iż damy, wyćwiczone najwyborniej w sztuce odgadywania sentymentów, ani rusz nie zdołały spenetrować, do jakiej sfery społecznej należy. I chociaż stary wuj nadzwyczaj śmiele zarzucał bosaki na ów okręt, Longueville wywijał się zgrabnie, aby nie stracić uroku otaczającej go tajemnicy; a było mu tym łatwiej pozostawać w willi Planatów p i ę k n y m n i e z n a j o m y m, że ciekawość nie przekraczała tu granic dobrego wychowania. Emilii, dręczonej tą powściągliwością, przyszło na myśl, że łatwiej, skoro brat jest oporny, wydobędzie zwierzenia od siostry. Wspomagana przez wuja, co rozumiał się na podobnych intrygach nie gorzej niźli na manewrach okrętu, popróbowała wyprowadzić na scenę osobę dotychczas niemą: pannę Klarę Longueville. Towarzystwo z willi objawiło wkrótce najżywszą chęć po-

znania tak miłej osoby – a postanowiono też i sprokurować jej jakąś rozrywkę. Zaproszono więc ją na balik – i zaproszenie zostało przyjęte. Damy liczyły po trosze na to, że uda im się szesnastoletnią dziewczynę pociągnąć za język.

Aczkolwiek ciekawość wywołała trochę chmurek, a nagromadziło je podejrzenie, duszę Emilii, radującej się rozkosznie życiem i już niemal dzielącej je z kim innym, przenikał ciepły blask. Zaczynała pojmować związki społeczne. Stała się mniej kostyczna, pobłażliwsza, łagodniejsza – może dlatego, że szczęście czyni nas lepszymi, a może dlatego, iż była nazbyt zajęta, by dokuczać bliźnim. Taka odmiana charakteru oczarowała zdumioną rodzinę. Kto wie, czy mimo wszystko egoizm Emilii nie przeobraził się w miłość. Czekać na wizytę nieśmiałego i dyskretnego wielbiciela było dla niej głęboką radością. Chociaż nie padło między nimi ani jedno słowo miłosne, wiedziała, że ją kocha – a jak misternie i z jakim upodobaniem skłaniała nieznajomego, by roztaczał skarby swojej edukacji! Okazały się one bogate. Spostrzegłszy się, iż Longueville też pilnie ją obserwuje, spróbowała przezwyciężyć wady, jakie rozwinęło w niej błędne wychowanie. Czy nie był to pierwszy hołd złożony miłości, a zarazem okrutny zarzut, jaki wymierzyła w samą siebie? Chciała się podobać – urzekła; pokochała – ubóstwiał ją. Rodzina wiedząc, że pycha jest wybornym strażnikiem, dawała Emilii taką swobodę, by mogła smakować w drobnych i naiwnych rozkoszach, jakimi darzy nas hojnie urok i ogień pierwszych amorów. Niejeden raz młodzieniec i panna de Fontaine przechadzali się sam na sam po alejach owego parku, gdzie natura była strojna niby kobieta wybierająca się na bal. Niejeden raz prowadzili owe gawędy pozbawione celu i wyrazu, gawędy, w których zdania najbardziej beztreściwe tają najwięcej uczucia. Często zachwycali się wspólnie zachodem słońca i jego bogatymi barwami. Zbierali stokrocie, aby obrywać płatki, śpiewali najgorętsze duety używając nutek wynalezionych przez Rossiniego czy Pergolesiego[67] – jako niezawodnych powierników, za których pośrednictwem wyjawiali sobie sekrety.

Nadszedł dzień balu. Klara Longueville i jej brat (lokaje dekorowali ich z uporem partykułą szlachecką) królowali na nim. Pierwszy raz w życiu panna de Fontaine cieszyła się triumfami innej panny. Ze szczerego serca obsypywała Klarę wdzięcznymi karesami, okazując jej owe drobne dowody starania, jakie kobiety zwykle składają sobie wzajem jedynie po to, aby obudzić zazdrość mężczyzn. Lecz Emilia miała swój cel: pragnęła wydobyć sekrety. Ale panna Longueville, jak to dziewczyna, okazała większą subtelność umysłu niźli jej brat i nawet nie udając osoby nieprzeniknionej, umiała uchylać w rozmowie wszelkie tematy dotyczące spraw materialnych, a roztaczała przy tym tyle czaru, że panna de Fontaine powzięła coś na kształt zawiści i przezwała Klarę – s y r e n ą. Chociaż Emilia zamierzyła wybadać Klarę – to Klara wypytywała Emilię; pragnęła ją oszacować – i została przez nią oszacowana; rozzłościła się nie raz jeden, albowiem w kilku odpowiedziach, które chytrze wyciągnęła z niej Klara, zdradziła swój charakter – skromna i naiwna mina panienki rozpraszała jakiekolwiek podejrzenia o perfidię. W pewnej chwili panna de Fontaine okazała niezadowolenie, gdy Klara sprowokowała ją do słów nierozważnych i ostrych, a dotyczących ludzi, którzy wywodzą się z gminu.

– Maksymilian tyle mi mówił o pani – ozwało się to urocze stworzenie – że zapragnęłam najgoręcej ją poznać, kierując się siostrzanym przywiązaniem; ale teraz widzę, że kto panią pozna, pokochać musi...

– Moja luba Klaro, zlękłam się, czym nie uraziła pani wyrażając się tak o ludziach nieszlacheckiej ekstrakcji.

– O, niechże się pani nie martwi. Dziś już te spory są całkiem bezprzedmiotowe. Jeśli zaś o mnie idzie, są mi obojętne: nie mam z tą kwestią nic wspólnego.

Aczkolwiek była to odpowiedź mocno dwuznaczna, panna de Fontaine odczuła głęboką radość; gdyż obyczajem wszystkich zakochanych wytłumaczyła ją sobie tak, jak tłumaczymy

[67] Giovanni Battista P e r g o l e s i (1710–1736) – słynny kompozytor włoski, jeden z twórców opery komicznej.

wyrocznię, to znaczy w sensie zgodnym z naszymi pragnieniami – i wróciła do tańca wesoła jak nigdy, popatrując na Longueville'a, którego uroda i elegancja przenosiły może nawet to, co sobie wymarzyła stworzywszy postać wyimaginowaną. Rozradowanie Emilii wzmogło się jeszcze, kiedy pomyślała, że jest szlachcicem; iskrzyły się jej czarne oczy, znajdowała w tańcu całą rozkosz, jakiej doznajemy tańcząc z ukochanym. Nigdy jeszcze nasi zakochani nie rozumieli się lepiej niż w owym momencie; odczuli nie raz jeden, jak drżą im koniuszki palców, kiedy łączyli je, posłuszni prawom kontredansa.

Czas mijał, początek jesieni zastał tę śliczną parę pośród wiejskich uciech i zabaw – dawali się unosić prądowi uczucia najmilszego pod słońcem, wzmacniając ów sentyment mnóstwem drobnych dowodów miłości, które każdy wyobrazi sobie łacno: amory są zawsze w pewnych punktach podobne. Oboje poznawali się wzajem, oczywiście w tym stopniu, w jakim mogą to czynić zakochani.

– Nigdy jeszcze miłostka nie obróciła się tak szybko w małżeństwo z miłości – powiadał stary wuj obserwując młodą parę okiem przyrodnika, który bada owady przez mikroskop.

Słowa te przeraziły państwa de Fontaine. Stary Wandejczyk zaprzestał być obojętnym na mariaż córki, choć to kiedyś obiecał. Udał się po informacje do Paryża, ale zebrać ich nie zdołał. Zaniepokojony tą tajemniczością, nie wiedząc, jaki będzie rezultat ankiety, którą na jego prośbę miał przeprowadzić pewien paryski prawnik, uznał za swój obowiązek przestrzec córkę, aby postępowała rozważnie. Odniosła się do rodzicielskiego napomnienia z posłuszeństwem pełnym ironii.

– Moja droga Emilko, jeśli go nawet kochasz, nie wyznawajże mu tego!

– Mój tatku, kocham go, to prawda, ale żeby mu to powiedzieć, zaczekam na twoje pozwolenie.

– Zastanów się jednak, Emilko: nie wiesz nic o jego rodzinie, kondycji.

– Nie wiem, bo tak mi się podoba. Ale, mój tatku, życzyłeś sobie, bym poszła za mąż, dałeś mi wolność wyboru, wybrałam nieodwołalnie, to i czegóż chcesz jeszcze?

– Trzeba się dowiedzieć, moje drogie dziecko, czy twój wybrany jest synem para Francji – odrzekł ironicznie czcigodny szlachcic.

Panna zmilczała tę uwagę. Ale podniósłszy zaraz głowę, spojrzała na ojca i spytała z pewnym zaniepokojeniem:

– A właściwie jak to jest z tymi Longueville'ami?...

– Ostatnim z nich był stary książę de Rostein-Limbourg, który w roku 1793 zginął na szafocie. Wygasła na nim linia młodsza.

– Ale, tatku, istnieją przecież najlepsze rodziny wywodzące się od bastardów. Historia Francji roi się od książąt, którzy umieścili pas ukośny na tarczy herbowej.

– Bardzoś odmieniła przekonania – uśmiechnął się stary szlachcic.

Następny dzień był ostatnim, jaki rodzina de Fontaine miała spędzić w willi Planatów. Emilia, mocno zaniepokojona słowami ojca, wyczekiwała z wielką niecierpliwością godziny, w której młody Longueville zwykł był się zjawiać – chciała bowiem prosić go o wyjaśnienia. Wyszedłszy po obiedzie na samotną przechadzkę po parku, skierowała kroki do „gaju zwierzeń", wiedząc, że rozkochany młodzieniec tam będzie jej szukał; biegła i rozmyślała, w jaki by tu sposób wydobyć, nie kompromitując się, sekret tak ważny:– sprawa dość trudna! Do tej pory żadne bezpośrednie wyznanie nie usankcjonowało uczucia, jakie łączyło ją z nieznajomym. Radowała się skrycie, jak i Maksymilian, słodyczą pierwszej miłości, ale że oboje byli jednako dumni, myślałbyś, iż każde z osobna lękało się miłosnego wyznania.

Jeśli idzie o charakter Emilii, Klara obudziła w Maksymilianie podejrzenia dość uzasadnione; tedy pan Longueville to dawał się ponosić gwałtownej młodzieńczej namiętności, to znów hamował zapędy, pragnąc poznać i doświadczyć kobietę, której miał zawierzyć swoje szczęście. Miłość nie zaślepiła go: dostrzegał w Emilii przesądy, które kaziły ów młody charakter; ale zanim rozpocząłby walkę z nimi, chciał się przekonać, czy Emilia go kocha, bo-

wiem nie życzył sobie narażać losów swojej miłości – tak samo, jak nie miałby ochoty narażać życia. Tedy wciąż milczał uparcie, lecz jakże wymownym było każde jego spojrzenie, każdy najbłahszy postępek i całe zachowanie. Z drugiej strony, duma naturalna u dziewczęcia, a u panny de Fontaine spotęgowana jeszcze głupią próżnością, jaką napawały ją i jej kondycja, i uroda, sprawiała, iż panna nie ułatwiała mu oświadczyn, do których wzrastająca namiętność kusiła go czasem. Tak to nasi zakochani pojmowali instynktem swoją sytuację, nie tłumacząc sobie kierujących nimi sekretnych pobudek. Bywają w życiu momenty, kiedy młodym duszom podoba się taka niepewność. A przez to właśnie, iż tak bardzo odwlekali rozmowę, myślałbyś, że prowadzą okrutną grę oczekiwania. On uznałby za dowód miłości wysiłek, jakim jego pyszna kochanka przełamałaby milczenie powiadając o swoim uczuciu, ona zaś liczyła na to, że Maksymilian przezwycięży lada chwila swoją powściągliwość, aż nazbyt pełną szacunku.

Siedząc na darniowej ławce, Emilia dumała o wypadkach, jakie zaszły w ciągu tych trzech miesięcy przepojonych czarem. Wątpliwości pana de Fontaine nie wzbudziły w niej właściwie żadnych obaw – osądziła je nawet surowo, uciekłszy się do kilku argumentów godnych niedoświadczonej dziewczyny, które jej wydały się jednakże nieodparte. Przede wszystkim umówiła się z sobą, że mylić się nie może. Przez całe lato nie zdołała przyłapać Maksymiliana ani na jednym geście czy słowie, które zdradziłyby gminne pochodzenie albo gminne zajęcia; przeciwnie: sposób, w jaki dyskutował, świadczył, iż pana Longueville pochłaniają doniosłe sprawy polityki wewnętrznej. „A zresztą – rzekła sobie – urzędnik, finansista czy kupiec nie mógłby bawić tutaj całe lato, aby zalecać do mnie pośród pól i lasów, nie dbając o swój czas i szafując nim hojnie, niby szlachcic, który ma przed sobą całe życie wolne od trosk". Kiedy poniosły ją dumania o wiele dla niej ciekawsze niźli te myśli wstępne, usłyszała lekki szmer liści, zwiastujący, że już od dłuższej chwili Maksymilian wpatrywał się w nią, oczywiście z uwielbieniem.

– Nie wiesz pan, że to bardzo brzydko tak zaskoczyć pannę? – spytała z uśmiechem.

– Zwłaszcza jeśli ją pochłaniają własne sekrety – odparł domyślnie Maksymilian.

– A czemuż nie mogłabym mieć własnych sekretów? Pan także je ma!

– To rzeczywiście myślałaś pani o swoich sekretach? – uśmiechnął się.

– Nie. Myślałam o pańskich. Bo swoje znam.

– Ale – ozwał się przymilnie młodzieniec chwytając rękę panny de Fontaine i wsuwając sobie pod ramię – może moje sekrety są sekretami pani, a pani – moimi.

Postąpiwszy kilka kroków znaleźli się pod kępą drzew, które barwny zachód spowił jakby czerwono-brązową chmurą. Magia przyrody przepoiła ową chwilę czymś uroczystym. Energiczny i śmiały postępek młodzieńca, osobliwie zaś bicie jego kipiącego serca, którego przyspieszony rytm wyczuwała Emilia ręką, wprawiły pannę de Fontaine w uniesienie tym bardziej przejmujące, iż wywołały je tylko najprostsze i najniewinniejsze okoliczności. W dziewczętach z wielkiego świata, strzeżonych bacznie, uczucie wybucha z niewiarygodną siłą, kiedy więc spotkają namiętnego kochanka, zagraża im jedno z największych niebezpieczeństw. Nigdy jeszcze oczy Emilii i Maksymiliana nie wyjawiły sobie tylu spraw, o których nie ośmielamy się mówić. W najwyższym upojeniu zapomnieli łatwo o nieważkich pretensjach pychy i o chłodnych rozważaniach, jakie nasuwała im nieufność. Zrazu umieli wyrazić swoje uczucia jedynie uściskiem rąk, którym przekazali sobie swoje radosne myśli.

– Chciałabym zadać panu jedno pytanie – ozwała się panna de Fontaine, kiedy po długim milczeniu postąpili zwolna kilka kroków; drżała, głos jej brzmiał wzruszeniem. – Ale pomyśl pan, błagam, że zapytać nakazuje mi w pewnym sensie moja sytuacja, dość osobliwa, w jakiej znalazłam się wobec rodziny.

Po tych słowach, które niemal wyjąkała, nastąpiła cisza, dla Emilii przerażająca. Przez ów moment, kiedy trwało milczenie, dziewczyna nie mogła znieść roziskrzonego wzroku ko-

chanka i nie śmiała spojrzeć mu w oczy, czuła bowiem w skrytości ducha, jak niskie były słowa, które dorzuciła jeszcze:

– Czy pan jesteś szlachcicem?

Wymówiwszy to, byłaby rada znaleźć się na dnie jeziora.

– Proszę pani – odparł Longueville, którego zmienione lica ściągnął grymas pełen surowej godności – obiecuję odpowiedzieć bez ogródek na to pytanie, jeśli pani szczerze odpowiesz na moje. – Puścił jej rękę (a wtedy Emilii wydało się, że jest sama na świecie) i rzekł: – W jakim celu pytasz mnie pani o urodzenie? – Trwała w bezruchu, chłodna, milcząca. – Panno Emilio – podjął – nie posuwajmy się dalej, skoro się nie rozumiemy. Kocham panią – przydał ciepło, z rozczuleniem. – A więc – zapytał radośnie, bowiem dziewczyna, nie panując już nad sobą, westchnęła uszczęśliwiona – po cóż ta ciekawość, czy jestem szlachcicem?

„Czyżby tak mówił, gdyby nim nie był?" – ozwał się w Emilii głos wewnętrzny, pochodzący, jak jej się wydało, z głębi serca. Uniosła wdzięcznie głowę, czerpiąc jakby w spojrzeniu młodzieńca nowe życie, i wyciągnęła doń rękę, niby na znak nowego przymierza.

– Sądziłeś pan, że bardzo zależy mi na tytułach? – zagadnęła chytrze, a zarazem z przekorą.

– Tytułów mojej żonie ofiarować nie mogę – odparł na pół żartobliwie i na pół serio. – Ale jeślim wybrał pannę z wysokich sfer, pannę, która dzięki fortunie rodzicielskiej przywykła do zbytku i rozrywek, jakie daje bogactwo, wiem, do czego zobowiązuje mnie taki wybór. Miłość obdarza wszystkim – dorzucił wesoło – ale jedynie kochanków. Małżonkom trzeba trochę więcej niźli kopuły niebios i kobierca łąk.

„Jest bogaty – pomyślała. – A co do tytułów, pewnie chciałby mnie doświadczyć! Chyba ktoś mu naopowiadał, żem zbzikowała na punkcie szlachectwa i że postanowiłam wyjść tylko za syna para Francji. To chyba te moje czułe siostrunie spłatały mi takiego figla".

– Zapewniam pana – rzekła – że nazbyt wiele wymagałam od życia i świata; ale dziś – podjęła z rozmysłem, a spoglądając tak, iż można było dla niej oszaleć – wiem, gdzie kobieta winna sięgnąć po prawdziwe bogactwa.

– O, jakże pragnę wierzyć, że otwarłaś pani przede mną serce – odpowiedział z łagodną powagą. – Ale jeszcze tej zimy, droga Emilio, może za niecałe dwa miesiące, będę dumny z tego, co zdołam ci ofiarować, jeśli zależy pani na uciechach, jakie daje fortuna. Będzie to jedyna tajemnica, jaką tutaj zachowam – ciągnął wskazując ręką swoje serce – od tego bowiem, czy mi się moje sekretne zamierzenia powiodą, zależy moje szczęście, nie śmiem powiedzieć: nasze...

– O, powiedz, powiedz!

Tak to gruchając jak najsłodziej, podążyli zwolna do salonu, gdzie zastali już całe towarzystwo. Nigdy jeszcze pannie de Fontaine jej przyszły nie wydał się milszym i dowcipniejszym; smukłość postaci i ujmujące maniery urzekały ją teraz jeszcze mocniej, gdyż ostatnia rozmowa utwierdziła niejako Emilię w przekonaniu, że posiadła serce godne zazdrości wszystkich kobiet. Zaśpiewali duet włoski z takim odczuciem, że zebrani dali im entuzjastyczne brawo. W pożegnaniu ich zabrzmiał akcent konwenansu, pod którym utaili swoje szczęście. Krótko mówiąc, ów dzień stał się dla Emilii ogniwem łańcucha, który połączył ją ściślej z losami nieznajomego. Siła i godność, jakie okazał w momencie, kiedy wyznali sobie wzajem swój afekt, przejęły może pannę de Fontaine owym szacunkiem, bez którego prawdziwa miłość nie istnieje. Kiedy została sam na sam z ojcem w salonie, czcigodny Wandejczyk podszedł do córki, ujął ją serdecznie za ręce i spytał, czy zdołała już dowiedzieć się czegoś o majątku i familii pana de Longueville.

– Tak, drogi tatku – odrzekła – jestem szczęśliwsza, niżbym pragnąć mogła. Słowem, pan de Longueville jest jedynym mężczyzną, którego poślubić zechcę.

– Wybornie, Emilko – odpowiedział hrabia – wiem już, co mi uczynić pozostało.

– Czyżbyś wiedział o jakiejś przeszkodzie? – zapytała ze szczerym niepokojem.

– Moje drogie dziecko, ten młodzieniec jest absolutnie nikomu nie znany; ale z chwilą gdy go pokochałaś, jest mi bliski jak syn, chyba że to człowiek nieuczciwy.

– Nieuczciwy? – podjęła Emilia. – O to nie boję się wcale. Wuj nam go przedstawił i może ojcu ręczyć za niego. Jakże to, kochany wujaszku, może był korsarzem, piratem, flibustierem?

– Spodziewałem się, że wpadnę w taką kabałę! – zawołał stary marynarz, wyrwany z drzemki.

Rozejrzał się po salonie, ale siostrzenica znikła niby ogień świętego Elma, jak zwykł był mawiać.

– Więc jakże to, kochany wujaszku? – podjął pan de Fontaine. – Jak mogłeś ukrywać przed nami wszystko, coś wiedział o tym młodzieńcu? Toć powinieneś był spostrzec nasze zaniepokojenie. Czy pan de Longueville pochodzi z dobrej rodziny?

– Nie mam pojęcia, kim jest ani po Adamie, ani po Ewie! – zawołał hrabia de Kergarouët. – Ufając taktowi tej smarkuli, przyprowadziłem jej, wiadomym mi sposobem, tego jej pana Saint-Preux[68]. Wiem, że ten chłopak bajecznie strzela z pistoletu, poluje wybornie, wspaniale gra w bilard, w szachy i w tryktraka; fechtuje się, jeździ konno nie gorzej niż nieboszczyk kawaler de Saint-Georges. Erudytą jest nie byle jakim, jeśli chodzi o nasze winnice. Rachuje jak sam Barrême[69], rysuje, tańczy i ładnie śpiewa. E, do licha, co was właściwie ugryzło? Jeśli on właśnie nie jest szlachcicem doskonałym, pokażcież mi mieszczucha, który by umiał to wszystko, znajdźcież mi człowieka, który by żył tak po szlachecku jak on! Myślicie, że się czymś zajmuje? Że wystawia na szwank swoją godność chodząc do biura, kłaniając się w pas parweniuszom, których wy nazywacie dyrektorami generalnymi? Idzie prostą drogą. To człek jak się patrzy. Ale czekajcie, znalazłem w kieszonce kamizelki bilet, który dał mi sądząc, że zamierzam uciąć mu łeb. Biedny głuptas! Dzisiejsza młodzież nie jest chytra, o nie... Masz, obejrzyj sobie.

– Ulica du Sentier, numer 5 – powiedział pan de Fontaine usiłując wyłowić ze wszystkich informacyj, jakie był otrzymał, taką, która mogłaby się odnosić do nieznajomego młodzieńca. – Cóż to, u diabła, znaczy? Panowie Palma, Werbrust i Spółka, grosiści, handlujący głównie muślinem, kalikotem i kretonem, mieszkają tam. Doskonale, już wiem! Longueville, deputowany, ulokował w tej firmie pieniądze. Tak; ale wiem na pewno, że Longueville ma tylko syna jedynaka, lat trzydziestu dwu (nic a nic niepodobny do naszego), i daje mu w wianie pięćdziesiąt tysięcy liwrów renty, żeby go ożenić z którąś ministrówną; bo jak każdy, ma ochotę zostać parem. Nigdym nie słyszał od niego o jakimś Maksymilianie. A może on ma córkę? Co to za jedna ta Klara? Dodać trzeba, że niejednemu intrygantowi wolno nazywać się Longueville. Ale czy dom handlowy Palma, Werbrust i Spółka nie zbankrutował w połowie na jakiejś meksykańskiej, a może indyjskiej spekulacji? Wyświetlę to wszystko.

– Gadasz sam, jakbyś był na scenie; wygląda na to, żem tyle dla ciebie wart, co i zero – ozwał się nagle stary marynarz. – Wiesz przecie, że jeśli okaże się szlachcicem, mam na pokładzie niejeden worek, którym załatam jego fortunę.

– Czekaj, czekaj, bo jeśli jest synem Longueville'a, nie potrzebuje nic; tylko że – tu pan de Fontaine pokręcił głową z prawa na lewo – jego ojciec i tak nie kupił szlachectwa. Był przed rewolucją prokuratorem, a więc klejnot, który otrzymał za Restauracji, przynależy synowi tak samo, jak i połowa dziedzictwa.

– Ho, ho! Szczęśliwi ci, którym ojców powieszono! – zawołał wesoło marynarz.

Od tych pamiętnych wypadków minęło kilka dni. Jednego z owych pięknych listopadowych poranków, kiedy to paryżanie oglądają swoje bulwary wymiecione szczypiącym wia-

---

[68] S a i n t – P r e u x – bohater „Nowej Heloizy" Rousseau, wzór szlachetnego i statecznego kochanka.

[69] Bertrand-François B a r r ê m e (1640–1703) – autor znanych w swoim czasie podręczników arytmetyki i rachunkowości.

trem pierwszego przymrozka, panna de Fontaine wystroiwszy się w nowe futro – chciała bowiem wprowadzić je w modę – wybrała się do miasta z dwiema szwagierkami, które dawniej stanowiły główny cel jej przycinków. Trzy panie skłoniła do tej paryskiej przechadzki nie tyle chęć popisania się nadzwyczaj wykwintnym powozem i sukniami, co miały nadawać ton modzie zimowej, ile ciekawość, jaką wzbudziła w nich peleryna, którą jedna z ich przyjaciółek zauważyła w bogatym sklepie bieliźniarskim mieszczącym się na rogu ulicy de la Paix. Kiedy trzy damy weszły do środka, pani baronowa de Fontaine pociągnęła Emilię za rękaw, wskazując Maksymiliana Longueville, który siedział przy kasie i konferował zapewne z jakąś szwaczką, wydając jej, pełen kupieckiej uprzejmości, resztę ze złotej monety. P i ę k n y n i e z n a j o m y dzierżył kilka próbek, które nie pozostawiały żadnych złudzeń co do jego zaszczytnej profesji. Emilię przejął lodowaty dreszcz, ale opanowała się tak, iż nikt nie spostrzegł tego, dzięki zaś umiejętności maskowania się, cechującej ludzi z dobrego towarzystwa, utaiła wściekłość, co zakipiała w jej sercu, i odpowiedziała szwagierce tylko: – Wiedziałam o tym! – ale głęboka intonacja i akcent nieporównany obudziłyby zazdrość w niejednej ze sławnych ówczesnych aktorek. Podeszła do kontuaru. Longueville uniósł głowę, zdesperowany, ale spokojny, schował próbki do kieszeni i skłoniwszy się pannie de Fontaine zbliżył się do niej patrząc na nią przenikliwie.

– Proszę pani – rzekł do szwaczki, co podążyła za nim, srodze zatroskana – poślę ten rachunek, aby go uregulowano; tak sobie życzy moja firma. Ale niech to pani weźmie – szepnął młodej kobiecie wsuwając jej banknot tysiącfrankowy – tylko niech to zostanie między nami. Spodziewam się, że łaskawa pani mi wybaczy – zwrócił się do Emilii. – Zrozumie pani w dobroci swojej tyranię, z jaką władają nami interesa.

– Ależ wydaje mi się, mój panie, że to mnie nic a nic nie obchodzi! – odparła panna de Fontaine patrząc nań bez jakiegokolwiek pomieszania i z lekką drwiną, tak iż sądzić by można, że widzi go po raz pierwszy.

– Mówi pani serio? – spytał Maksymilian, a słowa więzły mu w gardle.

Emilia z niewiarygodną impertynencją odwróciła się do niego plecami. Króciutki ten dialog, przeprowadzony półgłosem, umknął ciekawości szwagierek. Kiedy zakupiwszy pelerynę trzy damy wróciły do powozu, Emilia, sadowiąc się na przednim siedzeniu, ogarnęła jeszcze, mimo wszystko, ostatnim spojrzeniem wnętrze owego szkaradnego sklepu i zobaczyła Maksymiliana – stał skrzyżowawszy ramiona, w pozie człowieka wyższego nad nieszczęście, które dotknęło go raptem. Wzrok ich spotkał się, rzucili sobie nieubłagane spojrzenia. Oboje byli prawie pewni, że rozkrwawili sobie wzajem kochające serca. I w tym momencie tak oddalili się od siebie, jakby jedno było już na Grenlandii, a drugie w Chinach. Czyż próżność nie wysusza wszystkiego swoim tchnieniem? Miotana walką najsroższą, jaka może wstrząsnąć sercem dziewczęcym, panna de Fontaine zebrała najobfitsze żniwo cierpień, jakie przesądy i małostkowość zasiały kiedykolwiek w ludzkiej duszy. Twarz Emilii, zawsze świeżą i aksamitną, poorały żółtawe bruzdy, pokryły czerwone plamy, chwilami zaś mleczna karnacja policzków zieleniała nagle. W nadziei, że tym sposobem ukryje zgryzotę przed oczyma szwagierek, pokazywała im, śmiejąc się, to jakiegoś przechodnia, to znów czyjś pocieszny ubiór; ale był to śmiech konwulsyjny. Milczące współczucie szwagierek raniło ją dotkliwiej, niżby raniły kpiny, którymi teraz mogłyby się zemścić. Wysilała cały dowcip, aby wciągnąć te damy do rozmowy, w której starała się wyładować złość już to sypiąc niedorzecznymi paradoksami, już to wyszydzając kupców najobelżywiej i bardzo niesmacznie. W domu chwyciła ją zaraz gorączka, nasuwająca z początku pewne obawy. Ale w niespełna miesiąc wydobrzała dzięki troskliwej opiece rodziców i lekarza – i ku ogólnemu zadowoleniu poczęła znów brać udział w życiu familii. Każdy spodziewał się, że nauczka ta, dość ostra, utemperuje w końcu charakter Emilii. Panna de Fontaine wróciła tymczasem do dawnych nawyków i znowu rzuciła się w wir świata. Utrzymywała, że mylić się – nie wstyd. Gdyby miała, jak jej ojciec, nieco powagi w Izbie Deputowanych – mawiała – doprowadziłaby do ustawy, na mocy której

czoła kupców, a zwłaszcza kupców bławatnych, aż do trzeciego pokolenia znaczono by żelazem, podobnie jak się to robi z baranami w Berry. Domagała się, żeby tylko szlachta miała prawo nosić dawny strój francuski, w którym było tak do twarzy dworakom Ludwika XV. Według niej, do nieszczęść monarchii należało zapewne i to, że nie istnieje żadna widoma różnica między kupcem a parem Francji. Tysiąc innych żartów, które odgadnąć łatwo, następowało błyskawicznie po sobie, jeśli nieprzewidzianym zbiegiem okoliczności Emilia wpadła na ów temat. Ale ci, którzy ją kochali, dostrzegli pod tym szyderstwem odcień melancholii. Nie było się co łudzić: Maksymilian Longueville władał wciąż na dnie tego niepojętego serca. Niekiedy łagodniała, niby podczas owego lata, co przeminęło tak szybko, a było świadkiem narodzin jej miłości, niekiedy stawała się bardziej nieznośna aniżeli zwykle. Wszyscy usprawiedliwiali ową zmienność usposobienia, mającą źródło w boleści utajonej i znanej zarazem. Hrabia de Kergarouët zyskał na nią niejaki wpływ, a to dzięki nadzwyczaj hojnym podarkom – rodzaj pocieszenia, który rzadko chybia celu, jeśli idzie o młode paryżanki.

Panna de Fontaine wybrała się w tym sezonie po raz pierwszy na bal do ambasadora Neapolu. W momencie gdy zaczęła tańczyć kadryla, wybrawszy najświetniejsze karo, dostrzegła o parę kroków od siebie – Longueville'a, który z lekka skinął głową jej danserowi.

– To ten młody człowiek liczy się do pańskich przyjaciół? – spytała wzgardliwie pana, który jej asystował.

– To przecież mój brat.

Emilia nie zdołała opanować drżenia.

– O – podjął z entuzjazmem – to najpiękniejsza dusza na świecie...

– Czy wiesz pan, jak się nazywam? – zagadnęła Emilia przerywając mu szybko.

– Nie wiem, łaskawa pani. To zbrodnia, przyznaję, żem nie zapamiętał nazwiska, które jest na wszystkich wargach, a raczej, winienem powiedzieć, we wszystkich sercach; ale mam coś istotnego na usprawiedliwienie: wróciłem właśnie z Niemiec. Mój ambasador, będący na wywczasach w Paryżu, przysłał mnie tu dziś wieczór, abym służył za „przyzwoitkę" jego miłej małżonce, która, jak pani widzi, siedzi o tam, w kącie.

– To maska iście tragiczna – orzekła Emilia przypatrzywszy się ambasadorowej.

– A jednak u niej balowa – roześmiał się młodzieniec. – Będę musiał z nią tańczyć! Dlatego zapragnął kompensaty. – Tu panna de Fontaine skłoniła się. – Zdziwiłem się mocno – ciągnął gadatliwy sekretarz ambasady – spotkawszy tutaj mojego brata. Po przybyciu z Wiednia dowiedziałem się, że jest obłożnie chory. Myślałem, że zdołam zobaczyć się z nim przed balem; ale polityka nie zawsze dozwala nam folgować uczuciom rodzinnym. *Padrona della casa*[70] nie zgodziła się, bym wstąpił do mojego biednego Maksymiliana.

– To pański brat nie służy, jak pan, w dyplomacji? – ozwała się Emilia.

– Nie – odpowiedział sekretarz wzdychając – biedny chłopak poświęcił się dla mnie! On i moja siostra, Klara, zrzekli się ojcowskiego majątku, aby ojciec mógł ufundować dla mnie majorat. Ojciec marzy o parostwie, jak i wszyscy, którzy wotują na gabinet obecny. Obiecano mu tę godność – przydał zniżając głos. – Owóż mój brat, zgromadziwszy trochę kapitału, przystąpił do spółki bankowej; wiadomo mi, że przeprowadził niedawno w Brazylii jakąś spekulację, dzięki której zostanie może milionerem. Widzisz mnie pani takim wesołym, bom dopomógł mu dzięki moim stosunkom w świecie dyplomatycznym. Czekam nawet z niecierpliwością depeszy z poselstwa brazylijskiego, gdyż jej treść na pewno rozchmurzy mu czoło. Jakże on się pani podoba?

– Ależ, sądząc z oblicza, pański brat nie wygląda na kogoś, kto zajmowałby się sprawami pieniężnymi.

Młody dyplomata ogarnął badawczym spojrzeniem lica swojej tancerki, na pozór spokojne.

[70] P a d r o n a d e l l a c a s a (wł.) – pani domu.

– Jak to! – uśmiechnął się. – Czyżby młode panny odgadywały myśl miłosną poprzez nieme czoło?

– To pański brat się w kimś kocha? – zapytała objawiając mimo woli ciekawość.

– Tak. Moja siostra, Klara, którą on opiekuje się jak matka, pisała mi, że zadurzył się tego lata w ślicznej osobie; ale potem nie otrzymałem już o jego amorach żadnych nowin. Czy dałabyś pani wiarę, że ten biedny chłopak wstawał co dzień o piątej rano i jechał załatwiać interesa, żeby o czwartej wrócić na wieś i asystować swojej lubej? Toteż ochwacił pięknego rasowego konia, którego mu przysłałem. Daruj mi pani moją gadatliwość: wróciłem z Niemiec. Od roku nie słyszałem przyzwoitej francuszczyzny, pozbawiono mnie francuskich twarzy, pasłem oczy niemieckimi, przeto w moim patriotycznym zacietrzewieniu mówiłbym chyba i do chimer zdobiących paryskie kandelabry. Następnie, jeśli jestem zbyt wylewny, co nie przystoi dyplomacie, to pani wina. Przecież to pani wskazała mi mojego brata. Jest on dla mnie tematem niewyczerpanym. Chciałbym rozgłosić po całym świecie jego niezwykłą dobroć i szlachetność. Chodziło ni mniej ni więcej tylko o sto tysięcy liwrów renty, którą dają włości Longueville.

Panna de Fontaine zawdzięczała te niezwykłe i ważne informacje do pewnego stopnia zręczności, z jaką wypytywała swojego ufnego dansera od chwili, gdy oznajmił, iż jest bratem jej wzgardzonego kochanka.

– A czy mogłeś pan, nie bez pewnej przykrości, patrzeć, jak pański brat sprzedaje muślin i kalikot? – zagadnęła Emilia przetańczywszy trzecią figurę kontredansa.

– Skądże pani to wiesz? – spytał dyplomata. – Bo chociaż wylałem słów potok, posiadłem już, dzięki Bogu! sztukę mówienia tylko tego, co zechcę, jak i wszyscy początkujący dyplomaci, których znam.

– Powiedziałeś mi pan to, zapewniam.

Pan de Longueville spojrzał na pannę de Fontaine ze zdziwieniem, lecz i nader przenikliwie. Podejrzenie zakradło mu się do duszy. Zapytał kolejno wzrokiem brata i swoją tancerkę, odgadł wszystko, zacisnął dłonie, spojrzał w sufit, a wybuchając śmiechem rzekł:

– Ależ głupiec ze mnie! Jesteś pani na tym balu najpiękniejszą osobą, mój brat zerka na panią, tańczy, choć ma gorączka, a pani udajesz, że go nie widzisz. Niechże go pani uszczęśliwi – mówił odprowadzając Emilię do starego wuja – nie będę zazdrosny; ale ilekroć będę nazywał panią bratową, zadrżę cokolwiek...

A tymczasem kochankowie mieli wytrwać we wzajemnym nieprzejednaniu. Około drugiej nad ranem podano zimną kolację w olbrzymiej galerii, żeby zaś ludzie należący do tych samych kół towarzyskich mogli połączyć się swobodnie, porozstawiano stoły – jak u restauratorów. Jednym z owych przypadków, jakie trafiają się często, panna de Fontaine znalazła się przy stole sąsiadującym ze stołem, wokół którego zasiadły osoby najbardziej dystyngowane. Maksymilian był między nimi. Emilia, nastawiając bacznie ucha na dyskursy sąsiadów, mogła usłyszeć jedną z owych rozmów, które nawiązują się tak łatwo między młodymi kobietami i młodymi mężczyznami równie wytwornymi i wdzięcznymi jak Maksymilian Longueville. Młody bankier gawędził z księżną neapolitańską, której oko rzucało błyskawice, a śnieżna karnacja wabiła połyskiem atłasu. Longueville dawał pozory, iż łączy go z księżną zażyłość, co tym mocniej ubodło pannę de Fontaine, że postanowiła już nagrodzić kochanka uczuciem stokroć silniejszym niż to, które okazywała mu dawniej.

– Tak, proszę pana, w moim kraju prawdziwa miłość jest zdolna do wszelkich poświęceń – mówiła księżna wdzięcząc się.

– Bo jesteście namiętniejsze od Francuzek – rzekł Maksymilian, a wzrok jego płomienny padł na Emilię. – Są one wcieleniem próżności.

– To chyba brzydko, mój panie – podchwyciła w mig panna de Fontaine – tak oczerniać ojczyznę. A poświęcenie znajdziesz w każdym kraju.

– Czy sądzi pani – wtrąciła Włoszka uśmiechając się sardonicznie – że paryżanka byłaby zdolna pójść wszędzie za swoim kochankiem?

– E, łaskawa pani, najpierw musimy się porozumieć. Można iść na pustynię i zamieszkać w namiocie, ale nie podobna zasiąść w sklepie.

Kończąc tę myśl, nie zapanowała nad pogardliwym gestem. Tak to wpływ, jaki wywarła na Emilię zgubna edukacja, dwakroć zabił rodzące się szczęście i zwichnął jej życie. Rzekomy chłód Maksymiliana i uśmiech księżnej podjudziły Emilię do jednego z owych sarkazmów, których zdradliwa rozkosz wabiła ją zawsze.

– Panno Emilio – powiedział cicho Longueville korzystając z gwaru, jaki podniosły damy wstające od stołu – nikt nie będzie goręcej życzył pani szczęścia niż ja; dozwól pani, abym zapewnił cię o tym, żegnając się z tobą. Za parę dni wyjeżdżam do Włoch.

– Oczywiście z księżną, nieprawdaż?

– Nie, proszę pani: chory, kto wie, czy nie śmiertelnie.

– Czy to aby nie złudzenie? – spytała Emilia patrząc nań ukradkiem i niespokojnie.

– Nie. Są rany, które nie zabliźniają się nigdy.

– Nie wyjedziesz pan – rzekła z uśmiechem owa arbitralna dziewczyna.

– Wyjadę – odparł poważnie Longueville.

– Wróciwszy zastaniesz mnie pan zamężną, uprzedzam – odpowiedziała zalotnie.

– Pragnę tego.

– Impertynent! – zawołała. – Okrutna to zemsta!

Po dwóch tygodniach Maksymilian Longueville odjechał z siostrą swoją, Klarą, do ciepłych i poetycznych krain pięknej Italii, pozostawiając pannę de Fontaine dręczoną najgwałtowniejszymi wyrzutami. Młody sekretarz ambasady, przejąwszy się żywo urazą, jaką powziął był jego brat, umiał zemścić się na Emilii za okazaną wzgardę w taki sposób, że pannę ośmieszył, rozpowiadając wszędzie o pobudkach, dla których kochankowie zerwali. Zwrócił z nawiązką swojej tancerce sarkazmy, jakie rzucała ongi pod adresem Maksymiliana, i ubawił wielu dygnitarzów odmalowując piękną nieprzyjaciółkę kontuaru, amazonkę, co głosiła krucjatę przeciw bankierom, pannę, której miłość rozwiała się na widok sztuki muślinu. Hrabia de Fontaine musiał więc użyć wpływów, aby Augusta Longueville wysłano z misją dyplomatyczną do Rosji – w ten sposób uchronił córkę przed śmiesznością, którą ów niebezpieczny prześladowca okrywał ją, jak mógł najhojniej. Niebawem gabinet musiał powołać nowych parów, aby wesprzeć poglądy arystokratyczne, które w Izbie szlacheckiej zaczynały się chwiać na skutej ataków ze strony pewnego słynnego pisarza – i tak to pana Guiraudin de Longueville mianowano parem Francji tudzież wicehrabią. Pan de Fontaine otrzymał również parostwo w nagrodę za wierność, jaką okazał był w czasie złych dni, a także z tej racji, że nazwiska jego brakowało w Izbie dziedzicznej.

Mniej więcej w tym okresie Emilia, osiągnąwszy pełnoletność, jęła, rzecz naturalna, snuć poważne refleksje o życiu, odmieniła bowiem wyraźnie ton i maniery; zamiast ćwiczyć się w złośliwości prawiąc impertynencje wujowi, przynosiła mu kule z upartą tkliwością, która pobudzała żartownisiów do śmiechu; podawała mu ramię, jeździła z wujem karetą, towarzyszyła mu stale na przechadzkach; przekonała go, że lubi woń fajki, i czytywała mu jego ukochaną „Quotidienne”[71] wśród kłębów dymu tytoniowego, którym przekorny marynarz odmuchiwał ją umyślnie; studiowała pikietę, aby stawiać czoła sędziwemu hrabiemu; wreszcie, owa młoda osoba, jakże kapryśna, wysłuchiwała cierpliwie wciąż powtarzających się opowieści o walkach, jakie staczała „Belle-Poule”, o manewrach okrętu „Ville-de-Paris”, o pierwszej wypra-

[71] „Q u o t i d i e n n e” – dziennik założony przez rojalistów w r. 1792, w okresie Restauracji był organem skrajnego ich odłamu.

wie pana de Suffren i o bitwie pod Abukir[72]. Aczkolwiek stary marynarz mawiał często, iż nazbyt dobrze zna długość i szerokość geograficzną, aby dać się schwytać młodej korwecie, pewnego pięknego ranka salony paryskie dowiedziały się o mariażu panny Emilii de Fontaine z hrabią de Kergarouët. Młoda hrabina, szukając zapomnienia, urządzała wspaniałe zabawy; ale w głębi tego wiru znalazła naturalnie nicość: przepych maskował niedoskonale i pustkę, i boleść tej cierpiącej duszy; na pięknym jej licu malowała się prawie zawsze – mimo wybuchów sztucznej wesołości – głucha melancholia. Tak czy inaczej, Emilia otaczała starego męża nie słabnącymi względami, on zaś, odchodząc wieczorem przy radosnych dźwiękach orkiestry do swojego apartamentu, częstokroć mawiał:

– Samego siebie już nie poznaję. Na tom czekał siedemdziesiąt dwa lata, aby odpłynąć jako sternik *Pięknej Emilii*, i to po dwudziestu latach małżeńskich galer.

Hrabinę cechowały obyczaje tak surowe, iż najbystrzejszy krytyk nie miałby jej nic do zarzucenia. Postronni sądzili, że kontradmirał zastrzegł był sobie prawo dysponowania swoim majątkiem, aby tym mocniej przykuć żonę; supozycja obraźliwa i dla wuja, i dla siostrzenicy. Małżonkowie tak mądrze zresztą wykalkulowali swoje zachowanie, iż młodzieńcy najbardziej zainteresowani w tym, aby przeniknąć sekrety owego stadła, nie potrafili odgadnąć, czy stary hrabia traktuje Emilię jako małżonkę, czy też jako córkę. Powiadał nieraz, że przygarnął swoją siostrzenicę, jak się przygarnia rozbitka, i że dawniej nigdy nie nadużywał praw gościnności, jeśli trafiało mu się wyratować wroga z burz odmętu. Aczkolwiek hrabina przejawiała pretensje, by władać Paryżem, i starała się kroczyć w jednym rzędzie z księżną de Maufrigneuse i księżną de Chaulieu, z margrabiną d'Espard i margrabiną d'Aiglemont, z hrabiną Féraud, hrabiną de Montcornet i hrabiną de Restaud, z panią de Camps i panną Des Touches – nie uległa miłości młodego wicehrabiego de Portenduère, choć uczynił ją swoim bożyszczem.

W dwa lata po ślubie, będąc w jednym z odwiecznych salonów Przedmieścia Saint-Germain, gdzie rozpływano się nad jej charakterem godnym dawnych czasów, usłyszała, jak lokaj oznajmił pana wicehrabiego de Longueville; w kącie salonu, gdzie grała w pikietę z biskupem Persepolis, nikt nie mógł dostrzec, jak mocno się wzruszyła; obejrzawszy się zobaczyła swojego byłego narzeczonego: wchodził jaśniejąc blaskiem młodości. Ojciec jego umarł, zmienny klimat petersburski zabił mu brata, tedy na głowie Maksymiliana spoczął, ozdobiony pióropuszem, dziedziczny kapelusz parów; majątek pana de Longueville dorównywał jego wiedzy i talentom; w przeddzień właśnie oświecił był zgromadzenie swoją młodą i kipiącą elokwencją. A teraz ukazał się smutnej hrabinie wolny i zalecający się wszelkimi przymiotami, których ongi żądała od swojego wyśnionego. Wszystkie matki obarczone córkami na wydaniu przypuszczały kokieteryjny szturm do młodzieńca, którego licznych zalet domyślano się, podziwiając jego czar; lecz Emilia wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, że wicehrabiego de Longueville cechuje stałość charakteru, w której kobiety rozumne widzą rękojmię szczęścia. Popatrzywszy na admirała, który – jak mawiać lubił – długo jeszcze zapewne miał pozostać na pokładzie, przeklęła błędy swojego dzieciństwa.

W tejże chwili Jego Ekscelencja rzekł do niej z iście biskupim wdziękiem:

– Moja piękna damo, zrzuciłaś króla kierowego, wygrałem. Ale nie żałuj swoich pieniędzy, przeznaczam je na seminaria.

Paryż, grudzień 1829

[72] „V i l l e – d e – P a r i s" – statek francuski, który brał udział w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; Pierre-André de S u f f r e n (1726–1788) – admirał francuski, uczestnik tejże wojny; A b u k i r – miejscowość w północnym Egipcie, na wybrzeżu Morza Śródziemnego, gdzie w r.1798 angielski admirał Nelson pobił flotę francuską, a w r. 1799 Napoleon Bonaparte odniósł zwycięstwo nad Turkami.

LISTY
DWÓCH MŁODYCH MĘŻATEK

Przełożył
JULIAN ROGOZIŃSKI

PANI GEORGES SAND

Powyższa dedykacja, droga Georges, nie zdoła przydać nowego blasku Twojemu imieniu, gdyż ono to rzuci magiczny promień na tę książkę; nie mówię tak przez wyrachowanie lub skromność. Chcę w ten sposób dać świadectwo prawdziwej przyjaźni, co zrodziła się i przetrwała mimo naszych podróży i długich okresów rozłąki, mimo naszych prac i ludzkiej) nieżyczliwości. To uczucie na pewno nigdy nie wygaśnie. Orszak nazwisk przyjaciół towarzyszący moim utworom jest osłodą w trosce, o jaką przyprawia mnie ilość owych dzieł, gdyż nie rodzą się one bez bólu, a niemniejszą zgryzotę budzą we mnie choćby już tylko zarzuty wywołane moją zastraszającą płodnością, jak gdyby świat, co służy mi za model, nie był jeszcze płodniejszy. Czyż to nie będzie piękne, droga Georges, jeśli pewnego dnia jakiś antykwariusz literatur zaginionych odnajdzie w tym orszaku wielkich nazwisk jedynie szlachetne serca, świętą i nieskalaną przyjaźń, a także sławy naszego wieku? Czyż nie powinienem bardziej chlubić się tym niezawodnym szczęściem niż powodzeniem, o którym zawsze wątpić należy? Gdyż to szczęście dla tego, kto zna Cię dobrze, mienić się, jak to czynię, Twoim przyjacielem.

DE BALZAC

Paryż, w czerwcu 1840 r.

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

DO PANNY RENATY DE MAUCOMBE

Paryż, we wrześniu.

Moja droga sarenko, ja też jestem na swobodzie! A jeśliś nie napisała do mnie do Blois, stawiłam się również pierwsza na naszym miłym listownym spotkaniu. Unieś teraz pięknych czarnych oczu utkwionych w pierwszym zdaniu i powstrzymaj okrzyk zdziwienia aż do listu, w którym zwierzę Ci się ze swojej pierwszej miłości. Mówi się zawsze o pierwszej miłości – byłażby więc i druga? Cicho bądź! – odpowiesz mi; i zapytasz raczej, jakem wydostała się z tego klasztoru, gdzie miałam złożyć śluby. Moja droga, u karmelitanek dzieją się najróżniejsze rzeczy, ale cud mojego oswobodzenia do najnaturalniejszych spraw należy. Głos przerażonego sumienia zatriumfował wreszcie nad nakazami nieugiętej polityki, ot i wszystko. Nie mogąc patrzeć, jak umieram z żałości, ciotka przekonała wreszcie moją matkę, która przepisywała mi od dawna nowicjat jako najskuteczniejsze lekarstwo na moją chorobę. Czarna melancholia, na którą po Twoim zapadłam wyjeździe, przyspieszyła to szczęsne zakończenie. Jestem teraz, mój aniele, w Paryżu, a to szczęście zawdzięczam Tobie. Moja Renatko, gdybyś mogła mnie widzieć owego dnia, kiedym znalazła się bez Ciebie, miałabyś prawo pysznić się nadzwyczaj głębokim afektem, jaki w moim bardzo młodym sercu obudzić zdołałaś. Tyleśmy wspólnie marzyły, tyle razy rozwijałyśmy skrzydła do lotu i tyle godzin spędziłyśmy z sobą, że dusze nasze złączyły się, przypominając owe dwie siostry węgierskie, zrośnięte od urodzenia, o których śmierci opowiadał nam pan Beauvisage, nie zasługujący z pewnością na to nazwisko:[73] trudno było lepiej wybrać klasztornego lekarza. Czyż nie chorowałaś w tym samym czasie co i Twoja gołąbka? Opanowana beznadziejnym przygnębieniem, mogłam tylko rozpamiętywać łączące nas więzy; na mysi, że rozłąka zerwała je może, ogarnęło mnie zniechęcenie do życia, niby osamotnioną turkawkę, śmierć wydała mi się ukojeniem i powolutku zaczęłam umierać. Nie mieć nikogo bliskiego i być u karmelitanek w Blois, lękać się okropnie, że ślubów moich nie poprzedzi ów rozgłos, jaki towarzyszył obłóczynom panny La Vallière[74], i że nie będzie wtedy przy mnie mojej Renaty! – ależ sama ta trwoga była już chorobą, śmiertelną chorobą. To monotonne życie, w którym każda godzina przywodzi do obowiązku, modlitwy, pracy, tak niezmiennych, że zawsze powiedzieć można, co robi karmelitanka o tej czy owej godzinie dnia lub nocy; owo straszne bytowanie, wśród którego obojętniejemy na to, czy otaczający nas świat istnieje, czy nie, stało się dla nas jednym z najbardziej urozma-

[73] B e a u v i s a g e – dosłownie: pięknolicy.

[74] Louise de La Baume Le Blanc, księżna de L a V a l l i è r e (1644–1710) – faworyta Ludwika XIV; gdy względy króla odebrała jej następna faworyta, pani de Montespan, usunęła się do klasztoru.

iconych; porywy naszych dusz zapomniały o jakichkolwiek granicach, fantazja dała nam klucz do swojego królestwa, jedna z nas była dla drugiej czarodziejskim hipogryfem, rzeźwiejsza budziła bardziej ospałą, a dusze nasze igrały do woli, biorąc w posiadanie ów świat, którego nam wzbroniono. Wszystko, nawet „Żywoty Świętych", pomagało nam do zrozumienia najbardziej sekretnych spraw! Owego dnia, kiedy odjęto mi Twoje najmilsze towarzystwo, stałam się tym, kim jest w naszych oczach karmelitanka, teraźniejszą Danaidą, co zamiast starać się o napełnienie beczki bez dna, dobywa codziennie, nie wiem, z jakiej studni, puste wiadro, licząc na to, że wyciągnie pełne. Ciotka nic nie wiedziała o naszym życiu wewnętrznym. Nie starała się wytłumaczyć mojego zniechęcenia do życia, ona, co utworzyła sobie świat niebiański na obejmującej dwie morgi powierzchni swego klasztoru. Kto, moja droga sarenko, chce w naszym wieku pojąć do głębi życie religijne, musi zdobyć się na nieopisaną prostotę, której brak nam obu, albo przejąć się duchem płomiennej ofiary, czyniącym z mojej ciotki istotę wzniosłą. Ciotka poświęciła się dla ukochanego brata, ale któż może poświęcać się dla obcych ludzi lub ideałów?

Od dwóch tygodni bez mała tyle tłumię szalonych słów, tyle pogrzebałam w sercu medytacyj, tyle mam do zakomunikowania spostrzeżeń i tyle do opowiedzenia rzeczy, które możesz usłyszeć Ty jedna, że udusiłabym się, gdyby nie te pisane zwierzenia, jakimi – w braku czegoś lepszego – zastąpiłyśmy nasze ulubione pogawędki. Jakież konieczne jest dla nas życie serca!

Zaczynam swój dziennik tego ranka, imaginując, że i Twój jest zaczęty i że niedługo zamieszkam w głębi Twojej pięknej doliny Gémenos, o której wiem tylko tyle, coś mi powiedziała, a Ty zamieszkasz w Paryżu, znanym Ci tylko z naszych wspólnych rojeń.

Otóż, moja śliczna, pewnego poranku, co w księdze życia mojego na zawsze różową zakładką oznaczony zostanie, przybyła z Paryża panna do towarzystwa razem z Filipem, ostatnim pokojowcem mojej babki, wysłani, żeby mnie stąd zabrać. Kiedy wezwawszy mnie do swojej celi ciotka oznajmiła mi tę nowinę, zaniemówiłam z radości i spoglądałam na ciotkę niby niespełna rozumu. „Moje dziecię – rzekła swoim gardłowym głosem – widzę, że opuszczasz mnie bez żalu; ale to nie ostatnie pożegnanie, zobaczymy się jeszcze: Bóg ozdobił twoje czoło znamieniem wybranych, jest w tobie pycha wiodąca zarówno do nieba, jak i do piekła, lecz za wiele w tobie szlachetności, żebyś upadła! Znam cię lepiej, niż ty znasz siebie: namiętność nie będzie u ciebie tym, czym bywa u kobiet pospolitych". Przyciągnęła mnie łagodnie i ucałowała w czoło, przelewając we mnie ów trawiący ją ogień, od którego sczerniał lazur jej oczu, zwiotczały powieki, potworzyły się zmarszczki na śniadych skroniach i zżółkło piękne oblicze. Zatrząsł mną dreszcz, dostałam gęsiej skórki. Zanim odpowiedziałam, ucałowałam jej ręce. „Droga ciotko – odrzekłam – mimo przedziwnej dobroci twojej, twój Paraklet[75] nie okazał się zbawienny dla ciała ani miły sercu mojemu, a w takim razie musiałabym przelać tyle łez, aby tu wrócić, że nie powinnaś życzyć sobie ponownej mojej bytności. Zechciałabym znowu przekroczyć te progi tylko będąc zdradzoną przez mojego Ludwika XIV, a jeśli trafi mi się taki, jedynie śmierć wydrzeć mi go zdoła! Nie boję się żadnej pani de Montespan!" – „Idźże już, szalona głowo – odparła z uśmiechem – nie zostawiaj tu tych świeckich myśli, zabierz je wszystkie; i wiedz, że jesteś bardziej panią Montespan niż panną La Vallière". Ucałowałam ciotkę. Biedaczka nie mogła się powstrzymać, żeby nie odprowadzić mnie do karety, a oko jej to na mnie, to na herbach naszego rodu spoczywało.

Noc zastała mnie w Beaugency, pogrążoną w odrętwieniu psychicznym, które spowodowane było tym dziwnym pożegnaniem. Czego zaznam w tym świecie, któregom tak mocno pragnęła? Przede wszystkim nie spotkałam nikogo, kto by mnie przywitał, daremnie więc napełniłam serce czułością: matka była w Lasku Bulońskim, a ojciec na posiedzeniu, mój

[75] P a r a k l e t – klasztor pod Nogent-sur-Marne, założony przez Pierre Abelarda (1079–1142), filozofa-scholastyka, znanego ze swej wiernej a nieszczęśliwej miłości do Heloizy, która została pierwszą przeoryszą wspomnianego klasztoru.

brat, książę de Rhétoré, wraca – jak mi oznajmiono – zawsze w ostatniej chwili, żeby się przebrać do obiadu. Panna Griffith (ma ona pazury[76]) i Filip zawiedli mnie do moich apartamentów.

Owe apartamenta to te same, co należały do ukochanej mojej babki, księżnej de Vaurémont, której zawdzięczam niejaką fortunę, choć nikt nie napomknął mi o tym. Czytając te słowa, podziel ze mną smutek, któregom doznała na tym miejscu, uświęconym moimi wspomnieniami. Pokoje wyglądały tak samo, jak je zostawiła! Miałam spać w łóżku, na którym umarła. Siadłszy na brzegu szezlonga, płakałam, nie widząc, że w pokoju jest ktoś jeszcze, i wspominałam, jak często klękałam tutaj, aby słyszeć ją lepiej. Widziałam stąd jej twarz tonącą w zrudziałych koronkach i wychudłą zarówno wskutek podeszłego wieku, jak i cierpień konania. Zdawało mi się, że ten pokój bucha jeszcze ciepłem, które ona tu utrzymywała. Jakże się to stało, że panna Armanda Ludwika Maria de Chaulieu musi, niczym wieśniaczka, położyć się do łóżka babki niemal w dzień jej śmierci? – uroiło mi się bowiem, że księżna, która zmarła jeszcze w roku 1817, skonała zaledwie wczoraj. Natknęłam się w tym pokoju na przedmioty, których tutaj być nie powinno, świadczące, jak ludzie pochłonięci sprawami monarchii mało się troszczą o swoich najbliższych i jak niewiele myślano o tej szlachetnej kobiecie, jednej z najwybitniejszych niewiast osiemnastego wieku, skoro już znalazła się w grobie. Filip zrozumiał jakby przyczynę łez moich. Oznajmił, że księżna zapisała mi w testamencie wszystkie meble. Ojciec zostawił zresztą paradne pokoje w takim stanie, do jakiego doprowadziła je rewolucja.

Wstałam tedy, a Filip otwarł przede mną drzwi małego salonu sąsiadującego z apartamentami recepcyjnymi, gdziem ujrzała znaną mi ruinę: ponad drzwiami, we framugach widniały niegdyś cenne obrazy, a teraz te ramy ziały pustką, marmury potłuczono i zrabowano lustra. Dawniej bałam się chodzić głównymi schodami, wędrować przez te opuszczone, przestronne i wysokie sale i udawałam się do księżnej wąskimi schodkami, wiodącymi pod sklepieniem głównych schodów do ukrytych drzwi jej ubieralni.

Apartament złożony z salonu, sypialni i owego ślicznego, złotoczerwonego gabineciku, o którym ci mówiłam, mieści się w pawilonie od strony Inwalidów. Pałac oddziela od bulwaru jedynie mur okryty pnączami i wspaniała aleja, ocieniona rzędem drzew, których korony łączą się z listowiem młodych wiązów, rosnących wzdłuż ulicy. Gdyby nie błękitna i złota kopuła, gdyby nie szary masyw Inwalidów, mogłabyś pomyśleć, że jesteś w lesie. Styl owych trzech pokoi oraz ich położenie świadczą, że były tu niegdyś paradne apartamenta księżnych de Chaulieu, apartamenta zaś książąt musiały znajdować się w pawilonie naprzeciw; oba te pawilony są rozdzielone, jak nakazuje obyczaj, dwoma głównymi budynkami oraz pawilonem stanowiącym fasadę, gdzie mieszczą się te mroczne i dźwięczące echem sale, które pokazał mi Filip, sale odarte z dawnej świetności, takie, jakiem w dzieciństwie widziała. Spostrzegłszy zdziwienie malujące się na moim licu, Filip wdał się ze mną w poufną rozmowę. Moja droga, w tym domu dyplomatów służba jest powściągliwa i tajemnicza. Oznajmił mi tedy, że tylko patrzeć ustawy, na mocy której emigrantom będzie wypłacona równowartość przepadłych majątków. Ojciec zwleka z remontem pałacu do chwili, kiedy otrzyma rzeczone odszkodowanie. Architekt królewski określił już koszta, a mają one wynosić trzysta tysięcy liwrów. W głowie mi się od tego zwierzenia zakręciło i padłam na sofę w moim salonie. Jak to! Zamiast przeznaczyć ową sumę na mój posag ojciec pogrzebał mnie żywcem w klasztorze? Oto jaki wysnułam wniosek stanąwszy w progu tych drzwi. Ach, Renato, ileż razy wspierałam głowę na Twoim ramieniu, wspominając owe dni, kiedy dzięki mojej babce życie tętniło w tych dwóch pokojach! Ona, istniejąca już tylko w moim sercu. Ty, która przebywasz w Maucombe, o dwieście mil ode mnie, oto jedyne osoby, co mnie kochają albo kochały. Ta droga staruszka o spojrzeniu tryskającym młodością odżywała na dźwięk mojego głosu, ro-

[76] M a o n a p a z u r y – gra słów: l a g r i f f e znaczy po francusku: pazur.

zumiałyśmy się wybornie! Pod wpływem tych wspomnień odmienił się nagle nastrój, w jakim tu przybyłam. W tym, co wydało mi się zrazu profanacją, odkryłam coś – trudno to bliżej określić – świętego. Wydało mi się, że miło będzie wdychać nieuchwytny zapach pudru do włosów, który przetrwał tu jeszcze, że miło będzie spać w mroku tych kotar z żółtego adamaszku w białe wzory, gdzie spojrzenia i oddech mojej babki musiały pozostawić coś z jej duszy. Poleciłam Filipowi, żeby przywrócił znajdującym się tu przedmiotom ich dawny blask, napełnił mój apartament życiem, uczynił go sposobnym do zamieszkania. Wskazałam sama, jakbym się chciała tu urządzić, wyznaczając miejsce dla każdego mebla. Obejrzałam wszystko, a wchodząc w stan posiadania, nie ominęłam żadnego drobiazgu i powiedziałam, jakby można odmłodzić te moje ulubione starocia. Sypialnia jest biała, ale czas tę białość zmatowił i spod złota fantazyjnych arabesek przeziera gdzieniegdzie czerwień; jednak to podniszczenie harmonizuje z wyblakłymi kolorami dywanu pochodzącego z warsztatów la Savonnerie, a będącego upominkiem od Ludwika XV, który ofiarował babce również i swój portret. Zegar jest darem od marszałka de Saxe. Porcelana na kominku to prezent od marszałka de Richelieu. Portret babki, malowany, kiedy miała dwadzieścia pięć lat, wisi w owalnej ramie naprzeciw portretu króla. Nie ma tu nigdzie portretu księcia. Podoba mi się to zapomnienie wolne od obłudy, w którym odbija się cały jej uroczy charakter. Kiedy pewnego razu babka ciężko zaniemogła, spowiednik jął nastawać, aby zezwoliła wejść mężowi, czekającemu w salonie. „Z lekarzem i jego receptami" – odparła. Łóżko ma baldachim i wyścielane oparcia; kotary, wysoko zawieszone, układają się w sute fałdy; meble są ze złoconego drzewa, obite owym żółtym adamaszkiem w białe kwiaty, zdobiącym również okna, a te zasłony podszyto białą jedwabną materią, podobną do mory. Supraporty malował nie znany mi artysta, wyobrażając na nich wschód słońca i pełnię księżyca. Kominek urządzono z nadzwyczajnym staraniem. Widać, że w zeszłym stuleciu wiele godzin przy ogniu spędzano. Rozgrywały się tu najważniejsze wypadki. Płyta z pozłacanej miedzi zalicza się do cudów sztuki rzeźbiarskiej, obramowanie z subtelnym wykonano kunsztem, łopatkę i szczypce prześlicznie wykuto, a mieszek to istne cacko. Tapiseria na ekranie pochodzi z Gobelins i jakże wdzięczną dano jej oprawę; zachwycający jest ów korowód roztańczonych figurek, co biegną wzdłuż całej ramy, jej rozgałęzień i prętu do oparcia nóg; każdą z postaci potraktowano nadzwyczaj drobiazgowo, jakby na wachlarzu. Ciekawa jestem, kto podarował jej ten majstersztyk, co tak lubiła. Ileż razy widziałam babkę, jak siedząc głęboko w fotelu, z nogą wspartą o ów pręt i suknią uniesioną po kolana – suknia układała się tak sama dzięki pozycji, którą przybierała księżna – brała co chwila, odkładała i znowu chwytała tabakierkę, leżącą na stoliku między pudełkiem pastylek a jedwabnymi mitenkami. Czy była kokietką? Aż do dnia śmierci dbała o siebie tak, jakby wczoraj ów piękny portret malowano, jakby oczekiwała na kwiat szlachty dworskiej, co cisnął się do niej. Ten fotel przypominał mi, z jaką nieopisaną gracją układały się jej spódnice, gdy weń zapadała. Panie minionych czasów zabrały ze sobą pewne sekrety odmalowujące ich epokę. Księżna trzymała dumnie głowę, na swój sposób rzucała słowa i spojrzenia, posługiwała się sobie tylko właściwym językiem, któregom ani śladu nie odnalazła u matki: była w nim finezja połączona z dobrodusznością, zamysł, ale jakiż bezpretensjonalny; dyskursa jej były rozwlekłe, a zarazem lakoniczne, opowiadała wybornie i malowała w trzech słowach. Przede wszystkim odznaczała się ową swobodą sądu, co z pewnością na ukształtowanie mojego umysłu wpłynęło. Przebywałam z nią ustawicznie od siódmego do dziesiątego roku życia; lubiła mnie zwabiać do siebie, tak samo jak ja lubiłam przychodzić do niej. Ta sympatia była przyczyną niejednej kłótni między nią a moją matką. A przecież nic tak nie podsyca uczucia jak lodowaty wiew prześladowań. Z jakimż wdziękiem powiadała do mnie: „A, jesteś już, mała filutko!", kiedy, zapożyczywszy ruchów od węża ciekawości, prześlizgiwałam się między drzwiami i wreszcie docierałam do niej. Czuła, że ją kocham, kochała moją naiwną miłość, co rozświetlała jej zimę słonecznym promieniem. Nie wiem, co się działo u niej wieczorami, ale bywało tam mnóstwo osób; kiedym rano skradała się na palcach, żeby zobaczyć,

czy u babki odsłonięte już okna, wśród mebli jej salonu panował nieład, stoliki do gry były rozłożone, a gdzieniegdzie walał się rozsypany tytoń. Ów salon utrzymano w tymże stylu co i sypialnię, tylko meble mają tu wielce osobliwy rysunek, wklęsłe gzymsy i nogi przy końcu rozdwojone. Bogato i z wykwintnym gustem rzeźbione girlandy kwiecia wiją się na tle zwierciadeł i opadają długimi festonami. Na konsolach stoją śliczne chińskie wazoniki. W umeblowaniu dominuje kolor pąsowy i biały. Babka była ciemną i nader ponętną brunetką, a z doboru tych barw łatwo odgadnąć, jaką miała karnację. Odnalazłam w tym salonie biureczko ozdobione figurkami, od których niegdyś nie mogłam oderwać oczu; jest wykładane cyzelowanym srebrem, a podarował je babce niejaki pan Lomellini z Genui. Na ścianach owego biureczka przedstawiono zajęcia właściwe danej porze roku; postaci są wypukłe i roi się od nich na każdym obrazku. Spędziłam samotnie dwie godziny, przywołując po kolei wspomnienia, w tym sanktuarium, gdzie jedna z kobiet najsławniejszych na dworze Ludwika XV, najsławniejszych zarówno dzięki urodzie, jak i dowcipowi, wydała ostatnie tchnienie. Wiesz, jak mnie z nią nagle rozłączono, zanim się obejrzałam, w roku 1816. „Pożegnaj się z babką" – rzekła do mnie matka. Zastałam księżnę wcale moim odjazdem nie zdziwioną i na pozór obojętną. Przywitała mnie jak zwykle. „Jedziesz, mój skarbie, do klasztoru – powiedziała – zaznajomisz się tam z twoją ciotką, osobą niezwykłych zalet. Ale ja dopilnuję, żeby cię nie poświęcono, będziesz niezależna, a nawet będziesz w stanie poślubić, kogo zechcesz". W pół roku potem umarła; powierzyła testament najwierniejszemu ze swoich starych przyjaciół, księciu de Talleyrand, który, bawiąc z wizyta u panny de Chargeboeuf, znalazł sposób, aby mnie powiadomić, że babka wzbroniła mi złożenia ślubów. Mam nadzieję, że prędzej czy później spotkam księcia i na pewno dowiem się czegoś więcej od niego. Tak to, moja piękna sarenko, lubo nikt nie wyszedł mi na przywitanie, pocieszył mnie cień drogiej księżnej i mogłam wypełnić jeden z punktów naszej umowy, w którym, jak sobie przypominasz, umyśliłyśmy wtajemniczać się nawzajem w choćby i najbłahsze szczegóły tyczące zarówno naszych familii, jak i naszego życia. Co za rozkosz wiedzieć, jak żyje i gdzie się obraca droga nam istota! Odmaluj mi dokładnie najdrobniejsze rzeczy, które Cię otaczają, odmaluj wszystko, nawet grę świateł zachodzącego słońca wśród wielkich drzew.

10 października.

Przyjechałam o trzeciej po południu. Około wpół do szóstej Róża oznajmiła mi o powrocie mojej matki, zeszłam więc na dół, aby powitać ją z należnym respektem. Matka zajmuje na parterze apartament mieszczący się, jak i mój, w tym samym pawilonie. Mieszkam nad matką i służą nam te same boczne schody. Ojciec rezyduje w pawilonie naprzeciw; ale że od strony dziedzińca zostało więcej przestrzeni – w naszym pawilonie zajmują to miejsce paradne schody – apartament ojca jest znacznie obszerniejszy niż nasze. I lubo z powrotem Burbonów spoczęły znowu na moich rodzicach dawne obowiązki, nieodłączne od ich pozycji, ojciec i matka nie tylko nie ruszyli się z parteru, lecz mogą tam przyjmować, tak obszerne są domy naszych przodków. Zastałam matkę w salonie, gdzie nic się nie zmieniło. Była w wieczorowej sukni. Schodząc wolno po stopniach, głowiłam się, jak mnie przyjmie ta kobieta, co raczej obojętną matką była, od której przez osiem lat otrzymałam tylko dwa – znane Ci – listy. Sądząc, że byłabym niegodna siebie udając tkliwe uczucia, których żywić mi niesposób, zrobiłam minę zahukanej i głupiej mniszki i weszłam nie bez wewnętrznego zakłopotania. Owo zakłopotanie wprędce minęło. Matka zachowała się z czarującym taktem: nie okazała mi fałszywej czułości, ale też i nie była oziębłą, nie odniosła się do mnie jak do obcej, ale też i nie przytuliła mnie do łona, niby ukochaną córkę; powitała mnie tak, jakbyśmy się wczoraj pożegnały, była najmilszą i najpoufalszą przyjaciółką; najpierw pocałowała mnie w czoło, a potem zwróciła się do mnie jak do dorosłej kobiety. „Moja droga córeczko – rzekła – miałaś już co prawda umrzeć w klasztorze, lepiej jednak, że będziesz żyć pośród nas. Pokrzyżowałaś plany

ojca i moje, ale minęły czasy, kiedy okazywano rodzicom ślepe posłuszeństwo. Zamiary mojego małżonka, a twojego ojca, zgadzają się z moimi: postanowiliśmy nie zaniedbać niczego, abyś wiodła przyjemne życie i zobaczyła świat. Gdybym była w twoim wieku, myślałabym tak samo jak ty, toteż nie mam do ciebie żadnej pretensji: nie zdołasz pojąć, czegośmy od ciebie żądali. Nigdy nie doznasz ode mnie śmiesznej surowości. Jeśli zwątpiłaś o moim sercu, przekonasz się niebawem, żeś była w błędzie. Lubo pragnę ci zostawić zupełną wolność, sądzę, że postąpisz rozsądnie, stosując się w pierwszych momentach do wskazówek matki, która cię będzie traktować jak siostrę." Księżna mówiła łagodnie, poprawiając moją pelerynkę klasztornej pensjonarki. Ujęła mnie. W trzydziestym ósmym roku życia jest piękna jak anioł; ma czarne oczy o błękitnym blasku, jedwabiste rzęsy, czoło bez jednej zmarszczki, płeć tak różową i białą, jakby używała blanszu i różu, nad podziw śliczną pierś i ramiona, talię cienką i kształtnie wygiętą jak u Ciebie, rękę rzadkiej urody – to białość mleka; w paznokciach wciąż migocze światło, takie są wypolerowane; mały palec z lekka odchylony, duży – delikatny jakby z kości słoniowej. No i stopa godna dłoni, hiszpańska stopa panny de Vandenesse. Skoro tak wygląda dobiegając czterdziestki, będzie jeszcze piękna w sześćdziesiątym roku życia.

Odpowiedziałam, moja sarenko, jak na uległą córkę przystało. Okazałam jej to, co i ona mi okazała, a nawet więcej; zawojowana urodą matki, przebaczyłam tę niedbałość o mnie, zrozumiawszy, że taką kobietę jak ona pochłonęła rola królowej. Oznajmiłam jej to naiwnie, tak jakbym gawędziła z Tobą. Nie spodziewała się pewnie, że córka przemówi do niej z taką miłością. Szczere hołdy mojej admiracji napełniły ją nieopisanym wzruszeniem: odmieniła sposób bycia, czyniąc go jeszcze wdzięczniejszym i mniej ceremonialnym. „Dobre z ciebie dziecko – rzekła – mam nadzieję, że będziemy przyjaciółkami." Słowa te wydały mi się pełnymi ślicznej prostoty. Nie pokazałam po sobie, jak je przyjęłam, chciałam bowiem, aby się łudziła, że jest o wiele subtelniejszą i dowcipniejszą niż córka. Udałam więc głuptaka, a ona była mną zachwycona. Ucałowałam kilkakrotnie jej ręce, zapewniając, iż nie posiadam się ze szczęścia dzięki takiemu właśnie traktowaniu, że przestałam się czuć skrępowana, a nawet zwierzyłam się ze swoich obaw. Uśmiechnęła się, objęła mnie tkliwie za szyję i pocałowała w czoło. „Drogie dziecię – rzekła – mamy dziś gości na obiedzie, przyznasz mi więc pewnie rację, że lepiej zaczekać, aż szwaczka ubierze cię tak, abyś mogła godnie po raz pierwszy wystąpić w świecie; jakoż, zobaczywszy się z ojcem i bratem, wrócisz do siebie." Przystałam ze szczerego serca. Zachwycająca toaleta matki była pierwszym objawieniem tego świata, o którym nam się marzyło; ale też nie przyłapałam się na choćby i najlżejszym odruchu zazdrości. Wszedł ojciec. „Oto pańska córka" – oświadczyła księżna. Ojciec jął okazywać mi nagle niewiarygodną czułość; odegrał rolę ojca tak wybornie, żem w jego serce uwierzyła. „Jesteś nareszcie, mała buntownico!" – powiedział ujmując mnie za ręce i obsypując je pocałunkami, w których było więcej galanterii niż ojcowskich uczuć. Przyciągnął mnie do siebie, objął wpół i przygarnął, żeby pocałować w czoło i policzki. „Zasmuciło nas wielce, żeś odmieniła powołanie, ale ukoisz ten smutek radością, jaką nam sprawią twoje sukcesy towarzyskie. Czy wiesz pani, że ona jest bardzo ładna i że niebawem będziesz mogła się nią szczycić? A, zjawił się twój brat, Rhétoré. Alfonsie – zwrócił się do pięknego młodzieńca, co wszedł właśnie – oto twoja siostra, zakonnica, która postanowiła rzucić habit w pokrzywy." Brat zbliżył się do mnie bez pośpiechu i uścisnął mi dłoń. „Ucałujże siostrę" – powiedział książę. I Alfons ucałował mnie w oba policzki. „Cieszę się ogromnie, że widzę cię, moja siostro – powiedział – trzymam twoją stronę przeciw ojcu." Podziękowałam, lecz – jak mi się zdaje, powinien był odwiedzić mnie w Blois, kiedy jechał z wizytą do naszego brata, markiza, oficera garnizonu w Orleanie. Wycofałam się w obawie przed gośćmi. Zrobiłam u siebie trochę porządków, a na pąsowym aksamicie, którym przykryto mój piękny stół, ułożyłam wszystko, co trzeba, żeby pisać do Ciebie, rozważając moją nową pozycję.

Oto, moja piękna biała sarenko, ni mniej ni więcej wszystko, co zaszło od powrotu osiemnastoletniej panny – po dziewięcioletniej niebytności – w jednym z najznamienitszych rodów

królestwa. Zmęczyła mnie ta podróż, a także wzruszenia powrotowi w rodzinne progi towarzyszące: położyłam się więc spać o ósmej, zaraz po kolacji, jak w klasztorze. Zachowało się wszystko, nawet nakrycie z saskiej porcelany na jedną osobę, którym posługiwała się ta droga księżna, kiedy przyszła jej fantazja, żeby jeść u siebie.

II

LUDWIKA DO RENATY

25 listopada.

Zbudziwszy się nazajutrz, zastałam swój apartament wysprzątany i przystrojony dzięki gorliwości starego Filipa, który powstawiał kwiaty do wazonów. Zainstalowałam się wreszcie. Tylko nikt nie domyślił się, że pupilka karmelitanek jest głodna od samego rana, i Róża miała mnóstwo trudności, aby sprokurować mi śniadanie. „Panienka poszła spać o tej porze, kiedy podają obiad, a wstała w momencie, gdy jaśnie pan zwykł powracać" – rzekła do mnie. Zabrałam się do pisania. Około pierwszej ojciec zastukał do drzwi mojego saloniku, pytając, czy mogę go przyjąć; otwarłam drzwi, a on wszedł zastając mnie nad tym listem. „Moja droga, powinnaś się ubrać i urządzić; znajdziesz dwanaście tysięcy franków w tej sakiewce. To roczny dochód, który przeznaczam na twoje utrzymanie. Porozumiesz się z matką w sprawie nowej, stosowniejszej ochmistrzyni, jeśli nie podoba ci się miss Griffith, gdyż pani de Chaulieu nie będzie miała czasu dotrzymywać ci towarzystwa przed południem. Będziesz miała na rozkazy powóz i lokaja." „Niechże mi ojciec zostawi Filipa" – odparłam. „Zgoda – rzekł na to – i pamiętaj, abyś o nic się nie troskała: twoja fortuna jest tak znaczna, że nie będziesz ciężarem ani matce, ani mnie". „Czy popełniłabym niestosowność pytając ojca, jaką jest owa fortuna?" „Ależ skąd, moje dziecko – odpowiedział – babka zapisała ci pięćset tysięcy franków swoich oszczędności, gdyż nie chciała odebrać rodzinie ani jednego kawałka ziemi. Sumę tę ulokowano w papierach państwowych. Dzięki procentom składanym masz dziś mniej więcej czterdzieści tysięcy franków renty. Zamierzałem uczynić z tych pieniędzy podstawę bytu mojego młodszego syna, pokrzyżowałaś bardzo moje plany; ale kto wie, czy za jakiś czas nie okażesz mi pomocy: wiele spodziewam się po tobie, a wszystko od ciebie zależy. Wydajesz mi się rozsądniejszą, niż przypuszczałem. Nie potrzebuję ci mówić, jak winna postępować panna de Chaulieu; duma bijąca z lic twoich jest dla mnie najpewniejszym gwarantem. Ludzie niskiego stanu strzegą pilnie swoich córek, ale troskliwość taka byłaby w naszej rodzinie obelgą. Obmowę ciebie dotyczącą przypłaciłby życiem ten, kto by sobie na nią pozwolił, albo jeden z twoich braci, jeśliby niebo okazało się niesprawiedliwym. Więcej w tej kwestii nie powiem. Do widzenia, kochanie." Pocałował mnie w czoło i wyszedł. Nie rozumiem, czemu porzucono owe zamysły, po dziewięciu latach uporu. Lubię tę jasność, z którą wyrażał się ojciec. Nie było i w jego słowach nic dwuznacznego. Mój majątek powinien przypaść jego synowi, markizowi. Kogóż więc ruszyło sumienie? Matkę czy ojca? A może brata?

Przesiedziałam długo na sofie babki, z okiem utkwionym w owej sakiewce, którą ojciec zostawił na kominku, rada a zarazem niekontenta, żem z taką uwagą myśli swoje na pieniądzach skupiała. To prawda, że nie powinnam już zaprzątać się nimi: rozwiały się moje wątpliwości i przecież to zacnie, że oszczędzono mi cierpień, których duma moja musiałaby doznać w tym względzie. Filip biegał przez dzień cały, odwiedzając najrozmaitszych kupców i rzemieślników, co mają sprawić moją metamorfozę. Była już u mnie słynna krawczyni, nieja-

ka Wiktoryna, a także szwaczka, specjalistka od bielizny, i szewc. Niecierpliwię się jak dziecko, pilno mi bowiem zobaczyć siebie bez tego worka, którym spowijała nas klasztorna suknia; ale tym wszystkim rzemieślnikom trzeba wiele czasu: gorseciarz musi mieć osiem dni, jeśli nie chcę zepsuć sobie talii. Sprawa przybiera poważny obrót: mamże więc talię? Janssen, szewc Opery, oświadczył mi z całym przekonaniem, że mam stopę mojej matki. Cały ranek zeszedł na tych doniosłych zajęciach. Zjawił się nawet rękawicznik, żeby wziąć miarę. Szwaczka jest na moje rozkazy. Kiedy siadłam do obiadu – o tej porze jedzą tutaj śniadanie – matka powiedziała mi, że weźmie mnie ze sobą do modystek, abym wyrobiwszy sobie dobry gust pod jej okiem, mogła w przyszłości sama zamawiać kapelusze. Oszołomił mnie ten początek niezawisłości, jak ślepca oszałamia przywrócenie wzroku. Widzę teraz, czym jest karmelitanka w porównaniu ze światową panną: różnica jest tak wielka, że nigdy byśmy jej nie pojęły. W trakcie owego śniadania ojciec był jakiś roztargniony, toteż pozostawiłyśmy go własnym myślom; jest jednym z najpoufalszych konfidentów monarchy. Popadłam w całkowite zapomnienie, ale przypomni sobie o mnie, kiedy mu będę nieodzowna – wiem o tym. Ojciec jest czarującym mężczyzną mimo swoich pięćdziesięciu lat: ma figurę młodzieńca i piękną postawę, jest blondynem, a w zachowaniu jego i ruchach pełno nieopisanego wdzięku; oblicze jego jest wymowne, a jednocześnie zamknięte, jak u dyplomaty; nos cienki i długi, oko brązowe. Co za śliczna para! Ileż obiegło mnie szczególnych myśli, kiedym sobie jasno uprzytomniła, że tych dwoje ludzi, równych szlachetnym urodzeniem, bogactwem i wyjątkowymi zaletami, nie łączy żadne pożycie, a noszą tylko to samo nazwisko, zachowując pozory więzi małżeńskiej jedynie dla świata. Bawił u nich wczoraj kwiat dworu i dyplomacji. Za kilka dni idę na bal do księżnej de Maufrigneuse i będę przedstawiona temu światu, który tak bardzo chciałam poznać. Co rano będzie przychodził metr tańca: muszę wyuczyć się tańczyć w miesiąc, gdyż inaczej nie ma mowy o balach. Przed obiadem weszła matka, żeby porozumieć się ze mną w sprawie ochmistrzyni. Zatrzymałam miss Griffith, przyjętą z poręki ambasadora angielskiego. Owa miss jest córką pastora: odebrała jak najstaranniejsze wychowanie, gdyż jej matka była szlachcianką; ma trzydzieści sześć lat i nauczy mnie po angielsku. Moja panna Griffith jest dość piękną na to, żeby być w pretensjach; jest uboga, ale dumna, pochodzi ze Szkocji, będzie moją przyzwoitką, a sypialnię urządzi jej się w pokoju Róży. Róża będzie podlegać pannie Griffith. Spostrzegłam od razu, że owinę sobie koło palca moją ochmistrzynię. Znamy się wprawdzie tylko sześć dni, lecz ona pojęła wybornie, że tylko ja mogę zainteresować się jej losem; a ja, lubo ona jest niewzruszona niby posąg, pojęłam, że w każdym wypadku pójdzie mi na rękę. Wydaje mi się stworzeniem poczciwym, aczkolwiek skrytym. Nie mogłam z niej wydobyć, jaka między nią a moją matką zapadła umowa.

Inna wiadomość o niewielkim, jak mi się zdaje, znaczeniu! Dziś rano ojciec odrzucił proponowaną mu tekę ministra. Stąd jego wczorajsza zaduma. Powiada, że woli stanowisko ambasadora od przykrości związanych z publicznymi dysputami. Uśmiecha mu się Hiszpania. Dowiedziałam się o tych nowinach przy śniadaniu, gdyż jedyny to moment w ciągu całego dnia, kiedy moi rodzice i brat gawędzą swobodniej. Służba zjawia się wtedy tylko na dzwonek. Potem mój brat jest nieobecny do wieczora, tak samo jak ojciec. Matka ubiera się, a widywać ją można tylko od drugiej do czwartej: o czwartej wyrusza na godzinną przechadzkę; przyjmuje między szóstą a siódmą, jeśli nie wybiera się na proszony obiad; resztę dnia oddaje rozrywkom, jadąc na bal albo do teatru, na koncert albo z wizytą. Krótko mówiąc, życie jej jest tak wypełnione, że nie sądzę, aby miała kwadrans dla siebie. Musi poświęcać znaczną część swego czasu na poranną toaletę, bowiem przy śniadaniu, do którego siadamy, zanim wybije południe, wygląda jak bóstwo. Zaczynam rozróżniać odgłosy dolatujące mnie z jej pokojów: najsampierw bierze kąpiel, prawie zimną, potem wypija filiżankę zimnej kawy ze śmietanką, a na koniec się ubiera; nie budzą jej nigdy przed dziewiątą, z wyjątkiem nadzwyczajnych okoliczności; w letnie poranki zażywa konnej przejażdżki. O drugiej przyjmuje młodzieńca, któregom jeszcze obejrzeć nie zdołała. Oto nasze życie rodzinne. Spotykamy się

wszyscy przy śniadaniu i przy obiedzie, często jednak jadamy z matką tylko we dwie. Przeczuwam, że jeszcze częściej będę jadać obiady u siebie, jedynie w towarzystwie panny Griffith, jak to czyniła moja babka. Matka jada często obiady na mieście. Nie dziwi mnie już ta oziębłość, jaką okazuje mi rodzina. Moja droga, w Paryżu tak rzadko jesteśmy sami z sobą, że miłość do otaczających nas ludzi wymaga heroizmu. I jakże łatwo w tym mieście zapomina się o nieobecnych! A przecież nie ruszyłam się jeszcze z domu i nic nie widziałam; czekam, aż nabiorę poloru, aż moje maniery i wygląd zaczną harmonizować z tym światem, którego życie już mnie zadziwia, lubo gwar jego z daleka tylko dolatuje moich uszu. Na razie wychodzę jedynie do ogrodu. Za kilka dni zaczną śpiewać Włosi. Matka ma u nich lożę. Odchodzę od przytomności, tak bym chciała usłyszeć włoski śpiew i zobaczyć francuską operę. Zaczynam już wyzbywać się klasztornych przyzwyczajeń, a wciągać się w obyczaje życia światowego. Piszę ten list wieczorem i nie przestanę – aż w momencie, kiedy pójdę spać, który to moment przesunął się teraz do dziesiątej: o tej porze matka wychodzi, jeśli nie wybiera się na spektakl. W Paryżu mamy dwanaście teatrów. Jestem okropnym nieukiem, czytam więc masę, ale bez wyboru. Jedna książka prowadzi mnie do drugiej. Wynajduję tytuły na okładce czytanego dzieła; ale że nie ma nikogo, kto udzieliłby mi wskazówek, trafiam na straszliwe nudziarstwa. Wszystko, com z teraźniejszej literatury wyczytała, obraca się wokół miłości, a ten przedmiot pochłaniał nas tak bardzo, bowiem całe nasze istnienie jest przez mężczyznę i dla mężczyzny stworzone;

lecz iluż autorom daleko do dwóch dziewcząt, z których jedną białą sarenką, a drugą pieszczotką przezwano, do Renaty i Ludwiki! Ach! drogi aniele, jakież oni przedstawiają ubogie zdarzenia i jakie dziwactwa, jak podle wyrażają swoje sentymenta! A jednak dwie książki przedziwnie mi się spodobały: jedna to „Korynna", a druga „Adolf"[77]. W związku z tym spytałam ojca, czy mogłabym poznać panią de Staël. Matka, ojciec i Alfons wybuchnęli śmiechem. Alfons powiedział: „Czy ona spadła z księżyca?" Ojciec odrzekł: „Gdzież ten głuptas miał nabrać rozumu? Wróciła po prostu od karmelitanek." „Moja córko, pani de Staël dawno nie żyje" – oznajmiła dobrotliwie księżna. „Jakże to kobieta może być oszukaną?" – spytałam miss Griffith, kończąc „Adolfa". „A no cóż, kiedy kocha..." – odparła miss Griffith. Nie dziwi Cię, Renato, że mężczyzna mógłby oszukać?... Miss Griffith dostrzegła wreszcie, że jestem tylko na poły głuptasem, a edukacja moja jest zapoznana: myślę o tej edukacji, której udzielałyśmy sobie nawzajem, rezonując bez pamięci. Pojęła, że moja niewiedza dotyczy tylko zewnętrznego świata. Biedne stworzenie otwarło przede mną serce. Ta lakoniczna odpowiedź, w której skupiły się wszystkie nieszczęścia, jakie sobie tylko wyobrazić można, przejęła mnie lekkim drżeniem. Panna Griffith napomina mnie, abym żadnym powabom tego świata olśnić się nie dała i nie ufała niczemu, osobliwie zaś wystrzegała się tego, co mi się najbardziej spodoba. Więcej nie wie i nie może mi powiedzieć. Słowa te były nazbyt monotonne. Przypominają szarością głos ptaka, co śpiewa tylko na jedną nutę.

[77] „K o r y n n a" – powieść pani de Staël (1766–1817), historia kobiety wyjątkowej, poetki, która za swój geniusz płaci szczęściem; „A d o l f" – psychologiczna powieść Benjamina Constant (1767–1830), wnikliwe studium cierpień miłosnych człowieka o wysoko rozwiniętym intelekcie, ale pozbawionego woli.

III

LUDWIKA DO RENATY

Grudzień.

Moje złotko, otom już gotowa, żeby wystąpić w świecie; a że wkrótce będę musiała przybrać wobec niego należytą powagę, dałam teraz wodze pewnym szaleństwom. Dziś rano po wielu próbach stwierdziłam, że jestem wreszcie należycie wygorsetowana, obuta, ściśnięta, uczesana, ubrana i ozdobiona klejnotami. Postąpiłam niczym zapaśnik przed walką: ćwiczyłam się przy drzwiach zamkniętych. Chciałam się widzieć pod bronią i z niemałym ukontentowaniem spostrzegłam u siebie zwycięską i triumfującą minkę, na widok której przeciwnik się podda. Zbadałam się i osądziłam. Dokonałam przeglądu swoich sił, wprowadzając w czyn piękną maksymę starożytnych: poznaj samą siebie. Zawieraniu owej znajomości towarzyszyły nieopisane rozkosze. Tylko miss Griffith wie o tej mojej sekretnej zabawie w lalkę. Byłam jednocześnie lalką i dzieckiem. Myślisz, że mnie znasz? Wcale nie!

Oto, Renatko, wizerunek Twojej siostry, przebranej niegdyś za karmelitankę, siostry, co zmartwychwstała w postaci płochej i światowej panny. Jestem jedną z najpiękniejszych Francuzek, a piękniejszą niż ja osobę znalazłabyś tylko w Prowansji. Wydaje mi się to istotną treścią miłego tematu, który poruszam. Mam wady, to prawda, ale gdybym była mężczyzną, pokochałabym je. Wady te wynikają z nadziei, jakie budzę. Jeśli ktoś, moja droga, zachwycał się przez dwa tygodnie prześliczną krągłością ramion swojej matki, a ta matka jest księżną de Chaulieu, zmartwi się srodze, widząc u siebie chude ramiona; pocieszy się jednak, odkrywszy u swej ręki delikatny przegub, a w zagłębieniach, zwanych „solniczkami", pewną miękkość linii, świadczącą, że atłasowe ciało wypełni je kiedyś, zaokrągli i wymodeluje. Cokolwiek za ostry rysunek znajdziesz nie tylko w ramionach, lecz i w plecach. Prawdę mówiąc, nie mam pleców, ale dwie twarde łopatki, co tworzą dwie potrącające o siebie płaszczyzny. Moja kibić jest również pozbawiona giętkości, a boki mam sztywne. Uf! Powiedziałam wszystko. Ale te zarysy są delikatne i zwarte, zdrowie przenika żywym i czystym płomieniem te jędrne kształty, życie i błękitna krew płyną niby obfity strumień pod przezroczystą skórą. Ależ najbielsza z cór jasnowłosej Ewy jest przy mnie Murzynką! Mam nogę gazeli! I te wszystkie wiązania są delikatne, a rysy mam regularne jak na greckim rysunku. Karnacja ciała nie jest matową, to prawda, moja panno; ale pełno w niej życia: jestem ślicznym zielonym owocem i mam jego zielone wdzięki. Krótko mówiąc, przypominam postać, co w starym mszale mojej babki wyfruwa z fiołkowej lilii. Moje niebieskie oczy nie są głupie, ale dumne, tęczówka oprawiona jakby w lśniącą masę perłową, leciutko przyciemnioną, na której tle długie i gęste rzęsy są podobne jedwabnej frędzli. Czoło moje jaśnieje okolone rozkoszną linią włosów, układających się w drobne fale bladego złota, kasztanowatych ku środkowi, skąd wymykają się buntownicze loki, które świadczą dowodnie, że nie jestem mdłą blondyną skłonną do omdleń, ale blondynką południową, krwistą, blondynką, co pierwsza uderza zamiast czekać na skuteczny atak. Fryzjer chciał je wygładzić w dwa pasma, a czoło ustroić perłą zawieszoną na złotym łańcuszku, mówiąc, że nada w ten sposób mojej urodzie średniowieczny charakter. „Wiedz pan, że nie dorosłam jeszcze do średniego wieku, nie potrzebuję zatem odmładzających ozdób!" Nos mam cienki, nozdrza ładnie wycięte i oddzielone śliczną różową przegródką; nos władczy i kpiący, a koniec jego jest tak odporny, że nigdy nie zgrubieje ani nie sczer-

wienieje. Moja droga sarenko, jeśli to nie wystarczy, żeby wziąć pannę bez posagu, to się na niczym nie znam. Mam uszy o zalotnym wygięciu, a najbielsza perła, do ich koniuszków przyczepiona, żółtą się wyda. Moja szyja jest długa: ileż nadaje, dzięki wężowym ruchom, majestatu! W mroku białość jej nabiera złotawych odcieni. Ach! – mam podobno za duże usta, ale pełne wyrazu, wargi prześlicznym odznaczają się kolorem, a ząbki tak wdzięcznie błyszczą w uśmiechu. Poza tym, moja droga, wszystko we mnie jest harmonijne: nie brak mi ani postawy, ani głosu! Pamiętam, z jaką gracją babka umiała poruszać spódnicami, nie musnąwszy ich ręką; słowem, jestem piękna i wdzięczna. Jeśli mi przyjdzie fantazja, mogę śmiać się tak, jakeśmy się często śmiały, nie dopuszczając nikogo do poufałości: w owych dołeczkach, którymi delikatne palce bogini żartu naznaczyły moje lica, istnieje coś, sama nie wiem co, przejmującego respektem. Mogę spuścić oczy i zmroziwszy odruch serca sprawić, żeby pod moim śnieżnym czołem zagościła myśl lodowata. Mogę wygiąć melancholijnie łabędzią szyję, a upozowana tym sposobem na Madonnę, zaćmię dziewice ze świętych obrazów; w niebie królować będę nad nimi. Mężczyzna będzie musiał umuzycznić swój głos, aby przemówić do mnie.

Na niczym przeto w moim rynsztunku nie zbywa i mogę wodzić dłonią po klawiaturze kokieterii od nut najniższych aż do najcieńszych wiolinów. Ogromna to nad innymi przewaga mieć w sobie tyle cech rozmaitych. Moja matka nie jest płocha i nie zachowała nic z powabów dziewczęcych; jest nade wszystko godna, imponująca; kobieta tego charakteru w lwicę tylko zmienić się może; jeśli komuś zada ranę, niechętnie ją uleczy; a ja będę umiała i ranić, i leczyć. Jestem całkowicie różna od matki. Z tego względu rywalizacja między nami nie zrodzi się nigdy, o ile nie powaśnimy się o mniejszą lub większą doskonałość dotyczącą naszych, jakże podobnych, rąk i nóg. Przypominam ojca, to człowiek subtelny i bystry. Maniery odziedziczyłam po babce. Przekazała mi swój urzekający ton głosu, ostry w momencie natężenia, melodyjny i niski przy spokojnej pogwarce we dwoje. Czuję się tak, jakbym dziś opuściła klasztor. Nie istnieję jeszcze dla świata, świat nie zna mnie. O rozkoszna chwilo! Należę do siebie niby kwiat, którego nie dostrzegło niczyje oko, gdyż rozwinął się właśnie. Otóż, mój aniołku, kiedym spacerowała po swoim salonie, patrząc z uwagą w zwierciadło, wzrok mój spoczął niespodzianie na skromnej sukience pensjonarki i wtedy coś zadrgało w sercu moim – sama nie wiem, jak to określić: może to była tęsknota za przeszłością, niepokój o przyszłość, lęk przed światem, a kto wie, czym nie żegnała tego dnia bladych stokrotek, któreśmy tak niewinnie zrywały i swawolnie odzierały z płatków; było w tym afekcie po trochu z tego wszystkiego, ale było również coś z owych fantastycznych rojeń, które spycham w głąb duszy, dokąd nie śmiem się zapuszczać, a one przecież stamtąd się biorą.

Moja Renatko, mam już wyprawę panny młodej! Wszystko to pięknie uperfumowane i posegregowane leży w szufladach cedrowej komody, ozdobionej na przedzie laką, a stojącej w mojej prześlicznej ubieralni. Mam wstążki, pantofle, rękawiczki, wszystkiego pod dostatkiem. Ojciec – bardzo to miło z jego strony – podarował mi mnóstwo cacek niezbędnych w gospodarstwie młodej panny: neseser, toaletkę, kadzielniczkę pokojową, wachlarz, parasolkę, książkę do nabożeństwa, złoty łańcuch i szal kaszmirowy; obiecał, że będę się uczyć konnej jazdy. I nareszcie umiem tańczyć! Jutro, tak, jutrzejszego wieczoru wprowadzą mnie w świat. Będę miała suknię z białego muślinu. Głowę przystroję wiankiem białych róż upiętych na grecką modłę. Upozuję się na Madonnę: postanowiłam udawać naiwną, gdyż dzięki temu zjednam sobie kobiety. Matka wszystkiego by się po mnie spodziewała, ale nie tego, co do Ciebie piszę, gdyż uważa mnie za niezdolną do jakiegokolwiek myślenia. Gdyby przeczytała ten list, zamieniłaby się w słup soli. Brat zaszczyca mnie głęboką pogardą i nadal uprzejmą obojętnością raczy. To piękny młodzieniec, ale dziwak i melancholik. Przeniknęłam jego sekret, którego nie odgadli rodzice. Lubo jest księciem i lubo jest młody, zazdrości ojcu: nic nie znaczy w życiu publicznym, nie piastuje żadnej godności u dworu, nie może powiedzieć: „Idę do Parlamentu”. Ja jedna w tym domu mam szesnaście godzin na rozmyślania: ojca pochła-

niają sprawy publiczne i rozrywki, a matka jest także zajęta; nikt tu nie zastanawia się nad sobą, bo i kiedy, wszyscy są wciąż poza domem, nie mają nawet dość czasu, żeby żyć. Pali mnie szalona ciekawość, aby dowiedzieć się, jakimi to nieodpartymi powabami świat zmusza tych ludzi do czuwania między dziewiątą wieczór a trzecią nad ranem, do tylu wydatków i tylu nużących zachodów. Pragnąc tego świata, nie wyobrażałam sobie podobnych osamotnień i takich upojeń; ale, po prawdzie, zapominam, że chodzi o Paryż. Okazuje się, że można mieszkać razem, tworzyć rodzinę i nie znać się wzajemnie. Zjawia się niedoszła mniszka i po dwóch tygodniach widzi w domu to, czego nie dostrzegł mąż stanu. A może i dostrzegł, ale udaje ślepca, miłością ojcowską powodowany. Wypenetruję, co się w tym ciemnym kącie tai.

IV

LUDWIKA DO RENATY

15 grudnia.

Wczoraj o drugiej, takiego właśnie jesiennego dnia, jakimi zachwycałyśmy się nad brzegiem Loary, wybrałam się na przejażdżkę po Polach Elizejskich i Lasku Bulońskim. Zobaczyłam nareszcie Paryż! Plac Ludwika XV jest rzeczywiście piękny, ale tym pięknem stworzonym przez ludzi. Byłam gustownie ubrana, melancholijna, lubo wielce do śmiechu skłonna, spokojne lico pod wdzięcznym kapeluszem, ręce skrzyżowane. Nie przyciągnęłam najlżejszego choćby uśmiechu, żaden biedny młodzieniec nie stanął jak wryty, osłupiawszy na mój widok, nikt nie obejrzał się za mną, a przecież mój powóz jechał powoli, co harmonizowało z pozą, jaką przybrałam. Pomyliłam się: jakiś czarujący książę, minąwszy mnie, zawrócił nagle konia. Ów mężczyzna, co przed publiką próżność moją ocalił, był moim ojcem, którego dumie, jak mi powiedział, pochlebił mój wygląd. Spotkałam matkę, która końcem palca przesłała mi znak, coś na kształt pocałunku. Moja miss Griffith, wszystkim snadź ufająca, strzelała oczami bez najmniejszego zastanowienia. Według mnie młoda osoba winna zawsze wiedzieć, dokąd kieruje spojrzenie. Byłam wściekła. Jakiś mężczyzna z wielkim zajęciem przyjrzał się mojemu powozowi, nie zwróciwszy na mnie uwagi. Ten wykwintniś był zapewne fabrykantem pojazdów. Przeceniłam swoje zalety: uroda, ów rzadki przywilej, którym jedynie Bóg obdarza, jest w Paryżu pospolitszą, niż się spodziewałam. Mizdrzącym się damom kłaniano się zalotnie. Widząc uróżowane policzki, mężczyźni powiadali sobie: „Oho, już jest!” Moją matkę nad podziw admirowano. Istnieje klucz do tej zagadki, już ja go poszukam. Mężczyźni, moja kochana, wydali mi się na ogół bardzo brzydcy. Piękni mężczyźni przypominają nas, ale od naszej złej strony. Nie wiem, co za nieżyczliwy geniusz wynalazł ich ubranie: wierzyć się nie chce, jakie ono niezgrabne, jeśli porównać je ze strojem noszonym w ubiegłych wiekach; nie ma w nim ani świetności, ani koloru, ani poezji; nie przemawia ani do zmysłów, ani do duszy, nie wabi oka i musi być niewygodne; ciasne i przykrótkie. Osobliwie uderzył mnie kapelusz: to dzwono kolumny z trudem utrzymujące się na głowie i obce jej kształtem; ale – zapewniono mnie – łatwiej wywołać rewolucję niźli nadać wdzięczną formę kapeluszowi. Brawura Francuzów cofa się na myśl o filcowym kapeluszu z krągłą główką, a z braku odwagi, której trzeba by tylko na dzień jeden, muszą przez całe życie paradować w śmiesznych cylindrach. I mówią o Francuzach, że są lekkomyślni! Cokolwiek zresztą męż-

czyźni nosiliby na głowie, pozostaną tak okropni, że na to niczym zaradzić się nie da. Twarze ich są zmęczone i tępe, nie ma w nich ani spokoju, ani zrównoważenia – innych nie widziałam; z rysów przebija uraza do świata, a zmarszczki świadczą o zawiedzionych ambicjach i o nieszczęsnej próżności. Jasne czoło to rzecz tutaj rzadka. „Ach! – więc tacy są paryżanie" – mówiłam do miss Griffith. „Bardzo sympatyczni i dowcipni ludzie" – odparła mi na to. Zamilkłam. W sercu trzydziestoszścioletniej panny kryje się wiele pobłażania.

Wieczorem byłam na balu, gdziem nie odstępowała matki, a ona nie szczędziła mi wsparcia, i to poświęcenie wybornie jej się opłaciło. Zbierała laury, gdyż byłam pretekstem do najprzyjemniejszych pochlebstw. Okazała wielki talent w wynajdowaniu mi głupich danserów, co rozprawiali ze mną na temat upału, jakbym drżała z zimna, i o wspaniałościach balu, jakbym oczu nie miała. Żaden z nich nie omieszkał wpaść w ekstazę nad wypadkiem tak osobliwym, niesłychanym, przedziwnym, szczególnym, nadzwyczajnym, jakim było na tym balu zawarcie pierwszej ze mną znajomości. Moja toaleta, co zachwyciła mnie w moim białozłotym salonie, gdziem samotnie paradowała, ginęła tu niemal wśród mnóstwa cudnych strojów, jakie nosiła większość kobiet. Każda z nich miała swoich przysięgłych adoratorów, wszystkie obserwowały się nawzajem spod oka, wiele jaśniało triumfującą urodą, jak moja matka. Młoda osoba nie liczy się na balu, jest machiną do tańczenia. Mężczyźni, z pewnymi tylko wyjątkami, nielepsi niż na Polach Elizejskich. Są przeżyci, w rysach ich nie dojrzysz nic charakterystycznego, a raczej u wszystkich przebija ten sam charakter. Znikły zupełnie te dumne i tryskające energią oblicza, jakie mają na portretach nasi przodkowie, łączący w sobie siłę duchową z siłą fizyczną. A jednak znalazł się na tym assamblu jeden mężczyzna obdarzony wielkim talentem, mężczyzna, który na tle tej masy wyróżniał się urodą, ale nie wywarł na mnie owego silnego wrażenia, jakie sprawić był powinien. Nie znam jego dzieł, a zresztą nie jest on szlachcicem. Nie znajdę w swoich żyłach kropli krwi dla najświetniejszego choćby geniuszu i talentów mieszczanina albo człowieka nobilitowanego. Stwierdziłam poza tym, iż jest bardzo zajęty sobą, a innymi tak mało, że – jak nasunęło mi się na myśl – musimy być dla tych wielkich łowców idei rzeczami, a nie żywymi istotami. Kiedy utalentowany mężczyzna pokocha, winien zaprzestać pisania, bo w przeciwnym razie wygaśnie miłość jego. W mózgu takiego człowieka tkwi zawsze coś, co ludzie ci wyżej cenią od uczuć dla kochanki. Wydało mi się, że dostrzegłam to wszystko w zachowaniu się owego pana, który, jak powiadają, jest profesorem, mówcą i autorem, służącym na skutek nakazów ambicji każdemu dygnitarzowi. Szybko więc powzięłam decyzję: uznawszy za niegodne siebie dąsać się na świat z racji moich skąpych sukcesów, beztrosko puściłam się w tany. Zresztą taniec sprawiał mi wielką przyjemność. Usłyszałam mnóstwo nieszkodliwych plotek tyczących się nie znanych mi osób; ale żeby zrozumieć te dyskursy, trzeba by dowiedzieć się wielu rzeczy, o których pojęcia nie mam, widziałam bowiem, jak większość tych kobiet i mężczyzn radowała się mówieniem i słuchaniem pewnych zdań. Świat podsuwa mnóstwo zagadek i, jak mi się zdaje, trudno do nich klucz znaleźć. Istnieją nadzwyczaj skomplikowane intrygi. Mam wcale bystre oczy i wrażliwy słuch; jeśli zaś idzie o inteligencję, to znasz ją, panno de Maucombe.

Wróciłam zmęczona i uszczęśliwiona tym zmęczeniem. Oznajmiłam w bardzo naiwnych słowach o stanie, w jakim się znalazłam, matce, której towarzyszyłam, a matka przestrzegła mnie, żebym z takich rzeczy jej tylko się zwierzała. „Moja maleńka – dodała – poczucie taktu zasadza się nie tylko na znajomości spraw, które przemilczać trzeba, lecz i na wiedzy o tym, co wolno powiedzieć".

Zrozumiałam dzięki tej uwadze, o jakich przeżyciach wspominać nie trzeba, może nawet i przy rodzonej matce. Ogarnęłam błyskawicznym spojrzeniem rozległe pole kobiecej skrytości. Mogę Cię zapewnić, moja droga sarenko, że dwa bezczelne niewiniątka, takie jak my, stworzyłyby parę młodziutkich, lecz wcale wytrawnych kumoszek. Ileż można przesłać sobie informacyj, kładąc palec na wargach, wystarczy słowo, jedno mrugnięcie! Stałam się w jeden moment nad wyraz nieśmiałą. Jak to! Nie wolno okazać całkiem naturalnej radości obudzonej

wirem tańca? Skoro tak – spytałam się w duchu – cóż będzie z naszymi uczuciami? I poszłam spać zasmucona. Bardzo mi jeszcze dokucza ból wywołany pierwszym zderzeniem się mojej bezpośredniej i wesołej natury z twardymi prawami świata. Oto już, niby owieczka, zostawiłam białą: wełnę w przydrożnych krzakach. Do widzenia, mój aniele!

V

RENATA DE MAUCOMBE DO LUDWIKI DE CHAULIEU

Październik.

Jakże wzruszył mnie Twój list! Wzruszył głównie dlatego, żem porównała nasze losy. W jakimż Ty wspaniałym przebywać będziesz świecie, a w jakim ja cichym ustroniu, od ludzi zapomniana, życia dokonam! W dwa tygodnie po powrocie do zamku Maucombe, znanego Ci tak dobrze z moich opowiadań, że opisywać go tutaj nie będę, gdzie znalazłam swój pokój w prawie takim samym stanie, w jakim zostawiłam, a skąd mogłam teraz, wyjrzawszy oknem, ocenić przepiękny widok doliny Gémenos, na który jako dziecko patrzałam nic nie widząc, rodzice zawieźli mnie w asyście dwóch moich braci do jednego z naszych sąsiadów, starego pana de 1'Estorade, szlachcica ogromnie wzbogaconego, tak jak ludzie bogacą się na prowincji, to znaczy dzięki wytrwałemu sknerstwu. Ów starzec nie zdołał ocalić swojego jedynaka przed pazurami Buonapartego; uchroniwszy syna od poboru, musiał go posiać w roku 1813 do wojska; młodzieńca wcielono do straży honorowej, a od bitwy pod Lipskiem stary-baron de 1'Estorade nie miał o nim żadnych wieści. Pan de Montriveau, którego pan de 1'Estorade odwiedził w roku 1814, zapewnił go, że był świadkiem, jak ów oficer dostał się do niewoli rosyjskiej. Pani de 1'Estorade umarła ze zgryzoty, gdyż poszukiwania, które zleciła przeprowadzić w Rosji, okazały się bezowocne. Baron, starzec wielce nabożny, jaśniał zawsze tą piękną cnotą kardynalną, która i nas w klasztorze w Blois podtrzymywała: Nadzieją! Nadzieja często ukazywała mu syna we śnie, zbijał więc grosz dla tego syna; pilnował również i schedy, co owemu synowi przypadła w sukcesji po rodzinie nieboszczki pani de 1'Estorade. Nikt nie ośmielił się wykpić tego starca. Odgadłam w końcu, że niespodziany powrót owego jeńca stał się przyczyną mojego powrotu. Któż by przewidział, że kiedy błądziłyśmy myślą tak daleko, mój przyszły wlókł się piechotą przez Rosję, Polskę i Niemcy? Jego zły los odmienił się dopiero w Berlinie, gdzie poseł francuski ułatwił mu powrót do Francji. Pan de 1'Estorade ojciec, prowansalski szlachetka, posiadający około dziesięciu tysięcy liwrów renty, nie zyskał na tyle europejskiego rozgłosu, aby przejmowano się kawalerem de 1'Estorade, którego nazwisko dziwnie awanturnikiem zatrąca.

Dwanaście tysięcy liwrów, będących rocznym dochodem z majątku pani de 1'Estorade, połączone z ojcowskimi oszczędnościami, stanowią dla ubogiego oficera straży honorowej znaczną jak na prowansalskie stosunki fortunę – będzie tego ze dwieście pięćdziesiąt tysięcy liwrów, nie licząc ziemi. Poczciwy de 1'Estorade zakupił bowiem w wilię powrotu kawalera piękną, ale o zabagnionej gospodarce posiadłość, gdzie zamierza posadzić dziesięć tysięcy drzew morwowych, które wyhodował był umyślnie w szkółce, przewidując rzeczony nabytek. Odzyskawszy syna, baron uparł się, żeby go ożenić, i to ożenić z młodą arystokratką. Moi rodzice, mający moją przyszłość na uwadze, odnieśli się życzliwie do zamysłów sąsiada, kiedy ów starzec im oznajmił, że wziąłby chętnie Renatę de Maucombe bez posagu, a w intercyzie pokwitowałby odbiór całej sumy, jaka by pomienionej Renacie w sukcesji po nich przypaść musiała. Mój młodszy brat, Jan de Maucombe, osiągnąwszy pełnoletność, zadeklarował, że otrzymał od rodziców zaliczkę spadkową równającą się jednej trzeciej dziedzictwa. Oto w jaki sposób szlacheckie rody Prowansji obchodzą haniebny Kodeks Cywilny imci pana Buo-

napartego, który tyleż dziewcząt pozamyka w klasztorach, co wyda za mąż. O ile mi wiadomo, a słyszałam zresztą na ów temat niewiele, szlachta francuska bardzo rozmaicie zapatruje się na tę poważną kwestię.

Ów obiad, moja droga pieszczotko, był więc spotkaniem między Twoją sarenką a tułaczem. Ale opisujmy wszystko po kolei. Lokaje hrabiego de Maucombe wystroili się w stare wygalonowane liberie i lamowane kapelusze; stangret włożył palone buciska, stara kolasa pomieściła nas pięcioro i zajechaliśmy z wielką paradą koło drugiej, żeby o trzeciej zjeść obiad w typowo prowansalskim dworku, gdzie przemieszkuje baron de 1'Estorade. Mój teść nie ma żadnego zamku, ale zwyczajny dom wiejski, położony u stóp jednego z naszych wzgórków, przy wylocie naszej pięknej doliny, której dumą jest oczywiście stare zamczysko panów de Maucombe. Ów dworek to taki sobie dworek: cztery ściany z kamienia, obrzucone żółtawym tynkiem, kryte czerwoną dachówką o ładnym odcieniu. Krokwie uginają się pod ciężarem tej cegły. Okna przebito nieporządnie i bez żadnej symetrii, a opatrzono potężnymi okiennicami na żółto malowanymi. Ogród wokół tej siedziby jest zwyczajnym prowansalskim ogrodem: otacza go niski murek z wielkich krągławych kamieni ułożonych warstwami; sposób, w jaki je umocowano, jedne bowiem trzymają się ukośnie, a drugie stoją na sztorc, tworząc dzięki kolejności pewien rysunek, świadczy o znakomitym geniuszu murarza; powlekające je z wierzchu błoto wykruszyło się już gdzieniegdzie. Dworek zawdzięcza swój pański wygląd kracie mieszczącej się u wejścia do alei. Ileż łez kosztowała ta krata, ale kupiono ją wreszcie; jest taka mizerna, że przypominała mi siostrę Anielę. Przed domem wybudowano kamienny podjazd, ale wejście ozdobiono takim daszkiem, że chłop znad Loary nie ustroiłby za nic w świecie czymś podobnym drzwi do swojego gustownego domku z białego kamienia, domku nakrytego niebieskim dachem, w którym weseli się słońce. Ogród i jego okolice toną w najokropniejszym kurzu, a drzewa są uschnięte. Znać, że od dawna życie barona polega tylko na wstawaniu i chodzeniu spać, życie opanowane jedną myślą: ciułać grosz do grosza. Jada to, co jada jego służba, składająca się z dwóch osób: prowansalskiego parobka i starej pokojowej, którą odziedziczył po żonie. W pokojach mało mebli. A jednak panowie de 1'Estorade wystąpili najprzyzwoiciej jak mogli. Opróżnili szafy i w dzień tego obiadu, podanego na starych, sczerniałych tudzież koślawych srebrach, zwołali pospolite ruszenie swoich niewolników. Tułacz, moja droga pieszczotko, jest jak krata: bardzo mizerny! Jest blady i małomówny – przecierpiał wiele. W trzydziestym siódmym roku życia wygląda na pięćdziesiątkę. Heban jego włosów, pięknych za młodu, przetyka dzisiaj siwizna, czyniąc je podobnymi skrzydłom skowronka. Piękne niebieskie oczy zapadły; nie dosłyszy, czym przypomina Rycerza o Smutnym Obliczu; z tym wszystkim zgodziłam się łaskawie zostać panią de l'Estorade i przyjąć posag wynoszący dwieście pięćdziesiąt tysięcy liwrów, pod tym jednak, wyraźnie postawionym warunkiem, że dozwolą mi urządzić dworek wedle własnego upodobania i otoczyć go parkiem. Zażądałam formalnie od ojca, żeby mi odstąpił niewielką część wody, jaką będzie można doprowadzić tutaj z Maucombe. Za miesiąc zostanę panią de 1'Estorade, gdyż spodobałam się, moja droga. Człowiek, co marzł w śniegach Syberii, łacno dopatrzy się zalet w owym czarnym oku, od którego spojrzenia, jak mawiałaś, dojrzewają owoce. Ludwik de 1'Estorade wydaje się być w siódmym niebie z tej racji, że zaślubia p i ę k n ą R e n a t ę d e M a u c o m b e, pod takim bowiem mianem słynie Twoja przyjaciółka. I kiedy Ty szykujesz się na żniwo uciech, jakie zbierzesz dzięki swej najwspanialszej pod słońcem egzystencji panny de Chaulieu w Paryżu, gdzie będziesz królować, Twoja biedna sarenka, Renata, córa pustyni, spadła z empireum, do któregośmy wzlatywały, w pospolitą rzeczywistość przeznaczenia, zwyczajnego niby losy stokrótki. Tak, poprzysięgłam sobie w duchu, że pocieszę tego młodego człowieka, co młodość utracił, rzucony z łona matki w odmęt wojny, wyrwany z miłej atmosfery swojego dworku i zagnany do robót wśród lodów Syberii. Jednostajny bieg moich przyszłych dni będą umilać niewymyślne rozrywki sielskie. Przeszczepię tutaj oazę doliny Gémenos, otaczając swój dom pięknymi drzewami, które spowiną go majestatycznym

cieniem. Będę miała trawniki, zawsze w Prowansji zielone, park doprowadzę aż do wzgórza, na najwyższym zaś punkcie wzniosę jakąś gustowną altanę, skąd może oko moje dojrzy blaski Śródziemnego Morza. Pomarańcza i cytryna, i jeszcze inne najwspanialsze okazy flory upiększą moją samotnię, gdzie matką rodu zostanę. Będzie nas otaczać poezja natury, której nic zniszczyć nie zdoła. Dochowam wierności swoim obowiązkom, więc nie zagrozi mi żadne nieszczęście. Tak, moja pieszczotko, widzę przed sobą życie niby jeden z tych wielkich francuskich gościńców, równych i bezpiecznych, ocienionych prastarymi drzewami. Nasze stulecie nie wyda dwóch panów Buonaparte: nikt mi nie odbierze moich dzieci, jeśli będę je miała, wychowam je na porządnych ludzi, a dzięki nim będę radować się życiem. Jeśli nie zawiedzie Cię fortuna, dzieci Twojej Renaty będą miały w Tobie, co poślubisz jednego z możnych tego świata, gorliwą protektorkę. Żegnajcie więc, przynajmniej dla mnie, romanse i dziwne przygody, których czyniłyśmy się bohaterkami. Znam już naprzód historię swojego życia: będą je urozmaicać wielkie ewenementy, jako to ząbkowanie panów de 1'Estorade, debaty nad tym, co jeść mają, szkody, jakie będą wyrządzać w moich klombach, psoty, od których ucierpi moja osoba; wyszywać dla nich czepeczki, być kochaną i admirowaną przez biednego, chorowitego człowieka, tutaj, u wylotu doliny Gémenos – oto rozrywki moje. Może pewnego dnia wieśniaczka pojedzie spędzić zimę w Marsylii; ale i wtedy zjawi się ona tylko na scenie ciasnego, prowincjonalnego teatru, którego kulisy żadnych niebezpieczeństw nie nastręczają. Nie będę musiała lękać się niczego, nawet owych słów uwielbienia, co mogą wzbić w dumę. Uwagę naszą pochłoną jedwabniki, dla których będziemy mieć morwowe liście do sprzedania. Zaznamy osobliwych kolei życia wiejskiego, dowiemy się, co to burze małżeńskie, które nigdy nie przywiodą do waśni: pan de 1'Estorade oświadczył wyraźnie, że pozwoli prowadzić się za nos. A jako że palcem nie kiwnę, aby utrzymać mojego małżonka w tym rozumnym postanowieniu, to i pewnie od niego nie odstąpi. Ty natomiast, droga Ludwisiu, będziesz romansową częścią mojej egzystencji. Dlatego opowiadaj mi o swoich przygodach, odmalowuj mi bale, zabawy, opisuj mi, jak się ubierasz, jakie kwiaty wieńczą Twoje piękne jasne włosy, co mówią mężczyźni i jakie mają maniery. Dzięki temu będziemy obie słuchać duserów, tańcować, czuć, jak ściskają nam koniuszki palców. Chciałabym bardzo zamienić się z Tobą: bawić się w Paryżu, podczas gdy Ty rodziłabyś dzieci w La Crampade, tak się bowiem nasz dworek nazywa. Pożałowania godzien mężczyzna, któremu się zdaje, że poślubia tylko jedną kobietę! Czy się spostrzeże, że ma dwie? Zaczynam pleść głupstwa, a ponieważ mogę to czynić już tylko *per procuram*[78], przestaję. A teraz całuję Cię w oba policzki – moje wargi są jeszcze dziewicze (odważył się tylko wziąć mnie za rękę). Och! Panuje między nami niepokojąca poprawność, nie masz pojęcia, z jakim respektem odnosi się do mnie. A no cóż, znowu zaczynam! Do widzenia, najdroższa!

P. S. Otwieram właśnie Twój trzeci list. Moja droga, mam do dyspozycji mniej więcej tysiąc liwrów: nakup mi za nie ładnych rzeczy, których nie znajdę nigdzie ani w okolicy, ani nawet w Marsylii. Biegając za swoimi sprawunkami, pomyśl o samotnicy z La Crampade. Weź pod uwagę, że moi staruszkowie nie mają w Paryżu nikogo z dobrym gustem, kto mógłby się tym zająć. Na Twój ostatni list odpowiem później.

[78] P e r p r o c u r a m (łac.) – przez pełnomocnictwo.

VI

DON FELIPE HENAREZ DO DON FERNANDA

Paryż, we wrześniu.

Data tego listu uwiadomi Cię, mój bracie, że głowie naszego rodu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Rzeź naszych dziadów na Lwim Dziedzińcu[79] zrobiła z nas poniewolnie Hiszpanów i chrześcijan, ale nie wypleniła w nas arabskiej roztropności; kto wie, czy nie krwi Abenceragów, płynącej jeszcze w moich żyłach, zawdzięczam ocalenie. Trwoga uczyniła Ferdynanda tak wybornym komediantem, że Valdes[80] uwierzył jego zapewnieniom. Gdyby nie ja, zginąłby ów biedny admirał. Nigdy liberałowie nie nauczą się, kim jest król. Alem ja z dawna poznał charakter tego Burbona: im goręcej Jego Królewska Mość zapewniał nas o swojej opiece, tym głębszą nieufność budziły we mnie owe przyrzeczenia. Prawdziwy Hiszpan nigdy swoich obietnic wznawiać nie potrzebuje. Kto mówi za wiele, chce oszukać. Valdes umknął na okręt angielski. A ja, skoro losy mojej drogiej Hiszpanii przybrały w Andaluzji beznadziejny obrót, napisałem do intendenta moich dóbr sardyńskich, żeby mi przyszedł z pomocą. Jakoż sprytni rybacy, zajmujący się połowem koralu, przybili po mnie łodzią do jednego z cyplów wybrzeża. Kiedy Ferdynand nakazał ująć mnie Francuzom, byłem już w swojej baronii Macumer, pośród bandytów, co drwią z wszelkich praw i nie boją się niczyjej zemsty. Ostatnia hiszpańsko-mauretańska familia z Grenady odnalazła we włościach, które Saracenom zawdzięcza, nie tylko afrykańskie pustynie, ale nawet saraceńskiego konia. Oczy tych bandytów rozbłysły dziką radością i pychą, gdy dowiedzieli się, że przed wendetą hiszpańskiego króla chronią księcia de Sorię, pana swojego, słowem: Henareza, pierwszego, jaki nawiedził ich od czasu, kiedy wyspa należała była do Maurów; a ci zbóje wczoraj jeszcze lękali się mojej sprawiedliwości. Dwadzieścia dwa karabiny gotowe są wypalić do Ferdynanda de Bourbon, tego potomka familii, o której nikt nie słyszał w momencie, kiedy zwycięscy Abenceragowie stanęli nad brzegiem Loary. Sądziłem, że będę mógł się utrzymać z dochodu, jaki dają te olbrzymie dobra, o których na nieszczęście zapomnieliśmy prawie; ale pobyt na Sardynii przekonał mnie i o moim błędzie, i o prawdziwości raportów Queverda. Biedny człowiek miał do mojej dyspozycji dwadzieścia dwa ludzkie życia i ani jednego reala; sawanny liczące dwadzieścia tysięcy mórg i ani jednego domu; dziewicze lasy i ani jednego mebla. Można by podnieść wartość tej wspaniałej ziemi, ale na to trzeba by pół miliona piastrów i pięćdziesięciu lat obecności właściciela: zastanowię się nad tym. Zwyciężeni medytują w trakcie ucieczki i nad sobą, i nad utraconą ojczyzną. Gdym spoglądał na te wspaniałe zwłoki, zżerane przez mnichów, oczy moje zrosiły się łzami: rozpoznałem smutną przyszłość Hiszpanii. Dowiedziałem się w Marsylii o śmierci Riega[81]. Pomyślałem z bólem, że u kresu życia i mnie czeka męczeństwo, ale przewlekłe i utajone. Cóż warte istnienie, skoro nie można ani poświęcić się dla kraju, ani żyć dla kobiety? Kochać i zdobywać: to podwójne oblicze tej sa-

[79] N a L w i m D z i e d z i ń c u w Alhambrze w r. 1485 wymordowano na rozkaz króla Abul Hasana wielu członków znakomitej i wpływowej w Grenadzie rodziny Abenceragów.

[80] Admirał Cayetano V a l d e s y F l o r e s (1767 – 1835) – gubernator Kadyksu w r. 1823, w dniu kapitulacji miasta aresztowany na rozkaz króla Ferdynanda VII.

[81] Rafael R i e g o y N u ñ e z (1784–1823) – generał, patriota hiszpański, uczestnik walk przeciw monarchii absolutnej, po powrocie na tron Ferdynanda VII został na jego rozkaz stracony.

mej idei było prawem wyrytym na naszych szablach, wypisanym złotymi głoskami na stropach naszych pałaców, brzmiącym bez przerwy w szumie fontann, co tryskały snopami w naszych marmurowych basenach. Ale to prawo przejmuje niepotrzebnie moje serce fanatyzmem: szabla strzaskana, pałace w popiołach, a żywe źródło wchłonęły jałowe piaski.

Otóż i mój testament.

Don Fernandzie, zrozumiesz, czemu kiełznałem Twój zapał, nakazując, abyś dochował wierności *rey neto*[82]. Jako brat i przyjaciel proszę, żebyś okazał posłuszeństwo; rozkazuję Ci jako Twój pan. Pójdziesz do króla, zażądasz mojej godności granda i mojego majątku, mojego urzędu i moich tytułów; zawaha się może, nie daruje sobie kilku monarszych grymasów; ale powiesz mu, że kocha Cię Maria Heredia i że Maria może poślubić tylko księcia de Sorię. Zobaczysz wtedy, jak monarcha zadrży z uciechy: olbrzymia fortuna Herediów nie pozwalała mu doprowadzić do końca mojej ruiny; dzięki temu moja klęska wyda mu się zupełną, a Ty zaraz otrzymasz po mnie spuściznę. Ożenisz się z Marią: znam sekret waszej wzajemnej, lubo zwalczanej miłości. Toteż przygotowałem starego hrabiego na tę zmianę. Byliśmy z Marią posłuszni konwenansom tudzież postanowieniom, jakie powzięli nasi ojcowie. Jesteś piękny jak amor, a ja brzydki jak grand hiszpański; jesteś kochany, a jam jest przedmiotem tłumionej odrazy; łatwo więc przezwyciężysz słaby zresztą opór, jaki, z uwagi na moje nieszczęścia, stawi Ci ta szlachetna Hiszpanka. Książę de Soria, Twój poprzednik, nie życzy sobie, abyście go choć trochę obżałowywali, i nie chce Was pozbawić ani jednego maravedi[83]. A że klejnoty Marii zdołają wypełnić ów brak, jaki w Waszym domu po diamentach mojej matki zostanie, prześlesz mi owe diamenty – co wystarczy, aby zapewnić mi niezależność – przez moją mamkę, starą Urrakę, jedyną osobę spośród naszej służby, którą chciałbym zatrzymać: tylko ona umie przyrządzić moją czekoladę.

W czasie naszej krótkiej rewolucji nawał pracy sprowadził moje potrzeby do najkonieczniejszych, a poza tym dość było na nie pensji, którą za urząd pobierałem. Znajdziesz dochody z dwóch ostatnich lat w rękach swojego intendenta. Ta suma do mnie należy: ale mariaż księcia de Sorii pociągnie ogromne koszta, rozdzielimy je więc między siebie. Nie odrzucisz przecież prezentu ślubnego od swojego brata, bandyty. Zresztą taka jest moja wola. Baronia Macumer, nie będąca pod władzą króla hiszpańskiego, jest w moich rękach i dzięki niej znajdę ojczyznę i nazwisko, jeśli przypadkiem spodoba mi się kimś zostać.

Skończyłem, chwała Bogu, pisać o interesach, a dom Soriów jest ocalony!

W momencie kiedy jestem już tylko baronem de Macumer, działa francuskie oznajmiają wjazd księcia d'Angoulême[84]. Zrozumiesz łatwo, mój panie, czemu list przerywam...

Październik.

Przybywszy tutaj, nie miałem nawet dziesięciu dukatów hiszpańskich. Ale czy mąż stanu, co wśród katastrof, którym zapobiec nie umie, okazuje samolubną przezorność, nie jest bardzo małym człowiekiem? Zwyciężonym Maurom pozostawał koń i pustynia; zawiedzionym w nadziejach chrześcijanom pozostaje klasztor i kilka sztuk złota. A jednak moja rezygnacja jest wciąż tylko znużeniem. Nie tęsknię aż tak za klasztorem, żeby nie myśleć o życiu. Ozalga dał mi na wszelki wypadek listy polecające, a wśród nich był jeden do pewnego księgarza, co naszym rodakom tutaj tak pomaga, jak Galignani wspiera Anglików. Ów człowiek znalazł mi ośmiu uczniów, z których każdy płaci trzy franki za lekcję. Odwiedzam co dzień czterech elewów, zarabiam więc dwanaście franków dziennie i ta suma to wiele więcej, niż mi trzeba.

[82] R e y n e t o (hiszp.) – prawowity król.

[83] M a r a v e d i – drobna moneta hiszpańska.

[84] K s i ą ż ę d ' A n g o u l ê m e – starszy syn króla Francji Karola X, dowodził w r. 1823 wyprawą, której celem było zdławienie liberalnej rewolucji w Hiszpanii i przywrócenie tronu Ferdynandowi VII.

Kiedy przyjedzie Urraca, uszczęśliwię któregoś z wygnańców hiszpańskich, odstępując mu klientelę. Mieszkam na ulicy Hillerin-Bertin u biednej wdowy, która utrzymuje się z lokatorów. Mam południowy pokój z oknem na ogród. Nie dolatują mnie tu żadne hałasy, widzę zieleń i wydaję na wszystko tylko piastra dziennie; zadziwiają mnie te spokojne i niewinne uciechy, których zażywam wiodąc żywot Dionizego w Koryncie[85]. Od wschodu słońca do dziesiątej rano palę i popijam czekoladę, siedząc przy oknie wpatrzony w dwa hiszpańskie krzewy – to janowiec wyrastający spośród kępy jaśminu: złoto na białym tle, obraz, co zawsze przejmuje drżeniem serce potomka Maurów. O dziesiątej ruszam w drogę, na lekcje trwające do czwartej. O tej godzinie wracam na obiad, a potem czytam i palę, dopóki spać się nie położę. Mógłbym długo prowadzić to życie urozmaicone pracą i dumaniem, samotnością i towarzystwem ludzi. Bądź więc spokojny, Fernandzie, w abdykacji mojej nie ma cienia żalu; nie znalazłbyś w niej goryczy, jaka ogarnęła Karola V, żadnej ochoty do rozpoczęcia gry na nowo, jak u Napoleona. Pięć dni i pięć nocy strawiłem nad moim testamentem, ale myśl moja dokonała pracy godnej pięciu wieków. Przywileje granda, tytuły, majątek są dla mnie niczym, jakby nigdy nie istniały. Dziś, kiedy runął mur dzielącego nas respektu, mogę, drogi chłopcze, pozwolić, żebyś czytał w moim sercu. To serce, które powaga osłoniła nieprzeniknionym pancerzem, jest pełne tkliwości i poświęcenia, co nie mają teraz komu służyć; ale żadna kobieta tego nie odgadła, nawet ta, którą przeznaczono mi od kolebki. Tutaj kryje się sekret mojej zajadłej działalności politycznej. W braku kochanki uwielbiałem Hiszpanię. Ale Hiszpania też mi się wymknęła! Teraz, gdy nie jestem już niczym, mogę dumać nad swoim zniszczonym j a, pytając, po co życie weń wstąpiło i kiedy je opuści; czemu rasa, do głębi rycerska, przekazała ostatniemu ze swoich potomków swoje najistotniejsze cnoty, miłość afrykańską i żarliwą poezję? Na cóż to wszystko, jeśli ziarno w swej twardej powłoce pozostać musi, nie zakiełkowawszy, nie napełniwszy powietrza wschodnią wonią tryskającą z wyżyn promiennego kielicha? Jakąż zbrodnię popełniłem przed urodzeniem, skoro w nikim miłości obudzić nie mogę? Czyżbym już od momentu, gdy na świat przyszedłem, był niedobitkiem, któremu przeznaczenie na jałowym piasku sczeznąć każe? Odnajduję w swej duszy ojczyste pustynie zalane słonecznym żarem, co żadnym plonom wzejść nie pozwoli. Dumny rozbitek, ostatni z upadłego rodu, siła bezużyteczna, miłość zmarnowana, młody starzec – będę czekał tam, gdzie jestem i gdzie mi zresztą najlepiej, na ostatnią łaskę, a ta łaska to śmierć. Niestety! Pod tym mglistym niebem żadna iskra nie ożywi płomienia zagrzebanego w popiołach. Toteż konając będę mógł rzec jak Jezus Chrystus: *Panie, czemuś mnie opuścił!* Straszne słowa, których nikt nie ośmielił się zgłębić.

Zrozum, Fernandzie, jaki jestem szczęśliwy odżywając w Tobie i w Marii! Od tej chwili będę spoglądał na Was dumnie, niby Stwórca chlubiący się swym dziełem. Pokochajcie się serdecznie i na zawsze, nie bądźcie dla mnie powodem do smutku: Wasze swary skrzywdziłyby mnie boleśniej niż Was. Nasza matka przeczuwała, że bieg wypadków posłuży kiedyś jej nadziejom. Kto wie, czy życzenie matki nie jest umową zawartą między nią a Bogiem. Należała zresztą do owych tajemniczych istot umiejących komunikować się z niebem, które obdarza je wizją przyszłości! Ileż to razy wyczytałem ze zmarszczek na jej czole, że pragnie dla Fernanda zaszczytów i majątku Felipa! Wspominałem jej o tym, lecz ona odpowiadała mi tylko dwiema łzami i ukazywała rany serca należącego się w równej mierze nam obu, serca, które miłość niezwyciężona Tobie tylko oddawała. Toteż jej cień radosny będzie krążył nad Waszymi głowami, kiedy schylicie je przed ołtarzem. Czy Twój Felipe doczeka się wreszcie karesów od ciebie, dono Klaro? Patrz: zrzekł się całego majątku dla twojego ukochanego syna, zrzekł się nawet dziewczyny, którą niechętnie popychałaś w moje ramiona. To, co czynię,

[85] D i o n i z y M ł o d s z y – syn i następca Dionizego Starszego, tyrana syrakuzańskiego. Wygnany z Syrakuz w r. 357 przed n. e., osiadł w Koryncie jako nauczyciel.

podoba się kobietom, umarłym i królowi; Bóg tak chciał, nie waż się więc sprzeciwiać, Fernandzie: bądź posłuszny i milcz.

P. S. Zapowiedz Urrace, żeby nazywała mnie tylko panem Henarez. Nie napomykaj o mnie ani słowa Marii. Masz być jedynym ze śmiertelnych, co zna tajemnicę ostatniego z ochrzczonych Maurów, w którego żyłach zemrze krew wielkiej familii, na pustyni zrodzonej. Niechże ta latorośl uschnie w samotności. Żegnaj.

VII

LUDWIKA DE CHAULIEU DO RENATY DE MAUCOMBE

Styczeń 1824.

Nie do wiary! Wkrótce wyjdziesz za mąż! Ale czyż można wybrać kogoś tak od razu? Po upływie miesiąca przyrzekłaś rękę jakiemuś mężczyźnie, nie znając go, nic o nim nie wiedząc. Ten człowiek może być głuchy, boć tyle jest różnych rodzajów głuchoty! Może być chorowity, nudny, nieznośny. Nie pojmowałażbyś, Renatko, co chcą z Tobą uczynić? Jesteś dla nich niezbędna, żeby przetrwał znakomity ród de 1'Estorade'ów, i basta. Staniesz się parafianką. Czyż takie były nasze wzajemne obietnice? Na Twoim miejscu wolałabym krążyć czółnem wokół wysp Hyères, póki jakiś korsarz algerski nie porwałby mnie i nie sprzedał wielkiemu panu; zostałabym sułtanką, a pewnego dnia walidą, czyli panią całego seraju; przewracałabym harem do góry nogami, i będąc młodą, i w sędziwym wieku. Opuściłaś jeden klasztor, aby wstąpić do drugiego! Znam Cię, jesteś tchórzliwa, wyjdziesz za mąż niczym pokorna owieczka. Posłuchaj mojej rady: przyjedziesz do Paryża, owiniemy sobie wszystkich mężczyzn koło palca i we dwie obejmiemy królowanie. Twój mąż, moja piękna sarenko, będzie mógł akurat za trzy lata zostać deputowanym. Wiem już, co to jest deputowany, i niebawem Ci wytłumaczę; będziesz wybornie kierować tą machiną, mieszkając w Paryżu, gdzie staniesz się, jak powiada moja matka, modną kobietą. O, na pewno nie dam Ci pleśnieć w tym Twoim dworku!

Poniedziałek.

Minęło właśnie dwa tygodnie, moja droga, jak prowadzę życie światowe: spędzam wieczory albo w Teatrze Włoskim, albo w Wielkiej Operze, a po spektaklu jadę zawsze na bal. Ach! Świat jest feerią! Zachwyca mnie muzyka u Włochów, a kiedy moja dusza pławi się w boskich rozkoszach, lornetki wlepiają się we mnie, jestem admirowana; ale wystarczy jedno moje spojrzenie, żeby najzuchwalszy z młodzieńców spuścił oczy. Widziałam już uroczych młodych ludzi, ale cóż z tego, skoro żaden mi się nie podoba; ani jeden nie zdołał obudzić we mnie takiej emocji, jakiej doznaję wsłuchana w Garcię śpiewającego z Pellegrinim wspaniały duet w „Otellu”[86]. Mój Boże! Jakimż ten Rossini musi być zazdrośnikiem, skoro tak świetnie

[86] Manuel Vicente G a r c i a (1775-1832) – doskonały śpiewak hiszpański, śpiewał w „Otellu”, operze Gioacchino Rossiniego, partię tytułową, a Felice P e l l e g r i n i (1774-1832), Włoch, odtwarzał rolę Jagona.

zazdrość oddać umiał! Co za niezwykłe słowa: *Il mio cor si divide*[87]. Czytając to siedzisz jak na niemieckim kazaniu, boś nie słyszała Garcii, wiesz natomiast, jak okropnie jestem zazdrosną! I jakimż lichym dramaturgiem był ten Szekspir! Otello postanawia zyskać sławę, odnosi zwycięstwa, jest dowódcą, paraduje w glorii, przechadza się zostawiwszy Desdemonę w kącie, a Desdemona, widząc, że mąż przekłada nad nią głupstwa życia publicznego, nie gniewa się wcale! Przecież takie cielę zasługuje na śmierć. Niechby ten, którego pokochać raczę, odważył się zajmować czym innym, a nie wypłacać mi kochaniem! Bo ja całkowicie uznaję te liczne i długotrwale próby, jakim poddawano dawne rycerstwo. Uważam za głupiego chłystka i niebywałego impertynenta tego młodego szlachcica, co obraził się na swoją władczynię, że posłała go po rękawiczkę rzuconą między lwy: na pewno umyśliła kryjomo obdarzyć wielbiciela jakimś pięknym kwiatem miłości, a on nim wzgardził, lubo nań zasłużył – bezczelny! Ale ja tu plotę, jakbym nie miała dla Ciebie nadzwyczaj ważnych nowin. Ojciec wybiera się, to już zdecydowane, do Madrytu, gdzie będzie reprezentował króla, a naszego pana; mówię: naszego pana, gdyż i ja będę należeć do ambasady. Matka woli zostać tutaj, więc ojciec zabiera mnie, żeby mieć przy sobie jakąś kobietę.

Moja droga, myślisz, że to niezmiernie proste, a jednak w tej sprawie kryją się potworne rzeczy: w dwa tygodnie przeniknęłam sekrety mojej rodziny. Matka pojechałaby do Madrytu, gdyby ojciec zechciał wziąć pana de Canalis na sekretarza ambasady; król mianuje sekretarzy, ale że jest nader absolutnym władcą, książę nie ośmiela się mu oponować, a jednocześnie nie chciałby rozdrażnić matki; otóż ten wielki polityk sądzi, że usunął trudności zostawiając księżnę w Paryżu. Pan de Canalis, wielki naszych dni poeta, jest młodzieńcem gustującym nade wszystko w towarzystwie mojej matki, więc też, spenetrowałam to, studiuje z nią zapewne dyplomację – od trzeciej do piątej. Dyplomacja musi być piękną rzeczą, skoro ten pan jest obowiązkowy niczym gracz na giełdzie. Książę de Rhétoré, mój starszy brat, uroczysty, zimny i kapryśny, także tutaj zostaje, gdyż ojciec zaćmiłby go w Madrycie. Miss Griffith wie skądinąd, że Alfons kocha się w pewnej tancerce z Opery. Jakże to można zakochać się w nogach i w piruetach? Spostrzegliśmy, że mój brat bywa na przedstawieniach, kiedy tańczy Tullia: oklaskuje pląsy tej kreatury, a potem wychodzi. Zdaje mi się, że dwie panny więcej uczynią w domu spustoszeń niźli morowe powietrze. Mój średni brat służy nadal w swoim pułku, toteż nie widziałam się z nim jeszcze. Oto czemu przypadło mi w losie zostać Antygoną ambasadora Jego Królewskiej Mości. Może znajdę w Hiszpanii męża, a może ojciec umyślił sobie wydać mnie tam za mąż bez posagu, zupełnie tak samo jak Ciebie wydają za tego niedobitka straży honorowej. Ojciec zaproponował mi, żebym mu towarzyszyła, i przysłał do mnie swojego nauczyciela języka hiszpańskiego. „Czy chciałbyś, ojcze – spytałam – namówić mnie na jakiś hiszpański mariaż?”[88]. Nic nie odpowiedział, ale zaszczycił mnie porozumiewawczym spojrzeniem. Lubi od kilku dni droczyć się ze mną przy śniadaniu, chciałby mnie wysondować, a ja się nie daję; zwiodłam go więc okrutnie jako ojca i jako, *in petto,* ambasadora. Czyż nie uważał mnie za gęś? Wypytywał, co myślę o tym i owym młodzieńcu albo o pannach, które poznałam w rozmaitych domach. Odpowiedziałam najgłupszym dyskursem, na jaki mogłam się zdobyć, rozprawiając o kolorze włosów, a także różnicach, którem dostrzegła we wzroście lub fizjonomiach młodych ludzi. Ojciec nie taił rozczarowania: uznał mnie za wyjątkową idiotkę i potępił się w duchu, że zaczął tę rozmowę. „Z tym wszystkim, mój ojcze – przydałam – nie wyjawiłam tego, co naprawdę myślę: matka skarciła mnie dopiero co za nietakt, kiedym napomknęła o swoich wrażeniach”. „W gronie rodzinnym możesz bez obawy rozwodzić się na każdy temat” – odparła matka. „Skoro tak – rzekłam – to powiem, że jak dotąd młodzi ludzie wydali mi się bardziej interesowni niż interesujący, bardziej zajęci sobą niż nami; ale co prawda nieświetnie potrafią to zataić: w jednym momencie z ich

[87] I l m i o c o r s i d i v i d e (wł.) – serce mi się kraje.

[88] H i s z p a ń s k i m a r i a ż – aluzja do zwrotu: les châteaux en Espagne (zamki w Hiszpanii), będącego odpowiednikiem polskich „zamków na lodzie”.

twarzy znika wyraz, jaki przybrali rozmawiając z nami, i wyobrażają sobie zapewne, że nie umiemy patrzeć. Mężczyzna, który z nami rozmawia, jest kochankiem, mężczyzna, co tych rozmów zaprzestaje – mężem. Co się tyczy młodych panien, to są one tak fałszywe, że nie podobna odgadnąć ich charakteru, chyba tylko w momencie, gdy tańczą: bowiem tylko wtedy postawa i ruchy nie kłamią. Najbardziej przeraziła mnie brutalność tego eleganckiego świata. Przy kolacji, na przykład, dzieje się to samo, tylko na mniejszą skalę, co w czasie rozruchów ludowych. Nie inaczej sobie te zaburzenia imaginuję. Za dobrym wychowaniem bardzo niezręcznie maskuje się powszechny egoizm. Nie tak wyobrażałam sobie ten wielki świat. Kobiety nie liczą się tu prawie, może to resztki poglądów Buonapartego". – „Armanda robi zadziwiające postępy" – wtrąciła matka. – „Myślisz, mamo, że zawsze pytać będę, czy pani de Staël już umarła?" Ojciec uśmiechnął się i wstał.

Sobota.

Nie wszystko powiedziałam, moja droga. Oto, com zachowała dla Ciebie. Taka miłość, jaką wyobrażałyśmy sobie, musi ukrywać się głęboko, gdyż nigdzie nie napotkałam jej śladu. Co prawda dostrzegłam w salonach szybko wymieniane spojrzenia; ale jakież one były mdłe! Dla nas miłość była światem cudów, prześlicznych marzeń i uroczej rzeczywistości, rozkoszy i utrapień ze sobą powiązanych, uśmiechów, co rozświetlają naturę, zachwycających słów, szczęścia ustawicznie dawanego i odwzajemnianego, smutków wywołanych rozstaniem i tego wesela, jakim napawa obecność ukochanej istoty!... a tu nic z tego nie znalazłam. Gdzież się rodzą te wspaniałe kwiaty duszy? Kto kłamie? My albo świat. Widziałam już młodych ludzi, setki mężczyzn, ale żaden nie wywarł na mnie najmniejszego wrażenia; choćby okazali mi admirację i poświęcenie, bili się dla mnie, spoglądałabym na to wszystko obojętnym okiem. Miłość, moja droga, należy do tak rzadkich fenomenów, że można przejść przez życie nie spotkawszy nikogo, kto dzięki przywilejom od natury pochodzącym zdołałby nas uszczęśliwić. Drżę na myśl o tym, gdyż co będzie, jeśli za późno spotkam swojego wybrańca?

Od kilku dni zaczynam lękać się naszego przeznaczenia, rozumieć, czemu twarze tylu kobiet są smutne pod warstwą różu, przydającą im powabów kłamanej radości. Przypadek kojarzy związki i do tych właśnie zalicza się Twój mariaż. Huragany myśli przemknęły przez moją duszę. Być kochaną co dzień i w ten sam sposób, a jednak zawsze inaczej, po dziesięciu latach szczęścia być kochaną tak samo jak pierwszego dnia! Taka miłość wymaga wielu lat: trzeba być przez długi czas przedmiotem pożądania, budzić, ale i zaspokajać piekącą ciekawość, podsycać różne afekty i odpowiadać na nie. Miałyżby twory serca swoje prawa, tak jak mają je widzialne twory przyrody? Czy wesołość byłaby tutaj na miejscu? W jakiej proporcji miłość powinna mieszać łzy i radości? Zimne wyrachowanie towarzyszące ponuremu, jednostajnemu i skostniałemu życiu klasztornemu wydawało mi się wtedy czymś realnym; natomiast imaginowałam sobie, że bogactwa, świetność, łzy, rozkosze, święta, radości i uciechy miłości równej, odwzajemnianej i dozwolonej są czymś nierzeczywistym. Nie widzę w Paryżu miejsca na słodycze miłości, na jej uświęcone przechadzki po grabowych alejach, przy pełni księżyca, kiedy w promieniach jej migocze woda, a my opieramy się prośbom. Bogata, piękna i młoda, pragnę tylko miłości, miłość może stać się moim życiem, jedyną troską; otóż mija właśnie trzy miesiące, jak błąkam się, drżąc z niecierpliwej ciekawości, i nie znalazłam nic pośród tych spojrzeń błyszczących, łakomych i bacznych. Żaden głos nie wzruszył serca mojego, żadne spojrzenie nie rozświetliło dla mnie świata. Tylko muzyka syci moją duszę, ona jedna zastępuje mi naszą przyjaźń. Nocą spędzam czasem całą godzinę przy oknie mojego pokoju i patrząc w ogród sięgam pamięcią do rozmaitych zdarzeń: szukam źródła, co dało im początek. Czasami, wyjechawszy powozem, aby zażyć przechadzki, wysiadam na Polach Elizejskich, wystawiając sobie, że mężczyzna, że ten, co zbudzi moją odrętwiałą duszę, zjawi

się, podąży za mną, spojrzy na mnie; lecz owych dni widywałam tylko linoskoczków, kuglarzy, przekupniów zachwalających pierniki, przechodniów biegnących szybko za interesami, zakochani natomiast unikali wszelkich spojrzeń, a ja miałam ochotę ich zatrzymać i spytać: „Wy, którzy jesteście szczęśliwi, powiedzcie mi, czym jest miłość?" Ale stłumiwszy te myśli szalone, wracałam do powozu, obiecując sobie, że zostanę starą panną. Miłość jest na pewno wcieleniem i jakichż trzeba warunków, ażeby ziściło się ono! Nie zawsze jestem pewna swojej wewnętrznej harmonii, cóż więc się stanie, jeśli będziemy we dwoje? Jeden Bóg może rozstrzygnąć ten problem. Gotowam już uwierzyć, że wrócę do klasztoru. Jeśli pozostanę nadal w tym świecie, uczynki moje zaczną graniczyć z niedorzecznością, gdyż nie podobna mi przyjąć tego, co widzę. Wszystko to razi delikatność moich uczuć, obyczaje mojej duszy i moje sekretne myśli. Ach! Moja matka jest najszczęśliwszą kobietą pod słońcem, gdyż ją adoruje ten jej wielki Canalisek. Mój aniele, nawiedza mnie straszliwa chęć, okropna fantazja: dowiedzieć się, co matka robi z tym młodzieńcem. Miss Griffith powiada, że zna dobrze te niepokoje; miała kiedyś ochotę skakać do oczu wszystkim szczęśliwym kobietom, oczerniała je i szkalowała. Według niej cnota zasadza się na pogrzebaniu tych dzikich odruchów w głębi serca. Ale czymże jest owa głąb serca? Składem tego wszystkiego, co w nas jest złe? Czuję się wielce upokorzoną, żem nie znalazła jeszcze adoratora. Jestem panną na wydaniu, ale mam braci, rodzinę, drażliwych krewnych. Ach! Jeśli to decyduje o powściągliwości męskiej, co za wstrętni tchórze ci mężczyźni! Zachwyca mnie w „Cydzie" rola Szimeny, a także Cyda. Prześliczna to sztuka teatralna! A teraz, do widzenia.

VIII

LUDWIKA DO RENATY

Styczeń.

Nauczycielem naszym jest biedny uciekinier, co ukrywać się musi, gdyż był zamieszany w rewolucję, którą książę d'Angoulême właśnie stłumił; urządzono z okazji tego zwycięstwa piękne zabawy i bale. Zaciekawił mnie ten człowiek, lubo to liberał i z pewnością mieszczanin: uroiłam sobie, że był skazany na śmierć. Brałam go na spytki, żeby zdradził mi swoją tajemnicę, ale jest małomówny jak Kastylijczyk i dumny niczym Gonzalvo z Kordoby[89], a z tym wszystkim cechuje owego Hiszpana jakaś anielska słodycz i cierpliwość; jego duma nie jest na pokaz, jak u miss Griffith, ale głęboko ukryta; wymaga tylko tego, co mu się należy, skoro poświęca nam swój czas, i odsuwa nas od siebie chłodnym respektem. Ojciec utrzymuje, że nasz poczciwy Henarez ma w sobie niemało z wielkiego pana, i mieni go dla żartu, kiedy jesteśmy sami, don Henarezem. Gdym pozwoliła sobie przed kilku dniami nazwać go w ten sposób, ów człowiek podniósł na mnie oczy, lubo ma je zawsze spuszczone, i cisnął mi dwie błyskawice, od których zamarłam; moja droga, on ma naprawdę przecudowne oczy. Spytałam, czym go aby nie dotknęła, on zaś odpowiedział mi w swoim wzniosłym i dostojnym hiszpańskim języku: „Pani, bywam tu jedynie w tym celu, żeby cię uczyć hiszpańskiego". Upokorzyły mnie te słowa, zaczerwieniłam się; miałam już odpalić jakąś dobrą imperty-

[89] Gonzalvo z Kordoby (Gonzalo Fernandez de Cordova, (1453–1515) – słynny rycerz i wódz hiszpański, wsławiony w walkach przeciw Maurom, Francuzom i Turkom.

nencją, ale pomna wskazań naszej dobrej mateczki w klasztorze, odparłam: „Jeśli masz mi pan cokolwiek do zarzucenia, powiedz, a będę ci wielce zobowiązaną".

Zadrżał, krew ubarwiła jego oliwkowe policzki i odpowiedział mi głosem, w którym brzmiało łagodne wzruszenie: „Religia wpoiła w panią lepiej, niż ja bym to uczynić potrafił, zasadę, że wielkie nieszczęścia szanować trzeba. Gdybym w Hiszpanii był «donem» i stracił wszystko na skutek triumfu Ferdynanda VII, pani żart zakrawałby na okrucieństwo; ale że jestem tylko biednym nauczycielem języków, to chciałaś pani zakpić boleśnie i nic więcej, prawda? Ani jedno, ani drugie nie godzi się młodej szlachciance".

Wzięłam go za rękę, mówiąc: „I ja powołam się na autorytet religii, prosząc, abyś mi pan zapomniał tę przewinę". Spuścił głowę, otwarł mojego „Don Kichota" i usiadł. To błahe zajście bardziej mnie pomieszało niźli wszystkie komplementy, spojrzenia i słowa, jakiem zebrała na wieczornym przyjęciu, gdzie byłam głównym obiektem pochlebstw. W czasie lekcji patrzyłam uważnie na tego człowieka, który poddawał się bezwiednie obserwacji: nigdy nie podnosi na mnie oczu. Odkryłam, że nauczyciel, któremu dawaliśmy lat czterdzieści, jest jeszcze młody; może mieć najwyżej dwadzieścia sześć do dwudziestu ośmiu lat. Moja ochmistrzyni, której pozwoliłam brać lekcje u niego, zwróciła moją uwagę na piękność jego zębów i czarnych włosów; zęby są jak perły. Jego oczy to aksamit i płomienie. Ot i wszystko, bo zresztą jest niski i brzydki. Odmalowano nam Hiszpanów jako ludzi niezbyt schludnych; ależ on dba o siebie jak mało kto, jego ręce są bielsze niźli twarz; jest cokolwiek przygarbiony; głowę ma olbrzymią i dziwacznego kształtu; jego brzydotę, wcale skądinąd interesującą, podkreślają dzioby po ospie, wyglądające jak blizny; czoło ma bardzo wysokie i wypukłe, a brwi, nazbyt gęste i zrośnięte, czynią jego oblicze nieprzystępnym i odpychającym. Z całej jego postaci przebija zgorzknienie, widać musiał być w dzieciństwie bardzo chorowity, a uchował się tylko dzięki nadzwyczaj troskliwej opiece, tak jak na przykład siostra Marta. Ojciec powiedział, że twarz owego Hiszpana to pomniejszona maska kardynała Ximenesa[90]. Ojciec nie darzy go sympatią, czuje się przy nim skrępowany. Maniery naszego nauczyciela są pełne niewymuszonej godności, która, jak się zdaje, irytuje drogiego księcia; nie może ścierpieć przy sobie wyższości, jakąkolwiek by ona formę przybrała. Jak tylko ojciec nauczy się po hiszpańsku, wyjedziemy do Madrytu. Kiedy Henarez powrócił w dwa dni po lekcji, którą otrzymałam, rzekłam do niego, chcąc okazać coś w rodzaju wdzięczności: „Nie wątpię, że to wypadki polityczne kazały panu opuścić Hiszpanię; o ile wyślą tam ojca mojego, a tak wszyscy mówią, będziemy w stanie wyświadczyć panu jakąś przysługę, a nawet postarać się o ułaskawienie, jeśli wyrok nie zaciążył na pańskiej głowie". „Nie jest w niczyjej mocy uczynić mnie swoim dłużnikiem" – odparł mi na to. „Nie rozumiem – rzekłam. – Czy dlatego, że nie chcesz pan przyjąć żadnej pomocy, czy też jest ona w ogóle niemożliwa?" „I jedno, i drugie" – odparł kłaniając się i z akcentem, który nakazywał milczenie. Krew ojca zawrzała mi w żyłach. Oburzona taką wyniosłością, nie ozwałam się więcej do imci Henareza. A jednak, moja droga, jest coś pięknego w tym, że się nikogo o nic nie prosi. Odrzuciłby nawet przyjaźń naszą, pomyślałam odmieniając czasownik. I przerwawszy odmianę, wyjawiłam mu tę pochlaniającą mnie myśl, ale po hiszpańsku. Henarez oświadczył mi nader uprzejmie, że w uczuciach należy przestrzegać równości, na którą tu miejsca nie ma, a więc i całe to pytanie jest zbyteczne. „Czy rozumiesz pan przez to równość dotyczącą odwzajemnianych afektów, czy też różnice z kondycji wynikłe?" – spytałam próbując rozproszyć tę jego powagę, która mnie tak niecierpliwi. Znowu podniósł na mnie straszliwe oczy swoje, a jam oczy spuściła. Droga, ten człowiek jest zagadką, której rozwiązać nie podobna. Zdawał się pytać, czy moje słowa są wyznaniem: było w jego wzroku szczęście, duma i dręczący niepokój, niepewnością wywołany. Serce mi się ścisnęło. Pojęłam, że kokieteria, oceniana we Francji wedle wartości

[90] K a r d y n a ł X i m e n e s (1436–1517) – arcybiskup Toledo i wielki inkwizytor, znany z okrucieństwa.

swojej, inne, niebezpieczne znaczenie ma dla Hiszpana, toteż zmieszawszy się nieco, do swojej wróciłam skorupki. Zakończywszy lekcję, skłonił mi się rzucając spojrzenie pełne pokornej prośby, które mówiło: Nie igraj, pani, z nieszczęśliwym. Stanowiło to tak niespodziany kontrast z jego poważnym i godnym sposobem bycia, że przejęło mnie do żywego. Dreszcz mną wstrząsa, kiedy myślę o tym i mówię. Wydaje mi się, że w tym człowieku są skarby uczucia.

IX
PANI DE L' ESTORADE DO PANNY DE CHAULIEU

Grudzień.

Zapadła klamka, moje drogie dziecię, pisze do Ciebie pani de 1'Estorade; ale nic się między nami nie zmieniło, jest tylko o jedną dziewczynę mniej. Bądź spokojna, namyśliłam się dobrze i nie dałam zgody bez zastanowienia. Mojego życia nic już nie odmieni. Pewność, że idę teraz wytkniętą drogą, odpowiada zarówno mojej duszy, jak i charakterowi. Wielka siła moralna uporządkowała raz na zawsze to, co nazywamy przypadkami życia. Mamy ziemię, której wartość podniesiemy, siedzibę, co upiększenia i przyozdobienia wymaga; muszę zająć się gospodarstwem domowym, uczynić miłym nasze mieszkanie i muszę pojednać mojego męża z życiem. Będę musiała zapewne dbać o całą rodzinę i wychowywać dzieci. Cóż chcesz! Życie codzienne nie powinno być czymś wielkim i nadzwyczajnym. Oczywista, wspaniałe dążenia, co duszę i myśl rozwijają, nie wchodzą tu w rachubę, przynajmniej z pozoru. Bo któż mi zabroni żeglować po morzu nieskończoności łodzią, którą spuściłyśmy obie? Z tym wszystkim nie sądzę, aby skromne bytowanie, któremu się poświęciłam, było wolne od namiętności. Postawiłam sobie za cel, aby biedny człowiek, co był igraszką nawałności, uwierzył w szczęście, a to przecież piękne dzieło, mogące samo przez się urozmaicić monotonię mojej egzystencji. Nie wiedziałam z początku, czy jego ból ukoję, ale wiedziałam, że mam wiele dobrego do zrobienia. Mówiąc między nami, nie kocham Ludwika de 1'Estorade ową miłością, co sprawia, że serce trzepocze nam w piersi, gdy usłyszymy kroki lubego, miłością, która porusza kobietę do głębi za lada modulacją jego głosu albo dzięki ogarniającemu ją płomiennemu spojrzeniu; ale nie mogę też powiedzieć, żeby mi się nie podobał. Co pocznę, spytasz, z owym instynktem wiodącym ku wzniosłości, z owymi silnymi dążeniami, co łączą nas i w nas istnieją? Rozważyłam to i posłuchaj, do czegom doszła: czyż to nie wspaniała rzecz ukryć je, posługiwać się nimi bez wiedzy innych, dla uszczęśliwienia rodziny, przekształcić je w coś, co obróci się na dobro najbliższych, których nam powierzono? Mamy wobec nich obowiązki. Okres czasu, kiedy błyszczą owe talenta, niedługo trwa u kobiet i wprędce minie; i jeśli moje życie nie będzie świetne, będzie spokojne, równe i bez niespodzianek. Rodzimy się uprzywilejowane, gdyż między miłością a macierzyństwem wybierać możemy. A no cóż, wybrałam: uczynię moje dzieci bogami swoimi, a ten kąt zapadły w moje zamienię Eldorado. Oto wszystko, co dzisiaj mogę Ci powiedzieć. Dziękuję za przesyłkę. Rzuć okiem na to, co zamówiłam; dołączam listę sprawunków. Chcę żyć w atmosferze wykwintu i zbytku, wydobyć z prowincji tylko to, co ona rozkosznego daje. Mieszkając na pustkowiu, kobieta nigdy nie stanie się parafianką, gdyż pozostaje sobą.

Licząc bardzo na Twoją uczynność, spodziewam się, że będziesz mi opisywać wszystko, co modne. Mój teść jest tak wielce mną rozentuzjazmowany, że nie odmawia mi niczego i cały dom do góry nogami przewrócił. Sprowadzamy rzemieślników z Paryża i przerabiamy wszystko na teraźniejszą modłę.

X

PANNA DE CHAULIEU DO PANI DE L'ESTORADE

Styczeń.

O Renato! Zasmuciłaś mnie na wiele dni. To cudowne ciało, to piękne i dumne oblicze, te niewymuszone, a jakże wykwintne maniery, ta dusza pełna cennych zalet, te oczy, gdzie duch syci pragnienie niby u żywego źródła miłości, to serce najśliczniejszą subtelnością przepojone, ten umysł szeroki, wszystkie te rzadkie przymioty, te wysiłki natury i naszej wzajemnej edukacji, ten skarbiec ukrywający jedyne w swoim rodzaju bogactwa przeznaczone dla namiętności i pożądania, co taił w sobie poematy, godziny warte lat całych i takie rozkosze, że jedno wdzięczne skinienie Twoje uczyniłoby mężczyznę niewolnikiem – wszystko to pochłonie nuda wulgarnego i zwyczajnego małżeństwa, wszystko to wsiąknie w pustkę życia, które stanie się dla Ciebie obmierzłym! Nienawidzę z góry Twojego przyszłego potomstwa; będzie nieudane. Wszystko w Twoim życiu da się przewidzieć: nie masz przed sobą ani nadziei, ani lęku, ani cierpienia. A co będzie, jeśli jakiegoś cudownego dnia spotkasz tego, kto zbudzi Cię ze snu, w który dobrowolnie zapadasz?... Ach! Zimno mi się robi na samą myśl taką! Nie zapominaj tylko, że masz przyjaciółkę. Staniesz się z pewnością duchem tej doliny, wtajemniczysz się w jej piękno, będziesz współżyć z tą przyrodą, przepoisz się ogromem rzeczy, powolnym wzrastaniem roślin i będzie w Tobie owa bystrość, z jaką myśl wylata; a kiedy spojrzysz na swoje roześmiane kwiaty, poczniesz medytować nad sobą. Potem w czasie spaceru, gdy małżonek Twój będzie kroczył na przedzie, milczący i kontent, Ty za nim, a za wami wasze dzieci, piszczące, szeptające, rozdokazywane, wiem z góry, co do mnie napiszesz. Twoja mglista dolina i jej pagórki umajone pięknymi drzewami lub łyse. Twoje łąki, jakże w Prowansji ciekawe, jej przezrocze wody dzielące się w mnóstwo potoków, najróżniejsze barwy świata, cała ta otaczająca Cię nieskończoność, które; Bóg rozmaite kształty nadaje, przypomni Ci o monotonnej nieskończoności Twojego serca. Ale pamiętaj, Renato, że zawsze będę z Tobą; zawsze znajdziesz przyjaciółkę, której serca nie skazi żadna światowa małość, serca Tobie bez reszty oddanego.

Poniedziałek.

Moja droga, mój Hiszpan jest pełen urzekającej melancholii: istnieje w nim jakiś spokój, surowość i godność, głębia, co mnie w najwyższym stopniu interesuje. Ta niezmienna, uroczysta powaga i milczenie, którymi ten człowiek odgradza się od świata, mają w sobie coś wyzywającego. Jest milczący i pyszny, niby upadły monarcha. Głowimy się nad jego charakterem, Griffith i ja, niczym nad zagadką. Osobliwa historia! Nauczyciel języków pochłonął moją uwagę, święci nad nią triumfy, jakich nie odniósł żaden mężczyzna, a przecież zdążyłam już obejrzeć dokładnie wszystkich młodych dyplomatów tudzież ambasadorów, generałów i podporuczników, parów Francji, ich synów oraz synowców, młodzieńców z dobrych rodzin, dwór królewski i stolicę. Irytuje mnie chłód tego człowieka. Najbardziej uparta pycha zalega pustynię, którą nie bez powodzenia usiłuje oddzielić się ode mnie; nie dość na tym: spowija się tajemniczością. To on biernie kokietuje, a ja jestem zaczepną stroną. Taka prze-

dziwna sytuacja tym bardziej mnie bawi, że nic z niej wyniknąć nie może. Bo czymże jest mężczyzna, a zwłaszcza Hiszpan, i to jakiś nauczyciel języków? Nie czuję najmniejszego respektu przed mężczyzną, choćby sobie był i królem! Według mnie jesteśmy więcej warte od wszystkich mężczyzn na świecie, nawet od tych, co zasłużoną cieszą się sławą. No, ależ ja bym wytresowała Napoleona! Dałabym ja mu odczuć, gdyby zakochał się we mnie, że jest na mojej łasce!

Wczoraj wysłałam złośliwą strzałę, która musiała mojemu bakałarzowi dopiec do żywego, nic bowiem nie odrzekł, a zakończywszy lekcję wziął kapelusz i skłonił się obrzucając mnie takim spojrzeniem, iż sądzę, że więcej nie wróci. Ogromnie mi to konweniuje: przeczytawszy niedawno „Nową Heloizę" Jana Jakuba Rousseau, znienawidziłam miłość, toteż we wznawianiu intrygi, o której opowiada ta książka, byłoby coś złowieszczego. Miłość pełna dyskursów frazesów wydaje mi się nieznośna. Klaryssa[91] jest również nazbyt kontenta, gdy pisze swój przydługi liścik; ale za to mój ojciec utrzymuje, że dzięki powieści Richardsona możemy wybornie zrozumieć Angielki. Książka pana Rousseau zrobiła na mnie wrażenie kazania filozoficznego, ujętego w literacką formę.

Miłość jest, jak mi się zdaje, całkowicie osobistym poematem. W tym, co piszą nam o niej autorowie, wszystko jest prawdziwe, a zarazem błędne. Co prawda, moja droga pięknotko, możesz już mówić tylko o miłości małżeńskiej, z uwagi więc na dobro naszych dwóch nierozdzielnych egzystencji muszę koniecznie pozostać panną i zapłonąć jakąś piękną namiętnością, dzięki której lepiej poznamy życie. Opowiedz mi bardzo dokładnie wszystko, co Ci się przydarzy, zwłaszcza w ciągu pierwszych dni spędzonych z tym zwierzęciem, którego mężem nazywam. Obiecuję Ci taką samą skrupulatność, jeśli kiedykolwiek będę pokochana.

Żegnaj, biedna ofiaro smoczej żarłoczności!

XI

PANI DE L'ESTORADE DO PANNY DE CHAULIEU

La Crampade.

Drżę, moja droga pieszczotko, na myśl o Twoim Hiszpanie i o Tobie. Piszę tylko parę słów, błagając, żebyś go odprawiła. To, czegom się od Ciebie o nim dowiedziała, wskazuje na najzdradliwszy charakter, właściwy tym ludziom, co nie mając nic do stracenia, stawiają wszystko na jedną kartę. Ten człowiek nie powinien zostać Twoim kochankiem i nie może być Twoim mężem. Opiszę Ci później szczegółowo sekretne przypadki mojego mariażu, ale uczynię to, kiedy ścichnie w sercu niepokój, jakim je przejął Twój ostatni list.

[91] K l a r y s s a – bohaterka bardzo popularnej w czasach Balzaka powieści Samuela Richardsona pod tytułem „Klarysa Harlowe".

XII

PANNA DE CHAULIEU DO PANI DE L'ESTORADE

Luty.

Moja piękna sarenko, dziś o dziewiątej z rana ojciec uprzedził mnie o swojej, i to jak najrychlejszej, wizycie; co prędzej dokończyłam więc toalety; ojciec czekał w moim salonie: siedział z powagą przy kominku, nad podziw zamyślony; wskazał mi berżerę naprzeciw, a kiedym, zrozumiawszy, zagłębiła się w niej, małpując wybornie jego uroczystą minę, uśmiechnął się, lecz był to uśmiech pełen smutnej powagi: „Jesteś, moja panno, co najmniej tak dowcipna, jak twoja babka" – rzekł do mnie. – „Nie baw się, mój ojcze, w komplementy – odparłam – chcesz mnie zapewne o coś prosić!" Zerwał się wielką opanowany alteracją i prawił przez pół godziny. Warto uwiecznić tę rozmowę, moje złotko. Kiedy odszedł, siadłam do stołu, starając się oddać, com usłyszała. Pierwszy raz w życiu byłam świadkiem, jak ojciec rozwinął swoją myśl do końca. Rozpoczął od pochlebstw i wcale nieźle zabrał się do rzeczy; winnam mu wdzięczność, że przeniknął mnie i ocenił.

„Przedziwnie zwiodłaś mnie, Armando – powiedział – i mile zaskoczyłaś. Kiedy wróciłaś z klasztoru, miałem cię za taką dziewczynę jak inne, cokolwiek ograniczoną i nic nie wiedzącą o świecie, trochę bezmyślną, taką, którą za wstążki i stroje tanio kupić można". „Dziękuję, ojcze, w imieniu młodych panien". „Och! Nie ma już dziś młodych panien – rzekł czyniąc mimo woli gest męża stanu. – Odznaczasz się umysłem niewiarygodnie szerokim, oceniasz każdą rzecz wedle istotnej wartości, trudno o większą bystrość; masz dar złośliwego podpatrywania: można by pomyśleć, żeś nic nie dostrzegła, a tymczasem twoje oko sięgnęło już do skutków i przyczyn, nad którymi inni debatują jeszcze. Jesteś ministrem w spódnicy; ty jedna zdołasz mnie tutaj zrozumieć; ciebie jedną można by skłonić do działania wbrew interesom własnym, gdyby zaszła potrzeba takiej ofiary. Toteż wyjawię ci otwarcie powzięte przeze mnie zamysły, od których nie odstąpię. Pragnąc, abyś je uczyniła swoimi, wykażę, z jak wzniosłych zrodziły się pobudek. Muszę więc wprowadzić cię w pewne rozważania polityczne o najwyższym dla państwa znaczeniu, które to rozważania znudziłyby każdą inną osobę, ale nie ciebie. Wysłuchawszy mnie, będziesz mogła namyślać się długo, jeśli zechcesz, dam ci nawet pół roku. Jesteś absolutną panią swoich uczynków; jeśli nie zdecydujesz się na poświęcenie, o które proszę, nie będę miał do ciebie pretensji i więcej na ów temat nudzić cię nie będę."

Moja sarenko, spoważniałam naprawdę po tej ekspozycji i rzekłam: „Mówże, drogi ojcze". A oto dyskurs owego męża stanu: „Moje dziecię, Francja jest w niepewnej sytuacji, o czym wiadomo tylko królowi i kilku wyższym umysłom; ale król jest głową bez ramion; prócz tego znakomici mężowie, wtajemniczeni w grożące niebezpieczeństwo, nie mają żadnej władzy nad ludźmi, którzy pod ich kierunkiem do szczęsnego mogliby doprowadzić rozwiązania. Ci ludzie, zwymiotowani przez wybory ludowe, nie chcą być narzędziem. I lubo znajdzie się między nimi wiele wybitnych jednostek, prowadzą dalej dzieło zniszczenia społecznego, zamiast pomagać nam przy naprawie gmachu. Krótko mówiąc, istnieją obecnie tylko dwie partie: partia Mariusza i partia Sulli; jestem za Sullą przeciw Mariuszowi. Oto jak się to z grubsza przedstawia. Rozważmy rzecz dokładnie: Rewolucja trwa, zapuściła korzenie w prawa, jest wypisana na ziemi, wyryta w duszach; i tym to potworniejsze, że większości doradców

tronu, co nie dostrzegają ani jej zasobów, ani jej żołnierzy, wydaje się, iż nad rewolucją odniesiono zwycięstwo. Król, będący wielkim umysłem, widzi jasno całą sprawę; ale z każdym dniem bardziej przez ludzi swojego brata omotywany, ludzi, którzy nazbyt szybko chcą zmierzać do celu, ściele sobie wygodne łóżko, aby umrzeć spokojnie, gdyż temu schorowanemu człowiekowi pozostaje najwyżej dwa lata życia. A wiesz ty, moje dziecię, jakie są najbardziej opłakane skutki rewolucji? Nigdy byś się nie domyśliła. Ścinając głowę Ludwikowi XVI, rewolucja posłała na szafot wszystkich ojców rodziny. Nie masz już rodziny, są tylko jednostki. Pragnąc zostać narodem, Francuzi zrezygnowali z imperium. Ogłosiwszy równość praw dziedziczenia po ojcu, zabili ducha rodziny i stworzyli administrację skarbową! Nie koniec na tym: osłabili najwyższe warstwy, a dali ślepą moc masie, zniszczyli sztuki piękne, wprowadzili na tron prywatę i otwarli drogę najeźdźcy. Mamy do wyboru dwa systemy: oprzeć państwo na rodzinie albo na prywacie, na demokracji albo na arystokracji, na dysputach albo na posłuszeństwie, na katolicyzmie albo na obojętności religijnej – oto ów problem w kilku ujęty słowach. Należę do garstki osób, które chcą stawić opór temu, co zwie się ludem, i uczynić to w słusznie pojętym interesie owego ludu. Nie chodzi już o prawa feudalne, jak się powiada różnym osłom, ani o stan szlachecki; idzie o państwo, idzie o życie Francji. Niepewne są losy kraju, gdzie podstawą rządów nie jest władza ojcowska. Od niej bowiem zaczynają się szczeble odpowiedzialności i subordynacja wznosząca się aż do króla. Król to my wszyscy! Umrzeć dla króla, to umrzeć dla siebie, dla rodziny, która nie zemrze, jeśli nie zemrze królestwo. Każde zwierzę ma swój instynkt, a instynktem człowieka jest duch rodziny. Państwo jest silne, jeżeli składa się z bogatych rodzin, których członkowie są co do jednego zainteresowani w obronie wspólnego skarbca; a skarbiec ten zawiera pieniądze, sławę, przywileje i własność prywatną; państwo jest słabe, jeżeli składa się z niesolidarnych jednostek, którym wszystko jedno, czy rządzi nimi siedmiu ludzi, czy jeden człowiek, Rosjanin czy Korsykańczyk, byle tylko każda jednostka zachowała swoje pole; i ten nieszczęsny egoista nie rozumie, że zabiorą mu je pewnego dnia. W razie porażki zapanuje wkrótce okropny stan rzeczy. Będą istniały tylko prawa karne albo skarbowe, pieniądze albo życie. Najszlachetniejszy kraj pod słońcem przestanie kierować się uczuciami. Otworzą się w nim i rozjątrzą nieuleczalne rany. Zjawi się przede wszystkim powszechna zazdrość: podupadną wyższe klasy społeczne, równość pożądań będzie utożsamiana z równością sił; fale mieszczaństwa wedrą się na uznane i rzeczywiste szczyty. Można by wybrać człowieka spośród tysięcy, ale nic nie znajdziesz wśród trzech milionów podobnych ambicji, odzianych w tę samą liberię, liberię miernoty. Ta triumfująca masa nie spostrzeże się, jak stanie przeciw niej inna masa straszliwa, masa bogatych chłopów: dwadzieścia milionów żywych mórg ziemi, kroczących, mędrkujących, nic nie rozumiejących, nienasyconych w swojej chciwości, stających wszędzie barykadą, panów brutalnej siły!..."

„Ale cóż ja mogę zrobić dla państwa? – przerwałam ojcu. – Nie czuję w sobie najlżejszej skłonności, żeby zostawszy Joanną d'Arc rodziny, piec się na wolnym ogniu klasztornego stosu". „Dobre z ciebie ziółko – odparł ojciec. – Podaję ci mądre argumenty, a ty mi odpowiadasz facecjami, a kiedy żartuję, przemawiasz do mnie niczym ambasador". „Miłość z kontrastów żyje" – odrzekłam mu na to. Uśmiał się do łez. „Pomyśl nad tym, com ci wyłożył, uważ, ile jest zaufania i wielkości w tym, żem się na te wynurzenia zdecydował, a może wypadki dopomogą moim projektom. Wiem, że jeśli idzie o twoją osobę, zamysły te są krzywdzące, niesprawiedliwe; dlatego, aby uzyskać zgodę, przemawiałem bardziej do twojego rozumu niźli do imaginacji i serca, gdyż dostrzegłem w tobie więcej rozsądku i trzeźwości niż w kimkolwiek innym..." „Pochlebiasz mi, ojcze – rzekłam z uśmiechem – jestem tylko twoją nieodrodną córką!" „Jakoż – podjął – nie potrafię być niekonsekwentnym. Cel uświęca środki, a myśmy winni świecić przykładem. Otóż nie powinnaś mieć fortuny, póki nie zapewni się jej twojemu średniemu bratu, a ja za cały twój kapitał chcę stworzyć majorat dla niego". „Ale – wtrąciłam – nie zabronisz mi, ojcze, żyć wedle własnego upodobania i być szczęśliwą, jeśli

odstąpię ci cały swój majątek?" „Oczywiście! Byleby tylko owo życie, tak jak je pojmujesz, nie nadwerężyło w niczym honoru, dobrej opinii i, powiedzieć to mogę, sławy naszej familii." „Ho! ho! – zawołałam. – Łatwoś mnie, ojcze, owego wyższego rozumu pozbawił!" „Nie znajdziemy we Francji – oznajmił z goryczą – człowieka, który zechce wziąć bez posagu pannę nawet i z najwyższej pochodzącą szlachty i wywianować ją przyzwoicie. Gdyby taki małżonek się trafił, należałby do warstwy mieszczańskich parweniuszów, a ja w tym względzie jedenastowieczne poglądy wyznaję." „I ja też – odparłam. – Ale czemuż mam tracić nadzieję? Czyż nie ma sędziwych parów Francji?" „Ogromne zrobiłaś postępy, Ludwisiu!" – wykrzyknął. A potem rozstał się ze mną, uśmiechnięty i całując mnie w rękę.

Tegoż ranka otrzymałam Twój list, a przeczytawszy go zadumałam się ni mniej, ni więcej tylko nad ową przepaścią, do której, jak mniemasz, mogłabym runąć. Wydało mi się, że jakiś głos wołał we mnie: wpadniesz do otchłani! Przedsięwzięłam więc środki ostrożności. Henarez ośmiela się spoglądać na mnie, moja droga, a jego oczy przyprawiają mnie o konfuzję, wzbudzają we mnie uczucie, które jedynie z głęboką grozą porównać mogę. Nie można patrzeć na tego człowieka, podobnie jak nie można patrzeć na ropuchę: jest brzydki, a zarazem fascynujący. Od dwóch dni zastanawiam się, czy oświadczyć wyraźnie ojcu, że nie chcę się więcej uczyć hiszpańskiego, a tym samym spowodować dymisję imci Henareza, lecz ile razy zapadnie we mnie to mocne postanowienie, odczuwam potrzebę straszliwej emocji, jaką napawa mnie widok tego człowieka, i powiadam sobie: jeszcze dziś, a jutro pomówię z księciem. Moja droga, w jego głosie jest jakaś przenikająca słodycz, mówi tak, jak panna Fodor[92] śpiewa. Jego maniery są proste, nie ma w nich żadnej afektacji. I co za piękne zęby! Przed chwilą, kiedy wychodził ode mnie, dostrzegł widać, jak bardzo mnie interesuje, toteż wykonał ruch, nie uchybiający zresztą w niczym należnemu mi respektowi, aby pocałować mnie w rękę; ale cofnął się, jakby przerażony i swoim zuchwalstwem, i tym, że o mało nie przekroczył dzielącej nas bariery. Prawie tego po sobie nie pokazał, lecz ja wszystko odgadłam; uśmiechnęłam się, gdyż nic rozkoszniejszym nie napawa mnie dreszczem niż poryw niższej natury, poryw, co nagle tłumi się w sobie. Ileż jest śmiałości w uczuciu mieszczanina do młodej szlachcianki! Mój uśmiech dodał mu otuchy, biedaczysko szukał swojego kapelusza, lecz nie widział go, bowiem nie kwapił się znaleźć: podałam mu więc z powagą ów kapelusz. Tłumione łzy błysły mu w oczach. Tę jakże krótką chwilę wypełniło mnóstwo myśli i spraw. Zrozumieliśmy się tak wybornie, że w tym akurat momencie dałam mu rękę do pocałowania. Czy aby nie objawiłam mu tym samym, że miłość może wypełnić dzielącą nas przepaść? Właściwie to nie wiem, co mnie skłoniło do tego odruchu: Griffith odwróciła się plecami, a ja dumnie wyciągnęłam do niego moją białą łapkę i uczułam ogień warg, ochłodzony dwiema ciężkimi łzami. Ach, mój aniele, opadłam bez sił na fotel, zadumałam się, jestem szczęśliwa, ale w żaden sposób rodzaju i przyczyny tego szczęścia wytłumaczyć sobie nie umiem. To, com odczuła, jest poezją. Mój upadek, którego teraz się wstydzę, wydał mi się wielkością: ten Hiszpan urzekł mnie, i to jedyne moje usprawiedliwienie.

Piątek.

Ten człowiek jest naprawdę bardzo piękny. Wysławia się elegancko, a umysł jego ze wszech miar zasługuje na uwagę. Moja droga, pan Henarez rozumuje z żelazną logiką Bossueta nie tylko w tym wypadku, gdy wyjaśnia mechanizm języka hiszpańskiego, lecz i wtedy, gdy rozwodzi się nad systematem myśli ludzkiej i wszystkich języków. Francuszczyzna wydaje się być jego ojczystą mową. Kiedy z tej racji wyraziłam zdziwienie, oświadczył mi, że

[92] Joséphine F o d o r – M a i n v i e l l e (ur. 1793) – znakomita śpiewaczka, Włoszka z pochodzenia.

dzieckiem jeszcze był we Francji, w Valençay, razem ze świtą króla Hiszpanów. Ale co zaszło w tej duszy? To nie ten sam człowiek; zjawił się ubrany z prostotą, lecz wyglądał ni mniej ni więcej tylko jak wielki pan, rano pieszo zażywający spaceru. W czasie lekcji dowcip jego błyszczał niczym latarnia: rozwinął całą swoją elokwencję. Przypominał rekonwalescenta, któremu wracają siły, i odsłonił przede mną całą duszę, do tej pory troskliwie utajoną. Opowiedział mi historię jakiegoś nieboraka, lokaja, co poniósł dobrowolnie śmierć dla jednego spojrzenia hiszpańskiej królowej. „Nic mu innego nie pozostało!" – rzekłam. Odpowiedź ta uradowała serce Hiszpana, a jego spojrzenie przeraziło mnie naprawdę.

Wieczorem pojechałam na bal do księżnej de Lenoncourt, gdzie był książę de Talleyrand. Pan de Vandenesse, uroczy młody człowiek, spytał księcia na moje polecenie, czy wśród gości bawiących w 1809 roku na jego ziemiach nie było niejakiego Henareza. „Henarez jest mauretańskim nazwiskiem familii Soriów, którzy, jak powiadają, są Abenceragami nawróconymi na chrześcijaństwo. Stary książę i jego dwaj synowie towarzyszyli królowi. Starszego z nich, obecnego księcia de Sorię, król Ferdynand, mszcząc się za nieprzyjaźń, której z dawna od tej zaznawał familii, pozbawił właśnie całego majątku, wszystkich godności oraz tytułu granda. Książę popełnił błąd nie do darowania, uznając gabinet konstytucyjny tudzież Valdesa. Na szczęście zbiegi do Kadyksu, zanim wkroczył Jego Wysokość książę d'Angoulême, który mimo najlepszej woli nie ocaliłby go przed królewskim gniewem".

Zamyśliłam się głęboko nad tą odpowiedzią, którą wicehrabia de Vandenesse powtórzył mi słowo w słowo. Trudno mi wyrazić, jak okropny targał mną niepokój aż do lekcji, która odbyła się dziś rano. Przez pierwszy kwadrans rzeczonej lekcji medytowałam, wpatrując się w niego, czy jest księciem, czy mieszczaninem, nie mogąc nic zrozumieć. A on zdawał się odgadywać moje myśli, w miarę jak powstawały, i z upodobaniem mieszał mi szyki. Wreszcie nie wytrzymałam: odepchnęłam gwałtownie książkę i przerywając tłumaczenie, robione na głos, ozwałam się po hiszpańsku: „Zwiodłeś nas pan. Nie jesteś ubogim mieszczaninem liberalnych poglądów, ale księciem de Soria, nieprawdaż?" „Pani – odparł smutno, załamując ręce – na nieszczęście nie jestem księciem de Soria". Pojęłam, jaką rozpacz zamknął w tym słowie „na nieszczęście". O, moja droga, na pewno żaden człowiek nie potrafiłby ująć w jednym słowie takiej namiętności i tylu spraw. Spuścił oczy i nie miał odwagi patrzyć na mnie. „Pan de Talleyrand – rzekłam – u którego spędziłeś pan lata wygnania, oświadczył, że Henarez może być tylko albo księciem, albo lokajem: innego wyboru nie ma". Podniósł na mnie wzrok, ukazując dwa czarne, a zarazem iskrzące ogniska, oczy płomienne i pełne pokory. Wydało mi się wtedy, że ten człowiek jest na torturach. „Mój ojciec – oznajmił – był rzeczywiście sługą króla hiszpańskiego". Griffith widziała po raz pierwszy tego rodzaju lekcję. Między każdym pytaniem a odpowiedzią zapadała niepokojąca cisza. „No więc – spytałam – jesteś pan szlachcicem czy mieszczaninem?" „Jak pani wiadomo, w Hiszpanii wszyscy, nawet żebracy, do szlachty należą". Zniecierpliwiły mnie te wykręty. Obiecywałam sobie po tej lekcji jedną z tych rozrywek, do których uśmiecha się wyobraźnia. Nakreśliłam w liście idealny wizerunek mężczyzny, od którego pragnęłabym być kochaną, i zamierzałam dać Henarezowi to pismo do przetłumaczenia. Do tej pory tłumaczyłam z hiszpańskiego na francuski, a nie z francuskiego na hiszpański; wspomniałam o tym Henarezowi i poprosiłam miss Griffith, żeby znalazła ostatni list, com od jednej z przyjaciółek otrzymała. „Przekonam się – pomyślałam – jakie wrażenie zrobi na nim mój program, jaka to krew płynie w jego żyłach." Wzięłam papier z rąk Angielki, mówiąc: „Zobaczymy, czy dobrze skopiowałam", gdyż było to moje pismo. Podałam mu papier, a jeśli wolisz – zastawiłam sidła i patrzyłam na niego badawczo, kiedy pogrążył się w takiej oto lekturze:

Moja droga, mój wybraniec musi być nieprzystępny i dumny wobec mężczyzn, ale łagodny dla kobiet. Jego orle spojrzenie zniweczy natychmiast to wszystko, co by śmiesznością zatrącać mogło. Będzie miał uśmiech pobłażliwy dla tych, którzy chcieliby rzeczy święte w

żart obrócić, te zwłaszcza, co stanowią o poezji serca, gdyż bez nich życie byłoby tylko smutną rzeczywistością. Gardzę głęboko tymi, którzy chcieliby nas odciąć od źródeł ideałów religijnych, jakże obfitujących w pociechę. Toteż jego wiara musi odznaczać się dziecięcą prostotą, skojarzoną z niezachwianym przekonaniem mędrca, świadomego przyczyn, dla których wierzy. Jego świeży i oryginalny umysł ma być wolny od wszelkiej maniery i obcy tanim efektom. Nie może powiedzieć nic takiego, w czym byłaby przesada albo niewłaściwość, nie zdoła znudzić ani innych, ani siebie, gdyż w duszy jego będą się kryły przebogate zasoby. Wszystkie jego myśli winny być szlachetne, wzniosłe, rycerskie, pozbawione jakiegokolwiek egoizmu. A wszystkie jego czyny będą zwracać uwagę absolutnym brakiem wyrachowania i widoków na osobisty interes. Jego wady będą wynikać z szerokich poglądów, którymi sięgnie daleko poza swoje czasy. Musiałabym stwierdzić, że w każdym przypadku wyprzedza swoją epokę. Pełen delikatnej atencji należnej słabym istotom, będzie dobry dla wszystkich kobiet, lecz niełatwo przyjdzie mu się zakochać: będzie traktował miłość zbyt poważnie, aby uczynić z niej igraszkę. Może więc stać się i tak, że przejdzie przez życie nie pokochawszy prawdziwie, ale okazując wszelkie zalety, głęboką namiętność obudzić zdolne. Ale jeśli raz napotka swój ideał kobiety, dostrzeżony w marzeniach, jakie snujemy na jawie, jeśli ujrzy istotę, co go zrozumie, wypełni jego duszę i całe życie jego promieniem szczęścia obdarzy; istotę, która błyszczy dla niego niby gwiazda poprzez chmury tego świata, jakże ciemnego, obojętnego i lodowatego; istotę, co nada nowy urok jego egzystencji i poruszy w nim struny dotychczas nieme, wydaje mi się, że nie trzeba mówić, iż potrafi uznać i ocenić swoje szczęście. Nigdy ani słowem, ani spojrzeniem nie urazi tego kochającego serca, co odda się w jego ręce z ufnością dziecka, które śpi w ramionach matki; albowiem gdyby kobieta została z tego słodkiego snu wyrwana, miałaby duszę i serce rozdarte na wieki: nie zdołałaby wypłynąć na ten ocean, nie wziąwszy do łodzi całej przyszłości swojej.

Człowieka tego winien cechować taki sposób traktowania zarówno najbłahszych, jak i najdonioślejszych spraw, taka fizjonomia, postawa i ruchy, jakimi wyróżniają się istoty górujące nad innymi, proste i wolne od wszelkiej sztuczności. Może być brzydki; ale jego ręce muszą być piękne; musi mieć górną wargę z lekka uniesioną ironicznym uśmiechem, wzgardliwym dla obojętnych jego sercu; ale dla tych, których ukochał, zachowa iskrzący i niebiański promień swojego uduchowionego spojrzenia.

„Pani – rzekł do mnie po hiszpańsku, a w głosie jego brzmiała nuta głębokiego wzruszenia

na

To wszystko, moja droga pani de 1'Estorade, działo się przed dwoma tygodniami i od tego czasu nie widziałam się z człowiekiem, który mnie kocha, gdyż on mnie kocha. Co robi? Chciałabym zamienić się w muchę, mysz albo wróbla. Ach, gdybym mogła go zobaczyć samego, kiedy jest u siebie, tak aby mnie nie spostrzegł! Mam mężczyznę, któremu mogę

dzianą rozkoszą wspierałam się na jego ramieniu. Wyjawię Ci całą prawdę, jak Bogu, którego oszukać nie podobna; w sercu moim zrodziła się ciekawość podsycana chyba owym zachwycającym pietyzmem, z jakim Ludwik dochowywał przysięgi. Stawiałam sobie opór, wstydząc się bardzo przed sobą. Niestety! – jeśli godność kobieca jedynym jest źródłem oporu, umysł wprędce skłoni do ugody. Radość nasza była sekretna, jak u dwojga kochanków, i ten sekret musi zostać między nami. Kiedy wyjdziesz za mąż, przytakniesz mojej dyskrecji. Wiedz jednak, że stało się zadość żądaniom najsubtelniejszej miłości i nie brakło owych nieprzewidzianych momentów, będących, w pewnym sensie, ozdobą i dumą tej chwili: była ona pełna tajemniczych uroków, jakich imaginacja nasza domaga się od niej, i porywów, co usprawiedliwiają; istniało w niej wydarte siłą przyzwolenie, istniały przeczuwane z dawna, idealne rozkosze, które ujarzmiają naszą duszę, zanim urzeczywistnią się za naszą zgodą – istniały więc wszystkie powaby w czarodziejski kształt obleczone.

Wyznam Ci, że mimo tych pięknych przeżyć przypomniałam znowu o swej niezależności, wolę jednak nie zdradzać przed Tobą wszystkich motywów tego postępku. I tak jesteś na pewno jedyną na świecie osobą, wobec której ośmielę się wystąpić z tymi połowicznymi zwierzeniami. Należąc już do męża, uwielbiane lub nie, myślę, że straciłybyśmy wiele, nie kryjąc się z przekonaniami i osądem, jakie powzięłyśmy o małżeństwie. Jedyna radość, której doznałam, radość niebiańska, zasadza się na pewności, żem najpierw przywróciła życie temu nieborakowi, a potem dopiero dam życie jego dzieciom. Ludwik odzyskał młodość, siły i dobry humor. To już nie ten sam człowiek. Rozproszyłam, niby wróżka, nawet i wspomnienia jego nieszczęść. Odmieniłam Ludwika, stał się czarujący. Wiedząc, że mi się podoba, rozwija swój umysł, okazując nowe przymioty. Być niewzruszoną opoką, na której opiera się szczęście mężczyzny, kiedy ów mężczyzna, wiedząc o tym, łączy miłość z wdzięcznością, och! droga, dzięki temu niezachwianemu przekonaniu rośnie w duszy siła, co przewyższa siłę najpełniejszej miłości. Ta siła gwałtowna i trwała, jedyna i bogata w przeróżne odmiany, wyda na koniec rodzinę będącą pięknym dziełem kobiety, dziełem, które pojmuję teraz w całej jego płodnej krasie. Stary ojciec zapomniał o skąpstwie, daje z zamkniętymi oczami wszystko, czego tylko zapragnę. Służba poweselała; wydaje się, jakby szczęście Ludwika opromieniło ten dom, gdzie ja dzięki miłości króluję. Starzec pogodził się ze wszystkimi ulepszeniami, nie chce, aby jego osoba niemile kontrastowała z otaczającym mnie przepychem; włożył nawet, żeby mi się przypodobać, porządne ubranie i w tym stroju nabrał teraźniejszych manier. Mamy angielskie konie, karetkę dwuosobową, kolasę i tilbury. Lokaje noszą skromne, ale eleganckie liberie. Z tej racji uchodzimy za rozrzutników. Wysilam inteligencję (mówię na serio), żeby prowadzić dom oszczędnie, uzyskać najwyższy komfort za możliwie najniższą sumę. Przekonałam już Ludwika, że musi koniecznie zbudować drogi, gdyż w ten sposób zdobędzie reputację człowieka dbałego o dobro kraju. Nakłaniam go, żeby uzupełnił wykształcenie. Spodziewam się, że dzięki wpływom mojej familii tudzież krewnych jego matki wybiorą go wkrótce na członka Rady Głównej naszego departamentu. Oznajmiłam mu jasno i wyraźnie, że jestem kobietą ambitną i że nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby jego ojciec administrował nadal majątkiem, gromadząc oszczędności, bowiem życzę sobie, aby Ludwik poświęcił się bez reszty polityce; jeśli będziemy mieć dzieci, chciałabym je widzieć szczęśliwymi i na intratnych urzędach państwowych; musi więc w czasie najbliższych wyborów zostać deputowanym departamentu, gdyż inaczej utraci i mój szacunek, i afekt; moja rodzina poprze jego kandydaturę, a wtedy, ku naszej obopólnej radości, będziemy spędzać każdą zimę w Paryżu. Ach, mój aniele, zapał, z jakim mnie usłuchał, świadczy o jego głębokich ku mnie sentymentach. A wczoraj napisał do mnie taki oto list z Marsylii, dokąd pojechał na kilka godzin:

Kiedy, moja słodka Renato, zgodziłaś się, abym Cię pokochał, uwierzyłem w szczęście, a dzisiaj widzę, że to szczęście jest nieskończone. Przeszłość jest już dla mnie tylko niewyraźnym wspomnieniem, chmurą, konieczną, aby na jej tle tym jaśniej rozbłysła moja obecna

szczęśliwość. Kiedy jestem przy Tobie, miłość unosi mnie na takie wyżyny, że nie potrafię natenczas wyrazić ogromu uczuć moich: mogę Cię tylko admirować, uwielbiać. Odzyskuję mowę tylko w oddaleniu od Ciebie. Jesteś doskonale piękną, ową pięknością tak majestatyczną i poważną, że ząb czasu z wielkim trudem nadgryźć ją zdoła; i lubo miłość między małżonkami bardziej od sentymentów, co prześliczne są w Tobie, niźli od urody zależy, dozwól mi powiedzieć, iż ta pewność, że w moich oczach zawsze piękną, pozostaniesz, napawa mnie radością, która zwiększa się za każdym spojrzeniem, jakie rzucam na Ciebie. Harmonia i dostojeństwo rysów Twojego oblicza, w którym objawia się wzniosła dusza, mają w sobie, pod smagłą cerą, coś niepokalanego. Blask Twoich czarnych oczu i hardy wykrój czoła mówią o wspaniałości Twoich cnót, uczciwym stosunku do świata i sercu, którego nie złamią żadne nawałności życia, gdyby się takie rozszalały. Szlachetność jest główną cechą Twego charakteru; nie nowina to dla Ciebie, ale napisałem te słowa, abyś wiedziała, że znam doskonale wartość posiadanego skarbu. Najniklejszy promień Twojej łaski zawsze przepoi mnie szczęściem, zarówno teraz, jak i w przyszłości; pojmuję bowiem, jak doniosłą jest obietnica, że wolność naszą wzajemnie szanować będziemy. Wszelkie dowody czułości będą wynikać jedynie z naszej własnej woli. Zachowamy swobodę, mimo ciasnych więzów. Za każdym razem będę zdobywał Cię na nowo i za każdym razem będzie mnie to napawać tym większą dumą, że wiem teraz, jaką wartość przypisujesz owej zdobyczy. Nie zdołasz nic powiedzieć, uczynić, pomyśleć, nie zdołasz odetchnąć, abym przy każdej okazji nie otaczał wzrastającą ciągle admiracją wdzięku Twojego ciała i wdzięku duszy Twojej. Jest w Tobie jakaś nie określona bliżej boskość, coś rozumnego i czarodziejskiego, co łączy we wspólną harmonię myśli i honor, uciechy i nadzieje, co nadaje miłości zasięg szerszy niźli zasięg życia. O mój aniele, niechże geniusz miłości pozostanie mi wiernym, a przyszłość niech będzie dla mnie pełna owej rozkoszy, dzięki której wszystko, co mnie otacza, piękniejszym uczyniłaś! Kiedyż zostaniesz matką, abym ujrzał, jak dajesz radosne świadectwo energii swojego życia, abym Cię usłyszał, usłyszał, jak Twój słodki głos, pełen myśli subtelnych, świeżych i z taką zastanawiającą wyrażonych trafnością, błogosławi miłość, co orzeźwiła moją duszę i przywróciła mi zdolności, miłość będącą moją dumą, miłość, z której czerpałem, niby u magicznego źródła, nowe życie? Tak, będę tym, kim Ty być mi rozkażesz: stanę się jednym z ludzi pożytecznych dla kraju i sprawię, że opromieni Cię gloria, której celem jedynym będzie Twoje ukontentowanie.

Oto jak edukuję Ludwika, moja droga. Ten styl jest u niego czymś zupełnie nowym, za rok będzie pisał lepiej. Mój mąż przeżywa obecnie okres pierwszych zapałów, a ja oczekuję na to równe i nieprzerwane uczucie szczęścia, jakie powinno się zrodzić ze szczęśliwego mariażu, kiedy, ufając sobie i dobrze się poznawszy, mężczyzna i kobieta odkryją sekret urozmaicenia nieskończoności, przesycania czarodziejskim urokiem samej treści życia. Dostrzegam już ten sekret, znany prawdziwym małżonkom, i chcę go posiąść. Jak widzisz, Ludwik mniema, i chełpi się tym, że go pokochałam, jak gdyby nie był moim mężem. A jednak to, co odczuwam w tej chwili, jest jedynie materialną więzią, dającą nam siłę, która pozwala znieść wiele. Z tym wszystkim, Ludwik jest sympatyczny, charakter jego cechuje ogromny spokój i równowaga, dokonuje z prostotą czynów, którymi przechwalałaby się większość mężczyzn. Jeśli nawet nie kocham go wcale, istnieją we mnie wszelkie skłonności, abym mojego męża jak najwyżej szacować mogła.

Oto więc moje czarne włosy i czarne oczy, rzęsy, co według Ciebie do jedwabnych firanek przyrównać można, moją królewską minę i wspaniałą postać do władzy najwyższej powołano! Zobaczymy za dziesięć lat, moja droga, czy nie będziemy obie wesołe i szczęśliwe w owym Paryżu, skąd zabiorę Cię co i raz do mojej pięknej prowansalskiej oazy. O Ludwiko, nie zmarnuj naszej wspólnej pięknej przyszłości! Wyperswadujże sobie szaleństwa, którymi grozisz! Poślubiłam starego młodzieńca, a Ty wydaj się za jakiegoś młodego starca z Izby Parów. Wtedy postąpisz właściwie.

XIV

KSIĄŻĘ DE SORIA DO BARONA DE MACUMER

Madryt.

Mój drogi bracie, po to uczyniłeś mnie księciem de Soria, abym jak książę de Soria postępował. Szczęście moje stałoby się dla mnie czymś nie do przyjęcia, gdybym wiedział, że tułasz się po świecie, pozbawiony tych wygód, które wszędzie można mieć za pieniądze. Nie ożenię się z Marią i ona też nigdy na ślub nie przystanie, póki nie otrzymamy wiadomości, żeś przyjął sumę, którą wręczyliśmy dla Ciebie Urrace. Te dwa miliony to Twoje własne i Marii oszczędności. Modliliśmy się oboje na klęczkach, przed tym samym ołtarzem, za pomyślność Twoją, a jakie gorące były te modły. Bóg zaświadczyć może! O mój bracie, nasze prośby muszą być wysłuchane! Niebo ześle Ci ową miłość, której szukasz, co będzie dla Ciebie pociechą na wygnaniu. Maria zalewała się łzami, czytając Twój list – ona Cię uwielbia. Co do mnie, przyjmuję: nie dla siebie, ale dla naszego rodu. Król postąpił wedle Twojej myśli. Ach! z taką pogardą rzuciłeś mu ten ochłap – z jaką tygrysom rzuca się ich łup na pożarcie – że chciałbym, aby Cię pomścić, dać mu do zrozumienia, iżeś zmiażdżył go swoją wielkością. Ukochany bracie, jedyne, com wziął dla siebie, to moje szczęście: Maria. Dlatego będę zawsze wobec Ciebie tym, czym jest stworzenie wobec Stwórcy. Nastąpi w moim życiu i w życiu Marii dzień równie piękny jak dzień naszego szczęsnego ślubu, a będzie to wtedy, gdy dowiemy się, że Twoje serce zostało zrozumiane, że jakaś kobieta pokochała Cię miłością, na jaką zasługujesz i jakiej pragniesz. Pamiętaj, że jeśli Ty żyjesz tylko naszym życiem, my także tylko Twoim żyjemy. Możesz pisywać do nas bez obawy za pośrednictwem nuncjusza, wysyłając listy do Rzymu. Ambasador francuski w Rzymie zgodzi się na pewno składać je w Sekretariacie Stanu, na ręce monsignora Bemboni, którego nasz legat winien był już uprzedzić. Każda inna droga byłaby niewłaściwa. Żegnaj, drogi biedaku, drogi wygnańcze. Bądźże przynajmniej dumny ze szczęścia, którym nas obdarzyłeś, jeśli sam nie możesz być szczęśliwy. Nie wątpię, że Bóg wysłucha naszych modłów, które głównie za Ciebie wznosimy.

FERNAND

XV

LUDWIKA DE CHAULIEU DO PANI DE L'ESTORADE

Marzec.

Czyżby, mój aniele, zamęście czyniło kobietę filozofem?... Twoje kochane jagody musiały przyżółknąć, kiedyś komponowała dla mnie te straszliwe refleksje dotyczące życia ludzkiego i naszych obowiązków. Sądzisz więc, że nawrócisz mnie na małżeństwo, wyłuszczywszy program tych krecich robót? Dokądże to, nieszczęsnym trafem, zawiodły Cię nasze zbyt uczone rojenia? Opuściłyśmy Blois przystrojone w niewinność i zbrojne cienkim ostrzem refleksji: żądło tego czysto teoretycznego doświadczenia zwróciło się przeciw Tobie! Gdybym Cię nie znała jako najuczciwszej i najbardziej anielskiej istoty pod słońcem, orzekłabym, iż Twoje kalkulacje zepsuciem trącą. Jak to, moja droga! Pragnąc, aby życie na wsi pomyślnie Ci się układało, segregujesz dokładnie swoje przyjemności, a miłość traktujesz tak, jakbyś pertraktowała o swoje lasy! Och! Wolałabym sto razy zginąć w odmętach własnego serca niźli żyć kierując się suchymi zasadami Twojej arytmetyki! Byłaś, jak ja, nadzwyczaj wykształconą dziewczyną, bowiem rozważałyśmy wiele nad małą ilością zagadnień; ale, moje dziecię, filozofia bez miłości albo na fałszywej miłości oparta jest taką szkaradną małżeńską obłudą, że w tym wypadku trudno o gorszą. Nie zdaje mi się, aby największy głupiec na ziemi nie dostrzegł od czasu do czasu sowy mądrości ukrytej w Twoim stosie róż, a takie niezbyt krzepiące odkrycie gotowe przepędzić choćby i najwyborniej rozpaloną namiętność. Bawisz się w przeznaczenie zamiast być jego zabawką. Obydwie poczynamy sobie dość osobliwie: dużo filozofii i mało miłości, oto Twoja recepta; a moja brzmi inaczej: wiele miłości i mało filozofii. Julia, u Jana Jakuba, którą poczytywałam za mistrzynię, mogłaby terminować u Ciebie. O cnoto niewieścia! Tyżeś to obliczyła, czym jest życie? Niestety! A zresztą gadaj sobie co chcesz, może masz rację. Poświęciłaś w jeden dzień miłość swoją i zawczasu stałaś się skąpą. Twój Ludwik z pewnością będzie szczęśliwy. Jeśli Cię kocha, o czym nie wątpię, nie połapie się nigdy, że działasz w myśl interesów familii swojej, podobnie jak kurtyzany z myślą o swojej fortunie działają; a przecież te kobiety uszczęśliwiają mężczyzn, jeśli wziąć pod uwagę, jakich szalonych są przedmiotem ekspensów. Namiętność ku Tobie nie wygasłaby, to pewne, w małżonku odznaczającym się przenikliwym umysłem; ale czy w ostatecznym wyniku ów mąż nie uzna się za zwolnionego od wdzięczności wobec kobiety, która uczyniła z obłudy coś w guście gorsetu moralnego, równie koniecznego dla jej życia, jak sznurówka nieodzowną jest dla ciała? Gdyż, kochanie, w moich oczach miłość to pierwiastek wszelkich cnót kojarzących się z obrazem bóstwa! Miłości, jak i wszystkich pierwiastków, wykalkulować sztuką nie podobna, jest ona nieskończonością naszej duszy! Czyżeś nie chciała usprawiedliwić się przed sobą z owej okropnej sytuacji, w jaką popada dziewczyna wydawana za człowieka, którego szanować tylko może? Obowiązek, oto Twoja reguła i zasada postępowania; ale działać pod presją konieczności, czy to aby nie moralność społeczeństwa ateuszów? Działać kierując się miłością i sentymentem, czyż nie tak opiewa sekretne prawo kobiet? Zrobiłaś z siebie mężczyznę, a Twój Ludwik ma zostać kobietą! O moja droga, Twoje pisanie jest dla mnie tematem niewyczerpanych medytacji. Przekonałam się, że klasztor nigdy nie zastąpi dziewczętom matki. Błagam Cię, mój szlachetny, czarnooki aniele, taki dumny i nieskalany, poważny i wykwintny, abyś pomyślał, jak żałosne westchnienia Twój list wydarł z piersi

mojej! Pocieszyła mnie w chwili owych lamentów refleksja, że miłość rusztowania rozumu zawsze obalała. Jestem tego pewna. Nie rezonując i nie kalkulując, kto wie, czy nie postąpię gorzej: namiętność jest żywiołem, który musi mieć logikę równie okrutną jak Twoja.

Poniedziałek.

Wczoraj wieczorem, szykując się do snu, stanęłam przy oknie pragnąc napatrzyć się niebu, czystemu jak kryształ. Gwiazdy były podobne srebrnym gwoździom przytrzymującym błękitną oponę. Wśród nocnej ciszy ucho moje uchwyciło czyjś oddech, a w gwiezdnym półświetle dostrzegłam swojego Hiszpana, który siedział niby wiewiórka na gałęzi jednego z drzew zdobiących bulwar i modlił się oczywiście do moich okien. Stwierdziwszy to, cofnęłam się najpierw do pokoju, a ręce i nogi miałam jakby poprzetrącane; lecz na dnie tego przerażenia czułam rozkoszną radość. Zgnębił mnie ten wypadek, a zarazem uszczęśliwił. Żadnemu z owych dowcipnych Francuzów, którzy poślubić mnie pragną, nie przyszłoby do głowy, żeby spędzać noce na wiązie, pod grozą aresztowania. Mój Hiszpan z pewnością nie pierwszy raz wdrapał się na to drzewo. Ach! Nie uczy mnie już, ale chce otrzymać lekcję, więc będzie ją miał. Gdybyż wiedział to wszystko, com sobie powiadała o jego pozornej brzydocie! I ja też filozofowałam, Renato. Myślałam sobie, że pokochać urodziwego mężczyznę to okropność. Tak samo jakbym przyznała, że w miłości, która powinna być boską, trzy czwarte zajmują zmysły. Ochłonąwszy z pierwszego przystępu trwogi, wystawiłam głowę przez okno, żeby zobaczyć jeszcze mojego Hiszpana, i znów się przestraszyłam! Dmuchnął bowiem w pustą trzcinę i dzięki temu przesłał mi list, bardzo sztucznie owinięty wokół ołowianej kulki. O Boże! Czyż on sobie imaginuje, żem umyślnie otwarte zostawiła okno? Zamknąć je nagle – powiedziałam sobie – to znaczy wejść z nim w konszachty. Postąpiłam więc rozsądnie: wróciłam do okna, jakbym nie usłyszała, że wpadł ów bilet, jakbym nic nie dostrzegła, i tylko rzekłam głośno: „Nie chciałaby pani popatrzyć na gwiazdy, miss Griffith?" Ale Griffith spała mocno, jak na starą pannę przystało. Usłyszawszy mnie, Maur rozpłynął się jak cień. Musiał umierać ze strachu podobnie jak ja, gdyż nie usłyszałam, żeby odchodził: przyczaił się na pewno u stóp wiązu. Po dobrym kwadransie, podczas którego pławiłam się w błękicie nieba i żeglowałam po oceanie ciekawości, zamknęłam okno i położyłam się do łóżka, żeby rozwinąć cieniutki papier, a czyniłam to z ostrożnością uczonych, co w Neapolu nad antycznymi pracują księgami. Moje palce dotykały ognia. Jakąż ten człowiek straszliwą ma nade mną władzę! – powiedziałam sobie. Czym prędzej zbliżyłam papier do świecy, aby spalić go nie czytając... Jedna tylko myśl zatrzymała moją rękę. Cóż on do mnie takiego pisze, skoro czyni to w sekrecie? Ale, moja droga, spaliłam ów list rozumiejąc, że o ile pochłonęłyby go wszystkie panny na świecie, ja, Armanda Ludwika Maria de Chaulieu, nie powinnam przeczytać zeń ani słowa.

Nazajutrz tkwił jak zwykle na posterunku w Teatrze Włoskim; mógł sobie być kiedyś pierwszym konstytucyjnym ministrem, ale, jak sądzę, z żadnego mojego ruchu nie zdołałby wnieść, czy w mojej duszy nurtuje najlżejszy choćby niepokój: zachowywałam się tak, jakbym wczoraj absolutnie nic nie dostrzegła i nie otrzymała. Byłam kontenta z siebie, lecz on był bardzo smutny. Biedaczysko – przecież w Hiszpanii to całkiem naturalne, jeśli miłość oknem wchodzi! A jednak w antrakcie spacerował po korytarzach. Wspomniał mi o tym sekretarz ambasady hiszpańskiej, rozwodząc się nad jego wzniosłym uczynkiem. Jako książę de Soria, mój Maur miał poślubić jedną z najbogatszych dziedziczek Hiszpanii, księżniczkę Marię Heredia, której fortuna osłodziłaby mu gorycz wygnania; stało się jednak inaczej: nie zważając na wzajemne zobowiązania powzięte przez rodziców, co zaręczyli ich jeszcze w dzieciństwie, Maria pokochała młodszego Sorię, a mój Felipe nie tylko z księżniczki Marii zrezygnował, ale pozwolił się ograbić królowi hiszpańskiemu. „Musiał dokonać tego wielkiego

czynu z nadzwyczajną prostotą" – rzekłam do młodzieńca. „Znałażbyś go, pani?" – spytał naiwnie. Moja matka się uśmiechnęła. „I cóż z nim będzie, skoro skazano go na śmierć?" – zapytałam ja z kolei. „Umarł dla Hiszpanii, to prawda, ale ma prawo żyć na Sardynii". „Ach, to i Hiszpania obfituje w groby?" – rzekłam, aby pomyślano, iż wzięłam te słowa za koncept. „W Hiszpanii niczego nie brak, nawet Hiszpanów starej daty" – wtrąciła moja matka. „Król Sardynii wydał, nie bez pewnego oporu, paszport baronowi de Macumer – podjął młody dyplomata – ale w końcu został on sardyńskim poddanym; posiada na Sardynii olbrzymie dobra lenne, gdzie jest udzielnym władcą, gdyż decyduje o wszelakim wymiarze sprawiedliwości. Ma pałac w Sassari. W razie śmierci Ferdynanda VII Macumer wstąpiłby prawdopodobnie do służby dyplomatycznej, a dwór turyński mianowałby go ambasadorem. Lubo jeszcze młody, baron..." „Ach! To on jest jeszcze młody?" „Tak, proszę pani, mimo młodego wieku Macumer należy do najbardziej dystyngowanych ludzi w Hiszpanii!" Zerkałam na salę słuchając dyskursu sekretarza i udawałam, że nie przywiązuję do słów jego zbytniej wagi; ale mówiąc między nami, byłam w rozpaczy, żem ów list spaliła. Jakiego języka używa człowiek tej miary, jeśli chce miłość swoją wyrazić? A on mnie kocha! Być kochaną, uwielbianą w sekrecie, mieć na tej sali, gdzie zgromadziły się wszystkie znakomitości Paryża, swojego własnego mężczyznę – i nikt o tym nie wie! O Renatko, zrozumiałam wtedy życie paryskie, jego zabawy i bale. Wszystko nabrało w moich oczach właściwej barwy. Kiedy kochamy, trzeba nam innych ludzi, choćby po to, aby wyrzec się ich dla ukochanego. Poczułam, że zamieszkała we mnie inna, szczęśliwa istota. Pieściło to moją miłość własną, próżność i pychę. Bóg jeden wie, jakim spojrzeniem świat ogarnęłam! Księżna uśmiechnęła się i rzekła mi na ucho: „Ach, ty spryciaro!" Tak, owa nader przebiegła matka wyczytała w moich licach jakąś utajoną radość, toteż zwinęłam chorągiewkę wobec tej wszechwiedzącej niewiasty. Te trzy słowa nauczyły mnie więcej o świecie, niżli sama w ciągu roku odkryłam, gdyż mamy właśnie marzec. Niestety! za miesiąc skończą się przedstawienia w Teatrze Włoskim. Cóż pocznę bez tej przepięknej muzyki, ja, co mam serce miłością przepełnione?

Moja droga, w domu okazałam determinację godną panny de Chaulieu: otwarłam okno, żeby admirować ulewę. Och! Gdyby mężczyźni znali przemożny wpływ, jaki mają na nas bohaterskie czyny, staliby się naprawdę wielcy; najtchórzliwsi byliby bohaterami. To, czegom dowiedziała się o moim Hiszpanie, przyprawiło mnie o gorączkę. Byłam pewna, że czekał tam, gotów rzucić mi nowy list. I tego już nie spaliłam: przeczytałam. Oto pierwszy list miłosny, który dostałam, moja pani rezonerko: każda z nas ma taki, na jaki zasłużyła:

Ludwiko, nie pokochałem Pani dla Twojej przedziwnej urody; nie pokochałem Pani dla Jej szerokiego umysłu, dla szlachetności sentymentów, dla niewysłowionego uroku, jaki nadajesz wszystkim otaczającym Cię rzeczom, dla Twojej dumy i królewskiej pogardy, którą żywisz wobec świata, co do Twojej sfery nie należy, a która nie wyklucza u Ciebie dobroci – albowiem masz w sobie miłosierdzie anioła; Ludwiko, kocham Panią, gdyż pominęłaś całą tę wyniosłą hierarchię dla biednego wygnańca; gdyż jednym gestem i jednym spojrzeniem pocieszyłaś człowieka, którego pozycja była w porównaniu z Twoją tak niska, że miał prawo tylko do Twojej litości – lecz litości wspaniałomyślnej. Jesteś jedyną kobietą na świecie, co złagodziła dla mnie surowość swych oczu; a skoroś raczyła rzucić na mnie owo kojące spojrzenie, kiedym był prochem i pyłem, spojrzenie, jakim nie obdarował mnie nikt, gdy znajdowałem się u szczytu potęgi dostępnej dla poddanego, pragnę, abyś dowiedziała się, Ludwiko, że stałaś mi się Pani drogą, że kocham Cię tylko dla Ciebie samej, bez żadnej ubocznej myśli, i żem wybiegł daleko poza granice, które dla miłości doskonałej oznaczyłaś. Dowiedz się, o bóstwo, w najwyższym kręgu niebios przeze mnie umieszczone, że istnieje na świecie potomek saraceńskiej rasy, którego życie do Ciebie należy: możesz mu rozkazywać niczym niewolnikowi, a on spełni każde Twoje żądanie, za honor je poczytując. Oddałem się na zawsze pod Twoją władzę, dla samej rozkoszy z takiego wynikającej oddania, dla jednego Twojego spojrzenia,

dla tej ręki, którą pewnego poranka do swojego nauczyciela hiszpańskiego wyciągnęłaś. Ludwiko, masz sługę i nic więcej. Nie, nie odważę się pomyśleć, abyś mogła kiedykolwiek zakochać się we mnie; ale może będziesz mnie Pani tolerować li tylko dzięki mojemu bezgranicznemu przywiązaniu. Tego ranka, kiedy uśmiechnęłaś się do mnie, bowiem jako szlachetna dziewczyna nędzę mojego samotnego i zdradzonego serca przeczułaś, wyniosłem Cię na tron: jesteś absolutną panią mojego życia, królową moich myśli, bóstwem mojego serca, światłem, co we mnie płonie, kwiatem moich kwiatów, balsamem powietrza, którym oddycham, bogactwem mojej krwi, jutrznią moich snów. Jedna myśl mąciła to szczęście: nie wiedziałaś, że masz we mnie człowieka bezgranicznie oddanego, wierne ramię, ślepego niewolnika, niemego wykonawcę Twoich rozkazów, a wreszcie skarbiec, gdyż teraz wszystko, co posiadam, jest u mnie tylko depozytem; nie wiedziałaś też o sercu, któremu wszystko zawierzyć możesz: to serce starej piastunki, żądaj więc od niego, co zechcesz; nie wiedziałaś, że masz ojca, od którego możesz domagać się wszelkiej opieki, że masz przyjaciela i brata; brakuje Ci tych wszystkich afektów, lubo rodziną jesteś otoczona, wiem o tym. Odkryłem tajemnicę Twojej samotności! Zuchwalstwo moje zrodziła chęć objawienia Pani, jak daleko sięga to, co posiadłaś. Przyjmij to wszystko, Ludwiko, a będę Ci zawdzięczał jedyne życie, jakie może istnieć dla mnie: życie będące poświęceniem. Obarczywszy mnie jarzmem niewoli, na nic się nie narazisz: chcę tylko wiedzieć, że jestem Twoim, i nie zażądam od Pani innej nagrody. I nie mów mi, że nigdy mnie nie pokochasz: tak być musi, wiem o tym; mam kochać z daleka, nie dając przystępu żadnej nadziei, kochać tylko dla siebie. Pragnąc dowiedzieć się, czy przyjmiesz mnie Pani jako niewolnika, głowiłem się, żeby znaleźć taki dowód, co powiadomiwszy mnie o Twoim przyzwoleniu, nie uchybi w niczym Twojej godności, bowiem już od wielu dni, bez Twojej wiedzy, należę do Ciebie. Otóż dasz mi ów znak wieczorem, w Teatrze Włoskim, trzymając w ręku dwie kamelie, białą i czerwoną, a będą one wyobrażać krew człowieka gotowego na rozkazy uwielbianej niewinności. Wtedy wszystko będzie wiadome: o każdej godzinie, dzisiaj tak samo jak i za lat dziesięć, to, co tylko jest w ludzkiej mocy, na Twój rozkaz będzie dokonane przez Twojego szczęśliwego sługę

FELIPE HENAREZA

P. S. Przyznaj, moja droga, że wielcy panowie umieją kochać! Jakiż to potężny skok lwa afrykańskiego! Ileż w tym tłumionego zapału! Ile wiary! Jaka szczerość! Ileż wielkoduszności w tej pokorze! Poczułam się małą i, całkowicie oszołomiona, zadałam sobie pytanie: co zrobić?... Wielki człowiek ma to do siebie, że udaremnia plany z pospolitych wynikłe obliczeń. Przecież on jest wzniosły i rozczulający, naiwny i wspaniały. Ten jeden list stawia go wyżej od Lovelace'a[93] i Saint-Preux, choćby tamci i po sto listów napisali. Och! oto prawdziwa miłość bez małostkowych przebiegów; istnieje albo nie istnieje, ale jeśli istnieje, musi pokazać się w całym swoim ogromie. A mnie wytrącono z ręki całą broń kokieterii. Odmówić albo przyjąć! Znalazłam się między młotem a kowadłem, nie mam żadnego pretekstu, którym mogłabym się osłonić. Nie ma tu mowy o żadnej dyskusji. To już nie Paryż, lecz Hiszpania albo Wschód; słowem, przemawia Abencerag, pada na kolana przed katolicką Ewą, ofiarowując jej swój miecz, konia i głowę. Czy przyjmę tego niedobitka Maurów? Odczytuj często, moja Renatko, tę hiszpańsko-saraceńską epistołę, a przekonasz się, że miłość unicestwi talmudyczne zasady Twojej filozofii. Widzisz, Renato, Twój list przytłoczył mi serce, sprawiłaś, że życie stało się dla mnie płaskie i wyrachowane. A czyż ja muszę uciekać się do matactw? Czyż nie jestem na wieki władczynią tego lwa, co swój ryk w pokorne i nabożne zamienił westchnienia? Och! Jak on strasznie musiał ryczeć w swej norze, na ulicy Hillerin-Bertin! Wiem, gdzie mieszka, mam jego bilet wizytowy: F. b a r o n d e

[93] L o v e l a c e –postać z „Klaryssy Harlowe" Richardsona.

M a c u m e r. Udaremnił mi wszelką odpowiedź, pozostało tylko rzucić mu w twarz dwie kamelie. Jakąż piekielną wiedzą rozporządza czysta, prawdziwa i naiwna miłość. Oto największa sprawa dla serca kobiety zmuszonej do łatwego i prostego uczynku. O Azjo! Czytałam kiedyś „Opowieści tysiąca i jednej nocy", a oto duch tej księgi: dwa kwiaty – i więcej mówić nie trzeba. Jeden bukiet wystarczy za czternaście tomów „Klaryssy Harlowe". Odczytując ten list, zwijam się niby struna w ogniu. Weź te dwie kamelie albo ich nie bierz. Tak albo nie, zabij albo mi daj życie! Na koniec ozwał się we mnie głos jakiś: Wypróbuj go! Tak, muszę go doświadczyć.

XVI

LUDWIKA DO RENATY

Marzec.

Włożyłam białą suknię; mam we włosach białe kamelię i białą kamelie w ręce, a moja matka ma kamelie czerwone; wezmę od niej jedną, jeśli zechcę. Czai się we mnie jakaś ochota, aby sprzedać mu jego czerwoną kamelię za moment wahania, aby zdecydować się dopiero na miejscu. Jestem bardzo piękna! Griffith zapragnęła popatrzyć na mnie przez chwilę; poprosiła o pozwolenie. Dostałam wypieków, taki uroczysty jest ten wieczór i tyle dramatycznego napięcia kryje się w tej sekretnej zgodzie: moje policzki to czerwone kamelie, na tle kamelii białych rozkwitłe!

Pierwsza w nocy.

Wszyscy mnie podziwiali, ale tylko jeden uwielbiać mnie umiał. Opuścił głowę, zobaczywszy, że mam w ręce białą kamelie, a kiedym wzięła od matki kamelię czerwoną, pobladł jak lilia. Gdybym zjawiła się trzymając w ręce oba te kwiaty, mogłoby to ujść za przypadek; ale ów czyn był odpowiedzią. Wyznałam więcej, niż się spodziewał! Dawano „Romea i Julię"[94], ale Ty nie wiesz, czym jest duet pary kochanków, więc i nie zdołasz pojąć szczęścia dwojga neofitów miłości, zasłuchanych w te uczucia boskimi wyrażone słowy. Kiedym kładła się do snu, dolatywał mnie odgłos kroków dźwięczących na płytach chodnika. Och, mój aniele, teraz ogień trawi mi serce i myśli. Co robi? Nad czym medytuje? Czy w jego głowie może zaświtać choćby jedna myśl, obca dla mnie? Czy jest wciąż moim niewolnikiem, jak mnie zapewniał, na wszystko gotowym? Jakże przekonać się o tym? Czy w duszy jego zrodziło się najlżejsze choćby podejrzenie, że zgoda moja unicestwiła zarzuty, jakie wobec niego wysunąć bym mogła, że zgoda moja zawiera jakąś wzajemność albo i wdzięczność? Pogrążyłam się w subtelnych rozważaniach, jakie snuły bohaterki „Cyrusa" i „Astrei"[95], w delikat-

[94] „R o m e o i J u l i a" – opera w trzech aktach kompozytora włoskiego Nicolo Zingarellego (1752–1837), w Paryżu po raz pierwszy wystawiona w r. 1812.

[95] „C y r u s" – ogromnych rozmiarów sentymentalna powieść panny de Scudéry (1607–1701); „A s t r e a" – pasterski romans Honoriusza d'Urfé (1568– 1626), opowiadający o perypetiach miłości pasterza Celadona do pasterki Astrei.

nych intrygach Dworu Miłości[96]. Czyż jemu wiadomo, że w miłości najbłahszy postępek kobiety jest uwieńczeniem mnóstwa refleksji, potyczek duchowych i daremnych zwycięstw? O czym on myśli w tym momencie? W jaki sposób mu nakazać, aby wieczorem opisał mi szczegółowo, jak spędził dzień cały? Jest moim niewolnikiem, powinnam dać mu zajęcie, już ja go zawalę robotą.

Niedziela rano.

Spałam bardzo niewiele, tylko z rana. Teraz jest południe. Podyktowałam miss Griffith następujący list:

Do Jaśnie Wielmożnego Pana Barona de Macumer.

Panna de Chaulieu zleciła mi, Panie Baronie, bym odebrała kopię listu napisanego przez jedną z jej przyjaciółek. Rzeczoną kopię sporządziła panna de Chaulieu, a Pan ją zabrałeś. Racz przyjąć, etc.

GRIFFITH

Moja droga, Griffith poszła na ulicę Hillerin-Bertin, aby doręczyć ów pasztet mojemu niewolnikowi, który odesłał mi w kopercie mój program zroszony Izami. Okazał posłuszeństwo. O moja droga! mógł był przecież postąpić inaczej. Inny odmówiłby, pisząc list pełen pochlebstw; ale Saracen pozostał tym, kim być obiecał: usłuchał. Wzruszyło mnie to do łez.

XVII

LUDWIKA DO RENATY

2 kwietnia.

Wczoraj była przepiękna pogoda, toteż wystroiłam się, jak przystało pannie, która jest kochana i pragnie się podobać. Na moją prośbę ojciec podarował mi najładniejszy zaprząg, jaki można zobaczyć w Paryżu: parę siwojabłkowitych koni i kaleszę tak elegancką, że o wykwintniejszą trudno. Wsiadłam po raz pierwszy do owego ekwipażu. Osłoniona parasolką podszytą białym jedwabiem, byłam podobna do kwiatu. Jadąc w górę alei Pól Elizejskich dostrzegłam mojego Abenceraga na prześlicznym rumaku: mężczyźni, co teraz prawie wszyscy w wybornych handlarzy koni się zamienili, przystawali, aby obejrzeć dokładnie tego wierzchowca. Hiszpan ukłonił mi się, a ja skinęłam przyjaźnie, dodając mu tym samym odwagi; przykróciwszy cugli zwolnił jazdy; mogłam więc rzec do niego: „Niech pan do mnie nie żywi urazy, panie baronie, żem odebrała mój list – przecież nie był już panu potrzebny... Uczyniłeś pan więcej, niż było zawarte w tym programie" – dodałam zniżywszy głosu. „Pań-

[96] Dwór Miłości – istniejące rzekomo w średniowieczu zgromadzenia wytwornych dam, które roztrząsały wszelkie sprawy dotyczące miłości i galanterii.

ski koń zwraca ogólną uwagę" – powiedziałam jeszcze. „Przysłał mi go z Sardynii mój intendent i pyszni się nim wielce, bo to arab urodzony w moich włościach".

Dziś rano, moja droga, Henarez siedział na angielskim kasztanie, również bardzo pięknym, ale który nie budził sensacji; delikatne żądło krytyki utajone w moich słowach zrobiło swoje. Ukłonił mi się, a ja odpowiedziałam lekkim skinieniem głowy. Książę d'Angoulême kazał nabyć tego araba dla siebie. Mój niewolnik zrozumiał, że ściągając uwagę gapiów, uchybia zasadom wykwintnej prostoty. Mężczyzna winien błyszczeć osobistymi zaletami, a nie wyróżniać się strojem lub wierzchowcem. Według mnie, paradować na zbyt pięknym koniu to równie śmieszne jak spinać koszulę olbrzymim diamentem. Uradowałam się szczerze, przyłapawszy go na tym drobnym wykroczeniu, w którym była pewnie odrobina miłości własnej, usprawiedliwionej u biednego wygnańca. Podoba mi się ta dziecinada. Ciekawa jestem, czy Ty, moja stara sensatko, cieszysz się z kaprysów mojej miłości tak samo, jak mnie zasmuca Twoja posępna filozofia? Czy Ty, mój drogi Filipie II w spódnicy, zażywasz ze mną, w moim powozie, spaceru? Czy widzisz to aksamitne spojrzenie, pokorne i pełne wyrazu, dumne ze swej niewoli, które rzuca mi przelotnie ów człowiek naprawdę wielki, co nosi moją liberię, a w butonierce ma zawsze czerwoną kamelię, podczas gdy ja trzymam zawsze w dłoni kamelię białą? W jakichż promieniach zatapia nas miłość! I jakże rozumiem Paryż! Teraz tu każda sprawa wydaje mi się należącą do dziedziny ducha. Tak, miłość jest tutaj piękniejsza, większa i bardziej urocza niż gdzie indziej na świecie. Stwierdziłam z całą pewnością, że nie potrafiłabym dręczyć i niepokoić głupca ani też nie mogłabym roztoczyć nad nim żadnej władzy. Tylko ludzie wyżsi nad otoczenie rozumieją nas dobrze i tylko na nich wpływ mieć możemy. Och! Daruj mi, biedna przyjaciółko, zapomniałam o naszym Ludwiku; ale czyż nie pisałaś, że przerobisz go na geniusza? Och! Wiem już, czemu chuchasz na niego niby na pisklę: żeby kiedyś być zrozumianą. Do widzenia – przychodzą mi do głowy niemądre koncepty, więc przerywam pisanie.

XVIII

PANI DE L'ESTORADE DO PANNY DE CHAULIEU

Kwiecień.

Drogi aniele – powinnam raczej napisać: drogi diable – zmartwiłaś mnie niechcący i gdybyśmy nie miały jednej duszy, powiedziałabym, żeś zraniła; ale czyż nie ranimy czasem i samych siebie? Jakże to wybornie widać, żeś nie zastanowiła się jeszcze nad tym słowem *nierozwiązalne,* zawartym w kontrakcie łączącym kobietę z mężczyzną! Nie chcę zaprzeczać ani filozofom, ani prawodawcom, gdyż oni i tak potrafią zaprzeczać sobie sami; ale, moja droga, czyniąc małżeństwo nierozerwalnym oraz narzucając mu jednakową dla wszystkich i bezlitosną formułę, sprawili, iż poszczególne stadła różnią się całkowicie między sobą, tak samo jak różnią się między sobą jednostki; każde z nich rządzi się innym, wewnętrznym prawem: prawo kierujące małżeństwem zamieszkałym na wsi, gdzie dwie istoty przebywają ustawicznie ze sobą, nie jest prawem małżeństw miejskich, wiodących dzięki rozrywkom żywot mniej jednostajny; prawo małżeństwa osiadłego w Paryżu, gdzie życie pędzi niczym górski potok, nie będzie władać małżeństwem prowincjonalnym, gdyż na prowincji życie jest spokojniejsze. Skoro zaś warunki zmieniają się stosownie do miejsca, zmieniają się tym bardziej, jeśli idzie o charaktery. Żona geniusza winna posłusznie kroczyć jego śladem, nato-

miast żona głupca, jeśli czuje się inteligentniejszą od niego, musi kierować machiną, w przeciwnym bowiem razie grożą im najokropniejsze nieszczęścia. Może w ostatecznym wyniku refleksja i rozsądek prowadzą do tego, co nazywamy zdeprawowaniem. Ale czy wyrachowanie w uczuciach nie jest dla nas zdeprawowaniem? Namiętność, co rozumuje, jest zdeprawowana; jej piękno zasadza się jedynie na niezależności, na mimowolnych porywach wyłączających wszelki egoizm. Ach! prędzej czy później powiesz sobie, moja droga: tak! obłuda jest dla kobiety równie konieczna jak gorset, jeśli przez obłudę rozumiemy milczenie tej, która milczeć ma odwagę, jeśli przez obłudę rozumiemy kalkulację niezbędną z uwagi na przyszłość. Każda mężatka uczy się własnym kosztem prawa socjalnego, nie dającego się w wielu punktach pogodzić z prawem natury. Kto w naszym wieku za mąż wychodzi, może mieć dwanaścioro dzieci; i jeśli będziemy je miały, popełnimy dwanaście zbrodni, spowodujemy dwanaście nieszczęść. Czyż nie rzucimy dwunastu uroczych istot na pastwę nędzy i rozpaczy? Natomiast dwoje dzieci to dwie radości, dwa błogosławieństwa, dwa twory harmonizujące z teraźniejszymi obyczajami i prawami. Prawo naturalne i kodeks to dwaj wrogowie, a my jesteśmy terenem ich walki. Czy nazwiesz zdeprawowaniem mądrość małżonki, która czuwa nad tym, żeby familia nie upadła na skutek istniejących w niej warunków? Jedno obliczenie albo tysiąc – i tak wszystko dla serca przepadnie. Uczynisz ten okrutny rachunek pewnego dnia, piękna baronowo de Macumer, kiedy zostaniesz dumną i szczęśliwą małżonką człowieka, który Cię ubóstwia; a raczej ów niepospolity człowiek, żeby Cię oszczędzić, sam go uczyni. Jak widzisz, głowo szalona, przestudiowałyśmy kodeks w tych punktach, gdzie dotyczy on miłości małżeńskiej. Przekonasz się, że ze środków, jakie zastosujemy, aby w łonie naszych rodzin szczęście utrwalić, będziemy zdawać rachunek tylko przed sobą i Bogiem; i więcej są warte kalkulacje, które do owego trwałego szczęścia przywodzą, niźli ślepa miłość, co wprowadza żałobę, waśnie i powoduje rozstanie. Przestudiowałam z całą bezwzględnością rolę żony i rolę matki rodu. Tak, drogi aniele, musimy dopuścić się wzniosłych kłamstw, ażeby stać się szlachetnymi istotami, jakimi jesteśmy przy spełnianiu swoich obowiązków. Oskarżasz mnie o obłudę, ponieważ chcę, aby Ludwik poznawał mnie po trochu, z dnia na dzień, i sama mu to wymierzam; ale czy nazbyt poufała znajomość nie prowadzi do rozłąki? Pragnę, w imię jego szczęścia, żeby był jak najbardziej zajęty, aby go trochę oderwać ode mnie. Oczywiście, że to nie jest kalkulacja namiętności. Czułość nie wyczerpie się nigdy, ale zupełnie inaczej bywa z miłością: a więc istotnym zadaniem uczciwej kobiety jest tak mądrze miłość rozdzielać, żeby starczyła na cale życie. Mogę Ci się wydać szkaradną, lecz mimo to powiem Ci, że trwam w swoich zasadach, uważając się za bardzo wielką i bardzo szlachetną. A cnota, moja pieszczotko, jest zasadą, której forma zewnętrzna zmienia się stosownie do środowiska: cnota w Prowansji, w Konstantynopolu, w Paryżu czy Londynie objawia się zupełnie inaczej, nie przestając być cnotą. Każde ludzkie życie jest kanwą najbardziej nieoczekiwanych kombinacji; ale z pewnej wysokości wydadzą się nam one wszystkie podobne do siebie. Gdybym zechciała ujrzeć Ludwika nieszczęśliwym i doprowadzić do separacji od stołu i łoża, wystarczyłoby mi dać mu się wodzić. Nie miałam takiego szczęścia jak Ty, gdyż nie spotkałam wyjątkowego mężczyzny, ale może kiedyś dożyję tej pociechy, uczyniwszy Ludwika człowiekiem wyjątkowym; spotkamy się za pięć lat w Paryżu. Nawet Ciebie zmylą pozory: oświadczysz mi, żem się pomyliła, gdyż pan de 1'Estorade był już w kołysce kimś wybitnym. Jeśli idzie o te piękne amory i wzruszenia, jakich tylko dzięki Tobie zaznaję, o te noce czuwania na balkonie, przy świetle gwiazd, o te przesadną adorację, o to ubóstwianie nas – wiem, że z tego wszystkiego zrezygnować muszę. Rozkwitasz w życiu, promieniując wedle własnej woli; moje życie zamyka się w granicach La Crampade, a Ty zarzucasz mi, że stosuję środki ostrożności, jakich wymaga kruche, sekretne i ubogie szczęście, aby stać się szczęściem trwałym, bogatym i tajemniczym! Sądziłam, że będąc żoną, pogodzę ów stan z urokiem kochanki, a czytając list rumieniłam się niemal, tak mi było wstyd za siebie. Która z nas dwóch ma rację? Może w równej mierze mylimy się obie i obie mamy rację, i może spo-

łeczeństwo sprzedaje nam bardzo drogo nasze koronki, tytuły i dzieci! Ja też mam swoje czerwone kamelie, a kwitną one na moich wargach i w uśmiechu, jakim obdarzam tych dwóch ludzi, ojca i syna, którym się poświęciłam, będąc jednocześnie ich niewolnicą i panią. Ale widzisz, moja droga, dostrzegłam dzięki Twoim ostatnim listom, co utraciłam! Dowiedziałam się od Ciebie o rozmiarach poświęcenia mężatki. Wystarczyło mi rzucić okiem na te piękne, dzikie stepy, po których Ty hasasz – a zresztą nie będę się rozwodzić na temat kilku łez uronionych nad Twoim listem; ale żałość nie jest wyrzutem, lubo to uczucia trochę pokrewne. Napisałaś: zamęście czyni kobietę filozofem! Niestety – nie! Odczułam to dobrze, kiedy płakałam na myśl, jak porywają Cię przepastne wiry miłości. Ale mój ojciec dał mi do przeczytania dzieło jednego z najgłębszych pisarzów pochodzących z naszych stron, jednego ze spadkobierców Bossueta, jednego z tych bezlitosnych polityków, dzięki którym krzepną nasze poglądy. Kiedyś Ty rozczytywała się w „Korynnie", ja czytałam Bonalda, i oto cały sekret filozofii mojej: pojęłam świętość rodziny. Twój ojciec w tym, co mówił, miał rację ze stanowiska Bonalda. Do widzenia, moja droga imaginacjo, moja przyjaciółko, Ty, co jesteś moim szaleństwem.

XIX

LUDWIKA DE CHAULIEU DO PANI DE L'ESTORADE

A no cóż, jesteś, moja Renatko, przecudowną kobietą; zgadzam się teraz, że kto oszukuje, ten uczciwy: kontenta już jesteś? A zresztą mężczyzna, który nas kocha, jest naszą własnością; mamy prawo uczynić zeń głupca albo geniusza; ale, mówiąc między nami, najczęściej czynimy zeń głupca. Przerobisz swojego na geniusza i zachowasz swój sekret: dwie wspaniałe zasługi! Ach! miałabyś Ty się z pyszna, gdyby nie było raju, boć przecież idziesz na dobrowolne męczeństwo. Chcesz go uczynić człowiekiem wybitnym, a jednocześnie ma bez przerwy kochać się w Tobie! Ach! jakaż Ty jesteś dziecinna: zupełnie dosyć, jeśli wytrwa w swoim uczuciu. Do jakiegoż to punktu wyrachowanie bywa cnotą, a cnota wyrachowaniem? – bardzom Twojej opinii ciekawa! Ale nie pokłócimy się o to, skoro mamy Bonalda! Jesteśmy i chcemy być cnotliwe; a jednak zdaje mi się w tym momencie, że mimo swoich uroczych krętactw jesteś więcej warta ode mnie. Tak, jestem ogromnie fałszywą dziewczyną: kocham Henareza, a taję to przed nim, pełna haniebnej obłudy. Chciałabym, żeby skoczył ze swojego drzewa na mur, a z muru na mój balkon; ale gdyby spełnił moje życzenie, spiorunowałabym go pogardą. Widzisz więc, jak straszliwie szczerą jestem! Co mnie zatrzymuje? Jakaż to tajemnicza potęga wzbrania mi opowiedzieć temu drogiemu Felipe o całym szczęściu, jakie spływa na mnie falami dzięki jego czystej, absolutnej, wielkiej i bogatej miłości? Pani de Mirbel[97] maluje obecnie mój portret i pewnie obdarzę go nim, moja droga. Z każdym dniem coraz bardziej mnie zadziwia, ile miłość nadaje życiu energii. Jakież ciekawe stają się godziny, uczynki, a nawet wszelkie błahostki. I jakże cudownie przyszłość z przeszłością w teraźniejszości się miesza. Żyję równocześnie w trzech epokach! Ale czy ów stan nie przeminie, kiedy zaznam szczęścia? Och! Odpowiedz mi, napisz, czym jest szczęście, czy ono uspokaja, czy też podnieca? Trawi mnie śmiertelny niepokój, nie wiem już, jak mam postępować: istnieje w moim sercu siła, która ciągnie mnie do Henareza, wbrew rozsądkowi i konwenansom. No i wreszcie rozumiem ciekawość, jakiej doznawałaś w stosunku do Ludwika – czy jesteś

[97] Pani de M i r b e l (1796–1849) – modna w okresie Restauracji portrecistka-miniaturzystka.

kontenta? Szczęście, jakim Felipe syci się z tej racji, że jest mój, jego miłość, którą z daleka mnie darzy, i to posłuszeństwo niecierpliwią mnie w tym samym stopniu, co irytował ów głęboki respekt, kiedy był tylko moim nauczycielem hiszpańskiego. Kusi mnie, żeby zawołać, gdy przechodzi: Głupcze, jeśli kochasz mnie niby wizerunek, cóż by się stało, gdybyś rzeczywistość poznał!

Och, Renato! palisz moje listy, nieprawdaż? Bo ja spalę Twoje. Gdyby jakiś obcy wzrok padł na te myśli, co serce do serca przelewa, rozkazałabym Henarezowi wyłupić te oczy i dla większej pewności zabić kilka osób.

Poniedziałek.

Och, Renato! Jak zgłębić serce mężczyzny? Mój ojciec musi mnie przedstawić temu Twojemu panu de Bonald, a skoro to człowiek taki uczony, wypytam go o to. Bóg jest bardzo szczęśliwy, gdyż potrafi czytać z głębi serca. Czy jestem wciąż aniołem dla tego człowieka? Oto cała zagadka.

Jeślibym kiedykolwiek w geście, spojrzeniu, intonacji głosu dostrzegła, iż osłabł ów respekt, którym darzył mnie, kiedy był moim nauczycielem hiszpańskiego, czuję, że nie zabrakłoby mi sił, aby o wszystkim zapomnieć! I na cóż te wielkie słowa i wielkie postanowienia? – zapytasz. Posłuchaj, luba: mój czarujący ojciec, który postępuje ze mną niczym stary galant z Włoszką, zamówił, jak wiesz, mój portret u pani de Mirbel. Znalazłam sposób, aby uzyskać wcale dobrą kopię, którą podaruję księciu, a oryginał dostanie Felipe. To znaczy, już dostał, gdyż posłałam mu go wczoraj, dołączywszy tych kilka słów:

Don Felipe, ślepa ufność jest odpowiedzią na Pańskie bezgraniczne oddanie: czas pokaże, czy nie przypisano mężczyźnie zbytniej wielkości.

Nagroda nie jest mała, ma pozory obietnicy, a nawet, rzecz to okropna, i zachęty; ale – i to jeszcze okropniejszym Ci się wyda – chciałam, żeby nagroda wyrażała obietnicę i zachętę, nie posuwając się do propozycji. Jeśli w jego odpowiedzi będzie „moja Ludwiko" albo tylko „Ludwiko", jest zgubiony.

Wtorek.

Ocalał! Ten minister konstytucyjny jest godnym podziwienia kochankiem. Oto list jego:

Każdy moment, kiedy nie widziałem Pani, wypełniałem myślami o Niej: zamknąwszy oczy na cały otaczający mnie świat, tonąłem w medytacji nad Pani obrazem, który nie zarysowywał się nigdy zbyt szybko, jak na moje pragnienia, pod stropem mrocznego pałacu, gdzie pojawiają się senne majaki i gdzie Pani zabłysłaś światłem swoim. Ale teraz oko moje spoczywać będzie na tej przecudnej miniaturze, winienem powiedzieć raczej: talizmanie, gdyż dla mnie ożywa błękit Pani oczu, a malowidło staje się natychmiast rzeczywistością. Ten list spóźni się trochę, nie byłem w stanie przerwać radosnej kontemplacji, w czasie której mówiłem Pani to wszystko, com zmilczeć powinien. Tak, od wczoraj, zamknięty z Panią, oddaję się pierwszy raz w życiu całkowitemu, absolutnemu, nieskończonemu szczęściu. Gdybyś mogła zobaczyć Pani, gdziem Twój konterfekt postawił – między Najświętszą Dziewicą a Bogiem – zrozumiałabyś, jaki okropny niepokój dręczył mnie tej nocy; ale mówiąc o nim nie chciałbym Pani obrazić, albowiem spojrzenie pozbawione owej anielskiej dobroci, którą żyję, zadałoby mi taką boleść, że z góry o przebaczenie proszę. Czyżbyś, o królowo mojego życia i duszy mojej, raczyła obdarzyć mnie tysiączną częścią tej miłości, którą Cię pokochałem?

Owo „czyżbyś" w tej nieustającej modlitwie spustoszyło duszę moją. Byłem między wiarą a błędem, między życiem a śmiercią, między ciemnościami a światłością. Zbrodniarzem oczekującym na wyrok nie nurtuje większy niepokój niż ten, który mną miotał, kiedym się oskarżał o zuchwalstwo swoje. Uśmiech oddany przez artystkę na wargach Pani, uśmiech, który co chwila jawił mi się przed oczami, uciszał tę burzę wywołaną lękiem, iż mógłbym Panią zagniewać. Nikt nigdy nie uśmiechnął się do mnie, nawet matka. Piękna panna, którą mi przeznaczono, odepchnęła moje serce i zakochała się w moim bracie. Moje wysiłki w polityce przyniosły klęskę. W oczach mojego króla dostrzegałem tylko żądzę zemsty; i już od wczesnej młodości takimi byliśmy wrogami, że uchwałę, na mocy której kortezy dały mi władzę, poczytywał za okrutną obelgę. Choćbym więc i najsilniejszą miał duszę, zakradłoby się do niej przynajmniej zwątpienie. A zresztą patrzę na siebie bezstronnie: znam swoją szpetotę i wiem, jak trudno oszacować serce bijące pod taką powłoką. Zostać pokochanym było jedynie ułudnym marzeniem, gdym zobaczył Panią. Toteż kiedy przywiązałem się do Pani, zrozumiałem, że tylko poświęcenie mogłoby usprawiedliwić moje uczucie. Kiedym wpatrywał się w ów portret i w uśmiech pełen boskich obietnic, duszę moją rozświetliła nadzieja, której nigdy nie dopuszczałem. Ale z tą jutrzenką walczą uparcie mroki zwątpienia, lęk, że obrażę Panią, jeśli pozwolę jutrzence zaświtać. Nie, nie możesz Pani kochać mnie jeszcze, czuję to; jednak, w miarę jak będziesz doświadczać Pani potęgi, trwałości i rozmiarów mojego najgłębszego, na jaki stać człowieka, afektu, wyznaczysz mu odrobinę miejsca w sercu swoim. Jeśli moja ambicja obelgą jest dla Ciebie, powiedz mi to bez gniewu, a wrócę do dawnej roli; gdybyś jednak w dobroci swojej próbowała mnie pokochać, daj znak, zachowując wszelkie ostrożności, temu, kto całe szczęście swojego życia w Pani jedynie służbę oddaje.

Moja droga, kiedy przeczytałam te ostatnie słowa, wydało mi się, że widzę go pobladłego, jak owego wieczoru, gdym pokazując mu kamelię przyjęła skarby jego oddania. Dopatrzyłam się w tych kornych zdaniach czegoś więcej niźli pospolitego kwiatu retoryki na użytek kochanków skomponowanej i uczułam w sobie jakby wielkie poruszenie... wiew szczęścia.

Pogoda była szkaradna, nie mogłam więc udać się do Lasku Bulońskiego nie ściągając na siebie osobliwych podejrzeń, gdyż i moja matka, która często w słotę wychodzi, pozostała samotna u siebie.

Środa wieczór.

Widziałam go właśnie w Operze. Moja droga, to już nie ten sam człowiek: odwiedził nas w loży, a zaprezentował go ambasador Sardynii. Wyczytawszy z moich oczu, że ta śmiałość nie uraziła mnie wcale, wydał mi się jakby zaambarasowany swoją osobą i do margrabiny d'Espard przemówił jako do margrabianki. Oczy jego tak się iskrzyły, że przygasło światło żyrandoli. Na koniec wyszedł, ale z taką miną, jakby obawiał się popełnić jakiś okropny nietakt. „Baron de Macumer jest zakochany!" – rzekła pani de Maufrigneuse do mojej matki. „Tym to dziwniejsze, że jest upadłym ministrem" – odparła moja matka. Miałam siłę spojrzeć na panią d'Espard, panią de Maufrigneuse i matkę z ciekawością osoby nie rozumiejącej obcego języka, a która usiłuje odgadnąć, o czym mowa; jednocześnie uległam utajonej a rozkosznej radości, w której skąpała się moja dusza. Jednym tylko słowem określić mogę to, czegom doznała: to zachwycenie. Felipe kocha tak bardzo, że uznałam go miłości godnym. Jestem ni mniej, ni więcej tylko źródłem jego życia i trzymam w ręce nić myśli jego. Wreszcie, skoro mamy sobie wszystko mówić, zrodziła się we mnie nieposkromiona chęć, aby zwyciężył wszystkie przeszkody i stanąwszy przede mną mnie samą o mnie poprosił: muszę wiedzieć, czy ta nieokiełzana miłość stanie się znów korna i cicha od jednego mojego spojrzenia.

Ach, moja droga, przerwałam to pisanie i drżę jak liść. Siedząc nad tym listem, usłyszałam jakiś szelest w ogrodzie. Wstałam więc, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ujrzałam z okna, jak chodził po murze, a przecież mógł się zabić. Stanęłam w oknie swojego pokoju i dałam mu tylko jeden znak; zeskoczył z muru, a ten mur ma dziesięć stóp wysokości; potem przebiegł na drugą stronę ulicy, żebym mogła go zobaczyć: chciał mi pokazać, że nie zrobił sobie żadnej krzywdy. Ta przytomność, w momencie gdy musiał być ogłuszony upadkiem, tak mnie wzruszyła, że płaczę nie wiedząc czemu. Biedny brzydal! Czegóż on tu szukał, co chciał mi powiedzieć?

Nie odważę się przenieść na papier swoich myśli i położę się spać ogarnięta radością, medytując nad tym wszystkim, co powiedziałybyśmy sobie, gdybyśmy były razem. Do widzenia, piękna niemowo! Nie mam czasu, aby Cię wyłajać za to długie milczenie, ale z górą od miesiąca nie przychodzą żadne nowiny od Ciebie. Czyżbyś przypadkiem była szczęśliwą? Może utraciłaś już ową niezawisłość, co napawała Cię taką dumą, a która dziś wieczór o mało nie przepadła dla mnie?

XX

PANI DE L'ESTORADE DO LUDWIKI DE CHAULIEU

Maj.

Skoro miłość jest życiem świata, czemuż surowi filozofowie z małżeństwa ją usuwają? Czemu społeczeństwo poświęca kobietę rodzinie, a uznając taki stan rzeczy za najwyższe prawo, stwarza, gdyż to owego prawa nieubłagana konsekwencja, głuchą walkę w łonie małżeńskiego stadła? Społeczeństwo przewidziało zresztą tę walkę, a jest ona tak niebezpieczna, że wymyśliło ustawy, aby uzbroić mężczyznę przeciw nam, spenetrowawszy, iż możemy unicestwić wszystko, już to potęgą uczucia, już to uporem tajonej nienawiści. Widzę teraz w małżeństwie dwie przeciwne siły, które prawodawca winien był połączyć; kiedyż połączą się one? – oto, com sobie powiadała czytając Twój list. Och! moja droga, jeden Twój list zrujnował tę budowlę wzniesioną przez wielkiego pisarza z Aveyron[98],w której zamieszkałam ze słodkim ukontentowaniem. Prawa ułożyli starcy, a dostrzegły to kobiety; orzekli bardzo rozumnie, iż miłość małżeńska pozbawiona namiętności bynajmniej nas nie upadla i że kobieta winna oddawać się nie kochając, skoro tylko prawo dozwoli mężczyźnie uczynić ją swoją własnością. Dbając tylko o rodzinę, wzięli przykład z natury, co niepokoi się jedynie tym, żeby przedłużyć gatunek. Dawniej byłam kimś, a teraz jestem rzeczą! Niejedną łzę stłumiłam, tutaj, daleko, osamotniona, a przecież chętnie bym ją oddała za kojący uśmiech. Skąd pochodzi nierówność naszych losów? Miłość dozwolona wzbogaciła Twoją duszę. Dla Ciebie cnota będzie zawierać się w rozkoszy. Będziesz cierpieć tylko wtedy, jeśli sama zechcesz. Twój obowiązek, jeśli poślubisz swojego Felipe, stanie się najsłodszym i najbardziej ekspansywnym spośród uczuć. Nasza przyszłość jest brzemienna w odpowiedzi i czekam na nie, pełna niespokojnej ciekawości.

Kochasz, jesteś uwielbiana. Och! droga, zatoń w tym pięknym poemacie, którym przejmowałyśmy się tak szczerze. Bóg obdarzył Cię subtelną i uduchowioną urodą, abyś mogła nią czarować i podbijać serca: Bóg ma swoje zamysły. Tak, mój aniele, strzeż dobrze tajemnicy

[98] W i e l k i p i s a r z z A v e y r o n – tj.: de Bonald.

swojego uczucia i poddaj swego Felipe subtelnym próbom, które wynalazłyśmy, aby przekonać się, czy wyśniony kochanek będzie nas godzien. Zbadaj raczej, czy Ty go kochasz, a nie, czy on Cię kocha: nie ma nic bardziej zwodniczego niźli miraż zrodzony w naszej duszy na skutek ciekawości, pożądania, wiary w szczęście. Ty z nas obu pozostałaś nietknięta, kochanie, nie narażaj się więc, nie zapewniwszy sobie odwrotu, na zgubną transakcję nierozerwalnego małżeństwa, błagam Cię! Bywa tak, że jeden ruch, słowo, spojrzenie w trakcie rozmowy bez świadków, kiedy dusze są rozdziane z obłudy światowej, rzuci światło w otchłanie. Jesteś na tyle szlachetna i pewna swej cnoty, że możesz kroczyć śmiało ścieżkami, na których zgubiłaby się inna dziewczyna. Nie uwierzyłabyś nawet, z jak okropnym śledzę Cię niepokojem. Widzę Cię, choć jesteś daleko ode mnie, i przeżywam Twoje wzruszenia. Toteż nie zaniedbuj naszej korespondencji i nie pomijaj w listach niczego. Twoim listom zawdzięczam życie pełne namiętności, tutaj w tym moim małżeństwie, tak pospolitym, spokojnym, nie dostarczającym żadnych emocji, niby gościniec w bezsłoneczne dni. To, co się tutaj dzieje, mój aniele, jest pasmem wybiegów, które muszę stosować wobec samej siebie, ale dziś chciałabym zachować je w sekrecie: napiszę Ci o nich innym razem. Oddaję się i odbieram z posępnym uporem, od zwątpienia do nadziei przechodząc. Może domagałam się od życia większej szczęśliwości, niźli życie dać nam powinno. W dzieciństwie skłaniałyśmy się ufnie ku pragnieniu, aby ideał zgadzał się z rzeczywistością! Moje rozważania, a teraz w samotności je snuję siedząc u stóp wielkiego głazu w moim parku, przywiodły mnie do wniosku, że miłość w małżeństwie jest przypadkiem, na którym nie podobna oprzeć prawa, co ma wszystkim rządzić. Mój filozof z Aveyron nie myli się uważając rodzinę za jednostkę socjalną: zdaniem więc owego mistrza kobieta musi jej podlegać, jak to zresztą było od początku świata. Rozwiązanie tego wielkiego problemu, niemalże straszliwe dla nas, kryje się w naszym pierwszym dziecku. Toteż chciałabym zostać matką choćby z tego względu, żeby chłonna energia mojej duszy pokarm znalazła.

Ludwik nie ustaje w zachwycającej dobroci, jego miłość jest aktywna, a moje uczucie abstrakcyjne; jest szczęśliwy, zbiera kwiaty na własny użytek, nie troszcząc się o wysiłki ziemi, która je rodzi. Szczęsny egoizm! Choćby mnie to miało nie wiem ile kosztować, nie rozwiewam jego złudzeń, niby matka gotowa dać sobie głowę uciąć, byle sprawić przyjemność dziecku, gdyż tak rolę matki rozumiem. Jego radość jest tak głęboka, że nie tylko go oślepia, ale rzuca na mnie swoje odblaski. Oszukuję Ludwika spojrzeniem albo uśmiechem pełnym ukontentowania, które daje mi pewność, że uszczęśliwiam mojego małżonka. Dlatego w poufalszych momentach nazywam go swoim dziecięciem. Czekam na owoc tylu wyrzeczeń, które pozostaną tajemnicą między Tobą, mną i Bogiem. Macierzyństwo jest przedsięwzięciem, któremu otwarłam olbrzymi kredyt; już dzisiaj nazbyt jest u mnie zadłużone, boję się, że nie wypłaci mi wszystkiego: ma przecież rozwinąć moją energię i wzbogacić serce, dać mi odszkodowanie w postaci nieprzebranego szczęścia. Boże! obym się nie pomyliła! W tym jest cała przyszłość moja i, pomyśleć straszno, przyszłość mojej cnoty.

XXI

LUDWIKA DE CHAULIEU DO RENATY DE L'ESTORADE

Czerwiec.

Droga zamężna sarenko, Twój list nadszedł w samą porę, gdyż mogłam dzięki niemu wytłumaczyć się przed sobą z zuchwalstwa, o którym myślę teraz dniem i nocą. Istnieje we mnie jakaś nieokreślona tęsknota za tym, co nieznane, albo, jeśli wolisz, zakazane, i niepokoi mnie ona świadcząc o walce toczącej się głęboko we mnie, walce między prawami społeczeństwa a prawami natury. Nie wiem, czy natura jest we mnie silniejsza niźli społeczne prawa, ale stwierdzam nie bez pewnego zdziwienia, żem chętnie przystała na ugodę między rzeczonymi potęgami. Nie bawiąc się w dalsze omówienia, wyjawię Ci, że zechciałam pogawędzić z moim Felipe sam na sam, ot tak przez godzinę, w nocy, pod lipami, na krańcach naszego ogrodu. Oczywiście na takie zachcenie może zdobyć się tylko dziewczyna zasługująca na miano s p r y t n e j k u m o s z k i, jakie daje mi żartobliwie księżna – a i ojciec tej opinii nie przeczy. Tak czy inaczej, uważam ów występek za roztropny i mądry. Nagradzając za tyle nocy pod moim spędzonych murem, chciałam się dowiedzieć, co też Felipe o takiej pomyśli eskapadzie, i chciałam go w podobnym przejrzeć momencie; uczynić go swoim małżonkiem, jeśli błąd mój do boskich zaliczy kaprysów; albo rozstać się z nim na zawsze, jeśli nie okaże się bardziej pokorny i drżący niż na Polach Elizejskich, kiedy jadąc konno ukłon mi składa. Jeśli idzie o moją reputację, ryzykuję mniej wyznaczając mojemu amantowi to spotkanie niżli przesyłając mu uśmiechy u pani de Maufrigneuse albo u starej margrabiny de Beauséant, gdzie szpiegują nas obecnie ze wzmożoną uwagą, gdyż Bóg jeden wie, jakim argusowym okiem śledzą wszyscy pannę, co interesuje się takim jak Macumer potworem. Ach! gdybyś wiedziała, jaki mną targał niepokój, kiedy dumałam o tym projekcie, ilem się nad jego realizacją nagłowiła. Smutno mi, że nie jesteśmy ze sobą, aby pogwarzyć przez kilka godzin, błądząc po labiryncie niepewności, uradowane naprzód wszystkim, złym albo dobrym, co wyniknie z pierwszej nocnej schadzki, osnutej mrokiem i ciszą, pod pięknymi lipami pałacu książąt de Chaulieu, kiedy listowie będzie przesączać, niby gęste sito, migotliwą poświatę księżyca. Drżałam w samotności, pytając co chwila: „Ach! gdzież jesteś, Renato?" Otóż Twój list podziałał niczym iskra na beczkę z prochem: z moich ostatnich skrupułów nie zostało ani śladu. Rzuciłam przez okno mojemu osłupiałemu adoratorowi dokładny rysunek klucza od furtki przy końcu ogrodu, dołączając taki bilecik:

Chcę powstrzymać Pana od dalszych szaleństw. Skręciwszy sobie kark, okryjesz hańbą osobę, w której, jak powiadasz, jesteś Pan zakochany. Czy zasługujesz na nowy dowód zaufania i czy jesteś godzien, aby pomówiono z Panem o tej godzinie, kiedy księżyc, padając na lipy, cień ich aż do końca ogrodu wydłuża?

Wczoraj o pierwszej w nocy, akurat kiedy Griffith kładła się spać, rzekłam do niej: „Niechże droga pani z łaski swojej okryje się szalem i towarzyszy mi do ogrodu. Nikt nie może się o mojej przechadzce dowiedzieć!" Poszła za mną bez słowa. Ileż ja wtedy przeżyłam, droga Renatko! Po krótkim oczekiwaniu, pełnym uroczej niespokojności, dostrzegłam go: prześlizgiwał się niby cień. Znalazłszy się bez przeszkód w ogrodzie, powiedziałam do miss Griffith: „Niech się pani niczemu nie dziwi. Jest tutaj baron de Macumer i z tej właśnie przyczyny zabrałam panią". Nic nie odrzekła.

– Czego żądasz pani ode mnie? – ozwał się Filipe, a wzruszenie drżące w jego głosie świadczyło, że szelest naszych sukien w nocnej ciszy i leciutki szmer kroków na piasku przyprawiły go o głęboką konfuzję.

– Chcę oznajmić panu to, czego napisać by mi nie wypadało – odrzekłam. Griffith oddaliła się na sześć kroków. Noc była ciepła, przesycona wonią kwiatów; odczułam w tym momencie upajającą radość byłam z nim prawie sam na sam, otulona łagodnym mrokiem lip, poza którymi ogród lśnił tym jaśniejszą poświatą miesiąca, że odbijała ją biała fasada pałacu. W tym kontraście taił się mglisty jeszcze obraz sekretu naszej miłości, która i tak musi wyjść na jaw, gdyż zaślubiny nasze głośnym będą ewenementem. Poddawaliśmy się przez chwilę rozkoszy, jaką budziła w nas ta nowa dla obojga sytuacja, a obydwoje byliśmy nią jednakowo zdziwieni. Wreszcie odzyskałam mowę.

– Lubo nie lękam się kalumnii, nie życzę sobie, abyś wdrapywał się pan na to drzewo – rzekłam pokazując ręką wiąz – ani na ten mur. Już dość długo zachowywaliśmy się – pan jak uczniak, a ja jak pensjonarka; wznieśmy nasze sentymenta tam, gdzie nasze losy rozegrać się powinny. Gdybyś pan, spadłszy, życie postradał – ja umarłabym zhańbiona... – Spojrzałam na niego, był trupio blady. – A gdyby ktoś pana przyłapał, na mnie lub na matkę moją padłoby podejrzenie...

– Wybacz mi, pani – ozwał się cicho.

– Będziesz się pan od tej pory przechadzał po bulwarze: jeśli zechcę pana zobaczyć, otworzę okno; ale narażę pana i sama narażę się na niebezpieczeństwo tylko w poważnych okolicznościach. Czemu zmusiłeś mnie pan swoją nieroztropnością do popełnienia innej nieroztropności? Jakąż pan będziesz miał o mnie opinię, skoro takie sobie wystawiam świadectwo? – Łzy, które w jego oczach zabłysły, wydały mi się najpiękniejszą odpowiedzią na świecie. – Mój czyn jest nadzwyczaj ryzykowny, inaczej pan sądzić nie możesz... – dodałam z uśmiechem.

Przeszliśmy dwa lub trzy razy pod drzewami, a potem on przerwał milczenie:

– Oczywiście uważasz mnie pani za głupca, ale jestem tak upojony szczęściem, że zabrakło mi sił i dowcipu; wiedz jednak, pani, iż w moich oczach uświęcasz swoje postępki już przez to samo, że pozwoliłaś sobie na nie. Respekt, jaki żywię dla pani, mógłbym porównać jedynie z respektem, którym otaczam Boga. A zresztą jest tutaj miss Griffith...

– Felipe, miss Griffith jest tutaj ze względu na innych, a nie ze względu na nas – przerwałam żywo. Ten człowiek zrozumiał mnie, moja droga.

– Wiem dobrze – podjął rzucając mi najpokorniejsze spojrzenie – że gdyby jej tu nie było, rozmowa nasza takim samym potoczyłaby się torem: cóż z tego, że nieobecni są świadkowie, skoro Bóg nigdy nie spuszcza z nas oka, a jeśli o nas idzie, to nie mniej nam na własnym niż na ludzkim szacunku zależy.

– Dziękuję, Felipe – odrzekłam podając mu rękę gestem, który łatwo wystawić sobie możesz. – Kobieta, bo uważaj mnie pan za kobietę, jest wielce skłonna pokochać mężczyznę, który ją rozumie. Och! Tylko skłonną – powtórzyłam kładąc palec na wargach. – Nie chcę, abyś żywił pan więcej nadziei, niźli dać jej pragnę. Moje serce będzie należeć tylko do tego mężczyzny, co potrafi w nim czytać i przeniknąć je zdoła. Nasze sentymenta, różniąc się cokolwiek od siebie, winny przybrać jednakie rozmiary i dążyć na te same wyżyny. Nie zamierzam wynosić się na piedestał, gdyż według mnie to, co za przymioty poczytuję, zawiera na pewno i wady; nie jestem więc doskonałością, a będąc nią okropnie bym się martwiła...

– Najpierw przyjęłaś mnie pani na sługę, a teraz dozwalasz, abym cię pokochał – mówiąc to drżał i spoglądał na mnie przy każdym słowie – otrzymałem więcej, aniżeli pragnąłem zrazu.

– Ależ – odparłam z ożywieniem w głosie – z nas dwojga pan lepszy los wyciągnąłeś; zamieniłabym się chętnie, a ta zamiana pana dotyczy.

– Teraz ja winienem dziękować pani – odparł mi na to – znam obowiązki lojalnego kochanka. Muszę dowieść pani, że jestem jej godzien, a pani masz prawo doświadczać mnie tak

długo, jak ci się spodoba. Możesz pani – o Boże – odepchnąć mnie, gdybym zawiódł twoje nadzieje.

– Wiem, że kochasz mnie pan – odpowiedziałam. – Nikogom dotąd innego nie wyróżniła – dodałam z okrutnym naciskiem – i dlatego jesteś tutaj.

Jęliśmy znów spacerować i wyznać Ci muszę, że, ośmielony nieco, mój Hiszpan roztoczył przede mną skarby prawdziwej elokwencji serca, oświadczając mi nie namiętność, ale tkliwe uczucia; albowiem umiał wyrazić swoje sentymenta porównując je prześlicznie do miłości bożej. Jego urzekający głos, który osobliwej wartości i tak już wielce subtelnym myślom przydawał, był podobny kląskaniu słowika. Mówił cicho, miarkując te rozkoszne brzmienia, ale zdania pędziły niby potok wrzącej lawy: uczucia, które w jego sercu wezbrały, wystąpiły z brzegów. „Zaprzestań pan już swoich dyskursów – rzekłam – bawię tu dłużej, niżbym powinna". I skinęłam mu ręką na pożegnanie. „Pani już po słowie" – zauważyła miss Griffith. „Może by tak było w Anglii, ale nie we Francji – rzuciłam niedbale. – Chcę wyjść za mąż z miłości i nie zostać oszukaną, ot i wszystko". Widzisz, moja droga, miłość nie przyszła do mnie, postąpiłam więc jak Mahomet ze swą górą.

Piątek.

Zobaczyłam się znowu ze swoim niewolnikiem: stał się lękliwy, tajemniczy, z twarzy jego przebija rozmodlenie, i to mi się podoba; owładnęła nim moja świetność i potęga. Ale nie ma ani w jego wzroku, ani w sposobie bycia nic takiego, co dozwoliłoby jasnowidzącym damom z wielkiego świata posądzić go o tę bezgraniczna miłość, którą ja widzę. A jednak, moja droga, nie porwał mnie, nie opanował ani nie ujarzmił; przeciwnie, to ja ujarzmiam, opanowuję i porywam... Słowem, rozumuję. Ach! jakżebym chciała, aby wróciła do mnie ta trwoga, jaką budził we mnie fascynujący czar nauczyciela, mieszczanina, człowieka, przed którym się wzdragałam. Istnieją dwa rodzaje miłości: miłość, co rozkazuje, i miłość, która słucha; różnią się od siebie i rodzą niejednakowe namiętności; kobieta, która chce gruntownie poznać życie, powinna chyba doświadczyć i jednego, i drugiego z owych afektów. A czy te dwie namiętności mogą pomieszać się ze sobą? Czy mężczyzna, w którym obudziłyśmy miłość, tak samo w nas miłość obudzi? Czy Felipe zostanie kiedyś moim panem? Czy będę kiedyś drżała, tak jak on teraz drży przede mną? Na myśl o tym dreszcz mnie przejmuje. Przecież on jest ślepcem! Znalazłszy się na jego miejscu, tam pod lipami, stwierdziłabym, że panna de Chaulieu kokietuje rozmyślnym chłodem, jest osobą sztuczną i wyrachowaną. Nie, to nie miłość, to igranie z ogniem. Felipe podoba mi się nadal, ale czuję się teraz spokojną, wróciła mi swoboda. Nie ma już przeszkód! Co za straszliwe słowo. Wszystko we mnie przygasa, osiada, boję się medytować, co jest tego przyczyną. Źle zrobił tając przede mną gwałtowny płomień swojej miłości, gdyż tym samym dopuścił, abym nad sobą zapanowała. Krótko mówiąc, zawiniłam, ale żadnego z tej przewiny nie odniosłam profitu. Tak, droga, lubo wspomnienie tej chwili spędzonej pod drzewami wielką mnie przejmuje słodyczą, to jednak owa schadzka dała mi bez porównania mniej rozkoszy niż emocje, których doświadczałam, gdym sobie mówiła: pójść czy nie pójść? A może napisać do niego? A może nie napisać wcale? Czy tak będzie z każdą naszą radością? A może lepiej ją odwlec aniżeli pozwolić sobie na nią? Nie jestże nadzieja więcej warta niż posiadanie? Czy bogacze nie są ubogimi? Czyśmy obie nie przesadziły w sentymentach naszych, rozwijając nadmiernie siły imaginacji? Są chwile, kiedy ta myśl mnie mrozi. A wiesz dlaczego? Dumam nad powrotem do ogrodu, ale bez panny Griffith. Imaginacja nie zna granic, przyjemności ograniczać trzeba. Powiedz mi, drogi doktorze w gorsecie, jak pogodzić te dwa przeciwieństwa kobiecego losu!

XXII

LUDWIKA DO FELIPE

Nie jestem z Pana kontenta. Jeśli nie płakałeś Pan, czytając „Berenikę" Racine'a, jeśli nie uznałeś jej za najstraszliwszą z tragedyj, nie pojmiesz mnie wcale, nigdy się nie zrozumiemy: zerwijmy, przestańmy się widywać, zapomnij Pan o mnie; gdyż jeśli nie odpowiesz mi w zadowalający sposób, zapomnę o Panu, staniesz się Pan dla mnie tylko panem baronem de Macumer, a raczej obrócisz się w nicość, jakbyś w ogóle nigdy nie istniał. Wczoraj, u pani d'Espard, miałeś Pan jakąś – trudno mi to bliżej określić – wielce zadowoloną minę, która mi się zdecydowanie nie podobała. Wyglądałeś na człowieka, który jest pewien, że go pokochano. Krótko mówiąc, przeraziła mnie Pańska swoboda i nie poznałam w Panu owego sługi, którym mieniłeś się pisząc swój pierwszy list. Nie tylko nie byłeś Pan posępny i milczący, jak na człowieka zakochanego przystało, ale zdobywałeś się na koncepty. Tak się człowiek prawdziwie wierzący nie zachowuje: bóstwo bez ustanku przytłaczać go musi. Jeśli nie jestem wyższą nad inne kobiety, jeśli nie uważasz mnie Pan za źródło swojego życia, jestem mniej niż kobietą, gdyż w takim razie jestem kobietą po prostu. Obudziłeś Pan moją nieufność, Felipe: szemrała niestrudzenie, aby zagłuszyć głos czułości, a kiedy spoglądam w przeszłość naszą, widzę, że nieufną być mam prawo. Dowiedz się, panie ministrze konstytucyjny wszystkich królestw Hiszpanii, żem głęboko rozważyła nieszczęsną kondycję płci białej. Niewinność moja dzierżyła w dłoniach dwie pochodnie, nie oparzywszy się wcale. Posłuchaj Pan tylko, co rzekła moja młoda eksperiencja – powtarzam to Panu. W każdej innej dziedzinie dwulicowość, szalbierstwo i niedotrzymanie obietnic natrafiają na sędziów, a ci sędziowie wyznaczają karę; ale inaczej jest w miłości, która musi być jednocześnie ofiarą, oskarżycielem, obrońcą, trybunałem i katem; gdyż tutaj najokropniejsze oszustwa i najstraszliwsze zbrodnie na jaw nie wychodzą, terenem ich, dla świadków niedostępnym, jest to, co się dzieje między dwiema duszami, a ofiara dla własnego dobra zmilczeć woli. Miłość ma więc swój własny kodeks i swoją własną zemstę: świat nie ma prawa mieszać się do nich. Otóż postanowiłam nie przebaczyć nigdy żadnej zbrodni, a w sprawach serca nie istnieje nic takiego, co można by lekko traktować. Wczoraj sprawiałeś Pan wrażenie człowieka, który jest pewien, że go pokochano. Myliłbyś się Pan, nie mając tej pewności, ale zostałbyś w moich oczach zbrodniarzem, gdyby to przekonanie odarło Cię z naiwnego wdzięku, którym otaczał Cię niegdyś niepokój, jaki budzi nadzieja. Nie chcę widzieć Pana lękliwym ani pyszałkiem, nie chcę, abyś drżał, że utracisz mój afekt, gdyż byłoby to zniewagą; ale nie chcę również, aby poczucie bezpieczeństwa dozwoliło przechodzić Panu do porządku nad miłością swoją. Nie powinieneś Pan nigdy cieszyć się większą wolnością niż ta, z której ja korzystam. Jeśli nie zaznałeś Pan udręki, w jakiej jedna choćby wątpliwość duszę pogrążyć zdoła, strzeż się, abym Ci jej nie zadała. Z jednego mojego spojrzenia wniosłeś, że jestem Twoją, wyczytałeś to w moich oczach. Posiadłeś najczystsze uczucia, jakie kiedykolwiek zrodziły się w dziewczęcej duszy. Refleksje, medytacje, o których mówiłam Panu, wzbogaciły tylko umysł; ale kiedy serce urażone zwróci się o radę do inteligencji, wierz mi, że wtedy dziewczyna jest podobna aniołowi, który wie wszystko i wszystko może. Przysięgam Panu, Felipe, skoro kochasz mnie tak, jak się spodziewam, iż jeśli z Twojego powodu podejrzewać zacznę, że onieśmielenie, gotowość posłuszeństwa, kornego oczekiwania i uzależnienia życzeń ode mnie w najdrobniejszej choćby osłabły mierze, jeśli odczuję pewnego dnia najlżejszy choćby chłód w tej pierwszej i pięknej miłości, z którą Twoja dusza przyszła do duszy mojej, nie powiem nic, nie będę Cię nudzić mniej lub więcej godnym, dumnym, zagniewanym albo tylko zrzędnym, jak ten, li-

stem; nie powiem Panu nic, Felipe: zobaczyłbyś mnie tylko smutną, tak jak smutni bywają ludzie przeczuwający bliską śmierć; ale nie umrę nie potępiwszy Pana w najstraszniejszych słowach, nie zhańbiwszy do ostatnich granic tej, którą kochałeś, nie zasiawszy w Twoim sercu wieczystej żałości, albowiem ujrzałbyś mnie tu na ziemi w ludzkich oczach zgubioną, a w przyszłym życiu potępioną na zawsze.

Toteż nie budź we mnie zazdrości o inną Ludwikę, Ludwikę będącą przedmiotem świętego uczucia, Ludwikę, której dusza rozkwitała w miłości nie znającej cienia, i jak wzniośle mówi Dante:

Senza brama, sicura ricchezza![99]

– posiadała bogactwa nie lękając się o nie, gdyż utracić ich nie podobna!

Wiedz Pan, żem przewertowała *Piekło*, aby poznać najboleśniejszą z tortur, straszliwą karę moralną, do której dodam wieczną zemstę Boga.

Wczorajsze postępowanie Pańskie zatopiło w moim sercu zimne i okrutne ostrze podejrzeń. Czyżeś pan to zrozumiał? Zwątpiłam już o Panu, ale tylem się wycierpiała z tej racji, że nie chcę wątpić dłużej. Jeśli służbę u mnie za nazbyt ciężką poczytujesz, rzuć ją, a nie będę miała żalu. Czyż nie wiedziałam, że jesteś Pan dowcipnym i mądrym człowiekiem? Zachowaj dla mnie kwiaty swojej duszy, miej obojętne oczy dla świata, nie dopuść nigdy do takiej sytuacji, żeby ktokolwiek bądź mógł Ci powiedzieć pochlebstwo, pochwałę, komplement. Przychodź Pan do mnie otoczony nienawiścią, wzbudzający tysiące kalumnii albo przybity ogólną pogardą, mów mi, że kobiety nie rozumieją Cię wcale, że przechodzą koło Ciebie, jakbyś nie istniał, i że żadna z nich nie umiałaby Cię pokochać; dowiesz się wtedy, co tai dla Ciebie serce i miłość Ludwiki. Nasze skarby muszą być tak głęboko zakopane, żeby świat cały deptał po nich, nie podejrzewając niczego. Gdybyś Pan był piękny, na pewno nie zwróciłabym na Ciebie najmniejszej uwagi i nie odkryła w Tobie tego świata przyczyn, z których rodzi się miłość moja; i lubo nie znamy ich prawie, tak samo jak nie wiemy, czemu w promieniach słońca rozwijają się kwiaty i dojrzewają owoce, istnieje w Panu jedna zaleta, dobrze mi wiadoma, która mnie zachwyca. Pańskie szlachetne oblicze nabiera właściwego sobie charakteru, wyrazu i wymowy tylko dla mnie. Ja jedna mogę uczynić Pana innym, najbardziej ze wszystkich mężczyzn uroczym; nie życzę więc sobie wcale, aby Pańskie przymioty duchowe wymykały się mojej władzy: nie powinny się one objawiać innym, tak samo jak Pańskie oczy, rysy i prześliczne usta. W mojej tylko jest mocy zapalać Pańską inteligencję, tak jak budzę ognie w Pańskich spojrzeniach, i z nikim tej władzy dzielić nie będę! Pozostań Pan tym posępnym i zimnym, milkliwym i pysznym grandem hiszpańskim, jakim byłeś dawniej. Byłeś Pan podobny do zburzonej barbarzyńskiej potęgi, w której ruiny nikt zapuścić by się nie odważył, obserwowano Pana z daleka, a teraz budujesz wygodne ścieżki, aby każdy miał dostęp do Ciebie, i tylko patrzeć, jak staniesz się przemiłym paryżaninem. Czyżbyś już zapomniał o moim programie? Pańska wesołość zbyt wiele mówiła o Twojej miłości. Musiałam spojrzeć znacząco na Pana, w przeciwnym bowiem razie najprzemyślniejszy, najdowcipniejszy i najzłośliwszy z paryskich salonów odgadłby, że to Armanda Maria Ludwika de Chaulieu jest konceptów Twoich natchnieniem. Uważam Pana za nazbyt szlachetnego, aby Cię posądzić, żeś najniewinniejszy choćby fortel do swojej przymieszał miłości; ale żałowałabym Pana, gdybyś nie postępował ze mną ufnie jak dziecko; i mimo tego pierwszego grzechu jesteś Pan jeszcze przedmiotem głębokiego uwielbienia

LUDWIKI DE CHAULI

[99] S e n z a b r a m a, s i c u r a r i c c h e z z a (wł.) – gdy brak chciwości, bezpieczne bogactwo.

XXIII

FELIPE DO LUDWIKI

Skoro Bóg widzi grzechy nasze, widzi i skruchę; masz rację, droga władczyni moja. Czułem, że coś się Pani we mnie nie podoba, nie mogąc odgadnąć, jaka jest owego frasunku przyczyna; ale wyjaśniłaś mi ją Pani, dostarczając nowych powodów do uwielbienia. Zazdrość Pani, podobna zazdrości izraelskiego Boga, napełnia mnie szczęściem. Nie ma nic bardziej świętego i nietykalnego niż zazdrość. O mój piękny aniele stróżu, zazdrość jest czujką, co nigdy nie śpi; jest dla miłości tym, czym ból dla człowieka: niezawodnym ostrzeżeniem. Bądźże, Ludwiko, zazdrosna o swojego sługę; im częściej plagi zadawać mu będziesz, tym gorliwiej, pokorny, uległy i nieszczęśliwy, będzie lizał kij, co uderzając świadczy, jak bardzo Ci jestem potrzebny. Ale – niestety – droga, jeśliś Ty ich nie spostrzegła, to Bóg chyba policzy mi te wszystkie wysiłki, jakich dokonałem, aby przezwyciężyć nieśmiałość swoją, aby wznieść się ponad sentymenta, które Ty, Pani, za nazbyt słabe uważasz? Tak, musiałem zebrać się w sobie, aby pokazać Ci się, o Pani, takim, jakim byłem, zanim Cię pokochałem. W Madrycie ceniono moje dyskursa, toteż chciałem, żebyś poznała, com wart. Byłażby to próżność? W takim razie poniosłem surową karę. Ostatnie Pani spojrzenie przyprawiło mnie o dreszcz, jakiegom nie zaznał nigdy, nawet kiedy zobaczyłem armię francuską u bram Kadyksu, a życie moje zawisło na włosku, albowiem król mój wypowiedział jedno obłudne zdanie. Szukałem przyczyny niezadowolenia, i nie mogąc jej dociec, rozpaczałem nad tym rozdźwiękiem, jaki zapanował między naszymi duszami, gdyż winienem działać zgodnie z Twoją wolą, myśleć Twoją myślą, widzieć Twoimi oczami, cieszyć się Twoim weselem i odczuwać Twoje smutki, tak samo jak ciepło lub zimno odczuwam. Dla mnie zbrodnią i cierpieniem jednocześnie był ów brak harmonii w życiu naszych serc, życiu, które Ty, o Pani, tak pięknym uczyniłaś. Uraziłem ją!... – powtarzałem sobie tysiące razy, jak szaleniec. Moja szlachetna i piękna Ludwiko, jeśli cokolwiek mogło zwiększyć moje absolutne oddanie i moją niewzruszoną wiarę w Twoje święte sumienie, była tym Twoja doktryna, która zapadła mi w serce, przenikając je nowym światłem. Objawiłaś mi moje własne przekonania, wytłumaczyłaś rzeczy, które istniejąc w umyśle moim nie umiały się skrystalizować. Och! jeśli w ten sposób karać zamierzasz, jakaż będzie nagroda? Ależ to, że przyjęłaś mnie na sługę, zaspokoiło wszelkie moje pragnienia. Dałaś mi życie, któregom się nie spodziewał: poświęciłem się Tobie, mój oddech jest na coś przydatny, moje siły znalazły cel, wystarczy mi, jeśli będę cierpiał dla Ciebie! Mówiłem to Pani i powtarzam: będę zawsze taki jak owego dnia, gdym stanął przed Tobą ofiarowując swoje pokorne i skromne usługi. Tak, choćbyś była zhańbiona i zgubiona, boć powiedziałaś, że i taką być możesz, nieszczęścia, które ściągnęłabyś na siebie, podsyciłyby tylko moje uczucie! – obmywałbym rany, leczył, przekonywał Boga modłami moimi, iż nie zawiniłaś i że błąd jest zbrodnią innego... Czy Ci nie mówiłem, że w sercu moim kryją się najróżniejsze sentymenta, które mógłby żywić ojciec, matka, brat i siostra? – że jestem dla Ciebie rodziną, wszystkim albo niczym, stosownie do Twojej woli? Ale skoro tyle serc w jednym sercu kochanka uwięziłaś, dozwól mi czasem, o Pani, być bardziej kochankiem niż ojcem i bratem – wiedząc, że ojciec i brat zawsze za kochankiem się kryją. Gdybyś mogła czytać w moim sercu, kiedy Cię widzę piękną i promienną, spokojną i uwielbianą w Twoim powozie na Polach Elizejskich albo w Twej loży w teatrze!... Ach, gdybyś wiedziała, jak niewiele egoizmu jest w mojej dumie, kiedy słyszę zachwyty wywoływane Twoją urodą, postawą, i jak kocham tych nieznajomych, którzy Cię admirują!... Jeśli przypadkiem moja dusza zakwitnie dzięki Twojemu łaskawemu skinieniu, staję się pokorny i dumny zarazem, odchodzę, jakby sam Bóg mnie pobłogosławił, wracam rozradowany, a ta

radość zostawia we mnie długi, świetlisty ślad: błyszczy w obłokach dymu mojego papierosa i doznaję głębszego niż zwykle uczucia, że krew, co kipi w moich żyłach, Twoją jest wyłącznie własnością. Czyż nie wiesz, jak bardzo jesteś kochana? Zobaczywszy Cię, wracam do gabinetu z saraceńskim urządzonego przepychem; ale Twój portret zaćmiewa wszystko, gdy za pociśnięciem sprężyny ukazuje się moim oczom: ukryłem go bowiem przed spojrzeniami profanów i tylko ja znam sekret tego mechanizmu; zatapiam się wtedy w bezmiarach kontemplacji, układam poematy o szczęściu. Z wyżyn mojego nieba odkrywam bieg całego mojego przyszłego życia, na które śmiem żywić nadzieję! Może słyszałaś kiedy, o Pani, jak wśród nocnej ciszy przedziera się mimo zgiełku świata głos jakiś i dźwięczy w Twoim najśliczniejszym uchu? Czyżbyś nie wiedziała o tych nieprzeliczonych modłach, które wznoszę do Ciebie? Dzięki milczącej nad Twoim wizerunkiem kontemplacji odkryłem sens wszystkich Twoich rysów, poznałem ich związki z doskonałością duszy Twojej; komponuję wtedy dla Ciebie hiszpańskie sonety, opiewające harmonię Twojej duchowej i fizycznej natury, ale nie znasz owej poezji, gdyż nie dorosła ona do tematu i z tej racji nie odważę się posłać Ci tych wierszy. Moje serce tak w Twoim zatonęło, że nie ma już takiego momentu, kiedy nie myślałbym o Tobie; gdybyś przestała podsycać płomień życia mojego, cierpiałbym jak potępieniec. Rozumiesz teraz, Ludwiko, jaką udręką był dla mnie fakt, że uraziwszy Cię naprawdę niechcący, nie mogłem dociec przyczyny Twojego niezadowolenia. Zatrzymało się to piękne podwójne życie, a serce moje mróz ogarnął. Wreszcie, nie umiejąc sobie wytłumaczyć, co jest owego rozdźwięku powodem, pomyślałem, że przestałaś mnie kochać; wróciłem wielce zasmucony, ale szczęśliw jeszcze, do roli sługi: wtedy nadszedł Twój list i przejął mnie radością. Och! Strofuj mnie tak zawsze.

Pewnego razu dziecko, upadłszy z własnej winy, przeprosiło matkę, wstało i ukryło przed nią swój ból. Tak, przeprosiło ją za swój ból. Otóż tym dziecięciem byłem ja: nie zmieniłem się, oddaję Pani klucz od swojego charakteru, a czynię to z uległością niewolnika; ale, droga Ludwiko, nie popełnię więcej fałszywego kroku. Staraj się, aby łańcuch, co mnie do Ciebie przykuwa, a który Ty dzierżysz, o Pani, był zawsze dość naprężony, żeby jeden Twój ruch mówił o najdrobniejszych Twoich życzeniach temu, kto na wieki został

Twoim niewolnikiem
FELIPE

XXIV

LUDWIKA DE CHAULIEU DO RENATY DE L'ESTORADE

Październik 1824.

Moja droga przyjaciółko. Ty, co w ciągu dwóch miesięcy zostałaś żoną biednego cherlaka, któremu zastępujesz matkę, nie masz pojęcia o straszliwych perypetiach dramatu zwanego miłością, a rozgrywającego się na dnie serc: tu wszystko w jednym momencie staje się tragicznym, tutaj spojrzenie albo lekkomyślna odpowiedź śmierć przynieść mogą. Przygotowałam dla mojego Hiszpana budzącą dreszcz grozy, ale ostatnią i decydującą próbę. Chciałam się przekonać, czy będzie mnie kochał m i m o w s z y s t k o! – jak głosi wielki i wzniosły

odzew rojalistów, który mógłby nadawać się również i dla katolików. Spacerował ze mną przez całą noc pod lipami w głębi ogrodu, a w duszy jego nie powstał nawet cień zwątpienia. Nazajutrz byłam od niego jeszcze bardziej kochaną, równie czystą, równie wspaniałą i równie niewinną jak w przeddzień; nie wykorzystał żadnego ze swoich atutów. Och! To prawdziwy Hiszpan, prawdziwy Abencerag. Wdrapał się na mur, aby ucałować moją rękę, którą wyciągnęłam doń z mroku, stojąc na balkonie; o mało się nie zabił; ilu młodych ludzi postąpiłoby w ten sposób? Ale to głupstwo, bowiem chrześcijanie poddają się najokrutniejszemu męczeństwu, byle tylko dostać się do nieba. Przedwczoraj wieczorem odciągnęłam na bok przyszłego ambasadora Jego Królewskiej Mości przy hiszpańskim dworze, to znaczy mojego wielce czcigodnego papę, i rzekłam z uśmiechem: „Mój ojcze, zdaniem nielicznego grona przyjaciół oddajesz rękę swojej ukochanej Armandy synowcowi pewnego ambasadora, której to Armandzie rzeczony ambasador, ubiegający się z dawna, a właściwie żebrzący o ów alians, zapewnia w ślubnej intercyzie, oczywiście po śmierci swojej, cały swój krociowy majątek oraz tytuły, w obecnej zaś chwili daje obojgu małżonkom sto tysięcy liwrów renty, a pannie młodej wypłaca osiemset tysięcy franków posagu. Pańska córka płacze, lecz ustępuje wobec przemożnej siły twojego ojcowskiego a majestatycznego autorytetu. Złe języki powiadają, że pod łzami panny Armandy kryje się wyrachowana i ambitna dusza. Idziemy wieczorem do Opery, będziemy w loży rezerwowanej dla szlachty i zjawi się tam na pewno baron de Macumer". „Przestał się więc podobać?" – rzekł ojciec z uśmiechem, traktując mnie jak ambasadorową. „Bierzesz, mój ojcze, Klaryssę Harlowe za Figara! – odparłam rzucając mu spojrzenie lekceważące i pełne drwiny. – Jeśli zdejmę rękawiczkę z prawej dłoni, zaprzeczysz tej niewłaściwej plotce, robiąc obrażoną minę". „Mogę być spokojny o twoją przyszłość: umysł twój nie jest dziewczęcy, tak samo jak odwaga Joanny d'Arc kobiecą nie była. Będziesz szczęśliwa, bo nie zakochasz się w nikim, a dozwolisz, żeby ciebie kochano!" Wybuchnęłam śmiechem na takie *dictum*. „Cóż to ci się stało, mała kokietko?" – zapytał. „Drżę o interesy swego kraju..." A widząc, że nie rozumie, dodałam: „...w Madrycie!" „Nie do wiary, moja pani, jak po rocznej tutaj bytności ta mniszka kpi z ojca" – rzekł do księżnej. „Armanda kpi sobie ze wszystkiego"– odparła matka spoglądając na mnie. „Co chcesz przez to powiedzieć, moja mamo?" – spytałam. „Ach, moje dziecko, nie lękasz się nawet nocnej wilgoci, która mogłaby cię nabawić reumatyzmu" – ozwała się rzucając mi ponowne spojrzenie. „Ranki – odparłam – są takie upalne!" Księżna spuściła oczy. „Najwyższy czas wydać ją za mąż – wtrącił książę – i stanie się to, mam nadzieję, przed moim wyjazdem". „Zastosuję się do twej woli, ojcze" – rzekłam z prostotą.

W dwie godziny po tej rozmowie moja matka, ja, księżna de Maufrigneuse i pani d'Espard zakwitłyśmy na przedzie loży niby cztery róże. Usadowiłam się z boku, pokazując publiczności tylko ramię, i mogłam obserwować, nie będąc widzianą, całą tę obszerną lożę, która zajmuje jeden z dwóch rogów w głębi sali, między kolumnami. Macumer wszedł, stanął i podniósł lornetkę do oczu, żeby mi się napatrzeć do woli. W pierwszym antrakcie zjawił się ten, którego nazywam królem hulaków, młodzieniec kobiecej urody. Hrabia Henryk de Marsay ze złośliwym żartem w oku, uśmiechem na wargach i wielce rozradowaną miną wszedł do loży. Powiedziawszy najpierw kilka komplementów mojej matce, pani d'Espard, księżnej de Maufrigneuse, hrabiemu d'Esgrignon i panu de Canalis, zwrócił się do mnie: „Nie wiem, czy pierwszy gratuluję pani z racji owego ewenementu, który uczyni panią przedmiotem zazdrości". „Ach! znów ten mariaż – powiedziałam. – Czyżby młoda osoba, co niedawno opuściła klasztor, musiała poinformować pana, że małżeństwa, o których głośno, nigdy nie dochodzą do skutku?" Pan de Marsay pochylił się do Macumera i jął mu coś szeptać na ucho, a po samych tylko poruszeniach warg poznałam wybornie, co mówi: „Baronie, zakochałeś się pan jakoby w tej małej kokietce, która posłużyła się panem; chodzi jednak o mariaż, a nie o namiętność, trzeba więc na wszystko mieć oko". Baron rzucił na usłużnego oszczercę jedno z tych spojrzeń, które moim zdaniem do poematów zaliczyć by można, i odpowiedział zapewne

coś w tym guście: „Nie kocham się w żadnej małej kokietce!" – z miną, która mnie tak oczarowała, że ujrzawszy ojca zdjęłam rękawiczkę. Felipe nie przypuścił do siebie ani najlżejszego choćby lęku albo podejrzenia. Ten charakter nie zawiódł moich oczekiwań: Henarez wierzy tylko we mnie, świat i jego kłamstwa nie mają dostępu do niego. Abencerag nie mrugnął nawet, błękitna krew nie zabarwiła jego oliwkowych policzków. Obaj młodzi hrabiowie opuścili lożę. Roześmiałam się wtedy i rzekłam do Macumera: „Pan de Marsay ułożył o mnie złośliwy epigramat". „Jeszcze gorzej: było to epitalamium" – odpowiedział baron. „Nic nie rozumiem" – odparłam uśmiechając się i nagrodziłam mojego Hiszpana pewnym szczególnym spojrzeniem, od którego zawsze traci kontenans. „Spodziewałem się tego! – ozwał się nagle mój ojciec zwracając się do pani de Maufrigneuse. – Krążą jakieś szkaradne plotki. Ledwie młoda osoba pojawi się w świecie, a zaraz wszystkich korci, żeby wydać ją za mąż, i zmyślają najrozmaitsze niedorzeczności! Nigdy nie będę zmuszał Armandy do zamęścia, chyba że sama zechce... Przejdę się trochę po *foyer*, w przeciwnym bowiem razie gotowi pomyśleć, że toleruję te pogłoski i sam o tym urojonym mariażu z ambasadorem rozgłaszam; na córce Cezara winno ciążyć jeszcze mniej podejrzeń niż na jego żonie, która swoją drogą musi być biała jak śnieg".

Księżna de Maufrigneuse i pani d'Espard spojrzały najpierw na moją matkę, potem na barona, a w twarzy ich czaił się żart, chytrość i rozbawienie, powściągnęły jednak ciekawość, gdyż pytać nie wypadało. Tak czy inaczej, te łasice coś wypenetrowały. Ze wszystkich spraw sekretnych miłość, jak mi się zdaje, ujawnia się najłatwiej, gdyż promieniuje ona od kobiet. I tylko jakieś potworne brzydactwo dokładnie ukryć ją zdoła! Nasze oczy są jeszcze gadatliwsze niż język. Nasyciwszy się rozkosznym ukontentowaniem, jakie sprawił mi Felipe okazawszy tę wielkoduszność, której życzyłam sobie, zapragnęłam oczywiście jeszcze więcej. Dałam mu znak umówiony, aby przyszedł pod moje okno ową niebezpieczną drogą, którą znasz. W kilka godzin później stał sztywny niby posąg, przylepiony do muru, z ręką wspartą o róg balkonu, nie odrywając oczu od światła, co błyszczało w moim apartamencie. „Mój drogi Felipe – rzekłam – zachowałeś się dziś bez zarzutu: postąpiłeś pan tak, jak ja bym postąpiła dowiedziawszy się, że zamierzasz się ożenić". „Pomyślałem, że o takim fakcie mnie pierwszego zawiadomiłabyś pani" – odparł. „A jakimż to prawem rościsz sobie takie przywileje?" „Prawem wiernego sługi". – „Byłżebyś nim naprawdę?" – „Tak, i nie zmienię się nigdy". – „A gdyby takie małżeństwo okazało się koniecznością, gdybym zrezygnowała..." Łagodne światło księżyca wzmogło się jakby od dwóch spojrzeń, z których jedno rzucił na mnie, a drugie w przepaść, jeśli to przepaścią nazwać można, ziejącą między balkonem a murem. Zadawał sobie pewno pytanie, czy moglibyśmy runąć w nią razem; po chwili jednak owa myśl, co przemknęła po jego twarzy niby błyskawica i zaiskrzyła się w oczach, została stłumiona siłą wyższą aniżeli siła namiętności. „Arab nie daje słowa dwa razy – odpowiedział głosem więznącym w gardle. – Jestem twoim sługą i do ciebie należę: będę żył tylko dla pani". Wydało mi się, że słabnie ręka trzymająca się balkonu; położyłam na niej dłoń i rzekłam: „Felipe, mój przyjacielu, od tego momentu jestem z własnej i nieprzymuszonej woli twoją żoną. Rano pójdziesz do mojego ojca, żeby oświadczyć się o mnie. Ojciec chce zatrzymać mój majątek, zobowiążesz się więc, że pokwitujesz w intercyzie odbiór moich pieniędzy, rezygnując z nich jednocześnie: w takim wypadku spotkasz się z jak najlepszym przyjęciem. Nie jestem już Armandą de Chaulieu; wracaj prędko do domu – Ludwice de Macumer nie godzi się popełnić najniewinniejszej choćby lekkomyślności". Zbladł, nogi się pod nim ugięły, skoczył na ziemię z dziesięciu stóp wysokości, nie czyniąc sobie najmniejszej krzywdy, a mnie najokropniejszego nabawiwszy strachu, skinął mi ręką i znikł. Jestem więc kochana, powiedziałam sobie, i nigdy żadna kobieta na świecie tak bardzo kochaną nie była! Zasnęłam z dziecięcym ukontentowaniem: mój los ustalił się raz na zawsze. Około drugiej ojciec kazał poprosić mnie do swojego gabinetu, gdziem już zastała księżnę i Macumera. Nastąpiła niezwykle uprzejma wymiana słów. Oświadczyłam po prostu, że skoro pan Henarez porozumiał się z ojcem, nie

widzę racji, aby w czymkolwiek sprzeciwiać się ich życzeniom. Wtedy matka zatrzymała barona na obiedzie, a potem wszyscy czworo pojechaliśmy do Lasku Bulońskiego. Rzuciłam okrutnie drwiące spojrzenie panu de Marsay, kiedy mijał nas jadąc konno, dostrzegł bowiem Macumera i mojego ojca, siedzących w landzie tyłem do stangreta.

Mój uwielbiany Felipe kazał sobie wydrukować takie oto bilety wizytowe:

HENAREZ
EKS-KSIĄŻĘ DE SORIA BARON DE MACUMER

Każdego ranka zjawia się u mnie z bukietem, prześlicznym i wspaniałym, a wśród kwiecia znajduję zawsze hiszpański sonet, ku mojej chwale nocą skomponowany.

Nie chcąc wypychać zanadto tej koperty, posyłam Ci jako próbkę pierwszy tudzież ostatni z owych sonetów, które słowo po słowie prozą przetłumaczyłam.

PIERWSZY SONET

Niejeden raz w leciutkiej z jedwabiu katance – wznosiłem szpadę, a serce moje trwogi nie znało – czekając na atak rozszalałego byka – o rogu ostrzejszym niźli półksiężyc Diany.

Wdzierałem się nucąc andaluzyjską piosenkę – na szańce, które ziały ogniem i ołowiem – rzucałem życie swoje na zielony stół przypadku – nie bardziej troszcząc się o nie niźli o złoty pieniądz.

Wyrywałbym gołą ręką pociski z armatniej gardzieli; – a teraz lękam się bardziej niż zając na czatach – niźli dziecię, co dostrzegło ducha w fałdach firanki.

Gdyż kiedy patrzysz na mnie łagodnym okiem – zimny pot okrywa mi czoło i uginają się kolana – drżę, cofam się, pierzcha moja odwaga.

DRUGI SONET

Chciałem zasnąć tej nocy, aby cię widzieć w marzeniach; – ale sen zazdrosny umknął mi z powiek – wyszedłem na balkon i patrzyłem w niebo; – gdy myślę o tobie, zawsze spoglądam w górę.

To dziwne zjawisko miłość jedynie wytłumaczyć może: – firmament utracił barwę szafiru; – gwiazdy, wygasłe diamenty w złotej oprawie – mrugały tylko martwo, rzucając wychłódłe promienie.

Księżyc wymyty ze szminki, na którą srebro i lilia się składa – toczył się smutno po horyzoncie posępnym – albowiem ty zabrałaś całą świetność niebu.

Biel księżyca zabłysła na twym wdzięcznym czole – niebo w twoje źrenice cały swój błękit przelało – a rzęsy twoje są z gwiezdnych promieni.

Czy ktoś mógłby z większą gracją dowieść dziewczynie, że jest ona jedynym jego uwagi przedmiotem? Cóż sądzisz o tej miłości, która wypowiadając się rodzi takie mnóstwo kwiatów ziemi i ducha? Doświadczam od dziesięciu dni, czym jest owa słynąca w dawnych czasach galanteria hiszpańska.

A prawda, moja droga, cóż tam słychać w La Crampade, gdzie często przechadzam się myślą, medytując nad postępami naszego rolnictwa? Nic byś mi nie miała do powiedzenia na temat naszych drzew morwowych i stanu zasiewów? Jakże wytrzymały zeszłą zimę? Czy wszystko układa się po Twojej myśli? Azali kwiaty w Twoim sercu małżonki rozwinęły się w tym samym czasie, co i kwiaty na naszych krzewach? – nie śmiem powiedzieć: na grzędach. Czy Ludwik z niestrudzoną a chwalebną pilnością wciąż komponuje swoje madrygały? Żyjecie w zgodzie? Czy słodki szmer strumyczka Twojej tkliwości małżeńskiej jest bardziej me-

lodyjny niźli szum wezbranych potoków mojej miłości? Zgniewałaś się, mój miły doktorze w spódnicy? Nigdy bym w to nie uwierzyła, a jeśli tak, wysyłam natychmiast mojego Felipe rozstawnymi końmi, żeby padł Ci do nóg i przywiózł mi albo Twoją głowę, albo przebaczenie. Żyjąc tu wspaniale, moja droga pieszczotko, chciałabym wiedzieć, jak się układają Twoje sprawy w Prowansji. Powiększyliśmy właśnie rodzinę o jednego Hiszpana, brązowego jak hawańskie cygaro, oczekuję więc Twoich gratulacji.

Moja piękna Renatko, jestem naprawdę niespokojna; boję się, że taisz jakieś troski, aby nie mącić mojego szczęścia – niedobra! Napisz do mnie zaraz długi list, odmaluj mi w nim najdrobniejsze szczegóły życia swojego, powiedz mi, czy opierasz się nadal, czy Twoja niezależność trzyma się jeszcze na nogach – a może uklękła lub usiadła, co byłoby niezbyt pocieszające. Czy myślisz, że nie medytuję nad przypadkami Twojego małżeństwa? Nieraz dumałam nad Twoimi wynurzeniami. Bywa często i tak, że obserwując z pozorną uwagą piruety tancerek na deskach Opery, powiadam sobie: jest właśnie wpół do dziesiątej. Renata pewnie kładzie się spać; co ona teraz robi? Czy jest szczęśliwa? Czy nie ma nic dla siebie oprócz niezależności swojej? A może jej niezależność jest już pogrzebana, bowiem tak z każdą niezależnością bywa, kiedy przestaniemy o nią się troskać... Najczulsze serdeczności.

XXV

RENATA DE L'ESTORADE DO LUDWIKI DE CHAULIEU

Październik.

Impertynentko! Po cóż miałabym pisać do Ciebie? Cóż bym Ci miała do powiedzenia? Życie Twoje jest pełne uciech, kłopotów miłosnych i miłosnych swarów, i kwiatów, które mi odmalowałaś: przyglądam się temu wszystkiemu niby dobrze odegranej sztuce, a sama wiodę monotonny i systematyczny żywot, wielce regułę klasztorną przypominający. Kładziemy się co dzień o dziewiątej, a wstajemy z kurami. Posiłki nie spóźniają się nigdy: rozpaczliwa punktualność. Żaden najbłahszy choćby wypadek nie zmącił dotąd biegu naszych dni. Przywykłam do tak ułożonego czasu i niewiele mnie to kosztowało. Może to właśnie naturalne, bo czymże byłoby życie nie podporządkowane owym stałym prawidłom, co według astronomów, a także Ludwika, rządzą wszechświatem? Ład nie męczy. Prócz tego dbam ogromnie o swoją urodę, narzuciłam więc sobie różne zajęcia z toaletą związane, które przeciągają się aż do śniadania: zależy mi na tym, aby wyglądać prześlicznie, gdyż spełniając w ten sposób obowiązek kobiety i sama ukontentowania doznaję, i wyświadczam rzetelne dobro temu poczciwemu starcowi oraz Ludkowi. Po śniadaniu idziemy na spacer. Kiedy przyniosą gazety, znikam, aby zająć się gospodarstwem domowym, poczytać, gdyż czytam sporo, albo napisać do Ciebie. Zjawiam się znowu na godzinę przed obiadem, a po obiedzie partyjka albo przyjmujemy gości lub sami składamy wizyty. Tak upływają moje dni między szczęśliwym i niczego już nie pragnącym starcem a człowiekiem, którego uszczęśliwiam. Ludwik jest taki kontent, że jego radość poczęła wreszcie rozgrzewać moją duszę. Jestem przekonana, że szczęście kobiety nie powinno być rozkoszą. Czasami, wieczorem, kiedy nic po mnie przy kartach, zagłębiam się w fotelu, a wtedy myśl moja ma dość siły, żeby przeniknąć Twoje sprawy; żyję w owej chwili Twoją piękną, płodną, jakże bogatą w różne odcienie i pełną gwałtownych doznań egzystencją, zastanawiając się jednocześnie, dokąd zaprowadzi Cię ta chaotyczna przedmowa: czy nie zabije książki? Możesz sobie pozwolić na iluzje miłości, droga pieszczotko; ale dla mnie została już tylko rzeczywistość małżeństwa. Tak, Twoje amory

wydają mi się sennym marzeniem! Z trudem więc pojmuję, czemu czynisz je aż tak romansowymi. Szukasz mężczyzny, co miałby więcej duszy aniżeli zmysłów, w którym byłoby więcej wzniosłości i cnoty niźli uczuć miłosnych; chcesz, aby ucieleśniły się marzenia dziewcząt wchodzących w życie; żądasz poświęceń, żeby je nagradzać; poddajesz Twojego Felipe próbom, pragnąc się przekonać, czy pożądanie, nadzieja i ciekawość są trwałe. Ależ, moje dziecko, za Twoimi fantastycznymi dekoracjami wznosi się ołtarz, przed którym rozpoczynają się nasze wieczyste związki. Nazajutrz po ślubie straszliwy fakt, co zmienia dziewczynę w kobietę, a oblubieńca w męża, może obalić tę wykwintną budowlę z Twoich subtelnych wzniesioną przebiegów. Dowiedz się na koniec, że zarówno para zakochanych, jak i dwoje ludzi, którzy się pobrali z rozsądku – mam na myśli Ludwika i siebie – będzie szukać pod rozkoszą nocy poślubnej tego, co Rabelais określił jako wielki z n a k z a p y t a n i a!

Nie ganię Cię, lubo to pewna lekkomyślność gawędzić z Don Felipe w głębi ogrodu, poddawać go próbom, spędzać noc – Ty na balkonie, a on na murze; ależ to igraszki z życiem, moje dziecko, i boję się, aby życie nie poigrało z Tobą. Nie śmiem doradzać Ci tego, co moje doświadczenie podszeptuje mi dla Twojego szczęścia; ale pozwól mi jeszcze raz zawołać z głębi mojej doliny, że wiatyk małżeństwa kryje się w tych dwóch słowach: rezygnacja i oddanie! Widzę bowiem, że mimo swoich prób, mimo kokieterii i spostrzeżeń wyjdziesz za mąż absolutnie tak samo jak ja. Im bardziej ktoś zachcenia swoje rozszerza, tym głębszą wykopuje przepaść – ot i wszystko.

O! jakżebym chciała zobaczyć się z baronem de Macumer i pomówić z nim kilka godzin dla Twojego szczęścia, którego tak bardzo pragnę.

XXVI

LUDWIKA DE MACUMER DO RENATY DE L'ESTORADE

Marzec 1825.

Felipe realizuje z iście saraceńską hojnością plany moich rodziców, skwitowawszy odbiór mojego majątku i nie otrzymawszy ani grosza: wobec tego księżna okazuje mi jeszcze większą serdeczność niż dawniej. Nazywa mnie m a ł ą s p r y c i a r k ą, k u m o s z k ą i twierdzi, że mam j ę z y k n i e o d p a r a d y. „Ależ, droga mamo – rzekłam do niej w wilię podpisania kontraktu – przypisujesz polityce, sprytowi i zręcznym fortelom skutki, jakie wydała najprawdziwsza, najbardziej naiwna, najbardziej bezinteresowna i najpełniejsza miłość na świecie! Dowiedz się, że nie jestem wcale c h y t r ą k u m o s z k ą, za jaką raczyłaś mnie uznać". „No, no, Armando – powiedziała na to obejmując mnie za szyję, przyciągając do siebie i całując w czoło – nie chciałaś wrócić do klasztoru, nie chciałaś zostać starą panną, a jak na wielkoduszną i piękną księżniczkę de Chaulieu przystało, zrozumiałaś, że świetność rodu twojego ojca podnieść należy. (Żebyś wiedziała, Renatko, ile w tych słowach kryło się przymilenia pod adresem mojego ojca, który przysłuchiwał się pogawędce naszej!) Obserwowałam przez całą zimę, jak wsadzałaś pyszczek w każdą kabałę, osądzałaś wybornie mężczyzn i wnikałaś w obecny stan interesów arystokracji francuskiej. Z tego względu upatrzyłaś sobie jedynego Hiszpana zdolnego usłać życie twoje różami, a ciebie panią własnej woli uczynić. Moja maleńka, potraktowałaś go tak, jak Tulia traktuje twojego brata". – „Klasztor mojej siostry jest nadzwyczajną szkołą!" – wykrzyknął ojciec. Rzuciłam księciu takie spojrzenie, że

poprzestał na tej facecji, i ozwałam się do matki: „Kocham całą duszą mojego narzeczonego, Felipe de Soria. Lubo ta miłość zrodziła się naprawdę mimo woli mojej i lubo tłumiłam ją gorliwie, gdy w sercu zakiełkowała, przysięgam, że poddałam się dopiero w tym momencie, kiedy dostrzegłam u barona de Macumer duszę godną mojej duszy, a serce, którego subtelność, szlachetność, ofiarność, natura i uczucia harmonizują z przymiotami serca mojego". – „Ależ, moja kochana – przerwała mi księżna – toć on jest szpetny jak..." – „Porównaj go z czym chcesz, moja matko – wtrąciłam z irytacją – ale ja kocham tę szpetotę". – „Jeśli kochasz go, Armando – rzekł ojciec – i jeśli starczyło ci sił, aby ujarzmić tę miłość, nie powinnaś narażać swojego szczęścia. A szczęście zależy w znacznym stopniu od pierwszych dni małżeństwa..." – „E, czemuż jej nie powiedzieć, że od pierwszych nocy? – obruszyła się księżna. – Chciałybyśmy zostać same" – przydała spojrzawszy na małżonka.

– Za trzy dni twój ślub, moja maleńka – z cicha rzekła do mnie matka – muszę więc zaraz, bez mieszczańskiego mazgajstwa, dać ci poważne wskazania, jakich wszystkie matki córkom udzielają. Wychodzisz za człowieka, którego kochasz. Nie potrzebuję więc użalać się nad tobą ani nad sobą. Widuję cię dopiero od roku: to dość czasu, aby cię pokochać, ale nie dość, żeby zalewać się łzami nad utratą twojego towarzystwa. Twój umysł przenosi twoją urodę; ujęłaś mnie za serce nie zawiódłszy moich macierzyńskich ambicji, a postępowałaś, jak na miłą i dobrą córkę przystało. Toteż znajdziesz we mnie zawsze najlepszą matkę. Cóż to, uśmiechasz się?... Bywa często – niestety – że tam, gdzie matka i córka żyły w zgodzie, dwie kobiety się kłócą. Pragnę twojego szczęścia. Posłuchaj mnie więc. Miłość, którą odczuwasz, jest miłością małej dziewczynki, miłością naturalną u wszystkich kobiet na to stworzonych, aby związać się z mężczyzną; ale – niestety – moja mała, istnieje dla nas tylko jeden mężczyzna na świecie, i nie więcej! Ten zaś, do którego czujemy miłosną skłonność, nie zawsze jest mężem naszym, choćby ów mąż z naszego pochodził wyboru i choćby zdawało się nam, że go kochamy. Lubo te słowa mogą ci się wydać bardzo osobliwe, zastanów się dobrze nad nimi. Jeśli nie kochamy tego, któregośmy wybrały, wina jest i po naszej, i po jego stronie, a czasami niezależnym od nikogo okolicznościom przypisać ją trzeba; jednak nic nie stoi temu na przeszkodzie, aby owym ukochanym człowiekiem był mężczyzna przez familię dla nas upatrzony, a zarazem przez serce nasze wybrany. Jeśli później między małżonkami wyrośnie bariera, dzieje się to wskutek braku wytrwałości, którym zawinili oboje. Uczynić męża swoim kochankiem, to zadanie równie delikatne jak uczynić kochanka mężem, a ty, w ostatnim wypadku, zdałaś cudownie egzamin. Powtarzam ci jeszcze raz: pragnę twojego szczęścia. Miej od tej chwili na uwadze, że w ciągu trzech pierwszych miesięcy twojego mariażu możesz stać się nieszczęśliwą, jeśli nie poddasz się obowiązkom małżeńskim z tą samą uległością, czułością oraz inteligencją, jakie we wstępnych rozwinęłaś amorach. Gdyż, moja sprytna kumoszko, pozwoliłaś sobie na wszystkie niewinne rozkosze sekretnej miłości. Gdyby miłość zalegalizowana rozpoczęła się dla ciebie od rozczarowań, przykrości, a nawet bólu, przyjdź wtedy do mnie. Przede wszystkim nie spodziewaj się po małżeństwie zbyt wiele, może przyprawi cię ono o więcej kłopotów, aniżeli da ci radości. Twoje szczęście wymaga równie starannej uprawy jak twoja miłość. Na koniec, gdybyś przypadkiem straciła kochanka, znajdziesz ojca swoich dzieci. W tym, moje drogie dziecię, zawiera się całe życie społeczne. Musisz poświęcić wszystko dla człowieka, którego nazwisko nosisz. Pamiętaj, że najdrobniejszy uszczerbek w jego dobrej sławie będzie dla ciebie najstraszniejszą raną. Poświęcić wszystko dla męża jest nie tylko najświętszym obowiązkiem kobiet naszej kondycji, lecz i najsprytniejszym wyrachowaniem. Najpiękniejszym atrybutem wielkich zasad moralnych jest to, że okazują się one zawsze prawdziwe i korzystne, od którejkolwiek do nich podeszlibyśmy strony. No, dość tych nauk. Sądzę, że jesteś skłonną do zazdrości; bo i ja, moja droga, jestem zazdrosna!... ale nie chciałabym, żebyś była głupio zazdrosna. Posłuchaj: zazdrość, która się ujawnia, przypomina politykę, co karty na stół wykłada. Mienić się zazdrosną, okazywać zazdrość to rozprawiać o systemie swojej gry. Nic wtedy o przebiegach partnera nie wiemy. W każdym wypadku mu-

simy zdobyć się na to, aby cierpieć w milczeniu. A zresztą w wilię twojego ślubu pogadam o tobie z Macumerem i będzie to poważna rozmowa.

Ujęłam piękne ramię mojej matki, pocałowałam ją w rękę roniąc łzę, gdyż od akcentu, co brzmiał w głosie księżnej, zwilgotniały oczy moje. Wyczułam w tej podniosłej moralności, godnej nas obu, najgłębszą mądrość, tkliwość pozbawioną bigoterii społecznej, a nade wszystko prawdziwą estymę dla mojego charakteru. Streściła w tych prostych słowach naukę i doświadczenie, drogo zapewne od życia kupione. Wzruszyła się i rzekła patrząc na mnie; „Droga córeczko! Czeka cię okropna przeprawa. I większość kobiet, nie wiedzących lub zawiedzionych, gotowa pójść w ślady hrabiego de Westmoreland".

Wybuchnęłyśmy śmiechem. Abyś ten żart zrozumiała, muszę Cię poinformować, że wczoraj przy stole pewna rosyjska księżna opowiadała nam, jak to hrabia de Westmoreland, wycierpiawszy się straszliwie na morską chorobę w trakcie przeprawy przez kanał La Manche, zawrócił z drogi do Włoch, kiedy obiecano mu przeprawę przez Alpy: „Dość mam takich przepraw!" – oznajmił. Pojmujesz, Renatko, że Twoja posępna filozofia i nauki moralne mojej matki mogły obudzić ów lęk, który nękał nas już w Blois. Im bardziej zbliżał się termin mojego ślubu, tym gorliwiej zbierałam siły i natężałam wolę, żeby oprzeć się tej straszliwej przeprawie od stanu panieńskiego do stanu kobiety. Wspominałam wszystkie nasze rozmowy, a odczytując powtórnie Twoje listy, odkryłam w nich jakąś utajoną melancholię. Na skutek tych obaw wyglądam jak wulgarna narzeczona z obrazka i z pospólstwa. Jakoż w dzień podpisania kontraktu wszyscy uznali mnie za czarującą i bardzo dystyngowaną. Dziś rano w merostwie, dokąd udaliśmy się bez żadnej parady, byli tylko świadkowie.

Kończę ten list, a tymczasem szykują dla mnie toaletę, w której wystąpię przy obiedzie. Ślub odbędzie się dziś o północy, w kościele Świętego Walerego, po wspaniałym przyjęciu. Przyznam Ci się, że moje obawy nadają mi wygląd męczennicy, a tej strapionej minie oraz fałszywemu wstydowi będę zawdzięczać ludzkie zachwyty, których nie rozumiem wcale. Cieszy mnie niezmiernie, że mój biedny Felipe też się, niczym panienka, sroma, ludzie go drażnią, czuje się jak nietoperz w sklepie z kryształami. „Całe szczęście, że ten dzień się skończy" – powiedział mi na ucho, bez cienia złośliwości. Nie chciałby widzieć nikogo, taki jest zawstydzony i onieśmielony. Podpisawszy nasz kontrakt, ambasador Sardynii wziął mnie na stronę i wręczył mi naszyjnik z pereł połączonych sześcioma wspaniałymi diamentami. To prezent od mojej szwagierki, księżnej de Soria. Razem z naszyjnikiem była szafirowa bransoletka, na której wyryto: „Kocham Cię, lubo Cię nie znam!" Oba podarki owinięto w czarujące listy, ale nie chciałam nic przyjąć, póki nie uzyskałam zgody Felipe. „Bowiem – rzekłam do niego – i ja nie chciałabym widzieć u ciebie czegoś, co by nie pochodziło ode mnie." Wzruszył się wielce i pocałowawszy mnie w rękę odpowiedział: „Noś je, pani, gdyż ta dewiza i te czułości ze szczerego płyną serca..."

Sobota wieczór.

Moja biedna Renatko, otóż i ostatnie wiersze panieńską pisane ręką. Po mszy, która odbędzie się o północy, wyruszymy do majątku, który mój Felipe, subtelną powodowany atencją, nabył w Nivernais, przy prowansalskim trakcie. Nazywam się już Ludwika de Macumer, ale za kilka godzin opuszczę Paryż jako Ludwika de Chaulieu. Jakkolwiekbym się nazywała, pozostanę zawsze dla Ciebie

LUDWIKĄ.

XXVII

LUDWIKA DE MACUMER DO RENATY DE L'ESTORADE

Październik 1825.

Nie napisałam do Ciebie ani słowa od dnia mojego ślubu, czyli bez mała przez osiem miesięcy. Ale Ty także milczysz jak zaklęta! – to szkaradne, moja pani.

Jakoż wyjechaliśmy rozstawnymi końmi do zamku Chantepleurs, położonego we włościach, które Macumer nabył w Nivernais, nad brzegami Loary, sześćdziesiąt mil od Paryża. Służba, oprócz pokojowej, czekała już tam na nas, a my, nie szczędząc koni, przybyliśmy następnego dnia wieczorem. Zasnęłam w Paryżu, a obudziłam się dopiero za Montargis. Jedyna poufałość, jakiej dopuścił się mój pan i władca, polegała na tym, że objął mnie wpół, a głowę moją ułożył na swoim ramieniu, podesławszy uprzednio kilka chustek do nosa. Ta prawie macierzyńska troskliwość nie pozwalała mu zasnąć, a mnie przejęła jakimś nieokreślonym, ale głębokim wzruszeniem. Usnąwszy w cieple jego czarnych oczu, zbudziłam się ogarnięta ich ogniem: ta sama żarliwa miłość; lecz ileż myśli czuło się w tym spojrzeniu! Pocałował mnie dwa razy w czoło.

Zjedliśmy śniadanie w karecie, na postoju w Briare. Droga zeszła nam na takiej samej pogawędce, jakie prowadziłyśmy w Blois, zachwycałam się z moim mężem Loarą, tak samo jak zachwycałam się z Tobą, a wieczorem, o wpół do ósmej, wjechaliśmy w piękną i długą aleję wysadzaną lipami, akacjami, sykomorami i modrzewiami, a prowadzącą do Chantepleurs. Zjedliśmy obiad o ósmej, a o dziesiątej udaliśmy się do prześlicznej gotyckiej komnaty, upiększonej wszystkimi wynalazkami teraźniejszego komfortu. Mój Felipe, którego świat cały za brzydaka uważa, wydał mi się bardzo piękny, piękny dobrocią, wdziękiem, tkliwością i subtelną delikatnością. Nie dostrzegłam u niego ani śladu miłosnych pożądań. Przez całą drogę zachowywał się jak przyjaciel, którego bym od lat znała. Odmalował mi, tak jak on to umie (pozostał nadal człowiekiem ze swojego pierwszego listu), straszliwe burze, które tłumił w sobie, burze, co zamierały na jego obliczu. „Jak do tej pory, nie ma nic przerażającego w małżeństwie" – rzekłam podszedłszy do okna, aby spojrzeć na przepyszny i uroczy park, skąpany w świetle księżyca, dyszący upojną wonią. Stanął przy mnie, znów objął mnie wpół i powiedział: „I czemuż miałabyś się lękać? Czyżem jednym gestem albo spojrzeniem kłam zadał obietnicom moim? Czyż nadejdzie taki dzień, kiedybym ich nie dotrzymał?" Niczyj głos i niczyje spojrzenie nie mają takiej potęgi: na dźwięk tego głosu zawibrowały najdelikatniejsze struny w moim ciele i zbudziły się wszystkie sentymenta; spojrzenie miało słoneczną moc. „Och! – rzekłam. – Ileż mauretańskiej perfidii tai się w tej niewoli, co ma trwać wiecznie!" Moja droga, on mnie zrozumiał.

Pojmujesz teraz, piękna sarenko, czemu nie pisałam do Ciebie przez kilka miesięcy. Musiałam przypomnieć sobie osobliwą przeszłość dziewczyny, ażeby Ci wyjaśnić, kim jestem, zostawszy kobietą. Dzisiaj rozumiem Cię, Renato. Młodej mężatce nie wolno mówić o swoim szczęśliwym mariażu ani poufałej przyjaciółce, ani matce, ani może samej sobie. Powinnyśmy zostawić owo wspomnienie w naszej duszy jako jeszcze jeden afekt będący naszą wyłączną własnością, którego zresztą żadnym imieniem nazwać się nie da. Jak to! Wdzięczne szaleństwa serca i przemożne uniesienia zmysłów mianem obowiązku określono! A czemuż to? Jakaż to straszliwa potęga upiera się, żeby zmuszać nas do deptania owych subtelnych wrażeń, zacierania przebogatych odcieniów wstydliwości kobiecej, zmieniając te rozkosze w

obowiązki? Czyż podobna zawdzięczać te kwiaty duszy, róże życia, poematy rozpłomienionych uczuć – człowiekowi nie kochanemu? Dopatrywać się praw w takich doznaniach! – Ależ te fakty rodzą się i rozkwitają w słońcu miłości, a mróz odrazy i wstrętu niszczy tylko ich ziarna. To miłość winna być opiekunką tych guseł! O moja wzniosła Renato, widzę teraz wielkość Twoją! Uginam przed Tobą kolana, dziwię się Twojemu głębokiemu a przenikliwemu umysłowi. Tak, kobieta, która nie zawrze, jak ja, sekretnego małżeństwa z miłości, ukrytego za legalnym i publicznym obrządkiem, musi szukać deski ratunku w macierzyństwie, niby dusza, co utraciwszy ziemię, podąża na oślep do nieba. Z tego wszystkiego, co do mnie pisałaś, wynika okrutna zasada: tylko niepospolici mężczyźni kochać umieją. I teraz już wiem, dlaczego. Mężczyzna jest posłuszny dwóm prawom. W każdym mężczyźnie istnieje pożądanie i uczucie. Mężczyźni pospolici i mężczyźni słabi mylą pożądanie z uczuciem; natomiast mężczyźni niepospolici maskują pożądanie prześlicznym wyrazem uczuć: uczucie dzięki swojej gwałtownej sile uczy ich nadmiernej powściągliwości, napełniając jednocześnie uwielbieniem dla kobiety. Potęga tkliwości odpowiada naturalnie potędze ustroju duchowego, toteż jedynie mężczyzna genialny subtelności naszej sprostać zdoła, rozumie kobietę, odgaduje jej myśli, wnika w przeżycia; wzlatuje na skrzydłach pożądania, ale nieśmiałość uczuć miarkuje te porywy. Z tej racji, jeśli inteligencja, serce i zmysły z równą poniosą nas siłą, nie spadamy na ziemię; wzbijamy się natenczas w niebiańskie sfery, ale niestety, nie pozostajemy tam dość długo. Oto, moja droga duszo, filozofia trzech pierwszych miesięcy mojego małżeństwa. Felipe jest aniołem. Mogę przy nim myśleć głośno. Jest – to nie żaden zwrot retoryczny – moim drugim ja. Jego wielkość jest niepojęta: przywiązuje się coraz mocniej dzięki posiadaniu, a w szczęściu nowe powody miłości odkrywa. Jestem, według Felipe, najpiękniejszą częścią jego istoty. I widzę już teraz, iż po latach małżeństwo nasze nie tylko uszczerbku żadnego nie zazna, ale wzbogaci się zaufaniem, nowymi odcieniami uczucia i umocni się jeszcze bardziej. O szczęsne upojenie! Moja dusza jest tak stworzona, że rozkosze budzą we mnie intensywną jasność, rozgrzewają mnie, zostawiają trwałe ślady w całej mojej wewnętrznej istocie: przerwa, co je oddziela, to krótka noc w łańcuchu wielkich dni. Słońce, które o zachodzie ozłociło szczyty, wraca na nie o świcie: są jeszcze niemal gorące. Jakiż to szczęsny sprawił przypadek, że ze mną było tak już od pierwszego razu? Matka obudziła we mnie mnóstwo obaw; jej przewidywaniom, co wydały mi się wielce zazdrosne, lubo wolne od mieszczańskiej małostkowości, zaprzeczył fakt, bowiem rozproszyły się moje, Twoje i jej obawy! Pozostaliśmy w Chantepleurs siedem i pół miesiąca, niby dwoje kochanków, co porwawszy się wzajem, zbiegło przed gniewem rodziców. Róże rozkoszy uwieńczyły miłość naszą, kwitną w naszym samotnym życiu. Wróciwszy nagle do przytomności, a było to pewnego ranka, kiedym pełniejszego niż co dzień zaznała szczęścia, pomyślałam o mojej Renacie, o jej małżeństwie z konwenansu, ogarnęłam Twoje życie jasnowidzącym okiem, wniknęłam w nie! O mój aniele, czemu każda z nas mówi odmiennym językiem! Twoje małżeństwo opiera się jedynie na prawach społeczności, a moje jest tylko miłością szczęśliwą: to dwa światy, co zrozumieć się nie mogą, tak samo jak skończoność nigdy nie pojmie nieskończoności. Ty mieszkasz na ziemi, a ja przebywam w niebie! Ty jesteś w sferze ludzkiej, a ja w boskiej. Ja rządzę dzięki miłości, a Ty dzięki wyrachowaniu i obowiązkowi. Jestem tak wysoko, że gdybym spadła, ślad by nie został po mnie. Tak, powinnam zamilknąć, bowiem wstyd mi odmalowywać przed Tobą blask, bogactwa i bujną radość takiej świetnej wiosny miłości.

Od dziesięciu dni jesteśmy w Paryżu, zamieszkujemy śliczny pałacyk na ulicy du Bac, urządzony przez tegoż architekta, któremu Felipe kazał urządzić Chantepleurs. Wysłuchałam dopiero co, z duszą dzięki godziwym rozrywkom szczęśliwego mariażu pogodną, boskiej muzyki Rossiniego, której słuchałam kiedyś z duszą niespokojną, mimowiednie ciekawością miłosną dręczoną. Znajomi stwierdzili zgodnie, że wypiękniałam, i cieszę się jak dziecko, kiedy mówią do mnie p a n i b a r o n o w o.

Piątek rano.

Moja piękna święta Renato, szczęście moje przywodzi mnie bez przerwy do Ciebie. Czuję się lepszą dla Ciebie, niźli kiedykolwiek byłam: taka Ci jestem oddana! Przestudiowawszy głęboko Twoje pożycie małżeńskie na podstawie własnych pierwszych doświadczeń, uznałam Cię za wielką, szlachetną i wspaniale cnotliwą, siebie zaś, porównując się z Tobą, tylko za Twoją szczerą wielbicielkę, a jednocześnie przyjaciółkę uważać mogę. Widząc, czym jest moje małżeństwo, wiem prawie na pewno, że umarłabym, gdyby było inaczej. A Ty żyjesz! Jaki sentyment utrzymuje Cię przy życiu? – powiedz! Nigdy już nie pozwolę sobie na jakikolwiek żart. Niestety, mój aniele, żart jest synem niewiedzy, kpimy z tego, o czym pojęcia nie mamy. Tam, gdzie rekrut się śmieje, stary żołnierz jest poważny, oświadczył mi kiedyś hrabia de Chaulieu, biedny kapitan kawalerii, który, jak dotąd, jeździł tylko z Paryża do Fontainebleau i z Fontainebleau do Paryża. Toteż, moja ukochana, odgadłam, że nie wyjawiłaś mi wszystkiego. Tak, ukryłaś przede mną jakieś rany. Cierpisz, czuję to. Ułożyłam o Tobie całe romanse z różnych złożone koncepcji, chcąc na odległość i na zasadzie tych okruchów, które mi przekazałaś, znaleźć motywy Twojego postępowania. „Dla niej małżeństwo było tylko próbą siły – pomyślałam jednego wieczora a to, co napełnia mnie jedynie szczęściem, dla niej jest cierpieniem. Dość ma tych wszystkich poświęceń i usiłuje ograniczyć ich liczbę. Odziała swoją troskę szatą pompatycznych pewników moralności społecznej". Ach, Renatko! przecież to jest właśnie cudowne, że rozkosz nie potrzebuje ani religii, ani parady, ani wielkich słów, istnieje dzięki samej sobie; a mężczyźni nagromadzili mnóstwo teoryj i maksym, żeby uzasadnić okrutne komplikacje z naszego niewolnictwa i naszego wasalstwa wynikłe. Jeśli Twoje ofiary są piękne, są wzniosłe; czyżby więc moje szczęście, osłonięte biało-złotym baldachimem, który nad panną młodą trzymają w kościele, podpisane przez najmrukliwszego z merów, było potwornością? Pragnę szczęścia Twojego, Renato, w imię honoru prawa, a nade wszystko z tej racji, żeby rozkosze moje pełnymi uczynić. O, powiedz mi, że czujesz, jak do Twojego serca napływa trochę miłości dla tego Ludwika, który Cię uwielbia! Powiedz, czy symboliczna i uroczysta pochodnia hymenu tylko na to Ci się przydała, żeby rozświetlić przed Tobą ciemności? – gdyż miłość, mój aniele, jest dla natury moralnej dokładnie tym samym, czym słońce dla ziemi. Wciąż wracam w moim liście do tego Światła, co mnie ogarnęło, a które, lękam się tego, mnie spali. Wspomnij, droga Renato, jak, uniesiona ekstazą przyjaźni, mówiłaś w oplecionej winogradem altanie, w głębi klasztornego ogrodu: „Tak cię kocham, Ludwisiu, że gdyby teraz Bóg mi się objawił, poprosiłabym Go o wszystkie udręki życia dla siebie, a dla ciebie o wszystkie życia radości. Tak! – pali mnie namiętność cierpienia!" A więc, moja droga, dzisiaj wypłacam Ci tym samym, wołając wielkim głosem do Boga, aby równo obdzielił nas uciechami.

Słuchaj: odgadłam, że ukrywasz swoje ambicje pod nazwiskiem Ludwika de 1'Estorade, a w takim razie postaraj się, aby w czasie najbliższych wyborów Twój mąż został deputowanym, skończy bowiem niedługo czterdzieści lat, ponieważ zaś Izba zgromadzi się dopiero w pół roku po wyborach, Ludwik osiągnie akurat wiek od polityka wymagany. Przyjedziesz do Paryża – czyż trzeba Ci więcej mówić? Mój ojciec i przyjaciele, których zdobędę, ocenią Was oboje, a jeśli Twój sędziwy teść zechce ufundować majorat, wyrobimy Ludwikowi tytuł hrabiowski. To już coś będzie! No i nareszcie będziemy razem.

XXVIII

RENATA DE L'ESTORADE DO LUDWIKI DE MACUMER

Grudzień 1825.

Olśniłaś mnie, moja szczęśliwa Ludwiko! Trzymałam Twój list przez dłuższą chwilę, a kilka łez iskrzyło się na nim w promieniach zachodzącego słońca, ramiona miałam jak zmartwiałe, byłam sama, wsparta o nagą skałę, u stóp której kazałam postawić ławkę. Bardzo, bardzo daleko Morze Śródziemne lśni niby stalowe ostrze. Kilka wonnych drzew ocienia tę ławkę, a oprócz tego kazałam tu przesadzić ogromny krzak jaśminu, kapryfolium i hiszpańskie janowce. Pnącze owiną kiedyś cały ten głaz. Puszczono już po nim dzikie wino. Ale nadchodzi zima i cała ta zieleń zmieniła się w stary gobelin. Kiedy jestem tutaj, nikt mi nie przeszkadza, każdemu bowiem wiadomo, że to moja samotnia. Ta ławka nazywa się ławką Ludwiki. Rozumiesz więc, że nie jestem tu nigdy samotna – lubo sama.

Opowiadam Ci o tych szczegółach, jakże dla Ciebie błahych, odmalowuję Ci tę zieloną nadzieję, co już w moich oczach obleka nagą i wyniosłą skałę, na której szczycie, osobliwym zrządzeniem przyrody, wyrosła przepiękna rozłożysta pinia, mówię o tym z tej tylko racji, żem znalazła tutaj drogie mi obrazy.

Radując się Twoim szczęsnym mariażem (bo i czemuż nie miałabym Ci wyznać wszystkiego?), zazdroszcząc go z całych sił, uczułam pierwszy raz, jak drgnęło we mnie moje dziecię, a to poruszenie dobywające się z głębin mojego żywota oddziałało na głębię mojej duszy. To niejasne wrażenie było jednocześnie zapowiedzią, rozkoszą, bólem, obietnicą, rzeczywistością; ta szczęśliwość należy tylko do mnie jednej na świecie i pozostaje tajemnicą między mną a Bogiem; owa tajemnica objawiła mi, że pewnego dnia opoka pokryje się kwieciem, że zabrzmi wokół niej wesoły śmiech rodziny i że z moich wnętrzności, pobłogosławionych nareszcie, wypłynie strumień życia. Uczułam, że macierzyństwo jest posłannictwem moim! Toteż pierwszy znak, że mam nosić w sobie inne życie, napełnił mnie dobroczynną pociechą. Radość ogromna uwieńczyła owe dni poświęcenia, które były już radością Ludwika.

O poświęcenie! – rzekłam do siebie. – Czyżeś ty nie jest więcej niż miłością? Czyżeś ty nie jest najgłębszą rozkoszą, jako rozkosz abstrakcyjna, rozkosz płodna? Czy nie jesteś, o poświęcenie, możnością przewyższającą skutek? Czyż nie jesteś tajemniczym i niespożytym bóstwem kryjącym się za nieskończonością sfer, w nieznanym kręgu, gdzie krzyżują się drogi wszystkich światów? Poświęcenie, samotnie w tajemnicy swojej zamieszkałe, sycące się w milczeniu rozkoszami niedostępnymi oku profana, których nikt wyimaginować sobie nie zdoła, poświęcenie, bóstwo zazdrosne i bezwzględne, bóstwo zwycięskie i potężne, albowiem wszystko czerpie z natury wszechrzeczy i nigdy zasobów swoich nie traci, lubo siłami szafuje, poświęcenie – oto symbol i znak życia mojego.

Miłość, Ludwiko, to zabiegi Twojego małżonka, ażeby Cię zdobyć; ale promieniowanie, którym moją ogarnę rodzinę, będzie wywoływać ustawiczną reakcję owego małego świata na moją osobę. Przeminie Twoje piękne złocone żniwo; moje natomiast, czy nie okaże się trwalszym z tej racji, że jest spóźnione? – Będzie się odradzać z dnia na dzień. Miłość jest najładniejszym łupem, jaki społeczność naturze wydrzeć zdołała; ale czyż macierzyństwo nie jest naturą w całym ogromie radości swojej? Uśmiech osuszył łzy moje. Miłość czyni mojego

Ludwika szczęśliwym; ale małżeństwo uczyniło mnie matką, więc i ja będę szczęśliwa! Wróciłam wolno do mojego białego dworku o zielonych okiennicach, żeby napisać Ci to wszystko.

Otóż, moja droga, ten fakt, najbardziej naturalny i najbardziej zadziwiający u kobiety, istnieje we mnie już od pięciu miesięcy; ale, mogę Ci to powiedzieć w sekrecie, nie zamącił nic a nic ani mojego serca, ani umysłu. Przyglądam się ich szczęściu; przyszły dziadek wkracza już w prawa wnuka: zdziecinniał; ojciec robi wciąż niespokojną i poważną minę; wszyscy otaczają mnie najczulszą opieką, wszyscy rozprawiają, jakie to szczęście być matką. Ja jedna, niestety, nic nie odczuwam i nie ośmielam się przyznać, że zapadłam w stan absolutnej obojętności. Kłamię po trosze, aby nie psuć im radości. Ale z Tobą mogę być szczera, przyznam Ci się więc, że w mojej sytuacji, będącej przełomową, początek macierzyństwa to sprawa wyobraźni. Ludwik zdziwił się nie mniej niż ja, dowiedziawszy się o mojej ciąży. To tak jakbym Ci oznajmiła, że to dziecko poczęło się samo z siebie, przywołane jedynie niecierpliwymi życzeniami ojca. Przypadek, moja kochana, jest bogiem macierzyństwa. Aczkolwiek, zdaniem naszego lekarza, przypadki te harmonizują z zachceniami natury, ów lekarz nie zaprzeczył mi, że dzieci, które się tak ślicznie nazywają dziećmi miłości, są na ogół piękne i rozgarnięte; że ich życie bywa często chronione szczęściem, co promieniowało – niby iskrząca się gwiazda! – przy ich poczęciu. Może więc, moja Ludwisiu, zaznasz w macierzyństwie radości dla mojego macierzyństwa niedostępnych. Może kochamy goręcej dziecko mężczyzny uwielbianego tak, jak ty uwielbiasz Felipe, aniżeli dziecko pochodzące od męża wziętego z rozsądku, męża, któremu oddajemy się powodowane obowiązkiem, no i tym, żeby zostać wreszcie kobietą! Te myśli, które w głębi serca ukrywam, wzmagają we mnie powagę przyszłej matki. Ale że familia bez dziecka istnieć nie może, gorąco pragnę przyspieszyć ów moment, kiedy rozpoczną się dla mnie rozkosze rodzinne, które całą moją egzystencję stanowić będą. W tej chwili moje życie jest życiem oczekiwania i tajemnic, życiem pełnym najobrzydliwszych nudności, co, rzecz prosta, mają przygotować kobietę do dalszych cierpień. Obserwuję się. Mimo starań Ludwika, który przechodzi sam siebie, aby w miłości swojej otoczyć mnie opieką i najczulszą troskliwością, odczuwam nieokreślony niepokój pomieszany z obrzydzeniem, rozstrój nerwowy i dziwaczne zachcianki, ciąży właściwe. Skoro już nic nie owijam w bawełnę, nie bacząc, że do opisywanego stanu dyzgust powziąć byś mogła, nie zataję przed Tobą dziwacznego upodobania, jakie w pewnym rodzaju pomarańcz znalazłam i którą to fantazję za całkiem uważam naturalną. Mój mąż przywozi mi z Marsylii najpiękniejsze pomarańcze na świecie; zamówił maltańskie, portugalskie i korsykańskie; ale ja nie tykam ich nawet. Pędzę do Marsylii, niekiedy piechotą, aby pożerać tam najobrzydliwsze i najtańsze pomarańcze, prawie zgniłe, które kupuję w uliczce wiodącej do portu, o dwa kroki od ratusza; ich niebieskawa albo zielona pleśń błyszczy w moich oczach niby diamenty: widzę w niej kwiaty, nie pamiętam wcale o trupim odorze tych owoców, mają one dla mnie podniecający a przewyborny smak i rozgrzewają jak wino. Oto, mój aniele, pierwsze miłosne doznania w moim życiu. Te szkaradne pomarańcze to miłość moja. Nie pragniesz tak swojego Felipe, jak ja pożądam tych rozkładających się owoców. Czasami wymykam się ukradkiem, zmierzam do Marsylii lotem strzały, a w pobliżu owej uliczki drżę z rozkoszy: boję się, żeby handlarce nie zabrakło tych pomarańcz, rzucam się na nie, jem, pożeram je stojąc przed straganem. Wydaje mi się, że te owoce pochodzą wprost z raju, że mają w sobie cudowne i odżywcze soki. Widziałam kiedyś, jak Ludwik odwrócił się od nich, aby nie wąchać tego smrodu. Nasunęło mi się na myśl pewne zdanie z „Ober-manna”[100], posępnej elegii, którą przeczytałam i teraz żałuję: Korzenie żywią się gnojówką! Ale odkąd raczę się tymi owocami, minęły mdłości i powróciło zdrowie. Owe zboczenia mają jakiś sens, skoro od natury pochodzą, i połowa kobiet

[100] „O b e r m a n n” – psychologiczna powieść w formie listów, której autorem jest Etienne Pivert de Sénancourt (1770–1846).

ulega tym potwornym nieraz kaprysom. Kiedy ciąża będzie nazbyt widoczna, nie ruszę się z La Crampade: wolę się nie pokazywać w takim stanie.

Pali mnie okropna ciekawość, żeby dowiedzieć się, w jakim momencie życia rozpoczyna się macierzyństwo. Chyba nie wśród tych okropnych bólów, których tak bardzo się boję.

Do widzenia, moja szczęśliwa! – W Tobie odradzam się, a dzięki Tobie widzę oczyma wyobraźni te piękne amory, zazdrość o spojrzenie, słowa szeptane na ucho, rozkosze wchłaniające nas niby inna atmosfera, inna krew, inne światło, inne życie! Ach, pieszczotko

– ja też rozumiem miłość. Pamiętaj, żebyś mi zawsze wszystko mówiła. Dochowujmy wiernie naszej umowy. Bo i ja nie szczędzę Ci żadnych zwierzeń. Powiem Ci więc, aby poważnie zakończyć ten list, że kiedym odczytywała Twoje pisanie, ogarnęła mnie przemożna i głęboka trwoga. Wydało mi się, że ta świetna miłość jest wyzwaniem rzuconym Bogu. Nieszczęście, najwyższy władca tego świata, mogłoby się pogniewać, że w waszej uczcie nie bierze udziału. Jakież wspaniałe fortuny już obalało! O Ludwiko, w szczęściu swoim zatopiona, nie zapominaj o modlitwie. Spełniaj dobre uczynki, bądź miłosierna i litościwa; staraj się zapobiec nieszczęściom skromnością swoją. Ja, od czasu jak wyszłam za mąż, stałam się jeszcze nabożniejsza, niż byłam w klasztorze. A Ty nic mi nie piszesz o życiu religijnym Paryża. Wydaje mi się, że uwielbiając swojego Felipe, zwracasz się, wbrew przysłowiu, bardziej do świętego niż do Boga. Ale mój lęk wywodzi się z nadmiaru przyjaźni. Bywacie razem w kościele i spełniacie po cichu dobre uczynki, prawda? Uznasz mnie może, pod koniec tego listu, za parafiankę; pomyśl jednak, że w tej obawie kryje się najtroskliwsza przyjaźń, taka, jak ją pojmował La Fontaine, niespokojna o senne marzenie, o myśl mglistą jeszcze. Zasługujesz na szczęście, skoro sycąc się nim, rozmyślasz o szczęściu moim, tak jak ja myślę o Tobie wśród mojego monotonnego i trochę szarego, ale pełnego życia; skromnego, ale wydajnego: bądź błogosławiona!

XXIX

PAN DE L'ESTORADE DO BARONOWEJ DE MACUMER

Grudzień 1825.

Pani Baronowo!

Moja żona nie życzyła sobie, aby zwykły bilet zawiadomił Panią o zdarzeniu, które napełniło nas weselem. Urodziła właśnie tęgiego chłopaka. Odkładamy chrzest aż do momentu, kiedy wrócicie Państwo do Chantepleurs, gdyż mamy z Renatą nadzieję, że dotrzecie do La Crampade i że Pani zostanie chrzestną matką naszego pierworodnego. Licząc na to, kazałem go zapisać w rejestrach urzędowych jako Armanda Ludwika de 1'Estorade. Nasza droga Renata mocno się wycierpiała, ale z anielską słodyczą znosiła bóle. Znasz ją Pani: w tej pierwszej próbie macierzyńskiego stanu małżonkę moją podtrzymywała pewność, że nas wszystkich uszczęśliwia. Nie popadając w cokolwiek śmieszną przesadę ojca, który po raz pierwszy ojcem został, mogę zapewnić Panią, że mały Armand jest bardzo piękny: uwierzysz w to Pani bez trudu, jeśli powiem, że ma rysy i oczy Renaty. Świadczy to samo przez się o inteligencji chłopczyka. Obecnie, kiedy lekarz i akuszer zapewnili, że minęło już wszelkie niebezpieczeństwo, gdyż Renata karmi, a malec z apetytem do piersi się zabrał – pokarmu obfitość, taka bogata jest w niej natura! – możemy spokojnie, ojciec i ja, napawać się szczęściem naszym. Pani Baronowo, radość nasza jest tak wielka, potężna i pełna, tak ożywia cały nasz dom i tak

egzystencję mojej ukochanej małżonki odmieniła, że w imię szczęścia Pani życzę Jej tego samego, i to w jak najrychlejszym terminie. Renata kazała przygotować apartament, a i ja wszelkich dokładam starań, aby godnym go naszych gości uczynić: będziemy podejmować Państwa jeśli nie z przepychem, to w każdym razie z braterską serdecznością.

Renata mówiła mi o intencjach, jakie Pani Baronowa objawia w stosunku do nas, korzystam więc z okazji, aby podziękować i wspomnieć, że trudno o lepszy moment dla ich realizacji. Narodzenie Armanda Ludwika skłoniło mojego ojca do ofiar, na jakie niełatwo starcy się decydują: nabył właśnie dwa majątki. Ziemia w La Crampade daje dziś trzydzieści tysięcy franków dochodu. Mój ojciec, pragnąc ufundować majorat, złoży w tym celu suplikę u króla; ze swej strony prosiłbym Panią, abyś wyjednała dla ojca mojego ów tytuł, o którym napomknęłaś Pani w swoim ostatnim liście, a tym samym okaże Pani niejakie względy swojemu chrześniakowi.

Co do mnie, będę posłuszny radom Pani jedynie dlatego, abyś mogła Pani przebywać z Renatą w czasie sesji parlamentarnej. Studiuję pilnie, usiłując zostać tym, kogo nazywają fachowcem. Ale nic mnie nie natchnie większym zapałem niż świadomość, że jesteś Pani protektorką mojego małego Armanda. Obiecaj więc mi, Pani, że zjawisz się tutaj, aby odegrać rolę dobrej wróżki przy kołysce mojego pierworodnego – Pani, tak piękna i wdzięczna, tak wspaniałomyślna i mądra. W ten sposób powiększysz Pani o dozgonną wdzięczność uczucia pełnej szacunku przyjaźni, z którymi ma honor się kreślić pokorny i uległy sługa

LUDWIK DE L'ESTORADE

XXX

LUDWIKA DE MACUMER DO RENATY DE L'ESTORADE

Styczeń 1826.

Mój aniele, Felipe obudził mnie przed chwilą, przynosząc mi list od Twojego męża. Odpowiadam od razu *tak*. Pod koniec kwietnia wyjedziemy do Chantepleurs. Ileż ja będę miała przyjemności! – wojaż, wizyta u Ciebie, chrzciny Twojego pierwszego dziecka; zostanę matką chrzestną, ale chcę, żeby Macumer był chrzestnym ojcem. Brzydziłabym się związać po katolicku z innym kumem. Ach! – gdybyś mogła widzieć wyraz jego twarzy w momencie, kiedy mu to oświadczyłam, przekonałabyś się, jak ten anioł mnie kocha.

– Tym bardziej na wspólną wyprawę do La Crampade nalegam, mój Felipe – rzekłam do niego – iż kto wie, czy nie poczniemy tam dziecka. Ja też chcę być matką... lubo wtedy musiałabym sobą obdzielić i dziecko, i ciebie. Nade wszystko zaś nie wiem, co by się stało, gdybym zobaczyła, że wolisz ode mnie jakieś stworzenie, choćby ono było moim synem. Medea miała snadź rację: mądrzy byli ci starożytni!

Felipe roześmiał się. Tak to, droga sarenko, Ty masz owoc nie mając kwiatów, a ja mam kwiaty nie mając owocu. Utrzymuje się ten kontrast zachodzący od dawna w naszych losach. Jesteśmy na tyle filozofkami, aby pewnego dnia przystąpić do poszukiwań sensu i morału z tego faktu wynikających. Ba! – ale mam za sobą dopiero dziesięć miesięcy małżeństwa, przyznajmy więc, że niewiele straciłam czasu.

Trwonimy nasze życie, a jednak jest ono życiem pełnym, życiem ludzi szczęśliwych. I wciąż nam się wydaje, że dni są zbyt krótkie. Świat, ujrzawszy mnie w roli mężatki, uznał baronową de Macumer za wiele ładniejszą od Ludwiki de Chaulieu: miłość szczęśliwa ma swoje szminki. Kiedy w piękny i mroźny dzień zimowy jedziemy, Felipe i ja, naszą karetą, a szron ukwieca gwiezdnymi festonami gałęzie drzew na Polach Elizejskich, kiedy tak defilujemy we dwoje przed wytwornym światem Paryża, połączeni tam, gdzie zeszłego roku każde z nas oddzielnie spacerowało, nawiedza mnie mnóstwo myśli i lękam się, że istotnie bywam nazbyt zuchwała, jak to w ostatnim przeczułaś liście.

Nie znam radości macierzyństwa, opowiesz mi o nich, a wyobrażę je sobie tak, jak gdybym matką już była; ale, według mnie, nic z rozkoszami miłości porównać się nie da. Uznasz pewnie, że cokolwiek dziwaczę: ale w ciągu dziesięciu miesięcy przyłapałam się dziesięć razy na myśli, że chciałabym umrzeć skończywszy rok trzydziesty, umrzeć pośród całego splendoru życia, pośród róż miłości, na łonie rozkoszy, że chciałabym odejść nasycona, nie doznawszy żadnego zawodu, upojona tym słońcem życia, krystalicznym powietrzem i nawet po trosze zabita przez miłość, nie utraciwszy nic ze swojego wieńca, ani jednego listka, zachowując wszystkie swoje iluzje. Zastanów się tylko, co to znaczy mieć młode serce w starym ciele, napotykać nieme i zimne oblicza tam, gdzie wszyscy, nawet obojętni, uśmiechali się do nas, krótko mówiąc, pomyśl, co to znaczy zostać szanowną matroną... Ależ to przedpiekle!

Moja pierwsza sprzeczka z mężem dotyczyła tego właśnie tematu. Chciałam, aby miał siłę mnie zabić w trzydziestym roku życia mojego; kiedy będę spała nic nie przeczuwając, gdyż tym sposobem z jednego snu w drugi odpłynę. I ten potwór się nie zgodził! Zagroziłam, że go porzucę na zawsze – zbladł, biedne dziecię! Ten wielki minister stał się, moja droga, małym bębnem. Nie do wiary, ile się w nim taiło młodości i prostoty. Teraz, kiedy myślę przy nim głośno, jak to czyniłam przy Tobie, kiedy wpoiłam weń tę zasadę wzajemnej ufności, zachwycamy się jedno drugim.

Moja droga, dwoje kochanków, Felipe i Ludwika, pragnęłoby obdarować położnicę. Chcielibyśmy obstalować dla Ciebie coś takiego, co by Ci się naprawdę podobało. Powiedz mi więc otwarcie, o czym marzysz, gdyż nie uznajemy niespodzianek – to dobre dla mieszczan. Życzylibyśmy sobie, abyś dzięki miłej pamiątce ustawicznie o nas myślała, a zatem musi to być przedmiot, który od codziennego użytku nie niszczyłby się wcale. Za najweselszy i najprzyjemniejszy posiłek uważamy śniadanie, gdyż wtedy jesteśmy sami i nic naszych poufałych nie mąci rozmów; pomyślałam więc, żeby Ci przesłać specjalny serwis, zwany śniadaniowym, ozdobiony figurkami maleńkich dzieci. Odpowiedz zaraz, czy się zgadzasz. Skoro mam Ci przywieźć to cacko, muszę je czym prędzej zamówić, gdyż paryscy artyści są gnuśni jak ostatni Merowingowie. Będzie to moja ofiara złożona u stóp Lucyny, bogini płodnych matek.

Do widzenia, droga piastunko, życzę Ci wszelkich macierzyńskich rozkoszy i czekam z niecierpliwością na list, w którym mi wszystko opowiesz, prawda? Zadrżałam ujrzawszy to słowo „akuszer”. Ten wyraz w liście Twojego męża uderzył nie oczy, ale serce moje. Biedna Renato, za dziecko trzeba drogo zapłacić, nieprawdaż? Powiem temu mojemu chrześniakowi, jak bardzo powinien Cię kochać. Tysiące czułości, mój aniele.

XXXI

RFNATA DE L'ESTORADE DO LUDWIKI DE MACUMER

Droga duszo moja, niebawem minie piąty miesiąc od mojego połogu, i przez cały ten czas nie znalazłam ani jednej chwilki, żeby napisać do Ciebie. Kiedy zostaniesz matką, wybaczysz mi szczerzej, aniżeliś to teraz uczyniła, bo zresztą ukarałaś mnie trochę, gdyż i ja przez ten okres niewiele miałam od Ciebie wiadomości. Napiszże do mnie, droga pieszczotko! Opowiedz mi o swoich rozrywkach, odmaluj w żywych barwach szczęście swoje, możesz w tym obrazie nie szczędzić ultramaryny, gdyż niczym dzisiaj zasmucić mnie nie zdołasz: jestem szczęśliwa, szczęśliwsza ponad wszelkie Twoje wyobrażenie.

Byłam w naszym parafialnym kościele, aby wysłuchać solennej mszy, odprawionej na intencję mojego wywodu, gdyż taki w naszych starych prowansalskich familiach obyczaj panuje. Obaj dziadkowie, ojciec Ludwika i mój ojciec, wprowadzili mnie do świątyni. Ach! Nigdym jeszcze nie uklękła przed Bogiem równie żarliwą ogarnięta wdzięcznością. Tyle muszę opisać wrażeń, tyle odmalować sentymentów, że doprawdy nie wiem, od czego zacząć; ale z łona tej niepewności wylata promienne wspomnienie, wspomnienie mojej modlitwy w kościele!

Kiedy na tym miejscu, gdzie będąc dziewczyną wątpiłam o życiu i przyszłości swojej, znalazłam się w radosną zamieniona matkę, wydało mi się, że Najświętsza Panna skinęła głową z ołtarza, pokazując mi Boże Dziecię, co uśmiechnęło się do mnie. Z jakimże świętym wylewem niebiańskiej miłości podałam naszego maleńkiego Armanda proboszczowi, który pobłogosławił go i ochrzcił z wody, zanim wy na uroczyste przyjedziecie chrzciny. Ale zobaczysz nas razem, Armanda i mnie.

Moje dziecię – i oto nazywam Cię teraz swoim dziecięciem! – gdyż to naprawdę najmilsze słowo, jakie pojawić się może w sercu, umyśle i ustach kobiety, która matką została. A więc, moje drogie dziecię, przez dwa ostatnie miesiące ledwie powłóczyłam nogami, chodząc po naszych ogrodach, zmęczona, przytłoczona tym ciężarem, nie zdając sobie sprawy, jak ów ciężar jest słodki i drogi mimo dolegliwości z tym związanych okresem. Nawiedzały mnie takie lęki i tak okropnie złowróżbne przeczucia, że i ciekawość nic na nie nie pomagała: uciekałam się do argumentów rozumu, powiadałam sobie, że praw natury nigdy obawiać się nie trzeba, obiecywałam samej sobie, że będę matką. Niestety! – nie czułam nic w sercu, lubom ustawicznie myślała o tym dziecięciu, które już wcale żwawo w moim łonie wierzgało; i, moja droga, tylko ta kobieta może lubić te poruszenia, która już matką była; ale za pierwszym razem ta kotłowanina nieznanego życia większe budzi zdziwienie niżli przyjemność. Mówię Ci to o sobie ja, co nie jestem obłudna i teatralnych unikam gestów, a której owoc bardziej od Boga pochodzi – gdyż Bóg dziećmi obdarza – niż od ukochanego człowieka. Ale zostawmy te minione smutki, które nie wrócą już, jak sądzę.

Kiedy chwyciły mnie bóle, skupiłam w sobie elementy takiego oporu i przygotowałam się na takie cierpienia, że, jak mówią, cudownie zniosłam tę straszliwą torturę. Zapadłam wtedy, moja pieszczotko, w taki stan, a trwał on prawie godzinę, który unicestwienie przypominał, a jednocześnie do snu porównać by go można. Uczułam w sobie rozdwojenie: powłokę cielesną jakby rwały, szarpały i dręczyły rozpalone kleszcze, a w duszy panował niezmącony spokój. W tej osobliwej sytuacji cierpienie rozkwitło wieńcem nad głową moją. Wydało mi się, że ogromna róża z czaszki mojej wyrasta, potężnieje i całą mnie spowija. Czerwony kolor tego

krwawego kwiatu przesycał powietrze. Wszystko mi się wydawało czerwone. Kiedym doszła do momentu, w którym dusza od ciała oddzielać się zdaje, wnętrznościami moimi targnął ból tak straszliwy, jakbym natychmiast umrzeć miała. Krzyknęłam przeraźliwie i w tejże chwili znalazłam nowe siły do walki z nową boleścią. Nagle tę okropną suitę krzyku zagłuszył we mnie rozkoszny śpiew srebrzystego kwilenia, które wydawała ta maleńka istotka. Nic, nic ci nie odmaluje tej chwili: zdawało mi się, że świat cały krzyczy wraz ze mną, że wszystko jest bólem i krzykiem, i nagle słabe kwilenie dziecka uciszyło to wszystko. Ułożono mnie ponownie na wygodnym posłaniu, gdziem się poczuła jak w raju, lubo zawładnęło mną nieludzkie osłabienie. Wtedy pochyliły się nade mną trzy albo cztery radosne twarze z oczyma pełnymi łez i pokazano mi dziecko. Moja droga, krzyknęłam z przerażenia. „A cóż to za małpka! – rzekłam. – Czy aby jesteście pewni, że to moje dziecko?" – spytałam. Obróciłam się na bok, wielce strapiona, że to całe moje macierzyńskie uczucie. „Nie martw się, kochanie – powiedziała moja matka, która wzięła na siebie rolę pielęgniarki – urodziłaś najpiękniejsze dziecko pod słońcem. Unikaj teraz wszelkich wzruszeń, nie masz prawa czymkolwiek zamącać swojej imaginacji, musisz wysilić cały dowcip, aby stać się zwierzęciem, ni mniej, ni więcej tylko krową, co skubie trawę, żeby dawać mleko". Zasnęłam więc z mocnym postanowieniem, że pójdę za głosem natury. Ach, mój aniele! – przebudzenie po tych wszystkich bólach, po tym nawale emocyj, jakich doznałam w czasie owych pierwszych dni, kiedy wszystko jest jeszcze niejasne, ciężkie i mgliste, przebudzenie to było boskie. Ciemności ożywiało wrażenie rozkoszniejsze niźli pierwszy krzyk mojego dziecka. Moja dusza, moje serce, moje jestestwo, nie znana mi część mojej istoty zbudziły się w cierpiącej i szarej skorupie, zbudziły się niby kwiat, co na promienny odzew słońca wystrzela z nasienia. Potworek zaczął ssać moją pierś: *oto fiat lux*! Stałam się nagle matką. Oto szczęście, oto radość, radość niewysłowiona, lubo nie przychodzi bez pewnego bólu. O moja piękna zazdrośnico, jakże Ty zrozumiesz rozkosz, o której wiemy tylko my troje, ja, dziecko i Bóg. Ta istotka nie zna absolutnie nic oprócz mojej piersi. Istnieje dla niej jedyna rzecz na świecie, ten świetlisty punkt, kocha go z całych sił, myśli tylko o tym źródle życia, przychodzi do niego i odchodzi, żeby zasnąć, budzi się, aby doń powrócić. W wargach niemowlęcia tai się niewysłowiona miłość, a kiedy przywierają do piersi, zadają jej ból i rozkosz zarazem, albo, jeśli wolisz, ból, co rozkoszą się kończy; nie umiałabym Ci wytłumaczyć wrażenia, które od piersi promieniuje we mnie aż do źródeł życia, zdaje mi się tylko, że to centrum, skąd wytryskają tysiące promieni krzepiących duszę i ciało. Urodzić, o, to nic; ale karmić – to rodzić co chwila. Och! Ludwiko, nie ma takich pieszczot kochanka, co byłyby warte dotknięcia tych różowych rączyn, które błądzą tak delikatnie, starając się uczepić życia. Jakimż spojrzeniem dziecię od naszej piersi do naszych oczu wodzi! W jakiejż uroczej można pogrążyć się zadumie, patrząc, kiedy zawisa wargami przy skarbie swoim! Jest związane tak samo ze wszystkimi siłami ciała jak i duszy, chłonie zarówno naszą krew, jak i nasze zdolności, zaspokaja więcej, niżeśmy pragnęli. To cudowne wrażenie, jakie wywołuje pierwszy krzyk dziecka, który był dla mnie tym, czym był pierwszy promień dla ziemi, to wrażenie powróciło, kiedy uczułam, jak moje mleko napełnia jego usta; powróciło do mnie z pierwszym jego spojrzeniem, odnalazłam tę rozkosz, kiedy w pierwszym uśmiechu tej kruszynki wyraziła się pierwsza jej myśl. Roześmiał się, moja droga. Ten uśmiech, to spojrzenie, te usteczka, co wgryzają się w pierś, ten krzyk – oto cztery bezgraniczne radości moje: zapadają na dno serca i poruszają we mnie takie struny, które tylko one poruszyć mogą! Światy muszą łączyć się z Bogiem w taki sam sposób, w jaki dziecię łączy się z każdą cząsteczką matki: Bóg to wielkie macierzyńskie serce. Nie masz nic widzialnego czy choćby nawet dostrzegalnego ani w poczęciu, ani w ciąży; ale karmić, moja Ludwisiu, to nieustające szczęście. Widzisz, co dzieje się z mlekiem: obraca się w ciało, rozkwita na końcach maleńkich paluszków przypominających kwiaty, bo te paluszki mają ich delikatność, przekształca się w cienkie i przezroczyste paznokietki, lśni jedwabiem włosów, porusza się w nóżkach. Och! – nóżki dziecka – przecież to osobna jego mowa. Dziecko zaczyna wypowia-

dać się nóżkami. Karmić, Ludwiko, to obserwować zdumionym okiem przemiany zachodzące z godziny na godzinę. Krzyku swojego dziecka nie słyszysz uszami, ale sercem; rozumiesz te uśmiechy warg i oczu, to poruszanie nóżkami, jak gdyby Bóg, kreśląc ogniste słowa w przestrzeni, wypisywał je dla ciebie. Nic cię poza tym w świecie nie obchodzi; ojciec?... zabiłabyś go, gdyby poważył się obudzić dzieciaka. Jesteś sama w sobie światem dla tego dziecka, tak jak ono jest światem dla ciebie! Masz niezachwianą pewność, że twoje życie nie tylko do ciebie należy i że za poniesione trudy i cierpienia otrzymujesz nad wyraz hojną nagrodę – bo są tutaj i cierpienia, niech cię Bóg strzeże przed ranką na piersi! Ranka taka jątrzy się od dotknięcia różowych usteczek, goi się bardzo opornie, piecze tak, że oszaleć by można, gdyby nie radość na widok warg dziecięcia umazanych mlekiem, ranka taka to jedna z najstraszniejszych kar za piękność. Pamiętaj o tym, moja Ludwisiu, że ona jedynie na delikatnej i cienkiej skórze zrobić się może.

W piątym miesiącu życia moja małpeczka zmieniła się w najśliczniejsze stworzonko, jakie kiedykolwiek matka kąpała w łzach radości swojej, myła, czesała, muskała i stroiła; gdyż Bóg jeden wie, z jakim niestrudzonym zapałem stroimy, ubieramy, czeszemy, myjemy, przewijamy i całujemy te nasze maleńkie kwiatuszki! Otóż moja małpeczka nie jest już małpeczką, ale *baby*, jak mówi moja bona, Angielka, różowym i białym *baby;* maleństwo, czując, że jest oczkiem w głowie, nie wrzeszczy zanadto; ale co prawda nie rozstaję się z nim ani na chwilę i usiłuję przeniknąć je całym wysiłkiem swej duszy.

Droga, w moim sercu zrodziło się teraz dla Ludwika takie uczucie, które nie jest miłością, ale u kochającej kobiety winno ono uzupełnić miłość. Nie wiem, czy ta tkliwość, ta wdzięczność, wolna od jakichkolwiek interesownych pobudek, nie jest czymś więcej niż miłość. Wniosłam z tego wszystkiego, coś mi pisała, droga pieszczotko, że miłość jest czymś okropnie ziemskim, podczas gdy afekt, jaki szczęśliwa matka żywi do człowieka, od którego pochodzą te niewyczerpane, te wieczyste radości, ma w sobie coś boskiego i religijnego. Radość matki jest światłem, co tryskając daleko, nie tylko przyszłość ogarnia, ale rzuca odblaski na przeszłość, aby obdarzyć ją czarem wspomnień.

Stary de l'Estorade i jego syn prześcigają się w dobroci, jestem dla nich jakby nową osobą: ich słowa i spojrzenia trafiają mi do duszy, gdyż za każdym razem, kiedy widzą mnie oni lub mówią ze mną, na nowo okazują mi nieopisaną serdeczność. Zdaje mi się, że dziadek dziecinnieje na starość, spogląda na mnie z uwielbieniem. Kiedy zeszłam pierwszy raz na śniadanie, zapłakał ujrzawszy, jak jem i daję piersi dziecku. Trudno wyrazić, jak ucieszyły mnie owe łzy szklące się w tym suchym oku, skąd żadna myśl prócz myśli o pieniądzach nigdy nie przeziera; wydało mi się, że poczciwiec zrozumiał radość moją. Jeśli idzie o Ludwika, to chętnie oznajmiłby drzewom i przydrożnym kamieniom, że ma syna. Wpatruje się całymi godzinami w Twojego śpiącego chrześniaka. Powiada**,** że nie wie, kiedy się z tym obrazkiem oswoi. Te wybuchy nieposkromionej radości nauczyły mnie wiele, jeśli idzie o zastrzeżenia i obawy Ludwika, a także jego ojca. Ludwik przyznał mi się kiedyś, że zwątpił był już o sobie, poczytując się za skazanego na bezdzietność. Biedaczysko zmienił się nagle na lepsze, studiuje teraz z jeszcze większym niż dawniej zapałem. To dziecię jest bodźcem dla ambicji ojca. Co do mnie, moja droga duszo, jestem z momentu na moment szczęśliwszą. Każda godzina rodzi nowe więzy między matką a dzieckiem. To, co czuję w sobie, przekonało mnie, że ten sentyment jest niezniszczalny, naturalny i nie wygasający ani na chwilę; podczas gdy, tak mi się przynajmniej zdaje, w miłości, na przykład, powstają luki. Nikt nie kocha w każdym momencie w ten sam sposób, nie wszystkie kwiaty na kanwie życia haftowane lśnią równie świetnym blaskiem, no i przecież miłość może i musi skończyć się kiedyś; w macierzyństwie natomiast osłabienia afektów bać się nie trzeba, potężnieją one w miarę potrzeb dziecka, rozwijają się razem z nim. Czyż szczęście nie jest to jednocześnie namiętność, potrzeba, uczucie, obowiązek i konieczność? Tak, moja pieszczotko, na tym polega właściwe życie kobiety. Nasz głód poświęcenia tutaj się zaspokaja, frasunki, o jakie zazdrość nas przyprawia, nie mają

tu dostępu. Z tej racji może to dla nas jedyny punkt, gdzie Natura godzi się ze Społeczeństwem. Albowiem Społeczeństwo wzbogaca w tym wypadku Naturę, potęgując uczucie macierzyńskie duchem rodziny, ciągłością nazwiska, krwi i majątku. Jakąż więc nieprzebraną miłością kobieta winna darzyć tę drogą istotę, co pierwsza napełniła ją niewysłowionym szczęściem, dzięki której rozwinęła siły swojej duszy i nauczyła się wspaniałej sztuki macierzyństwa! Prawo starszeństwa, które u starożytnych stanowiło jedność z prawem świata i uczestniczyło w powstawaniu społeczeństw, nie może być według mnie pod żadnym pozorem kwestionowane. Ach! – czegóż dziecko nie nauczy matki swojej. Tyle związków jest między nami a cnotą przy tej nieustannej opiece słabemu należnej stworzeniu, że ta kobieta jedynie idzie za głosem powołania, która jest matką; rozwija wtedy po prostu swoje siły, spełnia obowiązki życia swojego, a znajduje w nich pełnię szczęścia i wszystkie rozkosze. Kobieta nie będąca matką jest istotą niekompletną i wykolejoną. Nie zwlekaj więc, drogi aniele, z macierzyństwem, gdyż dzięki niemu do swojego obecnego szczęścia wszystkie moje przydasz rozkosze.

Rozstałam się z Tobą usłyszawszy lamenty Twojego pana chrześniaka, a dobiegły mnie one z głębi ogrodu. Nie chcę wysłać tego listu nie pożegnawszy się z Tobą; odczytawszy go, przeraziłam się pospolitością sentymentów, jakie zawiera. Niestety! – wydaje mi się, że wszystkie matki doświadczyły tego, co odczuwam, a więc wszystkie powinnyśmy się wyrażać w ten sam sposób: będziesz drwić ze mnie, tak samo jak ludzie naśmiewają się z ojców, którzy rozpowiadają o rozumie i urodzie swoich dzieci, wynajdując w nich zawsze coś osobliwego. Otóż, droga pieszczotko, i kwintesencja tego listu: jestem obecnie tak szczęśliwą, jak dawniej nieszczęśliwą byłam. Ten dworek, co zresztą ośrodkiem majoratu się stanie, jest dla mnie ziemią obiecaną. Przebyłam wreszcie swoją pustynię. Tysiące czułości, droga pieszczotko! Mogę już dzisiaj nie płakać nad Twoimi barwnymi opowieściami o szczęściu i miłości. Do widzenia!

XXXII

PANI DE MACUMER DO PANI DE L'ESTORADE

Marzec 1826.

Jakże się to stało, moje złotko, żem przez trzy miesiące nie pisała do Ciebie, a i Ty także przerwałaś korespondencję?... Większa wina po mojej stronie, gdyż nie odpowiedziałam na Twój list; ale o ile wiem, nie jesteś pamiętliwa. Uznaliśmy z mężem Twoje milczenie za zgodę na serwis śniadaniowy przystrojony dziećmi, i to prześliczne cacko wyjedzie dziś rano do Marsylii; artyści strawili nad nim pół roku. Zerwałam się na równe nogi, kiedy Felipe zaproponował mi, abyśmy obejrzeli ów prezent, zanim złotnik go zapakuje. Pomyślałam nagle, że nie gawędziłyśmy przez całe trzy miesiące, czyli od owego listu, dzięki któremu wespół z Tobą poczułam się matką.

Mój aniele, ten okropny Paryż jest moim usprawiedliwieniem, a teraz czekam na Twoje. Cóż to za otchłań, ten wielki świat! Czy Ci już nie mówiłam, że w Paryżu można być tylko paryżanką? Świat łamie tutaj wszelkie uczucia, zabiera każdą godzinę, pożarłby mi serce, gdybym nie miała się na baczności. Jakież to nadzwyczajne arcydzieło, ta postać Celimeny w „Mizantropie" Moliera! Jest ona kobietą światową zarówno z czasów Ludwika XIV, jak i z naszych, słowem: jest kobietą światową każdej epoki. Dokądżebym ja zaszła bez mojej tar-

czy, bez mojej miłości do Felipe? Jakoż oświadczyłam mu dziś rano, snując te refleksje, że był moim zbawcą. Moje wieczory wypełnione są zabawami, balami, koncertami i spektaklami, ale wróciwszy do domu odnajduję owe miłosne porywy i rozkosze, od których rozkwita serce moje i nikną ukąszenia, jakie zostawia życie towarzyskie. Jadam u siebie tylko w tym wypadku, kiedy gościmy ludzi zwanych przyjaciółmi, a w domu jedynie tych dni, gdy przyjmuję, zastać mnie można. Przyjmuję każdej środy. Prowadzę wojnę z panią d'Espard, panią de Maufrigneuse i ze starą księżną de Lenoncourt. Mój dom uchodzi za wielce zabawny. Pozwoliłam wprowadzić się w modę, widząc, że moje sukcesy ogromnie mojego Felipe radują. Poświęcam mu ranki, gdyż od czwartej po południu do drugiej w nocy jestem własnością Paryża. Felipe jest uroczym panem domu: dowcipny, a jednocześnie poważny, prawdziwy grand hiszpański, i z tym wszystkim pełen takiego urzekającego wdzięku, że rozkochałby w sobie kobietę, która poślubiłaby go dla konwenansu. Moi rodzice wyjechali do Madrytu: po śmierci Ludwika XVIII księżna z łatwością otrzymała od naszego zacnego Karola X nominację dla swojego przemiłego poety i wzięła go w charakterze *attaché*. Mój brat, książę de Rhétoré, raczy uważać mnie za znakomitość. Jeśli idzie o hrabiego de Chaulieu, ów żołnierz z urojenia winien mi dozgonną wdzięczność: ojciec kupił mu, przed swoim wyjazdem, a za moje pieniądze, dobra ziemskie tudzież majorat przynoszący czterdzieści tysięcy franków renty, a mariaż hrabiego z panną de Mortsauf, dziedziczką z Touraine, jest już postanowiony i przygotowany. Król, nie życząc sobie, aby wygasło imię oraz tytuły familij Lenoncourt i Givry, ma wydać dekret, na mocy którego mój brat weźmie w sukcesji nazwiska, tytuły i herby obu pomienionych rodów, Lenoncourt-Givry. Jakże bowiem dopuścić, aby znikły z powierzchni ziemi dwie piękne tarcze herbowe i wzniosła dewiza: *Faciem semper monstramus*![101] Panna de Mortsauf, wnuczka i jedyna spadkobierczyni księcia de Lenoncourt-Givry, będzie miała ogółem, jak obliczono, ponad sto tysięcy franków renty. Mój ojciec zastrzegł sobie tylko, aby pośrodku tarczy herbowej Lenoncourtów widniał herb książąt de Chaulieu. Tak to mój brat księciem de Lenoncourt zostanie. Młody de Mortsauf, któremu cała ta fortuna przypaść miała, dogorywa na chorobę piersiową; w każdej chwili spodziewają się jego zgonu. Ślub wyznaczono na przyszłą zimę, jak tylko skończy się żałoba. Magdalena de Mortsauf, moja przyszła bratowa, jest podobno uroczą osobą. Otóż, jak widzisz, słuszne były argumenty mojego ojca. Ten sukces zjednał mi admirację wielu osób i wszyscy rozumieją teraz moje małżeństwo. Książę de Talleyrand, powodując się dawną przyjaźnią, jaka łączyła go z moją babką, wychwala wszędzie Macumera, toteż święcimy kompletne triumfy. Świat najpierw mnie potępił, a teraz wysoko mnie szacuje. Słowem, króluję w tym Paryżu, gdzie – niedługo minie dwa lata – miano mnie zrazu za hetkę pętelkę. Felipe przekonał się, że jego szczęścia cały świat mu zazdrości, gdyż jestem n a j d o w c i p n i e j s z ą k o b i e t ą w Pa r y ż u. Jak wiesz, w Paryżu jest dwadzieścia najdowcipniejszych kobiet. Mężczyźni, niczym gołąbki, gruchają miłośnie nad uchem moim albo kontentują się łakomymi spojrzeniami. I naprawdę ten koncert pożądań tudzież uwielbienia tak skutecznie syci próżność naszą, że rozumiem teraz niepomierne ekspensa, na jakie zdobywają się kobiety, byle tylko z tych nietrwałych i błahych przywilejów korzystać. Owym triumfem upaja się duma, pycha, miłość własna, krótko mówiąc – wszystkie atrybuty naszego ja. Te ustawiczne hołdy, jakby przed bóstwem składane, mogą tak gwałtownie zawrócić w głowie, że nie dziwię się już kobietom, które wśród uciech zapamiętują się, na nic niepomne, w egoizmie i lekkomyślności. Świat uderza do głowy. Trwonimy kwiaty myśli i duszy, najcenniejsze chwile, najszlachetniejsze wysiłki dla ludzi wypłacających nam za to zazdrością i uśmieszkami, ludzi, co za szczerozłote sztaby naszej odwagi, poświęceń i wynalazków, dzięki którym jesteśmy piękne, gustownie ubrane, dowcipne i dla wszystkich mile, dają nam fałszywą monetę frazesów, komplementów i ckliwych pochlebstw. Wiadomo, jaki kosztowny jest

[101] F a c i e m s e m p e r m o n s t r a m u s (łac.) – ukazujemy zawsze twarz.

ów handel, i wiadomo, że nas okradają; a jednak poniechać go nie chcemy. Ach! moja piękna sarenko, jakże tęsknimy do przyjaznego serca, jakież cenne są miłość i oddanie mojego Felipe! Jakże ja go kocham! Nie wyobrażasz sobie, z jaką radością szykujemy się do podróży: odpoczniemy w Chantepleurs od komedii ulicy du Bac i wszystkich salonów Paryża. Wreszcie, odczytawszy raz jeszcze Twój ostatni list, odmaluję Ci ten piekielny raj Paryża stwierdzając, że dla kobiety światowej niepodobieństwem jest być matką.

Do zobaczenia, kochanie; zabawimy najwyżej tydzień w Chantepleurs, a około dziesiątego maja będziemy u Ciebie. Zobaczymy się więc po dwóch z górą latach. Ileż się zmieniło! Obie jesteśmy kobietami: ja najszczęśliwszą z kochanek, a Ty – najszczęśliwszą z matek. Nie pisałam do Ciebie, moje złotko, lecz to nie znaczy, abym o Tobie zapomniała. A jakże się miewa mój chrześniak, ten małpiszonek – czy wciąż taki śliczny? Czy przynosi mi zaszczyt? Będzie już miał przeszło dziewięć miesięcy. Chciałabym bardzo zobaczyć, jak będzie stawiał pierwsze kroki, ale mój mąż utrzymuje, że nad wiek rozwinięte dzieci zaczynają chodzić dopiero w dziesiątym miesiącu. Nagadamy się jak niegdyś w Blois. No i przekonam się naocznie, czy dziecko, jak powiadają, psuje figurę.

P.S. Jeśli zechcesz mi odpisać, o wzniosła matko, adresuj do Chantepleurs – wyjeżdżam.

XXXIII

PANI DE L'ESTORADE DO PANI DE MACUMER

Moje dziecię, jeśli kiedykolwiek zostaniesz matką, przekonasz się, czy można pisywać w czasie pierwszych dziewięciu miesięcy karmienia! Mary, moja bona-Angielka – i ja harujemy od rana do nocy. Co prawda, zapomniałam Ci powiedzieć, że pragnę wszystko robić sama – zależy mi na tym. Przed owym ewenementem uszyłam własnymi rękami całą wyprawkę i sama wyhaftowałam czepeczki. Jestem niewolnicą, moja pieszczotko, niewolnicą przez całą dobę. Przede wszystkim Armand Ludwik ssie, kiedy zechce, a on chce bez przerwy; następnie trzeba co moment go przewijać, myć, ubierać; a matka bardzo lubi przyglądać mu się, kiedy zaśnie, śpiewać mu piosenki, wychodzić z nim na spacer, kiedy jest piękna pogoda, trzymając go na rękach – nie ma więc ani chwili czasu, żeby zadbać o siebie. A no cóż, miałaś życie światowe, a ja miałam dziecko, moje dziecko, nasze dziecko! Jakaż to bogata i pełna egzystencja! Och! moja droga, przekonasz się, jak bardzo stęskniłam się za Tobą! Boję się tylko, żeby akurat nie zaczął ząbkować, gdyż wtedy uznałabyś go za nader wrzaskliwego, za okropnego beksę. Nie krzyczał jeszcze zbyt wiele, bo zawsze jestem przy nim. Dzieci krzyczą tylko z tej racji, że mają pewne potrzeby, których nikt odgadnąć nie potrafi, ale ja już jestem na ich tropie. O mój aniele, jakże rozrosło się moje serce w tym samym czasie, kiedy Ty pomniejszyłaś swoje, oddawszy je na służbę światu! Wyglądam Cię z niecierpliwością samotnicy. Ciekawa jestem, co powiesz o Ludwiku, a Ty oczywiście pragniesz się dowiedzieć, jaką o Twoim Felipe opinię powezmę. Przyślij mi wiadomość z ostatniego noclegu, gdyż moi panowie wybierają się naprzeciw naszych znakomitych gości. Przybywaj, królowo Paryża, przybywaj do naszego ubogiego dworku, a znajdziesz tu kochające serca!

XXXIV

PANI DE MACUMER DO WICEHRABINY DE L'ESTORADE

Kwiecień 1826.

Adres na tym liście powie Ci, moja kochana, o pomyślnym wyniku moich zabiegań. Twój teść został hrabią de l'Estorade. Postanowiłam nie wyjeżdżać z Paryża, dopóki Twojej sprawy nie załatwię, a teraz piszę tych kilka słów w czasie wizyty ministra sprawiedliwości, który przyszedł, aby mi oznajmić, że dekret zatwierdzono.

Do zobaczenia.

XXXV

PANI DE MACUMER DO PANI WICEHRABINY DE L'ESTORADE

Marsylia, w lipcu.

Zdziwi Cię mój nagły odjazd i bardzo się wstydzę za niego; ponieważ jednak chcę być nade wszystko prawdomówną, a kocham Cię jak zawsze, ujmę całą sprawę po prostu w trzech słowach: jestem okropnie zazdrosna. Felipe zanadto spoglądał na Ciebie. Ucinaliście pogawędki pod tą Twoją skałą, a ja cierpiałam katusze, wasze rozmowy czyniły mnie złą i deprawowały mój charakter. Twoja uroda, prawdziwie hiszpańska, musiała mu przypominać ojczyznę i tę Marię Heredia, o którą jestem zazdrosna, gdyż jestem zazdrosna o przeszłość. Twoje wspaniałe czarne włosy, piękne brunatne oczy, czoło, na którym radość macierzyństwa podkreśla jeszcze ślady przebytych bólów, ślady, co teraz są cieniem wśród promiennej światłości; ta świeżość południowej cery, jaśniejszej niż moja płeć blondynki; te bujne kształty, ta pierś przezierająca spomiędzy koronek, niby najpyszniejszy owoc, do którego się garnie mój śliczny chrześniak, wszystko to zraniło mi serce i poraziło oczy. Próżno zdobiłam bławatkami bujne sploty, daremnie ożywiałam mdły odcień jasnych warkoczów, przeplatając je pąsowymi wstążkami, wszystko to nikło wobec mojej Renaty, której nie spodziewałam się zastać aż tak urodziwej, w tej oazie zwanej La Crampade.

A Felipe zazdrościł Wam też zbytnio tego synka, którego ja już zaczynałam nienawidzić. Tak: Twoim domem owładnęło zuchwałe życie, śmieje się w nim i krzyczy, a ja zapragnęłam tego życia dla siebie. Wyczytałam żal w oczach mojego męża, przepłakałam dwie noce, lecz on o tym nie wiedział. Byłam u Ciebie jak na torturach. Jesteś nazbyt piękną kobietą i nazbyt szczęśliwą matką, abym mogła pozostać przy Tobie. I Ty się skarżyłaś – o hipokrytko! Przede wszystkim Twój Ludwik jest bez zarzutu i bardzo przyjemny w rozmowie; ładne są te jego czarne włosy przetkane siwizną; ma piękne oczy, a jego sposób bycia, pewien nieokreślony

wdzięk, południowcom właściwy, ogromnie podobać się może. Wnosząc z tego, com dostrzegła, zostanie prędzej czy później deputowanym z Bouches-du-Rhône, a potem odbędzie zwykłą drogę do Izby Parów, gdyż jestem zawsze gotowa na usługi w tym wszystkim, co dotyczy ambicji Waszych. Nieszczęścia wygnania nadały mu wygląd spokojnego i zrównoważonego człowieka, a taka postura decyduje chyba w połowie o politycznej karierze. Według mnie, moja droga, cała polityka na tym się zasadza, żeby wyglądać godnie. Toteż powtarzam Macumerowi, że musi zostać bardzo wielkim mężem stanu.

Jakoż upewniwszy się o Twoim szczęściu, biorę nogi za pas i wracam kontenta do mojego ukochanego Chantepleurs, gdzie Felipe dołoży wszelkich starań, aby zostać ojcem, i nie chcę Cię widzieć u siebie, póki nie będę tulić do łona równie pięknego dziecka jak Twoje. Zasługuję na wszelkie epitety, jakimi zechcesz mnie obdarować: jestem szalona, niegodziwa, głupia. Niestety! – każde z tych słów do nas, zazdrośnic, pasuje. Nie mam do Ciebie pretensji, ale cierpiałam, przebaczysz mi więc, żem od takich cierpień czmychnęła. Jeszcze dwa dni, a popełniłabym jakąś okropną niedorzeczność. Tak, zachowałabym się niesmacznie. Mimo tej wściekłości, co kąsała mi serce, jestem szczęśliwą, że byłam u Ciebie, że ujrzałam w Tobie tak piękną i płodną matkę, która wśród macierzyńskich radości nie przestała być przyjaciółką moją, jak i ja wśród miłości mojej pamiętałam zawsze o przyjaźni, jaką żywiłam i żywię dla Ciebie. Tu, w Marsylii, o kilka kroków od Was, jestem dumna z Ciebie, z tej wspaniałej matki rodu, jaką zostaniesz. Z jakimż nieomylnym przeczuciem odgadłaś swoje powołanie! – a jeśli o mój pogląd idzie, wydajesz mi się bardziej stworzona na matkę niż na kochankę, tak jak mnie bardziej do miłości niż do macierzyństwa stworzono. Ale są i takie kobiety, które nie mogą być ani matkami, ani kochankami, a to z racji swej brzydoty albo głupoty. Dobra matka i żona-kochanka winna w każdej chwili zachowywać przytomność umysłu, zawsze odznaczać się trzeźwością sądu, przy każdej okazji znaleźć zastosowanie dla swoich niezwykłych przymiotów kobiecych. Och! – obserwowałam Cię bacznie, a tym samym podziwiałam Cię, moja koteczko. Tak, Twoje dzieci będą szczęśliwe i dobrze wychowane, będą się kąpać w krynicy Twojej czułości, pieszczone światłem Twojej duszy.

Powiedz Ludwikowi prawdę o moim wyjeździe, ale musisz ubarwić ją w oczach Twojego teścia, który wydaje się być Waszym intendentem, przyzwoitymi pretekstami, a nade wszystko w oczach Twojej rodziny, prawdziwej rodziny Harlowe z dodatkiem prowansalskiego dowcipu. Felipe nie zna jeszcze przyczyny mojego wyjazdu i nigdy się o niej nie dowie. Jeśli mnie spyta, wynajdę jakikolwiek pretekst. Powiem mu chyba, że byłaś o mnie zazdrosna. Potwierdzisz w razie czego to drobne, ale przydatne kłamstwo. Do widzenia, piszę na kolanie, abyś dostała ten list przy śniadaniu, a pocztylion, który podjął się go doręczyć, czeka już, popijając. Ucałuj ode mnie mojego kochanego chrześniaczka. Przyjedź do Chantepleurs w październiku, kiedy będę sama, bo Felipe wybiera się w tym czasie na Sardynię, aby w swoich dobrach wielkie przeprowadzić reformy. Przynajmniej tak w tym momencie projektuje, a projekty takie świadczą o jego zarozumialstwie: uważa się widać za niezależnego – ale zawiadamia mnie o nich z wielkim niepokojem. Do widzenia!

XXXVI

WICEHRABINA DE L'ESTORADE DO BARONOWEJ DE MACUMER

Moja droga, bezgraniczne zapanowało zdziwienie, kiedy przy śniadaniu zawiadomiono nas o Waszym wyjeździe, a zwłaszcza kiedy pocztylion, który odstawił Was do Marsylii, doręczył mi ów list szalony. Ale, niedobra kobieto, w tych naszych rozmowach u stóp skały, na ławce Ludwiki, chodziło jedynie o Twoje szczęście, niesłusznie się więc irytowałaś. Ingrata![102] – Skazuję Cię na powrót do La Crampade za moim pierwszym wezwaniem. W tym obrzydliwym liście, nabazgranym na papierze kupionym w oberży, nie napisałaś mi, gdzie się zatrzymasz; muszę więc zaadresować odpowiedź do Chantepleurs.

Droga siostro z wyboru, wiedz, że nade wszystko pragnę Twojego szczęścia. Twój małżonek, moja Ludwiko, odznacza się nieopisaną głębią duszy i myśli, imponującą w tymże stopniu co jego naturalna powaga i szlachetne maniery; następnie, w jego wielce interesującej brzydocie i aksamitnym oku kryje się prawdziwie majestatyczna potęga; trzeba mi więc było niejakiego czasu dla wytworzenia owej serdeczności, bez której trudno poznać się wzajemnie, a wysondować gruntownie. Ten człowiek, lubo był kiedyś pierwszym ministrem, adoruje Cię tak, jak gdyby czcił Boga, piastując zaś bardzo wysoki urząd, musiał być głęboko skrytym; otóż, aby z głębin duszy tego dyplomaty powyławiać tajemnice, wydobyć je spod skał jego serca, musiałam i zręczność odpowiednią rozwinąć, i do przeróżnych uciekać się forteli; na koniec jednak dopięłam swego: nasz Felipe nie domyślił się nawet, ile wypenetrowałam w nim rzeczy, o których Ty, moja pieszczotko, pojęcia nie masz. Jestem po trosze Rozsądkiem, tak jak Ty jesteś Imaginacją; jestem poważnym Obowiązkiem, tak jak Ty jesteś Miłością szaloną. Losowi spodobało się utrwalić w naszym dalszym życiu ten kontrast duchowy, o którym wiedziałyśmy jedynie my dwie. Jestem tylko skromną wiejską wicehrabiną, nad wyraz ambitną, która ma poprowadzić swoją familię drogą materialnych powodzeń; natomiast wszyscy wiedzą, że Macumer jest eks-księciem de Soria i że Ty, będąc ze stanowiska prawnego księżną, władasz owym Paryżem, gdzie rządzić bardzo trudno, nawet królom. Masz piękną fortunę, którą Macumer jeszcze podwoi, jeśli zrealizuje projekty eksploatacji swoich olbrzymich sardyńskich włości, a ile tam niewykorzystanych skarbów, dobrze w Marsylii wiedzą. Przyznaj więc, że z nas dwóch nie Ty, ale ja mogłabym mieć powody do zazdrości. Ale dzięki Bogu każda z nas ma na tyle szlachetne serce, żeby przyjaźń nasza nad tymi wulgarnymi błahostkami wzięła górę. Znam Cię: wstydzisz się teraz, żeś mnie opuściła. Lecz mimo Twojej rejterady nie oszczędzę Ci ani jednego z tych słów, które miałam dzisiaj powiedzieć pod skałą. Przeczytaj więc ten list uważnie, błagam Cię, gdyż idzie bardziej o Ciebie niż o Macumera, lubo i on zajmie poczesne miejsce w moich morałach. Przede wszystkim, moja pieszczotko, Ty go nie kochasz. Zmęczy Cię ta adoracja, zanim upłyną dwa lata. Nigdy nie dopatrzysz się w swoim Felipe męża, ale będziesz w nim zawsze widzieć kochanka, z którym można igrać beztrosko, bo i zresztą każda kobieta robi sobie z kochanka zabawkę. Nie, stanowczo Ci nie imponuje, nie darzysz go tym głębokim respektem, troskliwością pełną obaw, jaką prawdziwie kochająca kobieta dla tego, w którym widzi Boga, żywić powinna. O, bo ja dobrze przestudiowałam miłość, mój aniele, wiele razy zapuszczałam sondę w otchłań moje-

[102] I n g r a t a (wł.) – niewdzięczna.

go serca. Przyjrzawszy Ci się dobrze, mogę powiedzieć: nie kochasz go. Tak, droga królowo Paryża, na wzór wszystkich królowych marzysz, aby Cię traktował jak gryzetkę, pragnęłabyś, aby Cię ujarzmiał, chciałabyś, żeby Tobą zawładnął silny mężczyzna, który by, zamiast Cię adorować, robiąc Ci scenę zazdrości posiniaczył Twoje ramiona. Macumer zanadto jest w Tobie rozkochany, aby Cię kiedykolwiek strofować albo Ci się oprzeć. Jedno Twoje spojrzenie, jedno przymilne słowo złamie każdą jego decyzję, choćby i z pozoru nieugiętą była. Prędzej czy później zaczniesz nim gardzić za to, że Cię zbyt mocno kocha. Niestety! Psuje Cię, tak samo jak ja Cię psułam, kiedy byłyśmy razem w klasztorze, gdyż jesteś jedną z najbardziej urzekających kobiet, jedną z najbardziej czarodziejskich istot, jakie wyobrazić sobie można. Przede wszystkim jesteś szczera, a świat często wymaga, dla naszego własnego szczęścia, kłamstw, do których Ty się nigdy nie zniżysz. Więc świat żąda, aby kobieta nigdy nie pokazywała władzy, jaką nad mężem sprawuje. Formułując tę myśl na kształt społecznego prawa, powiem: mąż nie powinien okazywać, że kocha żonę miłością kochanka, a żona nie powinna odgrywać roli kochanki. Otóż wy oboje uchybiacie temu prawu. Moje dziecię, na podstawie tego, co mi mówiłaś, wywnioskowałam, że świat najtrudniej wybacza szczęście, a więc trzeba je przed nim taić, ale to nic jeszcze. Istnieje między kochankami równość, która, według mnie, nie może pojawić się między mężem a żoną, w przeciwnym bowiem razie nastąpi przewrót społeczny i dotkną nas niepowetowane straty. Mężczyzna równający się zeru przejmuje odrazą; ale gorsze jeszcze, i słusznie, uczucia w nas budzi mężczyzna do zera zredukowany. Z biegiem czasu doprowadzisz Macumera do tego, że stanie się tylko cieniem mężczyzny: nie będzie miał własnej woli, nie będzie sobą, ale rzeczą do Twojego przystosowaną użytku; zasymilujesz go tak dokładnie, że w waszym stadle zamiast dwóch będzie tylko jedna osoba, a więc siłą faktu zostanie ono zdekompletowane; będziesz cierpieć nad tym, ale kiedy wreszcie otworzysz oczy, wszelki ratunek daremnym się okaże. Choćbyśmy na głowie stawały, nie wyposażymy naszej płci w zalety, co wyróżniają mężczyznę; a te przymioty są dla rodziny bardziej niż konieczne, albowiem bez nich istnieć ona nie może. W obecnym momencie Macumer, mimo swego zaślepienia, dostrzega przyszłość i czuje, że umniejsza go ta miłość. Zamierzona podróż na Sardynię dowodzi, iż w trakcie tej chwilowej rozłąki chciałby odnaleźć samego siebie. A Ty nie wzdragasz się przed sprawowaniem władzy, którą miłość dała Ci w ręce. Widać to w każdym Twoim geście i spojrzeniu, słychać w intonacji Twojego głosu. Och, jesteś, jak Ci powiedziała kiedyś Twoja matka, szaloną kurtyzaną. Przekonałaś się, jak sądzę, że wielce nad Ludwikiem górują; ale czy kiedykolwiek spostrzegłaś, abym mu się sprzeciwiała? Czyż nie jestem dla ludzkich oczu żoną, która w nim respektuje głowę rodziny? Obłuda – powiesz. Przede wszystkim te rady, które uznam za pożyteczne dla niego, daję mu tylko w mroku i ciszy naszej sypialni: w tym jedynie pokoju objawiam Ludwikowi moje projekty i zapatrywania; ale, mój aniele, mogę Ci przysiąc, że nie okazuję mu i wtedy jakiejkolwiek wyższości. Gdybym nie ograniczyła się zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym do roli małżonki, przestałby wierzyć w siebie. Moja droga, doskonałość dobrego uczynku na tym polega, że dobroczyńca starannie kryje się w cieniu, aby zobligowany nie uczuł się niższym; a to utajone poświęcenie zawiera w sobie nieopisaną słodycz. Jakże się szczycę, żem nawet Ciebie oszukała: mam na myśli Twoje komplementy dotyczące Ludwika. Dzięki życiu pomyślnie układającemu się, szczęśliwemu i bogatemu w piękne perspektywy odzyskał w ciągu ostatnich dwóch lat to, co utracił z winy nieszczęścia, nędzy, samotności i zwątpienia. W tym więc momencie stwierdzam na podstawie własnych obserwacji, że nie kochasz Felipe dla niego, ale dla siebie. Jest trochę słuszności w tym, co powiedział Ci Twój ojciec: Kwiaty, w wiosnę Twojej miłości zrodzone, maskują tylko egoizm wielkiej damy. Ach, moje dziecię! – tylko ten, kto bardzo Cię kocha, może Ci mówić te okrutne prawdy. Dozwól, abym Ci opowiedziała, pod warunkiem, że nie napomkniesz ani słowa baronowi, jak się zakończyła jedna z naszych rozmów. Wyśpiewywaliśmy na wszystkie tony hymny pochwalne o Tobie, przekonał się bowiem, że miłuję Cię jak najukochańszą siostrę; a potem ani się spo-

strzegł, kiedy wyciągnęłam go na zwierzenia: „Ludwika – rzekłam – nigdy jeszcze z życiem nie walczyła, jest dzieckiem przez los zepsutym i kto wie, czy nie będzie nieszczęśliwa, jeśli nie potrafisz pan otoczyć jej miłością ojcowską, podobnie jak otaczasz miłością kochanka". „Ach! Czyż ja mogę?" – odpowiedział. I urwał, niby człowiek, co widzi przepaść, w którą zaraz się stoczy. Wystarczył mi ten okrzyk. Gdybyś nie odjechała, wyznałby mi więcej za kilka dni.

Mój aniele, kiedy temu człowiekowi sił nie stanie, kiedy nasyci się rozkoszą i uczuje się, nie powiem: spodlonym, ale pozbawionym w Twoich oczach godności, wyrzuty sumienia obudzą w nim pewien rodzaj zgryzoty, tym przykrzejszy dla Ciebie, że będziesz musiała uznać swoją winę. Skończy się na tym, że zaczniesz nim pogardzać, jeśli teraz nie nauczysz się go szacować. Zastanów się nad tym. Pogarda jest u kobiety najwcześniejszą formą nienawiści. Masz serce szlachetne, będziesz więc pamiętać o wszystkich ofiarach, jakie Felipe poniesie dla Ciebie; ale złożywszy Ci się w pewnym sensie sam podczas pierwszej uczty na ofiarę, nie będzie miał żadnych nowych ofiar w zapasie, a biada temu mężczyźnie i tej kobiecie, w których marzenia o przyszłości wygasną! Wszystko już sobie powiedzieli! Ku naszemu wstydowi, albo naszej chwale, nie umiałabym rozsądzić tej delikatnej sprawy, jesteśmy wymagające tylko wobec tego mężczyzny, który nas kocha!

Zmień się, Ludwiko, póki czas! Możesz, postępując z Macumerem tak, jak ja z Ludwikiem postępuję, obudzić lwa utajonego w tym naprawdę niezwykłym człowieku. Mógłby kto pomyśleć, że pragniesz się mścić za tę nieprzeciętność. Czyżby nie napełniło Cię dumą, gdybyś, inaczej swoją władzę sprawując, pominęła osobistą korzyść czyniąc tego wielkiego człowieka człowiekiem genialnym, jak ja swojego pospolitaka człowiekiem wybitnym uczyniłam?

Gdybyś została na wsi, i tak bym do Ciebie napisała ten list; w rozmowie pobiłabyś mnie swadą i dowcipem, przeczytawszy zaś te słowa, zastanowisz się nad przyszłością. Droga duszo, masz wszystko, co szczęściu potrzebne, nie psuj więc go i w listopadzie wracaj do Paryża. Kłopoty życia światowego i jego wir zawrotny, na które zrzędziłam, są konieczne dla waszej egzystencji, może trochę zanadto intymnej. Mężatka powinna mieć pewien własny system kokieterii. Matka musi dokładać starań, aby zabiegano o jej obecność: rzadko więc winna pokazywać się w rodzinnym gronie, gdyż inaczej wprędce mu spowszednieje. Jeśli będę miała kilkoro dzieci, czego życzę sobie dla własnego szczęścia, przysięgam Ci, że kiedy dojdą one do pewnego wieku, zastrzegę sobie godziny samotności: trzeba bowiem, aby wszyscy pragnęli naszego towarzystwa, nawet rodzone dzieci. Do widzenia, droga zazdrośnico! Czy wiesz, że schlebiłoby pospolitej kobiecie, gdyby wywołała w Tobie ten odruch zazdrości? Ale ja, niestety, mogę się nim jedynie trapić, gdyż jest we mnie tylko matka i szczera przyjaciółka. Tysiące całusów. Poza tym rób sobie co chcesz, żeby wytłumaczyć ów odjazd: jeśli nie jesteś pewna swojego Felipe, ja na Ludwiku polegać mogę.

XXXVII

BARONOWA DE MACUMER DO WICEHRABINY DE L'ESTORADE

Genua.

Moja droga pięknotko, przyszła mi fantazja rzucić okiem na Włochy i nie posiadam się z radości, żem zaciągnęła tutaj Macumera, który odłożył na później swoje projekty dotyczące Sardynii.

Ten kraj zachwycił mnie i oczarował. Tutejsze kościoły, a zwłaszcza kaplice są wielce kokieteryjne, jakby stworzone dla zakochanych, co musi budzić w protestantce chęć przejścia na katolicyzm. Zgotowano Macumerowi świetne przyjęcie, winszowano sobie tego nowego obywatela. Gdybym tylko zapragnęła, Felipe zostałby ambasadorem Sardynii w Paryżu, bowiem dwór zasypuje mnie grzecznościami. Jeśli masz zamiar napisać do mnie, adresuj do Florencji. Nie mam czasu na opisywanie szczegółów, opowiem Ci wszystko o swoim wojażu, kiedy przyjedziesz do Paryża. Zabawimy tu tylko tydzień. Udamy się stąd do Florencji przez Livorno, zabawimy miesiąc w Toskanii i miesiąc w Neapolu, żeby w listopadzie być już w Rzymie. Wrócimy przez Wenecję, gdzie zostaniemy do połowy grudnia; a potem przez Mediolan i Turyn puścimy się do Paryża i będziemy tam przez cały styczeń. Podróżujemy jak para kochanków: dzięki nowym miejscom odnawiamy nasze ukochane miodowe miesiące. Macumer nie znał wcale Włoch: zaczęliśmy od wspaniałej drogi Corniche, którą chyba wróżki zbudowały. Do widzenia, skarbie. Nie miej mi za złe, że nie pisuję; nie podobna mi znaleźć w trakcie tego wojażu ani jednej chwili dla siebie; mam tylko czas patrzeć, odczuwać i rozsmakowywać się w doznanych wrażeniach. Ale żeby Ci o nich opowiedzieć, zaczekam, aż nabiorą barwy wspomnień.

XXXVIII

WICEHRABINA DE L'ESTORADE DO BARONOWEJ DE MACUMER

Wrzesień.

Moja droga, zastaniesz w Chantepleurs dość wyczerpującą odpowiedź na Twój list z Marsylii. Ta podróż, którą odbywacie jak para kochanków, tak podsyciła moje obawy w nim wyrażone, iż proszę, abyś napisała do Nivernais, żeby Ci ów list przysłano.

Mówią, że ministrowie postanowili rozwiązać parlament. Nieszczęście to dotknie nie tylko koronę, która zamierzała poświęcić ostatnią sesję oddanego sobie ciała prawodawczego realizacji pewnych ustaw, niezbędnych dla skonsolidowania władzy, lecz odbije się i na nas: Lu-

dwik będzie miał czterdzieści lat dopiero pod koniec 1827 roku. Na szczęście mój ojciec zgadza się zostać deputowanym, a we właściwym czasie złoży dymisję.

Twój chrześniak stawia pierwsze kroki bez pomocy swojej chrzestnej; jest poza tym czarujący i zaczyna już mnie kokietować wdzięcznymi ruchami, które świadczą, że przestaje być organem do ssania, pierwotniakiem, a zaczyna mieć duszę: w jego uśmiechach tai się mnóstwo myśli. Tak jednak mój pokarm sobie upodobał, że odstawię Armanda dopiero w grudniu. Rok na mleku matki wystarczy. Dzieci głupieją od przydługiego ssania. Jestem zwolenniczką przysłów ludowych. Musisz święcić we Włoszech szalone triumfy, Ty moja złotowłosa bogini. Mnóstwo czułości.

XXXIX

BARONOWA DE MACUMER DO WICEHRABINY DE L'ESTORADE

Rzym, w grudniu.

Otrzymałam już Twój niegodziwy list: nasz administrator przesłał mi go z Chantepleurs na moje żądanie. Och! Renato... Ale szczędzę Ci słów, które podyktować by mi mogło oburzenie. Opowiem Ci tylko o skutkach, jakie wywołał. Wróciwszy z uroczej zabawy u ambasadora, z racji naszego wydanej pobytu, na której całym swym blaskiem jaśniałam, co tak upoiło Macumera, że wysłowić tego nie potrafię, przeczytałam mu, płacząc, lubo te łzy oszpecić by na chwilę mnie mogły, Twoją straszliwą odpowiedź. Mój drogi Abencerag padł mi do nóg, a Ciebie uznał za bajczarę; zaprowadził mnie na balkon pałacu, w którym mieszkamy, skąd roztacza się widok na część Rzymu: wspaniała to panorama, a słowa, które wyrzekł wtedy Felipe, były jej godne; przepyszny księżyc w pełni uświetniał jeszcze tę scenę. Nauczyliśmy się już po włosku, więc miłość jego, w tym melodyjnym i sprzyjającym namiętności języku wyrażona, nieziemską mi się wydała. Powiedział mi, że gdybyś nawet zaliczała się do proroków, przeniósłby jedną noc szczęśliwą albo jeden z tych rozkosznych naszych poranków nad całe życie. Biorąc to pod uwagę, przeżył był już tysiąc lat. Chciał, abym została nadal jego kochanką, dla siebie zaś innego tytułu oprócz tytułu mojego kochanka nie pragnie. Jest tak dumny i tak szczęśliwy, że wyróżniam go co dzień, iż jeśli Bóg stanąłby przed nim i dał mu do wyboru jeszcze trzydzieści lat życia i pięcioro dzieci – wedle Twojej doktryny – albo pięć lat życia pełnego naszych ukochanych i cudnych niby kwiaty amorów, wolałby moją miłość taką, jaką go darzę, i śmierć. Oparłam głowę o jego ramię, Felipe objął mnie wpół i do ucha szeptał mi te słodkie zapewnienia, gdy nagle zmącił je pisk nietoperza, którego schwytał puszczyk. Ten krzyk śmierci wstrząsnął mną tak okrutnie, że Felipe zaniósł mnie na pół omdlałą do łóżka. Ale uspokój się – lubo ta przepowiednia głęboko zapadła mi w duszę, dziś rano dobrze się czuję. Wstając uklękłam przed Felipe i utkwiwszy wzrok w jego oczach, wzięłam go za ręce i rzekłam: „Mój aniele, jestem dzieckiem i kto wie, czy Renata nie ma racji: może to i prawda, że tylko miłość kocham w tobie; ale wiedz, że w sercu moim nie ma innego uczucia i że w takim razie kocham cię na swój sposób. Wreszcie, jeśli w moim postępowaniu, w najdrobniejszej sprawie dotyczącej bezpośrednio mojego życia i mojej duszy, dostrzeżesz cokolwiek, co byłoby przeciwne twoim życzeniom lub nadziejom, powiedz! –

niechże wiem o tym! – wysłucham z rozkoszą, a blask twoich oczu jedynym będzie mi przewodnikiem. Przeraża mnie Renata, aż tak mnie kochając!”.

Macumerowi głos uwiązł w gardle, nie mógł odpowiedzieć, zalewał się łzami. I teraz dziękuję Ci, Renato: nie wiedziałam, jak bardzo jestem kochana od mojego pięknego, od mojego królewskiego Felipe. Rzym jest miastem miłości. Skoro ktoś namiętnością pała, niechże tutaj przybywa i tutaj nią się syci: sztuka i Bóg wspomogą go w Rzymie. W Wenecji zastaniemy księstwo de Soria. Jeśli zechcesz odpisać, wyślij list do Paryża, bowiem za trzy dni Rzym opuszczamy. Przyjęcie u ambasadora było bankietem pożegnalnym.

P. S. Drogi głuptasie, Twój list dowodzi czarno na białym, że znasz miłość tylko ze słyszenia. Trzeba Ci wiedzieć, że miłość jest elementem przybierającym tak rozmaite i nic nie podobne do siebie formy, iż nigdy żadna teoria ująć jej ani rządzie nią nie zdoła. Zapamiętaj to sobie, moje filozofiątko w gorsecie.

XL

HRABINA DE L'ESTORADE DO BARONOWEJ DE MACUMER

Styczeń 1827.

Ojciec został deputowanym, teść umarł, a ja znowu mam rodzić: oto wypadki, które upamiętniły koniec przeszłego roku. Mówię o tym na wstępie, aby rozproszyć wrażenie, jakie wywoła koperta z czarną pieczątką.

Moja duszko, zadrżałam przeczytawszy list z Rzymu. Jesteście dwojgiem dzieci. Felipe jest albo dyplomatą, co nic nie pokazał po sobie, albo człowiekiem zakochanym w Tobie jak w kurtyzanie, o której wie, że go zdradza, a mimo to całą swoją fortunę jej oddaje. Dość na tym. Uznaliście mnie za bajczarę, więc milczeć będę. Pozwól mi jednak powiedzieć, że medytując nad waszym losem, do takiej oto bezlitosnej doszłam konkluzji: chcesz być kochaną? Nie kochaj.

Ludwik, moja droga, dostał krzyż legii honorowej w tymże czasie, kiedy powołano go na członka rady głównej. Otóż, moja droga, niebawem minie trzy lata, jak Ludwik zasiadł w radzie, a mój ojciec, z którym na pewno zobaczysz się w Paryżu podczas sesji parlamentarnej, rozpoczął starania, aby dano zięciowi rangę oficera rzeczonej legii, zrobisz mi więc przyjemność popchnąwszy nominację u zajmującego się nią urzędniczyny i dopilnowawszy tej bagateli. Nade wszystko jednak nie mieszaj się do spraw mego wielce czcigodnego papy, hrabiego de Maucombe, który domaga się obecnie tytułu markiza; zachowaj dla mnie swoje fawory. Kiedy Ludwik zostanie deputowanym, to znaczy przyszłej zimy, zjedziemy do Paryża, a wtedy poruszymy niebo i ziemię, żeby umieścić go w jakiejś dyrekcji generalnej, gdyż jeśli się to uda, będziemy mogli odkładać całą naszą intratę, żyjąc z pensji za urząd pobieranej. Mój ojciec zasiada między prawicą a centrum i marzy tylko o tytule; nasza familia słynęła już za króla René, toteż król Karol X nie odmówi jednemu z Maucombe'ów; boję się jednak, aby ojcu nie strzeliło do głowy zażądać jakiegoś faworu dla mojego młodszego brata; jeśli więc trochę za wysoko cukierek z markizostwem zawiesimy, papa będzie w stanie myśleć tylko o sobie.

15 stycznia.

Ach Ludwiko! byłam w piekle. Mam odwagę opowiedzieć Ci o swoich cierpieniach dlatego tylko, że jesteś moim drugim ja. I nie wiem jeszcze, czy kiedykolwiek do tych fatalnych pięciu dni dozwolę myślom moim powrócić! Na sam wyraz „konwulsje" dreszcz mną wstrząsa do głębi duszy. To nie było pięć dni, ale pięć wieków tortury. Żadna z matek nie dowie się, co to słowo „boleść" znaczy, póki sama nie przejdzie przez te katusze. Pomyślałam nawet, że jesteś szczęśliwa, bo nie masz dzieci: oto jak rozpacz przywodzi do głupoty.

W wilię tego strasznego dnia było parno, niemal gorąco: wydało mi się, że to ciężkie powietrze dokucza mojemu Armandkowi. On, taki zawsze pogodny i przymilny, grymasił; płakał za lada przyczyną, chciał się bawić, ale psuł zabawki. Kto wie, czy taki zmienny humor u dziecka nie zwiastuje zawsze choroby. Nie lekceważąc tych szczególnych a złośliwych kaprysów, dostrzegłam, że Armand czerwienieje i blednie na przemian, przypisałam jednak ten objaw ząbkowaniu: cztery duże zęby wyrastają mu jednocześnie. Z tej racji położyłam go koło siebie; budziłam się co moment. W nocy miał trochę gorączki, czym nie zaniepokoiłam się wcale, przypisując wciąż winę pomienionym zębom. Nad ranem powiedział: „Mamusiu!" – prosząc gestem o coś do picia, ale brzmienie jego głosu, konwulsyjny ruch rączek zmroziły mi krew. Wyskoczyłam z łóżka, żeby zrobić mu limoniady. Imaginuj sobie moje przerażenie, kiedy podając mu filiżankę spostrzegłam, że Armand nie porusza się wcale; powtarzał tylko: „Mamusiu!" – ale jakimś nieswoim głosem, nie był to już w ogóle głos. Wzięłam go za rączkę, ale ta rączka zobojętniała jakby i zesztywniała. Zbliżyłam filiżankę do jego warg: biedaczek wypił w jakiś przerażający sposób, trzema lub czterema nerwowymi haustami, a woda bulgotała mu dziwnie w gardle. Na koniec wczepił się we mnie z rozpaczą i wtedy spostrzegłam, że jego oczy, ulegając snadź jakiejś wewnętrznej sile, ukazują tylko białka i że drętwieją mu członki. Jęłam przeraźliwie krzyczeć. Wszedł Ludwik. „Doktora! Doktora! Mały umiera!" – krzyknęłam. Ludwik wybiegł, a mój Armandek powiedział jeszcze: „Mamusiu! Mamusiu!" uczepiwszy się mnie rączkami. Była to ostatnia chwila, w której wiedział, że ma matkę. Nabrzmiały śliczne żyłeczki na jego czole i zaczęły się konwulsje. Na godzinę przed przybyciem lekarzy trzymałam na rękach to dziecię, takie wczoraj ruchliwe, takie różowiutkie i białe, ten kwiatuszek, co był moją dumą i radością, sztywne teraz niby kawałek drzewa, i te oczy! – drżę, kiedy sobie je przypomnę. Czarny, skurczony, skręcony, niemy, mój cudny Armandek był mumijką. Lekarz, dwaj lekarze, których Ludwik sprowadził z Marsylii, stali jakby wrośnięci w ziemię, niczym złowróżbne ptaki, przyprawiając mnie o drżenie. Jeden prawił o zapaleniu mózgu, drugi dopatrywał się w tych konwulsjach tężyczki, pospolitej u dzieci. Lekarz z naszego powiatu wydał mi się mądrzejszym, gdyż nie stawiał żadnej diagnozy. „To od zębów" – powiadał drugi doktor. „To zapalenie" – powiedział pierwszy. Na koniec uradzili, żeby przystawić pijawki do szyi, a głowę obłożyć lodem. Byłam bliska śmierci. Asystować przy tym, widzieć, zamiast hałaśliwego i wesołego stworzonka, sino-czarnego, zastygłego w bezruchu i niemego trupka! W pewnym momencie zaczęłam odchodzić od zmysłów i roześmiałam się nerwowo, widząc, jak pijawki gryzą tę śliczną szyjkę, której nigdy dość nacałować się nie mogłam, widząc tę uroczą główkę w czapce z lodu. Moja droga, trzeba było mu ostrzyc te piękne loki, przedmiot naszego niepomiarkowanego zachwytu, te loki, które tak pieściłaś, ostrzyc, żeby zrobić okład z lodu. Konwulsje powtarzały się co dziesięć minut, jak moje bóle porodowe, a kiedy atak powracał, biedaczek skręcał się i już to bladł, już to robił się fioletowy. Uderzając o siebie, jego członeczki, takie zawsze giętkie, wydawały dziwny odgłos, jakby były drewniane. I ta istotka, na nic teraz nieczuła, uśmiechała się niedawno jeszcze do mnie, mówiła, nazywała mnie mamusią! Na myśl o tym potężny ból przeorał mi duszę, niby huragan, co morską falą miecie, i uczułam, jak coś targnęło więzami łączącymi

serce moje z dzieckiem. Moja matka, która byłaby mi może pomogła, doradziła coś albo mnie pocieszyła, bawi właśnie w Paryżu. Moim zdaniem, matki wiedzą więcej o konwulsjach niż lekarze. Po czterech dniach i czterech nocach, pełnych już to polepszeń, już to pogorszeń i obaw, które pół życia mnie kosztowały, doktorzy zgodzili się, że trzeba przyłożyć maść, która wywołuje rany! Och! – rany na ciele mojego Armanda, który bawił się przed pięciu dniami, uśmiechał się i usiłował powiedzieć: „matka chrzestna”! Sprzeciwiłam się, woląc zaufać naturze. Ludwik ofuknął mnie – wierzył doktorom. Mężczyzna jest zawsze mężczyzną. Ale w tych okropnych chorobach istnieją chwile, kiedy pacjent przypomina umarłego; otóż w jednym z takich momentów to lekarstwo, którym się tak brzydziłam, wydało mi się zbawieniem dla Armanda. Moja Ludwisiu, jego skóra była taka sucha, tak szorstka i spierzchnięta, że maść przylgnąć nie chciała. Wybuchnęłam wtedy płaczem i siedząc przy moim malcu płakałam tak długo, że zmoczyłam łzami całą poduszkę. A ci doktorzy jedli sobie obiad! Widząc, że jestem sama, odrzuciłam precz wszystkie te medykamenty i, niby w przystępie szału, chwyciłam dziecię na ręce i tuląc je do piersi, oparłszy czoło o jego czółko, błagałam Boga, aby przelał w Armanda moje życie, usiłując jednocześnie uczynić to sama. Trzymałam go tak przez kilka chwil, pragnąc umrzeć z nim razem, byle być z moim dzieckiem i w życiu, i w śmierci złączoną. Moja droga, uczułam, że członki dziecka tracą drętwotę; skurcz ustąpił, Armand się poruszył, znikły okropne i złowieszcze kolory. Krzyknęłam tak samo jak w momencie, gdy zachorował, wbiegli lekarze, pokazałam im Armanda.

– Ocalony! – obwieścił najstarszy z doktorów.

Och! Cóż za słowa! Nie słowa, ale muzyka! Otwarły się niebiosa! I rzeczywiście, po dwóch godzinach Armand jął się odradzać; ale ja do cna z sił opadłam i tylko dzięki balsamowi radości nie owładnęła mną jakaś choroba. O mój Boże! – czymże jest ta boleść, która za Twoją sprawą dziecię do matki przykuwa? Jakimiż Ty do jej serca przybiłeś je gwoździami! Czyżem nie żywiła dość macierzyńskich uczuć, ja, która płakałam z radości, kiedy to dziecię zaczęło mówić i stawiać pierwsze kroki? Ja, która obserwuję je całymi godzinami, aby należycie spełniać obowiązki swoje i kształcić się w słodkim rzemiośle matki? Trzebaż było nabawić tak okropnego strachu tę, która uczyniła bożyszczem dziecię swoje? Trzebaż było jej ukazać tak przerażające obrazy? – W chwili, kiedy piszę do Ciebie, nasz Armand bawi się, śmieje i krzyczy. Zastanawiam się teraz nad przyczynami tej strasznej dziecięcej choroby, myśląc jednocześnie o swojej obecnej ciąży. Czy ząbkowanie spowodowało ową tężyczkę? Czy może jakieś szczególne procesy zachodzące w mózgu? Czy dziecko podlegające konwulsjom cierpi na jakieś wady systemu nerwowego? Wszystkie te myśli niepokoją mnie zarówno ze względu na teraźniejszy moment, jak i na przyszłość. Nasz wiejski lekarz upiera się przy podrażnieniu nerwowym wywołanym ząbkowaniem. Oddałabym wszystkie swoje zęby, byle tylko jak najprędzej naszemu małemu wyrżnęły się wszystkie ząbki. Oblewają mnie teraz zimne poty, kiedy zobaczę, jak jedna z tych perełek świta wśród zaczerwienionego dziąsła. Heroizm, z jakim cierpi ten aniołeczek, wskazuje, że będzie miał mój charakter; rzuca mi tylko spojrzenia, od których serce pęka. Medycyna prawie nic nie wie o źródle tej odmiany tężca, ustępującej równie szybko, jak się zaczyna, a której nie podobna ani zapobiec, ani jej wyleczyć. Powtarzam Ci, że tylko jedno jest pewne: widok dziecka cierpiącego na konwulsje to piekło dla matki. Z jakimi ja teraz całuję Armanda zapałem! Jakież długie odbywam spacery, trzymając go na rękach! Ten bolesny wstrząs na sześć tygodni przed nowym połogiem straszliwie moje spotęgował cierpienia, gdyż lękałam się o to drugie dziecię. Do widzenia, droga i ukochana Ludwiko, nie pragnij dziecka, oto moje ostatnie słowo.

XLI

BARONOWA DE MACUMER DO WICEHRABINY DE L'ESTORADE

Paryż.

Biedny aniele, wybaczyliśmy Ci z mężem szkaradne uwagi, dowiedziawszy się o Twoich okropnych przejściach. Drżałam czytając Twój list, przeżywałam z Tobą każdy szczegół tej dwojakiej tortury, a teraz nie martwi mnie już tak bardzo to, że nie jestem matką. Spieszę z wiadomością o nominacji Ludwika, któremu wolno już nosić rozetkę oficera legii honorowej. Marzyłaś o córeczce i pewno będziesz ją miała, szczęśliwa Renato! Zaraz po naszym powrocie odbył się ślub mojego brata z panną de Mortsauf. Nasz uroczy monarcha, odznaczający się naprawdę podziwienia godną zacnością, nadał mojemu bratu przywilej, na mocy którego przejmie on po śmierci teścia urząd pierwszego szambelana dworu. „Urząd winien towarzyszyć tytułom" – powiedział do księcia de Lenoncourt-Givry. Życzy sobie tylko, aby tarcza herbowa Mortsaufów wspierała się o tarczę Lenoncourtów.

Mój ojciec miał po stokroć rację. Gdyby nie moja fortuna, nie byłoby o tym co marzyć. Moi rodzice przybyli z Madrytu na ów mariaż, a wrócą tam zaraz po balu, który jutro na cześć nowożeńców wydaję. Karnawał zapowiada się wspaniale. Księstwo de Soria bawią w Paryżu; ich obecność niepokoi mnie trochę. Maria Heredia jest niewątpliwie jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie i bardzo mi się nie podoba sposób, w jaki Felipe patrzy na nią. Toteż podsyciłam ogień miłości i nie ustaję w oświadczaniu najtkliwszych uczuć. „O n a by cię tak nigdy nie kochała!" – baczę pilnie, aby nie wypowiedzieć tych słów, ale można je wyczytać z każdego mojego spojrzenia i ruchu. Niechże sam Bóg osądzi, jaka jestem elegancka i zalotna. Wczoraj pani de Maufrigneuse rzekła do mnie: „Drogie dziecię, trzeba złożyć broń przed tobą". Krótko mówiąc, tak swojego Felipe zabawiam, aby nabrał przekonania, że jego bratowa jest głupia jak hiszpańska krowa. I tym mniej teraz boleję, iżem nie urodziła jeszcze małego Abenceraga, że księżna odbędzie na pewno połóg w Paryżu, a tymczasem odpowiednio zbrzydnie; jeśli powije chłopaka, będzie mu na imię Felipe, na cześć wygnańca. Złośliwy przypadek sprawi, że znów tylko matką chrzestną zostanę. Do widzenia, droga. Tego roku udamy się wcześniej do Chantepleurs, bowiem nasz zagraniczny wojaż pochłonął olbrzymie sumy; wyjadę pod koniec marca i umyśliłam sobie żyć oszczędnie w Nivernais. A zresztą Paryż mnie nudzi. Felipe wzdycha tak samo jak ja do uroczej samotni naszego parku, do naszych świeżych łąk i naszej Loary zdobnej w lśniące łachy piasku, której żadna nie dorówna rzeka. Takem się pompą i próżnością Włoch nasyciła, że Chantepleurs rozkosznym miejscem teraz mi się wyda; gdyż, biorąc wszystko pod uwagę, nudny jest ten przepych, a spojrzenie kochanka piękniejsze niż *capo d'opera i bel quadro*[103]! Będziemy Cię tam oczekiwać i już nie będę o Ciebie zazdrosna. Będziesz mogła ile ci się tylko spodoba sondować serce Macumera, prowokować je do okrzyków, przywodzić do skrupułów – oddaję Ci je ze wspaniałą ufnością. Od czasu tej sceny w Rzymie Felipe kocha mnie jeszcze mocniej; oznajmił mi wczoraj (zagląda mi teraz przez ramię), że jego bratowa, owa Maria, jego bożyszcze, była narzeczona, księżniczka Heredia, sen jego pierwszej młodości, jest głupia! Och, droga! jestem gorsza niż

[103] C a p o d ' o p e r a (wł.) – arcydzieło; b e l q u a d r o (wł.) – piękny obraz.

lafirynda z Opery, ta obelga sprawiła mi przyjemność. Zwróciłam uwagę mojego męża na to, że Maria nie mówi poprawnie po francusku; wymawia *esemple, sain* zamiast *cinq, cheu* zamiast *je*; z tym wszystkim jest bardzo piękna, ale pozbawiona wdzięku i jakiejkolwiek lotności umysłu. Jeśli jej ktoś powie komplement, otwiera szeroko oczy, jakby ją to rzadko spotykało. Człowiek z takim jak Felipe charakterem rzuciłby Marię po dwóch miesiącach małżeństwa. Książę de Soria, Don Fernand, jest wybornie do niej dobrany; szlachetna dusza, a zarazem zepsute dziecko, to widać. Mogłabym teraz być złośliwa i rozśmieszyć Cię do łez; ale trzymam się prawdy. Tysiące całusów, mój aniele.

XLII

RENATA DO LUDWIKI

Moja córeczka ma już dwa miesiące; trzymała ją do chrztu moja matka wespół ze stryjecznym dziadkiem Ludwika, a maleństwu na imię Joanna Atenais.

Skoro nie przeraża was karmiąca matka, jak tylko będę mogła, zjadę do Chantepleurs. Twój chrześniak nauczył się już Twojego nazwiska; wymawia je *Matoumer*! gdyż nic umie inaczej powiedzieć; stracisz głowę dla niego; wyrosły mu już wszystkie ząbki; jada teraz mięso, jak duży chłopczyk, a biega i drepcze jak szczurek; ale nie spuszczam zeń niespokojnego oka, a w czasie ostatniego połogu nie posiadałam się z rozpaczy, że nie mogę go mieć przy sobie: lekarze kazali mi pozostać czterdzieści dni w pokoju, a wymagały tego pewne ostrożności. Niestety, moje dziecię, nie podobna przywyknąć do rodzenia! Wróciły te same boleści i te same lęki. Z tym wszystkim (nie pokazuj tego listu Macumerowi) tak sobie tę dziewczynkę upodobałam, że boję się, aby nie było to z krzywdą dla Twojego Armanda.

Ojciec pisał mi, że Felipe zmizerniał, a i moja droga pieszczotka też pono nieświetnie wygląda. A przecież księstwo de Soria wyjechali; nie masz więc już najmniejszego powodu do zazdrości! Czyżbyś taiła przede mną jakieś zmartwienie? Twój ostatni list nie był ani długi, ani taki pełen serdecznych myśli, jak inne. Czy to aby tylko kaprys mojej ukochanej kapryśnicy?

Dość już tego pisania: moja niańka karci mnie, że za długo trwała zabawa, a panna Atenais de l'Estorade domaga się obiadu. Do widzenia, pisuj do mnie miłe i długie listy.

XLIII

PANI DE MACUMER DO HRABINY DE L'ESTORADE

Pierwszy raz w życiu, moja droga Renato, płakałam samotnie pod wierzbą, siedząc na drewnianej ławce nad brzegiem mojego pięknego, długiego stawu w Chantepleurs: prześliczny stąd roztacza się widok, który Ty upiększysz jeszcze, gdyż brak mu tylko igrającej wesoło dziatwy. Twoja płodność kazała mi zastanowić się nad sobą, co po blisko trzyletnim małżeństwie nie mam jeszcze dzieci. Och! – myślałam sobie – gdybym nawet musiała cierpieć sto razy więcej, niż cierpiała Renata rodząc mojego chrześniaka, gdybym nawet musiała widzieć

moje dziecię w konwulsjach, spraw, o mój Boże, abym i ja miała anielskie stworzenie, takie jak maleńka Atenais, którą widzę stąd śliczną niby poranek, lubo mi o niej nic nie pisałaś! Poznaję w tym swoją Renatę. Wydaje się, jakbyś przeczuwała moje cierpienia. Za każdym razem, kiedy zawiodą mnie nadzieje, padam na kilka dni ofiarą czarnej melancholii. Komponowałabym wtedy posępne elegie. Kiedy będę haftowała czepeczki? Kiedyż będę wybierała płótno na wyprawkę? Kiedyż będę obszywała ją wdzięczną koronką, która spowije główkę dziecka? Czyż nigdy nie usłyszę, jak jedno z tych uroczych stworzonek powie do mnie „mamo"? Czyż nigdy nie pociągnie mnie za suknię i nie zacznie tyranizować? Czyż nie ujrzę śladów wózka na piasku? Czyż nie będę zbierać na podwórzu połamanych zabawek? Czyż nigdy nie pójdę, jak tyle matek, do sklepu z zabawkami kupić szabelkę, kilka lalek, małe gospodarstwo? Czyż nigdy się nie przekonam, jak rozwija się to życie i ten anioł, który będzie drugim, bardziej ukochanym Felipe? Chciałabym mieć syna, ażeby się dowiedzieć, czy można kochanka serdeczniej w kimś innym niźli w nim samym umiłować. Mój park i zamek wydają mi się puste i ziejące chłodem. Kobieta bezdzietna jest potwornością; jesteśmy stworzone tylko na matki. Och! – Ty mój filozofie w gorsecie, mądrze na życie spojrzałaś. A zresztą bezpłodność jest okropna pod każdym względem. Moje życie nazbyt przypomina owe idylle pasterskie Gessnera albo Floriana, o których Rivarol[104] mawiał, że chętka bierze wpuścić tam wilka. Ja też pragnę się poświęcać! Czuję w sobie siły, o które nie dba Felipe; i jeśli nie zostanę matką, przyjdzie mi do głowy jakaś nieszczęsna fantazja, której na pewno ulegnę. Oto com przed chwilą powiedziała mojemu niedobitkowi Maurów, a jemu na te słowa stanęły łzy w oczach; ale i tak wykręcił się sianem, bo go nazwałam tylko najszlachetniejszym ze zwierząt, gdyż nie trzeba żartować z jego miłości.

Chwilami mam ochotę odprawiać nowenny, nawiedzić niektóre Madonny, płodnością obdarzające, albo pojechać do wód. W zimie poradzę się doktorów. Jestem zbyt wściekła na siebie, żeby pisać więcej. Do widzenia.

XLIV

LUDWIKA DO RENATY

Paryż 1829.

Cóż Ty sobie właściwie myślisz, moja droga?... Cały rok bez listu! Jestem nieco urażona. Czyżbyś sobie wyobrażała, że zastępuje Cię Twój Ludwik, który bywa u mnie prawie co drugi dzień? Nie wystarczą mi wiadomości o Twoim dobrym zdrowiu i niezłym stanie interesów, pragnę, abyś mi powierzała swoje uczucia i myśli, tak jak ja przed Tobą nic nie ukrywam, narażając się na Twoje przykre uwagi, potępienie i niezrozumienie, bo Cię kocham. Mocno mnie zaniepokoiło Twoje milczenie i ten pustelniczy żywot na wsi: przecież mogłabyś tutaj cieszyć się triumfami parlamentarnymi hrabiego de l'Estorade, który dzięki swoim „pogadankom" i oddaniu sprawie zdobył znaczne wpływy, a po zamknięciu sesji wywinduje się z pewnością bardzo wysoko. Czyżbyś więc spędzała czas na pisaniu instrukcji dla niego? Numa nie

[104] Salomon Gessner (1730–1788) – sielankopisarz szwajcarski; Jean-Pierre Claris de Florian (1755–1794) – poeta, autor doskonałych bajek, nowel i sztuk teatralnych; Antoine de Rivarol (1753-1801) – publicysta, pisarz i krytyk literacki, znany z ciętego dowcipu.

był tak daleko od swej Egerii. Czemu nie skorzystałaś z okazji, żeby zobaczyć Paryż? Cieszyłabym się Tobą już od czterech miesięcy. Ludwik oznajmił mi wczoraj, że przyjedziesz do niego i odbędziesz trzeci połóg w Paryżu – ach, Ty, okropna matko Gigogne![105]. Po wielu zapytaniach, westchnieniach i żalach Ludwik, chociaż dyplomata, powiedział mi wreszcie, że jego wujeczny dziadek, ojciec chrzestny małej Atenais, goni resztkami sił. Poczytując Cię za dobrą matkę rodu, sądzę, że będziesz zdolna wyciągnąć profit ze sławy i przemówień deputowanego, uzyskawszy przyzwoity zapis od ostatniego krewniaka ze strony Twojej nieboszczki świekry. Bądź spokojna, moja Renato, Lenoncourtowie, Chaulieu, a także salon pani de Macumer pracują dla Ludwika. Martignac[106] umieści go na pewno w Izbie Obrachunkowej. Ale obrażę się, jeśli mi nie powiesz, czemu tkwisz na prowincji. Czy dlatego, aby nikt się nie domyślił, że kierujesz całą polityką familii de l'Estorade'ów? a może ze względu na sukcesję po rzeczonym dziadku? Czy lękasz się, że w Paryżu zaniedbasz macierzyńskie obowiązki? Ach, ty kokietko! – na pewno nie chcesz mi się pokazać w ciąży – zobaczyłabym Cię przecież po raz pierwszy w takim stanie! Jakżebym chciała, aby ten domysł był prawdziwy! Do widzenia.

XLV

RENATA DO LUDWIKI

Uskarżasz się na moje milczenie: zapominasz więc o tych dwóch czarnych łebkach, którymi rządzę i co mną rządzą? Wykryłaś zresztą kilka powodów, dla których nie ruszam się z domu. Należy do nich i stan owego szacownego dziadka, i to, że nie chcę ciągnąć do Paryża czteroletniego chłopca i prawie trzyletniej dziewczynki – nie mówiąc już o nowym zbliżającym się porodzie. Nie chciałam wprowadzić rozgardiaszu w Twoim życiu i w Twoim domu, zjeżdżając z takim gospodarstwem, nie chciałam pokazać się niekorzystnie w owym błyszczącym świecie, gdzie Ty królujesz, a meblowanych apartamentów i życia hotelowego nie cierpię. Dziadek Ludwika, dowiedziawszy się o jego nominacji, podarował mi połowę swoich oszczędności, to znaczy dwieście tysięcy franków, na kupno domu w Paryżu, a Ludwik ma wyszukać jakąś posesję w Twojej dzielnicy. Matka dała mi trzydzieści tysięcy franków na umeblowanie. Kiedy więc zjawię się w Paryżu, zamieszkam u siebie. No i postaram się nie narobić wstydu swojej drogiej siostrze z wyboru – nie weź tego słowa za jakąś aluzję do wyborów.

Dziękuję Ci, że za Twoją sprawą Ludwik jest w takich łaskach; mimo jednak estymy, jaką żywią dla niego pan de Bourmont i pan de Polignac, którzy chcieliby go mieć w swoim gabinecie, nie życzę sobie wcale, aby Ludwik zajął aż tak odpowiedzialne stanowisko: łatwiej wtedy o kompromitację. Wolę Izbę Obrachunkową, gdyż to zapewnione dożywocie. Nasze interesa pozostaną tutaj w bardzo dobrych rękach; niech tylko nasz administrator we wszystkim dokładnie się rozpatrzy, a przyjadę, żeby sekundować Ludwikowi – o to bądź spokojna.

Jeśli idzie o pisanie długich listów, to czyż ja mogę teraz pozwolić sobie na to? List, w którym chciałabym Ci odmalować zwyczajny tryb życia mojego, musiałby przeleżeć z tydzień na stole. Kto wie, czy Armand nie porobiłby z niego pukawek, wielce użytecznych przy zabawie

[105] M a t k a G i g o g n e – postać z teatru marionetek, symbolizująca płodność.

[106] Jean-Baptiste-Sylvére Gay, wicehrabia de M a r t i g n a c (1778–1832) – minister spraw wewnętrznych w latach 1828–1829.

żołnierzami, których regimenty kwaterują na moim dywanie, albo okręcików dla floty manewrującej w wannie. Starczy Ci zresztą opis jednego mojego dnia, gdyż wszystkie one są prawie jednakie, a streszczają się w dwóch zasadniczych sprawach: dzieci są chore albo dzieci są zdrowe. Nie dodam nic ani nie ujmę, jeśli powiem, że w tym samotnym dworku minuty są godzinami albo godziny są minutami, zależnie od stanu zdrowia moich dzieci. Jeśli przeżywam niekiedy rozkoszne godziny, dzieje się to w czasie snu moich maleństw, gdy nie potrzebuję kołysać jednego, a drugiego usypiać bajkami. Skoro zasną przy mnie oboje, powiadam sobie: teraz już nie mam czego się lękać. Bo to prawda, mój aniele, że w dzień wszystkie matki zmyślają przeróżne niebezpieczeństwa. Niech tylko spuszczę moje dzieci z oka, a już mi się zdaje, że Armand wyciągnął brzytwy i zabawia się nimi, że jego kubraczek zajął się ogniem, że mógłby go ukąsić padalec, że biegnąc upadnie i nabije sobie guza, który zamieni się w ropień, że utopi się w jednej z licznych sadzawek. Jak widzisz, macierzyństwo zawiera w sobie wieniec poematów miłych albo straszliwych. Nie znalazłabyś tu takiej godziny, która nie miałaby swojej radości i swojej grozy. Ale wieczorem, kiedy jestem w swoim pokoju, nadchodzi chwila owych snów na jawie, w których układam losy moich dzieci. Bywa, że Armand nawołuje mnie przez sen, przychodzę więc i bez jego wiedzy całuję go w czoło, całuję nóżki mojej maleńkiej, wzroku wtedy od tych dwojga oderwać nie mogę, bowiem występują w całej swojej krasie. Oto moje uciechy! Wczoraj, widać za naszego anioła stróża sprawą, zerwałam się w nocy i pobiegłam niespokojna do kolebki Atenais: miała główkę za nisko, a nasz Armandek odkrył się zupełnie i nożyny zsiniały mu z zimna. „O mateńko!" – powiedział budząc się i całując mnie. Masz tu, moja droga, przykład nocnej sceny.

Niezmiernie to ważne dla matki, aby miała dzieci przy sobie! Czyż bona, choćby i najzacniejsza w świecie, potrafi je utulić, uspokoić i uśpić na nowo, jeśli jakiś okropny koszmar zbudzi maleństwa? Gdyż i one mają swoje straszne sny, a wytłumaczyć któryś z nich to tym trudniejsze zadanie, że dziecko nie tylko słucha wtedy słów matki, lecz obserwuje ją sennym, przerażonym, bystrym, a jednocześnie na pół przytomnym okiem. To fermata między dwoma snami. Z tej racji sypiam teraz tak lekko, że widzę i słyszę moje maleństwa skroś gazę powiek. Budzi mnie każde ich westchnienie, każdy ruch. Potwór konwulsyj czyha wciąż dla mnie u stóp ich łóżeczek.

O brzasku szczebiot moich dziatek rozlega się z pierwszym ptasim kwileniem. Słyszę ich paplanie bardziej sercem niż uchem, dolatuje mnie ono poprzez opony ostatniego snu, przypominając świergoty poranne, swary jaskółek, cienkie głosiki bądź to żałosne, bądź wesołe. I podczas gdy Nais usiłuje dotrzeć do mnie, a wędrując od kołyski do łóżka raczkuje albo stawia niepewne kroki, Armand, wdrapawszy się zręcznie jak małpka, okrywa mnie pocałunkami. Wtedy te kruszynki czynią z mojego łóżka miejsce swoich igraszek, a matka jest zdana na ich łaskę i niełaskę. Mała ciągnie mnie za włosy i chciałaby possać, Armand broni mej piersi niby swojej własności. Nie mogę oprzeć się wdzięcznym pozom i wybuchom perlistego śmiechu, który odpędza wreszcie mój sen. Bawimy się więc w Babę Jagę zjadającą dzieci, a matka, Baba Jaga, pożera pocałunkami te młodziutkie ciałka, jakże białe i słodkie; całuje bez pamięci te zalotne a przekorne oczęta, te różane ramionka, a ileż wśród tej swawoli powstaje drobnych i uroczych rywalizacji. Bywają takie dni, kiedy usiłuję włożyć pończochy o ósmej rano, a tymczasem o dziewiątej nie naciągnęłam ich jeszcze.

Nareszcie wstajemy, moja droga. Zaczyna się toaleta. Wkładam peniuar, zakasuję rękawy i przypasuję ceratowy fartuch; myję i pucuję te moje kwiatuszki, a Mary mi pomaga. Ale ja tylko mam prawo wyrokować, czy woda jest w miarę gorąca, czy letnia, gdyż jej temperatura decyduje w połowie o dobrym lub złym humorze dzieci. Wtedy pojawiają się flotylle papierowych okręcików i szklanych kaczuszek. Należy zabawiać dzieci, inaczej nie będą porządnie wykąpane. Nie masz pojęcia, ile trzeba wymyślać rozrywek dla tych absolutnych władców, żeby pozwolili dotknąć mięciutką gąbką każdego zakamarka, przeraziłabyś się, jakiej zręczności i jakiego dowcipu wymaga rzemiosło matki, chwalebnie wykonywane. Trzeba strofo-

wać, błagać, obiecywać, uciekać się do szarlatanerii tym wyższego rzędu, że musi być jak najchytrzej ukryta. Nie wiem, co bym poczęła, gdyby sprytowi dziecka Bóg nie przeciwstawił sprytu matki. Dziecko jest wielkim politykiem, toteż aby nim zawładnąć, należy doń trafić jak do wielkiego polityka... drogą jego namiętności. Na szczęście te aniołki śmieją się za lada przyczyną: niech tylko spadnie szczotka, ześliźnie się mydło, a taki ewenement zawsze nieopisaną radość wywoła. A no cóż, drogo te triumfy kosztują, ale je odnoszę – to już wiele. I tylko Bóg, gdyż nawet ojciec nic o tym wszystkim nie wie, Bóg, Ty albo anieli, wy tylko moglibyście zrozumieć te spojrzenia, które wymieniamy z Mary, kiedy skończywszy ubierać nasze maleństwa patrzymy, jak kręcą się, czyściutkie, wśród mydeł, ręczników, grzebieni, miednic, bibulastych papierów, flanelowych prześcieradełek, wśród tysiąca przedmiotów koniecznych w prawdziwej *nursery*[107] . Stałam się na tym punkcie Angielką, zgadzam się, że kobiety tego kraju są geniuszami, jeśli idzie o żywienie dziecka. I lubo patrzą na dziecko tylko z punktu widzenia dobrobytu materialnego i rozwoju fizycznego, mają rację w tych wszystkich udoskonaleniach. Toteż moje dzieci będą zawsze nosić flanelowe majteczki, a łydki mieć gołe. Nie będą niczym krępowane, niczym ściskane; ale też nigdy nie będą same. Dziecko francuskie męczy się w powijakach, ale za to niańka ma swobodę: oto cała tajemnica. Prawdziwa matka nie ma nigdy wolnej chwili: oto czemu nie piszę do Ciebie – muszę zarządzać majątkiem i wychowywać dwoje dzieci. W macierzyńskiej wiedzy kryją się ciche, zapoznane umiejętności, umiejętności nieefektowne, cnota dotycząca drobiazgów, gotowość do usług o każdej godzinie dnia i nocy. Trzeba pilnować zupek gotujących się na wolnym ogniu. Czyżbyś uważała mnie za kobietę, która zepchnie na kogoś innego najbłahszy choćby obowiązek? Najdrobniejsza troskliwość wyda tutaj owoce. Och! – jak ślicznie uśmiecha się dziecko, kiedy jakiś przysmak do gustu mu przypadnie! Armand kiwa na swój sposób główką, i ten ruch jest wart całego życia, które upływa wśród szczęsnej miłości. Jakże odstąpić innej kobiecie ową troskę, prawo, przyjemność dmuchania na łyżkę zupy, którą to zupę Nais uzna za zbyt gorącą? Odstawiłam przecież to maleństwo siedem miesięcy temu, więc ono pierś moją dobrze jeszcze pamięta! Bona, sparzywszy czymś gorącym języczek i wargi dziecka, powiada matce, która na krzyk malca nadbiega, że biedactwo płacze z głodu. Nie rozumiem tej matki, co może zasnąć spokojnie, wiedząc, że oddech nieczysty skazi pożywienie dla jej przeznaczone dziecka, skoro przyroda żadnych pośredników między piersią kobiety a wargami oseska nie uznaje! Pokrajać kotlecik Nais, której wyrzynają się właśnie ostatnie ząbki, wymieszać to mięso, w sam raz usmażone, z kartofelkami, jest dziełem długich zachodów i doprawdy tylko matka potrafi w pewnych momentach nakłonić grymaszące dziecko, aby zjadło to wszystko, co zjeść powinno. Ani liczna służba, ani bona Angielka nie mogą zwolnić matki od jej obowiązków: matka musi osobiście stawać w szrankach, aby dobrocią swoją walczyć zarówno z drobnymi troskami, jak i poważnymi zmartwieniami dzieciństwa. Wiesz, Ludwiko, trzeba poświęcić się całą duszą pielęgnowaniu tych kochanych maleństw; kiedy się je ubiera, żywi, kładzie spać, należy się wciąż odwoływać do świadectwa swoich oczu i ręki. Krzyk dziecka jest w zasadzie absolutną racją i złe sobie świadectwo matka czy bona wydaje, jeśli tego krzyku nie powoduje dolegliwość pochodząca od natury. Od czasu jak wychowuję dwoje dzieci, a wkrótce troje wychowywać będę, nic w mojej duszy oprócz nich nie istnieje; nawet Ty, którą tak bardzo kocham, stałaś się już tylko wspomnieniem. Nie zawsze jestem o drugiej ubrana. Z tej racji nie ufam tym matkom, które mają stale posprzątane mieszkanie, a suknie, kołnierzyki i inne rzeczy utrzymują we wzorowym porządku. Jest właśnie początek kwietnia, pogoda dopisuje, zapragnęłam więc wczoraj wyjść z dziećmi na spacer, nim zlegnę znowu, gdyż godzina porodu lada dzień wybije; moja kochana, dla matki taka przechadzka to cały poemat, który układamy sobie już z wieczora. Armand miał przywdziać po raz pierwszy kubraczek z czarnego aksamitu, nowy kołnierzyk, który sama wyhaftowałam, szkocki toczek

[107] N u r s e r y (ang.) – pokój dziecinny.

w barwach Stuartów, ozdobiony pękiem kogucich piór; Nais miała wystąpić na różowo i biało, w prześlicznym czepeczku, jaki noszą *babies*, gdyż to jeszcze *baby*; utraci to piękne imię z przyjściem na świat maleństwa, co już fika w moim łonie, maleństwa, które przezwałam s w o i m ż e b r a c z y n ą, gdyż będzie najmłodsze. Widziałam już we śnie to dziecię i jest mi wiadome, że będzie płci męskiej. Czepeczki, kołnierzyki, kubraczek, pończoszki, maluśkie trzewiczki, różowe podwiązeczki, sukienka z muślinu w desenie jedwabiem haftowanego – wszystko to było przygotowane na moim łóżku. Kiedy te wesołe ptaszęta, co w świętej żyją zgodzie, są już uczesane, czarne loki chłopczyka opadają miękko na czoło, a loki dziewczynki wymykają się spod oblamowania biało-różowego kapturka; kiedy trzewiczki są już należycie zapięte, starannie obute nożyny o nagich łydeczkach zaczynają uwijać się po *nursery*; kiedy te dwie twarzyczki, *clean*, jak powiada Mary, lśniące od czystości, obrócą się ku mnie, oczy zaiskrzą się, a wargi wymówią: „Chodźmy!" – drżę od wewnętrznego ukontentowania. Och! – cóż to za obrazek, te dzieci ustrojone naszymi własnymi rękami! Patrzeć w czasie kąpieli na niebieskie żyłki przebijające spod delikatnej i jędrnej skóry, kąpać je, obmywać, osuszać samej, podkreślać ich urodę żywymi barwami aksamitu lub jedwabiu – ależ to więcej niż poemat! Z jakąż tęsknotą, której nigdy do cna nasycić nie zdołamy, przywołujemy je do siebie, aby znów ucałować te szyjki, piękniejsze dzięki zwykłemu kołnierzykowi niźli szyje najpiękniejszych kobiet. Wszystkie matki zatrzymują się przed najgłupszymi nawet, kolorowanymi litografiami wyobrażającymi takie sceny, a ja w tych scenach co dzień udział biorę!

Wychodzimy nareszcie. Cieszę się swoim dziełem i podziwiam je. Armand kroczy z miną książątka – prowadząc *baby* znaną Ci wąską ścieżką; przejeżdżał wóz, chciałam sprowadzić je z drogi, gdy nagle przewracają się oboje prosto w błotnistą kałużę. Na nic moje arcydzieło! Trzeba wracać do domu, żeby przebrać dziatki. Wzięłam małą na ręce, nie bacząc, że niszczę suknię; Mary chwyciła Armanda i znów jesteśmy w domu. Kiedy *baby* się rozkrzyczy, kiedy dziecko nasiusia w pieluszki, klamka zapadła: matka nie myśli wcale o sobie, pochłania ją co innego.

Zbliża się pora obiadu, a ja – i większość dni tak upływa – niczegom od rana nie dokonała; ale jakżeż ja mogę nastarczyć wszystkiemu, aby obsłużyć ich oboje, zawiązać im serwetki, podwinąć mankieciki i skłonić tę parkę do jedzenia? – to problem, który dwa razy na dzień rozstrzygać muszę. Wśród tej nieustannej krzątaniny, radości albo niepowodzeń ja jedna w domu jestem zaniedbana. Bywa tak, że jeśli dzieci są niegrzeczne, chodzę przez cały dzień w papilotach. Moja toaleta zależy od ich humoru. Jeśli chcę wyrwać chwilę dla siebie albo napisać do Ciebie tych sześć stron, muszę wycinać obrazki z moich romansów, budować zamki z książek, szachów i perłowych żetonów, Nais musi wedle własnego upodobania rozwijać moje motki jedwabiu i włóczki, gdyż wtedy milczy jak zaklęta bawiąc się tymi nićmi w sobie tylko właściwy a skomplikowany sposób, który absorbuje całą jej maleńką inteligencję.

Tak czy inaczej, nie mam na co się skarżyć; moje dzieci są mocnej kompleksji, cieszą się swobodą, a zabawić je łatwiej, niżbyś się spodziewała. Radują się czymkolwiek i bardziej im trzeba dozorowanej wolności aniżeli zabawek. Kontentują się cudami, które znajdują w piasku: różowymi, żółtymi, fioletowymi lub czarnymi kamykami oraz muszelkami. Posiąść mnóstwo przeróżnych drobiazgów – oto ich szczęście. Obserwuję bacznie Armanda: przemawia do kwiatów, much i kur, stara się je naśladować, usiłuje porozumiewać się z owadami, które wprawiają go w podziw. Moje dzieci interesują się wszystkim, co małe. Armand zaczyna wciąż pytać „dlaczego?", a teraz przyszedł zobaczyć, co piszę do jego chrzestnej; uważa Cię zresztą za wróżkę, widzisz więc, jak to dzieci zawsze mają rację.

Wierz mi, drogi aniele, że nie chcę Cię zasmucać odmalowując to szczęście. A oto obrazek wybornie charakteryzujący Twojego chrześniaka. Pewnego dnia szedł za nami żebrak, gdyż ci biedacy dobrze wiedzą, że matka spacerująca z dziećmi nigdy jałmużny nie odmówi. Armand nie wie jeszcze, że można nie mieć na chleb, i nie orientuje się, czym są pieniądze; niedawno

zapragnął trąbki, kupiłam mu więc tę zabawkę, a on podał ją z królewską miną starcowi, powiadając: – Weź!

– Czy pozwoli mi pani ją zabrać? – spytał nędzarz.

I cóż na ziemi radości takiego momentu dorówna?

– Bo ja, proszę pani, też miałem dzieci – powiedział ów starzec, nie bacząc nawet, ile mu daję.

Zimny dreszcz mnie przebiega, kiedy pomyślę, że takiego dzieciaka jak Armand trzeba będzie umieścić w internacie. Nauczanie publiczne skosi kwiaty tego dzieciństwa o każdej błogosławionego godzinie, w y n a t u r z y ten wdzięk i tę cudowną szczerość. Zetną te loki, które tak pielęgnuję, myję i całuję. Co zrobią z duszy Armanda?

I cóż się z Tobą dzieje? Nic mi nie piszesz o swoim życiu. Kochasz wciąż swojego Felipe?... gdyż nie lękam się o Saracena. Do widzenia. Nais upadła właśnie, a gdybym chciała pisać dalej, powstałby cały tom.

XLVI

PANI DE MACUMER. DO HRABINY DE L'ESTORADE

1829.

Dowiedziałaś się zapewne z gazet, moja dobra i tkliwa Renato, o strasznym nieszczęściu, jakie spadło na mnie; nie byłam w stanie napisać do Ciebie ani słowa, nie odstępowałam od jego wezgłowia przez dwadzieścia dni i nocy, wydał przy mnie ostatnie tchnienie, zamknęłam mu oczy, czuwałam przy nim nabożnie z księżmi i odmawiałam modlitwy za umarłych. Przeokropne cierpienia dostateczną dla mnie były karą, a jednak widząc na jego pogodnych wargach uśmiech, którym darzył mnie przed śmiercią, nie mogłam uwierzyć, że to moja miłość go zabiła! Krótko mówiąc, j e g o j u ż n i e m a, a j a j e s t e m! Cóż mogę więcej powiedzieć Tobie, która nas dobrze znałaś? – Wszystko zawiera się w tych dwóch zdaniach. Och! gdyby znalazł się ktoś, kto by mnie zapewnił, że można go wskrzesić, oddałabym swoje zbawienie, byle tylko spełniła się ta obietnica, byle zobaczyć go znowu!... Mieć go jeszcze dla siebie choćby i przez dwie sekundy byłoby tym samym, co odetchnąć wyjąwszy sztylet z serca! Czyż nie zjawisz się wkrótce, aby mi to powiedzieć? Czyż nie kochasz mnie na tyle, aby mnie oszukiwać?... Ach, nie! – mówiłaś mi już kiedyś, że zadaję mu głębokie rany... Prawdaż to? Tak. Nie zasłużyłam na jego miłość, miałaś rację, skradłam ją. Zdusiłam szczęście w moich nieprzytomnych uściskach! Och! – teraz, kiedy piszę do Ciebie, odzyskałam już zmysły, ale czuję, jak bardzo jestem samotna. O Panie, czyż jest w Twoim piekle coś więcej oprócz tego słowa?

Kiedy mi go zabrano, kiedy padłam na to samo łoże, oczekując śmierci, gdyż dzieliły nas tylko jedne drzwi, sądziłam, że starczy mi sił, aby je pchnąć. Niestety! – młodość zwyciężyła i po czterdziestodniowej rekonwalescencji, w czasie której odżywiano mnie sztucznym i obrzydliwym sposobem przez smutną wynalezionym naukę, znalazłam się na wsi: siedzę teraz przy oknie wśród pięknych kwiatów wyhodowanych dla mnie na jego rozkaz, napawając oko tym wspaniałym krajobrazem, gdzie tak często błądziło jego spojrzenie, krajobrazem, który on odkrył i tak dumny był z owego odkrycia, gdyż ten widok i mnie się podobał. Ach, droga! – zmiana miejsca niewypowiedziany ból zadaje, kiedy serce jest martwe. Drżę przed wilgotną ziemią w moim ogrodzie, bo ziemia jest jak wielki grób, i zdaje się, że stąpam po n i

m! Kiedy wyszłam pierwszy raz, ogarnęła mnie trwoga i zastygłam w bezruchu. Jakże posępnie wyglądają j e g o kwiaty... bez n i e g o!

Moi rodzice są w Hiszpanii, znasz moich braci, a Ty nie możesz się ruszyć z domu; ale bądź spokojna: nawiedziło mnie dwoje aniołów. Księstwo de Soria, czarujące istoty, pospieszyli do chorego brata. Ostatnie noce były świadkiem, jak troje milczących i targanych boleścią ludzi skupiło się przy łożu, na którym umierał jeden z owych naprawdę szlachetnych i naprawdę wielkich ludzi, tak rzadko spotykanych, a przewyższających nas w każdym calu. Mój Felipe okazywał boską cierpliwość. Widok brata i Marii orzeźwił na chwilę jego duszę i złagodził ból.

– Droga – rzekł do mnie z ową prostotą, jaka cechowała go w każdym drobiazgu – umarłbym zapomniawszy dać Fernandowi baronię Macumer, trzeba zmienić testament. Mój brat mi wybaczy, bo on wie, co to miłość!

Zawdzięczam życie staraniom mojego szwagra i jego żony, chcą zabrać mnie do Hiszpanii!

Renato! Tobie jedynie powiedzieć mogę o rozmiarach tej klęski. Przytłacza mnie poczucie winy i słabej doznaję pociechy zwierzając Ci się z niego, moja Ty biedna, zapoznana Kasandro. Zabiłam Felipe swoimi wymaganiami, niedorzeczną zazdrością, ustawicznymi pretensjami. Moja miłość tym straszliwszą była, że odznaczaliśmy się oboje taką samą i przesubtelną wrażliwością, mówiliśmy tym samym językiem, Felipe wszystko cudownie rozumiał, a często mój żart godził go w samo serce, lubom się tego nie domyślała. Nie umiałabyś sobie wyobrazić, jak daleko ten mój ukochany niewolnik posuwał się w posłuszeństwie swoim: mówiłam mu czasem, żeby sobie poszedł, bo chcę być sama, a on wychodził bez szemrania, chociaż kaprys taki mógł go zaboleć. Błogosławił mnie aż do ostatniego tchnienia, powtarzając, że jeden jedyny ranek, spędzony sam na sam ze mną, był dla niego więcej wart od całego życia spędzonego z inną kobietą, choćby i ukochaną, nawet z Marią Heredia. Płaczę pisząc te słowa.

Wstaję teraz w południe, kładę się o siódmej wieczór, posiłki zajmują mi śmiesznie mało czasu, chodzę powoli, potrafię dumać całą godzinę nad jakimś krzewem, patrzę na liście, zajmuję się w miarę i z powagą najróżniejszymi błahostkami, uwielbiam mrok, ciszę i noc; krótko mówiąc, zabijam godziny i z posępną rozkoszą dorzucam je do przeszłości. Cisza mojego parku jest dla mnie jedyną upragnioną towarzyszką; odnajduję na każdym kroku podniosłe obrazy mojego szczęścia, zgasłe i niewidoczne dla świata, a dla mnie barwne i żywe.

Moja szwagierka padła mi w ramiona pewnego ranka, kiedym jej oświadczyła: „Znosić was nie mogę!” Dusza Hiszpana jest od naszej duszy bogatsza o jakąś bliżej nie określoną, wspaniałą cechę!

Ach, Renato! – jeślim jeszcze nie umarła, to dowód, że Bóg obdarza ludzi siłą proporcjonalną do wstrząsu, jaki w nas nieszczęście wywoła. Tylko my, kobiety, umiemy ocenić rozmiary klęski naszej, kiedy utracimy miłość pozbawioną jakiejkolwiek obłudy, miłość z wyboru, namiętność trwałą, której porywy sycą i duszę, i ciało. I jak rzadko spotykamy mężczyznę tak doskonałego, że możemy pokochać go bez upodlenia! Spotkać go to największe szczęście, jakie przypaść nam może, a spotkać go dwa razy nie podobna. Mężczyźni naprawdę silni i wielcy, którzy cnotę welonem poezji osnuwacie, a w duszy niepospolite kryjecie uroki, mężczyźni po to stworzeni, by was uwielbiano, unikajcie miłości, albowiem sprowadzicie nieszczęście i na kobietę, i na siebie! Oto co powiadam sobie chodząc po ścieżkach moich lasów. I nie mam dziecka po nim! Ta bezgraniczna miłość, która obdarzała mnie w każdym życia momencie tylko kwiatami i radością, ta miłość nieprzebrana była jałowa. Jestem potępiona! Czyżby więc miłość czysta i płomienna, słowem: miłość absolutna, miała być równie bezpłodna jak wzajemny wstręt, jak straszliwy żar piasków pustyni albo straszliwe zimno lodów bieguna, w których żadne życie powstać nie może? Czyż po to, aby mieć rodzinę, trzeba poślubić Ludwika de l'Estorade? Czyżby Bóg był zazdrosny o miłość? Bredzę.

Wydajesz mi się jedyną osobą, której obecność ścierpieć bym mogła; przyjedź więc, Ty jedna powinnaś towarzyszyć Ludwice okrytej żałobą. Jakiż był straszny ów dzień, kiedym włożyła czepiec wdowi! Kiedym się zobaczyła w czarnym welonie, upadłam na fotel i płakałam do późnej nocy, a płaczę i teraz jeszcze, mówiąc o tym straszliwym momencie. Do widzenia – męczy mnie pisanie tego listu; zbyt wiele oblega mnie myśli tak osobistej natury, że nie chcę przenosić ich na papier. Przywieź ze sobą dzieci, możesz tu karmić najmłodsze, nie będę już zazdrosną; j e g o tutaj nie ma, a z przyjemnością chrześniaczka swojego zobaczę; gdyż Felipe pragnął dziecka, które byłoby podobne do Armandka. No i przyjedź po swoją część mojej rozpaczy!...

XLVII

RENATA DO LUDWIKI

1829.

Moje kochanie, kiedy weźmiesz ten list do rąk, będę już niedaleko, albowiem wyjeżdżam w kilka chwil po jego wysł

aniu. Będziemy same. Ludwik musi zostać w Prowansji, gdyż wybory coraz bliżej; chcę, aby go ponownie wybrano, a tymczasem liberałowie różne już przeciw niemu knują intrygi.

Nie przybywam z pociechą, spieszę po prostu z sercem swoim, aby towarzyszyło Twojemu, aby dopomóc Ci żyć. Powinnaś płakać, a nawet Ci to nakazuję: okupisz w ten sposób szczęście, jakim będzie kiedyś połączenie wasze, gdyż on tylko udał się w podróż do Boga; nie wolno Ci zrobić ani jednego kroku, co nie prowadziłby Cię do niego. Każdy spełniony obowiązek skruszy kilka ogniw w przedzielającym was łańcuchu. Odwagi, moja Ludwiko, podniesiesz się na duchu w moich ramionach i pójdziesz do niego czysta, szlachetna, obmyta z mimowolnych grzechów, a będą za Tobą ciągnąć dobre uczynki, które tu na ziemi spełnisz w jego imieniu.

Kreślę z pośpiechem te słowa wśród przygotowań do podróży, dzieci kręcą się koło mnie, Armand pokrzykuje: „Jedziemy do matki chrzestnej, matki chrzestnej!... Jedźmy, jedźmy prędzej!” – Aż mnie zazdrość bierze: przecież to prawie Twój syn.

CZĘŚĆ DRUGA

XLVIII

BARONOWA DE MACUMER DO HRABINY DE L'ESTORADE

15 października 1833.

Tak, droga Renato, nie mylą się ludzie, powiedziano Ci prawdę. Sprzedałam pałac, sprzedałam Chantepleurs i folwarki w Seine-et-Marne; ale mówić, żem zwariowała, żem jest w ruinie – to przesada. Policzmy. W ostatecznym rozrachunku okazało się, że mam po moim biednym Felipe około miliona dwustu tysięcy franków. Znając swoje siostrzane obowiązki, przedstawię Ci sprawę szczegółowo. Ulokowałam milion na trzy od sta, kiedy przy takiej sumie obowiązywała progresja wynosząca pięćdziesiąt franków: dzięki temu uzyskałam sześćdziesiąt tysięcy franków renty, podczas gdy posiadłości ziemskie dałyby mi tylko trzydzieści tysięcy. Spędzać każdego roku sześć miesięcy na prowincji, puszczać ziemię w dzierżawę, wysłuchiwać biadań dzierżawców, którzy płacą, kiedy im się spodoba, nudzić się jak mops, mieć ziemiopłody do sprzedania i ustępować je ze stratą; zamieszkiwać w Paryżu pałac wartający dwanaście tysięcy franków renty, umieścić kapitały u notariuszów, czekać na procenty, procesować się z opornymi płatnikami, studiować prawo hipoteczne; słowem: prowadzić interesa w Nivernais, w Seine-et-Marne i w Paryżu – cóż to za ciężar, ile przykrości, zawodów i strat dla dwudziestosiedmioletniej wdowy! A teraz mój majątek jest zahipotekowany w budżecie państwowym. Zamiast więc płacić państwu podatki, dostaję od niego, bez żadnej z mojej strony fatygi, trzydzieści tysięcy franków co pół roku, a w ministerstwie skarbu wypłaca mi tę sumę wcale przystojny chłopczyna, który zawsze uśmiecha się na mój widok. A gdyby Francja zbankrutowała? – spytasz. Przede wszystkim, jak mówi poeta:

Nieszczęść bardzo odległych dojrzeć nie potrafię.

Prócz tego w pomienionym wypadku Francja obcięłaby mi najwyżej połowę dochodów; a więc mój stan majątkowy, istniejący przed zawarciem transakcji z państwem, nie uległby zmianie; następnie, licząc od dnia dzisiejszego do momentu katastrofy, podjęłabym już kwotę dwukrotnie wyższą niż moje poprzednie dochody. Katastrofa zdarza się raz na sto lat, a zatem starczy mi czasu, żeby oszczędzając uciułać sobie kapitał. A zresztą, czyż hrabia de l'Estorade nie jest parem Francji i lipcowym półrepublikaninem? Czyliż nie jest jednym z filarów korony, którą l u d królowi Francuzów ofiarował? Alboż mogłabym żywić niepokoje mając przyjaciela w prezesie Izby Obrachunkowej, wielkim finansiście? Nazwijże mnie teraz szaloną, jeśli się ośmielisz! Kalkuluję niegorzej od Twojego króla-obywatela. A wiesz Ty, co w kobiecie taki rozum arytmetyczny rozbudzić potrafi? – Miłość! Niestety, nadeszła chwila, kiedy muszę zdradzić przed Tobą tajemnicę swojego postępowania, skoro jego motywy uszły Twojej bystrości, ciekawemu oku tkliwej przyjaciółki tudzież Twojemu sprytowi. Wychodzę za mąż w wiosce nie opodal Paryża, a ślub odbędzie się pod sekretem. Kocham i jestem ko-

chana. Kocham tak, jak może kochać kobieta dobrze świadoma miłości. Jestem kochana tak, jak kobieta winna być kochaną od mężczyzny, którego uwielbia. Przebacz mi, Renato, żem zataiła przed Tobą ów afekt, ale ukrywałam go przed wszystkimi. Przyznaj, że moja miłość do Felipe wymagała, abym zmyliła swoim postępowaniem świat cały, aby niczyje spojrzenie nie dotarło do spraw serca mojego, abym zwiodła ludzką ciekawość. Ty i Twój mąż wpędzilibyście mnie do grobu zastrzeżeniami, zamęczyli morałami. A zresztą mogłyby wam dopomóc okoliczności. Ty sama, wiedząc, do jakiego stopnia jestem zazdrosną, dręczyłabyś mnie bez potrzeby. To, co nazwiesz szaleństwem moim, chciałam popełnić wyłącznie dla siebie, dla własnej fantazji i serca, niby dziewczyna, która dzięki fortelom wymyka się spod opieki rodziców. Mój ukochany ma za całą fortunę trzydzieści tysięcy franków długu, który zapłaciłam. Chciałabyś mi zapewne dowieść, że mój Marian jest intrygantem, a Ludwik wypenetrowałby machinacje tego drogiego chłopca. Wolałam jednak poznać go sama. Zaleca się już do mnie rok i dziesięć miesięcy; ja mam dwadzieścia siedem lat, a on dwadzieścia trzy. To olbrzymia różnica wieku, jeśli o kobietę idzie. Oto drugie źródło nieszczęść! No i on jest poetą, a żył jak dotąd ze swojej pracy; rozumiesz więc, że nie bardzo miał z czego żyć. Ten mój luby poeta częściej wygrzewał się na słońcu, niby jaszczurka, marząc o szklanych górach, niż komponował wiersze w półmroku nędznej izdebki. Otóż pisarze, artyści, ci wszyscy, którzy dzięki myśli istnieją, są na ogół przez ludzi statecznych o zmienność oskarżani. Tyle kaprysów lęgnie się w ich umyśle i takiej owym mrzonkom dochowują wierności, iż zrodziło się całkiem naturalne mniemanie, że głowa oddziałuje na serce. Ale ja, choć popłaciłam jego długi, chociaż dzieli nas różnica wieku i choć on jest poetą, chociaż broniłam się szlachetnie przez dziewięć miesięcy, w którym to czasie nie dozwoliłam mu ucałować ręki swojej, i lubo nasze zaloty do najniewinniejszych i najrozkoszniejszych należały, nie oddam mu się za kilka dni taka, jaką byłam przed ośmiu laty – niedoświadczona, nieświadoma i ciekawa; oddaję się, ale jestem oczekiwana z taką pokorą, że mogłabym odroczyć swój mariaż; lecz nie ma tutaj cienia służalczości: jest poddaństwo, a nie ślepa bierność wobec więzów miłosnych. Nie masz pod słońcem bardziej szlachetnego serca, afektu harmonijniej z inteligencją skojarzonego, miłości bardziej uduchowionej niż u mojego narzeczonego. Niestety, mój aniele, ma on po kim dziedziczyć to wszystko! Dowiesz się teraz jego historii, którą w kilku ujmę zdaniach.

Mój przyjaciel nazywa się po prostu Marian Gaston. Jest synem, nie naturalnym wprawdzie, ale z nieprawego łoża owej pięknej lady Brandon, która, jak z pewnością słyszałaś, umarła ze zgryzoty na skutek mściwych knowań lady Dudley – okropna to była historia, lecz o niej moje biedne dziecię nic nie wie. Ludwik Gaston, brat Mariana, umieścił go w kolegium w Tours, które mój poeta w 1827 roku ukończył. Pewna staruszka, będąca Opatrznością w życiu Mariana, wyjawiła mu, iż oddawszy go do kolegium, Ludwik zabawił we Francji tylko dni parę, po czym wsiadł na statek i ruszył do zamorskich krajów, ażeby zdobyć fortunę. Ów brat zostawszy marynarzem, pisywał niekiedy iście ojcowskie listy, świadczące o pięknej duszy; ale wciąż na obczyźnie boryka się z losem. W ostatnim liście powiadomił Mariana, że będzie obecnie w służbie którejś z amerykańskich republik, że awansował na kapitana okrętu, i napomniał brata, aby nie tracił nadziei. Niestety! – od trzech lat moja biedna jaszczureczka nie otrzymała ani jednego listu, a trzeba Ci wiedzieć, że Marian tak kocha swojego brata, iż chciał wyruszyć na jego poszukiwanie. Nasz wielki pisarz Daniel d'Arthez wyperswadował mu ów krok szalony, a jako człowiek szlachetny, zajął się Marianem Gaston, d a j ą c mu często, jak mówił mi mój poeta, a lubi on dosadne zwroty, m i s k ę i b u d ę. Bo i osądź sama, jaka rozpaczliwa musiała być sytuacja tego dziecięcia: sądził, że geniusz zalicza się do sposobów, dzięki którym najszybciej fortunę zdobyć można; nie pociesznaż to naiwność? A więc od 1828 do 1833 roku usiłował wyrobić sobie markę w literaturze, przy czym, rzecz naturalna, wiódł życie najokropniejsze, jakie tylko wyobrazić sobie można, życie pełne nadziei, niepokoju i wyrzeczeń, życie oddane pracy. Ulegając wygórowanym ambicjom i wbrew radom d'Artheza, brnął w coraz większe długi, rosnące niczym śnieżna piguła. A jednak sława

jego zaczynała już świtać, kiedy poznałam go u markizy d'Espard. U niej to, lubo on tego nie domyślał się wcale, powzięłam doń od pierwszego wejrzenia gorącą sympatię. Jak to! on jeszcze nigdy od nikogo nie był kochany? Czemuż taką obojętność kobiet przypisać? Och! – bo on jest genialny i mądry, dumny i pełen przymiotów serca; taka wielkość bez skazy przeraża zawsze kobietę. Nie trzebaż było stu zwycięstw, aby Józefina dostrzegła Napoleona w małym panu Bonaparte, mężu swoim? Temu niewiniątku wydaje się, że wie, jak bardzo go kocham! Ale biedak nie domyśla się, że to miłość bezgraniczna; Tobie jednak powiem wszystko, musisz zaznajomić się z całą sprawą, gdyż, Renato, ten list ma w sobie coś z testamentu. Rozważ dokładnie moje słowa.

W obecnym momencie tak jestem kochana, jak tylko kobieta na ziemi kochana być może, i mam wiarę w owo czarowne pożycie małżeńskie, które uświetnię miłością, jakiej jeszcze nie zaznałam...Tak, odczuwam wreszcie rozkosz podzielanej namiętności. Małżeństwo daje mi to, czego dziś wszystkie kobiety od miłości żądają. Otaczam Mariana takim uwielbieniem, jakie budziłam w moim biednym Felipe! Nie jestem już panią siebie, drżę przed tym dzieciakiem, jak Abencerag drżał przede mną. Słowem, kocham bardziej, niż jestem kochaną, lękam się o lada drobiazg, ogarniają mnie najśmieszniejsze obawy, boję się, że mnie porzuci, rozpaczam, że postarzeję się i zbrzydnę, a Marian będzie zawsze młody i piękny, dreszcz mnie przejmuje, że nie dość mu się podobam! Z tym wszystkim sądzę, że nie zbywa mi na przymiotach i oddaniu, na inteligencji koniecznej nie tylko dla utrzymania tej miłości, lecz dla jej rozkwitu, co z dala od świata, w samotni nastąpić winien. Gdyby mi się to nie udało, gdyby ten wspaniały poemat sekretnej miłości miał skończyć się kiedyś – co ja mówię, skończyć! – gdybym pewnego dnia dostrzegła, że Marian kocha mnie dziś mniej, niż kochał wczoraj, wiedz, Renato, iż nie jego bym wtedy obwiniała, ale siebie. Nie byłaby to jego wina, lecz moja. Znam siebie, jestem bardziej kochanką niż matką. Toteż uprzedzam Cię, że skończyłabym ze sobą, gdybym nawet miała dzieci. Zanim więc poprzysięgnę to sobie, błagam Cię, Renato, abyś w razie takiego nieszczęścia zastąpiła moim dzieciom matkę: powierzam Ci je. Jesteś fanatyczką obowiązku, masz bezcenne zalety, a to, jak również Twoja miłość do dzieci i serdeczny ku mnie afekt, złagodzi gorycz śmierci mojej, gdyż nie śmiem powiedzieć, że błogości jej przyda. Ten układ, który z sobą zawarłam, otacza mój mariaż jakąś nieokreśloną grozą; dlatego nie chcę znajomych mi świadków; dlatego ślub mój odbędzie się w sekrecie. W takiej bowiem sytuacji nic mnie zmuszać nie będzie, abym panowała nad zdenerwowaniem, nie ujrzę niepokoju w Twoich drogich oczach i ja jedna będę wiedzieć, że podpisując nowy akt ślubu, wyrok śmierci na samą siebie podpisać mogę.

Nie powrócę już do tego paktu zawartego między sobą a tą, którą się stanę; zwierzyłam Ci się, abyś poznała rozmiar obowiązków swoich. Idę za mąż wyzbywszy się majątku nieruchomego, wiedząc jednak, że jestem dość bogata, abyśmy mogli żyć dostatnio; Marian nie ma pojęcia o mojej fortunie. Za dwadzieścia cztery godziny rozdzielę ją wedle własnego uznania. Nie chcąc, aby w owym podziale było cośkolwiek upokarzającego, kazałam wpisać dwanaście tysięcy franków renty na jego nazwisko; w wilię naszego ślubu znajdzie je w swojej sekreterze; gdyby ich nie przyjął, zawieszę całą sprawę. Chcąc uzyskać prawo spłacenia jego długów, musiałam mu zagrozić, iż nie wyjdę za niego. Zmęczyłam się już pisaniem tych wyznań; pojutrze opowiem Ci więcej, gdyż jutro muszę spędzić cały dzień na wsi.

20 października .

Oto com przedsięwzięła, aby ukryć szczęście swoje, pragnę bowiem uniknąć wszelkiej okazji, która zazdrość we mnie obudzić by mogła. Przypominam ową piękną księżnę włoską, co dopadłszy swej ofiary niby lwica, uniosła ją do jakiegoś szwajcarskiego miasteczka, aby tam, niby lwica, pożerać miłość swoją. Informuję Cię więc o swoich rozporządzeniach z tej

tylko racji, żeby prosić o jeszcze jedną łaskę: nie nawiedzaj mnie, póki sama tego nie zechcę, uszanuj samotność, w której żyć pragnę.

Jeszcze przed dwoma laty kazałam nabyć dla siebie powyżej stawów Ville-d'Avray, przy drodze do Wersalu, dwadzieścia mórg łąki, kawałek lasu, a ściśle mówiąc jego skraj, i piękny ogród owocowy. Pośrodku owych łąk wykopano staw liczący mniej więcej trzy morgi powierzchni, a na tym stawie zostawiono wysepkę o nader wdzięcznym kształcie. Z dwóch ślicznych pagórków zamykających tę dolinkę spływają na moje grunty urocze strumienie, które architekt w moim parku bardzo sztucznie rozdzielił. Pomienione wody wpadają do stawów będących własnością korony, a widok na owe stawy rozciąga się jak okiem sięgnąć skroś przeręby leśne. Ów parczek, cudnie przez architekta rozplanowany, otaczają – stosownie do natury terenu – płoty, mury albo fosy, dzięki czemu, z jakiegokolwiek byś spojrzała punktu, zawsze Twoje oko na pięknym spocznie pejzażu. W połowie stoku, w rozkosznym miejscu, nad łąką opadającą ku stawowi, zbudowano mi otoczony lasem La Ronce wiejski domek, podobny do podziwianego przez podróżnych domku przy drodze wiodącej od Sion do Brigg, a i mnie on urzekł, kiedym z wojażu po Włoszech wracała. Ale urządzenie wnętrza zaćmiewa swoją elegancją wykwint, pospolity w najsławniejszym choćby z tych domków. O sto kroków od tej wiejskiej budowli wzniesiono inny domek, łączący się z nią podziemnym korytarzem: ten drugi budynek służy poziomym celom, mieści się tu bowiem kuchnia, pokój dla służby, stajnie i wozownia. Ze wszystkich tych ceglanych budynków oko tylko fasadę, odznaczającą się wdzięczną prostotą a tonącą w kępach drzew, dostrzec może. Ogrodnicy zamieszkują inny budynek, maskujący wejście do sadów i warzywników.

Brama tej posiadłości jest tak przemyślnie ukryta w murze od strony lasu, że prawie nie podobna jej znaleźć. Za dwa lub trzy lata spore już obecnie krzewy zasłonią całkowicie domostwo. Spacerowicze będą wnosić o istnieniu naszej siedziby jedynie z dymów widocznych ze szczytu wzgórza, a w zimie dostrzegą nasz dom, gdy drzewa stracą liście.

Mój domek został zbudowany wśród pejzażu, który skopiowano według tak zwanego królewskiego ogrodu w Wersalu, z tą jednak różnicą, że z moich okien roztacza się widok na staw i wyspę do mnie należące. Jak okiem sięgnąć, pagórki pysznią się bujną zielenią, a rosną na nich piękne drzewa, z wielkim staraniem przez Twoich nowych dworaków pielęgnowane. Rozkazałam swoim ogrodnikom, aby uprawiali wokół domu tylko pachnące kwiaty, a ma być ich mnóstwo nieprzeliczone; chcę, żeby ten zakątek przypominał wonny szmaragd. Domek, ustrojony dzikim winem pełznącym po dachu, owijają w całości przeróżne pnącze, a więc chmiel, powój, jaśmin, azalia i kobea. Kto wśród tego listowia i kwiatów dojrzy choć jedno okno, będzie mógł się pochwalić sokolim wzrokiem.

Ale w tym domeczku, moja droga, jest wygodne i piękne mieszkanie z ogrzewaczem i wszelkimi urządzeniami, które dzięki pomysłowości teraźniejszych architektów sto stóp kwadratowych w pałac zamienić potrafią. Mam tu apartament dla Mariana i apartament dla siebie. Na parterze jest przedpokój, bawialnia i pokój jadalny. Nad naszymi pokojami mieszczą się trzy pokoje przeznaczone na *nursery*. Mam piątkę pięknych koni, lekką dwuosobową kolaskę i wolant angielski, parokonny, gdyż mieszkamy o czterdzieści minut od Paryża; jeśli przyjdzie nam ochota wysłuchać opery, zobaczyć nową sztukę, możemy wyjechać po obiedzie, a na noc wrócić do naszego gniazdka. Droga jest prześliczna, a wiedzie w cieniu drzew okalających naszą posesję. Służbą, to znaczy kucharzem, stangretem, koniuszym i pokojową, bardzo uczciwymi ludźmi, których zgodziłam w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, będzie kierował mój stary Filip. Lubo jestem pewna ich wierności tudzież dyskrecji, podeszłam do nich od strony interesu: otrzymują dość skromne wynagrodzenie, które jednak będę podwyższać noworocznymi upominkami. Wszyscy oni wiedzą, że najlżejsze choćby przewinienie, jakakolwiek wątpliwość tycząca ich dyskrecji może spowodować utratę olbrzymich zysków. Zakochani nigdy nie dokuczają służbie, są z natury pobłażliwi; toteż mogę na swoich ludziach polegać.

Wszystko, co w swoim domu na ulicy du Bac miałam kosztownego, cennego i wykwintnego, znalazło się teraz tutaj. Rembrandt, jakby jaki bohomaz, wisi ponad schodami; Hobbemę umieściłam w j e g o gabinecie naprzeciw Rubensa; Tycjan, którego moja szwagierka Maria przysłała mi z Madrytu, zdobi buduar; piękne meble, które wyszukał Felipe, pasują do bawialni, ślicznie przez architekta udekorowanej. Wszystko w tym domku urządzono z podziwienia godną prostotą, tą prostotą, która kosztuje sto tysięcy franków. Zbudowany na piwnicach, z żarnowca spoczywającego na betonowym fundamencie, nasz parter, ledwie spośród kwiatów i krzewów widoczny, jest rozkosznie chłodny, a nie ma w tych pokojach śladu wilgoci. Flotylla białych łabędzi żegluje po stawie.

O Renato! króluje w tej dolinie taka cisza, że uradowałaby nawet umarłego. Budzi mnie tutaj śpiew ptaków albo wietrzyk szemrzący w topolach. Z pagórka spływa źródełko, które znalazł architekt kopiąc fundament pod mur od strony lasu, wije się po srebrzystym piasku, zmierzając wśród brzegów rzeżuchą porosłych do stawu; nie masz takich skarbów, którymi opłacić bym je mogła. Ale czy Marian nie znienawidzi tego aż nazbyt pełnego szczęścia? Wszystko tu jest takie piękne**,** że przejmuje mnie dreszczem; w zdrowym owocu lęgnie się robak, owad i najwspanialszego nie uszanuje kwiecia. Czyż wstrętna brunatna liszka, żarłoczna jak śmierć, nie nastaje bez wytchnienia na dumę lasu? Znam już tę niewidzialną i zazdrosną potęgę, która atakuje doskonałą szczęśliwość. Zresztą pisałaś mi już dawno o tym wrogu – i okazało się, że masz dar proroczy.

Kiedy zjawiłam się tu przedwczoraj, aby się przekonać, czy zrozumiano moje ostatnie fantazje, łzy zakręciły mi się w oczach i taka byłam poruszona, że wziąwszy rachunek od architekta napisałam ku jego wielkiemu zdumieniu: Wypłacić wszystko. „Ależ plenipotent pani baronowej – rzekł na to – nie wypłaci mi tej sumy. Chodzi o trzysta tysięcy franków". Przydałam więc: „Wypłaci bez żadnej dyskusji!" – jak na prawdziwą Chaulieu z siedemnastego wieku przystało. „Ale, proszę pana – powiedziałam jeszcze – płacąc wszystko gotówką, stawiam jeden warunek: nie mów pan nikomu ani słowa o tych zabudowaniach i o tym parku. Niechże nikt się nie dowie o nazwisku właściciela, a pan zaręczysz mi honorem, że tej klauzuli przestrzegać będziesz".

Zrozumiałaś teraz przyczynę moich nagłych wyjazdów, wiesz już, dlaczego kręciłam się bez ustanku? Wiesz już więc, gdzie są te piękne przedmioty, które według powszechnego mniemania wyprzedawałam? Pojęłaś wyższą rację, dla której odmieniłam bieg interesów swoich? Moja droga, miłość to ważna sprawa, a kto chce kochać jak należy, nie powinien zaprzątać się czym innym. Nie będę już miała żadnych kłopotów z pieniędzmi; uczyniłam łatwym życie swoje; włożyłam teraz duszę w gospodarstwo, aby na przyszłość mieć z nim spokój; byłam już raz panią domu i mam dość tego, a teraz obowiązki moje gospodarstwa tyczące pochłaniać mnie będą co rano przez dziesięć minut, a ograniczą się do rozmowy z moim starym majordomem, Filipem. Przyjrzałam się dokładnie życiu i jego niebezpiecznym zakrętom; pewnego dnia śmierć dała mi okrutną lekcję i chcę skorzystać z owej nauki. Będę się starała j e m u podobać, będę go kochała i urozmaicała to, co ludziom pospolitym okropną się wydaje monotonią: oto jedyne moje zajęcie na przyszłość.

Marian jeszcze o niczym nie wie. Na moje żądanie zameldował się, tak jak i ja, w Ville-d'Avray; jutro wyjeżdżamy do naszej posiadłości. Nasze utrzymanie nie wypadnie tu drogo; gdybym Ci jednak powiedziała, jaką sumę na swoje przeznaczam toalety, odrzekłabyś, i nie bez racji: „Ależ ona zwariowała!" Pragnę co dzień stroić się dla niego, jak inne kobiety dla świata stroić się zwykły. Toteż na swoje wiejskie toalety przeznaczam dwadzieścia cztery tysiące franków rocznie, przy czym suknie, które będę w dzień nosiła, nie kosztują w rzeczonym wypadku najdrożej. A on, jeśli zechce, może chodzić i w roboczej bluzie. Nie wyobrażaj sobie, że chcę uczynić z tego życia pojedynek i głowić się nad przebiegami zmierzającymi do utrzymania miłości: nie chcę mieć sobie nic do wyrzucenia, ot i wszystko. Już tylko przez trzynaście lat będę ładną kobietą, a życzę sobie, abym ostatniego dnia trzynastego roku była

bardziej kochana niźli nazajutrz po moich sekretnych zaślubinach. Tym razem będę okazywać ustawiczną pokorę i wdzięczność, nie będę się nigdy uciekać do kostycznych słów; przemienię się w służkę, albowiem rozkazywanie zgubiło mnie w pierwszym mariażu. O Renato, jeśli mój przyszły pojmie tak samo jak ja, czym jest miłość granic nie znająca, jestem pewna, że na szczęście mojego pożycia żaden cień nie padnie. Natura wokół naszego domku jest prześliczna, a lasy zachwyt budzą. Gdzie tylko obrócisz oko, widzisz niepokalane pejzaże, piękno tych leśnych polanek i gąszczów raduje duszę, a umysł do czarownych marzeń przywodzi. Te lasy są pełne miłości. Bylem tylko, urządzając to wszystko, nie zbudowała sobie wspaniałego stosu! Pojutrze zostanę panią Gaston. Mój Boże, zastanawiam się, czy to po chrześcijańsku tak mocno pokochać człowieka. „A no cóż, przecież to legalne" – orzekł nasz plenipotent, który będzie jednym ze świadków na moim ślubie, ale zobaczywszy wreszcie, w jakim celu swoją zlikwidowałam fortunę, wykrzyknął:

„W ten to sposób tracę klientkę!" A Ty, moja piękna sarenko, gdyż nie śmiem już napisać: ukochana, możesz powiedzieć: W ten to sposób tracę siostrę.

Mój aniele, adresuj teraz do pani Gaston, poste restante, w Wersalu. Będziemy co dzień posyłać po listy. Nie życzę sobie, aby dowiedziano się w okolicy o naszym istnieniu. Będziemy zaopatrywać się w żywność wyłącznie w Paryżu. Spodziewam się, że dzięki tym ostrożnościom nic nie odsłoni tajemnicy życia naszego. Od roku już tę swoją buduję pustelnię, i przez cały ten czas nikt tu nie zajrzał, a ziemię pod nią nabyłam w niespokojnym okresie, jaki nastąpił po rewolucji lipcowej. Jedyny obcy człowiek, który pokazał się w okolicy, to nasz architekt: znają tylko jego, a on tu więcej nie wróci. Do widzenia. Pisząc te słowa czuję w sercu zarówno udrękę, jak i radość; czy nie żałuję afektu do Ciebie z taką samą mocą, z jaką kocham Mariana?

XLIX

MARIAN GASTON DO DANIELA D'ARTHEZ

Październik 1833.

Mój drogi Danielu, trzeba mi dwóch świadków na moim ślubie; proszę więc, abyś przybył jutro wieczór, wziąwszy ze sobą naszego przyjaciela, dobrego i wielkiego Józefa Bridau. Zamiarem tej, co będzie moją żoną, jest żyć z dala od świata, w ukryciu absolutnie nikomu nie znanym: przeczuła najmilsze z marzeń moich. Nie wiedziałeś nic o mojej miłości, Ty, który ulżyłeś nieszczęściom mojego nędznego żywota; ale, pojmujesz to, owa bezwzględna tajemnica była koniecznością. Oto przyczyna, dla której widywaliśmy się od roku tak rzadko. Nazajutrz po moim ślubie rozstaniemy się, i to na długo. Danielu, Twoją duszę na to stworzono, aby mnie rozumiała: przyjaźń przetrwa bez przyjaciela. Pewnie czasami będzie mi Cię brakować; ale nie zobaczę się z Tobą – przynajmniej nie u siebie w domu. Gdyż i w tym wypadku o n a uprzedziła nasze życzenia! O n a poświęca dla mnie afekt, jaki żywi do przyjaciółki z lat dziecinnych, będącej dla niej prawdziwą siostrą; więc i ja muszę poświęcić przyjaciela. Wniesiesz na pewno z tych słów, że nie idzie tu o namiętność, lecz o najpełniejszą, niewzruszoną, boską miłość, opartą na sympatii płynącej z głębi dwojga dusz, które w ten sposób się łączą. Moje szczęście jest czyste i bezgraniczne; ale że istnieje sekretne prawo, co wzbrania nam radować się nie skalaną niczym szczęśliwością, w najdalszym zakątku mojej duszy tai się myśl, która mnie gnębi jedynie, gdyż o n a nic o niej nie wie. Znasz okropną sytuację, w

PANI DE L'ESTORADE DO PANI DE MACUMER

Jakże to, Ludwiko, po tylu wewnętrznych klęskach, jakie ściągnęła na Twoją głowę odwzajemniana namiętność, i to w dodatku odwzajemniana w łonie małżeństwa, chcesz zamieszkać z mężem z dala od świata? Zabiwszy już jednego, z którym żyłaś pośród ludzi, pragniesz teraz w ukryciu pożreć drugiego? Jakież Ty sobie szykujesz zgryzoty! Ale sądząc po

koniecznością wiedzione, przybiega, żeby mnie ucałować... Co za szczęście! Następnie, przebywając z dziećmi, można obserwować je lepiej. Jeden z obowiązków matki na tym polega, aby od najwcześniejszych lat dziecięcia wykryć jego zdolności, cechy charakteru i powołanie, czego żaden pedagog dokonać by nie potrafił. Wszystkie dzieci pod okiem matki wychowane odznaczają się polorem i miłym sposobem bycia, a te wykształcone w nich przymioty zastępują wrodzoną inteligencję, podczas gdy wrodzona inteligencja nigdy tego, czego człowiek nauczy się od matki, nie zastąpi. Obserwując zachowanie się mężczyzn w salonie, rozpoznaję te odcienie i dostrzegam ślady wpływu kobiecego w sposobie bycia młodych ludzi. Jakże pozbawić dziecię tak znacznych korzyści? Sama więc widzisz, że moje obowiązki, uczciwie spełniane, są płodne w skarby i w szczęście.

Armand, jestem tego pewna, zostanie najwybitniejszym sądownikiem, najsumienniejszym urzędnikiem administracji, najrzetelniejszym deputowanym, jaki kiedykolwiek istniał na świecie – podczas gdy mój René będzie najśmielszym, najbardziej miłującym awanturnicze wyprawy, a jednocześnie najchytrzejszym marynarzem pod słońcem. Ten ananas ma żelazną wolę; zdobywa wszystko, czego zapragnie, wynajdzie tysiąc przebiegów, aby cel osiągnąć, a jeśli i tysiączny zawiedzie sposób, ucieka się do tysiąc pierwszego. Tam, gdzie mój luby Armandek spokojnie zrezygnuje, głowiąc się nad przyczyną zjawiska, mój René złości się, wysila dowcip, kombinuje, gadając bez ustanku, póki sobie wreszcie nie poradzi; jeśli zdoła wsunąć w szparę ostrze noża, zobaczysz po chwili, jak już przepycha tamtędy swój wózek.

Nais tak mnie w każdym calu przypomina, że jej ciało od swojego zaledwie odróżnić mogę. Ach! – to mój skarb, dziewczątko ukochane: uczę ją z upodobaniem kokieterii, a splatając jej warkocze i czesząc kędziory, staram się przelać na nią miłosne myśli swoje – chcę, żeby była szczęśliwa; oddam ją tylko temu, kogo ona pokocha i kto ją pokocha. Ale, mój Boże, kiedy pozwalam jej się stroić albo kiedy jej włosy przeplatam wstążką o barwie czerwonej porzeczki, kiedy wkładam trzewiczki na jej drobniutkie stopy, serce moje nawiedza myśl, od której ciemno mi się robi przed oczyma. Któraż z matek była panią losu córki swojej? A może ona pokocha człowieka, co nie będzie jej godzien, a może nie będzie kochana przez tego, którego pokocha? Często, kiedy się w nią wpatruję, łzy cisną mi się do oczu. Opuścić urocze stworzenie, kwiat, różę, co żyła u mojego łona, niby pączek różany na krzaku, oddać ją mężczyźnie, co wszystko nam zrabuje! Przecież Ty, po dwóch latach, nie napisałaś mi tych prostych słów: Jestem szczęśliwa! Przecież to Ty przypomniałaś mi o tym dramacie małżeńskim, straszliwym dla matki tak jak ja oddanej. Do widzenia, gdyż sama me wiem już, co piszę, nie zasługujesz na moją przyjaźń. Och! – odpowiedz mi. Ludwiko moja.

LII

PANI GASTON DO PANI DE L'ESTORADE

Domek pod Ville-d'Avray.

Dwuletnie milczenie podrażniło Twoją ciekawość, zapytujesz więc, dlaczego nie pisałam; ależ, droga Renato, nie ma takich zdań ani słów, ani języka, które by mogły wyrazić szczęście moje: dusze nasze mają dość siły, żeby je utrzymać, oto wszystko, zwięźle powiedziane. Nie czynimy żadnych wysiłków, aby osiągnąć szczęście, i rozumiemy się pod każdym względem. W ciągu trzech lat najlżejszy choćby dysonans nie zmącił tego koncertu, najlżejszy rozdźwięk nie wdarł się w słowa, którymi nasze oddajemy sentymenta, najdrobniejsza różnica nie objawiła się w naszych najbłahszych zachceniach. Moja droga, wśród tego tysiąca dni nie znajdzie się taki, co nie wydałby swojego odrębnego owocu, nie znajdzie się ani jeden moment, który dzięki fantazji w rozkosz by się nie zamienił. Nie tylko wiemy, i to z wszelką pewnością, że naszemu życiu nie grozi monotonia, ale boimy się nawet, iż okazawszy się zbyt ciasnym, nie pomieści ono poematu naszej miłości, płodnej niby natura i jak natura w rozmaity kształt bogatej. Nie, ani jednego zawodu! Znajdujemy teraz w sobie jeszcze większe upodobanie niźli pierwszego dnia i z każdą chwilą odkrywamy nowe powody, aby się kochać. Co wieczór obiecujemy sobie na poobiedniej przechadzce, że z prostej ciekawości pojedziemy do Paryża, tak jak się mówi: wybieram się w wojaż po Szwajcarii.

– Koniecznie! – powiada Marian. – Przecież robią tam taki i taki bulwar, ukończono budować kościół Świętej Magdaleny. Trzeba by to jednak obejrzeć.

Ba! Nazajutrz wylegujemy się w łóżku, jemy śniadanie w sypialni; nadchodzi południe, jest gorąco, ucinamy więc krótką drzemkę; a potem on prosi, żebym mu pozwoliła popatrzyć na siebie, i patrzy na mnie absolutnie tak samo, jakby wpatrywał się w obraz; tonie w tej kontemplacji, która, domyślasz się chyba, jest wzajemna. I wtedy stają nam obojgu łzy w oczach, dumamy nad naszym szczęściem i drżymy. Jestem wciąż jego kochanką, to znaczy, udaję, iż większą miłość mniejszą odwzajemniam. Rozkoszne oszustwo! Ileż uroku mają dla nas kobiet owe sentymenta odnoszące zwycięstwo nad pożądaniem: nasz władca, onieśmielony jeszcze, zatrzymuje się tam akurat, gdzie życzymy sobie, aby pozostał. Chciałaś, żebym nakreśliła jego wizerunek; ależ, Renato, toć nie podobna odmalować portretu ukochanego mężczyzny, gdyż taki konterfekt zawsze minie się z prawdą. Następnie, mówiąc między nami, wyznajemy bez pruderii, że z obyczajów naszych wywodzi się pewien szczególny i smutny fakt: nic się tak od siebie nie różni, jak światowiec od mężczyzny miłością promieniującego; różnica jest tak wielka, że jeden nie może w niczym przypominać drugiego. Ten, co wieczorem przy kominku wdzięczy się niby najwdzięczniejszy z danserów, aby szeptać nam słowa miłości, może być całkowicie wyprany z owego sekretnego wdzięku, którego żąda kobieta. I przeciwnie, mężczyzna, co wydaje się brzydki, niezbyt okrzesany, nieefektownie w czarne sukno spowity, kryje w sobie kochanka pełnego talentów miłosnych, który nie ośmieszy się w żadnej z tych sytuacji, w jakich my mimo naszych zewnętrznych powabów często zupełną ponosimy klęska Znaleźć u mężczyzny tajemniczą zgodność między tym, kim jest w istocie, a tym, na kogo wygląda, spotkać mężczyznę, co w sekretnym pożyciu małżeńskim jaśniałby owym wrodzonym wdziękiem, którego ani wyuczyć się, ani nabyć me podobna, wdziękiem rozwiniętym przez antyczną rzeźbę w zmysłowych a czystych małżeństwach po-

sągów, odznaczał się ową niewinną swobodą w traktowaniu tematu, jaką starożytni nasycili swoje poezje, swobodą, co w nagości nawet zdaje się odziewać duszę – schwycić cały ów ideał wynikły z nas samych, tkwiący w świecie harmonij, a będący niewątpliwie geniuszem wszechrzeczy, oto potężny problem imaginację wszystkich kobiet dręczący! A ja rozstrzygnęłam go! – Marian jest jego żywym rozstrzygnięciem. Ach, droga! – nie wiedziałam przedtem, czym jest miłość, młodość, inteligencja i uroda, jeśli połączą się razem. Mój Marian nie jest nigdy sztuczny, wdzięk jego z instynktu wynika, a rozwija się bez wysiłku. Kiedy błądzimy samotnie po lesie, ręka jego kibić moją otacza, moja ręka na jego ramieniu się wspiera, jego ciało do mojego się tuli, głowy nasze chylą się ku sobie, krok nasz jest taki równy, zgodny, miarowy i płynny, taką niezmąconą tworzy harmonię, że temu, kto by nas przechodzących zobaczył, mogłoby się wydać, iż suniemy po piasku alei nie dotykając go prawie stopami, niby nieśmiertelni u Homera. Zgodne są nasze miłosne pragnienia, zgodne są myśli i słowa. Lubimy przechadzać się pod listowiem mokrym od przelotnego deszczu, kiedy wśród zieleni traw rosa migocze, a odbywamy te długie i milczące spacery w przedwieczerz, zasłuchani w szmer spadających kropel, sycąc oko najrozmaitszymi odcieniami czerwieni, którą zachód osnuwa wierzchołki drzew albo powleka starą ich korę. A wtedy myśli nasze są na pewno tajemną i bezładną modlitwą, która wznosi się do nieba, aby przebłagać je za to szczęście. Czasami wydajemy razem okrzyk, w tym samym momencie, kiedy niespodziany zakręt alei daleki i uroczy pejzaż przed nami odsłoni. Gdybyś wiedziała, jaką miodową słodyczą i jakim głębokim upojeniem napawa pocałunek, nieśmiały prawie, wymieniony pośród tej świętej natury... taki pocałunek mógłby obudzić wiarę, że Bóg nas stworzył po to, abyśmy go w ten sposób chwalili. I wracamy bardziej jeszcze w sobie rozkochani. Taka miłość między dwojgiem małżonków wydałaby się paryskiej socjecie obelgą, musimy więc miłować się jak kochankowie, w głębi lasu.

Marian, moja droga, jest średniego wzrostu, jaki wszystkich energicznych mężczyzn cechuje; niezbyt tęgi, ale nie chudy, jest bardzo dobrze zbudowany; kształty jego odznaczają się przyjemną krągłością; porusza się zręcznie i skacze przez rowy z lekkością dzikiego zwierzęcia. Ciało jego, jakby jakimś specjalnym zmysłem obdarzone, zachowuje w każdej pozycji doskonałą równowagę: rzecz rzadka u ludzi nawykłych do medytacji. Lubo brunet, ma płeć olśniewająco białą. Włosy jego, czarne jak dżety, mocno z matowością czoła i szyi kontrastują. Ma melancholiczną głowę Ludwika XIII. Zdobi go tylko wąsik i hiszpańska bródka, gdyż kazałam mu zgolić faworyty i brodę: taki obfity zarost wielce spospoliciał. Święte ubóstwo Mariana zachowało mi go w czystości, wolnego od jakiejkolwiek skazy, zwyczajnej u dzisiejszych młodych ludzi. Ma przepiękne zęby i odznacza się żelaznym zdrowiem. Jego błękitne oko, jakże żywym jaśniejące blaskiem, na mnie tylko z magnetyczną spogląda łagodnością, ale jeśli duszę Mariana coś zaniepokoi, w oku tym migoczą ognie błyskawic. Charakter jego, jak u wszystkich mężczyzn silnych i potężnej inteligencji, jest wielce zrównoważony, co by Cię zaskoczyło, bowiem zaskoczyło i mnie. Wiele kobiet zwierzało mi się ze swoich intymnych kłopotów; ale te kapryśne i zmienne zachcenia, te chwile rozterki, pospolite u mężczyzn niezadowolonych z siebie, co nie chcą albo nie umieją się zestarzeć, co wiecznie wyrzucają sobie jakieś szaleństwa młodości, mężczyzn, u których w żyłach nurtuje trucizna, a na dnie spojrzenia czai się zawsze jakiś smutek, mężczyzn, co robią się przekorni, aby zamaskować nieufność, co sprzedają nam godzinę spokoju za poranne piekło, co mszczą się na nas za to, że nie umieją być mili, a do naszych powabów sekretną żywią nienawiść – wszystkie te bóle, obce młodości, są atrybutem li tylko małżeństw niedobranych i różniących się wiekiem. Och, moja droga, pokieruj tak sprawami, aby Atenais poślubiła młodzieńca. Innego ona nie może mieć męża! Gdybyś wiedziała, jak się sycę tym nie schodzącym z jego ust uśmiechem, co wciąż się zmienia, odzwierciedlając subtelną i delikatną duszę, uśmiechem, który mówi, a w kącikach warg zamyka myśli o miłości, uśmiechem łączącym radości minione z obecnymi! Nie było między nami nic takiego, o czym byśmy zapomnieli. Każde, choćby

i najbłahsze zjawisko przyrody uczyniliśmy wspólnikiem naszej szczęśliwości: wszystko żyje, wszystko w tych cudownych lasach mówi nam o nas. Stary, omszały dąb przy drodze, obok gajówki, powiada nam, jak zmęczeni, pewnego razu usiedliśmy w jego cieniu, a wtedy Marian rozpoczął wykład o mchach ścielących się pod naszymi stopami, streścił mi ich dzieje i tak od jednej gałęzi nauki do drugiej przechodząc, sięgnęliśmy aż do przeznaczeń świata. Nasze umysły łączy jakieś braterstwo, z czego wnoszę, że są one dwoma wydaniami tego samego dzieła. Jak widzisz, stałam się literatką. Mamy oboje zwyczaj czy też dar widzenia każdej rzeczy w całym jej zakresie, dostrzegania w niej wszystkich szczegółów, a dowody świadczące, że nie skalaliśmy niczym owego zmysłu, dowody, które sobie bez przerwy nawzajem składamy, przejmują nas świeżą zawsze rozkoszą. Przywykliśmy uważać owo porozumienie dusz za świadectwo naszej miłości; a gdyby kiedykolwiek zawiodło nas ono, ten fakt odegrałby u nas taką rolę, jak w innych małżeństwach wiarołomstwo.

Moje życie, pełne miłosnych rozrywek, powinno Ci się wydać skądinąd nadzwyczaj pracowite. Dowiedz się przede wszystkim, moja droga, że Ludwika Armanda Maria de Chaulieu sama sprząta swój pokój. Nigdy bym nie ścierpiała, aby jakaś płatna sługa, obca kobieta albo dziewczyna (o literatko!) przeniknęła sekrety mojego pokoju. Moja religia obejmuje najbłahsze drobiazgi konieczne do jej praktyk. To bynajmniej nie zazdrość, ale szacunek dla siebie. Toteż sprzątam swój pokój z takim staraniem, jakim tylko młoda i zakochana osoba stroje swe otacza. Jestem drobiazgowa niczym stara panna. W mojej alkowie nie zastałabyś nigdy rozgardiaszu, gdyż jest ona przytulnym buduarem. Wszystko tu przemyślałam i przewidziałam. Mój pan i władca może tu wkroczyć o każdej porze; oko jego nie zdziwi się, nie rozczaruje ani przykrości nie dozna: kwiaty, perfumy, wykwint, wszystko tu wzrok zachwyca. O świtaniu, kiedy on jeszcze śpi i nie domyśla się niczego, wstaję i biegnę do rzeczonej alkowy, gdzie, jak mnie uczyła moja doświadczona matka, zmywam ślady snu zimną wodą. Albowiem w czasie snu skóra, słabsze z zewnątrz otrzymująca bodźce, źle funkcjonuje; rozgrzewa się i otacza mgiełką, będącą czymś w guście atmosfery widocznej dla oka różnych świerzbowców. Spod ociekającej gąbki kobieta wychodzi młodą dziewczyną. Kto wie, czy ten fakt nie tłumaczy mitu o Wenerze wyłaniającej się z fali.

Woda obdarowuje mnie tedy niepokojącym wdziękiem jutrzenki; czeszę się i perfumuję włosy; i po tej drobiazgowej toalecie wślizguję się cicho jak wąż, aby mój pan budząc się zobaczył mnie śliczną i zalotną niby wiosenny poranek. Admiruje ową świeżość roztulającego się pąka, nie mogąc sobie wytłumaczyć, gdzie się kryje tego uroku przyczyna. Moja dalsza toaleta, na dzień, jest rzeczą pokojowej, a odbywa się w garderobie. Istnieje również, jak się domyślasz, toaleta przed udaniem się do snu. Robię więc dla mojego pana męża trzy, a czasami cztery razy toaletę: ale to już, moja droga, kojarzy się z innymi mitami starożytności.

Mamy także swoje prace. Interesujemy się wielce kwiatami, pięknymi płodami naszej oranżerii i naszymi drzewami. Zajmujemy się poważnie botaniką, kochamy namiętnie kwiaty, a nasz ogród w nich tonie. Nasze trawniki są zawsze zielone, a krzewy wypielęgnowane jakby w ogrodach najbogatszego bankiera. Toteż trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego niż ta nasza „zagroda". Jesteśmy okropnie łakomi na owoce, doglądamy naszych brzoskwiń z Montreuil, inspektów, drzew owocowych w szpalery posadzonych albo przyciętych na kształt wrzeciona. Na wypadek, gdyby te sielskie prace nie zadowoliły umysłu mojego ukochanego, doradziłam mu, aby w samotności i ciszy ukończył kilka sztuk teatralnych, naprawdę pięknych, które zaczął jeszcze w dniach nędzy. Jedyny to zresztą rodzaj literackiego dzieła, od którego można odstąpić, a później do niego wrócić, gdyż wymaga ono długich rozmyślań, a nie jest mu konieczny ów cyzelunek, jakiego styl żąda. Nie zawsze można komponować dialog, trzeba tu żywości pióra, lapidarnych powiedzeń, lotnego dowcipu, co wystrzela niby kwiaty z pąków, a zjawia się prędzej, jeśli poczekać na niego, niż dzięki poszukiwaniom. Lubię to wychwytywanie pomysłów. Współpracuję z moim mężem i nie opuszczam go nawet wtedy, gdy po rozległych polach swojej imaginacji wojażować zaczyna. Czy odgadłaś teraz,

jak sobie radzę z wieczorami zimowymi? Służbę mamy wzorową: od dnia naszego ślubu nie potrzebowaliśmy jej zwrócić ani jednej uwagi, nie naraziła się na ani jeden zarzut. Kiedy wypytywano o nas tych ludzi, umieli się chytrze wykręcić; podali mnie za damę do towarzystwa, a Mariana za sekretarza; chlebodawcy nasi podróżują gdzieś daleko, więc przemieszkujemy tu sami; mając pewność, że niczego im nie odmówimy, nie wydalają się nigdy bez pozwolenia; a zresztą dobrze im tu i widzą, że owa kondycja tylko z ich własnej winy mogłaby obrócić się na gorsze. Pozwalamy ogrodnikom sprzedawać to, co zostanie z owoców i jarzyn. Wieśniaczka dozorująca krów i mleczarni ma prawo ciągnąć zyski ze zbywającego mleka, śmietany i masła. I tylko najpiękniejsze produkty są dla nas zarezerwowane. Ci ludzie są wielce kontenci ze swoich profitów, a nas zachwycają te wspaniałości, których za żadną cenę nie moglibyśmy – albo raczej nie umieli – sprokurować sobie w tym okropnym Paryżu, gdzie zresztą jedna piękna brzoskwinia kosztuje tyle, ile wynosi roczny procent od stu franków. Wszystko to, moja droga, ma jeden jedyny sens: chcę być dla Mariana całym światem, a ponieważ świat jest zabawny, więc mój mąż nie powinien się nudzić na tym pustkowiu. Myślałam, że jestem zazdrosna, kiedy byłam kochana i pozwalałam się kochać; ale dziś odczuwam taką zazdrość jak wszystkie kobiety, które kochają, słowem: zazdrość prawdziwą. Drżę, jeśli rzuci na mnie spojrzenie, które wyda mi się obojętnym. Od czasu do czasu powiadam sobie: a gdyby tak przestał mnie kochać... i wtedy zimny dreszcz mnie przechodzi. Och! – czuję się wobec niego jak dusza chrześcijańska wobec Boga.

Niestety, moja Renato, wciąż nie mam dzieci. Nadejdzie z pewnością taki moment, kiedy uczucia rodzicielskie okażą się konieczne, aby ożywić to pustkowie, kiedy zapragniemy oboje widoku sukieneczek i pelerynek, widoku jasnowłosych lub ciemnowłosych maleństw, uwijających się i skaczących wśród tych naszych ukwieconych krzaków i ścieżek. Och! – jakąż potwornością są kwiaty nie rodzące owoców! Przenika mnie dojmujący ból, kiedy wspominam Twoją piękną rodzinę. Zacieśnił się krąg mojego życia, a tymczasem Ty swoje życie rozszerzyłaś, Twoje życie wydało promienie. Miłość jest do gruntu egoistyczną, natomiast macierzyństwo stara się zawsze pomnożyć sentymenta nasze. Odczułam głęboko tę różnicę, czytając Twój dobry, serdeczny list. Pozazdrościłam Twojego szczęścia, wyobraziwszy sobie, jak żyjesz wśród trojga serc! Tak, jesteś szczęśliwa; mądrześ wypełniła obowiązki życia społecznego, a ja znalazłam się poza jego nawiasem. Tylko kochające i kochane dzieci zdołają pocieszyć kobietę, której uroda przemija. Niedługo skończę trzydzieści lat, a w tym wieku kobieta rozpoczyna okrutne duszne lamenty. Cóż z tego, że piękną jestem, skoro dostrzegam granice życia kobiecego? Co potem ze mną będzie? Gdy będę miała lat czterdzieści, o n ich nie będzie miał, o n będzie jeszcze młody, a ja będę już stara. Kiedy ta myśl przeniknie do serca mojego, pozostaje godzinę u stóp Mariana i wymuszam na nim przysięgę, iż jeśli uczuje, że miłość jego do mnie wygasać zaczyna, natychmiast powie mi o tym. Ale to przecież dziecko... przysięga mi, jakoby miłość jego nigdy osłabnąć nie miała, a jest taki piękny, że rozumiesz!... wierzę w to. Do widzenia, drogi aniele, czy znów przerwiemy naszą korespondencję na całe lata? Szczęście tylko w sposób monotonny opowiadać o sobie umie; właśnie skutkiem tego oporu, jaki słowom ono przeciwstawia, Dante wydaje się duszom kochającym większy w swoim *Raju* niż w *Piekle.* Ale ja nie jestem Dantem, jestem tylko Twoją przyjaciółką, zależy mi więc na tym, żeby Cię nie nudzić. Ty możesz do mnie pisać, gdyż w swoich dzieciach masz rozmaite i wzrastające ciągle szczęście, podczas gdy moje... Ale nie mówmy już o tym, przesyłam Ci mnóstwo czułości.

LIII

PANI DE L'ESTORADE DO PANI GASTON

Moja droga Ludwiko, przeczytałam kilkakrotnie Twój list, a im głębiej wmyślałam się w treść jego, tym wyraźniej widziałam Cię nie jako kobietę, lecz jako dziecko; nic się nie odmieniłaś, a zapomniałaś o tym, co powtarzałam Ci tysiące razy: miłość jest kradzieżą, którą kondycja społeczna kondycję naturalną skrzywdziła; miłość jest w naturze czymś tak przemijającym, że te środki, jakimi rozporządza społeczeństwo, nie są w stanie odmienić jej pierwotnego stanu: toteż wszystkie szlachetne dusze starają się uczynić z owego dziecięcia-Amora mężczyznę; ale wtedy miłość staje się, jak to utrzymujesz, potwornością. Społeczeństwo, moja droga, chciało być płodnym. Zastępując przelotne szaleństwo natury trwałymi sentymentami, stworzyło największą spośród ludzkich instytucji: Rodzinę, czyli wieczysty fundament Społeczności. Poświęciło swojemu dziełu zarówno mężczyznę, jak i kobietę: gdyż nie mamy się co łudzić, ojciec rodziny oddaje żonie całą swoją działalność, fortunę i wszystkie siły. Czy to nie kobieta profituje z tych ofiar? Czy zbytek, bogactwo i wszystko nie jest prawie tylko dla niej? Dla niej jest wykwint i sława, dla niej słodycz ogniska domowego i jego kwiaty. Och, mój aniele, znów jak najfałszywiej podchodzisz do życia! Być uwielbianą to piosenka młodej panny, dobra na kilka wiosen, ale taka melodia nie powinna zawitać ani na ustach małżonki, ani matki. Kto wie, czy próżności kobiecej nie starczyłaby świadomość, że kobieta może być adorowaną. Jeśli chcesz być małżonką i matką, wracaj do Paryża. Dozwól mi powtórzyć, że zgubi Cię szczęście, tak jak innych nieszczęście gubi. Cisza, chleb, powietrze nie męczą nas nigdy i nie drażnią wcale, ponieważ nie mają żadnego smaku; natomiast to wszystko, co smakiem jest przepojone, pragnienia zaostrzywszy, znudzonymi je w końcu zostawia. Posłuchaj mnie, moje dziecię! Choćbym teraz mogła być pokochana przez jakiegoś mężczyznę i uczuła, że w sercu moim rodzi się taka miłość, jaką ty darzysz Mariana, potrafiłabym dochować wierności drogim obowiązkom swoim i najmilszej rodzinie. Macierzyństwo, mój aniele, jest dla serca kobiety jedną z tych spraw prostych, naturalnych, płodnych, bogatych w nieprzebrane zasoby, jak wszystkie rzeczy liczące się do pierwiastków życia. Nigdy nie zapomnę, jak pewnego dnia, przed niespełna czternastu laty, chwyciłam się obowiązków, niby rozbitek, co w ostatniej rozpaczy czepia się głównego masztu na okręcie; ale dziś, kiedy całe swoje rozpamiętuję życie, wybrałabym nieodmiennie ów sentyment jako swoją zasadę życiową, gdyż jest on najpewniejszym i najpłodniejszym ze wszystkich uczuć. Przykład Twojego życia, zasadzającego się na egoizmie okrutnym, lubo zamaskowanym poezją serca, umocnił mnie w moich postanowieniach. Nie wrócę już nigdy do tego tematu, a teraz musiałam oznajmić Ci to wszystko po raz ostatni, dowiedziawszy się, że szczęście Twoje przechodzi najstraszliwszą próbę, jaka tylko istnieć może.

Kiedym rozpatrywała Twoje życie na wsi, nasunął mi się jeszcze inny wniosek, który powinnam Ci przedłożyć. Nasze życie składa się, zarówno jeśli chodzi o ciało jak i o serce, z pewnych regularnych poruszeń. Każde zachwianie równowagi, w tym panującej w organizmie, wywołuje ból albo rozkosz; otóż rozkosz czy ból jest gorączką duszy, z natury swojej przemijającą, bowiem długo znosić jej nie podobna. Ten więc, kto życia swojego ustawicznie nadużywa, tkwi w stanie chronicznej choroby. Chorujesz w taki właśnie sposób, utrzymując w stanie namiętności uczucie, które w małżeństwie winno zamienić się na czystą i zrównoważoną siłę. Tak, mój aniele, rozumiem dzisiaj tę prawdę; chlubą małżeństwa jest ni mniej, ni więcej tylko ów spokój, głębokie i obustronne zrozumienie, ta wymiana i dobra, i zła, słowem to, co bywa pastwą płaskich żartów. Och! – jakże wspaniałym jest oświadczenie księżnej de Sully, wiesz, żony tego wielkiego Sully, która, kiedy jej powiedziano, iż jej mąż, lubo na poważnego człowieka wygląda, wziął sobie bez żadnych skrupułów metresę, odparła: „To cał-

kiem proste, wcielam honor naszej familii, smuciłabym się więc głęboko, gdyby mil przyszło odgrywać wv niej rolę kurtyzany". Bardziej lubieżna niż czuła, chcesz być jednocześnie i żoną, i metresą. Mając duszę Heloizy, a zmysły świętej Teresy, dopuszczasz się wybryków usankcjonowanych prawem; krótko mówiąc, kazisz instytucję małżeństwa. Tak, Ty, co sądziłaś mnie z okrutną surowością, kiedym wydawała się niemoralna akceptując w wilię mojego ślubu środki wiodące do szczęścia, zasługujesz dziś na te same zarzuty, które pod moim kierowałaś adresem, albowiem wszystko do swojej naginasz wygody. Jak to! pragniesz społeczeństwo i naturę swoim podporządkować kaprysom? Pozostałaś sobą, nie przeobraziłaś się bynajmniej w to, czym winna być kobieta; przetrwały w Tobie zachcenia i wymagania dziewczęcia, a przy tym łączysz namiętność z najściślejszym i najbardziej handlowym wyrachowaniem; czyż nie sprzedajesz bardzo drogo ozdób swoich? Moim zdaniem ten, kto podejmuje tyle środków ostrożności, jest nieufny. Och Ludwiko, gdybyś mogła doświadczyć, jak słodką jest praca, której matka musi dokonać nad sobą, żeby całej familii dobroć i czułość okazywać! Niezależność i duma mojego charakteru rozpłynęły się w łagodnej melancholii, a tę melancholię wyleczyły i zastąpiły radości macierzyństwa. Ranek był przykry, to prawda, ale wieczór będzie pogodny i jasny. Boję się, aby w Twoim życiu nie było przeciwnie.

Kończąc ten list błagam Boga, abyś spędziła jeden dzień między nami: nawróciłoby Cię to na rodzinę, przekonało do tych niewysłowionych, trwałych, wieczystych – takich właśnie, bo prawdziwych, prostych i zgodnych z naturą radości. Niestety! – cóż poradzi mój rozum na błąd, który szczęśliwą Cię czyni? Kiedy piszę te słowa, łzy stają mi w oczach. Mówiąc szczerze, imaginowałam sobie, że kilka miesięcy poświęconych miłości małżeńskiej przywiedzie Cię do rozsądku, a to dzięki nasyceniu; ale widzę, żeś jest nienasyconą i zabiwszy jednego kochanka, kopiesz teraz grób miłości. Do widzenia, droga, zbłąkana kobieto, opuszczam ręce, ponieważ list, w którym odmalowałam szczęście swoje, spodziewając się przywrócić Cię w ten sposób życiu społecznemu, posłużył tylko do gloryfikacji Twojego egoizmu. Tak, tylko Ty istniejesz w miłości Twojej i kochasz Mariana o wiele bardziej dla siebie niż dla niego.

LIV

PANI GASTON DO HRABINY DE L'ESTORADE

20 *maja.*

Renato, nieszczęście nie dało na siebie czekać, spadło na Twoją biedną Ludwikę z szybkością błyskawicy, a rozumiesz mnie: nieszczęście dla mnie – to podejrzenia. Umrę, jeśli przekonam się, że są słuszne. Przedwczoraj, zrobiwszy pierwszą swoją toaletę, jęłam szukać wszędzie Mariana, aby pójść z nim przed śniadaniem na niedaleki spacer, alem nigdzie mojego męża nie znalazła. Zajrzawszy do stajni, spostrzegłam jego klacz potem oblaną, a grum zdejmował właśnie nożem płaty piany, aby za chwilę wytrzeć zwierzę do sucha. „Któż to tak urządził Fedeltę"? – spytałam. „Nasz pan" – odparł chłopiec. Poznałam na pęcinach klaczy paryskie błoto, które łatwo od błota wiejskiego odróżnić można. „Był w Paryżu" – pomyślałam. Na tę myśl tysiące domniemań owładnęło natychmiast duszę moją, a wszystka krew zbiegła mi do serca. Pojechać do Paryża nie uprzedziwszy mnie o tym, skorzystać z tej godziny, kiedy zostawiam go samego, pomknąć i wrócić z taką szybkością, że Fedelta jest prawie ochwacona!... Podejrzenie ścisnęło mnie takimi kleszczami, żem oddechu złapać nie mogła. Odszedłszy kilka kroków dalej, usiadłam na ławce starając się odzyskać zimną krew. Zastał mnie tu Marian, straszliwie widać pobladłą, gdyż spytał: „Co się z tobą dzieje?" – i pytanie to

padło natychmiast, a w głosie mojego męża brzmiał tak serdeczny niepokój, żem się podniosła i wsparła na jego ramieniu; alem zupełnie z sił opadła, nogi miałam jak z waty, musiałam więc usiąść znowu; wziął mnie tedy na ręce i zaniósł do bawialni, gdzie po chwili zebrała się przerażona służba; ale Marian odprawił służących jednym gestem. Kiedy zostaliśmy sami, zdołałam, milcząc uparcie, przejść do sypialni, gdziem się zamknęła, aby wypłakać się do woli. Marian przesiedział tu ze mną około dwóch godzin, słuchając mojego szlochania, wypytując z anielską cierpliwością swoją niewolnicę, która nie raczyła mu odpowiadać. „Zobaczę się z panem, kiedy moje oczy nie będą czerwone, a głos drżeć przestanie" – rzekłam wreszcie. Usłyszawszy to „z panem", wyskoczył z domu jak oparzony. Przemyłam oczy lodowatą wodą, odświeżyłam sobie twarz, a kiedy otwarły się drzwi naszego pokoju, zastałam go przy nich; wrócił tak cicho, żem nie słyszała jego kroków. „Co ci się stało?" – zapytał. „Nic – odparłam. – Zauważyłam paryskie błoto na sfatygowanych nogach Fedelty, nie pojmuję, jak mogłeś wyjechać nie uprzedziwszy mnie; ale cóż, jesteś wolny". – „Zbyt to szkaradna podejrzliwość, aby ci mogła ujść bezkarnie – rzekł mi na to. – A więc jutro dopiero dowiesz się o celu mojej wyprawy".

„Popatrz na mnie" – rzekłam. Zatopiłam oczy w jego oczach: nieskończoność przeniknęła nieskończoność. Nie, nie dostrzegłam owej mgły, jaką wiarołomstwo otacza duszę, mgły, która mąci jasność źrenicy. Udałam, żem się uspokoiła, lubo duszę moją trawiła niepewność. Mężczyźni umieją tak samo jak my zwodzić, kłamać! Nie rozstawaliśmy się ani na chwilę. Och, moja droga, ileż było momentów takich, kiedy patrząc na niego czułam, że nic mnie 2 nim nie rozłączy. Jakież wstrząsały mną wewnętrzne dreszcze, kiedy zjawił się po króciutkiej nieobecności! Moje życie jest w nim, a nie we mnie. Z pasją przeczyłam temu, coś napisała w swoim okrutnym liście. Czyżem kiedykolwiek czuła tę zależność od owego boskiego Hiszpana; dla którego byłam tym, czym ten bezlitosny dzieciak jest dla mnie? Jakże ja nienawidzę tej klaczy! Jakież ja popełniłam głupstwo trzymając konie. Ale trzeba by również obciąć nogi Marianowi albo zamykać go na klucz. Oto jakie nurtowały we mnie głupie myśli, osądź z nich mój nierozum. Jeśli miłość nie zdołała wybudować mu klatki, żadna siła nie zatrzyma tego człowieka, który już się nudzi. „Znudziłam ci się?" – spytałam niespodzianie. „Ależ ty mnie dręczysz bez żadnej przyczyny – odparł, a oko jego napełniło się łagodną litością. – Nigdym jeszcze cię tak nie kochał". – „Jeśli to prawda, mój aniele uwielbiany – rzekłam na to – pozwól mi sprzedać Fedeltę". – „Sprzedaj!" – odparł. Zmiażdżyło mnie to słowo, gdyż Marian jakby chciał powiedzieć: przecież te wszystkie bogactwa należą wyłącznie do ciebie, a ja jestem tu niczym, moja wola tu nie istnieje. – Jeśli nawet tak nie pomyślał, posądziłam go o myśl taką i, rozstawszy się z nim znowu, udałam się na spoczynek: bowiem noc nadeszła.

Och, Renato! – kiedy znajdziemy się w samotności, niszczycielskie rozmyślania wiodą nas do samobójstwa. Te rozkoszne ogrody, ta noc rozgwieżdżona, ten chłodny powiew, który przynosił mi kadzidlane tchnienia wszystkich naszych kwiatów, nasza dolina i wzgórza nasze, wszystko to wydawało mi się ponure, czarne i puste. Byłam jakby na dnie przepaści, wśród żmij i trujących roślin; nie widziałam już Boga na niebie. Po takiej nocy każda kobieta się zestarzeje.

„Bierz Fedeltę i pędź do Paryża – rzekłam do niego nazajutrz rano nie sprzedamy jej; kocham ją, gdyż nosi ona ciebie". Nie zwiódł go jednak mój akcent: z głosu mojego przebijała tłumiona wściekłość, którą starałam się ukryć. „Proszę cię o zaufanie!" – odparł podając mi rękę gestem tak szlachetnym i tak szlachetnie spojrzawszy, żem się poczuła niczym robak. „Kobiety są okropnie małoduszne" – westchnęłam. „Nie, po prostu kochasz" – rzekł tuląc mnie w ramionach. „Jedź sam do Paryża" – powiedziałam dając do zrozumienia, że składam broń podejrzeń. Pojechał – a ja myślałam, że zostanie. Nie będę Ci odmalowywać boleści swojej. Pojawiło się we mnie drugie ja, o którym nie wiedziałam, że istnieć może. Przede wszystkim zaś, moja droga, sceny tego rodzaju mają dla kochającej kobiety jakiś tragiczny patos, którego żadne słowo wyrazić nie zdoła; w momencie, kiedy takie sceny się rozgrywają,

całe życie nasze staje przed nami, a oko żadnego nie dostrzega horyzontu; nic jest wszystkim, spojrzenie jest księgą, słowo ciągnie za sobą lodowce, a w poruszeniu warg wyczytujemy wyrok śmierci. Spodziewałam się, że zawróci – czyż nie okazałam się aż nadto szlachetną i wielką? Wyszłam na szczyt naszego wzgórza i patrzałam na drogę. Ach, Renato! – widziałam, jak znikł, i to z jaką przerażającą szybkością. – „Ależ on pędzi" – myślałam mimo woli. A potem, kiedy pozostałam sama, pogrążyłam się znowu w piekle domniemań, w natłoku podejrzeń. Wydawało mi się chwilami, że pewność zdrady byłaby balsamem w porównaniu z torturą wątpliwości. Wątpliwości to jakby pojedynek, który staczamy ze sobą i zadajemy w nim sobie straszliwe rany. Chodziłam, krążyłam po alejach, wracałam do domu i wypadałam z domu jak szalona. Marian wyjechał o siódmej rano, a wrócił dopiero o jedenastej; a ponieważ na drogę do Paryża przez park Saint-Cloud i Lasek Buloński wystarczy pół godziny, zabawił trzy godziny w mieście. Wrócił triumfalnie, przywożąc mi kauczukową szpicrutę ze złotą rączką. Moja stara i zniszczona szpicruta połamała się akurat dwa tygodnie temu. „I to dlatego mnie tak dręczyłeś?" – rzekłam podziwiając robotę tego cacka, w którego rękojeść wprawiono puzderko z pachnidłem. A po chwili zrozumiałam, że w tym prezencie kryło się nowe oszustwo, ale rzuciłam się zaraz mężowi na szyję, nie szczędząc mu jednak przymilnych wyrzutów, że dla takiej bagateli o takie okropne przyprawił mnie cierpienia. Uznał się w duchu za wielce sprytnego. Dostrzegłam natenczas w jego postawie i spojrzeniu ów rodzaj tajonej radości, jaką odczuwamy, jeśli powiedzie nam się szalbierstwo; z duszy naszej wymyka się wtedy jakby błysk: jakby promień naszego dowcipu, wyzwalający się z poruszeń ciała, zaigrał w rysach twarzy. Podziwiając ów śliczny przedmiot, spytałam w momencie, kiedy patrzyliśmy sobie prosto w oczy: „Któż to dzieło sztuki dla ciebie wykonał?" – „ Jeden z moich przyjaciół artystów". – „Ach! A Verdier oprawił" – rzekłam odczytując nazwisko kupca na szpicrucie wyryte. Marian jest dziecinny, zarumienił się. Zasypałam go pieszczotami, aby nagrodzić mu wstyd z oszustwa wynikły. Udałam naiwną, aby mógł pomyśleć, że na tym skończyła się sprawa.

25 maja.

Nazajutrz około szóstej rano włożyłam amazonkę, a około siódmej byłam już u Verdiera, gdziem wiele szpicrut wykonanych podług tego modelu obejrzała. Subiekt poznał i moją, kiedy mu ją pokazałam. „Sprzedaliśmy ją wczoraj jakiemuś młodemu panu" – oświadczył. A z rysopisu mojego podstępnego Mariana, który podałam, wynikło ponad wszelką wątpliwość, że nie był to nikt inny. Nie będę się rozwodzić nad okropną palpitacją serca, od której mało pierś mi nie pękła, kiedym do Paryża jechała i podczas tej krótkiej sceny, co zdecydowała o moim życiu. Wróciłam o wpół do ósmej, a Marianowi pokazałam się już wyświeżona i strojna w poranną suknię, przechadzając się z kłamliwą beztroską i pewna, że nic mojej eskapady nie zdradzi, gdyż wtajemniczyłam w nią tylko starego Filipa. „Marianie – rzekłam, kiedy spacerowaliśmy wokół naszego stawu – orientuję się wcale dobrze, jaka różnica zachodzi między oryginalnym dziełem sztuki, z miłością dla jednej jedynej wykonanym osoby, a przedmiotem tuzinkowym, który wyszedł z formy". Marian zbladł na ów okropny dowód rzeczowy, świadczący przeciw niemu. „Mój przyjacielu – rzekłam – nie o szpicrutę tu idzie, lecz o parawan, za którym chowasz swój sekret". Wtedy, moja droga, jęłam sycić się rozkoszą, obserwując, jak plątał się wśród ścieżek oszustwa, kluczył w labiryncie kłamstwa nie mogąc się z niego wydostać, dokonując cudów zręczności, aby przesadzić mur sposobny po temu; zmuszony był jednak do pozostania na placu, oko w oko z adwersarzem, który pozwolił wreszcie wywieść się w pole. Moje ustępstwo, jak zwykle w takich sytuacjach, było spóźnione. Zresztą popełniłam błąd, przed którym moja matka zawsze mnie ostrzegała, dając nauki, jak go uniknąć. Ukazawszy się w całej nagości, moja zazdrość wznieciła wojnę, nie pomijając żadnego for-

telu między Marianem a mną. Moja droga, zazdrość jest z samej swej natury brutalną i głupią. Przyrzekłam więc sobie cierpieć w milczeniu, szpiegować każdy krok Mariana, upewnić się całkowicie, a wtedy albo z moim mężem skończyć, albo pogodzić się z nieszczęściem: na inną politykę kobieta dobrze wychowana pozwolić sobie nie może. Co on przede mną ukrywa? Gdyż ma jakiś sekret. Ów sekret dotyczy kobiety. Czy to jakieś kawalerskie jeszcze amory, z powodu których się rumieni? Cóż to być może? To pytanie, moja droga, wyryło się teraz ognistymi literami na każdej rzeczy. Czytam to złowieszcze zdanie w zwierciadle mojego stawu, widzę je poprzez kępy drzew, pojawia się na obłokach, na suficie, przy stole i wśród kwiatów mojego klombu. We śnie słyszę donośny głos, pytający: cóż to być może? Od tego poranku istnieje w naszym życiu okrutna zagadka i trawi mnie jedna z najbardziej gorzkich myśli, jakie sercu kobiety doskwierać mogą: należę do mężczyzny, którego o wiarołomstwo posądzam. O moja droga, to życie ma w sobie coś z piekła, ale i coś z raju. Nigdym jeszcze nie dotknęła stopą tego żaru, ja, co byłam zawsze tak święcie uwielbiana.

Ach, czyś nie pragnęła wstąpić pewnego dnia w ciemne i ziejące ogniem komnaty pałaców cierpienia? – powiadałam sobie. Widać demony posłyszały to zgubne życzenie: idź, nieszczęsna!

30 maja.

Od tego dnia Marian zamiast pracować leniwie, ze swobodą bogatego artysty, który muska swe dzieło, narzucił sobie obowiązki, niczym pisarz utrzymujący się z pióra. Poświęca co dzień cztery godziny na wykończenie dwóch sztuk teatralnych.

Trzeba mu pieniędzy! Tę myśl podszepnął mi jakiś głos wewnętrzny. Prawie nic nie wydaje; łączy nas absolutne zaufanie, nie ma takiego kąta w jego pokoju, gdzie nie wolno by mi było zajrzeć albo poszperać, jego roczne ekspensa nie sięgają i dwóch tysięcy franków, wiem, że ma trzydzieści tysięcy franków, nie tyle uskładane, co wrzucone do szuflady. Pojmujesz mnie. W nocy, kiedy spał, poszłam do jego pokoju, żeby zobaczyć, czy rzeczona suma jest na miejscu. Jakiż lodowaty dreszcz mnie przejął, kiedym zastała pustą szufladę! W tymże tygodniu odkryłam, że jeździ do Sévres po listy, które niszczy widać zaraz po przeczytaniu, gdyż mimo sztuczek godnych Figara na żaden ich ślad nie natrafiłam. Niestety, mój aniele, lubom po tej historii ze szpicrutą mnóstwo sobie postanowiła rzeczy i wiele pięknych przed sobą złożyłam przysiąg, ulegając odruchowi duszy, który szaleństwem nazwać trzeba, śledziłam Mariana w trakcie jednej z jego błyskawicznych eskapad na pocztę. Marian przeraził się nie na żarty, kiedy przyłapałam go, jak siedząc na koniu opłacał porto za list, który trzymał w ręce. Powiódłszy po mnie szklanym wzrokiem, spiął Fedeltę ostrogą i puścił się w cwał, a ja, w momencie, kiedy dotarłam do furtki w lesie, upadałam ze zmęczenia, lubo, tak okropną boleścią duszy dotknięta, nie powinnam była odczuwać żadnej cielesnej fatygi. Marian nic do mnie nie rzekł; zadzwonił i czekał trwając nadal w milczeniu. Byłam na pół żywa. Może miałam rację, a może nie, tak czy inaczej – takie szpiegowanie Armandzie Ludwice Marii de Chaulieu nie przystoi! Stoczyłam się w błoto społeczne, znalazłam się w nim poniżej gryzetki, poniżej źle wychowanej dziewczyny, obok ladacznic i komediantek, co żadnej nie odebrały edukacji. Cóż to za piekło! Wreszcie otwiera się furtka, Marian oddaje cugle swojemu grumowi, ja też zsiadam z konia, a raczej zsuwam się w ramiona, które mój mąż wyciąga do mnie, unoszę lewą ręką amazonki, podaję mu prawe ramię i odchodzimy... wciąż w tym samym milczeniu. Sto kroków, które uszliśmy wtedy, może mi być policzone za sto lat czyśćca. Za każdym krokiem tysiące nowych myśli, widzialnych niemal, krążyły niby ogniste języki przed moimi oczami, wdzierały mi się do duszy, a każda z nich miała żądło inną trucizną rażące! Kiedy grum oddalił się z końmi, zatrzymałam Mariana, spojrzałam na niego, czyniąc gest, który wyobrazić sobie możesz, i rzekłam wskazując złowrogi list, co wciąż tkwił w jego

prawej ręce: „Pozwolisz mi go przeczytać?" Daje mi ów list, rozrywam kopertę i czytam pismo, w którym Natan, autor dramatyczny, donosi, że premiera jednej z naszych sztuk, przyjętej i na próbach już wyuczonej, odbędzie się w najbliższą sobotę. W liście tym był kupon do loży. Chociaż po tym męczeństwie znalazłam się w niebie, demon krzyczał ustawicznie, aby zmącić radość moją: „A gdzie trzydzieści tysięcy franków?" Ale poczucie godności, honoru, całe moje dawne j a wzbraniało mi spytać o to; a owo pytanie cisnęło mi się na wargi; wiedziałam, że gdyby myśl moja słowem się stała, rzuciłabym się do stawu, i wielki gwałt zadawałam sobie, żeby nie mówić. Droga, czyż nie cierpiałam wtedy ponad siły kobiety? „Nudzisz się, mój biedaku – rzekłam oddając mu list. – Jeśli chcesz, wrócimy do Paryża". – „A to po co? – zdziwił się. – Chciałem po prostu się przekonać, czy mam talent, zakosztować ponczu sławy!".

W momencie gdy będzie pracował, mogłabym ostatecznie udać zdziwioną, poszperawszy w szufladzie i nie znalazłszy tam jego trzydziestu tysięcy franków; ale czyż nie sprowokuję tym samym odpowiedzi: „Pożyczyłem jednemu z przyjaciół", gdyż człowiek tak inteligentny jak Marian podejść się nie da.

Moja droga, taki z tego morał wynika, że powodzenie sztuki, na którą cały schodzi się Paryż, naszą jest zasługą, lubo ów spektakl Natana tylko okrył sławą. Jestem jedną z gwiazdek przy słowach „z łaskawą współpracą panów". Byłam na premierze, ukryta w głębi jednej z lóż parterowych.

1 lipca.

Marian wciąż pracuje i wciąż jeździ do Paryża; pracuje nad nowymi sztukami, aby mieć pretekst do owych eskapad i żeby zarabiać. Przyjęto trzy nasze sztuki, a dwie zamówiono. Och, moja droga, jestem zgubiona, błądzę wśród ciemności. Spalę ten dom, aby oświetlił je pożar. Co właściwie ma znaczyć takie postępowanie? Czyżby się wstydził, że majątek mu dałam? Jest nazbyt wielkoduszny, aby troskać się podobną błahostką. Zresztą, kiedy mężczyznę zaczynają ogarniać takie skrupuły, dzieje się to przeważnie za sprawą serca. Można wszystko przyjąć od żony, ale kto zamierza ją opuścić albo kochać przestał, nic już od niej nie chce. Skoro trzeba mu tyle pieniędzy, musi oczywiście ekspensować je na jakąś kobietę. Gdyby chodziło o jego wydatki, czyż nie sięgałby bezceremonialnie do mojej kasy? Mamy przecież sto tysięcy franków oszczędności! Krótko mówiąc, moja piękna sarenko, wyczerpawszy wszelkie możliwe domysły, wszystko mądrze skalkulowałam i teraz jestem pewna, że mam rywalkę. Zaniedbuje mnie; dla kogo? Pragnę j ą zobaczyć...

10 lipca.

Domysły moje się sprawdziły: jestem zgubiona. Tak, Renato, w trzydziestym roku życia, w całej świetności urody, bogata w zalety umysłu, strojna w kuszące toalety, zawsze elegancka i świeża, jestem zdradzana, i dla kogo? Dla jakiejś Angielki o wielkiej stopie, grubych kościach i obfitej piersi, dla jakiejś angielskiej krowy. Nie mam już się co łudzić. Oto co mnie spotkało w ostatnich dniach.

Znużyły mnie wreszcie te dociekania – sądziłam, że gdyby Marian wspomagał jednego z przyjaciół, mógłby mi przecież o tym powiedzieć, a jego oskarżało własne milczenie i ta niezmordowana praca, przy której go zastawałam, świadcząca o nienasyconym pragnieniu gotówki; zazdrosna o jego pracę, zaniepokojona tymi ustawicznymi wyprawami do Paryża, poczyniłam pewne kroki i te kroki sprowadziły mnie tak nisko, że wstyd mówić. Trzy dni temu dowiedziałam się, że Marian przybywszy do Paryża udaje się na ulicę Ville-Lévêque do pew-

nego domu, gdzie amory jego są utrzymywane w tajemnicy dzięki dyskrecji, w Paryżu bezprzykładnej. Mrukliwy stróż nie powiedział mi wiele, dość jednak, żebym mogła wpaść w rozpacz. Poświęciłam tedy życie swoje, byle poznać całą prawdę. Pojechałam do Paryża, najęłam mieszkanie w kamienicy naprzeciw domu, gdzie bywa Marian, i zobaczyłam na własne oczy, jak mój mąż wjechał konno na podwórze. Och! za wcześnie objawił mi się ten straszliwy, potworny fakt! Owa Angielka, wyglądająca mi na trzydzieści sześć lat, każe się nazywać panią Gaston. To odkrycie było dla mnie śmiertelnym ciosem. Ujrzałam na koniec, jak wyszła do Ogrodu Tuileryjskiego, prowadząc dwoje dzieci... och! droga, te dzieci są żyjącymi miniaturami Mariana. Każdego uderzy to jakże skandaliczne podobieństwo... I co za śliczne dzieci! Są ubrane bardzo bogato, tak jak Angielki dziatwę stroić umieją. Dała mu dzieci: teraz tłumaczy się wszystko. Ta Angielka jest kimś w guście greckiego posągu, który zstąpił z piedestału; odznacza się białością i chłodem marmuru, chodzi uroczyście, jak zwykły chodzić szczęśliwe matki. Trzeba przyznać, że jest piękna, ale i ciężka niby okręt wojenny. Nie ma w niej nic ani subtelnego, ani dystyngowanego: to nie *lady*, ale córka jakiegoś dzierżawcy z marnej wioszczyny w zapadłym hrabstwie albo jedenasta latorośl jakiegoś ubogiego pastora. Wróciłam z Paryża na pół żywa. W drodze nękało mnie tysiące myśli, niby tyleż demonów. Byłażby ona mężatką? Czy znał ją, zanim mnie poślubił? A może jest porzuconą metresą jakiegoś bogacza, którą Marian wziął nagle na utrzymanie? Gubiłam się w nieskończonym mnóstwie supozycyj, jak gdyby wobec istnienia tych dzieci jakieś supozycje były potrzebne. Nazajutrz wróciłam do Paryża i dałam stróżowi dość pieniędzy, żeby mógł wywiązać się między nami taki krótki dialog: „Czy pani Gaston jest legalną małżonką?" – „Tak, proszę p a n i e n k i".

15 lipca.

Moja droga, od tego ranka jęłam okazywać Marianowi jeszcze większą miłość, a i on jest teraz we mnie bardziej niż kiedykolwiek zakochany; to taki dzieciak! Dwadzieścia już dziś razy byłam bliska, aby go zagadnąć: „Czyżbyś kochał mnie więcej niż tę z ulicy Ville-Lévêque?" Ale nie śmiem wytłumaczyć przed sobą, czemu z tego zrezygnowałam pytania. „Czy bardzo kochasz dzieci?" – spytałam. „O tak – odparł mi na to – i my będziemy mieć dzieci". – „A jakimże to cudem?" – „Udałem się do najuczeńszych lekarzy i wszyscy doradzili mi dwumiesięczny wojaż". – „Marianie – odparłam – gdybym nieobecnych kochać umiała, zamknęłabym się na resztę dni w klasztorze". Wybuchnął śmiechem, a mnie, moja droga, zabiło to słowo „wojaż". Och! na pewno wolałabym oknem wyskoczyć niźli staczać się ze schodów na każdym zatrzymując się stopniu. Żegnaj, mój aniele, przygotowałam już śmierć swoją: będzie łagodna, wytworna, ale i niechybna. Wczoraj sporządziłam testament; możesz teraz mnie odwiedzić, cofam zakaz. Przybądź, gdyż chcę pożegnać się z Tobą. Moja śmierć będzie, jak i moje życie, przepojona dystynkcją i wdziękiem: umrę tak pięknie, jak żyłam.

Żegnaj, drogi duchu siostrzany, żegnaj, Renato, której afekt, obcy zniechęceniu, upadkom i wzlotom, podobny równomiernemu światłu księżyca, pieścił serce moje; nie znałaś porywów, ale i wargi Twoje nie tknęły trującej goryczy miłości. Mądrze spojrzałaś na życie. Żegnaj!

LV

HRABINA DE L'ESTORADE DO PANI GASTON

16 lipca.

Moja droga Ludwiko, przesyłam Ci ten list przez umyślnego, póki sama u Ciebie się nie zjawię. Uspokój się. Twoje ostatnie słowa wydały mi się tak niedorzeczne, że biorąc pod uwagę wyjątkowe okoliczności, zwierzyłam się ze wszystkiego Ludwikowi: idzie o to, aby Cię przed T o b ą ocalić. Jeśli chwyciliśmy się równie okropnych środków, jakich Ty użyłaś, to rezultat jest tak pomyślny, że jestem przekonana, iż kroki nasze zaaprobujesz. Posunęłam się do tego, żem puściła w ruch policję; ale to sekret między prefektem, Tobą i nami. Marian jest aniołem! Oto fakty: jego brat. Ludwik Gaston, umarł w Kalkucie, będąc na służbie kompanii handlowej, a umarł w tym właśnie momencie, kiedy miał wrócić do Francji, majętny, szczęśliwy i żonaty. Wdowa po pewnym angielskim negocjancie obdarzyła go najpiękniejszą w świecie fortuną. Po dziesięciu latach pracy, której w tym podjął się celu, aby ukochanemu bratu posyłać na życie, nic mu w listach o przeróżnych rozczarowaniach nie wspominając, gdyż nie chciał martwić młodzieńca, zaskoczyło Ludwika bankructwo słynnego Halmera. Wdowa znalazła się w ruinie. Cios był tak gwałtowny, że Ludwik zupełnie głowę stracił. Osłabiona wola dała przystęp chorobie, która łacno ciałem owładnęła, i Ludwik umarł w Bengalu, dokąd udał się, aby podjąć resztę kapitałów swej nieszczęsnej żony. Nasz dzielny kapitan złożył właśnie po raz pierwszy u bankiera sumę trzystu tysięcy franków, aby przesłano ją bratu; ale ów finansista, stratny na bankructwie firmy Halmer, ukradł Gastonom te ostatnie zasoby. Wdowa po Ludwiku wylądowała w Paryżu z dwojgiem dzieci – to Twoi synowcy – i bez grosza przy duszy. Klejnoty matki ledwie starczyły, aby opłacić przejazd całej rodziny. Dzięki wskazówkom dotyczącym przekazania pieniędzy Marianowi, a których to wskazówek Ludwik udzielił był bankierowi, wdowa znalazła dawne mieszkanie Twojego męża. Marian znikł bez śladu, skierowano więc panią Ludwikową Gaston do d'Artheza, jedynego człowieka, który mógł coś wiedzieć o Marianie. D'Arthez tym hojniej wspomógł młodą kobietę w pierwszej potrzebie, że Ludwik Gaston przed czterema laty, akurat kiedy się żenił, zasięgał o bracie informacji u naszego sławnego pisarza, wiedząc, że pan Daniel jest przyjacielem Mariana. Jednocześnie kapitan prosił d'Artheza o radę, jaką drogą przesłać wspomniane wyżej pieniądze, aby z pewnością do rąk Mariana dotarły. D'Arthez odpisał, że Marian stał się bogatym człowiekiem dzięki mariażowi z baronową de Macumer. Uroda, będąca wspaniałym darem od matki, uchroniła dwóch braci przed wszelakim nieszczęściem, jednego w Indiach, a drugiego w Paryżu. Nie wzruszającaż to historia? D'Arthez nie omieszkał napisać do Twojego męża, informując go o położeniu jego bratowej i dwóch synowców, a także o szlachetnych, lubo nieszczęsnym trafem udaremnionych zamysłach, jakim dał wyraz Gaston z Indii wobec Gastona z Paryża. Twój drogi Marian, jak to sobie łatwo wyobrazić możesz, popędził co tchu do Paryża. Oto historia jego pierwszej wyprawy. W ciągu pięciu lat odłożył sobie pięćdziesiąt tysięcy franków z pensji, którą w niego wmusiłaś, a teraz, zahipotekowawszy rzeczoną kwotę na imię swoich bratanków, stworzył dla każdego z nich dwanaście tysięcy franków renty; za czym umeblował własnym kosztem apartament, który zajmuje obecnie Twoja szwagierka, obiecując jej trzy tysiące franków co kwartał. Oto przyczyna, dla której komponuje sztuki teatralne, i oto dlaczego tak bardzo cieszył się powodzeniem swojej pierwszej komedii. Widzisz więc, że pani Gaston nie jest bynajmniej Twoją rywalką, a do nazwiska Twojego przysługuje jej to samo co i Tobie prawo. Człowiek tak szlachetny i drażliwy jak Marian musiał ukryć przed Tobą całą tę historię, obawiając się Twojej hojności. Twój mąż nie uważa za swoją własność tego, co mu dałaś. D'Arthez przeczytał mi list, który napisał do niego, prosząc, aby zechciał być świadkiem na waszym ślubie: Marian Gaston powiada w owym liście, że szczęście jego byłoby zupełne, gdyby nie miał długów, które pozwolił Ci

spłacić, i gdyby był bogaty. Przeczysta dusza musi żywić, niezależnie od swej woli, takie sentymenta; istnieją one albo nie istnieją; a skoro istnieją, ich drażliwość tudzież wymagania są same przez się zrozumiałe. To całkiem proste, że Marian pragnął bez niczyjej pomocy, w sekrecie, zapewnić przyzwoitą egzystencję wdowie po Ludwiku, skoro ta kobieta wysłała mu sto tysięcy dukatów z uszczerbkiem dla własnej fortuny. Jest piękna, ma dobre serce, dystyngowane maniery, lecz brak jej inteligencji. Jest matką, a to mi wystarczyło, żeby powziąć do niej z miejsca sympatię: kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, jedno z dzieci trzymała na rękach, a drugie kręciło się przy niej, wystrojone niczym lordowskie *baby*. Wszystko dla dzieci! Tę dewizę w każdym u niej drobiazgu wyczytać można. A więc nie tylko nie możesz mieć jakiegokolwiek żalu do Twojego uroczego Mariana, lecz tym mocniej winnaś go teraz pokochać! Miałam sposobność rzucić okiem na niego: to najbardziej czarujący młodzieniec w Paryżu. Tak, moje dziecię, zobaczywszy go, zrozumiałam, że kobieta oszaleć dla niego może: twarz Mariana harmonizuje z duszą jego. Radziłabym Ci wziąć wdowę i jej dzieci do siebie, kazałabym wybudować dla nich jakiś uroczy domek, no i te dzieci swoimi bym uczyniła! Uspokój się więc i zrób Marianowi tę niespodziankę.

LVI

PANI GASTON DO HRABINY DE L'ESTORADE

Ach, moja ukochana, wspomnij te straszliwe, fatalne, bezczelne słowa, które głupiec La Fayette powiedział do swojego pana, swojego króla: Z a p ó ź n o! O moje życie, moje piękne życie! – jakiż przywróci mi je lekarz? Zadałam sobie cios śmiertelny. Niestety – czyż nie byłam kobietą i błędnym zarazem ognikiem, któremu przeznaczono zapalić się i zgasnąć? Moje oczy zamieniły się w dwa strumienie łez, ale... mogę płakać tylko z dala od niego... Uciekam przed nim, a on mnie szuka. Taję rozpacz na dnie serca. Dante pisząc swoje *Piekło* zapomniał o mojej męczarni. Przyjedziesz zobaczyć, jak umierać będę?

LVII
HRABINA DE L'ESTORADE DO HRABIEGO DE L'ESTORADE

Domek pod Ville-d'Avray, 7 sierpnia.

Mój przyjacielu, zabierz dzieci i jedź do Prowansji beze mnie; nie mogę opuścić Ludwiki, której jeszcze tylko kilka dni życia pozostaje: należę chwilowo do niej i do jej męża, który, jak sądzę, oszaleje.

Tego dnia, kiedym otrzymała znany Ci zresztą, krótki list, poleciałam jak na skrzydłach do Ville-d'Avray, zabierając ze sobą lekarzy, i nie opuszczam teraz nawet na chwilę tej uroczej kobiety, a że piętnastą już noc czuwam u jej łoża, nie mogłam napisać do Ciebie.

Przybywszy tutaj zastałam ją w towarzystwie Mariana, piękną i wystrojoną, uśmiechniętą i szczęśliwą. Jakież to wzniosłe kłamstwo! Tych dwoje ślicznych dzieci wyjaśniło wszystko między sobą. Przez chwilę i ja dałam się łudzić tym zuchwałym pozorom; lecz Ludwika ścisnęła mi rękę i rzekła na ucho: „Trzeba go łudzić, ale jestem umierająca”. Przejął mnie lodo-

waty dreszcz, gdyż dłoń jej była rozpalona, a na policzkach widniał niezdrowy rumieniec. Powinszowałam sobie roztropności: przyszło mi bowiem do głowy, aby nie wzbudzać zbytecznej paniki, i dlatego zostawiłam lekarzy w lesie, gdzie spacerować sobie mogli, czekając, póki ich nie wezwę.

„Chcemy być teraz same – rzekła do Mariana. – Dwie kobiety spotkawszy się po pięcioletniej rozłące mają mnóstwo tajemnic i Renata na pewno z różnych sekretów zwierzyć mi się pragnie".

Kiedy zostałyśmy same, padła mi w ramiona, nie mogąc łez powstrzymać. „Co ci jest właściwie? – spytałam. – Przywiozłam na wszelki wypadek najpierwszego chirurga i najpierwszego lekarza z Hôtel-Dieu; Bianchon jest z nimi; w sumie przyjechało ich czterech". – „Och! Gdybyż mogli mnie ocalić! Niechże przyjdą, jeśli czas jeszcze! – zawołała. – Ten sam afekt, co pchał mnie do śmierci, ciągnie mnie teraz do życia". – „Ale cóżeś ty takiego zrobiła?" – „W kilka dni nabawiłam się rozmyślnie galopujących suchot".– „W jaki sposób?" – „Wieczorem brałam na poty, a nocą wymykałam się nad staw i kładłam się na ziemi, wśród rosy. Marian myśli, że mam katar, a ja naprawdę gonię resztkami sił". – „Wyślijże go zaraz do Paryża, a ja biegnę po doktorów" – i pomknęłam jak szalona do lasu, gdzie ich zostawiłam.

Niestety, mój przyjacielu, żaden z uczonych po zbadaniu chorej nie pokrzepił serca najsłabszą choćby nadzieją: wszyscy są zdania, że gdy liście z drzew opadną, zgaśnie Ludwika. Organizm tej drogiej istoty osobliwie się jej zamysłom przysłużył; miała predyspozycję do choroby, którą w sobie rozwinęła; a mogła żyć długo; ale w kilka dni doprowadziła się do beznadziejnego stanu. Nie będę mówić, com odczuła usłyszawszy ten wyrok, niezbicie zresztą umotywowany. Jak wiesz, Ludwika jest moim drugim życiem. Byłam tak straszliwie zgnębiona, żem nie odprowadziła tych okrutnych lekarzy. Tonąc w łzach, nie wiem, ile strawiłam czasu na bolesnej medytacji. Niebiański głos wydobył mnie nagle z odrętwienia: „A no cóż, nie ma dla mnie ratunku" – rzekła Ludwika kładąc mi dłoń na ramieniu. Kazała mi powstać i przeszłyśmy do jej saloniku. „Nie opuszczaj mnie – poprosiła, a słowom tym towarzyszyło błagalne spojrzenie – nie chcę widzieć wokół siebie rozpaczy; chciałabym przede wszystkim oszukać j e g o, a na to starczy mi sił. Jestem młoda, pełna energii, nie umrę w łóżku. Jeśli o mnie chodzi, nie skarżę się wcale, umieram tak, jak często o tym marzyłam: w trzydziestym roku życia, piękna, żadnego ze swoich przymiotów nie utraciwszy. Jeśli o niego idzie, byłabym go unieszczęśliwiła, widzę już to. Zaplątałam się w matnię miłości, udusiłam się sama, niby łania niecierpliwie godów oczekująca; z nas dwóch ja jestem sarną... i to bardzo dziką. Moja niesłuszna zazdrość zraniła już serce jego, i to serce cierpiało. Tego dnia, kiedy moje podejrzenia spotkałyby się z obojętnością, gdyż w taki właśnie sposób zazdrość płacić sobie każe!... będę już w grobie. Otrzymałam od życia, co mi się należało. Są ludzie, którzy sześćdziesiąt lat obserwacji i krytyce tego świata poświęciwszy, w rzeczywistości dwóch lat nawet nie przeżyli; a ja przeciwnie, lubo w trzydziestym roku życia umieram, przeżyłam w rzeczywistości sześćdziesiąt lat kochania. Z tego względu i dla Mariana, i dla mnie szczęśliwy to koniec. Jeśli o nas dwie idzie, to rzecz inna; tracisz kochającą siostrę, a takiej straty nic nie powetuje. Ty jedna tutaj winnaś opłakiwać śmierć moją. Moja śmierć – podjęła po dłuższym milczeniu, w czasie którego widziałam ją tylko skroś zasłonę łez moich – przynosi okrutny morał. Mój drogi doktor w gorsecie ma rację: fundamentem małżeństwa nie powinna być namiętność ani nawet miłość. Twoje życie jest pięknym i szlachetnym życiem; szłaś wytkniętą drogą, z każdym dniem bardziej swojego Ludwika kochająca; natomiast pożycie małżeńskie od niepomiernych rozpoczęte zapałów –

z czasem rozluźniać się tylko może. Omyliłam się dwa razy i niebawem po raz wtóry śmierć znieważy kościstą ręką szczęście moje. Zabrała mi już najszlachetniejszego i najbardziej oddanego z ludzi; a dziś kostucha odbiera mnie najpiękniejszemu, najczarowniejszemu i najpoetyczniejszemu małżonkowi pod słońcem. Ale poznałam najpierw przepiękny ideał duszy, a potem ideał ziemskiej formy. U Felipe dusza ujarzmiała i przekształcała ciało; u Maria-

na serce, umysł i uroda rywalizują ze sobą. Umieram uwielbiana – czegóż mogłabym żądać więcej?... Pojednania z Bogiem, którego może zaniedbałam, a przecież wzlecę do Niego pełna miłości, prosząc, aby w niebie oddał mi kiedyś dwóch moich aniołów. Raj bez nich byłby dla mnie pustynią. Mój przykład byłby zgubny: jestem wyjątkiem. Nie jest możliwe spotkać dwóch Felipe albo dwóch Marianów, prawo społeczne zgadza się więc w tym względzie z prawem naturalnym. Tak, kobieta jest istotą słabą, która idąc za mąż powinna złożyć mężczyźnie całkowitą ofiarę z woli swojej, a on, nawzajem, powinien wyrzec się dla niej swojego egoizmu. Bunty i płacze, które płeć słaba podniosła w ostatnich czasach na całym świecie z taką wrzawą, są głupstwem, wskutek którego tylu filozofów słusznie nas dziećmi nazwało".

Długo jeszcze snuła te wywody znanym Ci dobrze melodyjnym głosem, mówiąc najmądrzejsze rzeczy przybrane w najwykwintniejszą formę, dopóki nie zjawił się Marian w towarzystwie bratowej, dwóch chłopców i bony Angielki, którą to gromadkę przywiózł na życzenie Ludwiki z Paryża. „Oto moi dwaj śliczni dręczyciele – rzekła na widok synowców. – Czyżem nie mogła się pomylić? Podobni do stryja jak dwie krople wody!" Czarująco przyjęła starszą panią Gaston, poprosiła ją, aby czuła się w jej posiadłości jak u siebie, czyniąc honory domu z dystynkcją właściwą książętom de Chaulieu, którą w najwyższym posiadła stopniu. Napisałam nie zwlekając do księstwa de Chaulieu, do księcia de Rhétoré, do księcia de Lenoncourt-Chaulieu, a także do Magdaleny. I dobrze zrobiłam. Nazajutrz Ludwika, sfatygowana tyloma wysiłkami, nie mogła wyjść na przechadzkę; wstała tylko do obiadu. Magdalena de Lenoncourt, dwaj bracia Ludwiki i jej matka przybyli pod wieczór. Rozwiał się chłód, co po zamęściu Ludwiki wytworzył się między nią a jej rodziną. Od rzeczonego wieczoru dwaj bracia Ludwiki i jej ojciec przyjeżdżają tu konno każdego ranka, a obie księżne spędzają w Ville-d'Avray wszystkie wieczory. Śmierć zbliża w tym samym stopniu, co rozdziela, a i najzajadlejszej małostkowości milczeć każe. Ludwika jest wzniosła w swej gracji, rozsądku, wdzięku, dowcipie i tkliwych uczuciach. Aż do ostatniego momentu daje świadectwo owego wykwintnego smaku, który ją tak wsławił, a nas obdarowuje skarbami tej inteligencji, co czyniła z niej jedną z królowych Paryża.

„Pragnę być urocza, nawet jeszcze w trumnie" – rzekła do mnie z tym prześlicznym, jej tylko właściwym uśmiechem, kładąc się do łóżka, w którym miała gasnąć przez dwa tygodnie.

W pokoju jej nie widać nigdzie śladu choroby: mikstury i wszelkie inne medykamenta są pochowane.

„Czyż nie urządziłam sobie pięknej śmierci?" – zagadnęła wczoraj proboszcza z Sévres, któremu oddała pod opiekę duszę swoją.

Cieszymy się nią wszyscy, niby skąpcy radujący się złotem. Marianowi, okropną udręką i okrutnym wyrokiem lekarzy na najgorsze przygotowanemu, nie brak odwagi, ale tak rozpacza, że nie zdziwiłabym się, gdyby naturalną rzeczy koleją odszedł za żoną.

Wczoraj powiedział mi krążąc wokół stawu: „Powinienem być ojcem dla tych dwóch chłopców..." I wskazał bratową przechadzającą się z dziećmi. „Aczkolwiek nie zamierzam uczynić nic takiego, co zabrałoby mnie z tego świata, obiecaj mi pani, że będziesz im drugą matką i zgodzisz się, aby twój małżonek został ich opiekunem z urzędu, którą to opiekę jemu i mojej bratowej powierzę". Powiedział to bez cienia emfazy, jak zwykli mówić ludzie, którzy czują, że niewiele im życia pozostaje. Wargi jego odpowiadają uśmiechem na uśmiech Ludwiki i ja jedna znam tutaj całą prawdę. Zdobywa się na odwagę równą odwadze żony. Ludwika życzyła sobie zobaczyć Armanda, lecz nie boleję nad tym zbytnio, że Armand jest w Prowansji, i niech tam zostanie: mogłaby okazać swojemu chrześniakowi hojność, która wielce by mnie zakłopotała.

Do widzenia, mój przyjacielu.

25 sierpnia (w dzień jej imienin).

Wczoraj wieczorem Ludwika majaczyła dłuższą chwilę; lecz były to naprawdę wykwintne majaczenia, co dowodzi, że ludzie wyższego umysłu nie tracą przytomności w taki sposób jak mieszczanie albo głupcy. Zaśpiewała gasnącym głosem kilka włoskich arii, z „I Puritani", z „La Somnambula" i z „Mojżesza[110].

". Otoczyliśmy wszyscy w milczeniu jej łoże i wszyscy mieliśmy łzy w oczach, nawet jej brat, Rhétoré, tak jasnym nam się wydało, że dusza Ludwiki w tym ulatuje śpiewie.

Nie widziała już nas! Ale w modulacji tego śpiewu, cichutkiego i przepojonego boską słodyczą, był jeszcze cały jej urok.

Agonia zaczęła się w nocy. O siódmej rano pomogłam jej wstać, gdyż Ludwika, trochę sił odzyskawszy, zapragnęła usiąść przy oknie; poprosiła Mariana, żeby dał jej rękę... A po chwili, mój przyjacielu, ów najwdzięczniejszy anioł, jakiego ujrzeliśmy na tym padole, zostawił nam tylko swoją ziemską powłokę. Opatrzona poprzedniego dnia sakramentami, bez wiedzy Mariana, którego namówiła przed ową straszliwą ceremonią, żeby zdrzemnął się cokolwiek, zażądała była ode mnie, abym przeczytała jej po francusku „De profundis[111]", podczas gdy ona, w tę piękną naturę, którą sobie stworzyła, wpatrywać się będzie. Powtarzała w myśli słowa hymnu, ściskając ręce męża, który klęczał po drugiej stronie berżery.

26 *sierpnia.*

Złamane jest serce moje. Widziałam ją właśnie w całun owiniętą: pobladła i wystąpiły już fioletowe cienie. Och! pragnę zobaczyć moje dzieci! moje dzieci! Przywieź mi tu natychmiast moje dzieci!

Paryż 1841.

[110] „I P u r i t a n i" („Purytanie") i „L a S o m n a m b u l a" („Lunatyczka") – opery Vincenza Belliniego (1801–1835); „Mojżesz" – opera Rossiniego.

[111] D e p r o f u n d i s (łac.) – Z głębokości... (początek psalmu 130).

SAKIEWKA

Przełożył
JULIAN ROGOZINSKI

ZOFCE[112]

[112] Z o f k a – Zofia Kozłowska, córka rosyjskiego dyplomaty, zaprzyjaźniona z Balzakiem.

Czy nie zauważyłaś, panno Zofio, że średniowieczny rzeźbiarz lub malarz umieszcza zawsze z obu stron wizerunku pięknej świętej dwie postaci siostrzane? Widząc Swoje imię wśród imion ludzi mi drogich, będących orędownikami mojego dzieła, wspomnij tę małą przyjaźń, a znajdziesz tu nie tyle hołd, ile wyraz braterskich uczuć, jakie żywi dla Ciebie

sługa Twój
DE BALZAC

Dusze do wynurzeń skłonne znają rozkoszną godzinę, kiedy wieczór nie zapadł jeszcze, a dzień już minął; przyćmione światło zmierzchu spowija wtedy każdy przedmiot miękkimi tony, nieci wszędzie osobliwe blaski, sprzyja zadumie, która kojarzy się mgliście z igraszką dnia i nocy. Cisza, zalegająca niemal wszędzie, czyni tę chwilę szczególnie drogą artystom, co skupiwszy się odstępują o kilka kroków od dzieła, nad którym nie mogą już pracować; osądzają je upojeni tematem, którego treść utajona rozkwita wtedy pod wewnętrznym wzrokiem geniuszu. Kto nigdy nie zamyślił się obok przyjaciela w tym momencie marzeń, z trudnością zrozumie, jak wielkie stąd płyną korzyści. Półmrok zaciera doszczętnie fortele rzemiosła, jakich używa sztuka, by dać nam ułudę rzeczywistości. Postacie na obrazach zdają się poruszać i mówić; mrok staje się mrokiem, światło – światłem, ciało ożywa, oczy mrugają, krew krąży w żyłach, szeleszczą tkaniny. Wyobraźnia dopomaga naturalnym cechom każdego szczegółu i postrzega już w dziele tylko różnorakie piękno. O tej porze iluzja sprawuje niepodzielną władzę i może rodzi się razem z nocą. Bo czyż iluzja nie jest dla myśli rodzajem nocy, którą wypełniamy marzeniem? Iluzja rozpościera wtedy skrzydła i unosi duszę w świat fantazji, gdzie rodzi się uroczy kaprys i gdzie artysta zapomina o świecie prozaicznym, o tym, co było wczoraj i co będzie jutro, o przyszłości, o wszystkim, nawet o nędzach – płodnych czy bezpłodnych. O tej godzinie guseł młody, utalentowany malarz, widzący w sztuce li tylko sztukę, stał na składanej drabinie, którą posługiwał się przy malowaniu wielkiego i niemal ukończonego już płótna. Krytykując się i podziwiając samego siebie w najlepszej wierze, uniesiony strumieniem myśli, pogrążył się w owej zadumie, która zachwyca duszę i uszlachetnia, pieści ją i pociesza. Rozmarzywszy się tak, nie spostrzegł, że noc zapadła. Może chciał zejść z drabiny, może niebacznemu powinęła się noga – gdyż nie pamiętał potem, co było właściwą przyczyną wypadku – dość, że spadł, uderzył głową o taboret i straciwszy przytomność pozostawał bez zmysłów, jak długo – sam nie wiedział. Z omdlenia tego wyrwał go czyjś słodki głos. Kiedy otworzył oczy, zamknął je co prędzej, gdyż padł na nie ostry blask; ale skroś mgłę, co spowijała mu zmysły, dosłyszał szeptanie dwóch kobiet i uczuł, że głowa jego spoczywa na czyichś młodych i płochliwych dłoniach. Otrzeźwiawszy niebawem, ujrzał w świetle staroświeckiej lampy najśliczniejszą główkę dziewczęcą, z tych, jakie często

uchodzą za kaprys pędzla – ale która urzeczywistniła dlań nagle ów piękny ideał, jaki tworzy sobie każdy artysta i skąd wywodzi się jego talent. Twarz nieznajomej zaliczała się, by tak rzec, do subtelnego i delikatnego typu ze szkoły Prud'hona[113], odznaczając się przy tym ową poezją, jaką Girodet nadawał swoim fantastycznym postaciom. Lśniąca skóra na skroniach, regularny łuk brwi, czystość owalu twarzy, rysy tchnące dziewictwem czyniły z tej panienki twór doskonały. W talii była cienka, kształty miała wiotkie. Suknie jej, proste i skromne, nie świadczyły ani o bogactwie, ani o ubóstwie. Przychodząc do siebie, malarz wyraził swój zachwyt zdumionym spojrzeniem i wybełkotał parę nieskładnych słów podzięki. Uczuł na czole chusteczkę i choć w każdej pracowni malarskiej unosi się woń charakterystyczna, przebił się przez nią silny zapach eteru, którym go widocznie cucono. Za czym ujrzał wreszcie starą damę, podobną do margrabin sprzed rewolucji. Ona to trzymając lampę udzielała rad nieznajomemu dziewczęciu.

– Mój panie – odrzekła panienka na jedno z pytań, jakie zadał malarz, którego myśl wciąż jeszcze była zamroczona upadkiem – usłyszałyśmy z matką, jak spadłeś na podłogę, zdawało nam się, że jęknąłeś. Nastała potem cisza. Przerażone nią, pospieszyłyśmy na górę. Klucz był na szczęście w zamku, toteż pozwoliłyśmy sobie wejść i ujrzałyśmy pana leżącego nieruchomo na ziemi. Matka przyniosła wszystko, czego trzeba na kompres, a także sole trzeźwiące. Bo rozciąłeś pan sobie głowę, nie czujesz tego?

– Tak, teraz czuję.

– E, to bagatelka – ozwała się stara dama. – Szczęściem uderzyłeś pan głową w tego manekina.

– Czuję się już bez porównania lepiej – odparł malarz. – Trzeba już mi tylko dorożki, żeby wrócić do domu. Sprowadzi mi ją stróżka.

Usiłował dziękować raz jeszcze nieznajomym paniom – ale stara dama przerywała mu każde słowo:

– Niech pan jutro nie zapomni przystawić pijawek... albo niech pan każe puścić sobie krew... trzeba też wypić kilka filiżanek ziół gojących rany... i poleżeć w łóżku... upadek to rzecz niebezpieczna.

Panienka popatrywała spod oka to na malarza, to na jego obrazy. W zachowaniu jej i spojrzeniach była nienaganna skromność; ciekawość tchnęła powściągliwością, w oku jej czaiło się jakby owo zainteresowanie niewymuszone i pełne wdzięku, którym kobiety darzą wszelkie nasze utajone nieszczęścia. W obecności cierpiącego malarza obie panie zdawały się zapominać o jego dziełach. Upewniwszy się, że młodzieńcowi nic już nie grozi, wyszły spoglądając nań z troską wolną zarówno od afektacji, jak od familiarności, nie zadając mu niedyskretnych pytań ani też nie starając się go zobligować do zawarcia stosunków towarzyskich. Czyn ich miał znamiona uroczej naturalności i przemiłego taktu. Szlachetne te i proste maniery nie zwróciły początkowo uwagi malarza, ale później, gdy rozpamiętywał okoliczności towarzyszące wypadkowi, tknęło go coś mocno.

Zszedłszy na piętro znajdujące się pod pracownią, stara dama rzekła z łagodnym wyrzutem:

– Adelciu, zapomniałaś zamknąć drzwi.

– Bo chciała mi pani dopomóc – powiedział malarz uśmiechając się z wdzięcznością.

– To ty przecież, mamo, niedawno schodziłaś – odpowiedziała panienka spiekłszy raka.

– Czy nie sprowadzić pana? – spytała matka. – Na schodach tak ciemno.

– Dziękuję serdecznie łaskawej pani, ale czuję się znacznie lepiej.

– Niech się pan dobrze trzyma poręczy.

---

[113] Pierre-Paul P r u d ' h o n (1758–1823) – malarz francuski, portrecista oraz twórca obrazów o tematyce antycznej.

Obie panie pozostały na klatce schodowej i, przyświecając lampą malarzowi, wsłuchiwały się w odgłos jego kroków.

Jak bardzo ta przygoda zaskoczyła malarza i ile miała dlań nowości, zrozumiecie dowiedziawszy się, że pracownię tę, mieszczącą się na poddaszu, wynajął zaledwie przed paroma dniami i że dom ów stał w najciemniejszym, a więc najbardziej błotnistym zakątku ulicy Suresnes, niemal naprzeciw kościoła Świętej Magdaleny, nie opodal którego, na ulicy Pól Elizejskich, nasz artysta zajmował apartament. Talentem swoim zdobył taką sławę, iż zaliczając się do artystów najdroższych we Francji, puścił w niepamięć dawne troski pieniężne i, jak mawiał, cieszył się już obecnie resztkami kłopotów. Miast malować w jednej z owych pracowni położonych w bliskości rogatek, pracowni, za którą płacił ongi niskie komorne, stosowne do jego ówczesnych zarobków, zaspokoił pragnienie odradzające się w nim ustawicznie – unikając długiej drogi, a więc i straty czasu, cennego dlań obecnie jak nigdy. Gdyby Hipolit Schinner zechciał stać się popularnym, święciłby sukcesy, o jakich nikomu się dotąd nie śniło; ale nie zawierzał lekkomyślnie sekretów swojego życia. Był bożyszczem ubogiej matki, która wychowała go kosztem ciężkich wyrzeczeń. Panna Schinner, córka alzackiego chłopa, nigdy nie była mężatką. Delikatną jej duszę zranił kiedyś okrutnie bogacz, który subtelności w sprawach miłosnych bynajmniej nie poczytywał sobie za punkt honoru. Ów dzień, kiedy dziewczyna w całym rozkwicie młodości i w najpiękniejszym okresie życia doznała rozczarowania sercowego, które zniweczyło jej urocze iluzje – rozczarowania, co dosięga nas tak wolno i tak szybko zarazem, gdyż chcielibyśmy jak najpóźniej uwierzyć w nieszczęście, a wydaje się nam ono zawsze zbyt rychłym – stał się również całym wiekiem religijnych rozmyślań i rezygnacji. Odrzuciwszy jałmużnę, którą proponował jej uwodziciel, odsunęła się od świata i z błędu swojego uczyniła swoją chwałę. Poświęciła się bez reszty miłości macierzyńskiej, a wyrzekłszy się raz na zawsze obcowania z ludźmi, szukała w niej radości, jaką daje nam owo obcowanie. Żyła z pracy własnych rąk, cały swój skarb gromadząc w synu. On zaś później, któregoś dnia, wynagrodził matce długie lata ubóstwa i prywacyj. Ostatnia wystawa przyniosła mu krzyż legii honorowej. Nawet artyści uznali w Schinnerze mistrza, a kupcy płacili na wagę złota jego obrazy. Hipolit Schinner, odziedziczywszy po matce duszę kobiecą, zrozumiał, w dwudziestym piątym roku życia, swoją sytuację w świecie. Pragnąc przywrócić matce radości życia towarzyskiego, których wyrzekła się na okres tak długi, żył tylko dla niej, spodziewając się, że dzięki jego sławie i fortunie będzie jeszcze bogata, szczęśliwa, szanowana i otoczona znakomitymi ludźmi. Wybierał tedy przyjaciół jedynie spośród ludzi najgodniejszych i najbardziej dystyngowanych. Bardzo pod tym względem wymagający, chciał podnieść jeszcze swoją pozycję, którą talent i tak już uczynił wysoką. Praca, ta matka wielkich myśli, zmuszając Hipolita do samotności, praca, której poświęcił się od lat zarania, pozostawiła mu piękną wiarę, jaka przyświeca pierwszym naszym krokom w życiu. Dusza jego młodzieńcza znała każdy odcień wstydu, który czyni młodego chłopca istotą odrębną, o sercu pełnym szczęśliwości, poezji i naiwnej nadziei, nieważnych w pojęciu ludzi przeżytych – ale głębokich, gdyż prostych. Zalecał się manierami gładkimi i miłymi, które chwytają każdego za serce, ujmując nawet ludzi obcych podobnemu wzięciu. Był postawny. Głos pełen serdecznego brzmienia budził w innych uczucia szlachetne i świadczył o szczerej skromności, którą dźwięczała jego czysta intonacja. Ktokolwiek poznał Schinnera, czuł ku niemu ów sympatyczny pociąg, którego uczeni nie zdołali dotąd na szczęście zanalizować, wykryliby tam bowiem jakiś przejaw galwanizmu lub działanie nieokreślonego fluidu i zdefiniowaliby nasze uczucia proporcją tlenu i elektryczności. Szczegóły te wyjaśnią może ludziom śmiałym z natury i ludziom obytym, dlaczego Hipolit Schinner pod nieobecność stróża, którego posłał po dorożkę aż na koniec ulicy Magdaleny, nie zapytał stróżki, kim są dwie panie, co okazały mu tyle serca. Ale choć odpowiadał tylko półsłówkami na pytania w podobnych okolicznościach normalne, jakie zadawała mu stróżka, odnoszące się zaś do wypadku i do skutecznej interwencji lokatorek z czwartego piętra, nie zdołał zahamować gadatliwości naturalnej u

stróżów; poinformowała go więc o dwóch nieznajomych paniach zgodnie z interesami swojej polityki i wedle tego, jak cichcem szacowano je w odźwierni.

– A, to pewnikiem panna Leseigneur i jej matka – mówiła – które mieszkają u nas już cztery lata. Nie wiemy dotąd, czym się zajmują te panie; obsługuje je od rana, ale tylko do południa, jakaś stara kobieta, taka głuchawa i mrukliwa, że nic z niej nie wydobędziesz; wieczorem przychodzi kilku starszych panów, wyorderowanych jak pan, siedzą u nich często do późna w nocy, a jeden to przyjeżdża nawet karetą, ma służbę i tak ze sześćdziesiąt tysięcy liwrów renty. To zresztą bardzo spokojne lokatorki, tak samo jak pan; i oszczędne, żywią się byle czym, a jak dostaną list, płacą od razu. To ciekawe, proszę pana, że córka nazywa się inaczej niż matka. Ale kiedy idą do Tuileriów, panienka jest wystrojona, że aż błyszczy, a jak wraca, to ją często odprowadzają młodzi panowie, ale ona zamyka im drzwi przed nosem. I dobrze robi, bo właściciel by nie zniósł...

Dorożka zajechała, Hipolit nie słuchał więc dłużej i wrócił do domu. Matka, dowiedziawszy się o wypadku, opatrzyła raz jeszcze ranę i nazajutrz nie wypuściła syna do pracowni. Lekarz wydał różne zalecenia, Hipolit musiał tedy przesiedzieć trzy dni w domu. Wyobraźnia, niczym przez ten czas nie zajęta, przywodziła mu na pamięć żywo i jakby fragmentami szczegóły wypadków, jakie rozegrały się po jego omdleniu. Profil panienki rysował się ostro na ciemnym ekranie wewnętrznego wzroku; jawiła mu się zwiędła twarz jej matki; czuł dotyk rąk Adelajdy, odtwarzał w myśli jej ruchy, których wdzięk, zrazu nie zauważony, ale jakiż prześliczny, uwypuklał się we wspomnieniach; to wdzięczna sylwetka, to znów melodyjne brzmienie głosu, wypięknione jeszcze oddalą wspomnień, ukazywały się nagle, niby przedmioty wydobyte na powierzchnię z głębi wód. Toteż owego dnia, kiedy mógł wrócić do malowania, zjawił się wcześnie w pracowni – prawdziwą jednak przyczyną tego pośpiechu była wizyta, jaką miał niezaprzeczalne prawo złożyć swoim sąsiadkom, ani więc myślał o rozpoczętych obrazach. Kiedy uczucie rozdziera swe powijaki, doznajemy niewytłumaczonych rozkoszy, które pojmą jedynie ci, co kochali. Jakoż ten i ów czytelnik zrozumie, dlaczego malarz wstępował tak wolno na schody czwartego piętra, i odczuje, jak mocno drżało mu serce, gdy ujrzał brunatne drzwi skromnego mieszkanka panny Leseigneur. Ta dziewczyna, która nie nosiła nazwiska swojej matki, wzbudziła mnóstwo sympatii w sercu młodego malarza; pragnął dopatrzyć się pewnego podobieństwa między jej a swoim położeniem, obdarzał ją nieszczęściami swojego pochodzenia. Pracując rozmyślał z upodobaniem o miłości i hałasował, żeby obu paniom dać znać o sobie, sądząc, że i one zaprzątają się jego obecnością. Zabawił do późna w pracowni, zjadł tam obiad; po czym, około siódmej, zeszedł do sąsiadek.

Żaden malarz obyczajów nie ośmielił się jeszcze, powodowany zapewne wstydliwą dyskrecją, ukazać nam doprawdy ciekawego wnętrza niektórych istnień paryskich, wprowadzić w tajniki mieszkań, skąd wychodzą kobiety tak wyświeżone, wykwintne i w tak świetnych toaletach, kobiety bogate na pozór, a jednak zdradzające wprawnemu oku, jak wątpliwym jest ich majątek. Jeśli obraz w tej opowieści wyda wam się przerysowany, jeśli zauważycie tu dłużyzny, nie miejcie pretensji do opisu, który tworzy – by tak rzec – jedno ciało z anegdotą; wygląd bowiem mieszkania sąsiadek wywarł silny wpływ na uczucia i nadzieje Hipolita.

Dom należał do jednego z owych kamieniczników odznaczających się wrodzonym i głębokim wstrętem do wszelkich reperacji i upiększeń, jednego z owych ludzi, którzy poczytują stan kamienicznika paryskiego za profesję. W długim łańcuchu odmian duchowych ludzie ci zajmują miejsce między sknerą a lichwiarzem. Optymiści z wyrachowania, pozostają wierni austriackiemu statu quo[114]. Powiedzcie im, że trzeba przebudować szafę ścienną, przebić nowe drzwi lub jakiś najniezbędniejszy otwór – oczy ich błyszczą, żółć się zagrzewa, stają dęba niby spłoszone konie. Jeśli wiatr strąci cegłę z komina, chorują, odmawiają sobie biletu do

[114] S t a t u q u o (łac.) – w obecnym stanie.

Gymnase czy Porte-Saint-Martin, muszą bowiem wyłożyć na remont. Hipolita nie zdziwiły więc ani czarniawe i tłuste odcienie, ani oleista barwa, ani plamy jak również inne akcesoria dość nieprzyjemne, zdobiące boazerię, imć pan Molineux odegrał już bowiem był przed nim gratis nader pocieszną scenę, gdy nasz artysta zaproponował pewne ulepszenia w pracowni. To piętno nędzy nie jest skądinąd pozbawione w oczach malarza pewnej poezji.

Panna Leseigneur sama otworzyła drzwi. Poznawszy młodego malarza, dygnęła, po czym z iście paryską szybkością orientacji, z ową przytomnością umysłu, jaką daje duma, zamknęła drzwi oszklonego przepierzenia, za którymi Hipolit mógł dojrzeć bieliznę suszącą się na sznurku, rozwieszoną nad oszczędnym piecykiem, stare łóżko na pasach, garnek z żarem, węgiel, żelazka, filtr do wody, miski, talerze i wszelkie utensylia konieczne w małym gospodarstwie. Muślinowe firanki, dość czyste, zasłaniały starannie tę graciarnię – najwłaściwsze słowo, by określić ów rodzaj laboratorium, ciemnawą izdebkę, licho oświetloną okienkiem wychodzącym na podwórko sąsiedniej posesji. Dzięki bystremu spojrzeniu artysty Hipolit rozeznał się od razu, jakie przeznaczenie ma ta pierwsza klitka podzielona na dwoje, oszacował jej stan i meble. Część paradna, służąca za przedpokój i jadalnię zarazem, była wyklejona brzoskwiniową tapetą, dziś już niemodną, ozdobioną aksamitnym szlakiem, a pochodzącą na pewno z fabryki Réveillona; dziury i plamy pozalepiano starannie opłatkiem. Na ścianach porozwieszano symetrycznie ryciny Lebruna[115], w ramach złotych, ale wypełzłych, przedstawiające batalie Aleksandra. Pośrodku widniał staroświecki stół z litego mahoniu, o wytartych krawędziach. Piecyk z rurą prostą, bez kolanka, i zaledwie widoczną, znajdował się przed kominkiem, którego palenisko przerobiono na szafkę. Dziwacznym kontrastem, krzesła z rzeźbionego mahoniu świadczyły niejako o dawnej świetności, ale czerwony safian obicia, złote ćwieki i złota frędzla tak były podarte i zbiedzone, że krzesła te przypominały starych sierżantów gwardii cesarskiej. Pokój ten wyglądał jak muzeum zapełnione przedmiotami spotykanymi jedynie w takich nieokreślonych gospodarstwach, przedmiotami, które nazwać trudno, a właściwymi dla błyszczącej nędzy. Wśród licznych osobliwości Hipolit zauważył wspaniale ozdobioną lunetę, zawieszoną nad zielonawym lusterkiem, które przystrajało kominek. Dziwacznego umeblowania dopełniał kredens stojący między kominkiem i przepierzeniem, kredens brzydki, pociągnięty farbą imitującą mahoń, aczkolwiek spośród wszelkich gatunków drzewa mahoń jest właśnie najtrudniejszy do podrobienia. A jednak czerwona posadzka była wyfroterowana i śliska, przed każdym krzesłem leżał tandetny dywanik, a meble lśniły ową wypucowaną czystością, która użycza fałszywego blasku starociom, wydobywając tym bardziej ich kalectwo, wiek sędziwy i długie lata służby. Unosił się tu nieokreślony zapach, w którym łączyły się wyziewy graciarni z oparami pokoju jadalnego i schodów, choć okno było uchylone i wiatr uliczny poruszał perkalowymi firankami zasłaniającymi framugę, gdzie poprzedni lokatorzy upamiętnili swoją obecność wykonawszy przeróżne inkrustacje: rodzaj fresków domowych. Adelajda otworzyła szybko drzwi drugiego pokoju, dokąd nie bez pewnego zadowolenia wprowadziła naszego artystę. Hipolit, nawykłszy w dzieciństwie do podobnego ubóstwa u matki, dostrzegł jego oznaki tym bystrzej, odnosząc owo wrażenie charakterystyczne dla pierwszych doznań naszej pamięci, i przeniknął lepiej, niżby zdołał uczynić to ktokolwiek inny, szczegóły życia dwóch pań. Zacny młodzieniec, wkroczywszy jakby po raz wtóry w świat swojego dzieciństwa, nie wzgardził tą utajoną biedą ani też nie poczuł się dumny, że potrafił matkę swoją otoczyć przepychem.

– Spodziewam się, że już zapomniał pan o wypadku – rzekła stara dama podnosząc się ze starej berżery ustawionej przy kominku i wskazując fotel gościowi.

– Tak, łaskawa pani. Przyszedłem podziękować za pomoc, jakiej udzieliły mi panie. Osobliwie zaś jestem wdzięczny pannie Adelajdzie, gdyż ona to usłyszała, jak upadłem.

[115] Charles L e b r u n albo Le Bron (1619–1699) – wybitny malarz francuski, wykonał na zamówienie Ludwika XIV całą serię dzieł poświęconych czynom Aleksandra Macedońskiego.

Wypowiadając to zdanie nacechowane uroczą głupotą, jaka mąci umysł, gdy pojawia się pierwsza, prawdziwa miłość, Hipolit spoglądał na panienkę. Adelajda zapalała lampę, by sprzątnąć świeczkę osadzoną w potężnym lichtarzu z lanego mosiądzu ozdobionego wymyślnymi rowkami. Dygnęła lekko, wyniosła lichtarz do przedpokoju, a wróciwszy postawiła lampę na kominku i siadła obok matki, nieco za malarzem, aby obserwować go do woli, udając wielkie zainteresowanie lampą, której knot czarny i źle przycięty filował i pryskał, przesiąkłszy wilgocią od zapotniałego szkła. Hipolit, ujrzawszy wielkie lustro nad kominkiem, spoglądał w nie, by podziwiać Adelajdę. Lecz ów niewinny fortel dziewczęcia tym mocniej zakłopotał ich oboje. Rozmawiając z panią Leseigneur, przyglądał się salonowi, lecz dyskretnie, ukradkiem. Mrok zacierał egipskie kształty żelaznych kozłów kominka, gdzie dwa pogrzebacze daremnie starały się skrzyżować przed sztuczną glinianą głownią, z takim staraniem zagrzebaną w popiołach, jakby to był skarb skąpca. Kobierzec z Aubusson, stary, porządnie wycerowany i porządnie spłowiały, wytarty jak uniform inwalidy, nie zakrywał całej posadzki, toteż po nogach ciągnął od niej chłód. Ścianę zdobiła czerwonawa tapeta w żółty deseń, imitująca chiński jedwab. Pośrodku ściany – naprzeciw okien – malarz zauważył w tapecie szparę i pęknięcia: były tu źle zamaskowane kanapą sekretne drzwi od alkowy, gdzie sypiała zapewne pani Leseigneur. Naprzeciw kominka, nad komodą mahoniową, ozdobioną ornamentem wcale gustownym i bogatym, wisiał portret jakiegoś wojskowego wysokiej rangi, której Hipolit rozpoznać nie zdołał, światło bowiem było zbyt skąpe; z tego jednak, co dojrzał, wniósł, iż ów potworny kicz namalowano w Chinach. W oknach – czerwone jedwabne firanki, spłowiałe jak i żółtoczerwona tapiseria pokrywająca meble tego salonu, który miał dwojakie przeznaczenie. Na marmurowym blacie komody pyszniła się cenna taca z malachitu, a na niej ze dwanaście filiżanek do kawy, wspaniale malowanych i oczywiście sewrskich. Na kominku wieczysty zegar empirowy; przedstawiał on wojownika prowadzącego czterokonny rydwan o kole, na którego szprychach wyrzeźbiono godziny. Świece w lichtarzach pożółkły od dymu, obok nich, we framugach, dwa wazony z wiechciami sztucznych zakurzonych kwiatów, przystrojonych mchem. Pośrodku pokoju Hipolit zauważył stolik do gry, a na nim nowe karty. Obserwator dostrzegłby coś rozpaczliwego w tej nędzy uszminkowanej niby stara kobieta, która chciałaby oszukiwać gładkością lica. Oglądając to wszystko, każdy rozsądny człowiek postawiłby sobie w duchu następujący dylemat: albo te panie są uosobieniem uczciwości, albo żyją z intryg i prowadzą szulernię. Spojrzawszy jednak na Adelajdę, człowiek tak prosty jak Schinner musiał uwierzyć w najdoskonalszą niewinność, dysharmonię zaś w owym umeblowaniu przypisać życiu jak najpoczciwszemu.

– Zimno mi, moja córko – rzekła sędziwa dama – rozpal nam trochę w kominku i podaj mi szal.

Adelajda zniknęła na chwilę w sąsiednim pokoju, gdzie sypiała zapewne, i przyniosła matce szal kaszmirowy, który musiał mieć ongi wielką wartość, wzór bowiem był na nim indyjski; dziś jednak stary, znoszony, pocerowany w wielu miejscach, pasował do umeblowania. Pani Leseigneur spowiła się nim nader kunsztownie, z ową zręcznością starej damy, pragnącej, aby wierzono w prawdę jej słów. Panienka pobiegła lekkim krokiem do graciarni i wróciła niosąc mizerną wiązkę drzewa, którą rzuciła dzielnie w ogień, by go podsycić.

Nie byłoby łatwo przytoczyć rozmowę, jaka wywiązała się między trojgiem tych osób. Wiedziony taktem, jakiego zawsze uczy nas nieszczęśliwe dzieciństwo, Hipolit, widząc wokół siebie dowody źle skrywanego ubóstwa, nie pozwoliłby sobie nigdy na żadną uwagę dotyczącą stanu majątkowego sąsiadek. Najprostsze pytanie byłoby tu niedyskrecją i mógłby zadać je tylko stary przyjaciel. Niemniej malarz przejął się głęboko tą utajoną nędzą, cierpiała nad nią jego szlachetna dusza; świadom jednak, iż każdy objaw litości, choćby najbardziej przyjaznej, uraziłby obie panie, czuł się nieswój, myśl jego bowiem nie godziła się ze słowami. Gospodynie mówiły najpierw o malarstwie, gdyż kobiety odgadują niezawodnie sekretne zakłopotanie, o jakie przyprawia nas pierwsza wizyta; może same są wtedy zaambarasowane i

usiłują stan ów rozproszyć, ku czemu właśnie natura ich umysłu dostarcza im tysiąca sposobów. Rozpytując młodzieńca o procedery techniczne jego sztuki, Adelajda i jej matka tak potrafiły go ośmielić, że się w końcu rozgadał. Nieuchwytne odcienie rozmowy, ożywione życzliwością, przywiodły w naturalny sposób Hipolita do wynurzeń, w których odbiła się jego dusza i obyczaje. Troski zniszczyły przedwcześnie twarz sędziwej damy, na pewno niegdyś piękną; ale dziś pozostały już tylko wydatne rysy, kontury, słowem szkielet fizjonomii, skąd przebijała jednak wielka subtelność: w spojrzeniu wymownym i wdzięcznym odnajdowałeś wyraz, którego nie odda niczyje pióro, wyraz cechujący panie bywałe u dawnego dworu. Te rysy tak delikatne i ostre mogły tak samo świadczyć o złym charakterze, nasuwać na myśl chytrość i przebiegłość kobiecą posunięte do wysokiego stopnia perfidii, jak znamionować delikatną i piękną duszę. Istotnie, twarz kobieca przyprawia zawsze wulgarnego obserwatora o zakłopotanie: niesposób rozeznać się tu między dwulicowością i otwartością, geniuszem serca i geniuszem intrygi. Człowiek obdarzony wzrokiem przenikliwym rozróżnia nieuchwytne odcienie, jakie wynikają z linii mniej lub więcej wygiętej, z dołeczków głębszych albo płytszych, z wypukłości krągłych albo kanciatych. Ocena tych znamion należy całkowicie do dziedziny intuicji, gdyż intuicja jedynie potrafi wykryć to, co każdy we własnym interesie usiłuje zataić. Z twarzą starej damy było podobnie jak z jej apartamentem: nie dociekłbyś na pozór, czy ta bieda maskuje występek, czy też wyjątkową cnotę i czy matka Adelajdy jest dawną zalotnicą, nawykłą, by wszystko ważyć i do wszystkiego odnosić się z wyrachowaniem, czy też kobietą kochającą, nadzwyczaj szlachetną i pełną uroczych zalet. Ale młodzieniec w wieku Schinnera wydaje zawsze zrazu sąd dodatni, powodując się pierwszym odruchem serca. Toteż spoglądając na szlachetne i niemal pyszne czoło Adelajdy, wpatrując się w jej oczy wymowne i rozumne, wdychał – by tak rzec – słodką i skromną woń cnoty. Rozmawiając wykorzystał moment, by wspomnieć o portretach w ogólności, dzięki czemu mógł przyjrzeć się szkaradnemu pastelowi, który wyblakł i wykruszył się już prawie całkiem.

– Cenią panie ten obraz chyba **ze** względu na podobieństwo z modelem, gdyż rysunek tu może się przyśnić – powiedział spoglądając na Adelajdę.

– Wykonano go w Kalkucie, z wielkim pośpiechem – odrzekła matka ze wzruszeniem w głosie.

I jęła się wpatrywać w niefortunny szkic z ową głęboką zadumą, jaką wywołują wspomnienia o szczęściu, gdy zbudziwszy się opadają dobroczynną rosą na serce i odświeżają wrażenia, do których lubimy powracać na długo; ale na twarzy starej damy pojawił się również i ślad wieczystej żałoby. Malarz pragnąc zrozumieć wyraz twarzy i zachowanie sąsiadki, usiadł koło niej.

– Łaskawa pani – powiedział – kolory tego pastelu znikną niebawem. Portret będzie już istniał tylko w pani pamięci. Tam, gdzie pani będziesz widziała drogą sobie twarz, kto inny nic nie zobaczy. Czy zgodzisz się pani, abym przeniósł ten wizerunek na płótno? Będzie on tam solidniej utrwalony niż na papierze. Ze względu na stosunki sąsiedzkie niechże pani pozwoli, bym wyświadczył jej tę przysługę. Bywają godziny, kiedy artysta pragnie odetchnąć od wielkich kompozycji, wykonując łatwiejszą pracę; skopiowanie tej głowy będzie więc dla mnie rozrywką.

Stara dama zadrżała na te słowa, Adelajda obrzuciła malarza wzrokiem pełnym skupienia, który wyraża czasami całą duszę. Hipolit pragnął zadzierzgnąć z sąsiadkami więź bliższej znajomości, chciał zyskać prawo uczestniczenia w ich życiu. Tę tylko mógł wysunąć propozycję, która zresztą trafiła w najczulszy punkt serca obu pań: była w niej duma artysty, nie obrażała ich w niczym. Pani Leseigneur przyjęła więc ofertę nie kwapiąc się zbytnio, lecz i nie ociągając, czyli jak osoba wielkoduszna i świadoma, że zaciąga tym sposobem znaczny oblig i że przydaje mu wspaniałej wartości, składając malarzowi dowód estymy.

– Zdaje mi się – powiedział Schinner – że to uniform oficera marynarki...

– Tak – potwierdziła dama – to mundur kapitana okrętu. Pan de Rouville, mój mąż, zmarł w Batawii od rany, którą otrzymał w boju z okrętem angielskim, napotkanym u wybrzeży azjatyckich. Dowodził fregatą o pięćdziesięciu sześciu działach, a „Revenge" miał ich o czterdzieści więcej. Walka była bardzo nierówna; ale broniąc się dzielnie, wytrzymał do wieczora i zdołał się wymknąć. Kiedy wróciłam do Francji, Bonaparte nie był jeszcze u władzy i odmówiono mi emerytury. Kiedym ostatnio znów o nią prosiła, pan minister odpowiedział mi twardo, że nie utraciłabym męża, gdyby znalazł się na emigracji, i że dziś byłby na pewno kontradmirałem; na koniec. Jego Ekscelencja powołał się, by mnie zbyć, na jakieś tam prawo o utracie przywilejów. Uczyniłam ten krok li tylko pod presją przyjaciół i dla mojej biednej Adelki. Zawsze brzydziłam się wyciąganiem ręki w imię boleści, która odejmuje kobiecie głos i siły. Nie lubię tego przeliczania na pieniądze krwi, na którą nie masz ceny...

– Mamo, przecież ten temat zawsze sprawia ci przykrość.

– Kiedy Adelajda to wyrzekła, baronowa Leseigneur de Rouville zamilkła spuściwszy głowę.

– Zawsze sądziłam, proszę pana – rzekła Adelajda do Schinnera – że praca malarza nie wymaga na ogół tyle hałasu!

Schinner zaczerwienił się przypomniawszy sobie, ile ostatnio robił łoskotu. Adelajda nie rozwinęła jednak owego tematu, dzięki czemu malarz nie potrzebował zmyślać jakiegoś kłamstwa, zerwała się bowiem, usłyszawszy turkot pojazdu, który zatrzymał się przed bramą. Zniknęła w swoim pokoju i wniosła zaraz dwa złocone świeczniki z nadpalonymi już świecami. Zapaliła je spiesznie i nie czekając na dzwonek otworzyła drzwi od pierwszego pokoju, gdzie zostawiła lampę. Odgłos dwu wymienionych pocałunków dźgnął Hipolita w samo serce. Nieprędko jednak zniecierpliwiony młodzieniec dowiedział się, kogo Adelajda witała tak poufale, gdyż nowoprzybyli jęli przeprowadzać z nią półgłosem rozmowę, która wydała mu się bardzo długa. Na koniec weszła panna de Rouville, a za nią dwóch jegomościów, których ubiór i fizjonomia stanowią osobny rozdział. Pierwszy z nich, liczący około lat sześćdziesięciu, miał na sobie frak, jaki, o ile wiem, wynaleziono specjalnie dla Ludwika XVIII, który akurat panował. Krawiec, który rozwiązał był ten arcytrudny problem kostiumowy, zasłużył sobie na nieśmiertelność. Ów artysta znał z pewnością sztukę pośrednich odcieni, która była geniuszem owych czasów, tak politycznie zmiennych. Czy nie posiada rzadkiego talentu ten, kto umie oszacować swoją epokę? Rzeczony frak – dzisiejsza młodzież może włożyć go między bajki – nie był ani cywilny, ani wojskowy, mógł zaś uchodzić na przemian to za cywilny, to za wojskowy. Haftowane lilie zdobiły podszewkę ogona rozdzielonego i podpiętego. Na złotych guzach też widniały lilie. Na ramionach dwie puste pateczki domagały się bezużytecznych epoletów. Te dwa szczegóły munduru oficerskiego były niczym petycja bez wniosku o załatwienie. Frak był sukienny, granatowy, butonierkę dekorowały liczne wstążeczki orderów. Noszący go starzec trzymał w ręce trójgraniasty kapelusz ze złotą pętlicą i snadź nigdy nie nakrywał nim głowy, śnieżne bowiem pudrowane pukle na skroniach nie nosiły kolistego śladu. Nie wyglądał na lat więcej niż pięćdziesiąt i zdawał się tryskać zdrowiem. Fizjonomia jego, przejawiając prawy i szczery charakter emigranta, znamionowała również obyczaje libertyńskie i swawolne, namiętne upodobanie do uciech i niefrasobliwość owych muszkieterów, tak ongi sławionych w kronikach miłostek. Ruchy jego, wzięcie i maniery świadczyły, że nie zechciał się wyrzec ani rojalizmu, ani religii, ani kobiet.

Za tym błyskotliwym „woltyżerem Ludwika XVI" – tak bonapartyści przezywali owych szlachetnych niedobitków monarchii – kroczyła postać iście fantastyczna; dając jednak dokładny jej wizerunek wprowadzilibyśmy ją na pierwszy plan naszego obrazu, a jest ona tu jedynie statystą. Wyobraźcie sobie osobistość chudą i tykowatą, w takimże fraku, a stanowiącą, by tak rzec, tylko odbicie lub cień osobistości pierwszej. Frak, nowy u pierwszego, był u drugiego stary i spłowiały. U drugiego puder we włosach wydawał się mniej biały, złoto lilii mniej błyszczące, pateczki od epoletów bardziej beznadziejne i bardziej skurczone; inteligen-

cja była tu słabsza, życie bliższe fatalnego kresu. Patrząc nań wspominałeś słowa Rivarola o margrabim de Champcene[116]: „To moja poświata!" Był tylko sobowtórem pierwszego, sobowtórem ubogim i bladym; istniała między nimi takaż różnica, jak między pierwszą i ostatnią odbitką litografii. Ów niemy starzec był dla malarza tajemnicą i miał nią pozostać na zawsze. Kawaler – gdyż był kawalerem – nie odzywał się w ogóle i nikt nie odzywał się do niego. Czy był przyjacielem lub ubogim krewnym, czy też dotrzymywał staremu galantowi kompanii, jak panna do towarzystwa nie odstępuje starej damy? Czy był czymś pośrednim między psem, papugą i przyjacielem? Czy ocalił swojemu dobroczyńcy majątek, czy też tylko życie? Czy był Trimem drugiego kapitana Tobiasza?[117] U baronowej de Rouville – jak i gdzie indziej – budził zawsze ciekawość, nie zaspokajając jej nigdy. Bo i któż mógł za Restauracji pamiętać więź miłosną, jaka przed rewolucją łączyła kawalera z żoną jego przyjaciela, zmarłą przed dwudziestu laty?

Raźniejszy z dwóch niedobitków podążył posuwistym krokiem do baronowej de Rouville, pocałował ją w rękę i usiadł obok. Drugi skłoniwszy się zajął miejsce o dwa krzesła dalej od swojego pierwowzoru. Adelajda wspierając się łokciami o poręcz fotela, na którym ulokował się stary szlachcic, przybrała bezwiednie pozę, jaką Guérin[118] nadał na swoim sławnym obrazie siostrze Dydony. Aczkolwiek szlachcic traktował Adelajdę z ojcowska, poufałości te zdawały się chwilowo ją drażnić.

– Cóż to, dąsasz się na mnie? – zagadnął. Po czym obrzucił Schinnera spojrzeniem kosym, chytrym i szczwanym, spojrzeniem dyplomatycznym, które zdradziło rozważny niepokój i uprzejmą ciekawość, właściwą ludziom dobrze wychowanym, zastanawiającym się na widok człowieka nieznajomego: „Czy to ktoś z naszej sfery?"

– Nasz sąsiad – ozwała się stara dama wskazując Hipolita – znakomity malarz, którego nazwisko powinieneś pan znać, choć nie troskasz się o sztuki piękne.

Szlachcic pojął, dlaczego jego stara przyjaciółka pominęła złośliwie nazwisko gościa. Skłonił się więc młodzieńcowi.

– Oczywiście – rzekł – słyszałem wiele o tych obrazach oglądając ostatni salon. Talent ma piękne przywileje, mój panie – dodał popatrując na czerwoną wstążeczkę artysty. – Myśmy zdobyli ten order za cenę krwi i długotrwałej służby, a pan otrzymałeś go za młodu; ale sława sławie równa – zakończył dotykając obiema rękami orderu Ludwika Świętego.

Hipolit wybełkotał kilka słów podziękowania i znów zamilkł – wystarczało mu zachwycać się z rosnącym entuzjazmem piękną główką Adelajdy: urzekła go ta dziewczyna. Pogrążywszy się w kontemplacji, zapomniał zupełnie o głębokiej nędzy tego mieszkania. Twarz Adelajdy była dlań otoczona świetlistą aureolą. Odpowiadał lakonicznie na pytania, które mu zadawano, a słyszał je szczęściem dzięki owej szczególnej umiejętności, z jaką nasza dusza potrafi niekiedy rozdwoić się w pewnym sensie. Komuż z nas nie zdarzyło się, że zatopiony w medytacji rozkosznej lub smętnej wsłuchiwał się w swój głos wewnętrzny, biorąc jednocześnie udział w rozmowie albo czytając? Przemiłe rozdwojenie, które pozwala nam ścierpieć towarzystwo nudziarzy! Nadzieja płodna i wesoła przepełniała go myślą o szczęściu, nie chciał już nic obserwować wokół siebie. Był chłopcem pełnym ufności, analizować rozkosz uznał za rzecz niegodną. Po pewnym czasie spostrzegł, że Adelajda i jej matka grają w karty ze starym szlachcicem. Satelita, wierny swojej kondycji cienia, stał za przyjacielem i, za-

[116] Kawaler de C h a m p c e n e t z (1760–1794) – znany z dowcipu piosenkarz i pamflecista przekonań skrajnie rojalistycznych, zgilotynowany w r. 1794, rywalizował z Rivarolem na cięte słówka, drobne utwory satyryczne itd.

[117] Kapral Trim i kapitan T o b i a s z – postaci z powieści „Życie i poglądy Tristrama Shandy" Laurenca Sterne'a (1713 - 1768); są to dawni towarzysze broni, nierozłączni również po przejściu na emeryturę.

[118] Pierre-Narcisse G u é r i n (1774–1833) – malował obrazy o tematach przeważnie antycznych i biblijnych; ogromnie ceniony przez współczesnych, miał w Paryżu pracownię, z której wyszło kilku głośnych malarzy szkoły romantycznej, jak Géricault i Scheffer.

prządnięty jego kartami, odpowiadał na nieme pytania, jakie zadawał mu gracz, robiąc lekkie i potakujące grymasy, które były wiernym odbiciem zmiennego wyrazu fizjonomii pierwszej.

– Słuchaj no, du Halga, znowu przegrywam – powiadał stary szlachcic.

– Bo pan źle wychodzi – odpowiadała baronowa de Rouville.

– Już od trzech miesięcy nie wygrałem ani jednej partyjki – żalił się szlachcic.

– A ma pan hrabia asy? – pytała stara dama.

– Tak. Nawet jeden markowany...

– A może ja bym coś panu doradziła? – zagadnęła Adelajda.

– O nie, nie! Siedź tam naprzeciw, jak siedziałaś. Do stu piorunów! Przegrałbym zbyt wiele, gdybym cię nie widział.

Partyjka skończyła się wreszcie. Szlachcic wydobył sakiewkę i rzucił na stół dwa ludwiki, zżymając się z lekka:

– Czterdzieści franków złotem, jak obszył! I do diaska, już jedenasta!

– Już jedenasta – powtórzył milkliwy jegomość popatrując na malarza.

Usłyszawszy te słowa wyraźniej niż inne, młodzieniec pomyślał, że czas odejść. Wróciwszy w świat myśli pospolitych, znalazł kilka banałów – i zdołał przemówić; skłonił się baronowej, Adelajdzie, dwom obcym panom i wyszedł oszołomiony szczęściem pierwszej prawdziwej miłości, nie starając się rozbierać drobnych wypadków opisanego wieczoru.

Nazajutrz ogarnęło go gwałtowne pragnienie, by znów ujrzeć Adelajdę. Gdyby dał się powodować uczuciu, zaszedłby do sąsiadek już o szóstej rano, zmierzając do pracowni. Nie straciwszy jednak całkiem rozsądku, odczekał do popołudnia. Na samą myśl, że wolno mu już zjawić się u pani de Rouville, zszedł, zadzwonił, a serce biło mu jak młotem; zaczerwieniwszy się jak panienka, spytał nieśmiało Adelajdę, która mu otworzyła, o portret pana barona de Rouville.

– Ale niechże pan wstąpi – odrzekła panienka, która słyszała na pewno, jak wychodził z pracowni.

Malarz podążył za nią zawstydzony, zbity z tropu, zapomniawszy języka w gębie: oszołomiło go tyle szczęścia. Patrzeć na Adelajdę, wsłuchiwać się w szelest jej sukni, być z nią! Myślał o niej przecież cały ranek, zrywał się ze sto razy, powiadając sobie: „Schodzę!" – i nie schodził. Przeżycie to było dlań tak bogate, że gdyby się miało stale powtarzać, strawiłoby mu duszę. Serce posiada szczególną władzę przydawania błahostkom osobliwej wagi. Jakże raduje się podróżny zerwawszy źdźbło trawy, liść nieznany, których szukał z narażeniem życia! Takie są już ulotne momenty miłości. Starej damy nie było w salonie. Panienka, znalazłszy się więc sam na sam z malarzem, przyniosła krzesło, aby zdjąć portret; spostrzegłszy jednak, że nie zdoła zdjąć go z haka, jeśli nie wejdzie na komodę, obejrzała się, zarumieniła i rzekła do Hipolita: Jestem za niska. Czy nie byłby pan łaskaw?...

Zawstydzenie przebijające z wyrazu twarzy i tonu, jakim zabrzmiał głos dziewczęcia, było istotną przyczyną tej prośby, a młodzieniec, tak to zrozumiawszy, rzucił jej jedno z owych bystrych spojrzeń będących najsłodszym językiem miłości. Widząc, że malarz ją przeniknął, Adelajda spuściła oczy, powodowana dumą, jaką spotykamy tylko u dziewic. Schinnerowi jakby mowę odjęło. Onieśmielony prawie, zdjął obraz, przyjrzał mu się z powagą, zaniósłszy go pod okno, i wyszedł mówiąc tylko: „Wkrótce oddam go paniom". Oboje w tym przelotnym momencie odczuli dojmujący wstrząs, który podobnie oddziałuje na duszę jak kamień rzucony w jezioro. Rodzą się i następują po sobie najmilsze refleksje, niemożliwe do określenia i nie mające określonego celu, refleksje, co pomnażając się wciąż, wywołują drżenie serca, jak zmarszczki koliste fałdują długo powierzchnię wód, wychodząc z miejsca, gdzie padł kamień. Hipolit wrócił do pracowni zbrojny w ów portret. Na sztalugach czekało już płótno, na palecie – farby; pędzle były już oczyszczone, wybrane miejsce i światło. Jakoż do obiadu malował ów portret z zapałem, jaki artyści wkładają w swoje zachcenia. Wieczorem złożył wizytę baronowej de Rouville i zabawił u niej od dziewiątej do jedenastej. Wieczór ten przy-

pominał dokładnie poprzedni, gawędzono jedynie na inne tematy. Dwaj starcy zjawili się o tej samej godzinie, rozegrano taką samą partyjkę pikiety, gracze rzucali takie same słowa, przyjaciel Adelajdy przegrał sumę tak znaczną jak w przeddzień; i tylko Hipolit, ośmieliwszy się trochę, gwarzył z panienką.

Minął tak tydzień, podczas którego afekt malarza i Adelajdy podlegał rozkosznym i powolnym przemianom, wiodącym dwie dusze do całkowitego porozumienia. Tak więc Adelajda witała co dzień przyjaciela spojrzeniem poufalszym, ufniejszym, weselszym i szczerszym; głos jej i zachowanie stawały się jakby bardziej solenne i swobodniejsze zarazem. Schinner zapragnął nauczyć się gry w pikietę. Nie obznajmiony w ogóle z kartami, raz za razem brał cięgi – jak ów starzec przegrywał oczywiście każdą partyjkę. Nie wyznawszy sobie jeszcze wzajem miłości, nasi zakochani wiedzieli już, iż należą do siebie. Oboje żartowali, gawędzili i wymieniali myśli, mówiąc o sobie z naiwnością dwojga dzieci, które w jeden dzień zawarły znajomość tak serdeczną, jakby trwała od trzech lat. Hipolitowi pochlebiała mile władza, jaką zyskał nad swoją nieśmiałą przyjaciółką. Lękliwa i oddana już Adelajda czyniła na jego rzecz wiele ustępstw, biorąc się na rzekome dąsy, jakie najmniej doświadczony kochanek i najniewinniejsza dziewczyna wynajdować umieją, bez przerwy ciągnąc z nich profit, jak rozpieszczone dzieci nadużywają władzy, którą darzy je miłość matki. Toteż wygasła szybko poufałość między Adelajdą i sędziwym hrabią. Dziewczyna pojęła bowiem zasmucenie malarza, troskę, jaka jawiła się na jego zmarszczonym czole i przebijała z lakonicznych słów, gdy hrabia obcałowywał bezceremonialnie jej ręce i szyję. Lecz i ze swojej strony panna Leseigneur poczęła żądać niebawem, by Hipolit zdawał jej ścisły rachunek z każdego kroku: była tak nieszczęśliwa i zaniepokojona, gdy nie nadchodził, tak umiała go zbeształ, jeśli którego dnia nie zjawił się w ogóle, że malarz musiał zrezygnować ze spotkań z przyjaciółmi i bywania w świecie. Adelajda nie zataiła zazdrości, naturalnej u kobiet, dowiedziawszy się, że czasami, wyszedłszy o jedenastej od pani de Rouville, malarz składał jeszcze wizyty wstępując do najświetniejszych salonów Paryża. Według niej, taki tryb życia był niezdrowy; następnie z głębokim przekonaniem, które tak potęguje ton głosu, spojrzenie i gestykulacja zakochanej osoby, utrzymywała, że „skoro mężczyzna musi poświęcać swój czas kilku kobietom i nadskakiwać im jednocześnie, nie jest godzien gorętszego afektu". Ulegając tedy zarówno despotyzmowi uczucia, jak żądaniom zakochanej panienki, Hipolit przesiadywał już tylko w owym ciasnym mieszkaniu, gdzie wszystko mu się zresztą podobało. Tak czy inaczej, była to najczystsza i najbardziej płomienna miłość, jaką sobie można wyobrazić. Z obu stron jednakowe zaufanie i jednakowa subtelność uczuć zrodziły ów afekt, nie odwołując się do poświęceń, jakimi młodzi ludzie starają się tak często wspierać dowody swojej miłości. Adelajda i Hipolit wymieniali wciąż dowody uczucia tak słodkie, że żadne z nich nie wiedziało, czyj wkład jest większy. Przemożna skłonność coraz bardziej zacieśniała ową komunię dusz. Postępy tego uczucia były tak szybkie, że w dwa miesiące po wypadku, dzięki któremu malarz miał szczęście poznać Adelajdę, żyli już jednym życiem. Od rana panienka łowiła uchem krok malarza, by móc sobie powiedzieć: „Już przyszedł!" Kiedy w porze obiadowej wracał do matki, nigdy nie zapomniał wstąpić do sąsiadek, a wieczorem przybiegał o zwykłej godzinie z akuratnością zakochanego. Toteż kobieta najbardziej tyranizująca i najbardziej ambitna w miłości nie mogłaby nic zarzucić Hipolitowi. Adelajda zaznawała więc niczym nie zakłóconego i bezgranicznego szczęścia, widząc, jak całkowicie urzeczywistnia się ideał, o którym, rzecz jasna, marzy każda dziewczyna w jej wieku. Stary szlachcic zjawiał się teraz rzadziej i obecnie zazdrosny Hipolit zastępował go wieczorami przy zielonym stoliku, stale przegrywając. A jednak pośród tego szczęścia, kiedy pewnego razu zastanawiał się nad fatalną sytuacją majątkową pani de Rouville, zdobywszy już niejeden dowód jej ubóstwa, chwyciła go nieznośna myśl: „Jak to! Dwadzieścia franków co wieczór?" – bo i zresztą powiadał tak sobie czasem już wcześniej, wracając do domu. I nie ośmielał przyznać się samemu sobie do szkaradnych podejrzeń. Dwa miesiące malował portret, a kiedy go wykończył, pociągnął werniksem i

oprawił, uznał w nim jedno ze swoich najlepszych dzieł. Pani de Rouville nie napomykała nigdy o wizerunku. Byłaż to niefrasobliwość czy duma? Malarz wolał nie tłumaczyć sobie tego milczenia. Uknuł z Adelajdą wesoły spisek, że powiesi portret na miejscu pod nieobecność pani de Rouville. Jednego więc dnia, kiedy baronowa zażywała zwykłej przechadzki w ogrodzie Tuileriów, Adelajda weszła po raz pierwszy sama do pracowni Hipolita pod pozorem, aby obejrzeć obraz w korzystnym świetle, przy którym został namalowany. Zaniemówiła i znieruchomiała wpatrując się w portret, rozkoszna zaś ta kontemplacja zespoliła w jedno całą gamę uczuć kobiecych. Czyż nie streszczają się one w podziwie dla ukochanego mężczyzny? Kiedy malarz, zaniepokojony milczeniem, nachylił się, by zajrzeć w oczy dziewczynie, podała mu rękę, nie mogąc wyrzec ani słowa, ale dwie łzy stoczyły się po jej policzkach; Hipolit ujął tę rękę, okrył pocałunkami i przez dłuższą chwilę spoglądali po sobie w milczeniu, żadne bowiem nie miało odwagi wyznać miłości. Malarz tulił w dłoniach dłoń Adelajdy, podobne ciepło i podobne drżenie uwiadomiły oboje, że serca ich biją dla siebie z jednaką siłą. Panienka, nazbyt poruszona, odsunęła się łagodnie od Hipolita i powiedziała przesyłając mu spojrzenie pełne naiwności:

– Sprawi pan mamie wielką radość.

– Jak to! Tylko mamie? – obruszył się malarz.

– Och! Bo ja już jestem zbyt szczęśliwa.

Malarz spuścił głowę i milczał przerażony gwałtownością uczuć, jakie samo brzmienie tych słów obudziło w jego sercu. Pojąwszy wtedy niebezpieczeństwo sytuacji, zeszli i zawiesili portret na miejscu. Hipolit został po raz pierwszy na obiedzie u baronowej, która płacząc z rozczulenia miała ochotę go uściskać. Wieczorem stary emigrant – dawny towarzysz barona de Rouville, złożył przyjaciółkom wizytę, aby oznajmić, że mianowano go właśnie kontradmirałem. Nawigację lądową przez Niemcy i Rosję zaliczono mu jako bitwy morskie. Ujrzawszy portret uścisnął kordialnie dłoń malarza, wołając:

– Na honor! Choć moje stare cielsko niewarte konterfektu, dałbym chętnie pięćset pistolów za podobiznę tak trafną, jak odmalowałeś pan starego Rouville'a.

Kiedy padła ta propozycja, baronowa spojrzała na przyjaciela i uśmiechnęła się w przypływie nagłej wdzięczności. Hipolit wniósł, że stary admirał zamawiając swój portret chce tym sposobem zapłacić mu za dwa obrazy. Dotknięty mocno w dumie artysty, jak również może powodowany zazdrością, odrzekł:

– Gdybym, proszę pana, był portrecistą, nie namalowałbym tego portretu.

Admirał przygryzł wargi i usiadł do gry. Malarz nie odstępował Adelajdy, która zaproponowała mu pikietę z sześcioma królami; przyjął. Grając postrzegł u pani de Rouville namiętność do kart; zaskoczyło go to. Nigdy jeszcze stara baronowa nie pragnęła tak łapczywie wygranej, nigdy nie okazała takiej radości dotykając złotych monet szlachcica. Tego wieczoru przykre podejrzenia zamąciły szczęście Hipolita, przejmując go nieufnością. Czyżby więc pani de Rouville utrzymywała się z gry? Czy nie grała w tym momencie, aby spłacić jakiś dług albo w ogóle potrzebując na gwałt pieniędzy? Może nie zapłaciła komornego. Ten staruch nie wyglądał na poczciwinę, który pozwoliłby bezkarnie obierać się z pieniędzy. Jakim powodowany interesem, on, bogacz, bywał w tym domu? Czemu przedtem taki z Adelajdą familiarny, zrezygnował nagle z poufałości należnych, a może kupionych? Mimowolne te refleksje tak nań wpłynęły, że jął obserwować ze wzmożoną uwagą starca i baronową: nie spodobały mu się ich spojrzenia – to porozumiewawcze, jakie wymieniali między sobą, to znów kose, które rzucali na niego i na Adelajdę. „Czyżby mnie oszukiwano?" – taka myśl nawiedziła w końcu Hipolita; myśl okropna i hańbiąca, a uwierzył w nią akurat na tyle, by cierpieć jak na torturach. Zapragnął pozostać jeszcze po odejściu obu starców, aby rozprószyć podejrzenia albo się w nich utwierdzić. Dobył sakiewki, aby zapłacić Adelajdzie; ale oszołomiony dręczącą myślą, położył sakiewkę na stole i zapadł w krótkotrwałą zadumę; po czym, zawstydziwszy się swojego milczenia, wstał, odpowiedział na jakieś banalne pytanie, które

zadała mu pani de Rouville, i podszedł do niej, aby prowadząc gawędę wybadać dokładniej tę starczą twarz. Wyszedł miotany tysiącem niepewności. Po chwili zawrócił ze schodów, aby zabrać zapomnianą sakiewkę.

– Zostawiłem u pań sakiewkę – rzekł do panienki.

– Nie – odparła rumieniąc się.

– Zdawało mi się, że tam leżała – powiedział wskazując stolik do gry. Wstydząc się za Adelajdę i za baronową, że sakiewki tam nie było, spojrzał na nie z tak głupią miną, iż wybuchnęły śmiechem; wtedy zbladł i rzekł jeszcze, dotykając kamizelki: – Pomyliłem się, mam ją na pewno przy sobie.

W jednej przegródce sakiewki było piętnaście ludwików, a w drugiej trochę drobnych. Kradzież była tak oczywista, zapierano jej się tak bezczelnie, iż Hipolit przestał się łudzić co do moralności swoich sąsiadek; przystanął na schodach, po czym zszedł z trudem: nogi mu drżały, kręciło mu się w głowie, pocił się i trząsł, nie był w stanie postąpić kroku, tak okrutny cios mu zadały obrócone wniwecz nadzieje. Od tej chwili jął wyławiać z pamięci liczne spostrzeżenia, na pozór nieważkie, które jednak umacniały go w okropnych podejrzeniach, dowodząc zaś oczywistości ostatniego faktu, otwarły mu oczy na charakter i rodzaj życia obu pań. Czyżby czekały, aż odda portret, by ukraść mu sakiewkę? Kradzież z premedytacją wydawała się tym obrzydliwsza. Na domiar nieszczęścia przypomniał sobie, że od kilku wieczorów Adelajda, udając, że z dziewczęcą ciekawością przygląda się jedwabnej i wytartej siateczce, z jakiej była zrobiona sakiewka, badała zapewne jej zawartość i, żartując na pozór niewinnie, czyhała z pewnością na moment, w którym sumka okaże się dość okrągła, by ją skraść. „Stary admirał ma bez wątpienia wyborne racje, by nie żenić się z Adelajdą, a w takim razie baronowa próbowała mnie...” – Ograniczył się jednak do tego przypuszczenia, nie kończąc myśli, zniweczyła ją bowiem taka oto nader słuszna refleksja: „Gdyby baronowa spodziewała się ożenić mnie z Adelajdą, nie okradłyby mnie przecież”. Następnie usiłował, aby nie tracić iluzyj i nie wyrzekać się miłości tak już głęboko zakorzenionej, szukać jakiegoś wytłumaczenia w przypadku. „Sakiewka spadła na ziemię – powiedział sobie – i leży pod moim fotelem. A może mam ją przy sobie, jestem taki dystrakt!” – I nerwowo przeszukał kieszenie, ale przeklętej sakiewki nie znalazł. Widział wyraźnie swoją sakiewkę na suknie stolika; okrutna pamięć rysowała przed nim co moment fatalną prawdę – i nie wątpiąc już o kradzieży, usprawiedliwiał Adelajdę, pomyślawszy, że nie wolno tak pochopnie sądzić ubogich. Była z pewnością jakaś tajemnica w tym czynie tak na pozór upodlającym. Nie dopuszczał myśli, aby dziewczyna tak szlachetna i dumna mogła kłamać. A jednak to nędzne mieszkanko wydało mu się teraz ogołoconym z poetycznych uroków miłości, która wszystkiemu przydaje piękna: pokoiki te brudne i nieświeże stały się w jego mniemaniu odbiciem życia wewnętrznego, nacechowanego meskinerią, próżniactwem i występkiem. Czyż otaczające nas przedmioty nie odzwierciedlają, by tak rzec, naszej duszy? Nocą nie zmrużył oka. Boleść serca, ta poważna choroba duchowa, poczyniła w nim olbrzymie postępy. Utracić wyśnione szczęście, wyrzec się całej przyszłości – to cierpienia ostrzejsze niż rozpacz wywołana ruiną szczęśliwości już zaznanej i choćby najpełniejszej: czyż nadzieja nie jest lepsza od wspomnień? Medytacje, w jakie zapada raptem nasza dusza, są wtedy jak bezkresne morze, po którym zdołamy pływać chwilę, ale gdzie nasza miłość tonie i przepada. I straszna to śmierć. Czyż uczucia nie stanowią najświetniejszej części naszego życia? Z owej to śmierci częściowej pochodzą w pewnych organizmach zarówno delikatnych, jak i odpornych straszliwe spustoszenia: owoc rozczarowań, zawiedzionych nadziei, złamanych uczuć. To właśnie przeżywał młody malarz. Wyszedł wczesnym rankiem i, pochłonięty swoimi myślami, zapomniawszy o wszystkim, przechadzał się w chłodnym cieniu drzew Tuileriów. Spotkał tu przypadkiem jednego z najserdeczniejszych przyjaciół, kolegę szkolnego i kolegę w profesji, bliższego mu niż rodzony brat.

– No i cóż ci to, Hipolitku? – zapytał Franciszek Souchet, młody rzeźbiarz, który otrzymawszy akurat pierwszą nagrodę wybierał się do Włoch.

– Jestem bardzo nieszczęśliwy – odrzekł poważnie Schinner.

– Tylko sprawa sercowa mogłaby cię smucić. Masz pieniądze, sławę, ludzki szacunek, niczego ci nie brak.

Rozpoczęły się niepostrzeżenie zwierzenia i malarz przyznał się do swojej miłości. A gdy wspomniał o ulicy Suresne i o młodej osobie z czwartego piętra:

– Wolnego! – zaśmiał się Souchet. – Widuję co dzień tę panieneczkę w kościele Wniebowstąpienia i puszczam do niej oko. Ależ, mój drogi, któż jej nie zna? Jej matka to baronowa! Wierzysz ty w baronowe z czwartaka? Brr! Chybaś w takim razie spadł z księżyca. Widujemy starą matkę co dzień w tej alei; ależ jej twarz i ruchy mówią za siebie. Jak to! Nie odgadłeś, kto to zacz, widząc; jak piastuje torebkę?

Dwaj przyjaciele spacerowali długo, dołączyło się do nich kilku znajomych rówieśników. Souchet, osądziwszy przygodę Schinnera jako rzecz błahą, opowiedział o niej.

– I on także – zawołał – widział tę smarkatą!

Posypały się uwagi i żarty, niewinne zresztą, przepojone wesołością właściwą artystycznej braci, coraz rozlegał się śmiech, ale Schinner cierpiał okrutnie z tej racji. Czuł się nieswojo, wrodzona bowiem wstydliwość duszy buntowała się, że sekret jego serca tak zlekceważono, uczucie jego poszarpano w strzępy, nieznajomą zaś dziewczynę, której życie wydawało się tak skromne, osądzono niefrasobliwie – mniejsza z tym, słusznie czy niesłusznie. Udając, że powoduje nim duch przekory, zażądał serio dowodów i wtedy posypały się nowe żarty.

– A czyś ty się przyjrzał, kochaneczku, szalowi baronowej? – zagadnął Souchet.

– A polazłeś ty kiedy za tą smarkulą, kiedy drepcze rankiem do Wniebowstąpienia? – spytał Józef Bridau, młody malarz z pracowni Grosa[119].

– A mamuńcia wśród innych zalet ma popielatą suknię, którą uważam za typową – powiedział karykaturzysta Bixiou.

– Posłuchaj, Hipolitku – rzekł znowu rzeźbiarz – przyjdź tu około czwartej i zanalizuj krzynę chód matki i córki. Jeśli potem będziesz miał jeszcze wątpliwości, to nic już nigdy z ciebie nie będzie: potrafisz ożenić się ze stróżówną.

Malarz pożegnał przyjaciół, miotany najsprzeczniejszymi uczuciami. Wydawało mu się, iż Adelajda i jej matka winny być ponad tym oskarżeniem, czuł w głębi serca wyrzuty, że zwątpił o czystości tego tak prostego i pięknego dziewczęcia. Zmierzając do pracowni mijał drzwi mieszkania Adelajdy z boleścią w sercu, która nie zmyli żadnego mężczyzny. Kochał pannę de Rouville namiętnie i wielbił nawet, choć ukradła mu sakiewkę. Była to miłość kawalera des Grieux[120], który idealizował i wielbił kochankę, mimo że siedziała już na ózku, jadąc do więzienia dla kobiet upadłych. „Czemuż moja miłość nie miałaby jej uczynić najniewinniejszą ze wszystkich kobiet? Czemuż pozostawiać ją występkowi, nie wyciągnąwszy przyjaznej ręki?" Spodobało mu się to posłannictwo. Miłość umie profitować ze wszystkiego. Nic bardziej nie urzeka młodzieńca niż odegranie wobec kobiety roli dobrego geniusza. Jest w tym przedsięwzięciu coś romansowego, co odpowiada duszom egzaltowanym. Czyż to nie ofiarność pojęta jak najszerzej i występująca pod najszczytniejszą i najwdzięczniejszą formą? Czyż nie jest piękną świadomość, że kochamy na tyle, by kochać nadal tam, gdzie miłość innych wygasa i umiera? Hipolit usiadł w swej pracowni, jął wpatrywać się w obraz nic nie robiąc, widząc postaci poprzez łzy, które kręciły mu się w oczach; trzymając pędzel podszedł do obrazu, chciał jakby złagodzić jego barwę, lecz nie tykał płótna. Tak go zastała noc. Zapadający mrok wyrwał go z zadumy; zszedł, spotkał na schodach starego admirała, skłonił się

[119] Baron Antoine-Jean G r o s (1771-1835) – portrecista i batalista, zostawił wiele obrazów na tematy napoleońskie.

[120] K a w a l e r d e s G r i e u x – bohater powieści „Manon Lescaut", której autorem jest ksiądz Antoine-François Prévost-d'Exiles (1697–1763).

spoglądając nań ponuro – i wziął nogi za pas. Zamierzał wstąpić do sąsiadek, lecz widok protektora Adelajdy zmroził mu serce i obrócił wniwecz ową decyzję. Zastanawiał się po raz setny, jaką korzyść ma ten stary rozpustnik, właściciel osiemdziesięciu tysięcy franków renty, z wizyt na czwartym piętrze, gdzie przegrywał co wieczór około czterdziestu franków; wydało mu się, iż odgaduje, jaka to korzyść. Nazajutrz i dni następnych Hipolit pracował jak szalony, usiłując zwalczyć uczucie, poddawszy się rwącemu strumieniowi myśli i pomysłów. Udało mu się to w połowie. Studia pocieszyły go, nie zdoławszy jednak stłumić wspomnienia tylu rozkosznych godzin spędzonych z Adelajdą. Jednego wieczoru wychodząc z pracowni ujrzał drzwi mieszkanka sąsiadek uchylone. Ktoś stał w oknie. Schody były zbudowane w taki sposób, że malarz przechodząc musiał spojrzeć na Adelajdę: skłonił jej się zimno, przesyłając spojrzenie pełne obojętności; zmierzywszy jednak cierpienia panienki swoimi cierpieniami, zadrżał na myśl, jaką goryczą to spojrzenie i ten chłód mogły przejąć kochające serce. Ukoronować najpiękniejsze chwile, jakimi radowały się kiedykolwiek najczystsze dusze, tygodniową obojętnością, najgłębszą i najkompletniejszą wzgardą?... Straszliwe zakończenie! A może sakiewka się znalazła, może Adelajda co wieczór oczekiwała ukochanego? Owa myśl tak prosta i naturalna wzbudziła w malarzu nowe wyrzuty; zastanowił się, czy dowody przywiązania, jakie złożyła mu panienka, czy zachwycające pogawędki przesycone miłością, które tak go czarowały, nie zasługują przynajmniej na zbadanie, czy nie są warte wyjaśnień. Zawstydzony, że cały tydzień opierał się woli serca, poczytując się z racji tych zmagań niemal za zbrodniarza, odwiedził wieczorem panią de Rouville. A gdy zobaczył, jak bardzo panienka zmizerniała i schudła, rozwiały się wszystkie jego podejrzenia i złe myśli.

– Na Boga! Co pani się stało? – zagadnął przywitawszy baronową.

Adelajda nic nie odrzekłszy rzuciła mu tylko spojrzenie pełne melancholii, zniechęcenia i smutku. Schinnerowi zrobiło się nad wyraz przykro.

– Zapewne pracowałeś pan bardzo wiele – ozwała się stara dama – przybladł pan. Przez nas to zamknąłeś się w pracowni. Portret opóźnił zapewne kilka obrazów ważnych dla pańskiej sławy.

Hipolit był uszczęśliwiony, że znalazł dla swojej niegrzeczności tak świetne wytłumaczenie.

– Tak – powiedział – byłem bardzo zajęty, ale też i cierpiałem...

Na te słowa Adelajda podniosła głowę, spojrzała na ukochanego i z oczu jej pełnych zaniepokojenia znikł wszelki wyrzut.

– Sądziłeś pan więc, że jesteśmy całkiem obojętne na pańskie powodzenia lub niepowodzenia? – zagadnęła stara dama.

– Omyliłem się – odparł. – Istnieją jednak przykrości, które nie każdemu powinniśmy zawierzać, nawet osobom zaszczycającym nas przyjaźnią dawniej, niż łaskawe panie...

– Szczerości i siły przyjaźni nie należy mierzyć czasem. Widziałam starych przyjaciół, którzy w nieszczęściu nie zamienili ani jednej łzy – rzekła baronowa kiwając głową.

– Ale co pani jest? – zagadnął młodzieniec Adelajdę.

– E, to bagatela – odpowiedziała baronowa. – Adelka spędziła kilka bezsennych nocy wykańczając pewną robótkę i nie chciała słyszeć, kiedym jej tłumaczyła, że dzień dłużej czy dzień krócej niewiele tu znaczy.

Hipolit nie słuchał. Patrząc na te dwie twarze tak spokojne i szlachetne, rumienił się za swoje podejrzenia i przypisywał utratę sakiewki jakiemuś przypadkowi. Rozkoszny był dla niego ten wieczór – a zapewne i dla niej. Są tajemnice tak zrozumiałe dla dusz młodych! Adelajda odgadywała myśli Hipolita. Nie chcąc się przyznać do winy, malarz uznał ją; wrócił do swojej panienki bardziej zakochany i okazując jej czułość próbował w ten sposób wyjednać sobie nieme przebaczenie. Adelajda rozkoszowała się szczęściem tak doskonałym i słodkim, iż wydawało jej się, że otrzymała aż nazbyt wysoką rekompensatę za ranę zadaną jej

duszy. A jednak baronowa de Rouville zamąciła tę niekłamaną harmonię serc, to czarodziejskie porozumienie.

– Może byśmy tak siedli do partyjki – rzekła – bo mój stary Kergarouët coś się na mnie boczy.

Zdanie to obudziło znów obawy malarza – zaczerwienił się spoglądając na baronową; lecz ujrzał na jej twarzy li tylko wyraz najszczerszej dobroduszności; żadna myśl uboczna nie kaziła wdzięku, subtelność nie była tu przewrotną; złośliwość wydawała się łagodną, żadne wyrzuty nie mąciły spokoju tych rysów. Siadł więc do zielonego stolika. Adelajda zapragnęła dzielić los malarza, utrzymując, iż nie obznajmiony z pikietą potrzebuje partnerki. Matka i córka wymieniały w czasie gry jakieś znaki, które tym bardziej niepokoiły Schinnera, że wygrywał; ale pod koniec ostatnia rozgrywka uczyniła zakochanych dłużnikami baronowej. Kiedy malarz podniósłszy rękę sięgnął do kamizelki po pieniądze, ujrzał na stole nową sakiewkę, którą Adelajda podsunęła mu niepostrzeżenie; biedactwo szperało tymczasem w jego starej sakiewce, szukając, żeby dodać sobie kontenansu, pieniędzy dla matki. Krew uderzyła Schinnerowi do serca z taką siłą, że o mało nie stracił przytomności. Nowa sakiewka – następczyni starej – zawierała piętnaście ludwików, a pokrywał ją haft ze złota i pereł. Kółeczka i chwasty, wszystko zresztą świadczyło o dobrym guście Adelajdy, która na pewno wyszeptała się z ostatnich groszy, by przyozdobić to śliczne cacko. Nikt nie zdołałby wyrazić z większą delikatnością, że dar malarza można było odwzajemnić jedynie darem płynącym z serca. Kiedy Schinner, przytłoczony szczęściem, spojrzał na matkę i córkę, postrzegł, jak drżą z uciechy, uradowane swoją uroczą psotą. Uczuł się małym, małostkowym, durniem; rad był ukarać się sam, krwawiąc sobie serce. Łzy zakręciły mu się w oczach, zerwał się, schwycił Adelajdę w ramiona, przycisnął do serca, ucałował ją; po czym rzekł z prostotą i szczerością artysty: – Niech mi ją pani da za żonę! – i spojrzał na baronową.

Adelajda popatrzyła nieco gniewnie na malarza, pani de Rouville, zdziwiona trochę, zastanawiała się nad odpowiedzią, a wtedy scenę tę przerwał dźwięk dzwonka. Zjawił się stary admirał, za nim wsunął się jego cień, a za cieniem weszła pani Schinner. Domyśliwszy się powodu frasunków, które syn daremnie starał się przed nią ukryć, pani Schinner zasięgnęła za pośrednictwem znajomych informacji o Adelajdzie. Zaalarmowana oszczerstwami, jakie bez wiedzy hrabiego de Kergarouët – nazwiska jego dowiedziała się od stróżki – ciążyły na panience, poszła do admirała, by opowiedzieć mu wszystko. Stary rozsierdził się i obiecał „poobcinać uszy tym fircykom". Nie posiadając się ze złości, wtajemniczył panią Schinner w sekret swoich dobrowolnych przegranych: dumna baronowa godziła się jedynie na ten chytry rodzaj pomocy.

Kiedy pani Schinner przywitała się z panią de Rouville, baronowa spojrzała na hrabiego de Kergarouët i kawalera du Halgę – eks-kochanka nieboszczki hrabiny de Kergarouët – na Hipolita i Adelajdę, powiadając z radością w sercu:

— Zdaje się, że dziś jesteśmy w gronie rodzinnym.

Paryż, maj 1832.

NOTY

PRZEDMOWA

Ukazała się w 1842 r. na końcu pierwszego tomu „Komedii ludzkiej", a w 1846, z kilkoma wariantami, przedrukowano ją w numerze dziennika „ La Presse " z dnia 25 października.

DOM POD KOTEM Z RAKIETKĄ

Utwór ten ukazał się po raz pierwszy w drugim tomie pierwszego wydania „Scen z życia prywatnego" w r. 1830; nosił tam tytuł „Gloire et Malheur", następnie ukazywał się we wszystkich późniejszych wydaniach tych „Scen", w latach 1832, 1835 (w „Studiach obyczajowych"), w 1839 i 1842 (tj. w pierwszym wydaniu „Komedii ludzkiej", gdzie figuruje już pod obecnym tytułem).

BAL W SCEAUX

Przed wydaniem tego opowiadania w kwietniu 1830 r., w pierwszym wydaniu „Scen z życia prywatnego", gdzie nosi ono podtytuł: „czyli par Francji", Balzac opublikował jego fragment w paryskim dzienniku „Le Voleur" (z ,4 stycznia 1830). Następnie „Bal w Sceaux" ukazał się w 1832 r., w 1835 (w „Studiach obyczajowych"), w 1839 (wydanie Charpentiera) oraz w 1842, w pierwszym wydaniu „Komedii ludzkiej".

LISTY DWÓCH MŁODYCH MĘŻATEK

Powieść ta ukazywała się najpierw w felietonie, w dzienniku „La Presse", w okresie od l listopada 1841 do 15 stycznia 1842; w tym samym roku wyszła w dwu tomach u Souveraina; w pierwszym wydaniu „Komedii ludzkiej" (w r. 1842) Balzac umieścił ją w „Scenach z życia prywatnego".

SAKIEWKA

„Sakiewkę" ogłosił Balzac po raz pierwszy w r. 1832 w drugim wydaniu „Scen z życia prywatnego", następnie w 1835 przeniósł ją do „Scen z życia paryskiego" w „Studiach obyczajowych", gdzie też pozostała w wydaniu Charpentiera z 1839, by wrócić do „Scen z życia prywatnego" w pierwszym wydaniu „Komedii ludzkiej" w r. 1842.

NOTY O WAŻNIEJSZYCH POSTACIACH „KOMEDII LUDZKIEJ”

DOM POD KOTEM Z RAKIETKĄ

M a r g r a b i a W i k t o r d ' A i g l e m o n t jest jedną z głównych postaci w „Kobiecie trzydziestoletniej”; poślubia swą kuzynkę Julię de Chatillonest i unieszczęśliwia ją. Zrujnowany w r. 1827 przez Nucingena („Bank Nucinga”), wyrusza do Ameryki, gdzie odzyskuje majątek; po powrocie, złamany nieszczęściami, jakie spadają na jego rodzinę, umiera w r. 1835.

C e z a r B i r o t t e a u, olejkarz, właściciel „Królowej Róż”, jest główną postacią powieści „Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau”; drobne wzmianki o nim znajdują się m. in. w „Kawalerskim gospodarstwie”, „Krzywym zwierciadle historii współczesnej”, „Drobnomieszczanach” i „Kuzynce Bietce”.

C a m u s o t – bogaty kupiec jedwabi, urodzony w r. 1765; mimo że wielki kobieciarz – utrzymuje kolejno Koralię („Stracone złudzenia”) i Fanny Beaupré („Muza z zaścianka”) – ma jednak dobrą głowę do interesów, zostaje posłem, parem Francji i baronem („Kuzyn Pons”). Jest komisarzem sądowym przeprowadzającym likwidację masy upadłościowej Cezara Birotteau („Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau”); występuje poza tym epizodycznie np. w „Pierwszych krokach”, „Urzędnikach”, „Kawalerskim gospodarstwie”.

J a n H i e r o n i m S e w e r y n C a r d o t występuje w „Pierwszych krokach”, zrazu subiekt „Złotego Kokona”, a potem właściciel tej firmy i posiadacz znacznego majątku, wycofuje się z interesów w r. 1822 i, osiadłszy w Belleville pod Paryżem, prowadzi wygodne życie, wypełnione hulankami i miłostkami, które starannie ukrywa. Wzmianki o nim znajdujemy w „Straconych złudzeniach” i „Historii wielkości i upadku Cezara Birotteau”.

K s i ę ż n a C a r i g l l i a n o, córka senatora Malin de Gondreville'a, żona jednego z napoleońskich marszałków, jak wynika ze wzmianek w „Chłopach”, „Ojcu Goriot”, „Gabinecie starożytności”, „Straconych złudzeniach”, „Jaszczurze”, „Deputowanym z Arcis” i „Kuzynce Bietce”, umiała zachować swą pozycję jako „jedna z najbardziej oddanych Burbonom księżnych napoleońskich” i utrzymywała świetny salon.

J ó z e f L e b a s, zaproszony na słynny bal wydany przez Cezara Birotteau („Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau”), następnie, po bankructwie olejkarza, jako sędzia trybunału handlowego, życzliwie prowadzi jego sprawę, a potem przyczynia się do jego rehabilitacji. W „Blaskach i nędzach życia kurtyzany” jest jednym z bywalców kawiarni Davida. Około 1846 r. wycofuje się z interesów i osiada w swej posiadłości w Corbeil pod Paryżem („Kuzynka Bietka”).

K s i ą d z L o r a u x, wikary przy kościele Św. Sulpicjusza, jest spowiednikiem Agaty Bridau („Kawalerskie gospodarstwo”) i wychowawcą w kolegium Henryka IV („Pierwsze kroki”). W „Historii wielkości i upadku Cezara Birotteau” niesie pociechę religijną Cezarowi, a w „Honorynie” jest powiernikiem hrabiego Oktawa de Bauvan i przyczynia się do szczęśliwego rozwiązania konfliktu między hrabią a jego żoną.

K s a w e r y R a b o u r d i n, zdolny urzędnik ministerstwa finansów, którego karierę łamią w 1824 intrygi, jest jedną z głównych postaci w „Urzędnikach”; pojawia się też m. in. w „Cezarze Birotteau” i „Drobnomieszczanach”.

R e j e n t R o g u i n, którego rozpusta i fatalna namiętność do Pięknej Holenderki doprowadza do ruiny i bankructwa („Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau”), występuje też w „Kawalerskim gospodarstwie”, „Vendetcie” i „Eugenii Grandet” (przyczynia się do samobójczej śmierci Wilhelma Grandet); kancelarię jego przejmuje Aleksander Crottat („Pułkownik Chabert”); echa jego bankructwa powracają w „Piotrusi”, w „Muzie z zaścianka” i „Drobnomieszczanach”.

P a n i R o g u i n, żona rejenta, również brała udział w balu u Cezara Birotteau („Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau”); mimo bankructwa męża zdołała ocalić swój majątek i wraz ze swym kochankiem Du Tilletem osiadła w Nogent-sur-Marne („Córka Ewy”, „Muza z zaścianka”, „Piotrusia”).

O T e o d o r z e d e S o m m e r v i e u x znajdujemy wzmianki w „Urzędnikach” i w „Modeście Mignon”.

BAL W SCEAUX

G o t f r y d d e B e a u d e n o r d – jeden z przedstawicieli złotej młodzieży („Gabinet starożytności”, „Stracone złudzenia”), poślubia w 1827 Izaurę d'Aldrigger i zostaje zrujnowany przez krach Nucingena („Bank Nucingena”).

L a d y A r a b e l l a D u d l e y – piękna, bogata i pozbawiona skrupułów Angielka, była przyczyną nieszczęść szlachetnej lady Brandon („Listy dwu młodych mężatek”, „Granatka”), intrygowała przeciw księżnie de Cadignan („Sekrety księżny de Cadignan”) i usiłowała rzucić w ramiona Natana naiwną żonę Feliksa de Vandenesse („Córka Ewy”), swego dawnego kochanka („Lilia w dolinie”).

H r a b i a d e F o n t a i n e – w młodości brał udział w walkach szuanów przeciw Republice („Szuanie”).

E m i l i a d e F o n t a i n e, która święciła triumfy na balu u Cezara Birotteau („Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau”), jako żona starego admirała de Kergarouët odrzuciła zaloty swego kuzyna Sawiniana de Portenduere („Urszula Mirouet”); owdowiawszy wyszła powtórnie za mąż za margrabiego Karola de Vandenesse; wraz z lady Dudley usiłowała swą szwagierkę, żonę Feliksa de Vandenesse, rzucić w ramiona Natana („Córka Ewy”).

B a r o n o w a d e F o n t a i n e, z domu Grossetête, była przyjaciółką Diny Piedefer zamężnej de la Baudraye, z którą zerwała stosunki, gdy Dina opuściła męża dla Emila Blondet („Muza z zaścianka”).

A d m i r a ł d e K e r g a r o u ë t występuje w „Sakiewce”, gdzie z delikatną dobrocią wspomaga baronową de Rouville, wdowę po swym towarzyszu broni. Wzmianki o nim znajdziemy w „Urszuli Mirouët”, „Gobsecku” i „Beatryczy”.

H r a b i a P a w e ł d e M a n e r v i l l e, przyjaciel Henryka de Marsay („Dziewczyna o złotych oczach", „Stracone złudzenia"), poślubił piękną Natalię Evangelista, która wraz ze swą matką doprowadziła go do ruiny („Kontrakt małżeński").

H e n r y k d e M a r s a y, naturalny syn lorda Dudley, jeden z najświetniejszych lwów salonowych, polityk wielkich zdolności, a bez skrupułów, zdobywa wpływy pod koniec Restauracji, a za monarchii lipcowej zostaje premierem. Zjawia się bardzo często na kartach „Komedii ludzkiej" (np. „Drugie studium kobiety", „Gabinet starożytności", „Ferragus", „Listy dwóch młodych mężatek", „Ojciec Goriot", „Stracone złudzenia", „Chłopi", „Blaski i nędze życia kurtyzany", „Lilia w dolinie", „Urszula Mirouët", „Kontrakt małżeński", „Księżna de Langeais", „Kobieta trzydziestoletnia", „Córka Ewy", „Beatrycze", „Tajemnicza sprawa"), ale jako postać pierwszoplanowa występuje tylko raz, w „Dziewczynie o złotych oczach", zawierającej historię jego tragicznej miłości do lesbijki, Paquity Valdes.

W i c e h r a b i a S a w i n i a n d e P o r t e n d u é r e, odepchnięty przez dumną Emilię do Kergarouët, prowadził życie utracjusza i był bliski ruiny, od której ocaliła go pomoc dra Minoret i małżeństwo z jego pupilka („Urszula Mirouët"),

E u g e n i u s z d e R a s t i g n a c jest jedną z postaci najczęściej występujących w „Komedii ludzkiej". Początek jego kariery i stosunku z Delfiną de Nucingen z domu Goriot ukazuje „Ojciec Goriot", koniec zaś „Deputowany z Arcis", gdzie widzimy go jako wielokrotnego ministra monarchii lipcowej i męża Augusty de Nucingen, córki Delfiny. Poza tym spotykamy go m. in. w „Straconych złudzeniach", „Banku Nucingena", „Blaskach i nędzach życia kurtyzany",
„Kurateli", „Jaszczurze", „Drugim studium kobiety", „Beatryczy", „Kuzynce Bietce", „Aktorach mimo woli" i „Tajemniczej sprawie".

H r a b i a F e l i k s d e Y a n d e n e s s e jest jednym z bohaterów „Lilii w dolinie", gdzie opowiedziane są jego smutne dzieciństwo i młodość oraz miłość do szlachetnej pani de Mortsauf, którą zdradza potem z przewrotną lady Dudley; w „Kontrakcie małżeńskim" słyszymy o nim jako o kochanku Natalii de Manerville, a w „Córce Ewy" o jego małżeństwie z panną de Granville, którą swoim taktem i doświadczeniem ratuje od romansu z Natanem; wzmianki o nim zawierają też: „Stracone złudzenia", „Gobscck", „Drugie studium kobiety", „Listy dwóch młodych mężatek" i in.

LISTY DWÓCH MŁODYCH MĘŻATEK

D a n i e l d ' A r t h e z, pisarz łączący wielki talent z zaletami charakteru, jako młodzieniec należy do grupy młodych zapaleńców, zwanej „Biesiadą", i okazuje pomoc Lucjanowi de Rubempré („Stracone złudzenia"). Majątek, sławę i mandat poselski zdobywa za monarchii lipcowej; zakochany w księżnej de Cadignan, której udało się przekonać go, iż jej burzliwa przeszłość jest tylko wymysłem oszczerców, wycofuje się z życia politycznego i towarzyskiego. Wzmianki o nim znajdują się m. in. w „Modeście Mignon", „Piotrze Grassou" i „Drugim studium kobiety".

J ó z e f B r i d a u, zdolny i pracowity malarz, jeden z członków „Biesiady", której przewodniczył Daniel d'Arthez („Stracone złudzenia"), miał ciężką młodość, musiał bowiem utrzymywać matkę, zrujnowaną przez starszego syna, Filipa; zdobywszy sławę i majątek,

chętnie popiera młode talenty („Kawalerskie gospodarstwo", „Pierwsze kroki", a także „Piotr Grassou", „Kuzynka Bietka", „Drobnomieszczanie").

D i a n a d ' U x e l l e s, k s i ę ż n a d e M a u f r i g n e u s e, a potem d e C a d i g n a n, jest jedną z najświetniejszych, choć nie najcnotliwszych dam z okresu Restauracji i monarchii lipcowej. Do licznych jej kochanków należy Henryk de Marsay, Wikturnian d'Esgrignon („Gabinet starożytności"), Lucjan de Rubempré („Blaski i nędze życia kurtyzany"), a wreszcie łatwowierny, a sprytnie omotany przez nią d'Arthez („Sekrety księżnej de Cadignan").

B a r o n M e l c h i o r d e C a n a l i s, od roku 1824 głowa romantycznych poetów, przez długie lata kochanek księżny de Chaulieu, która udaremniła jego małżeństwo z piękną, bogatą i egzaltowaną panną Mignon („Modesta Mignon"), ożenił się dopiero w r. 1838, z panną Moreau, córką zarządcy dóbr hrabiego de Sérisy („Pierwsze kroki", a także „Muza z zaścianka", „Aktorzy mimo woli" i in.).

K s i ą ż ę H e n r y k d e C h a u l i e u, par Francji i wpływowy dworak („Gabinet starożytności", „Urzędnicy"), przyczynia się do upadku Lucjana de Rubempré („Blaski i nędze życia kurtyzany"), bierze udział w radzie familijnej, która usiłuje przemówić do rozsądku księżnie de Langeais, zakochanej w Armandzie de Montrivau („Księżna de Langeais"), w „Beatryczy" zaś usiłuje wyrwać barona du Guénic spod wpływu margrabiny de Rochefide; około r. 1842 wpływy jego i majątek znacznie się kurczą („Muza z zaścianka").

K s i ę ż n a E l e o n o r a d e C h a u l i e u, jedna z najświetniejszych dam paryskiej arystokracji („Stracone złudzenia", „Gabinet starożytności", „Sekrety księżnej de Cadignan"), umiała utrzymać przy sobie poetę Canalisa i przeszkodzić jego małżeństwu z młodą, uroczą i bogatą panną („Modesta Mignon").

A t e n a i s d e B l a m o n t-C h a u v r y, m a r g r a b i n a d ' E s p a r d, jedna z najmodniejszych i najwpływowszych kobiet w okresie Restauracji, zimna, samolubna i okrutna, usiłowała wziąć pod kuratelę swego szlachetnego męża („Kuratela"); przyczyniła się do zerwania między panią de Bargeton a Lucjanem de Rubempré („Stracone złudzenia"), który jednak zdołał się zemścić („Blaski i nędze życia kurtyzany"); intryguje przeciw księżnie de Cadignan („Sekrety księżnej de Cadignan") i przeciw pani de Vandenesse („Córka Ewy"), z pogardą odwraca się od pani de Rochefide, gdy ta zakochała się w Kalikście du Guénic („Beatrycze"). Za monarchii lipcowej zdołała utrzymać swój salon i wpływy („Drugie studium kobiety"). Wzmianki o niej gęsto są rozsiane w wielu utworach „Komedii ludzkiej".

L u d w i k G a s t o n, starszy z nieprawych synów lady Brandon, po śmierci matki zaopiekował się młodszym bratem, a sam zaciągnął się na statek wyruszający do Ameryki („Granatka").

M a r i a n G a s t o n, młodszy z nieprawych synów lady Brandon; o dzieciństwie jego opowiada Balzac w „Granatce".

M a g d a l e n a d e M o r t s a u f, potem k s i ę ż n a d e L e n o n c o u r t – G i v r y, córka nieszczęśliwej pani de Mortsauf („Lilia w dolinie"), około 1830 wyjeżdża do Włoch z Klotyldą de Grandlieu, niedoszłą narzeczoną Lucjana de Rubempré, i wraz z nią jest świadkiem aresztowania Lucjana pod zarzutem zabójstwa kurtyzany Estery van Gobseck („Blaski i nędze życia kurtyzany").

A l f o n s d e C h a u l i e u, k s i ą ż ę d e R h e t o r e, dyplomata, żywił niechęć i pogardę dla Lucjana de Rubempré („Stracone złudzenia”, „Blaski i nędze życia kurtyzany”); w roku 1835 poślubił księżnę d'Argaiolo („Albert Savarus”).

SAKIEWKA

J a n J a k u b B i x i o u, zdolny karykaturzysta, odznaczający się celnym a zjadliwym dowcipem, przez pewien czas urzędnik w ministerium finansów („Urzędnicy”), kuzyn Józefa i Filipa Bridau („Kawalerskie gospodarstwo”), przyjaźni się z Blondetem, Lousteau, Lucjanem de Rubempré („Stracone złudzenia”, „Blaski i nędze życia kurtyzany”), bywa dużo w świecie („Jaszczur”, „Muza z zaścianka”, „Deputowany z Arcis”), w półświatku („Kuzynka Bietka”, „Kuzyn Pons”, „Aktorzy mimo woli”), ma też stosunki wśród ludzi interesu („Bank Nucingena”, „Aferzysta”, „Gaudissart II”).

K a w a l e r d u H a l g a, szlachcic bretoński, przyjaciel i towarzysz broni hrabiego Kergarouët; o jego losach i miłości do pierwszej żony przyjaciela oraz powrocie do rodzinnej Bretanii opowiada Balzac w „Beatryczy”.

J a n B a p t y s t a M o l i n e u x, drobiazgowy i złośliwy właściciel licznych nieruchomości w Paryżu, występuje w „Historii wielkości i upadku Cezara Birotteau”, „Podwójnej rodzinie” oraz „Blaskach i nędzach życia kurtyzany”.

H i p o l i t S c h i n n e r, zdolny malarz z pracowni Grosa („Kawalerskie gospodarstwo”), był współuczniem Józefa Bridau, którego polecił hrabiemu de Sérisy, gdy ów kończył odnawiać swój pałac w Presles („Pierwsze kroki”). Spotykamy go również w „Piotrze Grassou”, „Aktorach mimo woli”, „Albercie Savarus”, „Urzędnikach”, „Fałszywej kochance” i „Małych niedolach pożycia małżeńskiego”.

SPIS RZECZY

Honoriusz Balzac. Wstęp Tadeusza Żeleńskiego (Boya)
Przedmowa do „Komedii ludzkiej”
DOM POD KOTEM Z RAKIETKĄ
BAL W SCEAUX
LISTY DWÓCH MŁODYCH MĘŻATEK
SAKIEWKA
Noty i przypisy
Noty o ważniejszych postaciach „Komedii ludzkiej”

HONORIUSZ BALZAC: „KOMEDIA LUDZKA”

DOM POD KOTEM Z RAKIETKĄ
BAL W SCEAUX
LISTY DWÓCH MŁODYCH MĘŻATEK
SAKIEWKA

DWAJ POECI
WIELKI CZŁOWIEK Z PROWINCJI
W PARYŻU
CIERPIENIA WYNALAZCY

MODESTA MIGNON
PIERWSZE KROKI
ALBERT SAVARUS

HISTORIA TRZYNASTU
URZĘDNICY

WENDETA
PODWÓJNA RODZINA
ZGODA W MAŁŻEŃSTWIE
PANI FIRMIANI
STUDIUM KOBIETY
FAŁSZYWA KOCHANKA
CÓRKA EWY
ZLECENIE
GRANATKA

HISTORIA WIELKOŚCI I UPADKU
CEZARA BIROTTEAU
BANK NUCINGENA
KRÓL CYGANERII
BEZWIEDNI AKTORZY
AFERZYSTA

BLASKI I NĘDZE ŻYCIA KURTYZANY
OSTATNIE WCIELENIE VAUTRINA

KOBIETA PORZUCONA
HONORYNA
BEATRIX

SEKRETY KSIĘŻNEJ DE CADIGNAN
SARRAZINE
FACINO CANE
PIOTR GRASSOU
GAUDISART II
MAŁOMIESZCZANIE
KRZYWE ZWIERCIADŁO HISTORII
WSPÓŁCZESNEJ

GOBSECK
KOBIETA TRZYDZIESTOLETNIA
OJCIEC GORIOT

KUZYNKA BIETKA
KUZYN PONS

PUŁKOWNIK CHABERT
MSZA ATEUSZA
KURATELA
KONTRAKT ŚLUBNY
DRUGIE STUDIUM KOBIETY

EPIZOD Z CZASÓW TERRORU
TAJEMNICZA SPRAWA
DEPUTOWANY Z ARCIS

SZUANIE
NAMIĘTNOŚĆ NA PUSTYNI

URSZULA MIROUËT
EUGENIA GRANDET

CHŁOPI
LEKARZ WIEJSKI

PIOTRUSIA
PROBOSZCZ Z TOURS
KAWALERSKIE GOSPODARSTWO

LILIA W DOLINIE
WIEJSKI PROBOSZCZ

ZNAKOMITY GAUDISSART
MUZA Z ZAŚCIANKA
STARA PANNA
GABINET STAROŻYTNOŚCI

FIZJOLOGIA MAŁŻEŃSTWA
MAŁE NIEDOLE POŻYCIA
MAŁŻEŃSKIEGO

STUDIA FILOZOFICZNE